

MARGARET
ATWOOD

MADDADDAM



Prószynski S-ko

MADDADDAM

MARGARET
ATWOOD

MADDADDAM

**Przełożył
Tomasz Wilusz**

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
MADDADDAM

Copyright © 2013 O.W. Toad

Projekt okładki
Wojtek Świerdzewski

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Maria Talar

Korekta
Katarzyna Kusojé
Bożena Hulewicz

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-8097-141-7

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
ABEDIK

**Dla mojej rodziny
i Larry'ego Gaynora (1939–2010)**

Trylogia *MaddAddam*

Pierwsza część trylogii *MaddAddam* to *Oryks i Derkacz*, druga - *Rok Potopu*. *MaddAddam* to część trzecia.

1. *Oryks i Derkacz*

Opowieść się zaczyna, kiedy Yeti mieszka na drzewie nad morzem. Sądzi, że jest jedynym prawdziwym człowiekiem, który przetrwał śmiertelną globalną epidemię. Nieopodal żyją Dzieci Derkacza, łagodni humanoidzi stworzeni metodą inżynierii genetycznej przez genialnego Derkacza, niegdyś najlepszego przyjaciela Yeti i jego rywala w walce o względy pięknej, enigmatycznej Oryks.

Derkaczanie wolni są od zazdrości seksualnej, chciwości, odzieży, a także potrzeby stosowania środków odstraszających owady i spożywania białek zwierzęcych - wszystkich czynników, które zdaniem Derkacza nie tylko unieszczęśliwiły rodzaj ludzki, ale i spowodowały degradację planety. Spółkują w okresach godowych, kiedy części ich ciała zabarwiają się na niebiesko. Derkacz próbował pozbawić ich umiejętności myślenia symbolicznego i zmysłu muzycznego, mimo to jednak mają własny przedziwny styl śpiewania i wykształcili religię z Derkaczem jako stwórcą, Oryks jako panią zwierząt i Yeti jako prorokiem mimo woli. To właśnie Yeti wyprowadził ich z nowoczesnej kopuły WyRaju, w której zostali stworzeni, i zabrał do ich obecnej siedziby nad oceanem.

W czasach przed wybuchem zarazy Yeti nosił imię Jimmy. Jego świat podzielony był na Kompleksy - ufortyfikowane Korporacje zatrudniające elitę technokratów, które kontrolowały społeczeństwo poprzez wspólną służbę bezpieczeństwa, KorpuSOKorp, oraz plebsopolie poza obrębem murów Kompleksów, gdzie reszta społeczeństwa żyła, kombinowała i robiła zakupy na przedmieściach, w slumsach i w centrach handlowych.

Wczesne dzieciństwo Jimmy spędził w Farmach OrganSA, gdzie jego ojciec pracował nad świnią - transgenicznymi świnią, w których

hodowano ludzkie narządy przeznaczone do transplantacji, między innymi nerki i tkankę mózgową. Z czasem ojca Jimmy'ego przeniesiono do ZdrowoTechu, Korporacji specjalizującej się w ochronie zdrowia i odnowie biologicznej. To w liceum ZdrowoTechu nastoletni Jimmy poznał Derkacza, wówczas znanego pod imieniem Glenn. Zbliżyło ich zamiłowanie do pornografii internetowej i skomplikowanych gier sieciowych. Jedną z nich był Wymaraton, prowadzony przez tajemniczy byt o nazwie MaddAddam: „Adam nazwał wszystkie żywe zwierzęta, MaddAddam nazywa martwe”. Do MaddAdda-ma dostawali się przez chatroom dostępny tylko dla zaufanych Wielkich Mistrzów gry.

Derkacz i Jimmy stracili ze sobą kontakt, kiedy Derkacza przyjęto do hojnie finansowanego Instytutu Watsona-Cricka, a człowiek słów Jimmy musiał się zadowolić podupadającą Akademią Sztuk Pięknych imienia Marthy Graham. Dziwnym trafem i matka, i ojczym Derkacza umarli na tajemniczą chorobę, która rozpuściła ich ciała. Wkrótce ugrupowanie bioterrorystyczne o kryptonimie MaddAddam zaczęło przeprowadzać ataki na KorpuSOKorp i infrastrukturę władzy przy wykorzystaniu genetycznie zmodyfikowanych zwierząt i drobnoustrojów.

Po latach Jimmy i Derkacz odnowili znajomość. Derkacz był wtedy kierownikiem kopuły WyRaju. Jimmy odkrył, ku swojemu zaskoczeniu, że naukowcy zatrudnieni w WyRaju nosili takie same imiona jak użytkownicy gry Wymaraton. Okazało się, że byli to bioterrorysty z ugrupowania MaddAddam, których Derkacz wyśledził przez chatroom Wymaratonu, a następnie, obiecując nietykalność, skłonił do współpracy. W kopule Derkacz metodą łączenia genów stwarzał nowych idealnych ludzi, jednocześnie prowadził prace nad pigułką BłogoPlus, która miała zapewniać seksualną ekstazę, działać antykoncepcyjnie i przedłużać młodość. Pigułka zawierała jednak pewien ukryty składnik i jej wprowadzenie na rynek zbiegło się w czasie z wybuchem pandemii, która unicestwiła ludzkość. W chaosie, który się rozpętał, zginęli Oryks i Derkacz, zostawiając Jimmy'ego samego z Derkaczanami.

Teraz, nękanym wspomnieniami o martwej Oryks i zdradliwym Derkaczu, tracący nadzieję na własne przetrwanie, schorowany i prześladowany

wyrzutami sumieniami, Yeti udaje się do kopuły WyRaju w poszukiwaniu pozostawionej tam broni i zapasów. Jego śladem podążają zbiegłe transgeniczne zwierzęta, między innymi agresywne wilksy i olbrzymie świniony, przebiegłe dzięki wyhodowanej w nich ludzkiej tkance mózgowej.

Oryks i Derkacz kończy się w chwili, kiedy Yeti odnajduje troje innych ludzi ocalałych z plagi. Czy powinien do nich dołączyć, porzucić Derkaczan? A może, znając destrukcyjne skłonności własnego gatunku, lepiej, by zabił nieznanomych? *Oryks i Derkacz* urywa się, zanim Yeti podejmuje decyzję.

2. *Rok Potopu*

Rok Potopu rozgrywa się w tych samych latach co *Oryks i Derkacz*, ale miejscem akcji jest plebsopolia poza obrębem murów Kompleksów. Opowieść przedstawia losy Bożych Ogrodników, wyznawców zielonej religii założonej przez Adama Pierwszego. Jej przywódcy, Adamowie i Ewy, nauczają o zbieżności Natury z Pismem Świętym, miłości do wszystkich istot, niebezpieczeństwach technologii, złu Korporacji, unikaniu przemocy, a także o hodowli warzyw i pszczół na dachach slumsów plebsopolii.

Opowieść zaczyna się na planie współczesnym, w Roku Ogrodników Dwudziestym Piątym - roku Bezwodnego Potopu, jak Ogrodnicy nazywają zarazę. Toby, uzbrojona w archaiczny karabin, ukrywa się w spa NowyTy i wypatruje innych ocalałych - zwłaszcza Zeba, obrotnego byłego Ogrodnika, w którym się skrycie kocha. Łamiąc Ogrodnicze przykazania, zabija jednego ze świnionów, które ryją w jej ogrodzie warzywnym. Pewnego dnia w oddali dostrzega pochód nagich ludzi prowadzony przez obszarpanego brodacza. Ponieważ nic nie wie o Yeti i Derkaczanach, uznaje to za halucynację.

Młoda Ren jest tymczasem zamknięta w pokoju kwarantanny Łusek i Ogonów, klubu ze striptizem, w którym pracuje. Tuż przed wybuchem epidemii klub został zdemolowany przez paintbólowców -

zdehumanizowanych więźniów Korporacji, którzy bezwzględnie wyeliminowali swoich rywali na Paintbólowej Arenie. Ren zdaje sobie sprawę, że umrze z głodu, jeśli przyjaciółka z dzieciństwa, Amanda, nie przybędzie jej uwolnić.

Długo przed tymi wydarzeniami Boży Ogrodnicy uratowali Toby z rąk znęcającego się nad nią paintbólowca, Blanco, jej szefa w podłej budce SekretBurgera. Została Ewą, specjalizującą się w grzybach, pszczołach i wywarach. Jej nauczycielka, stara Pilar - która, jak wielu Ogródników, była zbiegłym z Korporacji naukowcem - utrzymywała potajemne kontakty z informatorami w jej dawnym miejscu pracy, w tym z nastoletnim Derkaczem.

Podczas swojego pobytu u Ogródników Ren była jednym z uczniów Toby, podobnie jak Amanda, hardy, ale charyzmatyczny plebszczur. Matka Ren, Lucerne, uciekła z Kompleksu ZdrowoTech z Zebem, jednak oburzona jego brakiem zaangażowania w związek porzuciła Ogródników i wróciła do ZdrowoTechu, kiedy córka miała trzynaście lat. Nastoletni Jimmy uwiódł Ren, by ją potem porzucić. Ostatecznie postanowiła zarabiać na życie tańcem w Łuskach i Ogonach, uznając to za najlepsze dla siebie rozwiązanie.

W wyniku sporu o taktykę działania Zeb i jego stronnicy odłączyli się od pacyfistycznych Ogródników Adama Pierwszego, aby stawić czynny bioterrorystyczny opór Korporacjom. Ich skrzynką kontaktową stał się chatroom MaddAddama. Pozostali Ogródnicy, zepchnięci przez KorpuSOKorp do podziemia, kontynuowali przygotowania do Bezwodnego Potopu.

Na planie współczesnym - w roku Dwudziestym Piątym - Amanda dociera do Łusek i uwalnia Ren. Kiedy świętują spotkanie, przybywają trzech ich przyjaciół z czasu pobytu u Ogródników - Shackleton, Crozier i Oates - za którymi krok w krok podążają Blanco i dwaj inni paintbólowcy. Piątka młodych ludzi ucieka, ale po drodze Ren i Amanda zostają zgwałcone, Amanda uprowadzona, a Oates zamordowany.

Ren ostatkiem sił dostaje się do spa NowyTy, gdzie pod okiem Toby dochodzi do zdrowia. Potem wyruszają razem na poszukiwania Amandy. Wymknąwszy się zdziczałym świnionom, rozprawiają się z bezwzględny Blankiem, po czym znajdują grupę ocalałych mieszkających w domku z gliny na rozległym zieleńcu w Parku Dziedzictwa. Jest tam Zeb z grupą MaddAddamowców; jest też kilkoro byłych Ogrodników. Wszyscy wierzą, że Adam Pierwszy przeżył, i go szukają.

Toby i Ren wyruszają na niebezpieczną misję odbicia Amandy z rąk więzących ją paintbólowców. Na brzegu morza napotykają obozowisko zamieszkałe przez dziwnych, częściowo niebieskich ludzi, którzy, jak twierdzą, widzieli dwóch mężczyzn i kobietę. Domyśliwszy się, że musieli to być Amanda i jej porywacze, Toby i Ren odnajdują ich w chwili, kiedy Yeti - mający w malignie - szykuje się, by zastrzelić całą trójkę ze znalezionej w WyRaju miotacza.

Rok Potopu kończy się w momencie, kiedy paintbólowcy przywiązani są do drzewa, a Ren opatruje zmaltretowaną Amandę i gorączkującego Yeti. Gdy z okazji Ogrodniczego święta przebaczenia, dnia świętej Juliany, Toby częstuje wszystkich zupą, brzegiem morza nadchodzą niebieskawe Dzieci Derkacza, śpiewając swoją przedziwną muzykę.

JAJO

Opowieść o Jaju, o Oryks i Derkaczu i o tym, jak stworzyli Ludzi i Zwierzęta; i o Chaosie; i o Yeti-Jimmym; i o Śmierdzącej Kości i przybyciu Dwóch Złych Ludzi

Na początku żyliście w Jaju. Tam stworzył was Derkacz.

Tak, dobry, miłosierny Derkacz. Przestańcie śpiewać, proszę, bo nie będę mogła dalej opowiadać.

Jajo było duże, okrągłe i białe, jak połówka bańki, a w nim były drzewa z liśćmi, trawa i jagody. Wszystko to, co lubicie jeść.

Tak, w Jaju padał deszcz.

Nie, nie grzmiało.

Bo Derkacz nie chciał, żeby w Jaju grzmiało.

A wszędzie wokół Jaja był chaos i wielu, wielu ludzi, którzy byli inni od was. Bo mieli dodatkową skórę. Ta skóra nazywa się „ubranie”. Tak, taką jak moja.

I wielu z nich było złymi ludźmi, którzy robili okrutne, bolesne rzeczy sobie nawzajem, a także zwierzętom. Takie jak... Na razie nie musimy o tych rzeczach mówić.

I Oryks była z tego powodu bardzo smutna, bo zwierzęta były jej Dziećmi. A Derkacz był smutny, bo Oryks była smutna.

I chaos panował wszędzie poza Jajem. Ale wewnątrz Jaja nie było chaosu. Tam panował spokój.

I Oryks co dzień przychodziła was uczyć. Pokazała wam, co jeść i jak rozpaścić ogień, opowiedziała o zwierzętach, jej Dzieciach. Nauczyła was mruścić, kiedy komuś stanie się coś złego. A Derkacz czuwał nad wami.

Tak, dobry, miłosierny Derkacz. Proszę, przestańcie śpiewać. Nie musicie za każdym razem śpiewać. Derkaczowi na pewno się to podoba, ale podoba mu się też ta historia i chce jej wysłuchać do końca.

Pewnego dnia Derkacz usunął chaos i okrutnych ludzi, żeby uszczęśliwić Oryks i stworzyć wam bezpieczne miejsce do zamieszkania.

Tak, z tego powodu przez pewien czas bardzo brzydko pachniało.

A potem Derkacz odszedł do swojego domu w niebie i Oryks odeszła razem z nim.

Nie wiem, dlaczego odeszli. Musieli mieć ważny powód. I zostawili Yeti-Jimmy'ego, żeby się wami opiekował, a on przyprowadził was nad morze. I w każdym Dniu Ryby łowiliście dla niego rybę, a on ją zjadał.

Wiem, że wy nigdy nie zjedlibyście ryby, ale Yeti-Jimmy jest inny.

Bo musi jeść ryby, inaczej by się ciężko rozchorował.

Bo tak został stworzony.

Pewnego dnia Yeti-Jimmy poszedł się spotkać z Derkaczem. I wrócił z raną na stopie. Mruczeliście nad nią, ale się nie zagoiła.

I wtedy przyszli dwaj źli ludzie. Ocaleni z chaosu.

Nie wiem, czemu Derkacz ich nie usunął. Może schowali się pod krzakiem i ich nie zauważył. Złapali jednak Amandę i robili jej okrutne, bolesne rzeczy.

Na razie nie musimy o tych rzeczach mówić.

I Yeti-Jimmy próbował ich powstrzymać. A wtedy przybyłyśmy ja i Ren, pojmałyśmy dwóch złych ludzi i przywiązałyśmy ich liną do drzewa. Potem wszyscy usiedliśmy wokół ogniska i jedliśmy zupę. Yeti-Jimmy jadł zupę, i Ren, i Amanda. Nawet dwaj źli ludzie jedli zupę.

Tak, w zupie była kość. Tak, śmierdząca kość.

Wiem, że wy nie jecie śmierdzącej kości. Ale wiele Dzieci Oryks lubi takie kości. Jadają je kotrysie, szopunksy, świniomy i lwiagniory. Wszystkie one jadają śmierdzące kości. Niedźwiedziom też smakują.

Później wam powiem, co to jest niedźwiedź.

Na razie nie musimy więcej mówić o śmierdzących kościach.

I kiedy wszyscy jedli zupę, przyszlście wy z pochodniami, żeby pomóc Yeti-Jimmy'emu z powodu jego rannej stopy. Poza tym wyczuliście, że kilka kobiet było niebieskich, więc chcieliście z nimi spółkować.

Nie rozumieliście, dlaczego ci dwaj byli złymi ludźmi ani dlaczego byli związani liną. Nie wasza wina, że uciekli do lasu. Nie płaczcie.

Tak, Derkacz na pewno srogo się gniewa na złych ludzi. Może ześle grom.

Tak, dobry, miłosierny Derkacz.

Przestańcie śpiewać, proszę.

LINA

Lina

Na temat wydarzeń tamtego wieczoru - wydarzeń, które na nowo wyzwoliły w świecie ludzką podłość - Toby później ułożyła dwie opowieści. Pierwsza była ta, którą opowiedziała na głos Dzieciom Derkacza; nadała jej szczęśliwe zakończenie, przynajmniej na tyle szczęśliwe, na ile się dało. Druga, przeznaczona dla niej samej, była mniej radosna. Po części mówiła o jej własnym idiotyzmie, jej nieuwadze, była też jednak o szybkości wypadków. Wszystko stało się tak błyskawicznie.

Była zmęczona, oczywiście; na pewno gwałtownie spadł jej poziom adrenaliny. Bądź co bądź, przez dwa dni funkcjonowała na pełnych obrotach, w dużym stresie i prawie bez jedzenia.

Poprzedniego dnia opuścili z Ren bezpieczną enklawę MaddAddama, gdzie, w domku z gliny, schroniła się garstka ocalałych z globalnej pandemii, która unicestwiła ludzkość. Szły śladem Amandy, najlepszej przyjaciółki Ren, i znalazły ją w samą porę, bo dwaj paintbólownicy, którzy sobie na niej używali, już ją prawie doszczętnie zużyli. Toby wiedziała, czego się po takich jak oni spodziewać: jeden omal jej nie zabił, zanim została Bożym Ogrodnikiem. Każdy, kto więcej niż raz przetrwał Paintból, stawał się człowiekiem zredukowanym do najniższych instynktów. Seks, aż cię zedrą do ostatniego paznokcia, taki mieli zwyczaj; potem zostawałaś ich obiadem. Lubili nerki.

Toby i Ren przyczyły się w zaroślach, podczas gdy paintbólownicy kłócili się o jedzonego szopunksa, o to, czy zaatakować Derkaczan, i co zrobić z Amandą. Ren odchodziła od zmysłów ze strachu; Toby miała nadzieję, że dziewczyna jej tu nie zemdleje, nie mogła się jednak o to martwić, bo zbierała odwagę do oddania strzału. Kogo zastrzelić najpierw, brodatego czy krótkowłosego? Czy drugi zdąży chwycić za miotacz? Amanda nie byłaby w stanie pomóc ani nawet uciec: na szyi miała linę, której drugi koniec przywiązany był do nogi brodacza. Jeden niewłaściwy ruch Toby i Amanda zginie.

Wtedy z krzaków wytoczył się dziwny człowiek, spalony słońcem, pokryty strupami, nagi, z miotaczem ściśniętym w rękę, i niewiele brakowało, a powystrzelałby wszystkich w zasięgu wzroku, z Amandą włącznie. Ren jednak wybiegła z krzykiem na polanę i to wystarczyło, żeby odwrócić jego uwagę. Toby wyszła z ukrycia z karabinem złożonym do strzału, Amanda wyswobodziła się z więzów, paintbólowcy zostali obezwładnieni kopniakami w krocze i kamieniem, a następnie skrupowani ich własną liną i paskami oddartymi od różowego kombinezonu przeciwsłonecznego ze spa NowyTy, który Toby miała na sobie.

Później Ren zajęła się Amandą, która zapewne była w szoku, i pokrytym strupami golasem, którego nazywała Jimmym. Owinęła go resztką kombinezonu, przemawiając do niego łagodnie; zdaje się, że był to jej dawny chłopak.

Kiedy zapanował jaki taki porządek, Toby uznała, że może się odprężyć. Uspokoiła się ćwiczeniem oddechowym Ogrodników, prowadzonym w kojącym rytmie pobliskich fal - szuuu, szuuu - aż bicie jej serca wróciło do normy. Potem ugotowała zupę.

I wtedy wstał księżyc.

Wschód księżyca oznaczał początek dnia świętej Juliany, Dnia Zadusznego; Ogrodniczego święta Bożej czułości i współczucia dla wszystkich istot. „Wszechświat spoczywa w zagłębieniu Jego dłoni, jak przed wiekami uczyła w swojej mistycznej wizji święta Juliana z Norwich. Trzeba przebaczać, okazywać miłość i dobroć, krąg musi pozostać nieprzerwany. Święto wszystkich dusz jest świętem wszystkich dusz, bez względu na ich uczynki. Przynajmniej od wschodu do zachodu księżyca”.

Kiedy Adamowie i Ewy od Ogrodników czegoś cię uczyli, zostawało ci to na zawsze. Choćby chciała, tak naprawdę nie mogłaby zabić paintbólowców tej szczególnej nocy - zarznąć z zimną krwią, bo wtedy obaj już byli mocno przywiązani do drzewa.

Skrepowały ich Amanda i Ren. Razem chodziły do szkoły Ogrodników, gdzie miały dużo zajęć z obróbki materiałów z odzysku, dzięki czemu biegle opanowały sztukę wiązania węzłów. Faceci wyglądali jak robótka makramowa.

W ten błogosławiony wieczór świętej Juliany Toby odłożyła broń na bok - swój przestarzały karabin i miotacz paintbólowców, a także miotacz Jimmy'ego. Potem wcieliła się w rolę dobrotliwej matki chrzestnej, rozlewała zupę, dzieliła pokarm między zgromadzonych.

Musiała być zahipnotyzowana tym pokazem własnej szlachetności i dobroci. Proszę bardzo, skłoniła wszystkich, żeby usiedli w kręgu wokół przytulnego wieczornego ogniska i razem sączyli zupę - nawet Amandę, która po przeżytej traumie była prawie w katatonii; nawet Jimmy'ego, który trząsał się w gorączce i rozmawiał z martwą kobietą stojącą w płomieniach. Nawet dwóch paintbólowców: czy naprawdę sądziła, że się nawrócą i zaczną tulić króliczki? Aż dziw, że nie wygłosiła kazania, rozdzielając zupę z kości. Trochę dla ciebie, trochę dla ciebie i trochę dla ciebie! Porzućcie nienawiść i agresję! Wejdźcie w krąg światła!

Ale nienawiść i agresja uzależniają. Dają kopa. Kiedy ich skosztujesz, potem cię telepie, jeśli nie dostaniesz więcej.

Jedząc zupę, usłyszeli głosy zbliżające się wśród nadbrzeżnych drzew. To były Dzieci Derkacza, Derkaczanie - dziwni, transgeniczni pseudoludzie, którzy żyli nad morzem. Szli jeden za drugim przez gęstwinę, niosąc pochodnie z sosny smołowej, i śpiewali swoje krystaliczne pieśni.

Toby wcześniej widziała ich tylko przelotnie, i to w dzień. Lśniący w blasku księżycy i pochodni byli jeszcze piękniejsi. Każdy z nich miał inny kolor skóry - brązowy, żółty, czarny, biały - i inny wzrost, ale wszyscy bez wyjątku byli doskonali. Kobiety uśmiechały się pogodnie; mężczyznom zebrało się na zaloty, w wyciągniętych rękach trzymali pęki kwiatów, ich nagie ciała wyglądały jak wyobrażenie idealnych ludzkich ciał w komiksie czternastolatka, każdy mięsień, każda skórna fałdka były wyraźnie zarysowane i połyskujące. Jaskrawoniebieskie nienaturalnie

duże penisy majtały się z boku na bok niczym ogony przyjaznych psów.

* * *

Potem Toby nie bardzo mogła odtworzyć sekwencję wydarzeń, o ile można to nazwać sekwencją. Bardziej przypominało to rozróbę w plebsopolii: błyskawiczny rozwój wypadków, kłębowisko ciał, kakofonia głosów.

Gdzie niebieskie? Czujemy niebieskie! Zobaczcie, to Yeti! Jest chudy! Jest bardzo chory!

Ren: O cholera, Derkaczanie. A jeśli będą chcieli... Spójrzcie na ich... Szlag!

Derkaczanki na widok Jimmy'ego: Pozwólcie nam pomóc Yeti! Musimy nad nim mruzczyć!

Derkaczanie, łowiąc zapach Amandy: Ona jest niebieska! Pachnie na niebiesko! Chce z nami spółkować! Dajcie jej kwiaty! Ucieszy się!

Amanda, przerażona: Nie zbliżajcie się! Ja nie... Ren, pomóż! Czterej rośli, piękni, nadzy mężczyźni podchodzą do niej z kwiatami. Toby! Odpędź ich ode mnie! Zastrzel ich!

Derkaczanki: Ona jest chora. Najpierw musimy nad nią po-mruzczyć. Żeby wydobrzała. I dać jej rybę?

Derkaczanie: Jest niebieska! Jest niebieska! Jesteśmy szczęśliwi! Zaśpiewajcie dla niej!

Ta druga też jest niebieska.

Ryba jest dla Yeti. Musimy zachować rybę.

Ren: Amanda, może po prostu przyjmij te kwiaty, inaczej się wściekną czy coś...

Toby, cienkim bezradnym głosem: Posłuchajcie, proszę was, nie

podchodźcie, przerażacie...

Co to? Kość? Kilka kobiet, zaglądając do garnka z zupą: Jecie tę kość? Ona śmierdzi.

My nie jemy kości. Yeti nie je kości, je rybę. Dlaczego jecie śmierdzącą kość?

To stopa Yeti śmierdzi jak kość. Kość, którą zostawiły sępy.

O Yeti, musimy pomruczeć nad twoją stopą!

Jimmy, w malignie: Kto tu? Oryks? Przecież ty nie żyjesz. Wszyscy umarli. Wszyscy na całym świecie, wszyscy poumierali... Zaczyna płakać.

Nie smuć się, o Yeti. Przyszliśmy pomóc.

Toby: Może lepiej nie dotykajcie... wdało się zakażenie... potrzeba mu...

Jimmy: Au! Kurwa!

O Yeti, nie wierzgaj. Stopa cię rozboli. Kilka kobiet zaczyna mruć jak mikser kuchenny.

Ren wzywa pomocy: Toby! Toby! Hej! Puśćcie ją!

Toby patrzy nad ogniskiem: Amanda zniknęła w rozmigotanym gąszczu nagich męskich kończyn i pleców. Ren wskakuje w to kłębowisko i szybko w nim tonie.

Toby: Czekać! Nie... Przestańcie! Co powinna zrobić? To poważne kulturowe nieporozumienie. Gdyby tylko miała kubek zimnej wody!

Stłumione krzyki. Toby rzuca się na pomoc, ale wtedy:

Jeden z paintbólowców: Hej, ty! Tutaj!

Ci bardzo śmierdzą. Śmierdzą brudną krwią. Gdzie jest krew?

Co to? To jest lina. Dlaczego są związani liną?

Yeti kiedyś pokazał nam „linę”, wtedy, kiedy mieszkał na drzewie. Z „liny” zrobił swój dom. O Yeti, dlaczego lina jest przywiązana do tych ludzi?

Ta lina sprawia im ból. Musimy ją zabrać.

Paintbólowiec: No właśnie. Kurewsko cierpimy. (Jęczy).

Toby: Nie dotykajcie ich, bo...

Drugi paintbólowiec: Kurwa, rusz się, Sinojajcu, zanim ta stara suka...

Toby: Nie! Nie rozwiązujcie... Ci ludzie was...

Ale już było za późno. Kto mógł przypuszczać, że Derkaczanie potrafią tak szybko rozsupływać węzły?

Pochód

Dwaj mężczyźni zniknęli w ciemności, zostawiając poplątaną linę i porozrzucane węgle. Idiotka, pomyślała Toby. Powinnaś była być bezlitosna. Rozwalić im łby kamieniem, poderżnąć gardła twoim nożem, nawet nie marnować na nich kul. Postąpiłaś jak skończony półgłówek, dopuściłaś się karygodnego zaniechania.

Niewiele było widać - ogień przygasał - ale pospiesznie rozeznała się w sytuacji: przynajmniej wciąż miała swój karabin, dobre i to. Zniknął jednak miotacz paintbólowców. Ptasi mózdzek, powiedziała sobie. Masz tę swoją świętą Julianę i miłosierną dobroć wszechświata.

Amanda i Ren z płaczem tuliły się do siebie, kilka pięknych Derkaczanek niepewnie je głaskało. Jimmy przewrócił się na bok i rozmawiał z węglami. Im szybciej wyruszą z powrotem do glinianego domku MaddAddamowców, tym lepiej, bo tu, w ciemności, byli łatwym celem. Paintbólowcy mogli wrócić po resztę broni, a Toby zdążyła już się zorientować, że gdyby do tego doszło, na Derkaczan nie miałyby co liczyć. „Dlaczego mnie uderzyłeś? Derkacz się rozgniewa! Ześle grom!”. Gdyby powaliła paintbólowca, Derkaczanie rzuciliby się osłonić go przed strzałem dobijającym. „Och, zrobiłaś bum, człowiek upadł, jest w nim dziura, wypływa krew! Jest ranny, musimy mu pomóc!”.

Jednak nawet jeśli paintbólowcy na razie dadzą im spokój, w lesie były jeszcze inne drapieżniki. Kotrysie, wilksy, lwiagniory; i najgorsze z nich wszystkich olbrzymie zdziczałe świny. No i teraz, kiedy ludzie zniknęli z miast i dróg, któż mógł wiedzieć, ile czasu minie, zanim z północy nadciągną niedźwiedzie?

* * *

- Musimy iść - powiedziała Derkaczanom. Kilka głów odwróciło się, kilka par zielonych oczu patrzyło na nią. - Yeti musi pójść z nami.

Derkaczanie zaczęli mówić jeden przez drugiego. „Yeti musi zostać z

nami! Musimy wnieść Yeti z powrotem na jego drzewo". „To właśnie lubi, lubi drzewo". „Tak, tylko on może rozmawiać z Derkaczem". „Tylko on może mówić słowa Derkacza o Jaju". „O chaosie". „O Oryks, która stworzyła zwierzęta". „O tym, jak Derkacz uprzętnął chaos". „Dobry, miłościwy Derkacz". Zaczęli śpiewać.

- Musimy iść po lekarstwa - powiedziała Toby z rozpaczą.
- Inaczej Jimmy... inaczej Yeti może umrzeć. - Puste spojrzenia. Czy w ogóle rozumieli, co to śmierć?
- Co to jest „Jimmy"? - Zmarszczone zdziwieniem brwi.

Popełniła błąd: niewłaściwe imię.

- Jimmy to inne imię Yeti.

„Dlaczego?" „Dlaczego to jest inne imię?" „Co to znaczy 'Jimmy'?"
Wyraźnie interesowało ich to dużo bardziej od śmierci. „Czy to jest ta różowa skóra na Yeti?" „Ja też chcę mieć Jimmy!". To ostatnie wypowiedział mały chłopiec.

Jak wyjaśnić?

- Jimmy to imię. Yeti ma dwa imiona.
- Ma na imię Yeti-Jimmy?
- Tak - powiedziała Toby, bo od tej pory tak było.
- Yeti-Jimmy, Yeti-Jimmy - powtarzali między sobą.
- Dlaczego dwa? - spytał jeden, ale uwagę pozostałych już zaprzętnęło kolejne zdumiewające słowo.
- Co to są lekarstwa?
- Lekarstwa to coś, co ma pomóc Yeti-Jimmy'emu wydobrzcć -

zaryzykowała. Uśmiechy: spodobała im się ta myśl.

- To my też pójdziemy - zdecydował ten, który chyba im przewodził: wysoki brązowawożółty mężczyzna z orlim nosem. - Będziemy nieśli Yeti-Jimmy'ego.

Dwaj Derkaczanie bez wysiłku dźwignęli Jimmy'ego. Toby zaniepokoiły jego oczy: wąskie paski bieli błyszczące między powiekami.

- Frunę - powiedział, kiedy Derkaczanie wznieśli go w powietrze. Toby znalazła miotacz Jimmy'ego i dała go do niesienia Ren, uprzednio wcisnąwszy bezpiecznik; dziewczyna nie wiedziała, jak się tym posługiwać - bo i skąd miałyby wiedzieć? - ale broń na pewno później się przyda.

Sądziła, że do domku z gliny pójda z nimi tylko dwaj ochotnicy od Derkaczan, ale poszedł cały tłum, z dziećmi włącznie. Wszyscy chcieli być blisko Yeti. Mężczyźni nieśli go na zmianę; reszta trzymała pochodnie wysoko w górze i od czasu do czasu śpiewali swoimi niesamowitymi głosami dźwięczącymi jak płynne szkło.

Cztery kobiety szły z Ren i Amandą, poklepywały je, dotykały ich ramion i dłoni.

- Oryks się tobą zaopiekuje - powiedziały do Amandy.

- Niech te niebieskie kutasy więcej jej, kurwa, nie dotykają - rzuciła Ren do nich ze złością.

- Co to są „niebieskie kutasy”? - spytały ze zdumieniem. - Co to znaczy „kurwa nie dotykają”?

- Niech tego nie robią i tyle - powiedziała Ren. - Bo będą kłopoty!

- Oryks ją uszczęśliwi - odparły kobiety, choć jakby niepewnie. - Co to są „kłopoty”?

- Nic mi nie jest - powiedziała Amanda do Ren. - A tobie?
- Nie gadaj, że nic ci nie jest! Na razie zaprowadzimy cię do MaddAddamowców - zdecydowała Ren. - Mają łóżka i studnię z pompą, i w ogóle wszystko. Będzie cię można obmyć. Jimmy'ego też.
- Jimmy'ego? - zdziwiła się Amanda. - To jest Jimmy? Myślałam, że nie żyje, jak wszyscy.
- Też tak sądziłam. Ale sporo ludzi przeżyło. To znaczy trochę ludzi. Przeżyli Zeb i Rebecca, ty i ja, Toby i...
- Dokąd poszli ci dwaj? - spytała Amanda. - Paintbólownicy. Powinnam była rozwalić im łby, kiedy miałam okazję. - Zaśmiała się z lekka, ignorując ból, jak na starego plebszczura przystało.
- Daleko jeszcze? - zapytała.
- Mogą cię nieść - powiedziała Ren.
- Nie. Nie trzeba.

Ćmy trzepotały skrzydłami wokół pochodni, w górze liście drżały na lekkim nocnym wietrze. Jak długo szli? Toby miała wrażenie, że godzinami, ale czas rozmywa się w świetle księżyca. Kierowali się na zachód przez Park Dziedzictwa, za nimi przycichał szum fal. Choć przed sobą miała ścieżkę, nie była pewna, czy dobrze idzie, ale Derkaczanie zdawali się znać drogę.

Nasłuchiwała dźwięków wśród drzew - kroków, trzasku gałązki, stęknięcia - i trzymała się na końcu pochodu, z karabinem gotowym do strzału. Usłyszała tylko rechot i jedno, dwa ćwierknięcia: jakiś płaz, jakiś nocny ptak budzący się ze snu. Była świadoma ciemności za plecami: jej olbrzymi cień ciągnął się za nią, zlewał z głębszymi cieniami w tyle.

Mak

Wreszcie dotarli do enklawy z glinianym domkiem. Na podwórku paliła się pojedyncza żarówka; za ogrodzeniem Cro-zier, Manat i Bawół Mindorski stali na warcie z miotaczami. Na głowach mieli latarki czołowe na baterie, zdobycz ze sklepu rowerowego.

Ren wyrwała naprzód.

- To my! - zawołała. - Wszystko gra! Znaleźliśmy Amandę! Latarka na czole Croziera chodziła w górę i w dół, kiedy otwierał furtkę.
- Brawo! - krzyknął.
- Świetnie! Powiem reszcie! - ucieszyła się Bawół Mindorski. Pospieszyła do głównego domu.
- Croze! Udało się! - krzyknęła Ren. Zarzuciła mu ręce na szyję, upuszczając niesiony miotacz, on podniósł ją, zakręcił wkoło i pocałował.
- Hej, skąd wytrzasnęłaś miotacz? - spytał, stawiając ją na ziemi.

Rozpłakała się.

- Myślałam, że nas zabiją - powiedziała. - Oni, te dwa... Ale żałuj, że nie widziałeś Toby! Dała czadu! Miała swoją starą flintę, a potem stłukłyśmy ich kamieniami i związałyśmy, ale później...
- O rany. - Manat patrzył na Derkaczan, którzy wtłaczali się przez furtkę, rozmawiając między sobą. - To ten cyrk z kopuły WyRaju.
- Czyli to są oni, tak? - spytał Crozier. - Te obleśne nagusy, których stworzył Derkacz? Ci, co żyją na brzegu?
- Może nie nazywaj ich obleśnymi - powiedziała Ren. - Słyszają cię.
- Nie tylko Derkacz - stwierdził Manat. - Wszyscy pracowaliśmy nad

nimi w ramach Projektu WyRaj. Ja, Lis Płowy, Dziecioł Wielkodzioby...

- Po co z wami przyszli? - zapytał Crozier. - Czego chcą?

- Próbują tylko pomóc - odparła Toby. Nagle ogarnęło ją straszne zmęczenie; pragnęła jedynie dowlec się do swojego boksu i paść na łóżko. - Był tu ktoś jeszcze? - Zeb opuścił domek z gliny wtedy, kiedy ona, i wyruszył na poszukiwania Adama Pierwszego i ocalałych Bożych Ogrodników. Była ciekawa, czy wrócił, ale nie chciała się z tym afiszować: tęsknota to głupota, mawiali Ogrodnicy, a ona nigdy nie należała do tych, co noszą serce na dłoni.

- Tylko znów te świnie - powiedział Crozier. - Próbowały zrobić podkop pod ogrodzeniem. Poświeciliśmy na nie, to uciekły. Wiedzą, co to miotacz.

- Od czasu, kiedy przerobiliśmy kilka na bekon - dodał Manat. - Czy raczej frankenbekon, skoro są kompozytami. Nadal jakoś dziwnie mi je jeść. Mają ludzką korę nową.

- Mam nadzieję, że frankenludzie Derkacza nie wprowadzą się do nas - powiedziała blondynka, która wyszła z glinianego domku z Bawołem Mindorskim.

Toby rozpoznała ją ze swojego krótkiego pobytu w enklawie przed poszukiwaniami Amandy: Lis Płowy. Musiała być po trzydziestce, ale miała na sobie obszytą falbanką koszulę nocną dwunastolatki. Skąd też ją wzięła? - zastanawiała się Toby. Z jakiegoś splądrowanego sklepu Fatałaszki Seksolatki lub Wszystko Za Sto Dolarów?

- Musisz być wykończona - powiedziała Bawół Mindorski do Toby.

- Nie wiem, po coście ich przyprowadzili - stwierdziła Lis Płowy. - Za dużo ich. Nie wykarmimy wszystkich.

- Nie będziemy musieli - powiedział Manat. - Żywią się liśćmi, pamiętasz? Tak zaprojektował ich Derkacz. Żeby mogli się obejść bez

rolnictwa.

- Fakt - odparła Lis Płowy. - Ty pracowałeś nad tym modułem. Ja byłam od mózgow. Płaty czołowe, modyfikacje sposobu przetwarzania bodźców zmysłowych. Próbowałam coś zrobić, żeby nie byli tacy nudni, ale Derkacz nie chciał żadnej agresji ani nawet dowcipów. To chodzące ziemniaki.

- Są bardzo mili - powiedziała Ren. - Przynajmniej kobiety.

- Domyślam się, że samce chciały się z wami parzyć; taki ich urok. Tylko nie każcie mi z nimi rozmawiać - powiedziała Lis Płowy. - Wracam do łóżka. Dobranoc, bawcie się dobrze z tymi warzywami. - Ziewnęła, przeciągnęła się i niespiesznie poszła.

- Co ona taka zrzędliva? - spytał Manat. - I to od samego rana.

- Hormony, domyślam się - powiedział Crozier. - Obczailiście jej koszulę nocną?

- Za mała na nią - stwierdził Manat.

- Zauważyłeś - powiedział Crozier.

- Może ma inne powody, żeby zrzędzić - wtrąciła Ren. - Jak czasem każda kobieta.

- Przepraszam. - Crozier objął ją ramieniem.

Czterej Derkaczanie odłączyli się od grupy i, z rozkołysanymi niebieskimi penisami, ruszyli za Lisem Płowym. Znowu gdzieś nazrywali kwiatów; zaczęli śpiewać.

- Nie! - krzyknęła Toby ostro, jak na psy. - Zostańcie! Z Yeti-Jimmym! - Jak im wyklarować, że kompozycje kwiatowe, serenady i machanie penisami to za mało, by rzucać się na każdą młodą nie-Derkaczankę, która pachnie, jakby była chętna? Zniknęli już jednak za rogiem głównego

budynku.

Dwaj derkaczańscy tragarze opuścili Jimmy'ego na ziemię. Osunął się bezwładnie na ich kolana.

- Gdzie będzie Yeti-Jimmy? - spytali. - Gdzie możemy nad nim pomruczeć?
- Będzie musiał być sam - oznajmiła Toby. - Znajdziemy mu łóżko, a potem pójdę po lekarstwa.
- Pójdziemy z tobą - powiedzieli. - Będziemy mruczeć.
- Znów podnieśli Jimmy'ego na krzeselku ze splecionych rąk. Pozostali stłoczyli się dookoła.
- Nie wszyscy - powiedziała Toby. - Potrzeba mu ciszy.
- Może zająć pokój Croze'a - stwierdziła Ren. - Prawda, Croze?
- Kto to? - Crozier przypatrywał się Jimmy'emu, któremu głowa opadała na ramię, który ślinił się w brodę, spazmatycznie drapał się brudną ręką przez różowy materiał kombinezonu i mocno śmierdział. - Skąd wyście go przywlekli? Dlaczego jest ubrany na różowo? Wygląda, kurde, jak baletnica!
- To Jimmy - powiedziała Ren. - Pamiętasz, mówiłam ci o nim. Mój dawny chłopak.
- Ten, co cię puścił kantem? W liceum? Ten pedofil?
- Nie bądź taki - powiedziała Ren. - Właściwie nie byłam dzieckiem. Ma gorączkę.
- Nie odchodź, nie odchodź - wymamrotał Jimmy. - Wracaj na drzewo!
- Bronisz go? Po tym, jak cię rzucił?

- Rzucił nie rzucił, teraz jest poniekąd bohaterem - powiedziała Ren. - Pomógł uratować Amandę. Wiesz, sam mało nie zginął.
- Amanda - powiedział Croze. - Nie widzę jej. Gdzie jest?
- Tam. - Ren wskazała na grupę Derkaczanek, które otaczały Amandę, głąskały ją i łagodnie mruzczały. Rozstały się, żeby wpuścić Ren do swojego kręgu.
- To Amanda? - zdziwił się Crozier. - Ja cię! Wygląda jak...
- Nic nie mów - ucięła Ren, biorąc Amandę w ramiona. - Jutro będzie wyglądała lepiej. No, może za tydzień. - Amanda się rozpłakała.
- Odeszła - powiedział Jimmy. - Odfrunęła. Świniony.
- Kurde - rzucił Crozier. - Jakie to porąbane.
- Croze, wszystko jest porąbane - powiedziała Ren.
- Okej, okej, przepraszam. Zaraz schodzę z warty. Może...
- Chyba powinnam pomóc Tobie - przerwała mu Ren. - W tej chwili.
- Rozumiem, że dziś śpię na ziemi, skoro ten pojeb zajął mi łóżko - powiedział Croze do Manata.
- Weź wydoroślej - powiedziała Ren.

Tylko tego nam brakowało, pomyślała Toby. Sprzeczek młodych zakochanych.

Zanieśli Jimmy'ego do boksu Croze'a i położyli na łóżku. Toby poprosiła dwie Derkaczanki i Ren, żeby jej poświeciły latarkami, które przyniosła z kuchni. Później odszukała swoje materiały medyczne na półce, w miejscu, gdzie je zostawiła przed wyruszeniem na poszukiwania Amandy.

Zrobiła dla Jimmy'ego wszystko, co mogła: obmyła gąbką najbardziej zabrudzone miejsca, posmarowała miodem powierzchowne skaleczenia, wlała do ust eliksir z grzybów przeciw infekcji. Podała mu Mak i Wierzbę, łagodzące ból i zapewniające spokojny sen. Na ranę stopy zaaplikowała małe szare czerwie, by zjadły zakażoną tkankę. Sądząc ze smrodu, był na to najwyższy czas.

- Co to? - spytała jedna z dwóch Derkaczanek, ta wysoka.
- Dlaczego kładziesz te małe zwierzęta na Yeti-Jimmym? Czy one go zjadają?
- Łaskocze - powiedział Jimmy. Miał półotwarte oczy; Mak zaczynał działać.
- Przysłała je Oryks - odparła Toby. Chyba była to dobra odpowiedź, bo Derkaczanki się uśmiechnęły. - Nazywają się „czerwie” - ciągnęła. - Zjadają ból.
- Jak smakuje ból, o Toby?
- Czy my też powinniśmy zjadać ból?
- Gdybyśmy zjedli ból, to pomogłoby Yeti-Jimmy'emu.
- Ból bardzo śmierdzi. Czy jest smaczny?

Powinna wystrzegać się metafor.

- Ból smakuje tylko czerwiom - powiedziała. - Nie. Nie powinniście zjadać bólu.
- Wyzdrowieje? - spytała Ren. - Ma gangrenę?
- Mam nadzieję, że nie - powiedziała Toby. Dwie Derkaczanki położyły na nim dłonie i zaczęły mruzczyć.
- Spadam - wymamrotał Jimmy. - Motyl. Odeszła.

Ren pochyliła się nad nim, odgarnęła mu włosy z czoła.

- Śpij, Jimmy - powiedziała. - Kochamy cię.

DOMEK Z GLINY

Poranek

Toby śni, że jest w domu, w swoim małym łóżku. Jej pluszowy lew leży na poduszce obok niej razem z dużym kudłatym misiem, który gra melodyjkę. Na biurku jest jej stara świnka skarbonka, tablet, którego używa do odrabiania lekcji, mazaki i komórka w stokrotki. Z kuchni dolatuje wołanie matki; odpowiedź ojca; zapach smażących się jajek.

We śnie pojawiają się zwierzęta. Jedno to Świnia, tyle że sześć-cionoga; inne przypomina kota z mozaikowymi, jakby muszymi oczami. Jest też niedźwiedź, ale ma kopyta. Te zwierzęta nie są ani wrogie, ani przyjazne. Teraz miasto na zewnątrz płonie, czuć swąd; strach wypełnia powietrze. Było, nie ma, było, nie ma, mówi głos jak bijący dzwon. Zwierzęta jedno po drugim podchodzą do niej i zaczynają ją lizać ciepłymi szorstkimi językami.

Na progu jawy próbuje jeszcze pochwycić umykający sen: płonące miasto, posłańców przysłanych, żeby ją ostrzegli. Ze świat całkowicie się zmienił; że to, co znajome, dawno umarło; że wszystko, co kochała, zostało zmiecione z powierzchni ziemi.

Jak mawiał Adam Pierwszy: Los Sodomy nadciąga wielkimi krokami. Powściągnijcie żal. Omińcie słup soli. Nie oglądajcie się wstecz.

Kiedy się budzi, po nodze liże ją megarunos, rudy, o długich ludzkich włosach zaplecionych w warkoczyki przewiązane sznurkami: robota jakiegoś sentymentalnego MaddAddamowca. Zwierzak musiał się wydostać z zagrody, w której je trzymają.

- Rusz się - mówi do niego, odpychając go delikatnie nogą. On patrzy na nią z tępym wyrzutem - megarunosy nie są zbyt lotne - i wybiega ze stukotem kopyt. Przydałyby się tu drzwi, myśli Toby.

Światło poranka przesącza się przez kawałek materiału, który zawieszono na oknie w daremnej próbie powstrzymania komarów. Gdyby tylko znaleźli jakieś siatki przeciw owadom! Najpierw jednak

trzeba by zamontować w oknach framugi, bo domek z gliny w zamyśle nie był przeznaczony do zamieszkania: dawniej był to pawilon na zieleńcu, na którym organizowano jarmarki i imprezy, a zajęli go dlatego, że mogą się w nim czuć bezpiecznie. Stoi z dala od gruzów miast - wymarłych ulic, wybuchających zniechcąca pożarów instalacji elektrycznych, podziemnych rzek, które z braku sprawnych pomp zaczynają przybierać. Nie przygniecie go żaden walący się budynek, a że jest parterowy, sam z siebie raczej się nie zawali.

Wyplątuje się z wilgotnego prześcieradła i rozciąga ręce, szukając nadwerżonych i napiętych mięśni. Jest niemal zbyt zmęczona, żeby wstać. Zbyt zmęczona, zbyt zniechęcona, zbyt wściekła na siebie o wczorajsze zaniedbanie i klapę przy ognisku. Co powie Zebowi, kiedy on wróci? O ile wróci. Zeb jest zaradny, ale nie nieśmiertelny.

Może tylko mieć nadzieję, że powiodło mu się lepiej niż jej. Jest szansa, że część Bożych Ogrodników przetrwała, bo jeśli ktokolwiek wiedział, jak przetrzymać pandemię, która wybiła prawie całą ludzkość, to byli to właśnie oni. Przez wszystkie lata, które z nimi spędziła, najpierw jako gość, potem jako uczeń i wreszcie jako wysokiej rangi Ewa, przygotowywali się do katastrofy. Zbudowali ukryte miejsca schronienia i obficie je zaopatrzyli: w miód, suszone ziarna soi i grzyby, owoce dzikiej róży, kompot z dzikiego bzu, rozmaite przetwory. Nasiona do zasadzenia w nowym, oczyszczonym świecie, w którego nadejście wierzyli. Może przeczekali plagę w jednej z tych kryjówek - schronów zwanych Araratami, w których mieli nadzieję bezpiecznie przetrwać, jak to określali, Bezwodny Potop. Bóg obiecał po incydencie z Noem, że więcej nie zastosuje metody wodnej, ale biorąc pod uwagę zło rozpanoszone na świecie, coś zrobić musiał: tak rozumowali. Gdzie jednak Zeb będzie ich szukał tam, w ruinach miasta? Gdzie w ogóle zacząć?

Zwizualizuj sobie to, czego najmocniej pragniesz, mawiali Ogrodnicy, a to się ukáže; co nie zawsze działa, a przynajmniej nie tak, jak by człowiek tego sobie życzył. Ona najmocniej pragnie, by Zeb bezpiecznie wrócił, ale jeśli to się spełni, będzie musiała znów zmierzyć się z faktem, że jest dla niego terytorium neutralnym. Żadnych uczuć, żadnego seksapilu,

żadnych fajerwerków. Zaufana towarzyszka i podkomendna: solidna, jakże kompetentna Toby. I właściwie tyle.

Będzie musiała też przyznać się przed nim do swojej porażki. Zachowałam się jak kretynka. Był dzień świętej Juliany, nie mogłam ich zabić. Uciekli. Zabrali miotacz. Nie będzie się mazać, nie będzie płakać, nie będzie szukać usprawiedliwień. On niewiele powie, ale będzie nią zawiedziony.

Nie bądź dla siebie zbyt surowa, mawiał Adam Pierwszy, patrząc tymi swoimi cierpliwymi niebieskimi oczami. Wszyscy popełniamy błędy. Prawda, odpowiada mu ona teraz, ale niektóre błędy są bardziej zgubne od innych. Jeśli jeden z paintbólowców zabije Zeba, to będzie jej wina. Głupia, głupia, głupia. Ma ochotę bić głową w glinianą ścianę.

Pozostaje nadzieja, że paintbólowcy się wystraszyli i uciekli, gdzie oczy poniosą. Ale czy będą się trzymali z dala? Muszą zdobyć żywność. Może znajdą coś w opuszczonych domach i sklepach, jakieś jeszcze niespleśniałe ochłapy, których nie dopadły szczury ani szabrownicy. Może nawet upolują kilka zwierząt - szopunksa, zielonego królika, lwiagniora - kiedy jednak skończy im się amunicja, będą ją musieli uzupełnić.

A wiedzą, że jej zapasy są w glinianym domku MaddAddamowców. Prędzej czy później ulegną pokusie i zaatakują najsłabsze ogniwo: uprowadzą dziecko Derkaczan i zaproponują wymianę, tak jak wcześniej chcieli wymienić Amandę. Zażyczą sobie miotaczy i magazynków, z jedną, dwiema młodymi kobietami na dokładkę - Ren, Modraszkiem, Białą Turzycą albo Lisem Płowym - nie Amandą, ją już spisali na straty. Albo jakąś Derkaczanką w rui, czemu nie? To byłoby dla nich coś nowego, kobieta z jaskrawoniebieskim brzuchem; może Derkaczanie nie są zajmującymi rozmówcami, ale paintbólowcom to nie będzie wadziło. Zażądadają też karabinu Toby.

Derkaczanie uznaliby, że to tylko kwestia podzielenia się z potrzebującymi. „Chcą ten patyk? To ich uszczęśliwi? Dlaczego im go nie

dajesz, o Toby?”. Jak wytłumaczyć, że nie można dać mordercy morderczej broni? Derkaczanie nie zrozumieliby, co to morderstwo, bo są tacy ufni. Nie byliby w stanie sobie wyobrazić, że ktoś mógłby ich zgwałcić - „Co to jest ‘zgwałcić’?”. Albo poderżnąć im gardła - „O Toby, dlaczego?”. Albo wyciąć i zjeść ich nerki - „Przecież Oryks by na to nie pozwoliła!”.

Przypuśćmy, że Derkaczanie nie rozwiązali wtedy tych węzłów. Co zamierzała zrobić? Zabrać paintbólowców do domku z gliny i trzymać w uwięzi do czasu, kiedy wróciłby Zeb, wziął sprawy w swoje ręce i zrobił, co trzeba?

Zwołałyby dla formalności krótką naradę. Potem obaj zostaliby powieszani. A może darowałyby sobie preliminaria i z miejsca przywalił im łopata, mówiąc: „Po co brudzić sznur?”. Efekt końcowy byłby taki sam jak w sytuacji, gdyby załatwiła ich od razu przy ognisku.

Dość tego ponurego rachunku sumienia. Już rano. Koniec ze snuciem wizji zdecydowanych, godnych przywódcy działań Zeba, na które sama powinna się była zdobyć. Musi wstać, wyjść na zewnątrz, dołączyć do pozostałych. Naprawić to, co nie do naprawienia, uleczyć, co nieuleczalne, zastrzelić, co zastrzelenia wymaga. Pilnować gospodarstwa.

Śniadanie

Zwiesza nogi z łóżka, stawia stopy na podłodze, wstaje. Bola ją mięśnie, skórę ma jak papier ścierny, ale jak już człowiek się podniesie, nie jest tak źle.

Wybiera prześcieradło - lawendowe w niebieskie kropki - ze stosu na półce. Zestawy prześcieradeł są w każdym boksie, jak kiedyś ręczniki w hotelach. Jej różowy kombinezon ze spa NowyTy jest w strzępach i mogą być na nim zarazki tego, co złapał Jimmy: będzie go musiała spalić. Kiedy znajdzie trochę czasu, zszyje kilka prześcieradeł w okrycie z rękawami i kapturem, na razie jednak owija się tym lawendowym jak togą.

Prześcieradeł nie brakuje. MaddAddamowcy tyle ich zebrali w opuszczonych budynkach miasta, że na jakiś czas wystarczy, mają też zapas spodni i T-shirtów do ciężkiej pracy. W prześcieradłach jednak jest chłodniej, poza tym na każdego pasują, więc stały się codziennym strojem MaddAddamowców. Kiedy się zużyją, trzeba będzie wymyślić coś innego, to jednak dopiero za ładnych parę lat. Dziesięcioleci. O ile pożyją tak długo.

Przede wszystkim potrzebuje lusterka. Bez niego ciężko się zorientować, jak fatalnie wygląda. Może uda się dodać lusterka do następnej listy rzeczy do zebrania. I szczoteczki do zębów.

Zarzuca na ramię plecak ze środkami leczniczymi: czerwiami, miodem, eliksirem z grzybów, Wierzbą i Makiem. W pierwszej kolejności zajmie się Jimmym, jeśli przeżył noc. To jednak dopiero po śniadaniu: na czczo nie może stawić czoła światu, a tym bardziej ropiejącej stopie Jimmyego. Bierze karabin i wychodzi na oślepiające światło poranka.

Mimo wczesnej pory słońce już płonie białym blaskiem. Toby naciąga jeden koniec prześcieradła na głowę, żeby się osłonić, rozgląda się po podwórku przed glinianym domkiem. Rudy megarunos, wciąż na wolności, patrzy przez ogrodzenie na warzywa w ogrodzie kuchennym, przeżuwając kudzu. Kompani w zagrodzie meczą do niego: srebrne,

niebieskie, zielone, różowe megarunosy, brunetki i blondynki: pełna gama barw. „Megarunosy dadzą ci megawłosy!”, zachwalała reklama, kiedy rozpoczęto hodowlę tych stworzeń.

Dziś Toby nosi włosy przeszczepione z megarunosą; kiedyś nie była kruczoczarną brunetką. Może to dlatego megarunos wszedł do jej boksu i lizał ją po nodze. Przyciągnęła go nie sól, tylko słaby zapach lanoliny. Myślał, że są spokrewnieni.

Byle tylko nie pokrył mnie jeden z baranów, myśli. Będzie musiała uważać, żeby nie robić z siebie potulnej owieczki. Re-becca na pewno już wstała i krząta się w kuchni przy śniadaniu; może zabunkrowała w swoim składziku jakiś szampon o zapachu kwiatowym.

Ren i Modraszek siedzą w cieniu nieopodal ogrodu pogrążone w rozmowie. Jest z nimi Amanda, wpatrzona nieobecny wzrokiem w dal. Stan Ugoru, tak nazwaliby to Ogrodnicy. Stawiali tę diagnozę w odniesieniu do całego szeregu przypadłości, od depresji przez stres pourazowy po permanentny haj. Teoria była taka, że w stanie Ugoru człowiek zbiera i oszczędza siły, karmi ducha medytacją, zapuszcza niewidzialne korzonki we Wszechświat. Toby ma szczerą nadzieję, że tak jest też z Amandą. Była tak żywym dzieckiem na jej lekcjach w szkole Ogrodników w Ogrodzie na Dachy Edencliff. Kiedy to było? Dziesięć, piętnaście lat temu? Zadziwiające, jak szybko przeszłość staje się idylliczna.

Dzięcioł Wielkodzioby, Manat i Bawół Mindorski umacniają ogrodzenie. Za dnia wydaje się liche, nieszczelne. Na szkielecie ze starych zdobnych żelaznych słupków nałożyli najprzeróżniejsze materiały: kawałki drucianej siatki złączone taśmą klejącą, mniejsze i większe drągi, rząd zaostrzonych kijów zatkniętych w ziemię i skierowanych szpicami na zewnątrz. Manat dokłada więcej kijów; Dzięcioł Wielkodzioby i Bawół Mindorski są z łopatami za ogrodzeniem. Wygląda na to, że zasypują dół.

- Dzień dobry - mówi Toby.
- Zobacz - mówi Manat. - Coś próbowało się podkopać. W nocy.

Wartownicy nie widzieli, odpędzali świnie od frontu.

- Jakież ślady? - pyta Toby.

- Sądzymy, że to też mogły być te świnie - mówi Bawół Mindorski. - Sprytnie... odwracają naszą uwagę, a potem podstępnie się podkopują. W każdym razie nie dostały się do środka.

Za ogrodzeniem grupa Derkaczan stoi w półkolu, w równych odstępach, twarzami na zewnątrz, i razem sikają. Jest z nimi mężczyzna w prześcieradle w paski. Wygląda jak Crozier - to faktycznie jest Crozier - i uczestniczy w grupowym sikaniu.

Co będzie potem? Crozier zbrata się z tubylcami? Zrzuci ubranie, zacznie śpiewać a cappella, wyhoduje wielkiego penisa, który w porze zalotów robi się niebieski? Gdyby dwa pierwsze elementy były ceną uzyskania trzeciego, bez wahania poszedłby na taki układ. Wkrótce tego samego zapragną wszyscy mężczyźni wśród MaddAddamowców. A kiedy to się zacznie, ile czasu minie, zanim wybuchną rywalizacje i wojny, najpierw na maczugi, kije i kamienie, a później...

Weź się w garść, Toby, mówi sobie. Nie martw się na zapas. Naprawdę, naprawdę, naprawdę potrzeba ci kawy. Wszystko jedno jakiej. Z korzeni mniszka lekarskiego. Pychakawy. Z czarnego błota, jeśli innej nie ma.

A gdyby była gorzała, jej też by się napiła.

Obok altany służącej za kuchnię postawiono długi stół jadalny. Nad nim rozpięty jest baldachim z płótna żeglarskiego, zabrany z jakiegoś opuszczonego ogródka. Tarasy domów na pewno popadły w ruinę, baseny są popękane i puste albo zarosły glonami, przez powybijane okna kuchenne badawczo wsuwają się zielone pyszczki pnączy. W kątach pokojów powstały gniazda z pogryzionych dywanów, w których wiercą się i popiskują łyse nowo narodzone szczury. Termyty drążą tunele w krokwiach. Na klatkach schodowych nietoperze polują na ćmy.

- Kiedy korzenie drzew wejdą głęboko w ziemię - lubił mawiać Adam

Pierwszy na zebraniach wewnętrznego kręgu Ogrodników - kiedy się mocno wczepią, żadna wzniesiona ludzką ręką konstrukcja nie ma szans. W rok rozkruszą asfaltową drogę. Zatkają przepusty odpływowe, a kiedy wysiądą systemy pomp, fundamenty budynków zostaną podmyte i żadna siła na Ziemi nie powstrzyma takiej wody, potem zaś, gdy elektrownie staną w ogniu, gdy w ich instalacjach zaczną się zwarcia, że nie wspomnę o tym, co się będzie działo z reaktorami...

- To z porannego tostu będą nici - dodał raz Zeb do tej litanii. Właśnie wrócił z jednej ze swoich tajemniczych misji kurierskich; był mocno poturbowany, jego czarna kurtka ze skaju była rozdarta. Zeb uczył młodych Ogrodników między innymi sztuki ograniczania rozlewu krwi w mieście, sam jednak nie zawsze stosował ją w praktyce. - Tak, tak, wiemy, jesteśmy zgubieni. Jest szansa na kawałek placka z owoców dzikiego bzu? Umieram z głodu. - Zeb nie zawsze okazywał Adamowi Pierwszemu należną mu cześć.

Rozważania o tym, jak wyglądał będzie świat, kiedy przestaną nim władać ludzie, były - dawno temu, przez krótki okres - obrzydliwą formą popularnej rozrywki. Były nawet programy telewizji internetowej na ten temat: wygenerowane komputerowo pejzaże z jeleniami pasącymi się na Times Square, wygrażanie palcem i wyrzuty „Mamy za swoje”, wykłady przejętych ekspertów o wszelakich błędach rodzaju ludzkiego.

Z czasem jednak ludziom to zbrzydło, sądząc po notowaniach oglądalności, która najpierw wystrzeliła w górę, by wkrótce runąć na łeb na szyję - widzowie głosowali kciukami, przełączali zapowiedzi rychłej zagłady na transmitowane na żywo konkursy łykania hot dogów, jeśli lubili oddawać się nostalgii, komedie o rezolutnych psiapsiółkach, jeśli lubili pluszowe zwierzaki, nielegalne walki MMA, jeśli kręciło ich odgryzanie uszu, samobójstwa na wizji na SłodkichSnów, pornografię dziecięcą na Seksolatkach lub egzekucje na Dekapitacji, jeśli byli zupełnie zblazowani. Wszystko to znacznie strawniejsze od prawdy.

- Wiesz, że zawsze poszukiwałem prawdy - powiedział tamtego razu Adam Pierwszy pełnym wyrzutu tonem, którym czasem zwracał się do

Zeba. I tylko do niego.

- Tak, jasne, wiem - odparł Zeb. - Szukajcie, a kiedyś w końcu znajdziecie. I ty znalazłeś. Masz rację, nie kwestionuję tego. Przepraszam. Tak to jest, jeśli człowiek ma głowę nabitą myślami. Wyrywają się, kiedy otwiera usta. - A jego ton mówił: „Taki już jestem. Wiesz o tym. Musisz to przeboleć”.

* * *

Gdyby tylko był tu Zeb, myśli Toby. Widzi go w przelotnej wizji, znikającego pod kaskadą odłamków szkła i brył cementu z kolejnego walącego się spalonego wieżowca, spadającego ze skowyt w rozwierającą się pod nogami otchłań, do rwącej podziemnej rzeki nieuregulowane już systemem pomp i kanałów, nucącego beztrąsko, gdy za jego plecami pojawia się ręka, dłoń, twarz, kamień, nóż...

Ale za wczesna pora, żeby tak myśleć. Poza tym nic to nie daje. Próbuje więc przestać.

Wokół stołu jest kolekcja krzeseł, każde z innej parafii: kuchenne, plastikowe, tapicerowane, obrotowe. Na obrusie - w pąki róży i drozdy - są talerze i szklanki, niektóre dopiero co używane, a także filiżanki i sztućce. To jak surrealistyczny obraz z dwudziestego wieku: każdy przedmiot jest mocno zwarty, wyrazisty, o wyostrzonych konturach, tyle że żadnego nie powinno tu być.

Chociaż dlaczego nie? - myśli Toby. Dlaczego miałyby ich tu nie być? Świat materialny nie zginął razem z ludźmi. Dawniej było za dużo ludzi i za mało rzeczy; teraz jest na odwrót. Jednak przedmioty fizyczne zrzuciły krępujące je więzy - Mój, Twój, Jego, Jej - i samodzielnie wyruszyły w wędrówkę. Jest jak po tych zamieszkach, które pokazywały filmy dokumentalne z początku dwudziestego pierwszego wieku, polegających na tym, że dzieciaki skrzykiwały się przez telefon, po czym wybijały witryny, wpadały do sklepów i chwytaly co popadnie; wszystko, co mogłeś unieść, było twoje.

I tak jest teraz, myśli. Zawłaszczyliśmy te krzesła, te filiżanki i szklanki, przytaszczyliśmy je tutaj. Dziś, u kresu historii, żyjemy w luksusie, przynajmniej pod względem posiadanych dóbr i ruchomości.

Talerze wyglądają na zabytkowe, a na pewno drogie. W tej chwili jednak mogłaby wytłuc cały zestaw i nie zrobiłoby to wrażenia na nikim oprócz niej samej.

Rebecca wyłania się z kuchni z półmiskiem.

- Kochana! - mówi. - Wróciłaś! I mówili, że znalazłaś też Amandę! Pięć gwiazdek!

- Nie jest w najlepszym stanie - mówi Toby. - Ci dwaj paintbólowcy omal jej nie zabili, a potem, ostatniej nocy... powiedziałabym, że jest w szoku. W stanie Ugoru. - Rebecca, jako stary Ogrodnik, zrozumie, co to Ugór.

- Jest twarda - stwierdza Rebecca. - Dojdzie do siebie.

- Może - mówi Toby. - Miejmy nadzieję, że nie jest chora i nie doznała wewnętrznych obrażeń. Pewnie słyszałaś, że paintbólowcy uciekli. W dodatku wzięli miotacz. Nawaliłam na całej linii.

- Czasem wygrywasz, czasem przegrywasz - mówi Rebecca.

- Pojęcia nie masz, jak się cieszę, że żyjesz. Myślałam, że te dwa śmiecie niechybnie zabiją i ciebie, i Ren. Byłam chora z niepokoju. Ale oto jesteś, choć przyznam, że wyglądasz fatalnie.

- Dzięki - mówi Toby. - Ładna porcelana.

- Wcinaj, skarbie. Świnia w trzech postaciach: bekon, szynka i kotlety. - Szybko wyrzekli się Ślubów Wegańskich Ogrodników, myśli Toby. Nawet Żyrzynka Rebecca bez zahamowań wsuwa wieprzowinę. - Korzeń łopianu. Liście mniszka. Psie żeberka na przystawkę. Jeśli nie przystopuję z białkiem zwierzęcym, jeszcze bardziej się roztyję.

- Nie jesteś gruba - zapewnia Toby. Chociaż Rebecca zawsze była przy kości, nawet kiedy jeszcze razem handlowały mięchem w SekretBurgerze, zanim zostały Ogrodnikami.
- Ja ciebie też kocham - mówi Rebecca. - Niech ci będzie, nie jestem gruba. Te szklanki są z prawdziwego kryształu, mam z tego frajdę. Kiedyś takie rzeczy kosztowały fortunę. Pamiętasz, jak było u Ogrodników? Próżność zabija, powtarzał Adam Pierwszy, więc ceramika albo śmierć. Choć mogę sobie wyobrazić, że przyjdzie dzień, kiedy naczynia staną się przeżytkiem i będziemy po prostu jeść rękami.
- Nawet w najczystszy i najbardziej bogobojnym życiu jest miejsce na prostą elegancję - mówi Toby. - Tak Adam Pierwszy też mawiał.
- Taa, ale czasem tym miejscem jest kosz na śmieci - stwierdza Rebecca. - Mam całą stertę lnianych serwetek stołowych, a nie mogę ich wyprasować, bo nie ma żelazka, i strasznie mnie to wkurza! - Siada, nakłada widelcem na talerz kawałek mięsa.
- Ja też się cieszę, że żyjesz - mówi Toby. - Jest kawa?
- Tak, jeśli nie przeszkadzają ci spalone gałązki, korzonki i inne takie. Nie zawiera kofeiny, ale liczę, że zadziała efekt placebo. Widzę, że w nocy przyprowadziłaś ze sobą cały tłum. Tych... jak ich właściwie nazywać?
- To są ludzie - mówi Toby. Przynajmniej tak sędzę, dodaje w duchu. - Derkaczanie. Tak ich nazywają MaddAddamowcy, a ci chyba się znają na rzeczy.
- Na pewno nie są tacy jak my - zauważa Rebecca. - Ani trochę. Ten gnojek Derkacz. To się nazywa napaskudzić w piaskownicy.
- Chcą być blisko Jimmy'ego - mówi Toby. - Nieśli go przez całą drogę.
- Tak, akurat o tym słyszałam - mówi Rebecca. - Bawół Mindorski mnie oświeciła. Powinni wrócić tam... skąd przyszli, gdziekolwiek to jest.

- Mówią, że muszą nad nim mrużyć - wyjaśnia Toby. - Nad Jimmym.
- Słucham? Co nad nim robić? - Rebecca lekko prychnęła śmiechem. - To jeden z ich dziwacznych obyczajów seksualnych?

Toby wzdycha.

- Trudno to wyjaśnić - mówi. - Trzeba to samemu zobaczyć.

Hamak

Po śniadaniu Toby idzie spojrzeć na Jimmy'ego. Wisi między dwoma drzewami w prowizorycznym hamaku z majstrowanym z taśmy klejącej i liny. Nogi ma przykryte dziecięcą kołdrą we wzór, który tworzą rysunki kotów grających na skrzypcach, roześmianych piesków, talerzy z twarzami trzymających za rękę radośnie wyszczerzone łyżki i krów z dzwonkami na szyjach przeskakujących księżycy pożądliwie wgapione w ich wymiona. W sam raz dla kogoś, kto ma halucynacje, myśli Toby.

Trzej Derkaczanie - dwie kobiety i mężczyzna - siedzą obok hamaka Jimmy'ego na krzesłach, które kiedyś mogły być w zestawie ze stołem jadalnym: ciemne drewno, staromodne oparcia w kształcie liry, gładkie jak atlas obicia w żółte i brązowe paski. Derkaczanie nie pasują do tych krzeseł, ale wyglądają na zadowolonych z siebie, jakby pozwolili sobie na odrobinę szaleństwa. Ich ciała lśnią jak obszyty złotą nicią spandeks; wokół głów, niczym żywe aureole, trzepoczą skrzydłami wielkie różowe ćmy kudzu.

Są nadnaturalnie piękni, myśli Toby. Nie to co my. W ich oczach musimy wyglądać jak podludzie, z naszą obwisłą dodatkową skórą, starzejącymi się twarzami, powykrzywianymi ciałami, zbyt chudymi, zbyt grubymi, zbyt włochatymi, zbyt sękatymi. Doskonałość ma swoją cenę, ale płacą ją niedoskonali.

Każdy z Derkaczan trzyma dłoń na Jimmym. Mruczą. Szmer staje się głośniejszy, kiedy Toby do nich podchodzi.

- Witaj, o Toby - mówi wyższa z dwóch kobiet. Skąd znają jej imię? Zeszłej nocy musieli słuchać uważniej, niż jej się wydawało. I jak powinna odpowiedzieć? Jakie oni noszą imiona i czy wypada o to pytać?
- Witajcie - mówi. - Jak się dziś czuje Yeti-Jimmy?
- Jest coraz silniejszy, o Toby - odpowiada niższa kobieta. Pozostali się uśmiechają.

Jimmy wygląda nieco lepiej. Jest bardziej zaróżowiony, chłodniejszy i mocno śpi. Doprowadzili go do porządku: ułożyli mu włosy, wyczyścili brodę. Na głowie ma sfatygowaną czerwoną czapkę baseballową, na nadgarstku okrągły zegarek z pustą tarczą. Okulary przeciwsłoneczne z jednym szkłem tkwią krzywo na jego nosie.

- Może byłoby mu wygodniej bez tego wszystkiego - mówi Toby, wskazując na czapkę i ciemne okulary.
- On musi mieć te rzeczy - stwierdza mężczyzna. - To są rzeczy Yeti-Jimmy'ego.
- Potrzebuje ich - dodaje niższa kobieta. - Tak mówi Derkacz. Zobacz, przez to słucha Derkacza. - Podnosi rękę z zegarkiem.
- A przez to widzi Derkacza. - Mężczyzna wskazuje na okulary przeciwsłoneczne. - On jeden. - Toby chciałaby jeszcze wiedzieć, do czego służy czapka, ale powstrzymuje się.
- Dlaczego wynieśliście go na zewnątrz? - pyta.
- Nie podobało mu się w tym ciemnym miejscu - stwierdza mężczyzna.
- Tam. - Kiwa głową w stronę domku.
- Tutaj Yeti-Jimmy'emu łatwiej wędrować - dodaje wyższa kobieta.
- Wędrować? - dziwi się Toby. - We śnie? - Czyżby opisywali sen, który w ich mniemaniu śni się Jimmy'emu?
- Tak - mówi mężczyzna. - Wędruje do nas.
- Biegnie, czasem szybko, czasem wolno. Czasem idzie, bo jest zmęczony. Czasem gonią go Świniowi, bo nie rozumieją. Czasem wchodzi na drzewo - dodaje niższa kobieta.
- Kiedy tu przyjdzie, obudzi się - mówi mężczyzna.
- Gdzie był, kiedy wyruszył w tę wędrowkę? - pyta Toby ostrożnie. Nie

chce okazać niedowierzania.

- Był w Jaju - mówi wyższa kobieta. - Tam, gdzie byliśmy na początku. Był z Derkaczem i z Oryks. Zstąpili z nieba, żeby spotkać się z nim w Jaju i opowiedzieć mu więcej historii, które nam przekaże.

- Stamtąd pochodzą opowieści - kontynuuje mężczyzna.

- Ale teraz w Jaju jest za ciemno. Derkacz i Oryks mogą tam być, ale Yeti-Jimmy już nie. - Wszyscy troje uśmiechają się ciepło do Toby, jakby w przekonaniu, że zrozumiała każde ich słowo.

- Mogę obejrzeć ranną stopę Yeti-Jimmy'ego? - pyta grzecznie. Nie sprzeciwiają się, chociaż nie zabierają z niego rąk i dalej mruczą.

Toby ogląda czerwie pod szmatką, którą zeszłej nocy obwiązała stopę Jimmy'ego. Pracownicy usuwają martwą tkankę; opuchlizna schodzi, cieknie mniej ropy. Ta partia czerwi wkrótce się przepoczwarzy: jutro trzeba będzie zdobyć trochę gnijącego mięsa, zostawić je na słońcu, zwabić muchy, żeby pojawiły się nowe czerwie.

- Yeti-Jimmy jest coraz bliżej - mówi niska kobieta. - Wkrótce znowu będzie nam opowiadał historie o Derkaczu, tak jak to robił, kiedy mieszkał na swoim drzewie. Ale dzisiaj to ty musisz nam je opowiedzieć.

- Ja? - dziwi się Toby. - Przecież nie znam żadnych historii o Derkaczu!

- Poznasz je - oświadcza mężczyzna. - Tak się stanie. Bowiem Yeti-Jimmy jest pomocnikiem Derkacza, a ty jesteś pomocnikiem Yeti-Jimmy'ego. Dlatego.

- Musisz nałożyć tę czerwoną rzecz - mówi niższa kobieta.

- To się nazywa „czapka”.

- Tak, czapka - dodaje wyższa kobieta. - Wieczorem, w godzinie ómy nałożysz czapkę Yeti-Jimmy'ego na głowę i posłuchasz tej błyszczącej

okrągłej rzeczy, którą nosi się na ręku.

- Tak. - Kiwa głową druga kobieta. - A wtedy z twoich ust wyjdą słowa Derkacza. Tak zrobiłby Yeti-Jimmy.

- Widzisz? - Mężczyzna pokazuje palcem litery na czapce: Red Sox. - Stworzył to Derkacz. On ci pomoże. Oryks też pomoże, jeśli w opowieści będzie jakieś zwierzę.

- Przyniesiemy rybę, kiedy zrobi się ciemno. Yeti-Jimmy zawsze zjada rybę, bo tak każe Derkacz. Wtedy nałożysz czapkę, posłuchasz tej rzeczy Derkacza i opowiesz historie o Derkaczu.

- Tak, o tym, jak Derkacz stworzył nas w Jaju i uprzątnął chaos złych ludzi. Jak opuściliśmy Jajo i przyszliśmy tutaj z Yeti--Jimmym, bo tu było więcej liści dla nas do jedzenia.

- Zjesz rybę, a potem będziesz opowiadała historie o Derkaczu jak Yeti-Jimmy - mówi niższa kobieta. Patrzą na nią swoimi niezwykłymi zielonymi oczami i uśmiechają się krzepiąco. Wydają się absolutnie pewni, że Toby sobie poradzi.

Jakie mam wyjście? - myśli Toby. Nie mogę odmówić. Jeszcze poczuliby się zawiedzeni i wrócili na plażę, gdzie mogliby ich dopaść paintbólowcy. Byliby łatwą zwierzyną, zwłaszcza dzieci. Jak mogłabym do tego dopuścić?

- Zgoda - mówi. - Przyjdę wieczorem. Nałożę czapkę Jimmy'ego, to znaczy Yeti-Jimmy'ego, i opowiem wam historie o Derkaczu.

-I posłuchasz błyszczącej rzeczy - mówi mężczyzna -I zjesz rybę. - Widać to cały rytuał.

- Tak, to też - odpowiada Toby.

Cholera, myśli. Mam nadzieję, że ugotują tę rybę.

Opowieść

Zbierając naczynia po śniadaniu, Rebecca miała wrażenie, że widziała posepną twarz o ostrych rysach patrzącą na nią spod drzew. To chyba był fałszywy alarm, myśli Toby: paintbólowcy się nie zjawili, a co ważniejsze, w Rebecce nie zrobiły się dziury od miotacza i żadne dziecko Derkaczan nie zostało z krzykiem wciągnięte w zarośla. Mimo to wszyscy są spięci.

Toby prosi matki od Derkaczan, żeby przeniosły się bliżej domku z gliny. Kiedy robią zdziwione miny, mówi im, że tak chce Oryks.

Dzień ciągnie się bez incydentów. Wędrowcy nie wracają: nie ma Shackletona, Czarnego Nosorożca ani Katuru. Zeba też nie. Toby spędza resztę poranka w ogrodzie kuchennym, kopie i piele: bezmyślne czynności, które uspokajają ją i wypełniają czas. Tu i ówdzie kiełkuje ciecierzycza, z ziemi sterczą liście szpinaku i pierzaste czubki marchewek. Jej karabin stoi niedaleko oparty o ścianę.

Crozier i Koliberek Hawański wyprowadzają megarunosy z zagrody na wypas. Obaj mają miotacze: w razie starcia z paintbólowcami przewaga będzie po ich stronie - dwie sztuki broni przeciwko jednej - chyba że dadzą się zaskoczyć. Toby ma nadzieję, że będą pamiętali, by w pobliżu drzew sprawdzić, czy nikt się nie czai na gałęziach: na pewno tak właśnie paintbólowcy dorwali Amandę i Ren - atakując z góry.

Dlaczego wojna tak bardzo przypomina psikus? - myśli. Chowanie się po krzakach i nagłe wyskakiwanie. Między okrzykiem, który ma wystraszyć, a hukem wystrzału nie ma praktycznie żadnej różnicy poza ilością krwi. Przegrany przewraca się z krzykiem, robi głupią minę, rozdziawia usta, oczy rozjeżdżają mu się na boki. Ci dawni biblijni królowie, stawiający nogi na podbitych karkach, wieszający konkurentów do tronu na drzewach, napawający się widokiem stosów głów - był w tym wszystkim jakiś element dziecinnej satysfakcji.

Może to właśnie powodowało Derkaczem, myśli Toby. Może chciał z tym

skończyć. Wyciąć z nas tę część: radośnie wyszczerzoną, żywiolową podłość. Zacząć nas od nowa.

Je lunch wcześniej, w samotności, bo w zwykłej porze lunchu ma stanąć na warcie ze swoim karabinem. Jest zimna wieprzowina i korzeń łopianu, a na deser ciastko Oreo z opakowania znalezione w aptece: rzadki, starannie racjonowany smakołyk. Rozkłada ciastko i wylizuje słodkie białe nadzienie, po czym zjada dwie czekoladowe połówki: wstydlivy luksus.

Przed popołudniową burzą pięcioro Derkaczan wnosi do glinianego domku Jimmy'ego razem z jego radosną dziecięcą kołdrą. Toby siedzi z nim podczas deszczu, ogląda jego ranę, podnosi mu głowę, żeby napoić go eliksirem z grzybów, choć jeszcze nie odzyskał przytomności. Zapasy eliksiru się kończą, ale nie wie, gdzie znaleźć odpowiednie grzyby do przygotowania nowej porcji.

Został z nimi jeden Derkaczanin, żeby mrużyć: reszta poszła. Nie lubią domów, wolą moknąć, niż gnieździć się w ciasnym pomieszczeniu. Kiedy przestaje padać, zjawiają się czterej inni Derkaczanie, żeby wynieść Jimmy'ego z powrotem na zewnątrz.

Chmury się rozstępują, wychodzi słońce. Crozier i Koliberek Hawański wracają ze stadem megarunosów. Nic się nie działo, mówią; przynajmniej nic uchwytne. Megarunosy były nerwowe, trudno było utrzymać je w kupie. A wrony strasznie hałasowały, ale o czym to właściwie miałyby świadczyć? Wrony zawsze z jakiegoś powodu hałasują.

- W jakim sensie nerwowe? - pyta Toby. - Jak hałasowały?

Ale nie potrafią powiedzieć nic bardziej konkretnego.

Bawół Mindorski, w dżinsowej koszuli narzuconej na zgarbione ramiona i płóciennym kapeluszu słonecznym, próbuje wydoić jedyne megarunosy, który daje mleko. Marnie jej to idzie: jest dużo wierzgania i meczenia, aż w końcu wiadro się przewraca, a mleko rozlewa.

Crozier pokazuje Derkaczanom, jak obsługiwać pompę ręczną: kiedyś była to dekoracja w stylu retro, teraz jednak jest źródłem ich wody pitnej. Bóg wie, co ta woda zawiera, myśli Toby: czerpią ją z gruntu, mógł się do niej dostać każdy trujący wyciek w obrębie wielu kilometrów. Będzie namawiała wszystkich, żeby korzystali z deszczówki, przynajmniej do picia; chociaż skoro do stratosfery trafiają zanieczyszczenia z odległych pożarów, a może nawet katastrof nuklearnych, z nią też różnie może być.

Derkaczanie są zachwyceni pompą, dzieci przydreptują i domagają się, żeby wypompować na nie wodę. Potem Crozier demonstruje jedyną baterię słoneczną, którą MaddAddamowcom udało się doprowadzić do stanu używalności; podłączyli do niej dwie żarówki, jedną w kuchni, drugą na podwórku. Próbuje tłumaczyć, dlaczego światła się zapalają, Derkaczanie są jednak zdezorientowani. Dla nich jest sprawą oczywistą, że żarówki są jak różoświatliki albo zielone króliki, które wychodzą o zmierzchu: świecą, bo tak stworzyła je Oryks.

Kolacja odbywa się przy długim stole. Biała Turzyca w fartuchu w drozdy i Rebecca w fioletoworóżowym ręczniku kąpielowym przepasanym żółtą aksamitną wstążką wydzielają jedzenie z garnków, po czym siadają. Ren i Modraszek są na drugim końcu i namawiają Amandę, żeby spróbowała coś zjeść. MaddAddamowcy, którzy nie pełnią warty, odrywają się od obowiązków i przychodzą jeden po drugim.

-Witaj, Chruścielaku Karłowaty - mówi Dzięcioł Wielkodzioby. Nazywanie Toby jej starym MaddAddamowym nickiem sprawia mu przyjemność. Jego wątlą sylwetkę okrywa prześcieradło usiane tulipanami, na głowie ma poduszkę od kompletu przerobioną na coś w rodzaju turbanu. Kanciasty nos sterczy z jego skórzastej twarzy jak dziób. Dziwne, myśli Toby, że MaddAddamowcy wybrali sobie pseudonimy w pewnym stopniu odzwierciedlające ich własne cechy.

- Co z nim? - pyta Manat. Ma na głowie słomiany kapelusz z szerokim rondem, który upodabnia go do pulchnego plantatora. - Naszym cennym pacjentem.

- Jeszcze żyje - odpowiada Toby. - Ale przytomnym bym go nie nazwała.
- A kiedykolwiek był przytomny? - mówi Dziecioł Wielkodzioby. - Nazywaliśmy go Głuptakiem. Taki miał nick w początkach MaddAddama.
- Był przydupasem Derkacza w Projekcie WyRaj - dodaje Bawół Mindorski. - Kiedy się ocknie, będzie nam musiał sporo powiedzieć. Zanim stratuję go na śmierć. - Prycha na znak, że to żart.
- Głuptak z imienia, Głuptak z natury - podsumowuje Manat. - Myślę, że nie miał o niczym zielonego pojęcia. Był zwykłym frajerem.
- Chociaż trzeba uczciwie przyznać, że nie miał szans zrobić na nas dobrego wrażenia — stwierdza Dziecioł Wielkodzioby. - Uczestniczył w Projekcie z własnego wyboru.

W przeciwieństwie do nas. - Wbija widelec w kawał mięsa.

- Droga pani - mówi do Białej Turzycy - mogłabyś z łaski swojej zidentyfikować tę substancję?
- Prawdę mówiąc - odpowiada Turzycza ze swoim brytyjskim akcentem - prawdę mówiąc, nie.
- My byliśmy zniewolonymi umysłami - kontynuuje Manat, nabijając na widelec następny kotlet. - Pojmanymi mózgowcami obsługującymi dla Derkacza maszyny ewolucji. Zachłysnął się władzą, myślał, że udoskonali ludzkość. Nie żebym odmawiał mu geniuszu.
- Nie był w tym sam - wtrąca smukły Koliberek Hawański.
- To był duży biznes wspierany przez BioKorporacje. Ludzie płacili niebotyczne sumy za kompozyty genetyczne. Modelowali własne dzieci, zamawiali DNA jak dodatki do pizzy.

Nosi dwuogniskowe okulary. Kiedy skończą się produkty optyczne, myśli Toby, wrócimy do epoki kamienia łupanego.

- Tyle że Derkacz był w tym lepszy - mówi Manat. - Wyposażył tę czeredę w dodatki, jakie innym nawet nie przyszły do głowy. Wbudowany odstraszacz owadów: genialne.
- I kobiety, które nie potrafią powiedzieć „nie”. Ta hormonalna pigmentacja... nie sposób tego nie podziwiać - dodaje Koliberek Hawański.
- To było intrygujące wyzwanie jako zestaw problemów do rozwiązania w mięsnym komputerze - mówi Dziecioł Wielkodzioby, zwracając się do Toby. - Pozwól, że objaśnię. - Przemawia jak na seminarium magisterskim, krojąc zieleninę na małe równe kwadraty. - Na przykład żołądek mięśniowy królika i zapożyczone od pawianów pewne chromatyczne cechy układu rozrodczego...
- To, że robią się niebiescy - uczynnie dopowiada Koliberek Hawański.
- Ja zajmowałam się chemicznym składem moczu - wtrąca Bawół Mindorski. - Właściwościami odstraszającymi drapieżniki. Trudno to było przetestować w WyRaju; nie mieliśmy drapieżników.
- Ja pracowałem nad krtanią; ileż z tym było roboty - mówi Manat.
- Szkoda, że nie wprogramowałeś wyłącznika śpiewu - stwierdza Dziecioł Wielkodzioby. - Działa na nerwy.
- Ten śpiew to nie był mój pomysł - mówi Manat chmurnie.
- Gdybyśmy go wykasowali, zmieniliby się w cukinie.
- Mam pytanie - wtrąca Toby.

Odwracają się do niej, jakby zaskoczeni, że przemówiła.

- Tak, droga pani? - pyta Dziecioł Wielkodzioby.
- Chcą, żebym opowiedziała im historię - mówi Toby.

- O tym, jak stworzył ich Derkacz. Za kogo go jednak uważają i jak w ich przekonaniu zostali stworzeni? Co im o tym powiedziano w kopule WyRaju?
- Mają Derkacza za kogoś w rodzaju boga - mówi Crozier. - Ale nie wiedzą, jak wygląda.
- Skąd to wiesz? - pyta Dziecioł Wielkodzioby. - Nie byłeś z nami w WyRaju.
- Bo mi, kurde, powiedzieli - odpowiada Crozier. - Zakumplowałem się z nimi. Nawet pozwalają mi ze sobą szczać. To taki zaszczyt.
- Dobrze, że nigdy nie spotkają Derkacza - stwierdza Bawół Mindorski.
- No ba - mówi Lis Płowy, która właśnie do nich dołączyła. - Jeden rzut oka na ich szurniętego stwórcę i rzuciliby się z drapacza chmur. Gdyby były jeszcze jakieś drapacze chmur, z których można by się rzucić - dodaje posepnie. Ostentacyjnie ziewa, wyciąga ręce nad głowę, pręży piersi. Swoje słomkowe włosy zebrała w wysoko upięty koński ogon ściągnięty szydełkową jasnoniebieską gumką. Ma na sobie prześcieradło z subtelną obwódką w stokrotki i motyle przewiązane szerokim czerwonym pasem. To zaskakujący kontrast: anielski obłok kontra tasak rzeźnika.
- Nie ma się co uskarżać, piękna pani - mówi Dziecioł Wielkodzioby, przenosząc wzrok z Toby na Lisa Płowego. Będzie jeszcze bardziej nadęty, myśli Toby, kiedy wyrośnie mu broda, którą zapuszcza. - *Carpe diem*. Żyj chwilą. Ciesz się każdym pąkiem róży. - Uśmiecha się prawie obleśnie; jego oczy zjeżdżają na czerwony pas. Lis Płowy patrzy na niego bez wyrazu.
- Opowiedz im radosną historię - radzi Manat. - Bez wchodzenia w szczegóły. Dziewczyna Derkacza, Oryks, robiła tak w WyRaju, to ich uspokajało. Mam tylko nadzieję, że ten skurwiel Derkacz nie zacznie czynić cudów z za grobu.

- Na przykład nie zamieni wszystkiego w sraczkę - rzuca Lis Płowy. - Och, przepraszam, już to zrobił. Jest kawa?
- Niestety - mówi Dzieciół Wielkodzioby - kawy u nas nie uświadczysz, droga pani.
- Rebecca mówi, że musi parzyć jakieś korzenie - dodaje Manat.
- Nawet kiedy będzie kawa, nie będzie do niej prawdziwej śmietanki - zauważa Lis Płowy. - Tylko glutu z owczego cyca. Aż się chce przebić sobie skronie szpikulcem do lodu.

Światło przygasa, fruwać ćmy, mroczny róż, mroczna szarość, mroczny błękit. Derkaczanie zebrali się wokół hamaka Jimmy'ego. Chcą, żeby Toby tu właśnie opowiedziała im o Derkaczu i o ich wyjściu z Jaja.

Yeti-Jimmy też chce słuchać tej historii, mówią. To nic, że jest nieprzytomny; są przekonani, że wszystko słyszy.

Sami już tę historię znają, ale z jakiegoś powodu zależy im na tym, żeby Toby ją opowiedziała. Musi demonstracyjnie zjeść rybę, którą przynieśli, osmaloną z wierzchu i zawiniętą w liście. Musi włożyć znoszoną czerwoną czapkę baseballową Jimmy'ego, jego zegarek z pustą tarczą i podnieść go do ucha. Musi zacząć od początku, musi przewodzić dziełu stworzenia, musi przywołać deszcz. Musi uprzątnąć chaos, musi wyprowadzić ich z Jaja i zabrać na brzeg morza.

Na koniec chcą usłyszeć historię o dwóch złych ludziach, o ognisku w lesie i zupie ze śmierdzącą kością: mają obsesję na punkcie tej kości. Musi też opowiedzieć im o tym, jak sami rozwiązali jeńców i jak dwaj źli ludzie uciekli do lasu. skąd w każdej chwili mogą wrócić, żeby znów czynić zło. To ich zasmuca, ale i tak koniecznie chcą to usłyszeć.

Kiedy Toby kończy mówić, nalegają, żeby opowiedziała wszystko od początku, a potem jeszcze raz. Podpowiadają jej, przerywają, uzupełniają fragmenty, które pominęła. Chcą, by perfekcyjnie odegrała swoją rolę i podała im informacje, których nie ma ani nie potrafi wymyślić. Kiepska z

niej zastępczyni Yeti--Jimmy'ego, ale robią, co mogą, żeby ją podszkolić.

W chwili gdy po raz trzeci dochodzi do momentu, kiedy Derkacz uprzątął chaos, wszyscy naraz odwracają głowy. Węszą.

- Nadchodzą ludzie, o Toby - mówią.
- Ludzie? - pyta. - Ci dwaj, co uciekli? Gdzie?
- Nie, nie ci, którzy pachną krwią.
- Inni ludzie. Więcej niż dwóch. Musimy ich powitać. - Wszyscy wstają.

Toby patrzy tam, gdzie oni. Cztery sylwetki zbliżają się zagraconą ulicą, która graniczy z zieleńcem. Na głowach zapalone latarki czołowe. Cztery ciemne postacie, każda niosąca światło.

Toby czuje, że całe jej ciało się rozluźnia, czuje, że powietrze wpływa w nią przeciągłym bezgłośnym tchnieniem. Czy serce może podskoczyć w piersi? Czy człowiekowi może się z ulgi zakręcić w głowie?

- O Toby, ty płaczesz?

Powrót do domu

To Zeb. Jej życzenie się spełniło. Tęższy i bardziej zapuszczony, niż Toby pamięta, i - choć minęło raptem kilka dni, od kiedy się ostatnio widzieli - postarzały. Przygnieciony cięższym brzemiem. Co się stało?

Są z nim Czarny Nosorożec, Shackleton i Katuru. Teraz, z bliska, widać, jak bardzo są zmęczeni. Stawiają plecaki na ziemi i reszta zbiera się dookoła: Rebecca, Dzieciół Wielkodzioby, Lis Płowy, Bieługa; Manat, Bawół Mindorski, Koliberek Hawański, Biała Turzyca; Crozier, Ren i Modraszek; nawet Amanda, trzymająca się z tyłu.

Wszyscy mówią naraz; przynajmniej wszyscy ludzie w tradycyjnym tego słowa rozumieniu. Derkaczanie skupili się na uboczu, patrzą okrągłymi oczami. Ren z płaczem tuli się do Zeba, co jest w pełni naturalne; bądź co bądź, jest jej ojczymem. Kiedy byli u Ogrodników, przez pewien czas mieszkał z ponętą matką Ren, Lucerne, która go nie doceniała, myśli Toby.

- Już dobrze - mówi Zeb do Ren. - No proszę! Znalazłaś Amandę! - Wyciąga rękę; Amanda pozwala się dotknąć.

- Nie ja, Toby - mówi Ren. - Miała swój karabin.

Toby czeka chwilę, po czym robi krok do przodu.

- Dobra robota, snajperze - mówi do niej Zeb, chociaż nikogo nie zastrzeliła.

- Nie znaleźliście ich? - pyta Toby. - Adama Pierwszego i..

Zeb patrzy na nią z poważną miną.

- Adama nie - mówi. - Ale znaleźliśmy Philo.

Pozostali nadstawiają uszu.

- Philo? - mówi Lis Płowy.
- To stary Ogrodnik - wyjaśnia Rebecca. - Palił dużo... lubił mieć wizje. Został z Adamem Pierwszym po rozłamie u Ogrodników. Gdzie był? - Po minie Zeba poznali, że Philo nie żyje.
- Na dachu krytego parkingu zebrało się stado sępów, więc poszliśmy tam zerknąć - odpowiada Shackleton. - Koło starej Kliniki Wellness.
- Tam, gdzie chodziliśmy do szkoły? - pyta Ren.
- Był dość świeży - mówi Czarny Nosorożec.

Co znaczy, myśli Toby, że przynajmniej część zaginionych Ogrodników przeżyła pierwszą falę zarazy.

-I nikogo poza tym? - pyta. - Żadnego z pozostałych? Czy to... czy był chory?

- Ani śladu po nich - mówi Zeb. - Ale domyślam się, że nadal gdzieś tam są. Może Adam też. Jest coś do jedzenia? Zjadłbym niedźwiedzia. - Co znaczy, że nie chce odpowiedzieć Toby w tej chwili.

„Je niedźwiedzia!”, mówią Derkaczanie między sobą. „Tak! Jest tak, jak powiedział nam Crozier!”. „Zeb je niedźwiedzia!”.

Zeb wskazuje ruchem głowy Derkaczan, którzy patrzą na niego niepewnie.

- Widzę, że mamy towarzystwo.
- To jest Zeb. - Toby przedstawia go Derkaczanom. - Jest naszym przyjacielem.
- Cieszymy się, o Zebie. Witaj.

„To on, to on! Ten, o którym mówił Crozier”. „Je niedźwiedzia!”. „Tak. Cieszymy się”. Ostrożne uśmiechy. „Co to jest niedźwiedź, o Zebie - ten

niedźwiedź, którego jesz?”. „Czy to jest ryba?”. „Czy ma śmierdzącą kość?”.

- Przyszli z nami - mówi Toby. - Z brzegu morza. Nie mogliśmy ich powstrzymać, chcieli być z Jimmym. Z Yeti. Tak nazywają Jimmy'ego.
- To ten kumpel Derkacza? - pyta Zeb. - Z Projektu WyRaj?
- Długa historia - mówi Toby. - Zjedz coś.

Zostało trochę gulaszu; Manat idzie przynieść. Derkaczanie wycofują się na bezpieczną odległość, bo nie lubią być za blisko zapachów potraw mięsożerców. Shackleton pożera gulasz i siada z Ren, Amandą, Crozierem i Modraszkiem. Czarny Nosorożec zjada dwie porcje, po czym idzie wziąć prysznic. Katuru ofiaruje się, że pomoże Rebecce posortować zawartość plecaków: zebrali sojdynki, trochę taśmy klejącej, kilka paczek mrożonych kurczakiści, garść energatonów i jeszcze jedno opakowanie ciastek Oreo. Cud, mówi Rebecca. Trudno znaleźć opakowania ciastek nienapoczęte przez gryzonie.

- Chodź, obejrzymy ogród - mówi Zeb do Toby.

Robi jej się ciężko na sercu: musi mieć złe wieści, które chce przekazać na osobności.

Pojawiły się świetliki. Lawenda i tymianek kwitną, wypuszczając swoje aromaty w powietrze. Kilka samosiewnych różoświatlików pełga przy ogrodzeniu; kilka migoczących zielonych królików skubie ich dolne liście. Olbrzymie szare ćmy unoszą się jak popiół na wietrze.

- To nie zaraza zabiła Philo - mówi Zeb. - Ktoś poderznął mu gardło.
- Och - odpowiada Toby. - Rozumiem.
- Potem zobaczyliśmy paintbólowców - ciągnie Zeb. - Tych samych, którzy porwali Amandę. Patroszyli jedną z tych wielkich świń. Strzeliliśmy do nich kilka razy, ale uciekli. Przestaliśmy więc szukać

Adama i wróciliśmy najszybciej, jak się dało, bo mogą być gdzieś w pobliżu.

- Przepraszam - mówi Toby.
- Za co? - dziwi się Zeb.
- Złapaliśmy ich dwie noce temu - mówi ona. - Przywiązaliśmy obu do drzewa. Ale ich nie zabiłam. Był dzień świętej Juliany, po prostu nie mogłam. Uciekli i zabrali swój miotacz.

Teraz już płacze. Żałośnie jak nowo narodzone myszy, ślepe, różowe, kwilące. To zupełnie do niej niepodobne. A jednak nie może się powstrzymać.

- Hej. - Zeb ją pociesza. - Będzie dobrze.
- Nieprawda - odpowiada Toby. - Nie będzie dobrze. - Odwraca się, żeby odejść: jeśli ma się mazać, lepiej, żeby robiła to w samotności. Samotna się czuje, samotna zawsze będzie. Przywykłaś do samotności, mówi sobie. Bądź stoikiem.

I wtedy obejmują ją ramiona.

Tak długo czekała, że zarzuciła czekanie. Pragnęła tego i zaprzeczała, że to możliwe. Jakże to jednak teraz jest łatwe, tak łatwe, jak łatwy kiedyś musiał być powrót do domu dla tych, którzy domy mieli. Wejście drzwiami w znane otoczenie, do miejsca, które cię zna, otwiera się przed tobą, dopuszcza do siebie. Opowiada ci historie, które potrzebowałaś usłyszeć. Historie opowiadane także dłońmi i ustami.

Tęskniłem za tobą. Kto to powiedział?

Sylwetka na tle nocnego okna, błysk oka. Mroczne bicie serca.

Tak. Nareszcie. To ty.

MISIOLOT

Opowieść o tym, jak Zeb był zagubiony w Górach i zjadł Niedźwiedzia

A zatem Derkacz wylał chaos, żeby stworzyć wam bezpieczne miejsce do zamieszkania. Potem...

Znamy historię Derkacza. Poznaliśmy ją niejedną raz. Teraz opowiedz nam historię Zeba, o Toby.

O tym, jak Zeb zjadł niedźwiedzia!

Tak! Zjadł niedźwiedzia! Niedźwiedzia! Co to jest „niedźwiedź”?

Chcemy usłyszeć opowieść o Zebie. I niedźwiedziu. Niedźwiedziu, którego zjadł.

Derkacz chce, żebyśmy jej wysłuchali. Gdyby Yeti-Jimmy nie spał, opowiedziałby nam tę historię.

No dobrze. Niech tylko posłucham błyszczącej rzeczy Yeti--Jimmy'ego. Żeby usłyszeć słowa.

Słucham bardzo uważnie. Nie jest mi łatwiej słuchać, kiedy śpiewacie.

A zatem. Oto opowieść o Zebie i niedźwiedziu. Na początku występuje w niej tylko Zeb. Jest zupełnie sam. Niedźwiedź pojawi się później. Może jutro. Żeby niedźwiedzie się pojawiły, trzeba być cierpliwym.

Zeb był zagubiony. Usiadł pod drzewem. Drzewo było na rozległej otwartej przestrzeni, szerokiej i płaskiej jak plaża, tyle że nigdzie nie było piasku ani morza, tylko zimne sadzawki i dużo mchu. Wszędzie dookoła, ale w dość dużej odległości, wznosiły się góry.

Jak się tam dostał? Przyleciał tym, no... nieważne. O tym będzie inna opowieść. Nie, Zeb nie potrafi latać jak ptak. Już nie.

Góry? Góry to takie wielkie wysokie skały. Nie, to nie są góry, to są budynki. Budynki się zawalają i robią przy tym dużo hałasu. Góry też się zawalają, ale bardzo pomału. Nie, góry nie przygniotły Zeba.

Zeb spojrział więc na góry, które otaczały go ze wszystkich stron, ale w dość dużej odległości, i pomyślał: Jak ja przejdę przez te góry? Są takie wielkie i wysokie.

Musiał przejść przez góry, bo po ich drugiej stronie byli ludzie. Chciał być z ludźmi. Nie chciał być sam. Nikt nie chce być sam, prawda?

Nie, to nie byli tacy ludzie jak wy. Mieli ubrania. Dużo ubrań, bo tam było zimno. Tak, to było w czasie chaosu, zanim Derkacz go wylał do ostatniej kropli.

Zeb spojrział więc na góry, sadzawki i mech i pomyślał: Co ja będę jadł? A potem pomyślał: W tych górach żyje dużo niedźwiedzi.

Niedźwiedź to porośnięte futrem olbrzymie zwierzę z wielkimi pazurami i licznymi ostrymi kłami. Większe od kotrysia. Większe od wilksa. Większe od świniona. Tak wielkie.

Mówi rykiem. Jest bardzo żarłoczny. Rozrywa na strzępy.

Tak, niedźwiedzie są Dziećmi Oryks. Nie wiem, dlaczego stworzyła je takie wielkie i z bardzo ostrymi kłami.

Tak, musimy być dla nich dobrzy. Żeby być dobrym dla niedźwiedzi, najlepiej się do nich nie zbliżać.

Nie sądzę, żeby w tej chwili gdzieś blisko były jakieś niedźwiedzie.

I Zeb pomyślał: Może niedźwiedź mnie wyczuł, może już nadchodzi, bo jest głodny, wygłodzony i chce mnie pożreć. I będę musiał z tym niedźwiedziem walczyć, a mam tylko ten przymały nóż i patyk do robienia dziur w rzeczach. I będę musiał tę walkę wygrać, zabić niedźwiedzia, a potem go zjeść.

Niedźwiedź wkrótce pojawi się w tej opowieści.

Tak, Zeb wygra walkę. Zeb zawsze wygrywa. Bo tak już jest.

Tak, wiedział, że Oryks będzie zasmucona. Zebowi było żal niedźwiedzia. Nie chciał go skrzywdzić. Ale i nie chciał zostać pożarty. Chyba nie chcecie, żeby pożarł was niedźwiedź, co? Ja też nie.

Bo niedźwiedzie nie mogą jeść samych liści. Bo by się rozchorowały.

W każdym razie Zeb umarłby, gdyby nie zjadł niedźwiedzia, a wtedy nie byłoby go tu z nami. A to też byłoby smutne, zgodzicie się?

Jeśli nie przestaniecie płakać, nie będę mogła dalej opowiadać.

Futrzakowy interes

Jest opowieść, jest prawda, na której opowieść się opiera, i wreszcie jest opowieść o tym, jak doszło do tego, że opowieść została opowiedziana. No i jest jeszcze to, co w opowieści pomijasz. Co też jest częścią opowieści.

W opowieści o Zebie i niedźwiedziu Toby pominęła martwego człowieka, który miał na imię Chuck. On też był zagubiony wśród sadzawek, mchu, gór i niedźwiedzi. On też nie wiedział, jak się stamtąd wydostać. Nie fair jest odmówić mu choćby wzmianki, wymazać go z czasu, ale włączenie go do opowieści tylko by ją zagmatwało i poplątało, a Toby nie ma ochoty głowić się nad tym, jak z tego wybrnąć. Choćby dlatego, że jeszcze nie wie, skąd ten martwy człowiek w ogóle się wziął w tej opowieści.

- Szkoda, że skurwysyn umarł - mówi Zeb. - Wydarłbym mu to z gardła.
- To?
- Kto go wynajął. Czego chcieli. Dokąd zamierzał mnie zabrać.
- „Umarł” to eufemizm, domyślam się. Nie dostał ataku serca - mówi Toby.
- Nie czepiaj się. Wiesz, o co mi chodzi.

Zeb był zagubiony. Usiadł pod drzewem.

To znaczy nie był całkowicie zagubiony. Mniej więcej wiedział, gdzie jest: na tundrze w górach Mackenzie, setki kilometrów od najbliższego fast foodu. I nie tyle pod drzewem, ile obok drzewa, które właściwie było tylko krzakiem; nie bujnym, lecz dość rachitycznym. Karłowatym świerkiem czy czymś takim. Zauważył detale pnia, uschłe dolne gałęzki, szare porosty na korze, falbaniaste, misterne i prześwitujące jak majtki kurwy.

- Co ty wiesz o majtkach kurwy? - pyta Toby.
- Więcej, niż chciałabyś, żebym wiedział - odpowiada Zeb.
- A zatem. Kiedy skupiasz się na takich szczegółach, bliskich, wyraźnych, zupełnie bezużytecznych, wiesz, że jesteś w szoku.

AOH-topter jeszcze dymił. Na szczęście zdążył się od niego oddalić, zanim wybuchł czy raczej zanim wybuchł jego komponent aerostatyczny, i dzięki, kurde, Bogu, że elektroniczne zwalniacze pasów wciąż działały; w przeciwnym razie już by nie żył.

Chuck leżał na brzuchu z niezdrowo przekrzywioną głową; obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni jak sowa. Nie patrzył jednak na Zeba. Patrzył w niebo. Nie było tam aniołów, a przynajmniej żaden się jeszcze nie pokazał.

Z ciemienia Zeba płynęła krew, czuł ściekającą ciepłą strużkę. Rozcięta skóra głowy. Niegroźna rana, ale z tych, co obficie krwawią. Głowa to najpłytsza część twojego ciała, jak zwykły mawiać ten socjopata, jego ojciec. Nie licząc twojego mózgu. I duszy, o ile takową zostałeś obdarzony, w co wątpię. Wielebny był wielkim orędownikiem dusz, a w dodatku miał się za ich władcę.

Teraz Zeb mimo woli zaczął się zastanawiać, czy Chuck miał duszę i czy wciąż wisi ona nad jego ciałem jak słaby zapach.

- Chuck, ty zaszary durniu - powiedział na głos. Gdyby dostał zlecenie od mózgodrażców, żeby uprowadził samego siebie, sprawiłby się lepiej niż ten półgłówek Chuck.

W pewnym sensie szkoda, że Chuck umarł - musiał mieć jakieś zalety, może lubił szczeniaczki - ale na świecie ubyło jednego palanta, a czyż to nie plus? Ptaszek w kolumnie sił światła. Albo ciemności, zależy, kto prowadził podwójną księgowość moralną.

Chociaż Chuck nie był zwyczajnym palantem - nie był ani marudny, ani

agresywny jak sam Zeb, kiedy włączał mu się tryb palanta. Wręcz przeciwnie, aż do przesady. Zbyt przyjazny, za bardzo afiszujący się z poglądami, człowiek to przeżytek, sami skazujemy się na zagładę, przywrócić równowagę w przyrodzie i bla-bla, tak w tym przeginał, że aż brzmiał groteskowo, o co nie było łatwo w takiej firmie jak Misiolot i bez tego pełnej groteskowych pozieleniałych futrzakojebów.

Nie wszyscy jednak byli futrzakojebami, niektórzy twierdzili, że najważniejsze dla nich jest samo wyzwanie. Poszukiwacze przygód i mocnych wrażeń, wolne duchy obite tatuażami, z tłustymi kucykami harleyowców ze starego filmu - jadący po bandzie napinacze mięśni, o podeszwach butów ciut zbyt gorących na spokojne spacerowanie. Taką właśnie pozę przybrał Zeb - napakowany naturalnymi sterydami, zrobi wszystko, co konieczne, wytrzyma tempo, ma skrzydła u nóg, potrzebuje kasy, lubi mroczne peryferia, gdzie macki żadnego urzędnika nie sięgną ci do tylnej kieszeni, w której może się wstydliwie czaić zawartość zhakowanych cudzych kont bankowych.

Futrzakojebki pełną gębą marszczyły swoje wąskie zielone nosy na Zeba i jemu podobnych narwańców, ale przynajmniej nie narzucały się zbyt mocno ze swoimi nawiedzonymi poglądami - Potrzeba im było ludzi do pomocy, bo nie wszyscy na świecie przyklasnęli pomysłowi wywożenia gnijących bioodpadów aero /orno/helicopterami na daleką północ, żeby banda parchatych Ursidae mogła się nazreć za darmo.

- To było, zanim na poważnie zaczęło brakować ropy? - mówi Toby. - I ruszyła produkcja ropy śmieciowej. Inaczej nie pozwoliliby wam marnować tak cennego surowca na niedźwiedzie.

- To było, zanim zaczęło się wiele rzeczy - dodaje Zeb. - Chociaż ceny ropy szły już ostro w górę.

Flotę Misiolotu stanowiły cztery stare toptery kupione w szarej strefie. Potocznie nazywano je Latającymi Fugami. Podobno projektowano je, wzorując się na naturze: ich częścią składową był wypełniony mieszanką wodoru i helu sterowiec o powłoce, która wciągała i wypuszczała

cząsteczki jak kurczący się i rozduymający rybi pęcherz pławny, co umożliwiło transport dużych ciężarów. Oprócz tego miały stateczniki dolne, dwa wirniki pozwalające zawisnąć w powietrzu i cztery trzepoczące niby-ptasie skrzydła, ułatwiające manewrowanie na małej prędkości. Zaletą tych maszyn było minimalne zużycie paliwa, bardzo wysoka ładowność i możliwość lotu z małą prędkością i na niskim pułapie; wadą to, że lot topterym trwał wiecznie, oprogramowanie regularnie się psuło i tylko nieliczni wiedzieli, jak te bestie naprawić. Musiano ściągać mechatroników o wątpliwej reputacji, a właściwie szmuglować ich z Brazylii, gdzie kwitł elektroniczny czarny rynek.

Tam, w Brazylii, zhakowaliby cię bez mrugnięcia okiem. Prężny handel dokumentacją medyczną i brudami polityków, informacjami o operacjach plastycznych celebrytów - to był tylko czubek góry lodowej. Przede wszystkim Korporacje hakowały się nawzajem. Szperając w komputerach potężnej Korporacji, mogłeś się wpakować w nieliczne bagno, nawet jeśli byłeś zabezpieczony faktem pozostawiania na tajnych usługach innej potężnej Korporacji.

- Czyli domyślałem się, że to zrobiłeś - mówi Toby. - Coś, co wpakowało cię w nieliczne bagno.

- Tak, byłem tam, musiałem jakoś zarobić na życie - mówi Zeb. - Między innymi dlatego zaszyłem się w Misiolocie: był ultradaleko od Brazylii.

Misiolot był przekrętem, przynajmniej częściowo. Wystarczyło mieć parę szarych komórek na krzyż, żeby się w tym połapać. W odróżnieniu od wielu przekrętów, prowadzony był w dobrej wierze, ale mimo to był przekrętem. Żywił się szlachetnymi intencjami mieszczuchów o uczuciach jednorazowego użytku, którzy lubili sobie wmawiać, że coś ratują - jakiś łachman z ich prehistorii, strzępek ich duszy zbiorowej przebrany w uroczy kostium niedźwiedzia. Idea była prosta: niedźwiedzie polarne głodują, bo na zanikającej pokrywie lodowej nie mogą polować na fok, więc dokarmiamy je resztkami z naszych stołów, dopóki się nie zaadaptują do zmienionych warunków.

- ...„zaadaptuj się”, to w tamtych czasach było modne hasło, jak zapewne pamiętasz, choć chyba jesteś za młoda; jeszcze pewnie koszulę w zębach nosiłaś. Dopiero uczyłaś się wywijać swoją rosiczką.
- Już ty nie flirtuj - powiedziała Toby.
- Dlaczego? Przecież to lubisz.
- Pamiętam „zaadaptuj się” - mówi Toby. - To znaczyło tyle co „masz pecha”. Przekaz skierowany do ludzi, którym nikt nie zamierzał pomóc.
- Właśnie - powiedział Zeb. - W każdym razie dokarmianie ochłapami nie pomogło się niedźwiedziom zaadaptować, nauczyło je tylko, że jedzenie spada z nieba. Śliniły się na sam dźwięk toptera, miały własny kult cargo.
- Ale oto co w tym było największym przekreśleniem. Tak, lód prawie całkowicie stopniał; i część niedźwiedzi, owszem, głodowała, ale reszta płynęła na krach na południe, gdzie krzyżowały się z grizzly, od których odłączyły się nędzne dwieście tysięcy lat temu. Pojawiły się więc białe niedźwiedzie w brązowe łaty i brązowe niedźwiedzie w białe łaty, a także niedźwiedzie w całości białe lub brązowe, ale to, co na zewnątrz, nie było wyznacznikiem ich usposobienia: pizzły stroniły od ciebie jak grizzly; grolary przeważnie cię atakowały, tak jak polarne. Nigdy nie wiedziałeś, z jakim niedźwiedziem w danej chwili masz do czynienia. Wiedziałeś za to, że nie chcesz, żeby twój topter rozbił się nad krainą niedźwiedzi.

A to właśnie spotkało Zeba.

- Ty zasrany durniu - powiedział znowu do Chucka. - A ten, kto cię wynajął, jest zasrany durniem po dwakroć - dodał, nie żeby go słuchali. I tu nagle naszła go paskudna myśl: może jednak słuchali.

Wypadek

W Misiolocie wszystko dobrze się układało, dopóki nie zjawił się Chuck. Fakt faktem, Zeb miał wtedy pewne kłopoty...

- Bo poza tym nigdy ich nie miałeś - mówi Toby.
- Śmiejesz się ze mnie? Ofiary trudnej młodości spowodowanej przemocą w rodzinie? Poza tym za szybko wyrosłem?
- Ja miałabym się śmiać?
- Szczerze mówiąc, tak - mówi Zeb. - Serce jak łupek. Należy ci się porządny odwiert.

Rzeczywiście, Zeb miał wtedy pewne kłopoty, ale nikt w centrali Misiolotu raczej o tym nie wiedział i nikogo to nie obchodziło: połowa tego towarzystwa też miała kłopoty, więc obowiązywała zasada „Nie pytaj, nie mów”.

Robota była prosta: załadować jadalne odpady w Whitehorse albo Yellowknife, niekiedy w Tuk, wszędzie tam, gdzie tankowce obsługujące platformy wiertnicze na Morzu Beauforta legalnie wyrzucały śmieci. W tamtych czasach platformy jeszcze wytwarzały dużo odpadów zawierających białka zwierzęce, bo załogom nie mogło niczego brakować. Wieprzowina - jedli dużo podrobów wieprzowych - i kurczaki, a przynajmniej coś do nich podobnego. Jeśli mięso hodowane w laboratorium, to tylko najwyższej jakości, ukryte w kiełbasie czy klopsie tak, że nie czułeś różnicy.

Ładowałeś ochłapy do toptera, potem brałeś sobie piwko, leciałeś w miejsca zrzutu, zawisałeś nad nimi w powietrzu, zrzucałeś ładunek i wracałeś do bazy. Nic, tylko otepiająca nuda, no, chyba że pogoda się psuła albo miałeś awarię. W takiej sytuacji musiałeś wylądować, uważając, żeby nie zaczepić maszyną o górski stok, a potem czekałeś na poprawę pogody albo siedziałeś na dupie, dopóki nie zjawiła się Ekipa

Naprawcza. I później to samo od nowa. Ot, rutyna. Najgorsze w tym wszystkim były kazania zielononosych futrzakojebów, których musiałeś słuchać w barach miast z przedstawicielstwami Misiolotu, kiedy próbowałeś się zalać sprowadzaną tam i sprzedawaną kadziami syfiastą gorzałą.

Poza tym można było tylko jeść, spać i od święta wytarmosić się z jedną czy drugą pracownicą firmy, chociaż tutaj Zeb musiał uważać, bo niektóre z nich były pyskate, a inne zajęte, on zaś starał się unikać bójek, nie widząc żadnej korzyści z turlania się pod stołkami barowymi z rozjuszonym kretyńcem, który rości sobie dożywotnie prawo do jakiejś piczki tylko dlatego, że ma rzekomo magicznego kutasa, dołki w policzkach i - być może - nóż. Pistoletu już raczej nie, bo KorpuSOKorp wtedy konfiskował broń palną pod wątpliwym pretekstem troski o bezpieczeństwo obywateli, tym samym zapewniając sobie monopol na zabójstwa na odległość. Niektórzy chowali swoje głoćki i inne marki, zakopywali pod kamieniami na czarną godzinę, ale z tego samego powodu mało kto miał gnata przy sobie. Choć tam, na zadupiu, nie wszystkie przepisy i deklaracje były przestrzegane. Na północy granice prawa były dość rozmyte. Dlatego człowiek nigdy nic nie wiedział.

Wracając do dziewczyn. Jeśli na małych, dużych czy średnich policzkach którejś wyczytywał wyraźny komunikat Odwal Się, zawsze robił w tył zwrot. Jeśli jednak ktoś się zakradł do jego pokoju pod osłoną ciemności, kimże on był, żeby narzekać? Od dziecka mu wmawiano, że ma moralność stonogi, a przecież nie mógł zawieść oczekiwań, nie mówiąc o tym, że odrzucenie awansów dziewczyny zachwiałoby jej poczuciem własnej wartości. Niektórych lepiej było nie oglądać w świetle, ale jedna miała niesamowity obwisły tyłek, a inna cycki jak dwie kule do kręgli w plecionej siatce na zakupy i...

- Za dużo szczegółów - mówi Toby.
- Nie bądź zazdrosna - mówi Zeb. - One już nie żyją. Nie możesz być zazdrosna o grupę martwych kobiet.

Toby nie odpowiada. Trup ponętej dawnej kochanki Zeba, Lucerne, wisi między nimi w powietrzu, niewidziany, niewspomniany i, przynajmniej jak dla Toby, na pewno niepochowany.

- Lepsza żywa niż martwa - dodaje Zeb.
- To akurat oczywiste - mówi Toby. - Chociaż, jak o tym pomyśleć, nigdy nie wiadomo, dopóki nie spróbujesz.

Zeb się śmieje.

- Ty też masz niesamowity tyłek - mówi. - Ale nie obwisły. Zwarty.
- Opowiedz o Chucku - mówi Toby.

Chuck wszedł do centrali Misiolotu jak ktoś, kto wsuwa się na palcach do zakazanego pomieszczenia, udając, że ma wszelkie prawo tam być. Dyskretnie, ale pewnie. Na oko Zeba jego ubrania były zbyt nowe. Wyglądały, jakby Chuck przyszedł prosto z jednego z tych lanserskich sklepów odzieżowych, wszędzie pełno suwaków, rzepów i kłapek, jak w jakiejś sprośnej komputerowej grze logicznej. Porozpinaj tego człowieka, znajdź chochlika, zdobądź nagrodę. Nigdy nie ufaj facetowi w nowych ubraniach.

- Przecież ubrania czasem muszą być nowe - mówi Toby.
- A przynajmniej wtedy musiały. Nie produkowali starych.
- Prawdziwy facet wie, jak zabrudzić ciuchy w sekundę - mówi Zeb. - Wystarczy się wytarzać w błocie. Poza tym nie chodziło tylko o ubrania; miał za duże, zbyt białe zęby. Kiedy takie widzę, zawsze mam chęć delikatnie postukać w nie butelką. Sprawdzić, czy są fałszywe, patrzeć, jak się roztrzaskują. Mój tata, Wielebny, miał takie zęby. Używał wybielacza. Te zęby plus opalenizna upodabniały go do jakiejś świecącej ryby głębinowej, a może łba dawno padłego konia na pustyni. Gorzej było, kiedy się uśmiechał niż kiedy nie.

- Zostaw dzieciństwo - mówi Toby. - Tylko się rozżalisz.
- Kto żal czuje, ten się truje? Nie żal się, bo to źle? Nie praw mi kazań, laleczko.
- Mnie to pomaga. Zostawienie żalu.
- Jesteś pewna?
- A zatem Chuck.
- A zatem. Miał dziwne oczy. Chuck. Laminowane. Twarde i błyszczące. Jakby przykryte przezroczystą przesłoną.

Kiedy Chuck pierwszy raz wyrósł z tacą przy stole na stołówce i zapytał: „Mogę się przysiąc?”, te jego laminowane oczy starannie omiotły Zeba. Jakby skanowały kod kreskowy.

Zeb zerknął na niego. Nie powiedział „tak”, nie powiedział „nie”. Wydał burknięcie, które mogło znaczyć wszystko, i dalej grzebał w swoim zagadkowym gumowatym produkcie kiełbaso-podobnym. Można było przypuszczać, że Chuck zacznie od pytań osobistych - skąd jesteś, jak tutaj trafiłeś i tak dalej - tak się jednak nie stało. Zaczął od Misiolotu. Powiedział, jaka to świetna organizacja, a kiedy Zeb ani nie skinął głową, ani nie przytaknął wyznał, że jest tu tylko dlatego, że wpakował się ostatnio w pewne nieprzyjemne sprawy i, no wiesz, postanowił przez jakiś czas się nie wychylać, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

- Co zrobiłeś, dłubałeś w nosie? - powiedział Zeb, a Chuck zaśmiał się, szczerząc zęby jak martwy koń. Stwierdził, że sądził, że Misiolot jest dla gości, którzy, no wiesz, coś jak Legia Cudzoziemska, a Zeb zapytał, co cudzoziemskie, i temat się urwał.

Nie żeby zraził faceta swoją obcesowością. Chuck trochę odpuścił, ale dalej był wszechobecny. Na przykład: Zeb siedzi przy barze i pracuje na jutrzejszego kaca, a tu nagle zjawia się Chuck, brat łata, i chce mu postawić następnego drinka. Zeb idzie się odlać, Chuck materializuje się

jak ekto plazma dwa pisuary dalej; Zeb wchodzi za róg ulicy w podłej dzielnicy Whitehorse, a kuku, Chuck wyłania się zza następnego rogu. Najpewniej przeszukiwał rzeczy Zeba, kiedy nie było go w jego ciasnej klitce.

- Mógł sobie szperać do woli - mówi Zeb. - W moich brudach trzymałem tylko brudy, te prawdziwe brudy miałem w głowie.

Ale jaką on prowadził grę? Bo że coś kombinował, to było oczywiste. Z początku Zeb myślał, że Chuck jest gejem i chce mu pogmerać w rozporku, ale nie o to chodziło.

W ciągu następnych kilku tygodni Chuck i Zeb odbyli parę wspólnych lotów. Załogi Fugu zawsze były dwuosobowe; jeden drzemał, drugi czuwał. Zeb pilnował, jak mógł, żeby nie dostać do pary Chucka, bo wtedy już ciarki przechodziły mu po karku na jego widok, ale za pierwszym razem chłopak, z którym Zeb miał lecieć, musiał jechać na pogrzeb ciotki i Chuck wczesał się na jego miejsce, a za drugim razem planowy partner Zeba czymś się zatruł. Zeb był ciekaw, czy Chuck zapłacił im, żeby zniknęli-Albo udusił ciotkę i zaprawił pizzę E. coli, by ich nieobecność wypadła przekonująco.

Kiedy byli w powietrzu, czekał na pytanie. Może Chuck słyszał o dawnych wyskokach Zeba i prowadził werbunek na zlecenie nieznanej dotąd ekipy z półświatka, która chciała, żeby Zeb odwalił dla niej jakąś brudną hakerską robotę; a może w grę wchodziła banda szantażystów, która wzięła na cel jakiegoś plutokratę, czy chłopiec na posyłki złodziei własności intelektualnej, którzy potrzebowali profesjonalnego psa gończego do pomocy w uprowadzeniu mózgowca z Korporacji.

A może to była pułapka - Chuck zaproponuje jakiś jawnie nielegalny numer, Zeb się zgodzi nieświadom, że jest nagrywany, i zaraz pochwycą go olbrzymie homarze macki tak zwanego wymiaru sprawiedliwości; albo jego nowy kolega wyskoczy z głupawą próbą szantażu, jakby liczył, że i z pustego da się coś nalać.

W czasie tych dwóch lotów nie wydarzyło się jednak nic nienormalnego.

Pewnie chodziło o to, żeby uspokoić Zeba. Zasygnalizować, że Chuck jest nieszkodliwy. Czy jego miernota była kamuflażem?

To prawie podziałało. Zeb zaczął myśleć, że popada w paranoję. Drży przed własnym cieniem. Przejmuje się takim obleśnym zerem jak Chuck.

Ten ranek - ranek dnia wypadku - zaczął się zwyczajnie. Śniadanie, nijaka bułka z tajemniczymi składnikami, dwa kubki substytutu kofeiny, kromka przypieczonych trocin. Misiolot oszczędzał na zaopatrzeniu: służył tak słusznej, tak wartościowej sprawie, że miał być pokorny, grzecznie wcinać zamienniki jedzenia, wszystko, co dobre, zachowywać dla niedźwiedzi.

A potem załadunek odpadów, pakowanie wózkami widłowymi worów biodegradowalnych resztek do trzewi Fugu. Planowy partner Zeba na ten lot został skreślony z grafiku - rozciął stopę, tańcząc boso po potłuczonym szkle w jednym z lokalnych domów uciechy, żeby pokazać, jaki z niego chojrak; podobno odleciał nad jonosferę na jakimś kretyńskim specyfiku - i zastąpić miał go Rodge, w porządku gość. Kiedy jednak Zeb przy. szedł, na miejscu zastał Chucka, całego w tych swoich czystych suwakach i kłapkach na rzepy, uśmiechającego się ogromnymi białymi końskimi zębami, ale nie tymi laminowanymi oczami.

- Co, był telefon do Rodge'a? - spytał Zeb. - Babcia umarła?

- Nie, ojciec - powiedział Chuck. - Ładny dziś dzień. Hej, mam dla ciebie browara. - Dla siebie też miał, po to tylko, żeby pokazać, że jest swój chłop.

Zeb burknął, wziął piwo, odkręcił kapsel.

- Muszę się odpryskać - powiedział. W kiblu wylał piwo do sedesu. Butelka wydawała się szczelnie zamknięta, ale takie rzeczy można spreparować, spreparować można właściwie wszystko. Nie chciał żłopać ani wsuwać niczego, co przeszło przez ręce Chucka.

Start Fugu był skomplikowany - łopaty wirnika i sterowiec wypełniony

mieszkanką wodoru i helu wytwarzały siłę nośną, ale sztuka polegała na tym, żeby na odpowiedniej wysokości uruchomić skrzydła i we właściwym momencie wyłączyć wirnik, inaczej maszyna mogłaby wpaść w korkociąg.

Tego dnia obyło się jednak bez kłopotów. Lot był standardowy, nad dolinami przecinającymi i okrążającymi góry Pelly, z kilkoma przerwami na bombardowanie terenu łakociami dla niedźwiedzi; potem nad wysoko położoną tundrą otoczoną górami Mackenzie z pocztówkowym śniegiem na wierzchołkach, gdzie znów przeprowadzili kilka zrzutów; i dalej nad pozostałościami Old Canol Trail, wciąż wyznaczanego pojedynczymi słupami telefonicznymi z czasów drugiej wojny światowej.

Topter dobrze się sprawował. Przystawał machać skrzydłami i zawisał dokładnie nad miejscami zrzutu, kłapa otwierała się jak trzeba i bioodpady wypadały na ziemię. W ostatnim punkcie dokarmiania dwa niedźwiedzie - jeden prawie cały biały, drugi prawie cały czarny - pogalopowały na swoje prywatne wysypisko śmieci, kiedy tylko zobaczyły nadlatujący topter; Zeb widział ich sierść, falującą jak trzepany włochaty dywan. Zawsze przechodził go lekki dreszcz, kiedy były tak blisko.

Zeb zawrócił i skierował maszynę na południowy zachód, z powrotem do Whitehorse. Później oddał stery Chuckowi, bo według zegara przyszła pora na to, żeby się przekimał. Położył się, nadmuchał poduszkę podrózną i zamknął oczy, ale nie pozwolił sobie na sen, bo Chuck był zdecydowanie zbyt czujny przez cały lot. Nie jesteś tak skoncentrowany, kiedy nic się nie dzieje.

Pokonali mniej więcej dwie trzecie dystansu do pierwszej wąskiej doliny górskiej, kiedy Chuck zaatakował. Zeb zobaczył przymkniętymi oczami dłoń z czymś cienkim, błyszczącym, ukradkiem wędrującą do jego uda. Natychmiast usiadł prosto i rąbnął Chucka w krtań. Nie dość mocno jednak, bo choć Chuck wydał zduszony okrzyk - właściwie nie okrzyk, trudno to opisać - choć wydał ten dźwięk i upuścił trzymany przedmiot, to po chwili wyciągnął obie ręce do szyi Zeba, który znów mu przywalił.

Oczywiście w tym momencie nikt nie pilnował sterów, no i w czasie szamotaniny któryś z nich musiał coś trącić nogą, ręką czy łokciem, bo topter nagle złożył dwoje ze swoich czworga skrzydeł, przechylił się na bok i runął.

I tak doszło do tego, że Zeb siedział pod drzewem i patrzył na pień. Zdumiewające, jak klarowne były falbaniaste rąbki porostów; jasnoszare z domieszką zieleni, o krawędzi, która była ciemniejsza i tak misterna...

Wstawaj, nakazał sobie. Musisz się ruszyć. Ale organizm nie usłuchał.

Prowiant

Długo później - wydawało się, że to było długo później, czuł się, jakby brnął w przezroczystym szlamie - Zeb przewrócił się na bok, położył dłonie na ziemi i dźwignął się na nogi obok karłowatego świerka czy co to było. Potem zwymiotował. Nawet do niego nie dotarło, że jest mu niedobrze; po prostu nagle się zrzygał.

- Wiele zwierząt tak robi - mówi. - W chwilach stresu. Dzięki temu nie tracisz energii na trawienie. Organizm jest mniej obciążony.
- Było ci zimno? - pyta Toby.

Zebowi szczękały zęby, drżał. Wziął puchową kamizelkę Chucka, nałożył ją na swoją. Nie była bardzo podarta. Obszukał kieszenie, znalazł komórkę Chucka, rozwalił ją kamieniem, żeby zniszczyć GPS i ewentualne urządzenia podsłuchowe. Chwilę przedtem zaczęła dzwonić; z najwyższym trudem oparł się pokusie, żeby odebrać i podać się za Chucka. Chociaż może powinien był to zrobić i powiedzieć, że Zeb nie żyje. Może by się czegoś dowiedział. Po paru minutach zadzwonił jego własny telefon; zaczekał, aż umilknie, po czym też go zniszczył.

Chuck miał jeszcze kilka zabawek, ale nic, czego nie miałyby Zeb. Scyzoryk, gaz na niedźwiedzie, spray przeciw owadom, złożona nowoczesna folia izotermiczna i tak dalej. Na wielkie szczęście Zeba, razem z Chuckiem z maszyny wypadła strzelba na niedźwiedzie, którą zawsze ze sobą zabierali, żeby mieć czym odpierać ataki w razie lądowania awaryjnego. Strzelby na niedźwiedzie nie były objęte nowo wprowadzonymi zakazami posiadania broni, bo nawet zakute biurokratyczne łby z Korpusu Korpu wiedziały, że tu, na dalekiej północy, bez takiej strzelby ani rusz. Korporacje nie lubiły Misiolotu, ale i nie próbowały go zamknąć, choć mogły to zrobić skinieniem palca. Spełniał dla nich pożyteczną funkcję, niósł przesłanie nadziei, odwracał uwagę od ich prawdziwej działalności, czyli równania planety z ziemią i grabieży wszystkiego, co cenne. Nie miały nic przeciwko standardowej reklamie Misiolotu, w

której uśmiechnięty zielony futrzakojeb mówił widzom, ileż dobra czyni Misiolot i proszę, przyślijcie więcej kasy, jeśli nie chcecie przykładać ręki do misiobójstwa. Dorzuciły nawet trochę własnych pieniędzy.

- To było, kiedy jeszcze ocieplali swój wizerunek, chcieli budzić zaufanie - mówi Zeb. - Gdy już zagarnęli całą władzę, nie musieli się aż tak starać.

Zeb prawie przestał drżeć, gdy zobaczył strzelbę na niedźwiedzie. Omal jej nie wyściskał; teraz przynajmniej miał cień szansy. Nie znalazł jednak strzykawki, którą Chuck zamierzał mu wbić; szkoda, chętnie dowiedziałyby się, co w niej było. Pewnie coś, co zwałoby go z nóg. Zrobiłoby stop-klatkę jego świadomości, żeby można go było spokojnie wywieźć w jakieś ponure ustronne miejsce, gdzie czekali by mózgodrażcy wynajęci przez kto wie kogo. Gruntownie przeszperaliby jego mózg, wyskali z niego informacje o wszystkim, co kiedykolwiek zhakował, i wszystkich, dla których hakował, a potem porzuciliby wrak Zeba ze zniszczonym układem nerwowym na jakimś odległym podmokłym pustkowiu, gdzie błąkałby się w stanie sztucznie wywołanej amnezji dotąd, aż tubylcy ukradliby mu spodnie i poddali jego narządy recyklingowi na zlecenie branży transplantacyjnej.

Ale nawet gdyby znalazł tę strzykawkę, co wtedy? Wypróbowałby ją na sobie? Wbił w leminga?

- Mimo wszystko mógłbym ją mieć w zanadrzu, na wypadek niebezpieczeństwa - mówi Zeb.

- Niebezpieczeństwa? - Toby uśmiecha się w mroku. - A nie byłeś już w niebezpieczeństwie?

- Mówię o prawdziwym niebezpieczeństwie - mówi Zeb.

- Na przykład gdybym natknął się tam na innego człowieka. To byłaby niebezpieczna sytuacja. Na zdrowy rozum musiałby to być szalenie.

- A sznurek był? - pyta Toby. - W kieszeniach. Sznurek zawsze może się przydać. Albo lina.

- Sznurek. Teraz, kiedy o tym wspominasz, tak, był. I szpulka żyłki, zawsze ją braliśmy, z kilkoma haczykami. Zapalniczka. Minilornetka. Kompas. W Misiolocie dawali nam te wszystkie harcerskie przybory, podstawowy sprzęt niezbędny do przetrwania. Nie wziąłem jednak kompasu Chucka, miałem swój. Jeden z powodzeniem wystarczy.
- Baton? - pyta Toby. - Racje żywnościowe?
- Tak, parę gównianych energatonów, coś udającego orzeszki. Opakowanie pastylek od kaszlu. Wziąłem je. Plus. - Zawiesza głos.
- Plus co? - mówi Toby. - Śmiało.
- No dobra, tylko ostrzegam: to obrzydliwe. Wziąłem kawałek Chucka. Odciąłem go scyzorykiem, właściwie oderznąłem. Chuck miał składaną kurtkę wodoodporną, więc zawinałem to w nią. Na tundrze trudno o żywność, wszyscy to wiedzieliśmy, odbyliśmy kurs w Misiolocie. Są króliki, wiewiórki ziemne, grzyby, ale nie miałbym czasu się za tym wszystkim uganiać. Zresztą od jedzenia samych królików można umrzeć. Królicza głodówka, tak to nazywali. Nie ma w nich krzty tłuszczu. To jak na tej diecie, jak ją zwał... białkowej. Zaczynasz trawić własne mięśnie. Serce robi się bardzo wątłe.
- Którą część Chucka zabrałeś? - mówi Toby. Ku swojemu zaskoczeniu nie czuje obrzydzenia; może czułaby je kiedyś, w czasach, kiedy można sobie było na obrzydzenie pozwolić.
- Najtłustszą - mówi Zeb. - Tę bez kości. Tę samą, którą zabrałabyś ty. I każdy, kto ma głowę na karku.
- Gryzło cię sumienie z tego powodu? - pyta Toby. - Przestań mnie klepać po tyłku.
- Dlaczego? - mówi Zeb. - Nie, sumienie miałem spokojne. On postąpiłby tak samo. A mogę głaskać, o tak?
- Jestem za chuda - mówi Toby.

- Fakt, mogłabyś mieć trochę lepszą amortyzację. Przyniosę ci bombonierkę, kiedy jakąś znajdę. Trochę cię podtuczę.
- A do tego kwiaty - rzuca Toby. - Jak już się zalecać, to na całego. Idę o zakład, że w życiu tego nie robiłeś.
- Zdziwiłabyś się - mówi Zeb. - Za młodu wręczyłem niejeden bukiet. Swego rodzaju.
- Opowiadaj dalej - mówi Toby, która nie chce myśleć o bukietach Zeba, o tym, jakiego rodzaju były i komu je wręczał.
- A zatem jesteś tam. W oddali góry, jedna część Chucka leży na ziemi, drugą masz w kieszeni. Która była godzina?
- Może trzecia po południu, może piąta, kurde, może nawet ósma, o tej porze też jeszcze byłoby jasno - mówi Zeb. - Straciłem rachubę. Był środek lipca, wspomniałem o tym? Wtedy słońce w tamtych stronach prawie nie zachodzi. Tylko na krótko chowa się za horyzontem, maluje na niebie ładną czerwoną zorzę. I po kilku godzinach znowu wschodzi. To miejsce nie leży za kołem podbiegunowym, ale na tych wysokościach jest tylko tundra: dwustuletnie wierzby jak poziomo rosnące pnącza, wszystkie kwiaty polne zakwitają naraz, bo lato trwa tylko parę tygodni. Nie że zwracałem uwagę na kwiatki.

Pomyślał, że może wypadałoby zabrać Chucka z pola widzenia. Z powrotem włożył mu spodnie i wcisnął go pod skrzydło toptera. Zamienił się z nim butami - Chucka, tak czy siak, były lepsze i jako tako pasowały - i jedną jego stopę zostawił na widoku, żeby z daleka wyglądało, że to on, Zeb, tam leży. Uznał, że bezpieczniej być martwym, przynajmniej na krótką metę.

Kiedy centrala Misiolotu zobaczy, że łączność się zerwała, na pewno kogoś przyślą. Najpewniej Ekipę Naprawczą. Gdy ci się zorientują, że nie ma czego naprawiać i że nikt nie odpala małych flar ani nie macha białą chusteczką, zawrócą. Taki był etos organizacji: nie marnować paliwa na trupy. Niech przyroda podda je recydingowi. Zajmą się nimi

niedźwiedzie, wilki, rosomaki, kruki i tak dalej.

Być może jednak nie tylko pracownicy Misiolotu przylecą zobaczyć, co się stało. Było oczywiste, że Chuckowi w tej robótce nie pomagał nikt z Misiolotu: w przeciwnym razie bez wahania spróbowaliby coś wykombinować już w bazie i nie działałby sam. Zeb już teraz byłby zlobotomizowanym zombi w jakiejś umarłej, niegdyś górniczej czy naftowej miejscinie, z fałszywym paszportem, bez odcisków palców. Nie żeby zadali sobie aż tyle trudu, bo przecież komu by go brakowało?

Czyli mocodawcy Chucka musieli być gdzie indziej: tam, skąd zadzwonili. Ale czy było to gdzieś blisko? W Norman Wells, w Whitehorse? Gdzieś, gdzie mieli do dyspozycji pas startowy. Zeb musiał się jak najszybciej oddalić z miejsca wypadku, znaleźć osłonięte miejsce. O co nie było tak łatwo na niemal nagiej tundrze.

Grolarom i pizzly jakoś się to jednak udawało, a one były większe. Ale i bardziej doświadczone.

Chatka

Zeb wyruszył. Topter spadł na stok łagodnie schodzący ku zachodowi, więc właśnie na zachód się skierował. W pamięci miał orientacyjną mapę okolicy. Żałował, że nie ma mapy papierowej, tej, którą podczas lotu zawsze trzymali rozłożoną na kolanach w razie awarii elektroniki.

Ciężko się szło po tundrze. Była gąbczasta, nasiąknięta wodą, z ukrytymi sadzawkami, śliskim mchem i zdradliwymi kępami trawy. Z torfu sterczały części starych samolotów - tu rozporka, tam łopata śmigła, pamiątki po brawurowych dwudziestowiecznych pilotach, którzy dawno temu wpadli w mgłę albo nagły podmuch wiatru. Zobaczył grzyba, zostawił go: nie znał się na grzybach, ale wiedział, że niektóre są halucynogenne. Tylko tego mu brakowało, żeby spotkał się z grzybowym bogiem i nadlatującymi na małych skrzydłach zielono-fioletowymi pluszowymi misiami o szerokich różowych uśmiechach. Dzień i bez tego był wystarczająco surrealistyczny.

Strzelba na niedźwiedzie była nabita, gaz trzymał w pogotowiu. Zaskoczony niedźwiedź niechybnie zaatakowałby. Z gazu mogłeś zrobić użytek, dopiero kiedy widziałeś przed sobą przekrwione ślepie zwierza, musiałeś więc działać szybko - najpierw prysnąć, Potem strzelić. Gdyby to był pizzly, tak właśnie by się to potoczyło. Ale grolar podążałby za tobą krok w krok i zaszedł cię od tyłu.

Na płacie mokrego piasku znalazł odcisk lewej przedniej łapy i, kawałek dalej, świeże łajno. Pewnie w tej chwili go obserwowały. Wiedziały, że miał zawiniątko z krwią i tkanką mięśniową; nieważne, jak szczelnie było zapakowane, i tak je wyczuwały. Wyczuwały też jego strach.

Nogi już mu przemokły, nawet w lepszych butach Chucka. Nie pasowały tak idealnie, jak przypuszczał. Wyobrażał sobie, jak jego stopy zmieniają się w blade poobcierane ciasto obleczone skarpetami. Żeby oderwać myśli od nich - a także od niedźwiedzi, martwego Chucka i w ogóle wszystkiego - a przy okazji narobić trochę hałasu, by ani pizzly, ani on

nie byli zaskoczeni, gdyby na siebie wpadli, zaśpiewał piosenkę. To był nawyk nabyty w czasach tak zwanej młodości, kiedy to w ten sposób dodawał sobie otuchy w ciemności, każdej ciemności, w której był więziony. W mroku, w ciemności, w ciemności, która istniała, nawet kiedy było jasno.

Papcio sadysta, mama zmora,

Hops do łóżka, spać już pora.

Nie, nie będzie spał, mimo że był tak strasznie zmęczony. Musiał iść dalej. Kto nie maszeruje, ten ginie.

Idiota, idiota, idiota skończony,

Chyba jestem zupełnie, zupełnie, zupełnie pomyłony.

U stóp wzgórza ciągnęła się linia gęstszej zieleni, znak, że płynął tamtędy potok. Ruszył w jego kierunku przez wzgórki, mech i łyse placki usłane kamykami wypchniętymi na powierzchnię w czasie mroźnych zim. Tego dnia nie było szczególnie zimno, przeciwnie, słońce mocno grzało, a mimo to co parę kroków dygotał jak otrząsający się mokry pies. Mocniej otulił się kamizelką Chucka nałożoną na jego własną.

Kiedy był już prawie na brzegu potoku - właściwie rzeki o rwącym nurcie - pomyślał: A jeśli jest w niej pluskwa? Nie w rzece, w kamizelce. Jeśli wszyli w nią mały nadajnik? Pomyślał, że Chuck żyje i się przemieszcza, mimo że z niewiadomych powodów nie odbiera telefonu. Wyślą kogoś po niego.

Zdjął kamizelkę, wszedł do potoku, dobrnął tam, gdzie nurt był najsilniejszy, włożył kamizelkę pod wodę. Nadeła się uwięzionym w niej powietrzem, nie utonie. Mógł wypchać kieszenie kamieniami; wpadł jednak na lepszy pomysł i puścił ją z prądem. Patrzył, jak odpływa w dół rzeki niczym dziwna napuchnięta meduza, i pomyślał: To chyba nie było, kurde, najmądrzejsze. Weź się skup.

Nabrał dłonią zimnej wody do ust - Nie pij za dużo, bo się przewodnisz - ciekaw, czy właśnie nałykał się roznoszonych przez borsuki lamblii. Ale przecież borsuków tutaj na pewno nie było. Co można złapać od wilków? Wściekliznę, ale nie przez picie tej samej wody co one. Rozpuszczone kupy łosi - czy żyły w nich małe glisty, które mogły się przyssać i wwiercić? Motylca wątrobowa albo coś takiego?

Po co stoisz w wodzie i gadasz do siebie? - zapytał. I to na widoku. Idź doliną potoku, poleciał sobie. Trzymaj się zarośli. poza polem widzenia. Liczył w głowie: ile czasu im zejdzie, od chwili kiedy Chuck nie odebrał telefonu? Może dwie godziny, jeśli uwzględnić paniczne dociekania, co się stało, naradę, którą zwołają, na odległość albo i nie, wymianę wiadomości, kręcenie palcami, przerzucanie się odpowiedzialnością i zawołowane wyrzuty. Cały ten burdel.

Wierzby do ramion, osłonięte od wiatru; trawy, krzaki. Muchy, meszki, komary. Podobno czasem doprowadzały karibu do szału. Widziało się je później sunące po torfowisku na szerokich jak rakiety śnieżne racicach, pędzące donikąd. Zużył trochę sprayu przeciw owadom: nie za dużo, musiał oszczędzać. Zdązał na zachód, gdzie, jak pamiętał - a przynajmniej wydawało mu się, że pamiętał - były pozostałości Canol Road. Z samej drogi niewiele zostało, ale przelatując nad nią, zauważył kilka ocalałych budynków. Starą chatkę, jedną, dwie szopy.

Obrał kurs na przechylony słup telegraficzny, archaiczny, drewniany. Obok niego leżał splątany drut i szkielet karibu z powyginanymi rogami; dalej była beczka na ropę, potem dwie beczki, potem czerwona ciężarówka, w prawie idealnym stanie, tyle że bez opon. Najpewniej zabrali je miejscowi myśliwi, wywieźli swoimi terenówkami, w czasach kiedy jeszcze stać ich było na paliwo niezbędne, by wyprawić się na łowy w tak odległe miejsce. Takie opony mogły się przydać. Ciężarówka miała tę charakterystyczną zaokrągloną, opływową sylwetkę z lat czterdziestych, kiedy to tę drogę zbudowano. Jacyś biurokraci w czasie drugiej wojny światowej wpadli na pomysł, żeby przesyłać ropę rurociągiem w głąb lądu, z dala od dział okrętów podwodnych krążących przy brzegu. Do budowy systemu ściągnięto grupę żołnierzy z Południa,

samych czarnych chłopaków. Nigdy wcześniej nie doświadczyli mrozów, pięciodniowych śnieżyc i całodobowej ciemności; musieli myśleć, że trafili do piekła. Jak głosiła miejscowa legenda, co trzeci z nich zwariował. Wyobrażał sobie, że sam też mógłby tu postradać zmysły, nawet bez śnieżyc.

* * *

Bolała go stopa, pewnie zrobił się pęcherz, nie mógł się jednak zatrzymać, żeby sprawdzić. Szedł, podskakując, po pokruszonej wstędze drogi, wzdłuż coraz wyższych, coraz bliżej rosnących krzewów, jednym okiem obserwując niebo, i oto nareszcie chatka. Długi niski budynek, drewniany, bez drzwi, ale wciąż z dachem.

Szybko, do cienia. A potem czekał. Było tak cicho.

Metalowe płyty nadające się tylko na złom, kawałki drewna, zardzewiałe druty Tam pewnie dawniej stały łóżka. Wybebeszony fotel. Obudowa radia, tak. to kiedyś musiało być radio: w tamtych latach takie produkowali, zaokrąglone, w kształcie bochenka chleba. Na niej zachowane pokrętko. Łyżka. Szczątki piecyka. Zapach smoły. Słońce wpadające przez szparę w suficie, przesiewające się przez kurz. Smużki dawno minionego osamotnienia, wyblakłej rozpacz

Czekanie było gorsze od marszu. Różne części ciała rwały bólem: stopy, serce. Jego oddech był tak hałaśliwy.

I wtedy przyszło mu na myśl, że może sam też jest na podsłuchu, że Chuck mógł zatroszczyć się o to na wszelki wypadek - niepostrzeżenie wsunąć mu do tylnej kieszeni mininadajnik. Jeśli tak, był ugotowany: w tej chwili mogli słyszeć jego oddech. Może nawet słyszeli, jak śpiewał. Namierzą go, walną w niego minirakietą i bum.

Nie mógł nic na to poradzić.

Po - ile? godzinie? - zobaczył ornodron nadlatujący na niskim pułapie. Tak, z północnego wschodu: Norman Wells. Skierował się prosto w

miejsce wypadku i chwilę tam krążył, transmitując obrazy wideo. Ktokolwiek sterował nim z bazy, podjął decyzję. Maszyna wypaliła w złamane skrzydło, pod którym leżał schowany Chuck. Dwa głucho wybuchy. Potem wysadziła w powietrze resztę toptera. Zeb wręcz słyszał głosy: Nikt nie przeżył. Jesteś pewien? Nie ma innej możliwości. Obaj? Na pewno. W każdym razie teraz już sprawa jest jasna, została spalona ziemia.

Wstrzymał oddech, ale dron nie podążył tropem płynącej kamizelki i zignorował rozpadającą się chatkę; zawrócił i skierował się tam, skąd przyleciał. Na pewno przede wszystkim chcieli dotrzeć na miejsce pierwsi, posprzątać i zniknąć, zanim zjawi się Ekipa Naprawcza Misiolotu.

Zjawiła się, a jakże, jak zwykle bez pośpiechu. Ruszcie się, pomyślał Zeb. Jestem głodny. Ekipa Naprawcza zawisała nad wrakiem, bez wątpienia o-mój-Bożąc, biedaczyskując, nie-mieli--szansząc. A potem też odleciała, z powrotem do Whitehorse.

Kiedy okolicę zasnuł czerwony zmierzch, zebrała się mgła i spadła temperatura, Zeb rozpalił małe ognisko na metalowej płycie, żeby nie wzniecić pożaru, wewnątrz budynku, tak że dym rozpraszał się o sufit, nie tworzył widocznej z daleka kolumny. Trochę się przy nim rozgrzał. Potem coś sobie ugotował. I zjadł.

- Ot tak? - mówi Toby. - Nie było to trochę raptowne?
- Co?
- No, w końcu to było... to znaczy...
- Chodzi ci o to, że to było mięso? Wegetariankę zgrywasz?
- Nie bądź złośliwy.
- Co, wolałabyś, żebym się przedtem pomodlił? Dzięki Ci, Panie, że uczyniłeś Chucka takim półgłówkiem i sprawiłeś, że zaspokoił mój głód

w ten niesamolubny, choć całkowicie niezamierzony i durny sposób?

- Żarty sobie robisz.
- To nie odstawiaj mi tu starej Ogrodniczki.
- Hej! Sam jesteś starym Ogrodnikiem! Byłeś prawą ręką Adama Pierwszego, filarem...
- Cóż, nie wtedy. Filarem, też coś. W każdym razie to zupełnie inna historia.

Wielka Stopa

Oczywiście, nie było to takie łatwe. Zeb pokroił mięso na małe kawałki, zrobił szpikulec z kawałka zardzewiałego drutu, a także wygłosił sobie kazanie - To jest Pożywienie, przez duże P! Myślisz, że wydostaniesz się stąd bez Pożywienia? Mimo to wystąpiły pewne trudności z przełykaniem. Na szczęście miał dużą wprawę w dystansowaniu się od rzeczy, które brał do ust, ostatnio od zarobaczywionego żarła w Misiolocie - niewykluczone, że zarobaczywionego po części zamierzenie, bo zasuszone i zmielone robaki były popularnym źródłem białka.

Jednak pierwsze próby tego rodzaju przeszedł wcześniej, bowiem jedna z wychowawczych kar stosowanych przez Wielebnego polegała na tym, że kto mówi rynsztokowym językiem, powinien poznać smak rynsztoka. Jak nie wąchać, jak nie czuć smaku, jak nie myśleć: zupełnie jak te trzy mały od hasła „nie widzieć nic złego, nie słyszeć nic złego, nie mówić nic złego”, jedna ślepa, druga głucha, trzecia niema, które siedziały na miniaturowej baryłce ropy na toalecie matki Zeba i zakrywały łapami naturalne otwory w głowie. Wzór dla niej do naśladowania, którego przykazałów skwapliwie przestrzegała. „Wymiotowałeś? Co masz na brodzie?”. Powiedział: Jesteś psem, żryj swoje rzygi. Wcisnął mi głowę do... „Ależ, Zebulonie, nie zmyślaj. Wiesz, że twój ojciec nie zrobiłby czegoś takiego! Kocha cię!”.

Zatrzasnąć to pod klapą, wtoczyć na nią głąz. W danej chwili istotniejsze było to, jak nie zamarznąć w nocy. W kącie leżało trochę popękanej papy, dużo pożytku z niej nie będzie, ale lepsze to niż nic. Rozłożył ją na podłodze jako namiastkę termo- i paroizolacji. Przydałyby się suche skarpety; blisko dogasającego ogniska ustawił małe tipi z patyków i rozwiesił na nim swoje przemoczone skarpety w nadziei, że się nie osmą. Potem ogrzał w węglach kilka niedużych kamieni. Wcisnął przemarznęte stopy do puchowej kamizelki, rozłożył dwie folie izotermiczne, swoją i Chucka, skulił się między nimi, pod spód wsunął gorące kamienie. Musisz rozgrzać wnętrze ciała, to była Pierwsza Lekcja. Pilnuj, żeby stopy ci nie odpadły, to zawsze dobry plan na przyszłość.

Pamiętaj, że z dłoni bez palców niewiele jest pożytku, gdy trzeba wykonywać czynności wymagające sprawnych mięśni małych, jak choćby wiązanie sznurowadeł.

Czy w nocy coś chrząkało za ścianami, czy coś w nie drapało? Drzwi nie było, więc każde stworzenie mogło swobodnie wejść. Rosomak, wilk, niedźwiedź. Może dym je odstraszył. Czy Zeb zasnął? Chyba tak. Dość szybko zrobiło się jasno.

Obudził się ze śpiewem na ustach.

Wędruję tu, wędruję tam, tylko gacie na tyłku mam,

Niunię jedną włochatą znam,

Cipka na medal, mówię ja wam...

Chrapliwa chora przyśpiewka z jakiejś męskiej imprezy. A jednak działała pobudzająco. Błyskawiczne zbratanie się gwarantowane.

- Zamknij się - powiedział do siebie. - Chcesz umrzeć błahą śmiercią?

- Co za różnica, i tak nikt nie patrzy - odciął się samemu sobie.

Skarpety nie były suche, ale trochę obeschły. Idiota, trzeba było ściągnąć skarpety Chucka z jego świętej pamięci rybio bladych stóp. Wciągnął skarpety, złożył folie izotermiczne i wcisnął do kieszeni - cholerstwa po wyjęciu nigdy nie chciały się na powrót zmieścić w swoich małych kopertach - spakował ekwipunek Małego Zucha i resztki pikniku, po czym ostrożnie wyjrzał przez otwór drzwiowy.

Wszędzie mgła. Szara jak kaszel chorego na rozedmę płuc. I w sumie dobrze, bo widoczność z powietrza będzie słaba, co zniechęci latających ciekawskich. Choć dla samego Zeba to niekoniecznie korzystne, bo nie będzie wiedział, dokąd właściwie idzie. Chociaż przecież na pewno wystarczy, by trzymał się drogi brukowanej żółtą kostką, tylko bez kostki i Szmaragdowego Miasta u kresu.

Miał do wyboru dwa kierunki: na północny wschód, do Norman Wells, niewygodną, rozpadającą się drogą zawałoną porzuconymi przez lodowiec głazami; albo na południowy zachód, do Whitehorse, przez zimne, mgliste górskie doliny. Oba cele były bardzo, bardzo odległe i gdyby miał oszacować swoje szanse powodzenia, nie postawiłby na sobie złamanego szeląga. Jednak droga do Whitehorse łączyła się od strony Yukonu z prawdziwą drogą, taką, po której mogły jeździć pojazdy silnikowe. Większe prawdopodobieństwo, że złapie okazję. Czy coś. Cokolwiek.

Ruszył przez mgłę, trzymając się podniszczonej żwirowej nawierzchni. Gdyby był bohaterem filmu, rozplątałyby się w bieli i na ekranie pojawiłyby się napisy końcowe. Ale nie tak szybko, nie tak szybko, jeszcze żył. „Ciesz się chwilą”, przekonywał samego siebie.

Jak dobrze nam zdobywać dupcie, jak dobrze nam obracać je,

Jak dobrze o nich śpiewać, choć czasem tak nam z nimi źle.

Chuj-la-la, chuj-la-la, chuj-la-la, chuj..

- Nie traktujesz tego poważnie - zganił samego siebie.
- Och, zamknij się - odparł. - W kółko to słyszę.

Rozmawiał ze sobą; niekoniecznie dobry znak. Robił to na głos; jeszcze gorzej. Dobrze chociaż, że nie majaczył, choć skąd właściwie mógł to wiedzieć?

Około jedenastej rano mgła wyparowała, niebo zrobiło się błękitne, zadął wiatr. Za Zebem podążały dwa kruki, kołowały wysoko w powietrzu, nurkowały, żeby mu się przyjrzeć, wymieniały nieuprzejme uwagi na jego temat. Czekwały, aż coś zacznie go pożerać, bo wtedy mogłyby się przyłączyć i uszczknąć małe co nieco: niezbyt wprawne w wykonywaniu pierwszych nacięć, zawsze polowały razem z myśliwymi. Zjadł energatona, dotarł na brzeg strumienia, z którego zmyło most, musiał wybrać: mokre buty czy okaleczone bosa stopy? Wybrał buty, ale

najpierw ściągnął skarpety. Woda była zimna przez duże Z.

- Do dupy ten ziąb - powiedział, bo taka była prawda.

Potem musiał zdecydować, czy włożyć z powrotem skarpety i je zamoczyć, czy też zaznać wątpliwej rozkoszy marszu w samych butach i niechybnego podrażnienia pęcherza, który już mu się zrobił. Buty wkrótce miały się stać praktycznie bezużyteczne.

- No i tak to było - mówi. - Byle do przodu. Przez cały dzień, przy wiejącym wietrze i świecącym słońcu.

- Jak daleko zaszedłeś? - pyta Toby.

- Jak to zmierzyć? Tam kilometry się nie liczą. Powiedzmy że nie dość daleko - mówi. - I wtedy już jechałem na oparach.

Noc spędził, siedząc w kucki między dwoma głazami. Drżał jak osika, mimo dwóch szeleszczących folii izotermicznych i ogniska, które rozpałił z uschłej wierzby i karłowatej brzozy rosnącej nad potokiem.

Kiedy przyszedł następny różowy zachód słońca, prowiant się skończył. Nie myślał już o niedźwiedziach ze strachem, przeciwnie, pragnął jakiegoś spotkać, dużego, tłustego, w którym mógłby zatopić zęby. Marzył o małych globulkach tłuszczu przesiewających się przez powietrze jak śnieg, taki, co opada grudkami, nie płatkami; wyobrażał sobie, jak na nim osiadają, w bruzdach i zakamarkach jego ciała, tuczą go. Mózg był w stu procentach z cholesterolu, Zeb potrzebował więc jego zastrzyku, łaknął go. Wizualizował sobie wnętrze swojego ciała, żebra osłaniające pustkę, pustkę najeżoną zębami. Gdyby wystawił język na tym opadzie tłuszczu, powietrze smakowałoby rosołem.

Z zapadającego mroku wyłoniło się karibu. Spojrzeli na siebie. Za daleko, żeby strzelać, za szybkie, by je ściagać. Skubańce śmigały po torfowiskach jak na nartach.

Następny dzień był pogodny, niemal upalny; kształty rozmywały się w

oddali jak fatamorgana. Czy w ogóle jeszcze był głodny? Trudno powiedzieć. Czuł, że słowa ulatniają się z niego, spalają się w słońcu. Wkrótce nie zostanie mu ani jedno i czy wtedy będzie mógł myśleć? Nie i tak, tak i nie. Ciężko będzie stawić czoło wszystkiemu, co wypełniało przestrzeń, przez którą się przemieszczał, bez szyby języka oddzielającej jego ja od nie-ja. Nie-ja przesączało się przez mechanizmy obronne Zeba, wnikało w szczeliny, nadźerało formę, zapuszczało korzonki w jego głowę niby rosnące na opak włosy. Wkrótce obrośnie go całego jak mech. Musiał iść dalej, zachować swoje kontury, określić samego siebie poprzez swoje fale uderzeniowe, ślad, który zostawiał za sobą w powietrzu. Zachować czujność, pozostać wyczulony na... na co? Na wszystko, co mogło się na niego rzucić i unieruchomić go na dobre.

W niskich nadbrzeżnych zaroślach przy następnym zmytym moście zmaterializował się niedźwiedź. Nie było go i nagle wyrósł jak spod ziemi, stanął na dwóch łapach, zaskoczony, wystawiający się na atak. Czy był pomruk, ryk, smród? Bez wątpienia, ale Zeb tego nie pamięta. Musiał prysnąć mu w oczy gazem, a potem wypalić do niego z bliska, nie ma jednak dokumentacji fotograficznej.

Zanim się spostrzegł, już oprawiał niedźwiedzia, ciął go raz po raz swoim marnym nożem. Krew po nadgarstki, a potem bonanza: mięso, futro. Dwa kruki stały w oddaleniu i wydając obfite w R dźwięki, czekały na swoją kolej: dla niego frykasy, dla nich resztki.

- Nie za dużo - przestrzegł samego siebie, przeżuając, bo pamiętał, czym grozi obżeranie się na pusty żołądek, zwłaszcza czymś tak treściwym i tłustym. - Po trochu. - Własny głos dochodził do niego stłumiony, jakby dzwonił do samego siebie spod ziemi. Jak to smakowało? Co za różnica? Czy zjadłszy serce niedźwiedzia, posiadał umiejętność mówienia językiem niedźwiedzi?

Wyobraź go sobie dzień, może dwa później, w połowie drogi do celu, gdziekolwiek ten jest, wciąż nietracącego wiary w jego istnienie. Ma nowe obuwie - onuce z niedźwiedziej skóry, noszone futrem do środka, przewiązane na krzyż paskami jak ostatni krzyk mody w komiksie o

jaskiniowcach. Ma pelerynę z futra, ma futrzaną czapkę i wszystko to służy mu też za śpiwór, ciężki i śmierzący. Taszczy zapas mięsa i kawał tłuszczu. Gdyby miał czas, przetopiłby tłuszcz na łój i wysmarował się nim, ale że sytuacja jest, jaka jest, wciska go sobie do ust jak paliwo w kęsach. I rzeczywiście jest to paliwo, spala je; czuje, jak płynie ciepłym strumieniem w jego żyłach.

- Żegnaj, trosko - śpiewa. Kruki dotrzymują mu towarzystwa, śledzą go. Jest ich już cztery: został Krukołapem z Hameln. - „Drozd na mym parapecie usiadł” - śpiewa im. Jego matka uwielbiała takie radosne, optymistyczne starocie. No i dziarskie hymny.

I oto względnie równym odcinkiem drogi z naprzeciwka nadjeżdża rowerzysta. Śmiałek na rowerze górskim, nabuzowany endorfinami. Od czasu do czasu przewijają się tacy przez Whitehorse, uzupełniają ekwipunek w sklepach ze sprzętem, jadą we wzgórza sprawdzić swoją wytrzymałość i siłę charakteru na Old Canol Trail. Pedalują aż do starej chatki - to ich zwykła trajektoria. Potem drałują z powrotem, chudsi, bardziej żyłaści, bardziej szaleni. Niektórzy przynoszą opowieści o uprowadzeniu przez kosmitów, inni o mówiących lisach, jeszcze inni o ludzkich głosach słyszanych nocą na tundrze. Czy raczej prawie ludzkich. Wabiących.

Nie, dwoje rowerzystów. Jeden dość daleko przed drugim. Sprzeczka zakochanych, domyśla się. Normalnie trzymaliby się razem.

Rower górski przydatna rzecz. Podobnie jak torby rowerowe i wszystko, co w nich mogło być.

Zeb chowa się w krzakach nad potokiem, czeka, aż pierwszy przejedzie. To kobieta, blondwłosa bogini o udach jak ze stali, w sam raz do łupania orzechów, ciasno opiętych strojem kolarskim. Patrzy zmrużonymi oczami spod opływowego kasku, groźnie, jakby z żądzą mordu srożąc skąpe brwi nad modnymi małymi goglami chroniącymi od wiatru i słońca. Jedzie sobie, ho-pla-hops na wybojach, z tyłkiem naprężonym jak implant cyca, i oto ukazuje się facet, daleko w tyle, posepny, usta

opuszczone w kącikach. Czymś jej podpadł, czuje nad sobą biczą. Dźwiga brzemień udręki, które Zeb może z niego zdjąć.

- Grrr - wrzeszczy Zeb, czy coś w tym sensie.
- Grrr? - mówi Toby ze śmiechem.
- Wiesz, co mam na myśli - mówi Zeb.

W skrócie: okryty futrem niedźwiedzim, warcząc, wyskakuje z krzaków na faceta. Cel wydaje zduszony jęk, potem słychać brzęk metalu o ziemię. Nie ma potrzeby biedakowi przyłożyć, sam z siebie zemdłał. Wystarczy wziąć rower z dwiema torbami i odjechać w siną dal.

Kiedy ogląda się za siebie, dziewczyna stoi nieruchomo. Może sobie wyobrazić, jak ułożyła swoje jeszcze niedawno zaciśnięte usta w szerokie O, O rozpaczy. Teraz będzie żałowała, że nawrzucała temu biedakowi. Popedałuje swoimi słoniowymi udami z powrotem, uklęknie przy nim, będzie go pielęgnować, kołysać i tulić w ramionach, oczyszczać zadrapania, przelewać łzy. Chłopak oprzytomnieje, spojrzy w jej nieokryte goglami oczy, prostak, i cokolwiek ich poróżniło, zostanie przebaczone. Potem zadzwonią z jej komórki po pomoc.

Co powiedzą? Może sobie wyobrazić.

Kiedy zniknął z pola widzenia u stóp wzgórza i za zakrętem, przetrząsa torby rowerowe. Istny skarb: pięć energatonów, jakiś produkt seropodobny, zapasowa bluza, minikuchonka z butlą paliwa, para suchych skarpet, zapasowe buty z grubymi podeszwami - za małe, ale obetnie czubki. Telefon komórkowy. Co najlepsze, tożsamość: część tego może się przydać. Rozbija telefon i chowa go pod kamieniem, po czym rusza na przełaj przez tundrę, ćtać ćtać, z rowerem i w ogóle.

Na szczęście widzi przed sobą palec, którą coś zryło, ani chybi rozwścieczony grolar poszukujący nieuchwytnych wiewiórek ziemnych. Zeb zagrzebuje się z rowerem w wilgotnej czarnej ziemi, zostawiając między grudami punkt obserwacyjny. Po długim czasie oczekiwania w

wilgoci dostrzega nadlatujący topter. Maszyna zawisa nad miejscem, gdzie dwoje młodych cyklistów na pewno tuli się do siebie, dygocze i dziękuje szczęśliwym gwiazdom, i oto spuszcza się drabinka, zakochani wjeżdżają na górę, po czym wolno, nisko lecący topter zabiera ich w siną dal, trzepu-trzep, pufu-puf. Będą mieli co opowiadać.

I opowiadają. Zeb czyta szczegółową relację później, w Whitehorse, jakiś czas po tym, kiedy zrzucił z siebie niedźwiedzią skórę i utopił w sadzawce, a następnie przebrany w świeże ciuchy dostarczone przez Fortunę złapał okazję, odświeżył się, zmienił uczesanie, przywłaszczył pewne elementy tożsamości rowerzysty i dla podleczenia swoich finansów przelał trochę gotówki tylnymi drzwiami, które znał na pamięć.

A jednak Sasquatche istnieją i przeniosły się na tundrę w górach Mackenzie. Nie, to nie mógł być niedźwiedź, niedźwiedzie nie jeżdżą na rowerach górskich. Poza tym istota miała ze dwa metry wzrostu, prawie ludzkie oczy, potwornie cuchnęła i przejawiała zgoła ludzką inteligencję. Jest nawet zdjęcie, zrobione telefonem komórkowym dziewczyny: brązowa plama zakreślona czerwonym kółkiem, żeby pokazać, która z licznych brązowych plam na fotografii jest tą najistotniejszą.

Nie mija tydzień, a zjeżdżają się tropiciele Wielkiej Stopy z całego świata i organizują ekspedycję na miejsce spotkania. Przeczesują okolicę w poszukiwaniu śladów stóp, kłaków sierści i stosów odchodów. Wkrótce, mówi ich przywódca, zdobędą niezbity dowód w postaci DNA i świat się przekona, że wszyscy niedowiarkowie są skorumpowani, skostniali, zacofani i ślepi na prawdę.

Już wkrótce.

Opowieść o Zebie, Dziękuję i Dobranoc

Dziękuję, że przynieśliście mi tę rybę.

„Dziękuję” znaczy... „Dziękuję” znaczy, że zrobiliście dla mnie coś dobrego. Albo coś, co uważaliście za dobre. A tym dobrym uczynkiem było podarowanie mi ryby. To mnie, owszem, ucieszyło, ale bardziej ucieszyło mnie to, że chcieliście, żebym się ucieszyła. To właśnie znaczy „Dziękuję”.

Nie, nie musicie dać mi jeszcze jednej ryby. Ta na razie wystarczy.

Nie chcecie usłyszeć opowieści o Zebie?

No to musicie słuchać.

Po tym, jak Zeb wrócił z wielkich wysokich gór o zaśnieżonych szczytach, po tym, jak zdjął z niedźwiedzia skórę i włożył ją na siebie, powiedział niedźwiedziowi „Dziękuję”. Duchowi niedźwiedzia.

Bo niedźwiedź go nie zjadł, tylko pozwolił się zjeść, a do tego podarował mu swoje futro.

„Duch” to ta część każdego z was, która nie umiera, kiedy umiera wasze ciało.

„Umiera” to... to jest to, co robią ryby, kiedy zostają złapane i ugotowane.

Nie, nie tylko ryby umierają. Ludzie też.

Tak. Wszyscy.

Tak, wy też. Kiedyś. Jeszcze nie teraz. Nieprędko.

Nie wiem dlaczego. Tak chciał Derkacz.

Bo...

Bo gdyby nic nie umierało, gdyby wszystko tylko rodziło więcej i więcej dzieci, świat by się przepełnił i zabrakłoby miejsca.

Nie, nie ugotują was na ognisku, kiedy umrzecie.

Bo nie jesteście rybą.

Nie, niedźwiedź też nie był rybą. I umarł śmiercią niedźwiedzia. Nie ryby. Dlatego nie został ugotowany na ognisku.

Tak, może Zeb powiedział „Dziękuję” też Oryks. Tak samo jak niedźwiedziowi.

Bo Oryks pozwoliła Zebowi zjeść jedno z jej Dzieci. Oryks wie, że niektóre jej Dzieci zjadają inne; tak je stworzyła. Te z ostrymi zębami. Wiedziała więc, że Zeb też mógł zjeść jedno z jej Dzieci, bo był bardzo głodny.

Nie wiem, czy Zeb powiedział „Dziękuję” Derkaczowi. Może sami zapytacie o to Zeba, kiedy go zobaczycie. Poza tym nie Derkacz panuje nad niedźwiedziami. Nad niedźwiedziami panuje Oryks.

Zeb nałożył futro niedźwiedzia, żeby było mu ciepło.

Bo było mu bardzo zimno. Bo tam było zimniej. Przez to, że otaczały go góry ze śniegiem na wierzchołkach.

„Śnieg” to woda, która zamarzała w małe kształty zwane płatkami.

„Zamarzała” to znaczy, że stała się twarda jak skała.

Nie, płatki śniegu nie mają nic wspólnego z Yeti-Jimmym, chociaż Yeti to Człowiek Śniegu.

Robię tak rękami na czole, bo głowa mi pęka. Nie, nie dosłownie, kiedy mówię, że mi pęka, to znaczy tylko, że mnie boli.

Dziękuję. Mruczenie na pewno by pomogło. Ale pomogłoby też, gdybyście nie zadawali tylu pytań.

Tak, myślę, że Amandę też boli głowa. Albo coś innego. Może to nad nią pomruczcie.

Myślę, że na dziś zakończymy opowieść o Zebie. Zobaczcie, wschodzi księżyc. Pora do łóżek.

Wiem, że nie macie łóżek. Ale ja mam łóżko. Dlatego czas już, żebym się w nim położyła. Dobranoc.

„Dobranoc” znaczy, że mam nadzieję, że będzie się wam dobrze spało i bezpiecznie obudzicie się rano, i że nie stanie się wam nic złego.

Na przykład... nie mam pojęcia, co złego mogłoby się wam stać.

Dobranoc.

BLIZNY

Blizny

Próbuje być dyskretna, co wieczór wymyka się samotnie po opowiedzeniu Derkaczanom kolejnej historii i, z dala od oczu wszystkich, dołącza do Zeba. Nikogo jednak w ten sposób nie nabiera, czy raczej nikogo spośród ludzi.

Naturalnie, to ich bawi. Przynajmniej tych młodszych - Lisa Płowego, Modraszka, Croze'a i Shackiego, Koliberka Hawańskiego. Pewnie nawet Ren. Nawet Amandę. Romanse chronologicznie obciążonych to pożywka dla śmichów i chichów. W młodzieńczych oczach usychanie z miłości nie pasuje do zmarszczek, przynajmniej nie bez narażania się na śmieszność. Przychodzi moment, kiedy to, co ponętne i miękkie, staje się zrogowaciałe i pomarszczone, płodne morze zmienia się w jałowy piach, a ona w ich przekonaniu ten próg już przekroczyła. Warzenie ziół, zbieranie grzybów, aplikowanie czerwi, hodowla pszczół, usuwanie kurzajek - role wiedźmy. Tym powinna się zajmować.

Co do Zeba, pewnie jest dla nich nie tyle komiczny, ile zagadkowy. Z ich socjobiologicznego punktu widzenia powinien robić to, co samcom alfa wychodzi najlepiej: pokrywać omdlewające z zachwyty osobniki żeńskie, które do niego należą, zapładniać je, przekazywać swoje geny następnemu pokoleniu za pośrednictwem samic, które w odróżnieniu od niej jeszcze mogą wydawać na świat młode. Dlaczego więc marnuje swój cenny pakiet plemników? - muszą się zastanawiać. Zamiast na przykład, mądrze go zainwestować w jajnikowe wytwory Lisa Płowego. I ta dziewczyna bez wątpienia tak właśnie to postrzega sądząc po jej mowie ciała: po tym, jak trzepocze rzęsami, pręży cycki, odrzuca kudły z twarzy, prezentuje pachy. Równie dobrze mogłaby wypinać niebieski tyłek jak Derkaczanie. Pawianami obrodziło.

Przestań, Toby, mówi sobie. Tak to się zaczyna w zamkniętych kręgach ludzi porzuconych, rozbitków i obrońców obłączonych twierdzy; zazdrością, niezgodą, wyłomem w murach myślenia grupowego. A potem następuje wejście nieprzyjaciela, mordercy, cienia wsuwającego się

przez drzwi, które zapomnieliśmy zamknąć, bo byliśmy zaprzątnięci podszeptami mrocznej części naszej psychiki: błahymi animozjami, pretensjami o drobiazgi, wrzeszczeniem na siebie nawzajem, ciskaniem naczyniami.

Osaczone grupy podatne są na takie niszczące procesy: obmawianie za plecami, walki wewnętrzne. U Ogrodników odbywali Medytacje Uważności na ten temat.

Odkąd zostali kochankami, Toby ma sny, że Zeb odszedł. W istocie rzeczywiście odchodzi, kiedy ona śni, bo nie zmieściliby się we dwoje na płycie wielkości jednoosobowego łóżka w jej małym pokoiku. Dlatego w środku każdej nocy Zeb wymyka się jak postać z prastarej farsy z życia arystokracji i wraca po omacku do swojej ciasnej klitki.

W jej snach jednak odszedł na dobre - daleko, nikt nie wie dokąd - a ona stoi za ogrodzeniem glinianego domku i patrzy w głąb drogi, teraz zarośniętej pnączami kudzu i zawalonej gruzami domów i wrakami samochodów. Słysząc ciche meczenie, a może to płacz? „Nie wróci”, mówi akwarelowy głos. „Nigdy nie wróci”.

To głos kobiety: Ren, Amandy czy samej Toby? Ten scenariusz jest słodko sentymentalny, jak pastelowa kartka z życzeniami - na jawie drażniłby ją, ale w snach ironia nie istnieje. Płacze tak rozpaczliwie, że jej ubrania są wilgotne od łez, świetlistych łez, które pełgają jak niebieskozielony płomyk gazowy w zapadającej ciemności, a może jest w jaskini? Wtedy jednak duże zwierzę podobne do kota przychodzi ją pocieszyć. Ociera się o nią, mruczy jak wiatr.

Budząc się, widzi, że jest z nią mały Derkaczanin. Uniósł brzeg wilgotnego prześcieradła, w które jest zaplątana, i delikatnie głaszcze ją po nodze. Pachnie pomarańczami i czymś jeszcze. Cytrusowym odświeżaczem powietrza. Wszyscy oni tak pachną, ale młodzi szczególnie.

- Co robisz? - pyta Toby najspokojniej, jak może. Ależ mam brudne paznokcie u nóg, myśli. Brudne i postrzępione. Nożyczki do paznokci:

dodać je do listy rzeczy do zebrania. Jej skóra wydaje się szorstka w porównaniu z nieskazitelnie czystą skórą dłoni tego dziecka. Czy on świeci wewnętrznym blaskiem, czy też jego skóra jest tak drobnoziarnista, że odbija światło?

- O Toby, pod spodem masz nogi - mówi chłopak. - Jak my.
- Tak - odpowiada ona. - Rzeczywiście.
- Czy masz piersi, o Toby?
- Tak, je też. - Uśmiecha się.
- Dwie? Dwie piersi?
- Tak - mówi Toby, opierając się pokusie, żeby dodać „na razie”. Co, spodziewał się, że ma jedną, trzy, a może cztery lub sześć, jak pies? Czy w ogóle kiedykolwiek widział psa z bliska?
- Czy spomiędzy twoich nóg wyjdzie dziecko, o Toby? Po tym, kiedy zrobisz się niebieska?

O co on pyta? Czy nie-Derkaczanie jak ona mogą mieć dzieci? Czy o to, czy może je mieć ona?

- Gdybym była młodsza, może wyszłoby ze mnie dziecko - mówi. - Ale teraz już nie. - Choć w jej wypadku nie wiek o tym decyduje. Gdyby jej życie inaczej się potoczyło. Gdyby dawno temu nie potrzebowała pieniędzy. Gdyby żyła w innym wszechświecie.
- O Toby - mówi mały Derkaczanin - na co chorujesz? Jesteś ranna? - Podnosi swoje piękne ramiona, żeby ją przytulić. Czy w jego dziwnych zielonych oczach lśnią łzy?
- Wszystko w porządku - mówi. - Już nie jestem ranna. - Sprzedała trochę swoich komórek jajowych, żeby mieć na komorne, w czasach, kiedy mieszkała w plebsopolii, zanim Boży Ogrodnicy wzięli ją do siebie.

Wywiązała się infekcja: zegnajcie, przyszłe dzieci. Ale chyba smutek z tym związany zakopała głęboko wiele lat temu? Jeśli nie, powinna to zrobić. Zważywszy na ogólną sytuację - sytuację tego, co kiedyś nazywano rodzajem ludzkim - takie uczucia powinno się odrzucić jako nieistotne.

Już ma dodać „Mam w sobie blizny”, ale powstrzymuje się. Co to jest blizna, o Toby? - takie byłoby następne pytanie. A ona musiałaby tłumaczyć. Blizna to tak jakby napis na ciele. Opowiada o czymś, co cię kiedyś spotkało, na przykład, że rozciąłeś sobie skórę i popłynęła krew. Co to jest napis, o Toby? Napis powstaje wtedy, kiedy kreślisz znaki na kartce papieru - na kamieniu - na płaskiej powierzchni, jak choćby piasek na plaży, i każdy ze znaków oznacza określony dźwięk, a połączone dźwięki oznaczają słowo, a połączone słowa oznaczają... Jak się robi taki napis, o Toby? Przy użyciu klawiatury, albo i nie... kiedyś robiło się napisy długopisem albo ołówkiem, a ołówek to... Można też robić napisy patykiem. O Toby, nie rozumiem. Robisz patykiem znak na swojej skórze, rozcinasz skórę i wtedy powstaje blizna, a ta blizna zamienia się w głos? I mówi do nas? O Toby, moglibyśmy usłyszeć, co mówi blizna? Pokaż nam, jak się robi takie mówiące blizny!

Nie, lepiej dać sobie spokój z gadaniem o bliznach. Jeszcze Derkaczanie wpadną na pomysł, żeby się pociąć dla sprawdzenia, czy w ten sposób wydobędą z siebie głosy.

- Jak ci na imię? - mówi do małego chłopca.
- Mam na imię Czarnobrody - odpowiada dziecko ze śmiertelną powagą.

Czarnobrody, osławiony pirat i morderca? To urocze dziecko? Dziecko, które nie będzie miało brody, kiedy dorośnie, bo Derkacz wyeliminował owłosienie w stworzonym przez siebie nowym gatunku. Wielu Derkaczan ma dziwne imiona. Według Zeba nadał im je Derkacz; Derkacz, ze swoim osobliwym poczuciem humoru. Choć właściwie czemu ich imiona nie miałyby być dziwne, skoro sami, ogólnie rzecz

biorąc, są dziwni?

- Bardzo mi miło cię poznać, o Czarnobrody - mówi Toby.
- Czy zjadasz swoje odchody, o Toby? — pyta Czarnobrody. - Tak jak my? Żeby lepiej przetrwać liście?

Jakie odchody? Jadalne kupy? Nikt jej nie uprzedził!

- Pora, żebyś wrócił do swojej matki, o Czarnobrody - mówi Toby. - Na pewno się o ciebie martwi.
- Nie, o Toby. Wie, że jestem z tobą. Mówi, że jesteś dobra i miłosierna. - Uśmiecha się, obnażając idealne małe zęby: urzekające. Wszyscy oni są tak atrakcyjni; jak z retuszowanych reklam kosmetyków. - Jesteś dobra jak Derkacz. Jesteś miłosierna jak Oryks. Czy masz skrzydła, o Toby? - Wyciąga szyję, Próbuje zajrzeć jej za plecy. Może wcześniej przytulił ją tylko po to, żeby ukradkiem wymacać, czy aby nie rosną jej z tyłu jakieś pierzaste kikuty.
- Nie - mówi Toby. - Skrzydeł brak.
- Kiedy urosnę, będę z tobą spółkował - mówi Czarnobrody. Oznajmia to heroicznym tonem. - Nawet jeśli jesteś... nawet jeśli jesteś tylko trochę niebieska. Wtedy będziesz miała dziecko! Urośnie w twojej jamie kostnej! Będziesz szczęśliwa!

Tylko trochę niebieska. Z tego by wynikało, że potrafi mniej więcej określić jej wiek, chociaż Derkaczanie nie znają słowa „stara”.

- Dziękuję, o Czarnobrody - mówi Toby. - A teraz zmykaj. Muszę zjeść śniadanie. I pójść do Jimmy’ego... pójść do Yeti--Jimmy’ego, żeby zobaczyć, czy mu się polepszyło. - Siada prosto i mocno stawia stopy na podłodze, znak, że chłopak ma wyjść.

Nie zrozumiał aluzji.

- Co to jest „śniadanie”, o Toby? - pyta. Zapomniała: ci ludzie nie jedzą posiłków jako takich. Pasą się jak roślinożercy.

Mały ogląda jej lornetkę, naciska palcem stos prześcieradeł. Głodzi stojący w kącie karabin. Tak samo pewnie zachowywałoby się normalne dziecko: tym się od niechcienia pobawić, to z zaciekawieniem wziąć do ręki.

- Czy to jest twoje śniadanie?

- Nie dotykaj tego - mówi Toby z ostrą nutą w głosie. - To nie śniadanie, to taki specjalny przyrząd do... Śniadanie to coś, co jemy rano; my, czyli ludzie z dodatkową skórą.

- Czy to jest ryba? - pyta chłopiec. - To śniadanie?

- Czasami - tłumaczy. - Ale dziś na śniadanie zjem kawałek zwierzęcia. Zwierzęcia z futrem. Może jego nogę. Będzie w niej śmierdząca kość. Nie chciałbyś chyba zobaczyć takiej śmierdzącej kości, co? - pyta. Tym go na pewno przepłoszy.

- Nie - mówi mały z powątpiewaniem. Marszczy nos. Wydaje się jednak zaintrygowany: kto nie chciałby zerknąć zza zasłony na odrażającą ucztę trolli?

- To lepiej już idź - mówi Toby.

On mimo to zostaje.

- Yeti-Jimmy opowiadał, że źli ludzie w czasie chaosu jedli Dzieci Oryks - mówi. - Zabijali je i zabijali, a potem jedli i jedli. Bez przerwy.

- Tak, to prawda - przyznaje Toby - ale jedli je nie tak, jak trzeba.

- Czy tamci dwaj źli ludzie też jedli je nie tak, jak trzeba? Ci, co uciekli?

- Tak - odpowiada Toby.

- A jak ty je jesz, o Toby? Nogi Dzieci? - Utkwił w niej swoje wielkie oczy, jakby miała lada chwila wysunąć kły i rzucić się na niego.

- Tak jak trzeba - odpowiada ona w nadziei, że nie będzie dociekał, co to znaczy.

- Widziałem śmierdzącą kość. Za kuchnią. Czy to jest śniadanie? Czy źli ludzie jedzą takie kości? - pyta Czarnobrody.

- Tak - mówi Toby. - Robią też jednak inne złe rzeczy. Wiele złych rzeczy. Znacznie gorszych. Wszyscy musimy być bardzo ostrożni i nie chodzić samotnie do lasu. Jeśli zobaczysz tych złych ludzi czy kogoś takiego jak oni, masz mi natychmiast o tym powiedzieć. Albo Crozierowi, Rebecce, Ren lub Dzieciołowi Wielkodziobemu. Komuś z nas. - Już kilka razy wbijała to do głów wszystkim Derkaczanom, dorosłym też, ale nie jest pewna, czy do nich dotarło. Wpatrują się w nią i potakują, powoli przeżuując jakby w zamyśleniu, ale nie sprawiają wrażenia przerażonych. Ten ich brak strachu jest niepokojący.

- Nie Yeti-Jimmy'emu ani Amandzie - mówi chłopiec. - Im nie możemy powiedzieć. Bo są chorzy. - Choć tyle załapał. Zawiesza głos, jakby coś rozważał. - Ale Zeb przepędzi złych ludzi. Wtedy będzie bezpiecznie.

- Tak - potwierdza Toby. - Wtedy będzie bezpiecznie. - Derkanie stworzyli już imponujący zestaw wierzeń dotyczących Zeba. Wkrótce stanie się wszechmocny i zdolny naprawić każde zło: a to może być kłopotliwe, bo oczywiście taki nie jest. Nawet dla mnie, myśli Toby.

Jednak imię Zeba dodaje Czarnobrodemu otuchy. Znów się uśmiecha, podnosi dłoń, lekko nią kiwa jak dawny prezydent, jak królowa w kawalkadzie, jak gwiazda filmowa. Gdzie on poznał ten gest? Teraz wymyka się tyłem przez otwór drzwiowy. Nie odrywa oczu od Toby, dopóki nie znika za węglem.

Przestraszyłam go? - zastanawia się. Czy wróci do swoich i będzie im opowiadał obrzydliwe cuda, tak jak robią to prawdziwe... tak jak robią to dzieci?

Bioaleta kompostowa

Na zewnątrz głównego budynku dzień trwa w najlepsze. Reszta musiała już zjeść śniadanie, choć Lis Płowy i Dzieciół Wielkodzioby jeszcze siedzą przy stole, niewątpliwie oddając się jakiejś zagadkowej formie flirtu, ona dla treningu, on z żalosną powagą.

Toby rozgląda się za Zebem, nigdzie go jednak nie widać; może bierze prysznic. Crozier wyprowadza stado megarunosów; jest z nim Koliberek Hawański, dzierży miotacz, osłania towarzysza. Hamak Jimmy'ego wisi pod drzewem, czuwa przy nim trio Derkaczan.

Modraszek i Ren pracują nad dobudówką do głównego domu. MaddAddamowcy przegłosowali zwiększenie liczby boksów sypialnych; nowe mają być przestronniejsze, bardziej przypominać prawdziwy dom. Główny budynek powstał po to, żeby ludzie mogli zobaczyć, jak się żyło w dawnych czasach; namiastka starożytności jak dinozaur z cementu. Kiedyś organizowano na tym terenie Wymianę Materiałów Naturalnych „Drzewo Życia”; Toby pamięta, jak przychodziła tu z Bożymi Ogrodnikami handlować mydłem z odzysku, octem i miodem własnej produkcji, a także grzybami i warzywami hodowanymi w ogrodzie na dachu. To było w czasach, kiedy jeszcze miał kto kupować i sprzedawać rzeczy.

Powinnam rozejrzeć się za pszczołami, myśli. Na pewno jakieś uciekinierki żyją na drzewach. Opieka nad kilkoma ulami byłaby nie tylko uspokajająca, ale i pożyteczna.

Budowa aneksu do domku z gliny musi się odbywać etapami. Tego ranka Ren i Modraszek mieszają błoto, słomę i piach, w plastikowym brodziku ozdobionym Myszkami Miki. Drewniany szkielet jest gotowy, dzień w dzień nakładane są kolejne warstwy gliny. Popołudniowe burze utrudniają ich suszenie, ale na szczęście udało się zdobyć plastikowe folie, którymi można je osłonić.

Amanda siedzi z rękami na podołku obok pracujących dziewczyn i nic nie

robi. Przeważnie nic nie robi. Może to taki powolny proces dochodzenia do siebie, myśli Toby, coś jak powolne gotowanie. Może dzięki temu efekt końcowy będzie lepszy. Dobrze chociaż, że trochę przybrała na wadze. Od kilku dni przynajmniej się stara: wyrwała jeden, dwa chwasty, zabita parę ślimaków. Dawniej, w Ogrodzie na Dachy Edencliff, translokowali by Naszych Warzywożernych Braci, zrzucając ich na ulicę - ślimaki też mają prawo do życia, głosiła mantra, chociaż nie w nieodpowiednich miejscach jak salaterki, w których groziło im okaleczenie ludzkimi zębami. Teraz jednak namnożyło się ich tak wiele - wydawałoby się, że każda roślina je samorzutnie wytwarza - że za ogólną, choć niewypowiedzianą zgodą lądują w słonej wodzie.

Amandzie zdaje się to sprawiać pewną przyjemność, mimo że ślimaki wiją się i pienia. Jednak praca przy budowie aneksu to dla niej zbyt wiele. Kiedyś była taka silna; nic jej nie przerażało. Była twardym plebszczurem, niezrównaną spryciarą, ze wszystkim mogła sobie poradzić. Z nich dwóch to Ren była tą słabszą, bardziej bojaźliwą. Cokolwiek spotkało Amandę - cokolwiek zrobili jej paintbólowcy - musiało być koszmarnie.

Kilku małych Derkaczan przygląda się mieszaniu błota. Bez wątplenia zadają pytania. „Dlaczego to robicie? Czy wytwarzacie chaos? Co to jest, to takie z czarnymi kólkami na głowie? Co to jest ‘myszki’? Ale przecież myszy tak nie wyglądają, widzieliśmy myszy, myszy nie mają dużych białych dłoni” i tak dalej. Wszystkie nowe rzeczy, które odkrywają na terytorium MaddAddamowców, budzą ich zadziwienie. Wczoraj Crozier znalazł paczkę papierosów, kiedy prowadził megarunosa na wypas, i Derkaczanie jeszcze nie ochłonęli z wrażenia. „Podpalił biały patyk! Włożył go do ust! Wdychał dym! Dlaczego to zrobiłeś, o Crozierze? Dym nie służy do oddychania, dym służy do gotowania ryby” i tak dalej.

- Powiedz im, że tak chciał Derkacz - poradziła Toby i Crozier usłuchał. Powoływanie się na Derkacza było dobre na wszystko.

Część Derkaczan - grupa kobiet, kilkoro mniejszych dzieci - jest na dawnym placu zabaw poza obrębem ogrodu domku z gliny i wsuwają

pnącza kudzu oplatające huśtawkę. Kudzu to jedna z ich ulubionych roślin, co dowodzi da-lekowzrocności Derkacza, bo czego jak czego, ale kudzu nieprędko zabraknie. Czerwona plastikowa zjeżdżalnia jest już prawie w całości odsłonięta i dzieci głaszczą ją jak żywą istotę. Kto pamiętał, że tam były huśtawki, dopóki nie wzięli się do jedzenia?

Toby idzie do bioalety kompostowej nie tylko za potrzebą, ale i dlatego, że nie chce usiąść do stołu do czasu, aż odejdzie od niego Lis Płowy. Świadomie powstrzymuje cisnące się do myśli słowo „szmata”: kobieta nie powinna tak nazywać drugiej kobiety, zwłaszcza bez konkretnego powodu.

Pewna jesteś? - pyta jej wewnętrzny głos, ten skory do rzucania szmatami. Widziałaś, jak patrzy na Zeba. Rzęsy jak muchołówki i to pożądliwe łypanie tęczówkami z ukosa niby w przestarzałej reklamie taniej roboprostytutki: Bakterioodporne Włókna, Spłukiwanie Płynów W 100%, Realistyczne Jęki, ŚciskoMierz Dla Optymalnej Satysfakcji.

Bierze oddech, przypomina sobie wszystko, czego Ogrodnicy nauczyli ją o medytacji. Wizualizuje sobie swój gniew wysuwający się przez skórę jak róg ślimaka, potem pozwala małemu pąkowi wściekłości uschnąć i odpaść. Uśmiecha się dobrotliwie w kierunku Lisa Płowego, myśląc: Chcesz tylko szybkiego bzykanka, chcesz go usidlić jedynie po to, żeby pokazać, że możesz. Powiesić go na ścianie razem z innymi trofeami. Nic o nim nie wiesz, nie możesz go naprawdę cenić, nie jest twój, nie masz pojęcia, jak długo czekałam...

Co nic nie znaczy. Nikogo to nie obchodzi. Nie ma sprawiedliwości, nie ma własności. Nie zdobyła go na wyłączność. Jeśli Zeb wskoczy do łóżka z Lisem Płowym - nawet jeśli pójdzie do tego łóżka na palcach, nawet jeśli się do niego wsunie - nie będzie miała prawa nic, ale to nic na ten temat powiedzieć. Kto wie, może on już teraz trzyma dwie sroki za ogon, może zostawia ją rozkosznie senną - chociaż czy nie są trochę za bardzo jak najlepsi kumple, tacy do wypitki i wybitki, nic ponadto? - a sam, w skrytości ducha wciąż nienasycony, wymyka się i wchodzi w inne drzwi, żeby żarłocznie wślizgnąć się w żarłocznego Lisa Płowego.

Ta myśl jest nie do zniesienia, więc nie będzie o tym myśleć. Nie chce o tym myśleć. Zmusza się, żeby o tym nie myśleć.

Bioalety kompostowe są częścią pierwotnego wyposażenia parku: trzy kabiny dla panów, trzy dla pań. Ich baterie słoneczne jeszcze działają, zasilają ultrafioletowe diody LED i małe silniczki wentylatorów napowietrzających. Dopóty, dopóki bioalety będą sprawne, MaddAddamowcy nie będą musieli kopać latryn. Szczęśliwie na pobliskich ulicach jest pod dostatkiem papieru toaletowego, bo nie był to towar szczególnie pożądanym podczas plądrowania po wybuchu zarazy. Co zrobić z paletą papieru toaletowego? Upić się tym nie upijesz.

Ściany wewnątrz bioalety wciąż pokryte są napisami plebsopolitów: zebrało się ich kilka warstw, zachodzą jeden na drugi. Był czas, że ludzie, wciąż wierni pewnym zasadom przyzwoitości, próbowali tę twórczość zamalowywać, ale kilku młodym zwolennikom anarchistycznej autoekspresji wystarczyła jedna godzina, by zniszczyć białą powierzchnię, którą ekipa sprzątająca przez trzy dni doprowadzała do stanu nijakości.

Daryn, jam twoją suką, tyś moim panem

<3 cię i nigdy nie przestanę

Ch W D Korpom

Loris nadęta pizda

Niech cię zgwałci 100 000 pitbullów

Kto po ścianach ubikacji maże, Powinien ze swojego gówna ulepić draże,
A ci, co czytają tych mądrości treść, Powinni te draże z gówna zjeść

Zadzwoń/ Najlepsza jakość za twoje \$/ Będziesz krzyczała 24h/dobę i utoniesz w morzu Spermy

WARA ODE MNIE K... ASIE BO DOSTANIESZ KOSE

I nieśmiało, niedokończone: Dajcie szansę miłości Światu Potrzeba

Co jeść, gdzie srać, jak się schronić, kogo i co zabić: czy to są podstawy? -
myśli Tobie. Do tego doszliśmy czy też się stoczyliśmy; a może
wróciliśmy?

I kogo kochasz? Kto kocha ciebie? Kto cię nie kocha? I, jak o tym
pomyśleć, kto cię głęboko nienawidzi.

Mrugnięcie

Pod drzewami Jimmy wciąż śpi. Toby mierzy mu tętno - spokojniejsze; zmienia czerwie - rana stopy już się jątrzy; i wlewa w niego trochę eliksiru z grzybów zmieszanego z odrobiną Maku.

Wokół hamaka stoi owal krzesel, jakby Jimmy był głównym daniem na uczcie, olbrzymim łososiem, niedźwiedziem na półmisku. Trzej Derkaczanie mruczą nad nim na zmianę: dwaj mężczyźni i kobieta, jedno koloru złota, drugie kości słoniowej, trzecie hebanu. Co kilka godzin inna trójka. Czy mają ustalony limit mruczenia, czy są jak akumulatory, które trzeba doładowywać? Oczywiście, potrzebują trochę czasu na to, żeby się wypaść i napić, ale czy mruczenie jako takie ma swego rodzaju częstotliwość prądu?

Nigdy się tego nie dowiemy, myśli Toby, zatykając Jimmy'emu nos, żeby zmusić go do otwarcia ust: nie ma jak podłączyć ich mózgow do sprzętu badawczego, już nie. Dla nich to i lepiej. W dawnych czasach zostaliby uprowadzeni z kopuły Projektu Wy Raj przez konkurencyjną Korporację, a potem kłuto by ich strzykawkami, rażono prądem, dogłębnie badano i krojono na kawałki, żeby zobaczyć, z czego się składają. Jak funkcjonują, co sprawia, że mruczą, co ich napędza. Co, jeśli cokolwiek, może im zaszkodzić. Skończyliby jako wycinki DNA w zamrażalniku.

Jimmy przetyka, wzdycha, jego lewa dłoń drga.

- Jak się dziś ma? - pyta Toby trzech Derkaczan. - Obudził się choć na chwilę?
- Nie, o Toby - mówi złocisty mężczyzna. - Wędruje. - Ma jaskraworude włosy, długie smukłe członki; pomimo koloru skóry wygląda jak postać z bajki dla dzieci. Irlandzkiej legendy.
- Ale teraz przestał - mówi hebanowy mężczyzna. - Wszedł na drzewo.
- Nie jego prawdziwe drzewo - uściśla kobieta koloru kości słoniowej. -

Nie drzewo, na którym mieszka.

- Zasnął na tym drzewie - dodaje hebanowy mężczyzna.
- To znaczy, że co, śpi we śnie? - pyta Toby. Coś tu nie gra; to chyba nie powinno być możliwe. - Na drzewie, o którym śni?
- Tak, o Toby - mówi kobieta koloru kości słoniowej. Wszyscy troje patrzą na Toby swoimi świetlistymi oczami, jakby ona kręciła nitką, a oni byli znudzonymi kotami.
- Możliwe, że zasnął na długo - mówi złocisty mężczyzna.
- Utknął na tym drzewie. Jeśli się nie ocknie i nie przyjdzie tutaj, już nigdy się nie obudzi.
- Przecież mu się polepszyło! - protestuje Toby.
- Boi się - mówi rzeczowym tonem kobieta koloru kości słoniowej. - Boi się tego, co jest na tym świecie. Boi się złych ludzi, boi się Świniowych. Nie chce się obudzić.
- Możecie z nim porozmawiać? - pyta Toby. - Powiedzieć mu, że lepiej się ocknąć? - Nie zaszkodzi spróbować: może mają jakiś niesłyszalny sposób porozumiewania się, dzięki któremu w stanie nawiązać kontakt z Jimmym, gdziekolwiek jest. Jakaś częstotliwość, wibrację.

W tej chwili nie patrzą jednak na nią. Patrzą na Ren i Modraszka, które nadchodzą z Amandą, schowaną za ich plecami.

Siadają na pustych krzesłach, Amanda z wahaniem. Ren i Modraszek są ubłocone po pracy na budowie, ale Amanda jest nieskazitelnie czysta. Dwie przyjaciółki co rano myją ją pod prysznicem, wybierają dla niej świeże prześcieradło, zaplatają jej warkocze.

- Pomyślałyśmy, że zrobimy sobie przerwę w pracy - mówi Ren. - Zobaczmy, jak miewa się Jimmy... Yeti-Jimmy.

Kobieta koloru kości słoniowej uśmiecha się do nich szeroko, dwaj mężczyźni mniej szeroko: Derkaczanie płci męskiej ostatnio czują się nieswojo w towarzystwie młodszych kobiet z glinianego domku. Od kiedy zrozumieli, że żywiołowa kopulacja grupowa jest niedopuszczalna, nie wiedzą, czego się od nich oczekuje. Naradzają się zniżonymi głosami, kobieta koloru kości słoniowej musi mruczeć sama.

„Czy jest niebieska? Jedna jest niebieska. Tamte dwie były niebieskie, połączyliśmy nasze niebieskie z ich niebieskim, ale nie były z tego zadowolone. Nie są jak nasze kobiety, nie są szczęśliwe, są rozbite. Czy stworzył je Derkacz? Dlaczego stworzył je nieszczęśliwymi? Oryks się nimi zaopiekuje. Czy Oryks się nimi zaopiekuje, skoro nie są takie jak nasze kobiety? Kiedy Yeti-Jimmy się przebudzi, zapytamy go o te sprawy”.

Chciałabym być muchą na ścianie, myśli Toby. Posłuchać, jak Jimmy usprawiedliwia postępowanie Derkacza wobec ludzi czy też półludzi.

- Czy Jimmy... czy Yeti-Jimmy wyjdzie z tego? - pyta Modraszek.
- Myślę, że tak - mówi Toby. - Będzie to zależało od jego...
- Nie chce powiedzieć „układu odpornościowego”, bo Derkaczanie usłyszą. („Co to jest ‘układ odpornościowy’? To coś, co macie w sobie, coś, co wam pomaga i was wzmacnia. Gdzie możemy znaleźć układ odpornościowy? Czy to dar Derkacza, czy ześle nam układ odpornościowy?” i tak dalej.) - To zależy od jego snu. - Derkaczanie pozostawiają to bez komentarza; na razie nieźle. - Ale jestem pewna, że wkrótce się obudzi.
- Musi coś zjeść - mówi Modraszek. - Jest taki chudy! Nie może żyć powietrzem.
- Bez jedzenia można długo wytrzymać - stwierdza Ren. - Odbywaliśmy posty, wiesz, u Ogrodników. Da się przeżyć wiele dni. Tygodni. - Pochyliła się i wyciąga rękę, żeby przygłodzić włosy Jimmy’ego. - Przydałoby się umyć mu głowę - mówi. - Zaczyna śmierdzieć.

- Chyba coś powiedział - zauważa Modraszek.
- Mamrocze przez sen. Mogłybyśmy go obmyć - mówi Ren.
- No wiesz, gąbką. - Pochyliła się niżej. - Jest jakiś wysuszony. Biedny Jimmy. Mam nadzieję, że nie umrze.
- Podaję mu płyny - mówi Toby. -I karmię go miodem. - Dlaczego brzmi jak siostra przełożona? - Poza tym myjemy go - broni się. - Codziennie.
- Cóż, w każdym razie chyba ma już mniejszą gorączkę - stwierdza Modraszek. - Jest chłodniejszy. Nie sądzisz?

Ren dotyka czoła Jimmy'ego.

- Nie wiem - mówi. - Jimmy, słyszysz mnie? - Wszyscy patrzą; Jimmy ani drgnie. - Jak dla mnie jest ciepły. Amanda? Weź sama zobacz. - Chce dać jej poczucie, że jest potrzebna, myśli Toby. Zainteresować ją czymś. Ren zawsze była dobrym dzieckiem.

„Jeśli jest niebieska, ta Modraszek, czy powinniśmy z nią spółkować? Nie, nie powinniśmy. Nie śpiewaj im, nie zbieraj dla nich kwiatów, nie kiwaj na nie penisem. Te kobiety krzyczą z przerażeniem, nie wybierają nas, nawet jeśli dajemy im kwiat, nie podobają im się kiwające penisy. Nie dajemy im radości, nie wiemy, dlaczego krzyczą. Ale czasem nie krzyczą z przerażeniem, czasem...

- Muszę się położyć - mówi Amanda. Wstaje, odchodzi niepewnym krokiem w stronę domku z gliny.
- Szczerze się o nią martwię - stwierdza Ren. - Rano wymiotowała, nie mogła zjeść śniadania. To głęboki Ugór.
- Może złapała jakiegoś bakcyła - mówi Modraszek. - Zjadła coś, co jej zaszkodziło. Musimy znaleźć lepszy sposób zmywania naczyń, woda chyba nie jest...

- Zobacz - wtrąca Ren. - Mrugnął.
- Słyszysz cię - mówi kobieta koloru kości słoniowej. - Słyszysz twój głos i teraz znów wędruje. Jest szczęśliwy, chce być z tobą.
- Ze mną? - pyta Ren. - Naprawdę?
- Tak. Zobacz, uśmiecha się. - Rzeczywiście widać uśmiech, a przynajmniej cień uśmiechu, myśli Toby. Chociaż może tylko dostał gazów jak niemowlak.

Kobieta koloru kości słoniowej spędza komara z ust Jimmy'ego.

- Niebawem się obudzi - mówi.

ZEB W CIEMNOŚCI

Zeb w ciemności

Jest wieczór. Toby wymigła się od opowiadania Derkaczanom historii na dobranoc. Te opowieści kosztują ją dużo zdrowia. Nie dość, że musi włożyć idiotyczną czerwoną czapkę i zjeść rytualną rybę, która nie zawsze zasługuje na miano ugotowanej, to jeszcze musi wymyślać tyle szczegółów. Nie lubi kłamać, przynajmniej naumyślnie, chociaż w tym wypadku może nie tyle kłamać, ile omija mroczniejsze i bardziej pogmatwane zakamarki rzeczywistości. To tak, jakby pilnować, żeby grzanka przypiekła się, ale nie przypaliła.

- Przyjdę jutro - powiedziała im. - Dziś muszę zrobić coś ważnego dla Zeba.
- Co ważnego musisz zrobić, o Toby? Chcielibyśmy być twoimi pomocnikami. - Przynajmniej nie zapytali, co to znaczy „ważny”. Zdaje się, że mają już o tym jakie takie pojęcie: to coś między niebezpiecznym a przepysznym.
- Dziękuję wam - powiedziała. - Ale to coś, co tylko ja mogę zrobić.
- Czy to dotyczy złych ludzi? - zapytał mały Czarnobrody.
- Nie - powiedziała Toby. - Nie widzieliśmy złych ludzi od wielu dni. Może poszli daleko stąd. Nadal jednak musimy być ostrożni i pamiętać, że jeśli ich zobaczymy, trzeba komuś o tym powiedzieć.

Zaginął jeden z megarunosów, powiedział jej Crozier na osobności - ten rudowłosy z warkoczykami - ale może po prostu odłączył się od stada na wypasie. Albo dopadł go lwiagnior.

Lub coś gorszego, myśli Toby: coś w ludzkiej skórze.

Dzień był parny. Nawet popołudniowa burza nie przegnała wilgoci. W normalnych warunkach - ale co to znaczy „normalne”? - przy takiej pogodzie żądza powinna stracić swoją potężną moc, stać się

przytłumiona, jakby schowana pod wilgotnym materacem. Ona i Zeb powinni być oklapnięci, osłabieni, wyczerpani. Tymczasem urwali się pozostałym jeszcze wcześniej niż zwykle, pożądanie buchało z nich wszystkimi porami, zraszało skórę potem, napełniało wszystkie naczynka włoskowate, i nie minęła chwila, a już miotali się jak traszki w kałuży.

Teraz zapadł głęboki zmierzch. Sina ciemność podnosi się z ziemi, nietoperze śmigają jak skórzaste motyle, otwierają się nocne kwiaty, napełniając powietrze piżmem. Siedzą we dwoje w ogrodzie kuchennym, żeby orzeźwić się wieczornym, ledwo wyczuwalnym wietrzykiem. Ich palce są luźno splecione; Toby wciąż czuje słaby prąd elektryczny płynący między nią a Zebem. Małe opalizujące ćmy trzepoczą skrzydłami wokół ich głów. Jak dla nich pachniemy? - zastanawia się. Jak grzyby? Jak zgniecione płatki? Jak rosa?

- Pomóż mi - mówi Toby. - Muszę wiedzieć więcej, przez wzgląd na Derkaczan. Nie mogą się tobą nasycić.
- Na przykład co?
- Jesteś ich bohaterem. Chcą znać twój życiorys. Twój nadprzyrodzony rodowód, twoje heroiczne czyny, twoje ulubione przepisy kulinarne. Jesteś dla nich jak członek rodziny królewskiej.
- Dlaczego ja? - mówi Zeb. - Myślałem, że Derkacz wyeliminował to wszystko. Takie rzeczy nie powinny ich interesować.
- Ale interesują. Mają obsesję na twoim punkcie. Jesteś ich gwiazdą rockową.
- Psia w mordę mać. Nie możesz wymyślić jakichś pierdoł?
- Maglują mnie jak prawnicy - mówi Toby. - Potrzebne mi są choć podstawowe fakty. Tworzywo. - Czy chce wiedzieć o nim wszystko dla Derkaczan, czy dla samej siebie? Jedno i drugie. Głównie jednak dla siebie.

- Jestem jak otwarta księga - stwierdza Zeb.
- Nie migaj się.

Zeb wzdycha.

- Nie znoszę wracać do tego wszystkiego. Raz to przeżyłem, wystarczy. Kogo to obchodzi?
- Mnie - mówi Toby. I ciebie też, myśli. Wciąż cię to obchodzi.
- Zamieniam się w słuch.
- Uparta jesteś, co?
- Mam całą noc. A zatem urodziłeś się...
- Tak, tyle mogę przyznać. - Kolejne westchnienie. - No dobra. Na początek musisz zrozumieć: trafiły nam się niewłaściwe matki.
- W jakim sensie niewłaściwe? - mówi do twarzy, którą ledwo widzi. Płaszczyna policzka, cień, błysk oka.

Opowieść o narodzinach Zeba

Nałożyłam czerwoną czapkę Yeti. Zjadłam rybę. Posłuchałam błyszczącej rzeczy. Teraz opowiem historię narodzin Zeba.

Nie musicie śpiewać.

Zeb nie wywodzi się od Derkacza jak Yeti. Nie został też stworzony przez Oryks jak króliki. Urodził się tak samo, jak rodzicie się wy. Wyrósł w jamie kostnej jak wy i wyszedł tunelem kostnym jak wy.

Bo pod skórą naszych ubrań jesteście tacy sami jak wy. Prawie tacy sami.

Nie, nie robimy się niebiescy. Chociaż czasami możemy pachnieć na niebiesko. Ale nasza jama kostna jest taka sama.

Nie sądzę, że to dobry moment na rozmowę o niebieskich penisach.

Wiem, że są większe. Dziękuję, że zwróciliście mi na to uwagę.

Tak, mamy piersi. Przynajmniej kobiety.

Tak, dwie.

Tak, z przodu.

Nie, nie pokażę ich wam w tej chwili.

Bo to nie jest opowieść o piersiach. To opowieść o Zebie.

Dawno, dawno temu, w czasie chaosu - zanim Derkacz go uprzątnął - Zeb żył w jamie kostnej swojej matki. Tam opiekowała się nim Oryks, tak jak opiekuje się wszystkimi, którzy żyją w jamach kostnych. I pewnego dnia wyszedł tunelem kostnym na ten świat. A potem był dzieckiem i rósł.

I miał starszego brata imieniem Adam. Ale matka Adama nie była tą

samą matką co matka Zeba.

Bo kiedy Adam był bardzo mały, matka Adama uciekła od ojca Adama.

„Uciekła” to znaczy, że bardzo szybko poszła w inne miejsce. Chociaż może wcale nie poszła, tylko na przykład pojechała... W każdym razie Adam więcej jej nie zobaczył.

Tak, jestem pewna, że było mu smutno z tego powodu.

Bo chciała spółkować z więcej niż jednym mężczyzną, nie tylko z ojcem Zeba. Przynajmniej tak Zebowi powiedział jego ojciec.

Tak, to dobrze, że tego chciała, i byłaby szczęśliwa, gdyby mogła z wami żyć. Mogłaby spółkować z czterema mężczyznami jednocześnie, jak wy. Wtedy byłaby bardzo szczęśliwa!

Ale ojciec Zeba tak tego nie postrzegał.

Bo łączyło go z nią coś o nazwie „małżeństwo”, a małżeństwo oznaczało, że kobieta mogła mieć tylko jednego mężczyznę, a mężczyzna tylko jedną kobietę. Chociaż zdarzało się, że mieli ich więcej. Ale nie powinni.

Bo to był chaos. Wytwór chaosu. Dlatego nie możecie tego zrozumieć.

„Małżeństwo” już nie istnieje. Derkacz je uprzątnął, bo uważał, że było głupie.

„Głupie” oznacza rzeczy, które się Derkaczowi nie podobały. Było dużo rzeczy, które Derkacz uważał za głupie.

Tak, dobry, miłosierny Derkacz. Przestaną opowiadać, jeśli będziecie śpiewać.

Bo wtedy zapomniani, co miałam powiedzieć.

Dziękuję.

A zatem ojciec Adama znalazł sobie nową kobietę do małżeństwa i urodził się Zeb. Mały Adam nie był już samotny, bo miał brata. Adam i Zeb pomagali sobie nawzajem. Ale ojciec Zeba czasem ich krzywdził.

Nie wiem dlaczego. Sądził, że ból dobrze służy dzieciom.

Nie, nie był tak zły jak dwaj źli ludzie, którzy skrzywdzili Amandę. Ale nie był dobrym człowiekiem.

Nie wiem, dlaczego niektórzy ludzie w tamtych czasach nie byli dobrzy. To przez chaos.

A matka Zeba często drzemała albo robiła inne rzeczy, które ją interesowały. Małe dzieci niezbyt ją interesowały. I mawiała: „Wy mnie wpędzicie do grobu”.

Trudno wyjaśnić, o co chodzi z tym wpędzaniem do grobu. To znaczy, że była niezadowolona z rzeczy, które robili.

Nie, Zeb nie zabił swojej matki. Po prostu mawiała, że ją wpędzi do grobu. I to często.

Dlaczego tak mawiała, skoro to nie było prawdą? Bo... bo ludzie w tamtych czasach mówili takie rzeczy. To nie była ani prawda, ani nieprawda. W ten sposób opisywało się coś, co człowiek w danej chwili czuł. To była przenośnia. „Przenośnia” znaczy...

Macie rację. Matka Zeba też nie była dobrym człowiekiem. Czasem pomagała ojcu Zeba zamykać Zeba w szafie.

„Zamykać” to znaczy... „szafa” znaczy... To był taki bardzo mały pokój, w którym było ciemno i Zeb nie mógł wyjść. A przynajmniej sądzili, że nie mógł wyjść. Zeb jednak szybko nabrał wprawy w otwieraniu zamkniętych drzwi.

Nie. Jego matka nie umiała śpiewać. Nie tak jak wasze matki.

I wasi ojcowie. I wy.

Za to Zeb śpiewać potrafił. To jedna z rzeczy, które robił, kiedy był zamknięty w szafie. Śpiewał.

Petrobachory

Matka Zeba, Trudy, była ucieleśnieniem wszelkich cnót, a matka Adama, Fenella, wywłoką, która dałaby każdemu. Tak przynajmniej opowiadali Trudy i Wielebny. A ponieważ zgodnie twierdzili, że Zeb jest zupełnym zerem, a oni ludźmi wielkiej prawości, siłą rzeczy uznał, że go adoptowali, bo przecież nie mógł być produktem dwóch tak nieskalanych źródeł DNA jak oni.

Często wyobrażał sobie, że porzuciła go Fenella, która musiała być jego prawdziwą, nic niewartą matką. Z jakiegoś powodu uciekła w pośpiechu i nie mogła zabrać ze sobą małego dziecka - zostawiła więc Zeba w tekturowym pudle pod drzwiami, żeby przygarnęła go i wdeptała w ziemię ta Trudy, która nie była z nim połączona więzami krwi, ale ani myślała się do tego przyznać. Fenella - gdziekolwiek była - głęboko żałowała, że go opuściła, i zamierzała po niego wrócić, kiedy tylko będzie mogła. Wtedy pojedą razem bardzo, bardzo daleko i będą robić absolutnie wszystko z długiej listy rzeczy niepochwanych przez Wielebnego. Wyobrażał sobie, jak siedzą na ławce w parku, jedzą laski lukrecji i radośnie dłubią w nosie. Na przykład.

To jednak było wtedy, kiedy był mały. Jak już załapał, o co chodzi w genetyce, stwierdził, że Trudy musiała mieć skok w bok z jakimś fachowcem od hydrauliki, który dorabiał jako włamywacz i drobny złodziejasek. A może z ogrodnikiem: co rusz sprowadzała sobie nielegalnych teksańsko-meksykańskich robotników, którzy mieli czarne włosy jak Zeb. Płaciła im psie pieniądze za to, że wozili taczkami ziemię, wykopywali krzaki, dorzucali więcej kamieni do jej ogrodu skalnego, na którym, z tego, co zauważył Zeb, skupiła cały swój instynkt opiekuńczy. A to krzątała się po nim z tym takim małym rozwidlonym opielaczem, a to lała gorący ocet do mrówczych gniazd, i tak w kółko.

- Oczywiście mogłem odziedziczyć skłonności kryminalne po Wielebnym, miał odpowiednie chromosomy - mówi Zeb.

- Po prostu on lukrował swoje występki, nadawał im pozory prawości, a ja byłem autentyczny, nieokrzesany. On był podstępny i przebiegły, ja się z niczym nie kryłem.

- Nie bądź zbyt surowy dla siebie - mówi Toby.

- Nic nie rozumiesz, lalczko - odpowiada Zeb. - Ja się chwale.

Wielebny miał własną sektę. Tak się robiło w tamtych czasach, jeśli chciałeś zbić dużą kasę i miałeś dar do plecenia głupot i zastraszania ludzi; jeśli potrafiłeś porwać tłum swoimi kazaniami, ale brakowało ci umiejętności niezbędnych do działania na innych, niekoniecznie legalnych, choć lukratywnych polach, jak na przykład handel instrumentami pochodnymi. Mówiłeś ludziom, co chcieli usłyszeć, nazywałeś to religią, ściągając dary serca, zakładałeś własne media i wykorzystywałeś je do rozsyłania automatycznych wiadomości telefonicznych i prowadzenia zręcznych kampanii w Internecie, zaprzyjaźniałeś się z jednymi politykami i groziłeś innym, unikałeś płacenia podatków. Trzeba facetowi oddać, co mu należy. Był pokrecony jak precel, był szczurem nad szczury, zabzdżoną pokraką z aureolą z cynfolii, ale nie był głupi.

Czego dowodem był jego sukces. Kiedy Zeb przyszedł na świat, Wielebny miał już megakościół, cały ze szklanych płyt i imitacji granitu, z ławami z czegoś udającego dąb, stojący na pofałdowanej równinie. Kościół Petroewangelicki, stowarzyszony z nieco bardziej mainstreamowymi petrobaptystami. Przez pewien czas był na fali, mniej więcej wtedy, kiedy zaczęło brakować ropy, ceny poszły w górę i w plebsopoliach zapanował popłoch. Do kościoła zapraszano wielu ważniaków z Korporacji, by wygłaszali przemówienia z ambony. Dostojni goście dziękowali Wszechmogącemu za to, że obdarzył świat wyziewami i toksynami, wznosili oczy w górę, jakby ropa pochodziła z nieba, wyglądali pobożnie jak diabli.

- Pobożnie jak diabli - mówi Zeb. - Zawsze lubiłem to wyrażenie. Moim skromnym zdaniem pobożniś i diabeł to dwie strony jednej monety.

- Skromnym? - pyta Toby. - Od kiedy?
- Od kiedy cię poznałem - odpowiada Zeb. - Jeden rzut oka na twoją zgrabną pupę, jeden z cudów stworzenia, i uświadamiam sobie, jak marnie w porównaniu z tobą jestem skonstruowany. Jeszcze trochę, a każesz mi wyszorować językiem podłogę. Opuść biednemu facetowi, bo się onieśmiele.
- No dobrze, zezwalam na jedno skromne zdanie - mówi Toby. - Mów dalej.
- Mogę cię pocałować w obojczyk?
- Zaraz - mówi Toby. - Najpierw przejdź do rzeczy. - Flirtowanie to dla niej zupełna nowość, ale dobrze się bawi.
- Do rzeczy? To nieprzyzwoita sugestia?
- Kiedy indziej. Nie możesz teraz przerwać opowieści - mówi Toby.
- Dobra, jesteśmy umówieni.

Wielebny sklecił własną teologię, mającą pomóc mu tłuc kasę.

Naturalnie zakorzenił ją w Biblii. Mateusz, rozdział 16, werset 18: „Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję Kościół mój”.

- Nie trzeba tęgiego umysłu, mawiał Wielebny, żeby wiedzieć, że „Piotr” wywodzi się od łacińskiego słowa oznaczającego skałę, z czego jasno wynika, że imię to w swoim pierwotnym, rzeczywistym znaczeniu nawiązuje do ropy naftowej, czyli oleju wypływającego ze skały. „A zatem, drodzy przyjaciele, ten werset nie mówi tylko o świętym Piotrze: jest to prorocтво, wizja Ery Ropy, a dowód na to, przyjaciele moi, macie przed oczami, bo spójrzcie tylko! Cóż jest dziś dla nas cenniejsze od ropy?”. Trzeba to oddać temu zgniłkowi.
- Naprawdę głosił takie kazania? - dziwi się Toby. Powinna się zaśmiać

czy nie? Po tonie Zeba trudno się zorientować.

- Nie zapominajmy o kulcie świętego Oleju. To było dla niego jeszcze ważniejsze od tej gadaniny o Piotrze. Wielebny mógł głądzić o Oleju Skalnym godzinami. „Przyjaciele moi, wiemy, że ropę naftową nazywa się olejem skalnym. A wszakże w całym Piśmie Świętym olej przedstawiany jest jako święta substancja! Czym namaszcza się kapłanów, proroków i królów? Olejem! To symbol wywyższenia, uświęcone krzyżmo! Czy potrzeba nam więcej dowodów świętości naszego własnego oleju, który Pan umieścił w ziemi, aby służył wiernym do pomnażania Jego dzieł? Bóg rozdziela wśród nas bogactwo Oleju Skalnego, napełnił poddaną nam ziemię urządzeniami wydobywczymi! Czyż Pismo nie uczy nas, że nie należy chować swego światła pod korcem? A cóż, jak nie ropa naftowa niezawodnie niesie światło naszym domom? Właśnie tak! Ropa, drodzy moi! Świętego Oleju Skalnego nie wolno chować pod korcem, innymi słowy, zostawiać pod skałami, bowiem tak czyniąc, sprzeniewierzamy się Słowu Bożemu! Połączmy nasze głosy w pieśni i niechaj Olej Skalny tryska z ziemi coraz silniejszymi, wszechbłogostawionymi strumieniami!”.

- To wierna imitacja? - mówi Toby.

- Żebyś, kurwa, wiedziała. Mógłbym zasunąć całą gadkę, stojąc na głowie, dość się jej nasłuchałem. Adam też.

- Dobrze ci to wychodzi - mówi Toby.

- Adamowi wychodziło lepiej. W kościele Wielebnego, a i przy Wielebnego stole, nie modliliśmy się o przebaczenie ani nawet o deszcz, choć Bóg mi świadkiem, jedno i drugie by się nam przydało. Modliliśmy się o ropę naftową. Aha, i o gaz ziemny... bo według Wielebnego też był darem bożym dla wybranych. Ilekroć zmagaliśmy modlitwę przed posiłkiem, Wielebny nie omieszkał przypomnieć, że to dzięki ropie mamy co jeść, bo ona napędza traktory, które orzą pola, ciężarówki rozwożące żywność do sklepów, a także samochód, którym nasza oddana matka, Trudy, jeździ na zakupy; no i to ropa pozwala rozpaścić płomień, na

którym gotujemy potrawy. Równie dobrze moglibyśmy jeść i pić ropę... bo i w pewnym sensie tak było... więc padnijcie na kolana!

- Mniej więcej w tym punkcie przemowy zaczęliśmy kopać się z Adamem pod stołem. Reguły gry były proste: kopnąć przeciwnika tak mocno, żeby krzyknął albo drgnął, a samemu nie dać po sobie nic poznać, bo kto wydałby jakikolwiek dźwięk, dostałby po łbie albo musiałby pić szczyny. Czy coś gorszego. Adam jednak nigdy nawet nie pisał. Podziwiałem go za to.

- Chyba nie dosłownie, co? - pyta Toby. - Szczyny?

- Z ręką na sercu - mówi Zeb. - Tylko gdzie ja to moje zimne serce podziałem?

- Myślałam, że się lubiliście - stwierdza Toby. - Ty i Adam.

- Lubiliśmy się. Faceci tak mają, że czasem muszą się pokopać pod stołem.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Za dużo - mówi Zeb. - Chociaż Adam był starszy. Tylko o kilka lat, ale był, jak powiedzieliby Ogrodnicy, stary duchem. On był mądry, ja głupi. Zawsze tak było.

Adam był chudym wymoczkiem. Choć starszy od brata, był znacznie od niego słabszy, przynajmniej odkąd Zebowi stuknęło pięć lat. Adam był metodyczny: dużo myślał, wszystko starannie rozważał. Zeb był impulsywny: strzelał z biodra, dawał się ponieść wściekłości. Z jednej strony pakował się przez to w tarapaty, z drugiej niemal równie często dzięki temu się z nich ratował.

Razem jednak działali całkiem skutecznie. Byli jak zrośnięci głowami: Zeb był tym złym, który był dobry w złych rzeczach, Adam tym dobrym, któremu źle szło czynienie dobra. Czy raczej który pod płaszczykiem dobra czynił zło. Adam i Zebulon: jak dwie skrajne pozycje na liście

alfabetycznej. Ta zgrabna symetria A-Z była pomysłem Wielebnego: lubił robić ze swojego otoczenia park rozrywki.

Adam zawsze stawiany był za wzór. Dlaczego Zeb nie może być taki grzeczny jak brat? Usiądź prosto, nie wierć się, jedz po ludzku, dłoń to nie widelec, nie wycieraj twarzy w koszulę, rób, co ojciec każe, grzecznie odpowiadaj i tak dalej. Takie rzeczy mówiła Trudy, niemal błagalnym tonem; pragnęła tylko ciszy i spokoju, nie lubiła następstw krnąbrności i humorów Zeba - pręgów, sińców i blizn. W gruncie rzeczy nie była sadystką, przynajmniej nie w takim stopniu jak Wielebny. Święcie jednak uważała, że cały wszechświat kręcił się wokół niej. Chciała wynikających z tego korzyści, a Wielebny był niewyczerpanym źródłem pieniędzy, które za nie płaciły.

Mówiąc Zebowi, jakim to Adam jest wzorowym synem, dodawała, że posłuszeństwo Adama jest tym bardziej niezwykle, tym bardziej godne pochwały, że... i tu zawieszala głos, bo matka Adama, Fenella, przeważnie była tematem skrętnie przez Trudy i Wielebnego omijanym. Wydawałoby się, że wykorzystają ją i jej skandaliczne, wredne postępowanie jako kij na Adama - dowód gorszej jakości jego materiału genetycznego - a jednak nigdy tego nie robili. Za dobrze mu wychodziło bycie niewinnym, a przynajmniej okazywanie niewinności tymi jego wielkimi niebieskimi oczami i chudą świątobliwą twarzą.

Zeb zdobył stare zdjęcia Fenelli - były na pendrivie na dnie pudła w szafie, tej, w której często go zamykali. Schował w niej minilatarkę, żeby widzieć w ciemności. Znalazłszy pendrive'a, zabrał go i podłączył do komputera Wielebnego, żeby zobaczyć, co się stanie. Wciąż działał: było na nim około trzydziestu fotek Fenelli, część z małym Adamem, kilka z Wielebnym, praktycznie ani jednej uśmiechniętej twarzy. Pendrive musiał się zachować przez przeoczenie, bo poza tym w domu nie było żadnych zdjęć Fenelli. Nie wyglądała na puszczalską, co to to nie; miała tę samą chudą szczerą twarz o wielkich oczach co Adam.

Zeb poważnie się w niej zabujał: gdybyż mógł z nią porozmawiać, powiedzieć jej, jak wygląda sytuacja, stanęłaby po jego stronie,

gardziłaby całym tym układem równie mocno jak on. Musiało tak być, przecież uciekła, nie? Choć nie wyglądała na typ zbiega, sprawiała wrażenie nie dość silnej.

Czasem zazdrościł Adamowi tego, że kiedyś miał za matkę Fenellę, a on tylko Trudy. Wtedy brał w nim górę żal do brata o jego niezawodną metodę unikania kar i na osobności mu dokuczał: balas w łóżku, martwa mysz w umywalce, zamiana kurków z ciepłą i zimną wodą w prysznicu - wtedy już wiedział co nieco o hydraulice - albo po prostu szarlotka w pościeli. Szczeniackie numery. Wielebny obłowił się na akcjach spółek naftowych i nieprzebranych złożach oszczędności wiernych, dzięki czemu mieszkali w dużym domu, Trudy i Wielebny na przeciwległym końcu od Adama i Zeba. Nawet gdyby więc Adam krzyknął, nie mogliby go usłyszeć. Inna sprawa, że nie krzyczał nigdy; posyłał tylko to swoje spojrzenie mówiące „wybaczam ci”, które było po dziesięciokroć bardziej irytujące.

Czasem Zeb na złość Adamowi mieszał Fenellę z błotem. Mówił, że pewnie jest wytatuowana na całym ciele, z cyckami włącznie; że ćpa kokę; że odeszła z harleyowcem, nie, tuzinem harleyowców, i wszystkich zaliczyła, jednego po drugim; że sprzedaje się na ulicach Vegas zboczonym ćpunom i syfilitycznym alfonsom. Dlaczego wygadywał tak wstrętne, odrażające rzeczy o kobiecie, którą uważał za pokrewną duszę, rozsiewającą czarodziejski pył przewodniczkę duchową, wręcz marmurową boginię? Kto wie?

Co zaskakujące, Adam nie próbował się odgryzać. Tylko uśmiechał się dziwnie, jakby wiedział coś, czego nie wiedział Zeb.

Adam nigdy nie poskarżył się słowem na szczeniackie numery Zeba. Już wtedy był z niego skryty skurczybyk. W każdym razie przeważnie trzymali się razem. W szkole - CapRock, prywatna, finansowana przez jedną z Korporacji Naftowych, tylko dla chłopców - zwani byli Petrobachorami ze względu na pozycję ich ojca, ale nikt się ich otwarcie nie czepiał, przynajmniej od czasu, kiedy z Zeba zrobił się kawał chłopca. Adam w pojedynkę byłby łatwym celem, bo był taki wiotki, wręcz

przezroczysty; gdy jednak ktoś choćby podnosił na niego rękę, Zeb prał delikwenta na kwaśne jabłko. Wystarczyło, że zrobił to dwa razy. Wieść się rozeszła.

Dłonie Schillizziego

Mając przeciwko sobie takich speców od prania mózgu jak Trudy i Wielebny, Adam i Zeb podjęli wspólne manewry unikowe. Czego unikali, oprócz kary? Wszystkiego, co mogło ich sprowadzić na ścieżkę prawości, Ścieżkę Świętego Oleju Skalnego, ścieżkę, którą według Wielebnego i Trudy powinni kroczyć.

U Adama manewry te polegały na kłamaniu w żywe oczy - potrafił wmówić prawie każdemu oprócz Zeba, że jest niewinny jak niezłożone jajko, Zeb zaś wykształcił w sobie instynkt drobnego złodziejaska. Odsiadki w szafie miały swoje zalety, spinki do włosów znajdowały różne zastosowania i wkrótce cały dom stał przed nim otworem; myszkował po szufladach komód i mailach rodzicieli, w czasie gdy sądzili, że jest bezpiecznie uwięziony wśród kurtek zimowych i przestarzałego sprzętu elektronicznego. Otwieranie zamków wytrychem stało się jego hobby, a wkrótce, dzięki potajemnym sesjom w szkolnej pracowni komputerowej, hakerstwo stało się jego powołaniem. W świecie fantazji Zeba żaden kod nie mógł go powstrzymać, żadne drzwi nie mogły pozostać przed nim zamknięte i im był starszy, im więcej nabierał doświadczenia, tym bardziej fantazja zlewała się z rzeczywistością.

Początkowo poprzestawał na stronach z pornografią, spiraconym acid rockiem i różną zakreconą muzyką - nie trzeba dodawać, że wszystko to zakazane przez Kościół, preferujący zapięte kołnierzyki, publiczne przysięgi czystości i muzykę, która wyciągała z człowieka całą chęć do życia niby tysiąc Monstrualnych Pijawek z Kosmosu. Zeb słuchał więc przez słuchawki zespołów o nazwach typu Świetliste Trupy, Raki Trzustki czy Dwubiegunowe Tasiemce-Albinosy, jednocześnie szukając na ekranie coraz to nowych, pomysłowo ukazanych dziewczęcych części ciała. Nie widział w tym nic złego: te filmiki, tak czy owak, już powstały, więc to, co robił, było w zasadzie tylko rodzajem podróży w czasie. Nie przykładał do tego ręki.

Potem, kiedy uznał, że jest gotowy, postanowił podbić stawkę i poddać

swoje umiejętności prawdziwej próbie.

Kościół Petroewangelicki był na bieżąco z najnowszymi technologiami, prowadził tuzin przemysłnie skonstruowanych portali społecznościowych i stron ściągających z wiernych kasę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ich zabezpieczenia podobno były nie do złamania, z dwiema warstwami informatycznej dzierganiny, które potencjalny kleptomani musiał spenetrować, żeby się dostać do kont debetowych organizacji. I system rzeczywiście z takimi kleptomanami sobie radził; ale nie miał szans się obronić przed atakiem z wewnątrz, jaki Zeb zdołał tak efektownie przeprowadzić, kiedy miał zaledwie szesnaście lat.

Słabym punktem Wielebnego było przekonanie, że nic nie jest mu w stanie zagrozić, które pociągnęło za sobą nieostrożność; a ponieważ nie miał pamięci do kombinacji cyfr i liczb, hasła zapisywał na świstkach papieru. Te zaś ukrywał w miejscach tak oczywistych, że Królik Wielkanocny by go wyśmiał. Pudełko na spinki do mankietów? Czubki niedzielnych butów? Retro-kretyn, wzdychał Zeb, kiedy wyciągał karteluszkę, zapamiętywał zagadkowe gryzmoły na nich, a następnie odstawiał pudełko albo but na miejsce.

Posiadłszy klucze do królestwa, Zeb przekierował rzekę datków - nie całą, marne 0,09 procenta, margines błędu, nie był odmóżdżony - na kilka założonych przez siebie kont, zawsze pamiętając, by przesłać darczyńcom standardowe uniżone podziękowania i poruszające sumienie przesłanie od kościoła, plus jeden, dwa nienawistne slogany skierowane przeciwko Wrogom Świętego Oleju Boga: „Panele słoneczne to dzieło Szatana”, „Eko równa się SciekO”, „Diabeł chce, żebyś marzył w ciemności”, „Seryjni mordercy wierzą w globalne ocieplenie”.

Do ukrycia pieniędzy wykorzystał tożsamość poskładaną z elementów zdobytych podczas podstępnych ataków na nieszczelnie ogrodzone cele, jak gry z awatarami 3D, AdoptujRybę i podobne biożławe organizacje charytatywne, a także obsługujące technologię Poczuj-To instalacje porno w podmiejskich centrach handlowych. („Technologia haptyczna

zapewnia autentyczne, stymulujące doznania dotykowe! Żegnajcie, sztuczne krzyki i jęki, to jest pełny realizm! Uwaga: Urządzenie Wrażliwe Na Wilgoć. Nie Wkładać Do Ust, Unikać Kontaktu Z Błonami Śluzowymi. Grozi Poważnymi Oparzeniami”).

Szczerze mówiąc, Zeb nie był zaskoczony, kiedy na jednej ze swoich ekspedycji w głąb sieci odkrył, że Wielebny był częstym gościem na haptycznych stronach porno, choć tego rodzaju rozkoszom oddawał się tylko w domu - nie mógł sobie pozwolić na to, by ktoś przyłapał go na tym w centrum handlowym - a służące do ich obsługi terminale ukrywał w torbie z kijami golfowymi. Najbardziej lubił scenki z pejciami, penetracją przy użyciu butelek i przypalaniem sutków. Był też bywalcem stron z rekonstrukcjami ścięcia znanych postaci historycznych, na które wstęp był względnie drogi, może z uwagi na koszt rekwizytów i kostiumów - „Maria, Królowa Szkotów: Poczuj Krew Tryskającą Z Tego Ognistego Rudzielca”, „Anna Boleyn: Królowa Ladacznic! Zrobiła To Z Własnym Bratem, Zrobi To Z Tobą, A Potem Będziesz Mógł Świntuszcze Ściąć Głowę”, „Katarzyna Howard: Jeden Cios Twojego Potężnego Miecza I Ta Zimna Lisica Będzie Zimna”, „Lady Jane Grey: Niech Ta Pyszałkowata Dziewica Zapłaci Za Swoją Wyniosłość, Opaska Na Oczy Nieobowiązkowa”. Mogłeś poczuć we własnych rękach, jak to jest ściąć kobietę toporem. („Zabawa! Historia! Edukacja!”).

Za dodatkową opłatą mogłeś je ścinać nagie, co było bardziej podniecające. Zeb parę razy sam tego spróbował - korzystając z konta Wielebnego, które stosownie w tym celu przerobił - miał więc podstawy, by porównać wrażenia, gdy ubrania były i gdy ich nie było. Naga kobieta na kolanach, mająca lada chwila stracić głowę - dlaczego to tak fascynowało? Był bezduszny? A może był psychopata? Nie, według Adama, który czytał o takich rzeczach, psychopatom brakowało czipa w mózgu. Nie odczuwali empatii: krzyki i łzy były dla nich tylko irytującymi dźwiękami. Nie mogli więc czuć się podle i/lub obleśnie z powodu tego, co robili, jak Zeb.

Pomyślał, żeby włamać się do programu i zmodyfikować go tak, by użytkownik w chwili, kiedy topór opadnie, poczuł to nie w dłoniach, tylko

w szyi. Jakie to byłoby uczucie zostać ściętym? Czy to bolałoby, czy szok stłumiłby ból? A może nagle doznałbyś przyływu empatii? Nadmiar empatii jednak mógłby być niebezpieczny. Serce mogłoby stanąć.

Czy te nagie, klęczące, mające wkrótce rozstać się z głowami kobiety były prawdziwe, czy nie? Domyślał się, że nie, bo rzeczywistość w sieci była inna od powszedniej rzeczywistości, w której przedmioty fizyczne mogą zranić twoje ciało. Poza tym nie pozwolono by mordować kobiet z krwi i kości przed kamerą: to na pewno było nielegalne. Jednak efekt końcowy był tak niesamowity i trójwymiarowy, że uchylałeś się przed tryskającą krwią.

Adam nie dostrzegł w tej rozrywce nic pociągającego, kiedy się o niej dowiedział; a dowiedział się dlatego, że Zeb nie oparł się pokusie, by podzielić się zdobytą wiedzą o sekretnym życiu Wielebnego. Które teraz było, do pewnego stopnia, jego własnym.

- To niemoralne - tak to skwitował Adam.

- Właśnie! I o to chodzi! Co ty, homo jesteś? - powiedział Zeb, ale brat tylko się uśmiechnął.

Niezaspokojone perwersyjne potrzeby Wielebnego musiały znaleźć jakieś ujście: Zeb był już wtedy zbyt wyrosnięty i wyszczekany, żeby uczynić go obiektem sadystycznych praktyk. Za duże ryzyko. Mógłby oddać, a Wielebny był w głębi serca tchórzem, więc pranie pasem, pojenie szczynami i zamykanie w szafie stało się przeszłością. Zwyródniały bydlak nie brał też pod uwagę lhidy, bo - pomimo jej uległości i wierności swemu panu i sponsorowi - za nic w świecie nie zgodziłaby się na noszenie skórzanych gorsetów, przekłucie sutków, chłostę trzcinką ani zżeranie własnych ekskrementów. Wiedza to władza, Zeb podziękował więc swoim szczęśliwym gwiazdom za haptyczne strony internetowe, ściągnął z nich rejestr wizyt Wielebnego, a następnie starannie schował ten mikołajowy wór informacji z czerwonego aksamitu do przyszłego wykorzystania. Chociaż Wielebny do tego czasu mógł się nieopatrznie porazić prądem w kutasa i

ekspłodować jak rozgotowana parówka, a Zeb chętnie zobaczyłby tę komiczną wtopę przez dziurkę od klucza. Przeszło mu przez myśl, żeby dla osiągnięcia tego efektu poprzekładać kilka kabelków w terminalach haptycznych, ale nie był pewien, jak wysokie napięcie byłoby konieczne. Wielebny mocno przysmażony zamiast Wielebnego nieodwracalnie martwego mógłby być źródłem dużych kłopotów: domyśliłby się, kto mu to zrobił, na pewno.

Zeb wtedy miał już magiczne palce: czarował na komputerze jak Mozart na fortepianie, potrafił tworzyć słowicze pieśni alfabetem klinowym, przemykał tanecznym krokiem przez zapory sieciowe niby tygrys z dawnych lat, przeskakujący przez płonącą obręcz w cyrku bez osmalenia sobie choćby wąsa. Umiał wślizgnąć się do księgowości Kościoła Petroewangelickiego - obu zestawów ksiąg, tych oficjalnych i tych odpowiadających stanowi faktycznemu - w kilku szybkich krokach i regularnie to robił. Trwało to przez parę lat, w ciągu których wpływały kolejne 0,09 procenta, a on był coraz wyższy, coraz bujniej owłosiony, ćwiczył na siłowni w szkole CapRock i pilnował, żeby trzymać się w środku stawki pod względem ocen, zwłaszcza z informatyki, aby nie wyszły na jaw jego pozaziemskie zdolności hakerskie.

Za pół roku skończy szkołę i co potem? Miał pewne pomysły, niestety, jego klawisze zwani rodzicami też. Wielebny oznajmił, że może po znajomości załatwić Zebowi intratną posiadłość na północnych polach naftowych, gdzie miałyby siedzieć za sterami jednej z tych olbrzymich machin przewalających obfity w ropę żwir bitumiczny. To zrobiłoby z Zeba mężczyzną, stwierdził, pozostawiając definicję słowa „mężczyzna” zawieszoną w powietrzu między nimi. (Oprawca dzieci? Religijny szarlatan? Kat wirtualnych dziewczyn?). Poza tym dobrze płacili. A Zeb po jakimś czasie sam zdecyduje, co jest jego życiowym powołaniem.

Miało to trzy podteksty. Pierwszy - Wielebny chciał, żeby Zeb był jak najdalej od niego, bo zaczynał się go bać, całkiem słusznie. Drugi - przy odrobinie szczęścia Zeb dostanie raka płuc, wyrośnie mu trzecie oko albo łuski jak u pancernika: powietrze w tamtych okolicach było tak trujące, że w tydzień robił się z ciebie mutant.

I wreszcie trzeci - Zeb nie był geniuszem. Nie to co Adam, który - w nadziei, że pewnego dnia przejmie religijny szwindel starego - został wysłany na uniwersytet Spindletop, gdzie studiował petroteologię, homiletykę i petrobiologię; na tym ostatnim kierunku, z tego, co Zeb mógł się zorientować, uczył się biologii po to, żeby ją obalić. Wymagało to pewnej zręczności intelektualnej, której - taka była niewypowiedziana sugestia

- Zebowi brakowało. On miał zadatki raczej na galernika.

- Myślę, że to doskonały pomysł - stwierdziła Trudy. - Powinieneś być wdzięczny ojcu, że zadał sobie tyle trudu. Nie każdy chłopiec ma takiego ojca jak ty.

Uśmiechnij się, nakazał sobie Zeb.

- Wiem - powiedział. Uśmiechnij się. Po angielsku „smile”, słowo, które w grece oznacza „nóż”. Znalazł to w Internecie, kiedy zrobił sobie przerwę od ścinania postaci historycznych.

Pod nieobecność Adama Zeb za nim tęsknił, podejrzewał, że z wzajemnością. Z kim innym mogli rozmawiać o nieprawdopodobnym drugim dniu ich życia? Kto oprócz nich potrafił zabawnie przedrzeźniać Wielebnego, odtworzyć słowo w słowo jego Modlitwę do świętego Lucica-Lucasa, któremu Bóg objawił Święty Olej Skalny?

Kiedy byli z dala od siebie, unikali esemesów, rozmów telefonicznych i wszelkich elektronicznych form komunikacji: wszyscy wiedzieli, że Internet przecieka jak chory na raka prostaty, a Wielebny niechybnie szpiegował jeśli nie Adama, to Zeba na pewno. Gdy jednak Adam wracał na ferie, wszystko było po staremu. Zeb witał brata płazem podrzuconym do buta, stawonogiem podłożonym do pudełka na spinki do mankietów albo jednym, dwoma rzepami przemyślnie Przyczepionymi po wewnętrznej stronie slipów, chociaż byli już trochę za starzy na takie wygłupy, więc robił to właściwie tylko z nostalgii.

Potem szli na kort tenisowy i udawali, że grają, gdy w rzeczywistości

wymieniali szeptem krótkie uwagi nad siatką. Zeb chciał wiedzieć, czy Adam już zaruchał, pytanie, które zawsze zbywane było zręcznymi unikami. Adam z kolei wypytywał o to, ile pieniędzy Zeb wyprowadził z Kościoła na swoje tajne lewe konta, bo powzięli stanowcze postanowienie, że gdy tylko uzbierają dość funduszy, ulotnią się z najbliższego otoczenia Wielebnego.

To były ostatnie wakacje Adama przed końcem studiów. Zeb siedział przy monitorze Wielebnego w lateksowych rękawiczkach medycznych i nucił pod nosem, Adam stał na czatach w oknie, na wypadek gdyby przed dom zajechała paliwożerna landara Wielebnego albo hummeretka Trudy.

- Masz dłonie Schillizziego - powiedział Adam do niego tym swoim beznamytnym tonem. Czy to był wyraz uznania, czy tylko stwierdzenie faktu?

- Jakiego Schillizziego? - zdziwił się Zeb. - Kurde mol, stary botulik znowu wyprowadza kasę, tyle że tym razem dużo więcej! Zobacz!

- Wolałbym, żebyś nie przeklinał - powiedział Adam swoim najłagodniejszym głosem.

- Wypchaj się - odparował Zeb wesoło. - I trzyma ją na Kajmanach!

- Schillizzi był sławnym, legalnie działającym dwudziestowiecznym kasiarzem - powiedział Adam, który w odróżnieniu od Zeba interesował się historią. - Nigdy nie posługiwał się materiałami wybuchowymi, tylko własnymi dłońmi. Był legendą.

- Założę się, że pierdziel chce się zwinąć - stwierdził Zeb. - Dziś jest tutaj, jutro rach-ciach i już żłopie martini na tropikalnej plaży i wylizuje wynajęte lalunie, a wierni zostają ze spuszczoneymi gaciami na lodzie.

- Na Kajmany nie wyjedzie - powiedział Adam. - Prawie całe są pod wodą. Ale tamtejsze banki przeniosły się na Wyspy Kanaryjskie, gdzie jest więcej gór. Tyle że zachowały nazwy z Kajmanów. Żeby podtrzymać tradycję, domyślam się.

- Ciekawe, czy zabierze ze sobą Mierną Wierną Trudy? - powiedział Zeb. Adam zaskoczył go tym, że tyle wiedział o bankowości, no ale Adam często zaskakiwał go swoją wiedzą o różnych sprawach. Trudno było odgadnąć, co właściwie wie.

- Zostawi ją - stwierdził Adam. - Staje się dla niego zbyt dużym ciężarem finansowym. Podejrzewa, co on knuje.

- A skąd to wiesz?

- W oparciu o mocne poszlaki - powiedział Adam. - Mowę ciała. Przy śniadaniu patrzy na niego zmrużonymi oczami, kiedy on nie widzi. Suszy mu głowę o wakacje, nudzi, żeby wreszcie gdzieś wyjechali. Czuje się niespełniona w swoich ambicjach, by zostać architektem wewnątrz: stąd jej wystawiona na pokaz kolekcja próbek tapety i farby. Ma dość grania przed wiernymi roli żony-anioła. Sądzi, że jest współodpowiedzialna za nadwyżkę budżetu domowego i chce mieć większe pole do popisu.

- Jak Fenella - zauważył Zeb. - Też chciała większego pola do popisu. Przynajmniej udało jej się w porę wyrwać.

- Nie wyrwała się - powiedział Adam swoim beznamiętnym głosem. - Leży w ogrodzie skalnym.

Zeb odwrócił się na ergonomicznym krześle obrotowym Wielebnego.

- Że co?

- Jadą - powiedział Adam. - Oboje naraz, istny konwój. Wyłącz sprzęt.

Milczek i Wilczek

- Powtórz to - powiedział Zeb, kiedy już byli na korcie tenisowym, gdzie nikt ich nie mógł usłyszeć. Nie grali dobrze w tenisa, ale udawali, że trenują. Stali obok siebie i serwowali nad siatką lub, częściej, w nią. Ich pokoje były na podsłuchu

- Zeb odkrył to przed laty i lubił podawać fałszywe informacje lampce na swoim biurku, by następnie odsłuchać je na komputerze Wielebnego - ale najlepiej było udawać głupich i zostawić pluskwy na miejscu.

- W ogrodzie skalnym - powiedział Adam. - Tam leży Fenella.

- Jesteś pewien?

- Patrzyłem, jak ją zakopywali - powiedział Adam. - Przez okno. Nie widzieli mnie.

- To nie był... to ci się nie przyśniło? - spytał Zeb. - Musiałeś jeszcze, kurwa, embrionem być! - Adam łypnął na niego wilkiem: nie tylko nie pochwalał wulgarności, ale i jakoś nie mógł do niej przywyknąć. - To znaczy małym dzieckiem - poprawił się Zeb. - A dzieci mają bogatą wyobraźnię. - Raz w życiu dla odmiany był wstrząśnięty: ledwo mógł zebrać myśli.

Jeśli Adam mówił prawdę - a po co miałby kłamać? - całkowicie zmieniało to sposób, w jaki Zeb postrzegał samego siebie. Fenella ukształtowała jego wizję własnej przeszłości, a także przyszłości, nagle się jednak okazało, że była szkieletem: przez cały ten czas nie żyła. A zatem nie było sekretnego pomocnika czekającego gdzieś tam, w świecie: nigdy go nie miał. Żadnego wyrozumiałego członka rodziny, którego pewnego dnia odszuka, kiedy już znajdzie tabliczkę z napisem WYJŚCIE, otworzy niewidzialne zamki, przetnie grubą siatkę okalającą kojec, w którym trzymał go Wielebny. Leciał z uszkodzonym skrzydłem, samotnie, nie licząc zrosniętego z nim ranną głową brata, który w każdej chwili mógł się na serio zmienić w pobożnisia, miał do tego

predyspozycje. A wtedy on, Zeb, dryfowałby w zimnej i mrocznej próżni jak urwany z uwięzi astronauta w jednym z tych starych wykpiwanych filmów o kosmosie. Zasmeczował w siatkę.

- Miałem prawie cztery lata - powiedział Adam głosem mówiącym „skoro tak mówię, to tak było”, który jak na gust Zeba za bardzo przypominał głos Wielebnego. - Wyraźnie pamiętam tamte czasy.

- Nigdy nic mi nie powiedziałaś - stwierdził Zeb. Był urażony: Adam mu nie ufał. To bolało. Mieli tworzyć zgrany zespół.

- Coś by ci się wysnęło - powiedział Adam. - A wtedy kto wie, co by zrobili? - Podrzucił piłkę, przebił ją lekko za siatkę.

- Mogłeś skończyć jak ona w ogrodzie skalnym. O sobie nie wspomnę.

- Moment - powiedział Zeb. - Oni? Jebana Trudy też maczała w tym paluchy?

- Już ci mówiłem - powiedział Adam. - Nie ma potrzeby przeklinać.

- Sorry, kurwa, wysnęło mi się - burknął Zeb. Za nic nie Pozwoli, żeby Adam pouczał go, jak ma mówić. - Dobrotliwa Trudy?

- Musiała coś z tego mieć - stwierdził Adam głosem mówiącym „wyniośle ignoruję twoje prowokacje”. - Choćby materiał do szantażu. A może chciała się pozbyć Fenelli, żeby zrobić miejsce dla siebie. Domyślałam się, że wtedy była już w ciąży z tobą. Kościół Petroewangelicki nie aprobuje rozwodów, bo przecież małżeństwo uświęcone jest Świętym Olejem. Jak dobrze wiemy.

Krótko mówiąc, to jego, Zeba, wina, że Fenella nie żyje. Bo jakże nietaktownie dał się począć. Cholera.

- Jak to zrobili? - powiedział. - We dwójkę? Wsypali jej arszenik do herbaty czy... - Głowy jej nie ścięli, pomyślał, wstydząc się za siebie. Do tego by się nie posunęli.

- Nie wiem. Miałem tylko cztery lata. Widziałem sam pochówek.
- Czyli całe to gadanie, że była łachudrą na kurwiej pigułce, porzuciła dziecko i tak dalej, to tylko...
- W to chcieli wierzyć wierni - powiedział Adam. - I uwierzyli. Zawsze chętnie słuchają o wyrodnym matkach.
- Może powinniśmy zadzwonić do KorpuSOKorpu - zasugerował Zeb. - Powiedzieć, żeby przynieśli łopaty.
- Nie ryzykowałbym - odparł Adam. - W korpusie służy całkiem sporo petrobaptystów, a w radzie Kościoła zasiada wielu ważniaków z Korporacji Naftowych. To mocna sieć powiązań, ręka rękę myje. Jedni i drudzy zgodni są co do konieczności tłumienia wszelkich form sprzeciwu. Korporacje Naftowe kryłyby więc Wielebnego w sprawie zwykłego, prostego morderstwa żony, które samo w sobie nie zagraża wartości ich aktywów, bo wiedziałyby, że ewentualny skandal przypłaciłyby utratą wiarygodności. Oskarżono by nas dwóch o to, że jesteśmy nie zrównoważeni psychicznie. Zamknęliby nas, nafaszerowali mocnymi narkotykami. Albo, jak mówiłem, wykopaliby dwa nowe doły w ogrodzie skalnym.
- Przecież jesteśmy jego dziećmi! - powiedział Zeb i pomyślał, że brzmi jak dwulatek.
- Sądzisz, że to by go powstrzymało? - spytał Adam. - Pieniądze są silniejsze od więzów krwi. Usłyszałby głos Boga, dogodnie sugerujący, żeby dla dobra ogółu złożył w ofierze syna. Pamiętaj o Izaaku. Poderżnąłby nam gardła i nas podpalił, bo tym razem Bóg nie zesłałby barana.

Tak ponurego Adama Zeb jeszcze nie widział.

- A zatem - powiedział. Ciężko dyszał, choć prawie się nie ruszali. - Dlaczego mówisz mi o tym właśnie teraz?

- Bo jeśli rzeczywiście podebrałeś tyle pieniędzy, ile mówisz, mamy ich już dość - podsumował Adam. - Poza tym Kościół w każdej chwili może cię przyłapać. Pora uciekać, dopóki jeszcze możemy. Zanim poślą cię na śmierć nad asfaltowe jeziora - dodał. - Uznaliby to za wypadek. Oczywiście.

Zeb był wzruszony. Adam troszczył się o niego. Zawsze wybiegał myślą naprzód dalej niż on.

Zaczekali do następnego dnia, kiedy Wielebny miał zebranie rady, a Trudy prowadziła spotkanie Kobiecego Kółka Modlitewnego. Wtedy pojechali solarotaksi na dworzec szybkobieżnej kolei, wymieniając się fałszywymi informacjami przeznaczonymi dla strzygącego uszami kierowcy. Większość taryfiarzy była szpiclami, oficjalnymi bądź nie. Scenariusz był taki, że Adam wraca na Spindletop, a Zeb go odprowadza. Nic w tym niezwykłego.

W kafejce internetowej na dworcu Zeb opróżnił ukryte kajmańskie konto Wielebnego, podczas gdy Adam rozglądał się niby od niechcienia, czy ktoś aby nie za bardzo się nimi interesuje. Kiedy fundusze Wielebnego zostały zabezpieczone i przelane, Zeb wysłał parszywej gnidzie parę wiadomości, techniką żabich skoków z liścia lilii na liść lilii, żeby możliwie najbardziej utrudnić zadanie ewentualnym cybertropicielom. Włamał się do wideo z reklamą męskiego dezodorantu pod pachy, kliknął na pępek błyszczącego wydepilowanego przystojniaka - nie pierwszy raz przechodził przez ten pikselowy tunel w Internecie - skąd przerzuciło go na stronę z wyposażeniem domu i ogrodu, stosowną, zważywszy na okoliczności, a tam wybrał kielnię. Z niej wysłał swoje wiadomości.

Pierwsza głosiła: „Wiemy, kto leży pod kamieniami skalnego ogrodu. Nie szukaj nas”. Druga zawierała szczegóły dokonanych przez Wielebnego kradzieży środków z funduszy charytatywnych Kościoła Petroewangelickiego i kolejne ostrzeżenie: „Nie opuszczaj miasta, inaczej to wszystko wyjdzie na jaw. Nigdzie się nie ruszaj i czekaj na instrukcje”. Stary grzyb pomyśli, że wkrótce nawiążą kontakt, żeby

zaządać okupu, bo jakież inny mogliby mieć motyw, więc będzie mógł zastawić na nich pułapkę.

- To powinno wystarczyć - powiedział Adam, ale Zeb nie oparł się pokusie, żeby dodać trzecią wiadomość: kopię wykazu transakcji Wielebnego na stronach haptycznych Poczuj-To. Lady Jane Grey była jego ulubienicą: ściał ją co najmniej piętnaście razy.
- Szkoda, że nie mogę tego zobaczyć - powiedział Zeb, kiedy już byli w pociągu. - Jak otwiera pocztę. I jeszcze lepiej, kiedy dowiaduje się, że jego kajmańskie konto jest puste.
- Chełpliwość to wada charakteru - stwierdził Adam.
- Pocałuj mnie w dupę - skwitował Zeb.

Całą podróż spędził, patrząc na przemykające za oknem krajobrazy: grodzone osiedla jak to, z którego uciekli, pola soi, instalacje frackingowe, farmy wiatrowe, stosy gigantycznych opon ciężarówek, hałdy żwiru, piramidy wyrzuconych ceramicznych sedesów. Góry śmieci przegrzebywane przez dziesiątki ludzi; slumsy w plebsopoliach z chałupami skleconymi z wszelkich możliwych odpadów. Dzieciaki stojące na dachach, na stosach śmieci, na stertach opon, wymachujące chorągiewkami z kolorowych plastikowych toreb, puszczające prymitywne latawce lub pokazujące Zebowi środkowy palec. Tu i ówdzie w powietrzu szybowały pojedyncze drony z kamerami, rzekomo sprawdzające natężenie ruchu, a w rzeczywistości rejestrujące każdy krok kto wie kogo. Jeśli to na ciebie polowały, miałeś przerabane: było dużo plotek o tym w Internecie.

Na razie Wielebny jednak jeszcze ich nie szukał. W tej chwili był na lunchu z radą kościoła, wcinał przystawki z mięsa laboratoryjnego i hodowlaną tilapię.

Tuku-tuk, po torach pociąg mknie,

Mama jest w ogrodzie, więc nie oglądaj się

- zanucił Zeb. Miał nadzieję, że Fenella umarta nagłą śmiercią bez udziału co bardziej rzygogennych obsesji Wielebnego.

Adam spał obok niego, jeszcze bledszy i chudszy niż zazwyczaj w stanie aktywności, bardziej przypominający wyidealizowaną statwę jakiejś irytującej alegorycznej postaci: Rozwagi. Uczciwości. Wiary.

Zeb był zbyt nakręcony, żeby spać. I, wbrew sobie, rozdygotany: przekroczyli ogrodzoną drutem kolczastym granicę, obrabowali potwora, uciekli z jego skarbem. Będzie gniew i zgrzytanie zębów. Dlatego pełnił straż.

Kto zabił Fenellę?

Podły piździelec.

W głowę walnął - łup!

Rąbnął ile sił,

Aż urwało jej film,

Teraz został z niej trup.

Coś ściekało mu po twarzy. Wytarł to rękawem. Nie maż się, powiedział sobie. Nie daj mu tej satysfakcji.

W San Francisco Adam i Zeb postanowili się rozstać.

- Nie będzie siedział beczynn timer - stwierdził Adam. - Ma znajomości. Ogłosi alarm, uruchomi swoje kontakty w Korporacjach Naftowych. Razem za bardzo rzucamy się w oczy.

To prawda: byli zbyt różni. Mrok i światło, siła i kruchość; takie anomalie zapadały w pamięć. A Wielebny poda jeden rysopis ich dwóch, nie dwa oddzielne.

Flip i Flap, zanucił pod nosem Zeb. Milczek i Wilczek. Czarus i Chytrusek.

- Skończ z tym pozał się Boże śpiewaniem - powiedział Adam. - To zwraca na nas uwagę. Poza tym fałszujesz. - Miał rację. Pod oboma względami.

W plebsopolii znaleźli nielegalny zakład przerabiania życiorysów i na wynajmowanym na godziny sprzęcie Zeb stworzył dla nich nowe tożsamości - papierowe, nie wytrzymałyby dokładniejszej kontroli do wykorzystania w ograniczonym czasie, ale na następny etap podróży wystarczą. Adam pojechał na północ, Zeb na południe, obaj w poszukiwaniu anonimowości.

Uzgodnili z Adamem, że będą mieli skrzynkę kontaktową w sieci. Wybór padł na najwyżej umiejscowioną z róż rozrzuconych przez zefiry na reprodukcji Narodzin Wenus Botticellego, zamieszczonej na licznie odwiedzanej włoskiej stronie turystycznej. Zeb optował za lewym sutkiem Wenus, ale Adam postawił weto: zbyt oczywiste, stwierdził. Zbyt ryzykownie byłoby też próbować się kontaktować przez najbliższe co najmniej pół roku, dodał: Wielebny był mściwy, a teraz jeszcze z pewnością wpadł w przerażenie.

Zeb rozważył możliwe konsekwencje tej mściwości i przerażenia. Jak sam postąpiłby, gdyby jego dwaj przemądrzali potomkowie, których, tak czy owak, nigdy nie lubił, uciekli z jego brudnymi tajemnicami? Ogarniałaby go wściekłość. Poczucie zdrady. Przecież tyle dla Adama zrobił. I dla Zeba, bo czyż wymierzane mu kary fizyczne nie służyły duchowemu rozwojowi chłopaka? Pewnie nadal oszukiwał samego siebie tą świętoszkowatą mierzwą.

Między innymi wynajęliby wucetów, czyli wyspecjalizowanych cybertropicieli. Drogo się cenili, ale podobno byli skuteczni. Ci stworzyliby algorytm wyszukiwania określonych profili zachowania w sieci. Dlatego koniecznie musiał się trzymać z dala od sprzętu elektronicznego. Żadnego surfowania. Żadnych zakupów w Internecie. Żadnych kontaktów towarzyskich. Żadnego dowcipkowania. Żadnych pornoli.

- Po prostu nie bądź sobą - poradził mu Adam na pożegnanie.

W głąb plebsopolii

W San Francisco Zeb ściął włosy. Zaczął zapuszczać wąsy i na czarnym rynku kupił sprytne szkła kontaktowe, które oprócz tego, że zmieniały kolor oczu, wywoływały też astygmatyzm i zafałszowywały cechy tęczówek. To wystarczyłoby w razie pobieżnej kontroli, ale i tak wolał się nie narażać na bliższe kontakty ze służbami, uznał więc, że dalsza podróż szybkobieżną koleją odpada; tym bardziej że modyfikatory linii papilarnych Kapryśne Palce Przeinaczenia, które też sobie sprawił, dla prawdziwego zawodowca były śmiechu warte. Poza tym większość pasażerów wciąż wierzyła w praworządność prawa i porządność porządku i gdyby zobaczyli coś podejrzanego, mogliby to zgłosić, bo przecież dzień w dzień kładziono im do głów, że tak mają robić.

Dlatego zaryzykował i wybrał autostop. Dotarł na południe aż do San Jose, łapiąc okazje na parkingach przy TiroStradzie, na których zatrzymywały się konwoje ciężarówek, i starając się sprawiać wrażenie starszego, niż był. Niektórzy kierowcy napomykali o zapłacie w formie obciążanka, ale był zbyt rośły, żeby próbowali to na nim wymusić.

Innym zagrożeniem były specjalistki od szybkich numerków pracujące w przydrożnych barach. Zeb do tej pory seks uprawiał tylko w cyberprzestrzeni, na stronach haptycznych; nie był gotowy na rzeczywisty kontakt cielesny. Poza tym wolał unikać nawiązywania znajomości, nawet przelotnych: kto mógł wiedzieć, ile z tych osób handlowało na boku informacjami? Niektóre panienki były podejrzenie elegancko ubrane i nie wyglądały, jakby przymierały głodem.

No i dochodziły jeszcze choroby. Tylko tego mu brakowało do szczęścia, żeby utknął w szpitalu - gdyby jego dokumenty nie wzbudziły podejrzeń - albo, co bardziej prawdopodobne, został zdemaskowany i dostał wycisk od jakiegoś oprycha z Korporacji Szpitalnej. Kiedy już wyśpiewałby na torturach całą prawdę o swojej tożsamości, zostałby wykonany telefon do Wielebnego. Wówczas padłby rozkaz, żeby Zeba zlikwidować albo odesłać w plastikowych kajdankach do domu, gdzie wypije piwo, którego

nawarzył. Już ja cię nauczę szacunku, dano mi nad tobą władzę, Bóg cię nienawidzi, jesteś moralnym zerem, na kolana i żałuj za grzechy, pij, co jest w wiadrze, twarzą do podłogi, dawaj kantówkę, chcesz mocniej, zaraz będziesz wył, itepe, itede, znajoma sadoreligijna, heavymetalowa litania perwersji. Rozrywka na dobranoc.

Kiedy Wielebny wyżyłby się na neurologicznie zdemolowanym, bezbronny, rozdygotanym ciele Zeba, przyszłaby pora, żeby zakopać je w ogrodzie skalnym; wcześniej jednak przypalano by go i rażono prądem, aż wskazałby elektroniczny trop prowadzący do Adama i zgodził się wrzucić do sieci pułapki i instrukcje dla brata, w tym przestrozę, by nie ujawniał finansowych i seksualnych występków Wielebnego, oraz wyrażenie pilnej potrzeby spotkania w realu, na którym wszystko zostanie wyjaśnione. Zeb nie łudził się, że zdołałby znieść siłę argumentów, jakie Wielebny i jego pomagierzy ochoczo wytoczyliby przeciwko niemu.

Tak skończyłby się więc pobyt w szpitalu, zakładając, że złapałby syfa. Alternatywa dla szpitala też nie wyglądała kusząco.

Zgorzel kutasa, uwiąd erekcji, rozkład penisa: straszące tym wszystkim strony internetowe były zielonkawożółtawą pożywką dla koszmarów. Aż nadto wystarczający powód, żeby unikać wabiących syren z parkingów, bez względu na to, jak pulchne i jędrne uda wystawały z ich czerwonych szortów ze skaju, jak wysokie nosiły buty na koturnach z imitacji jaszczurczej skóry, jak śmiałe były ich tatuaże ze smokami i czaszkami i jak kunsztownie wymodelowane melony wylewały się, niby rosnące ciasto, spod ich czarnych atłasowych podkoszulków. Nie żeby kiedykolwiek widział rosnące ciasto z bliska. Na wideo, owszem. W starych filmach pokazujących życie mamuś dawno, dawno temu, które, szczerze mówiąc, oglądał z łezką w oku. Czy świętej pamięci Fenella kiedykolwiek piekła ciasto? Bo Trudy nie, ni cholery.

Kiedy więc te piękności z rozmazaną szminką na ustach, oczami błyszczącymi od cracku, tyłkami jak galareta wołały: „Hej, przystojniaku, może szybki numerek za budką z pączkami?”, nie odpowiadała: „Już idę”

ani „Do zobaczenia w niebie, kiedy umrę”, ani „Pojechało cię?”. Nie mówił nic.

Pomijając zagrożenie chorobami, nie potrafił jeszcze poruszać się po mrocznych i mroczniejszych zakamarkach plebsopolii: nie chciał spiknąć się z zupełnie obcą laską, by potem wejść na ślepo w jakiś zaułek, do podłego motelu czy ubikacji podejrzanego burdelu i zostać wyniesionym na noszach lub w worku na zwłoki, jeśli w ogóle. Jego ciało najprawdopodobniej porzuciliby na jakiejś pustej parceli, żeby zajęły się nim szczury i sępy. Teraz, gdy prywatyzowano coraz więcej niegdyś państwowych służb bezpieczeństwa, nikomu nie opłacałoby się pochować takiego włóczęgi jak on ani pojmać - lubili posługiwać się tym słowem, „pojmać” - łotrów, którzy zadźgaliby go dla garści drobniaków.

Jego postura i rosnące wąsy były marnym zabezpieczeniem. Był jeszcze zielony, stanowił łatwy cel; poznaliby to na pierwszy rzut oka i dawaj na niego. Plebsopolie były daleko od szkolnych placów zabaw, na których rozmiar rzeczywiście się liczył. Im człowiek wyższy, tym boleśniej upada”, mawiały do niego zadziorne koguciki, z którymi tam miał do czynienia. „Tak”, odpowiadał. „Ale im człowiek mniejszy, tym częściej upada”. A potem szybkie trzepnięcie, nawet nie cios, i delikwent leży.

Jednak w najmroczniejszych plebsopoliach nie byłoby werbalnej gry wstępnej. Żadnych docinków spełniających tę samą funkcję, co grzechot grzechotnika, żadnego przekomarzania się, tylko szybkie pchnięcie albo cięcie nożem czy nawet kula z jakiejś przestarzałej, zakazanej broni palnej. Z tego, co pisali w sieci, szczególnie brutalny był gang Kłaczastogłowych. I Poczerniane Korwiny Czerwone. I Azjatyckie Miksy. I Teks-Meksowie ze swoimi numerami rodem z wojen narkotykowych - stosami głów, wieszaniem beznogich ciał na markizach starych świątyń filmu. Domyślał się, że ci ostatni musieli mieć pod kontrolą odcinek TiroStrady w kierunku południowym, przebiegał blisko ich terytorium.

Pomimo tych zastrzeżeń, czy, gwoli szczerości, pomimo tych tchórzliwych lęków, zdawał sobie sprawę, że na krótką metę najbezpieczniej będzie się ukryć w najgorszej części miasta. Zbytnią

rozzutnością ściągnąłby na siebie szakale; miał dość oleju w głowie, żeby to wiedzieć. Dlatego w San Jose nie wychylał się, nie chodził do barów i ogólnie starał się niczym nie wyróżniać spośród biedoty, która kotłowała się w najpodlejszych plebsopoliach jak szczury w kontenerze na śmieci, chciwie chwytające wszystko, co im wpada w pazury. Przez pewien czas handlował produktami mięsopodobnymi w SekretBurgerze. Pracował dziesięć godzin dziennie za mniej niż minimalną stawkę, musiał nosić firmową koszulkę i kretyńską czapkę, ale SekretBurger przynajmniej nie przywiązywał wielkiej wagi do tożsamości pracowników. Firma zapewniała też ochronę przed ulicznymi gangami i kupowała milczenie tak oficjalnych jak i nieoficjalnych szpicli, więc nikt się go nie czepiał. Współczuł koleżankom z pracy: zarabiały mniej od facetów, musiały nosić obcisłe koszulki i odpierać awanse klienteli i szefów. Powinni byli im wydawać twarde plastikowe osłony na cycy.

Współczucie nie przeszkodziło mu jednak pierwszy raz w życiu zaznać prawdziwej miłości cielesnej z jednym z mięsnych króliczków SekretBurgera, dziewczyną imieniem Wynette, szatynką o dużych, podkrążonych, wygłodniałych oczach. Oprócz tego, że miała zniewalającą osobowość - eufemizm, musi teraz przyznać, na określenie jej cokolwiek mizernej szparki, która była jedynym, co go w niej fascynowało, i za to przeprosza, ale tak już jest z nabuzowanymi hormonami nastolatkami, tak to urządziła natura, a poza tym myślał, że jest zakochany, więc pieprzyć to - dysponowała dodatkowym atutem w postaci własnego pokoiku.

Większość dziewczyn z SekretBurgera nie miała nawet tyle: gnieździły się w zatłoczonych budynkach bez windy, koczowały w zajętych przez banki i gnijących domach albo prostytuowały się na boku, żeby utrzymać dziecko, uzależnionego krewnego czy obwieszzonego świecidełkami alfonsa. Wynette jednak była ostrożna i oszczędna, nie trwonila pieniędzy i mogła sobie pozwolić na odrobinę prywatności. Jej pokój znajdował się nad narożnym sklepem, w którym sprzedawali alkohol o smaku szczyń trolla i rozpuszczalnika farb, ale Zeb nie był wówczas zbyt wybredny, więc przed seksem zazwyczaj kupował flaszkę tego zajzajera i poił nim Wynette, bo mówiła, że wtedy łatwiej jej się odprężyć.

- Czy to było równie przyjemne? - pyta Toby.
- Czy co było równie przyjemne? Równie przyjemne jak co?
- Seks z Wynette. Czy był tak przyjemny jak ścinanie lady Jane Grey.
- Zupełnie różne rzeczy - mówi Zeb. - Nawet nie ma co porównywać.
- Oj, spróbuj - mówi Toby.
- No dobra. Lady Jane Grey były powtarzalne. Rzeczywistość taka nie jest. I skoro cię to ciekawi, jedno i drugie bywa przyjemne. Ale potrafi też rozczarować.

WĘDRÓWKA YETI

Prześcieradło w kwiaty

Budzi ją słońce wpadające przez okno jej boksu. Śpiew ptaka, glosy małych Derkaczan, meczenie megarunosów. Ani śladu smutku.

Podnosi się do pozycji siedzącej, próbuje sobie przypomnieć, jaki to dzień. Święto Sinic? Dzięki Ci, Panie, że stworzyłeś Sinice, owe przez tak wielu niedostrzegane maluczkie niebiesko-zielone Algi, bowiem to za ich sprawą przed milionami lat - ten okres dla Ciebie jest ledwie mgnieniem oka - powstała nasza bogata w tlen atmosfera, bez której nie moglibyśmy oddychać ani my, ani inne lądowe Zooformy, tak zróżnicowane, tak piękne, tak nowe, że ilekroć je widzimy i czujemy w nich Twą łaskę...

Chociaż może to być dzień świętej Jane Goodall. Dzięki Ci, Panie, za to, że obdarzyłeś swym błogosławieństwem życie świętej Jane Goodall, nieustraszonej Przyjaciółki Stworzeń Bożych zamieszkujących dżunglę, która stawiała czoło wielu niebezpieczeństwom i gryzącym Owadom, by zasypać przepaść międzygatunkową, i przez swą miłość do naszych bliskich kuzynów Szympanów i pracę z nimi uzmysłowiła nam wartość przeciwstawnych kciuków i dużych palców u nogi, a także nasze głębokie...

Nasze głębokie co? Tobie szuka w pamięci dalszego ciągu. Źle z nią; powinna takie rzeczy zapisywać. Prowadzić dziennik, jak wtedy, kiedy była sama w spa NowyTy. Mogłaby nawet pójść dalej i spisać obyczaje i powiedzenia Bożych Ogrodników, z myślą o jeszcze nienarodzonych pokoleniach, jak mawiali politycy, gdy polowali na głosy. Jeśli przyszłe pokolenia w ogóle będą i jeśli będą umiały czytać - jak o tym pomyśleć, ani jedno, ani drugie nie jest przesądzone. Nawet jeśli czytanie przetrwa, czy ktokolwiek będzie zainteresowany poczynaniami słabo znanej, a z czasem zdelegalizowanej i rozwiązanej zielonej sekty religijnej?

Może jeśli będzie się zachowywała tak, jakby w taką przyszłość wierzyła, pomoże ją urzeczywistnić; Ogrodnicy mawiali takie rzeczy. Nie ma papieru, ale mogłaby poprosić Zeba, żeby przyniósł go trochę przy okazji

następnej wyprawy po zaopatrzenie; choć garść kartek, które nie będą wilgotne, nadgryzione przez myszy budujące gniazda czy zezarte przez mrówki. Aha, a do tego ołówki, doda. Albo długopisy. Czy choćby kredki. Wtedy mogłaby zacząć.

Chociaż trudno się skupić na wizji przyszłości. Jest zbyt pogrążona w teraźniejszości: teraźniejszość zawiera Zeba, przyszłość niekoniecznie.

Z utęsknieniem czeka na wieczór, chce, żeby dzień, który ledwo się zaczął, już się skończył, by mogła zanurzyć się w nocy jak w basenie; basenie, w którym odbija się księżyc. Pragnie pływać w płynnym blasku księżyca.

Niebezpiecznie jednak jest żyć tylko dla nocy. Dzień traci wszelkie znaczenie. Człowiek może się stać nieuważny, przeoczyć istotne szczegóły, pogubić się. Ostatnio zdarza jej się, że stoi sztywno wyprostowana na środku pokoju z sandałem w ręku i nie bardzo wie, skąd się tam wzięła; albo jest na zewnątrz, pod drzewem, patrzy na drżące liście i ponagla samą siebie: Rusz się. już. Musisz natychmiast... Ale co takiego musi natychmiast zrobić?

Nie tylko ona tak ma i nie tylko jej nocne życie jest tego przyczyną. Zauważyła, że inni też się rozleniwiają. Stoją nieruchomo bez powodu, słuchają, choć nikt nie mówi. Potem otrząsają się i z widocznym wysiłkiem wracają do świata rzeczy namacalnych. Zajmują się ogrodem, płotem, baterią słoneczną, dobudówką do domku z gliny... Kusząca jest perspektywa, by dryfować przez życie, jak zdają się to robić Derkaczanie. Bez świąt, kalendarzy, ostatecznych terminów. Ani długofalowych celów.

Doskonale pamięta ten stan zawieszenia z miesięcy, które spędziła w spa NowyTy, przeczekując zarazę, która zabijała resztę ludzkości. A potem - kiedy ucichł płacz, błaganie i łomotanie do drzwi, kiedy nikt już nie padał trupem na trawniku - tylko czekając. Na znak, że przeżył ktoś oprócz niej. Na powrót czasu, który coś znaczy.

Zachowywała codzienną rutynę: posilała się i poila, wypełniała godziny błażymi zajęciami, pisała w dzienniku. Odpychała od siebie głosy, które

usiłowały przeniknąć do jej głowy, jak takie głosy mają w zwyczaju robić, kiedy człowiek jest samotny. Walczyła z pokusą, żeby odejść, wejść w las, otworzyć drzwi do tego, co miało ją spotkać czy, mówiąc bardziej szczerze, odebrać jej życie. Do zakończenia.

To było jak trans, a może lunatykowanie. Poddaj się. Zrezygnuj. Połącz się w jedno ze wszechświatem. Jakie masz inne wyjście? Zupełnie jakby ktoś albo coś szeptało, wabiło w ciemność: Wejź, chodź tu do mnie. Skończ z tym. Poczujesz ulgę. Spełnienie. Nie będzie bardzo bolało.

Ciekawa jest, czy takie same szepty zaczynają się sączyć do uszu pozostałych. Pustelnicy na pustyni słyszeli te głosy, więźniowie w lochach też. Może teraz jednak nikt ich nie słyszy; tu nie jest jak w spa NowyTy, to nie więzienna izolatka; każdy ma kogoś u boku. Mimo to co rano łapie się na tym, że liczy obecnych, sprawdza, czy wszyscy MaddAddamowcy i eks-Ogrodnicy wciąż są na miejscu: czy w nocy nikt nie odszedł w labirynt liści i gałęzi, pieśni ptaków, pieśni wiatru i ciszy.

Ktoś lekko stuka w ścianę obok wejścia.

- Jesteś w środku, o Toby? - To mały Czarnobrody, przyszedł zobaczyć, co z nią. Może na jakiejś płaszczyźnie podziela jej lęki i nie chce, żeby zniknęła.

- Tak - mówi ona. - Jestem. Zaczekaj, jeszcze nie wchodź.

- Pospiesznie owija się prześcieradłem wybranym na dzisiaj. Coś mniej surowego i geometrycznego niż zwykle: bardziej kwiecistego, zmysłowego. Róże w pełnym rozkwicie. Oplatające je pnącza. Czy jest próżna? Nie, w ten sposób czci odnowione życie, swoje życie: tak to sobie tłumaczy. Czy wygląda idiotycznie, z tyłu liceum, z przodu muzeum? Bez lustra trudno powiedzieć. Najważniejsze, by trzymała ramiona wyprostowane, szła pewnym krokiem. Zakłada włosy za uszy, związuje je w węzeł. Proszę bardzo, żadnych rozwianych kosmyków. Najlepiej okazać pewną powściągliwość.

- Zabiorę cię do Yeti-Jimmy'ego - oznajmia Czarnobrody z powagą,

kiedy jest gotowa. - Żebyś mu pomogła. Czerwiami. - Jest dumny, że nauczył się tego słowa, więc je powtarza:

- Czerwiami! - Uśmiecha się promiennie. - Czerwie są dobre. Stworzyła je Oryks. Nie zrobią nam krzywdy. - Rzut oka na nią, szukający w jej twarzy potwierdzenia, że niczego nie pomylił, następny uśmiech. - I Yeti-Jimmy wkrótce już nie będzie chory.

- Bierze ją za rękę, ciągnie za sobą. Wie, co ma robić, jest jej małym cieniem, wszystko chłonie.

Gdybym miała dziecko, myśli Toby, czy byłoby takie jak on? Nie. Nie byłoby. Nie uskarżaj się.

Jimmy wciąż śpi, ale wracają mu kolory i nie ma już gorączki, podaje mu łyżeczką trochę wody z miodem, a do tego eliksir z grzybów. Jego stopa szybko się goi; wkrótce czerwie przestaną być potrzebne.

- Yeti-Jimmy wędruje - mówią jej Derkaczanie. Tego ranka dyżurują przy nim we czwórkę, trzech mężczyzn i kobieta. - Idzie bardzo szybko, w swojej głowie. Niedługo tu będzie.

- Dzisiaj? - pyta Toby.

- Dzisiaj, jutro - odpowiadają. - Niedługo. - Uśmiechają się do niej.

- Nie martw się, o Toby - mówi kobieta. - Yeti-Jimmy teraz już jest bezpieczny. Derkacz wysła go z powrotem do nas.

- I Oryks też - mówi najwyższy mężczyzna: chyba Abraham Lincoln. Naprawdę musi nauczyć się ich imion. - Ona też go wysła.

- Przykazała swoim Dzieciom, żeby nie robiły mu krzywdy - dodaje kobieta. Cesarzowa Józefina?

- Mimo że jego siki są słabe i Dzieci Oryks początkowo nie rozumiały, że nie wolno im go pożreć.

- Nasze siki są mocne. Siki naszych mężczyzn. Dzieci Oryks rozumieją takie siki.
- Dzieci z ostrymi zębami pożerają tych, co mają słabe siki.
- Dzieci z kłami czasem ich zjadają.
- Dzieci, które są jak niedźwiedź, duże, z wielkimi pazurami. Nie widzieliśmy niedźwiedzia. Zeb jednego zjadł, wie, co to jest niedźwiedź.
- Ale Oryks powiedziała, że im nie wolno.
- Nie wolno im zjeść Yeti-Jimmy'ego.
- Derkacz przysłał Yeti-Jimmy'ego, żeby Yeti-Jimmy się nami zaopiekował. I Oryks też go przysłała.
- Tak, Oryks też - zgadzają się pozostali. Jeden zaczyna śpiewać.

Dziewczęce sprawy

Tego ranka śniadanie przebiega w ożywionej atmosferze.

Dzięcioł Wielkodzioby, Manat, Bawół Mindorski i Koliberek Hawański zmiotli wszystko z talerzy i zawzięcie dyskutują o epigenetyce. W jakim stopniu zachowanie Derkaczan jest dziedziczne, a w jakim nabyte? Czy w ogóle mają coś, co można by nazwać kulturą, coś odrębnego od ekspresji ich genów? Czy też są bardziej jak mrówki? A co z ich śpiewem? Owszem, musi być rodzajem komunikacji, ale czy służy oznaczaniu terytorium jak śpiew ptasi, czy też można go określić sztuką? Sztuką na pewno nie, stwierdza Dzięcioł Wielkodzioby. Derkacz nie potrafił tego śpiewu wytłumaczyć i to mu się nie podobało, mówi Bawół Mindorski, ale wszelkie próby jego wyeliminowania skutkowały powstaniem zobojętniałych osobników, które nigdy nie przechodziły rui i były nietrwałe.

Cykl rozrodczy oczywiście zapisany jest w genach, mówi Koliberek Hawański, podobnie jak towarzyszące rui zmiany ubarwienia brzuchów i genitaliów samic, i ich męski odpowiednik, które prowadzą do aktów poliseksualnych. U jeleni nazwano by to rykowiskiem, u owiec stanówką, zauważa Dzięcioł Wielkodzioby, pytanie tylko, czy u Derkaczan te zachowania ulegają przemianom w różnych okolicznościach? Nie było okazji tego sprawdzić w kopule WyRaju, a szkoda, zgadzają się wszyscy. Mogliby wprowadzić pewne modyfikacje, dokładnie to zbadać, mówi Manat. Derkacz jednak rządził żelazną ręką, stwierdza Bawół Mindorski, i był zatwardziałym dogmatykiem: nie chciał słyszeć o żadnych możliwych usprawnieniach poza tymi, które sam wymyślił. A już na pewno nie chciał, by jego koronny eksperyment uległ zniszczeniu wskutek wprowadzenia segmentów niewiadomej jakości, dodaje Koliberek Hawański, bo Derkaczanie mieli być maszynką do robienia dużych pieniędzy. Przynajmniej tak twierdził, mówi Bawół Mindorski.

- Oczywiście, od samego początku wciskał nam kit - stwierdza Koliberek Hawański.

- Fakt, ale miał wyniki - mówi Dziecioł Wielkodzioby.
- Jakiegokolwiek one były - rzuca Manat. - Skurwiel.
- Pytanie brzmi raczej „dlaczego” niż „jak” - kontynuuje Dziecioł Wielkodzioby, wpatrzony w niebo, jakby Derkacz naprawdę tam był i mógł zesaść odpowiedź w błyskawicy. - Dlaczego to zrobił? Śmiercionośny wirus w pigułkach BłogoPlus? Czemu chciał wyginięcia rodzaju ludzkiego?
- Może po prostu był bardzo, ale to bardzo porąbany - odpowiada Manat.
- Może... mówię czysto teoretycznie, ale i żeby oddać mu sprawiedliwość... może myślał, że porąbane jest wszystko oprócz niego - stwierdza Bawół Mindorski. - Zważywszy na degradację biosfery i gwałtowny wzrost temperatury.
- A jeśli uważał Derkaczan za rozwiązanie problemu, na pewno zdawał sobie sprawę, że musi ich chronić przed takimi jak my, z naszymi agresywnymi, jeśli nie morderczymi skłonnościami - mówi Dziecioł Wielkodzioby.
- Takie megalomańskie skurwysyny jak on zawsze tak myślą - cedzi Manat.
- Bez wątpienia postrzegał Derkaczan jako lud tubylczy - mówi Dziecioł Wielkodzioby. - A Homo sapiens sapiens jako chciwych, pazernych konkwistadorów. I pod pewnymi względami...
- Cóż, my daliśmy światu Beethovena - oznajmia Manat.
- I, no wiesz, wielkie religie i co tam jeszcze. Marne szanse, żeby tej bandzie udało się coś podobnego.

Biała Turzyca jest obok nich, przygląda im się z uwagą, ale chyba nie słucha. Jeśli ktoś słyszy głosy, myśli Toby, może to być właśnie ona. Jest

ładną dziewczyną, chyba najładniejszą spośród MaddAddamowców. Wczoraj zaproponowała, żeby zorganizować poranne zajęcia jogi i medytacji, ale nie było chętnych. Ma na sobie szare prześcieradło w białe lilie, swoje czarne włosy związała w kok.

Amanda siedzi na końcu stołu. Wciąż jest blada i osowiała; Modraszek i Ren krzątają się przy niej, namawiają, żeby coś zjadła.

Rebecca pije filiżankę płynu za ogólną zgodą nazywanego kawą. Odwraca się, kiedy Toby siada.

- Znowu szynka - informuje ją. - I naleśniki z kudzu. Aha, i jeśli chcesz, jest trochę Czeko-Nutrinów.

- Czeko-Nutriny? - dziwi się Toby. - Skąd je wzięłaś? - Czeko-Nutriny były owocem rozpaczliwych prób stworzenia strawnych płatków śniadaniowych dla dzieci po tym, kiedy na świecie zabrakło czekolady. Podobno zawierały paloną soję.

- Zeb, Nosorożec i tamci gdzieś je zebrali - odpowiada Rebecca. - I Shackie. Świeże nie są, nawet nie pytaj o datę ważności, więc lepiej je zjeść od razu.

- Tak sądzisz? - mówi Toby. Czeko-Nutriny są w miseczce. Wyglądają jak małe kamyczki, brązowe obce granulki z Marsa. Ludzie jedli takie rzeczy na okrągło, myśli. Wierzyli, że tak będzie zawsze.

- Ostatnia szansa - dodaje Rebecca. - Nostalgiczna wyprawa w przeszłość, można rzec. Tak, też kiedyś myślałam, że to ohydztwo, ale z mlekiem megarunosa nie są złe. Poza tym są wzbogacone w witaminy i minerały. Tak jest napisane na pudełku. Przez jakiś czas nie będziemy więc musieli żreć błota.

- Błota? - dziwi się Toby.

- No wiesz, żeby uzupełnić pierwiastki śladowe - mówi Rebecca. Toby nie zawsze może po niej poznać, czy żartuje.

Pozostaje przy szynce i naleśnikach z kudzu.

- Gdzie reszta? - pyta, zachowując obojętny ton. Rebecca wylicza: Crozier skończył jeść i zabrał megarunosa na wypas, Bieługa i Shackleton są z nim, mają jeden miotacz do spółki i go ubezpieczają. Czarny Nosorożec i Katuru pełnili wartę w nocy, więc teraz odsypiają.

- Lis Płowy? - docieka Toby.

- Nie spieszy jej się - mówi Rebecca. - Ucięła sobie drzemkę. W nocy słyszałam, jak tarzała się w krzakach. Z kawalerem lub dwoma. - Jej uśmiech mówi „Tak jak ty”.

Zeba jeszcze nie ma. Toby stara się nie rozglądać zbyt ostentacyjnie. Też uciął sobie drzemkę?

Kiedy pije ostatni łyk gorzkiej kawy, dołącza do nich Lis Płowy. Dziś ma na sobie jasną zwiewną sukienkę, szorty i kapelusz z opadającym rondem, pastelowo zielono-różowy. Spięła włosy w mysie ogonki plastikowymi spinkami Hello Kitty. Zrobiła się na uczennicę, coś, na co dawniej nie mogłaby sobie pozwolić, myśli Toby. Była wybitną specjalistką od genów, bałaby się więc śmieszności i utraty prestiżu, ubierałaby się jak dorosła, żeby pokazać wszem wobec, jaki ważny z niej człowiek. Jednak tego rodzaju prestiż i pozycja zawodowa straciły znaczenie, więc co właściwie próbuje pokazać teraz?

Nie bądź dla niej taka surowa, mówi sobie Toby. Było nie było, podjęła duże ryzyko: była tajną informatorką MaddAddamowców, zanim Derkacz ją zgarnął i w kopule WyRaju zrobił z niej, jak z reszty uprowadzonych MaddAddamowców, swojego parobka w białym kitlu. Ściągnął tam większość z nich.

Ale nie Zeba: jego Derkacz nie dopadł. Za dobrze zacierał za sobą ślady.

- Cześć wszystkim - wita się Lis Płowy, wyciągając ręce w górę, wypinając piersi, wymierzając je w Dziećcioła Wielko-dziobego. - Och, najchętniej od razu wróciłabym do łóżka! Mam nadzieję, że dobrze

spaliście. Ja za cholere! Trzeba coś zrobić z robalami.

- Jest spray - mówi Rebecca. - Zostało jeszcze trochę tego cytrusowego.

- Z czasem przestaje działać - stwierdza Lis Płowy. - A wtedy cię tną, budzisz się i słyszysz rozmowy ludzi i tak dalej, jak w jednym z tych moteli, w których ściany są tekturowe i nikt nie pyta o twoje prawdziwe nazwisko. - Znow uśmiecha się do Dziecioła Wielkodziobego, ignorując Manata, który patrzy na nią z zaciśniętymi ustami. To dezaprobata czy dzika żądza? - zastanawia się Toby. U niektórych mężczyzn trudno odróżnić jedno od drugiego.

- Myślę, że trzeba wprowadzić godzinę policyjną dla strun głosowych - ciągnie Lis Płowy, zerkając z ukosa na Toby. Słyszałam was, mówi to spojrzenie. Jeśli już musicie folgować swoim niedorzecznym podstarzałym chuciom, moglibyście chociaż być trochę ciszej. Toby czuje, że się czerwieni.

- Droga pani - mówi Dziecioł Wielkodzioby. - Ufam, że nasze chwilami gorące nocne dyskusje cię nie obudziły. Manat, Bawół Mindorski i ja...

- Och, nie o was mówię i nie chodziło o dyskusje - uściśla Lis Płowy. - To Czeko-Nutriny? Kiedyś wyrzygałam całą ich miskę, w czasach, kiedy jeszcze miewałam kaca.

Amanda wstaje od stołu, zakrywa usta dłonią, pośpiesznie odchodzi. Ren rusza za nią.

- Z tą dziewczyną jest coś nie tego - mówi Lis Płowy. - Jakby rdzeń jej przecięli czy coś. Zawsze była takim przygłupem?

- Wiesz, przez co przeszła. - Rebecca lekko marszczy brwi.

- Taa, jasne, ale pora, żeby się z tego otrząsnęła. Popracowała trochę jak my wszyscy.

W Toby wzbiera gniew. Lis Płowy nigdy nie zgłasza się pierwsza do

codziennych prac, nie była też o rzut kamieniem od paintbólowca: nie została wykorzystana jak roboprostytut-ka, uwiązana jak pies, praktycznie wypatroszona. Amanda jest dziesięć razy więcej od niej warta. Tobi wie jednak, że nie tylko o to chodzi; że uraziły ją złośliwe aluzje Lisa Płowego pod jej adresem, nie wspominając o tej zwiewnej sukience i ślicznych szortach. I o piersiach masowego rażenia. I dziewczęcych mysich ogonkach. Nie pasują do zmarszczek, które ci się robią, ma na końcu języka. Taka jest cena opalenizny.

Lis Płowy znów się uśmiecha, ale nie do Tobi; do kogoś za jej plecami. Wszystkie zęby na widoku, dołki zaprezentowane w pełnej krasie.

- Hej - mówi łagodniejszym głosem. Tobi się obraca: to Nosorożec i Katuru.

I Zeb. A jakże.

- Witam wszystkich - mówi Zeb spokojnie. Żadnego specjalnego traktowania Lisa Płowego. Ani Tobi: noc to noc, dzień to dzień. - Chce ktoś czegoś? - pyta. - Rozejrzemy się po okolicy, tylko na wszelki wypadek, za parę godzin powinniśmy wrócić. Będziemy przechodzili koło kilku sklepów. - Nie przedstawia prawdziwego celu, bo nie musi: wszyscy wiedzą, że będą szukali śladów paintbólowców. To patrol.

- Sodeę oczyszczoną - zamawia Rebecca. - Albo proszek do pieczenia, wszystko jedno. Nie wiem, co zrobię, kiedy się skończy. Jeśli wybieracie się do minisupermarketu...

- Wiecie, że sodeę oczyszczoną pozyskuje się ze złóż trony w Wyoming? - wtrąca Dziecioł Wielkodzioby. - Przynajmniej dawniej ją stamtąd pozyskiwali.

- Och, Dzieciole - mówi Lis Płowy i obdarza go uśmiechem.

- Po co komu Wikipedia, skoro mamy ciebie? - Dziecioł Wielkodzioby uśmiecha się półgębkiem: wziął to za komplement.

- Drożdże - odzywa się Koliberek Hawański. - Dzikie drożdże, jeśli jeszcze jest mąka. Można by zrobić zakwas chlebowy.

- Chyba - dodaje Rebecca.

- Pójdę z wami - mówi Lis Płowy do Zeba. - Muszę do apteki.

Wszyscy spoglądają na nią. Zapada cisza.

- Po prostu powiedz, czego ci potrzeba. - Czarny Nosorożec patrzy z zachmurzonym czołem na jej nagie nogi. - Przyniesiemy ci.

- Chodzi o dziewczęce sprawy - stwierdza ona. - Nie wiedzielibyście, gdzie szukać. - Zerka w stronę Ren i Modraszka, które są przy pompie i myją gąbką Amandę. - Zebrałabym dość dla wszystkich.

Kolejna pauza. KobiECE środki higieniczne, myśli Toby. Lis Płowy w sumie ma rację: ich zapasy w magazynie się kończą. Nikt nie chce być skazany na podarte prześcieradła. Albo mech. Choć prędzej czy później i tak nas to czeka.

- Zły pomysł - mówi Zeb. - Ci dwaj nadal gdzieś tam są. Mają miotacz. To trzykrotni paintbólowcy, ich obwody empatii przepaliły się do szczętu. Nie chcesz, żeby cię dorwali, nie zaprzętałyby sobie głowy formalnościami. Widziałaś, co spotkało Amandę. Ma szczęście, że uszła z tego z nerkami.

- W pełni się zgadzam. Pomysł, żebyś opuściła naszą małą przytulną enklawę, nie jest zły, ale bardzo zły. Ja pójdę - rycersko ofiaruje się Dzieciół Wielkodzioby - daj mi tylko swoją listę zakupów i...

- Przecież będziesz ze mną - mówi Lis Płowy do Zeba. - Będziesz mnie chronił. - Opuszcza rzęsy. - Będę całkowicie bezpieczna!

Zeb zwraca się do Rebekki.

- Jest kawa? Czy jak nazywasz ten syf?

- Bez obaw, przebiorę się. - Lis Płowy przybiera dziarski ton. -
Dotrzymam kroku, nie będę wam zawadzać. Umiem się posługiwać, no
wiecie, miotaczem - dodaje, zaciągając z lekka, i spuszcza oczy ku ziemi.
Potem odzyskuje tupet. - Moglibyśmy wziąć drugie śniadanie! Zrobić
sobie gdzieś piknik!

- No to się zbieraj, bo zaraz po jedzeniu ruszamy - komunikuje Zeb.

Nosorożec zaczyna coś mówić, milknie. Katuru patrzy w niebo.

- Nie powinno padać - stwierdza.

Rebecca spogląda na Toby, unosi brwi. Toby stara się zachować
kamienną twarz. Lis Płowy patrzy na nią z ukosa.

Lis z imienia, lis z natury, myśli. Posługiwać się miotaczem, też coś.

Wędrownka Yeti

- O Toby, chodź i zobacz! Chodź natychmiast! - Mały Czarnobrody ciągnie ją za prześcieradło.

- Co się stało? - mówi Toby, usiłując nie okazywać irytacji. Chce zostać tutaj, pożegnać się z Zebem, choć on przecież ani nie odchodzi daleko, ani na długo. Za kilka godzin wróci. Chce zostawić na nim jakiś ślad, w tym rzecz, prawda? Na oczach Lisa Płowego. Pocałunek, uścisk. Mój. Łapy przy sobie.

Nie żeby to miało coś dać. Tylko by się wygłupiła.

- O Toby, Yeti-Jimmy się budzi! Budzi się, już teraz - mówi Czarnobrody. Wydaje się jednocześnie zaniepokojony i mocno pobudzony, jak dzieci, które w dawnych czasach oglądały parady lub pokazy fajerwerków, coś ulotnego i cudownego. Nie chce sprawić mu zawodu, więc daje się pilotować. Raz ogląda się przez ramię: Zeb, Nosorożec i Katuru siedzą przy stole i wsuwają śniadanie. Lis Płowy oddała się pospiesznie, żeby zrzucić ten durny kapelusz i szorty krzyczące „patrzta na moje nogi”, a na ich miejsce włożyć jakiś ciasno opinający tyłek strój maskujący.

Toby. Weź się w garść. Nie jesteś w liceum, mówi sobie. Chociaż pod pewnymi względami mniej więcej tak się czuje.

Przy hamaku Jimmy'ego zebrał się tłum. Większość Derkaczan otacza go kręgiem, dorośli i dzieci, szczęśliwi i podnieceni jak nigdy. Niektórzy już zaczynają śpiewać.

- Jest z nami! Yeti-Jimmy znowu jest z nami!

- Wrócił!

- Przyniesie słowa Derkacza!

Toby przebija się do hamaka. Dwie Derkaczanki podtrzymują Jimmy'ego.

Jego oczy są otwarte; wydaje się oszołomiony.

- Powitaj go, o Toby - mówi wysoki mężczyzna zwany Abrahamem Lincolnem. Wszyscy patrzą i słuchają w skupieniu. -Był z Derkaczem. Przyniesie nam słowa. Przyniesie opowieść.

- Jimmy - mówi ona. - Yeti. - Kładzie dłoń na jego ramieniu. -To ja. Toby. Byłam przy ognisku, tam, blisko plaży. Pamiętasz? Z Amandą i dwoma mężczyznami.

Jimmy podnosi wzrok na nią. Jego oczy są zaskakująco przejrzyste, o białych białkach i lekko rozszerzonych źrenicach. Mruga powiekami. Nie poznaje jej.

- Szlag - mówi.

- Co to za słowo, o Toby? - pyta Abraham Lincoln. - Czy to słowo Derkacza?

- Jest zmęczony - stwierdza Toby. - Nie. Akurat to słowo nie.

- Cholera. - To znowu Jimmy. - Gdzie Oryks? Była tu. Była w płomieniach.

- Byłeś chory - oznajmia mu Toby.

- Zabiłem kogoś? Jednego z tych... chyba śniłem koszmar.

- Nie - mówi ona. - Nikogo nie zabiłeś.

- Zdaje się, że zabiłem Derkacza - upiera się Jimmy. - Trzymał Oryks, miał nóż, poderżnął... O Boże. Różowe motyle były całe we krwi. A potem, a potem... zastrzeliłem go.

Toby ogarnia niepokój. O czym on mówi? Co ważniejsze, co Derkaczanie zrozumieją z takiej opowieści? Nic, ma nadzieję. Nie dostrzegą w niej najmniejszego sensu, uznają ją za bełkot, bo przecież Derkacz żyje w niebie, niemożliwe, by był martwy.

- Miałeś koszmar - mówi łagodnie.
- Nieprawda. Nie o tym. O ja pierdolę. - Jimmy kładzie się, zamyka oczy.
- O ja pierdolę.
- Kto to jest ten „Ja-Pierdolę”? - pyta Abraham Lincoln.
- Dlaczego on z tym Ja-Pierdolę rozmawia? Nikt tutaj nie ma takiego imienia.

Toby dopiero po chwili orientuje się, w czym rzecz. Ponieważ Jimmy powiedział „O ja pierdolę” zamiast zwyczajnie „ja pierdolę”, myślą, że to taka sama forma zwracania się do drugiej osoby, jak na przykład „o Toby”. Jak im wytłumaczyć, co znaczy „o ja pierdolę”? Nie byliby w stanie uwierzyć, że słowo odnoszące się do kopulacji mogłoby oznaczać coś złego: być wyrazem wstrętu, obelgą, reakcją na niepowodzenie. Z tego, co zdołała zaobserwować, dla nich ten akt to czysta radość.

- Nie możecie go zobaczyć - mówi Toby w lekkiej desperacji.
- Tylko Jimmy, tylko Yeti-Jimmy go widzi. Jest...
- Ja-Pierdolę jest przyjacielem Derkacza? - pyta Abraham Lincoln.
- Tak - odpowiada Toby. - I przyjacielem Yeti-Jimmy'ego.
- Ten Ja-Pierdolę mu pomaga? - drąży jedna z kobiet.
- Tak - mówi Toby. - Kiedy źle się dzieje, Yeti-Jimmy wzywa go na pomoc. - Co poniekąd jest prawdą.
- Ja-Pierdolę jest w niebie! - oznajmia triumfalnie Czarnobrody. - Z Derkaczem!
- Chcielibyśmy wysłuchać opowieści o Ja-Pierdolę - mówi Abraham Lincoln uprzejmie. - I o tym, jak pomógł Yeti - Jimmy'emu.

Jimmy znów otwiera oczy, mruży powieki. Spogląda na przykrywającą go kołdrę i zdobiące ją wesołe rysunki. Gładzi kota i skrzypce, uśmiechnięty księżyc.

- Co to? Pierdolona krowa. Spaghetti z mózgu. - Podnosi dłoń. żeby osłonić twarz od światła.
- Chciałby, żebyście się trochę odsunęli - prosi Toby. Pochyla się nisko w nadziei, że jej ciało stłumi następne słowa Jimmyego.
- Skrewiłem, co? - Na szczęście prawie szepcze. - Gdzie Oryks? Była tutaj.
- Musisz się przespać - mówi Toby.
- Pierdolone świniomy omal mnie nie zeżarły.
- Nic ci już nie grozi - uspokaja go Toby. Zdarza się, że ludzie po przebudzeniu ze śpiączki mają halucynacje. Tylko jak opisać „halucynacje” Derkaczanom? Halucynacje polegają na tym, że widzi się coś, czego w rzeczywistości nie ma. Ale jeśli tego nie ma, o Toby, jak można to widzieć?
- Co cię omal nie zeżarło? - pyta cierpliwie.
- Świniomy - odpowiada Jimmy. - Świnie-olbrzymy. To znaczy chyba; przepraszam. W głowie mam jedno wielkie spaghetti. Co to byli za faceci? Ci, których nie zastrzeliłem.
- Na razie o nic się nie martw - mówi Toby. - Jesteś głodny? - Trzeba będzie zacząć od małych ilości, po długim poście tak jest najbezpieczniej. Gdyby tylko były banany.
- Pierdolony Derkacz. Dałem mu się wyruchać. Ależ wszystko spieprzyłem. Cholera.
- Spokojnie - mówi Toby. - Dobrze się spisałeś.

- Chuja tam dobrze - odpowiada Jimmy. - Dasz mi coś do picia?

Derkaczanie do tej pory grzecznie stali w oddaleniu, ale teraz

Podchodzą.

- Musimy mrużyć, o Toby - oznajmia Abraham Lincoln. - Żeby dodać mu sił. Coś mu się poplątało w głowie.
- Masz rację - stwierdza Toby. - Coś się poplątało.
- To przez jego sen. I wędrówkę do nas - mówi Abraham Lincoln. - Teraz będziemy mrużyć.
- A potem on przekaze nam słowa Derkacza - dodaje kobieta o hebanowej skórze.
- I słowa Ja-Pierdołę - mówi kobieta koloru kości słoniowej.
- Zaśpiewamy temu Ja-Pierdołę.
- I Oryks.
- I Derkaczowi. Dobry, miłosierny...
- Przyniosę mu świeżą wodę - wtrąca Toby. -I miód.
- A gorzały nie masz? - pyta Jimmy. - Szlag. Fatalnie się czuję.

Ren, Modraszek i Amanda siedzą na niskim kamiennym murku blisko pompy.

- Co z Jimmym? - pyta Ren.
- Obudził się - mówi Toby. - Ale nie bardzo kontaktuje. To normalne, kiedy człowiek tak długo był nieprzytomny.
- Co powiedział? - docieka Ren. - Pytał o mnie?

- Możemy się z nim zobaczyć? - pyta Modraszek.
- Mówi, że czuje się, jakby miał spaghetti w głowie - odpowiada Toby.
- Zawsze tak miał - stwierdza Modraszek. Śmieje się.
- Znałaś go? - mówi Toby. Wie, że dawno temu coś łączyło Jimmy'ego z Ren, a potem z Amandą. Ale z Modraszkiem?
- Uhm - mówi Ren. - Doszliśmy do tego.
- Byłam jego partnerką laboratoryjną w liceum ZdrowoTechu - wyjaśnia Modraszek. - Na biochemii. Wprowadzeniu do składania genów. Zanim wyjechałam z rodziną szybkobieżną koleją na zachód.
- Wakulla Price. Opowiadał mi - mówi Ren - że beznadziejnie się w tobie bujał! Ze złamałaś mu serce. Nigdy mu nie uległaś, co?
- Jakież on wtedy głupoty plótł - mówi Modraszek. Ton jej głosu jest czuły, jakby uważała Jimmy'ego za niegrzeczne, ale słodkie dziecko.
- A potem złamał mi serce - wspomina Ren. - I Bóg raczy wiedzieć, co powiedział Amandzie po tym, jak mnie rzucił. Najpewniej, że to ja złamałam serce jemu.
- Powiedziałabym, że nie umiał się zaangażować - stwierdza Modraszek. - Znałam takich facetów.
- Kiedyś lubił spaghetti - mówi Amanda: od Nocy Paintbólowców nie była tak rozmowna przy Toby.
- W liceum wolał paluszki rybne - stwierdza Ren.
- Dwadzieścia procent prawdziwej ryby, pamiętasz? - mówi Modraszek.
- Kto wie, co tak naprawdę w nich było. - Obie się śmieją.
- Właściwie nie były takie złe - mówi Ren.

- Papka z mięsa wyhodowanego w laboratorium - stwierdza Modraszek.
- Ale co myśmy mogli wtedy wiedzieć? Jadłyśmy to.
- Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby teraz schrupać takiego paluszka - mówi Ren. - I Twinkie. - Wzdycha. - Były takie neo-retro!
- Smakowały jak tapicerka - zauważa Modraszek.
- Idę tam - mówi Amanda. Wstaje, wygładza swoje prześcieradło, odgarnia włosy. - Powinniśmy się przywitać, zobaczyć, czy czegoś mu nie potrzeba. Dużo przeszedł.

Nareszcie, myśli Toby, ślad dawnej Amandy, dziewczyny, którą znała u Ogrodników. Odrobina tej energii, tej zaradności: hart ducha, tak to kiedyś nazywano. To Amanda była prowodyrką, Pierwszą, która przekraczała granice. Nawet starsze chłopaki zostawiały ją w spokoju.

- Też pójdziemy - mówi Modraszek.
- Powiemy „Niespodzianka!” - dodaje Ren. Obie chichoczą.

No i po złamanym sercu, myśli Toby: nie widać po Ren, by jej serce było choćby pęknięte, a jeśli nawet, to nie z powodu Jimmy'ego.

- Może lepiej trochę poczekać - mówi. Jak to wpłynie na stan psychiczny Jimmy'ego, kiedy otworzy oczy i zobaczy trzy byłe ukochane pochylone nad nim jak trzy Parki? Żądające jego wiekuistej miłości, jego przeprosin, jego krwi w spodku dla kota? Albo czegoś jeszcze gorszego: szansy, by go rozpieszczać, niańczyć, przytłoczyć go dobrocią? Choć może akurat to by mu odpowiadało.

Niepotrzebnie się jednak martwiła, bo kiedy tam idą, oczy Jimmy'ego są zamknięte. Ukojony mručeniami znowu zasnął.

Grupa zbieraczy oddala się ulicą czy tym, co ulicą kiedyś było. Zeb na czele, za nim Czarny Nosorożec, dalej Lis Płowy, Katuru na końcu. Idą powoli, ostrożnie, przestępując i omijając gruzy. Sprawdzają potencjalne

miejsca zasadzek, nie będą ryzykować. Tobi chce pobiec za nimi jak dziecko pozostawione przez rodziców - Poczekajcie! Poczekajcie! Weźcie mnie ze sobą! Mam karabin! - ale to bez sensu.

Zeb nie zapytał, czy coś jej przynieść. Co powiedziałyby, gdyby to zrobił? Lusterko? Bukiet kwiatów? Powinna była poprosić choć o papier i ołówki. Ale jakoś nie mogła.

Już ich nie widać.

Dzień toczy się dalej. Słońce wędruje w górę i w poprzek nieba, cienie się spłaszczają, jedzenie staje na stole i zostaje zjedzone, z ust padają słowa; przybory stołowe zostają zabrane i umyte. Zmieniają się warty. Ściana glinianego domku staje się nieco wyższa, do ogrodzenia przybywa kolejny zwój drutu, chwasty zostają usunięte z ogrodu, pranie zawisa na sznurkach. Cienie znów zaczynają się wydłużać, zbierają się popołudniowe chmury. Jimmy zostaje zanieiony pod dach, pada deszcz, porządnie grzmi. Potem niebo się przejaśnia, ptaki wznawiają swoje zawody, chmury czerwienieją na zachodzie.

Zeba nie ma.

Wracają megarunosy i ich pasterze, Crozier, Bieługa i Shackleton, a tym samym do ludnościowej mieszanki w enklawie dołączają trzej samcy buzujący hormonami. Crozier kręci się koło Ren, Shackleton nieśmiało przysuwa się do Amandy, Koliberek Hawański i Bieługa gapią się na Modraszka: zawiązują się intrygi miłosne, jak to zwykle wśród młodych ludzi, a także wśród ślimaków na liściach sałaty i błyszczących zielonych żuków pasożytujących na jarmużu. Szepty, wzruszenie ramieniem, krok do przodu, krok w tył.

Toby wypełnia swoje obowiązki jak w klasztorze, spokojnie, sumiennie, odliczając godziny.

Zeb nie wraca.

Co się z nim mogło stać? Wymazuje sprzed oczu obrazy. Czy raczej

próbuję je wymazać. Zwierzę, z tych wyposażonych w kły i pazury. Warzywo, przewalające się drzewo. Minerale, cement, stal, rozbite szkło. Albo człowiek.

Wyobraźmy sobie, że nagle go nie ma. Otwiera się wir: Tędy go zamyka. Mniejsza o jej osobistą stratę. Co z pozostałymi? Z resztą ludzi? Zeb ma cenne umiejętności, ma wiedzę, której nie sposób zastąpić.

Jest ich tak mało, są sobie tak bardzo potrzebni. Czasem można się czuć w tym obozowisku jak na swego rodzaju wakacjach, ale to mylne wrażenie. Nie uciekają od codziennego życia. Teraz tu jest ich dom.

Mówi Derkaczanom, że tego wieczoru nie będzie opowieści, bo chociaż Zeb zostawił swoją historię w jej głowie, to pewne części tej historii trudno zrozumieć i musi sobie wszystko poukładać, zanim będzie mogła im ją przekazać. Pytają, czy ryba mogłaby w tym pomóc, odpowiada, że nie teraz. Potem idzie posiedzieć samotnie w ogrodzie.

Przegrałaś, mówi sobie. Straciłaś Zeba. Lis Płowy na pewno już go posiadała, mocno ścisnęła rękami, nogami i wszelkimi otworami, które sobie upodobała. Ciebie odrzucił jak pustą papierową torbę. Dlaczegożby nie? Niczego sobie nie obiecywali.

Wietrzyk cichnie, wilgotny żar podnosi się z ziemi, cienie zlewają się ze sobą. Komary zawodzą. Oto księżyc, już nie w pełni. Znowu nastąpiła godzina ćmy.

Nie widać zbliżających się światła, nie słychać głosów. Nikogo ani niczego.

W nocy czuwa nad Jimmym w jego boksie, słucha, jak oddycha. Pali się pojedyncza świeca. W jej świetle rysunki na jego kołdrze falują i się rozrastają. Krowa uśmiecha się szeroko, pies się śmieje. Talerz ucieka z łyżką.

Romans w aptece

Rano Toby unika grupy jedzących śniadanie. Nie ma nastroju do wykładów o epigenetyce, ciekawskich spojrzeń i spekulacji o tym, jak też znosi dezercję Zeba. Mógł powiedzieć Lisowi Płowemu stanowcze nie, ale tego nie zrobił. Komunikat był jasny.

Idzie do kuchni, bierze trochę wczorajszej zimnej wieprzowiny i korzenia łożnianu, który usycha pod odwróconą do góry nogami miską: Rebecca nie lubi wyrzucać żywności.

Siada do stołu, rozgląda się po okolicy. W tle kłębią się megarunosy, czekają, żeby Crozier je wypuścić i dał im się najeść chwastami rosnącymi wzdłuż ścieżek. Oto i on, w swojej biblijnej szacie z prześcieradła, z długim kijem w ręku.

Przy huśtawkach Ren i Modraszek prowadzą Jimmy'ego tam i z powrotem, tworząc niezgrabny sześcionogi asamblaż. Mięśnie mu zwiotczały, ale powinien szybko odzyskać siły: choć dostał od życia w kość, jest jeszcze młody. Jest tam też Amanda, siedzi na jednej z huśtawek; i kilku Derkaczan, którzy skubią wszechobecne pnącza kudzu i przyglądają się ze zdumieniem, ale bez strachu.

Z daleka wygląda to jak zupełna sielanka, chociaż są pewne fałszywe nuty: zaginiony bądź zbiegły megarunos pozostaje zbiegły bądź zaginiony, Amanda osowiale patrzy w ziemię, a Crozier, sądząc z jego napiętych ramion i tego, jak odwraca się plecami do Ren, jest zazdrosny o jej nadopiekuńczość dla Jimmy'ego. Sama Toby jest fałszywą nutą, choć patrząc z zewnątrz, na pewno wydaje się spokojna. Najlepiej na taką wyglądać, a dzięki długim ćwiczeniom u Ogrodników potrafi zachowywać niewzruszony wyraz twarzy, łagodny uśmiech.

Ale gdzie jest Zeb? Dlaczego nie wraca? Czy znalazł Adama Pierwszego? Jeśli Adam jest ranny, będą go musieli nieść. To ich spowolni. Co tam się dzieje, w zrujnowanym mieście, poza zasięgiem jej oczu? Gdyby tylko wciąż działały telefony komórkowe. Cóż, kiedy wieże padły; nawet gdyby

mieli źródło zasilania, nikt tutaj nie potrafiłby naprawić niezbędnych urządzeń. Jest nakręcane korbką radio, ale wysiadło.

Będziemy musieli się od nowa nauczyć sygnałów dymnych, myśli. Jeden oznacza „kocha”, dwa - „nie kocha”. Trzy to płonący w duszy gniew.

Przez cały dzień pracuje w ogrodzie, co teoretycznie ma działać uspokajająco. Gdyby tylko miała ule, którymi mogłaby się zajmować. Przekazywałaby pszczołom codzienne wieści, jak to kiedyś robiły z Pilar w ogrodzie Bożych Ogrodników na dachu, zanim Pilar umarła. Zasięgałaby ich rady. Prosiłaby, by poleciały zbadać okolicę, a potem złożyły jej meldunek, jakby były cyberpszczołami.

Dzisiaj oddajemy cześć świętemu Janowi Swammerdamowi, który pierwszy odkrył, że Królowa Pszczół nie jest Królem i że wszystkie Pszczoły robotnice w ulu są siostrami; i świętemu Zosimie, prawosławnemu patronowi Pszczół, który wiódł ofiarny monastyczny żywot na pustyni, jako i my na swój sposób czynimy; oraz świętemu C. R. Kibbandsowi za jego wnikliwe badania nad metodami porozumiewania się Pszczół. Podziękujemy również Stwórcy za same Pszczoły, za dary Miodu i Pyłku, które im zawdzięczamy, za ich bezcenne dzieło zapylania dokonywane pośród naszych Owoców i Orzechów, a także kwitnących Warzyw, tak, i za pociechę, którą niesie nam w trudnych czasach, jak niegdyś napisał Tennyson, szemranie niezliczonych pszczół...

Pilar nauczyła ją, żeby idąc do pszczół, wcierała w skórę trochę mleczka pszczelego: wtedy nie będą jej postrzegać jako zagrożenie. Będą chodziły po jej rękach i twarzy, ich małe nogi będą muskały ją delikatnie jak rzęsy, lekko jak obłok płynący po niebie. Pszczoły są posłańcami, mawiała Pilar. Przenoszą wieści między światem widzialnym a niewidzialnym. Jeśli ktoś, kogo kochasz, przekroczył próg cienia, powiedzą ci o tym.

Nagle, dzisiaj, w ogrodzie są dziesiątki pszczół, pracowicie uwijających się wśród kwiatów fasoli. Gdzieś niedaleko musiał zawitać nowy dziki rój. Jedna pszczoła ląduje na jej dłoni, kosztuje sól na niej. Czy Zeb nie żyje? - pyta ją w duchu. Powiedz mi. Pszczoła jednak wzbija się w

powietrze, nie dając żadnego sygnału.

Czy wierzyła w to wszystko? Mądrości ludowe starej Pilar? Szczerze mówiąc, nie; przynajmniej nie do końca. Sama Pilar najpewniej też nie wierzyła, ale ku pokrzepieniu serc to powtarzała: że ludzie tak naprawdę nie umierają, tylko rozpoczynają inne życie, choć przyznać trzeba, że jest to egzystencja bledsza, na mroczniejszym świecie. Mimo to są w stanie przesyłać stamtąd wieści, kłopot tylko w tym, żeby je rozpoznać i odcyfrować. Ludzie potrzebują takich opowieści, powiedziała kiedyś Pilar, nawet najmroczniejsza ciemność, w której słychać głosy, jest lepsza od głuchej pustki.

Późnym popołudniem, kiedy cichną gromy, wracają zbieracze. Toby widzi, jak nadchodzą ulicą, lawirując między porzuconymi ciężarówkami i samochodami solarnymi, oświetleni od tyłu zachodzącym słońcem, i liczy ich sylwetki, jeszcze zanim może ich rozpoznać. Czwororo. Nikogo nie brakuje. Ale i nikt nie przybył.

Kiedy podchodzą do ogrodzenia otaczającego domek z gliny, Ren i Modraszek wybiegają im naprzeciw, grupa małych Derkaczan za nimi. Amanda też biegnie, choć nie tak szybko jak pozostali. Toby idzie wolnym krokiem.

- Było ostro! - mówi Lis Płowy na powitanie. - Ale przynajmniej dotarliśmy do apteki. - Jest zaczerwieniona, lekko spocona; umorusana, triumfująca. Kładzie plecak, otwiera go.

- Poczekajcie, aż zobaczycie, co przyniosłam!

Zeb i Czarny Nosorożec wyglądają na wykończonych; Katuru mniej.

- Co się stało? - pyta Toby Zeba. Nie dodaje: „Byłam chora z niepokoju”. Na pewno to wie.

- Długa historia - odpowiada Zeb. - Potem ci powiem. Muszę wziąć prysznic. Były jakieś kłopoty?

- Jimmy się obudził - mówi ona. - Jest dość słaby. I chudy.
- To dobrze - stwierdza Zeb. - Trzeba go podtuczyć i postawić na nogi. Przyda się dodatkowa para rąk do pomocy. - I idzie na tyły domku.

Toby czuje przeszywające od stóp do głów ukłucie wściekłości. Dwa dni go nie było i to wszystko, co ma na ten temat do powiedzenia? Nie jest jego żoną, nie ma prawa zrzędzić, ale nie może odpędzić obrazów: Zeb przewala się między półkami opuszczonej apteki z Lisem Płowym, zrywa z niej strój maskujący wśród odżywek i farb do włosów, ponad trzydzieści ekscytujących odcieni; a może to było koło prezerwatyw i żeli wzmacniających doznania? Albo wcisnęli się za kasę lub między artykuły dla niemowląt - i na zakończenie zużyli całe opakowanie chusteczek nawilżających. Coś w tym rodzaju musiało się wydarzyć. Inaczej Lis Płowcy nie miałyby tak zadowolonej miny.

- Lakier do paznokci, proszki przeciwbólowe, szczoteczki do zębów! Zobaczcie, pinceta! - mówi teraz.

-Widzę, że ogołociłaś lokal - stwierdza Modraszek.

- Niewiele zostało - mówi Lis Płowcy. - Szabrownicy już tam byli, wygląda na to, że najbardziej interesowały ich leki. Oxy, BłogoPlus, wszystko z kodeiną.

- Bo i po co im kosmetyki do pielęgnacji włosów? - zauważa Modraszek.

- Właśnie. Produktów dla dziewczyn też nie ruszyli - mówi Lis Płowcy. Zaczyna wyciągać opakowania SuperChłonnych, tamponów i kremów wyszczuplających. - Kazałam chłopakom wziąć trochę tego towaru do swoich plecaków. Znaleźli też piwo. To już był mały cud.

- Czemu to tak długo trwało? - pyta Toby. Lis Płowcy uśmiecha się do niej, bez złośliwości. Przeciwnie, jest zbyt przyjazna, zbyt prostolinijna, jak nastolatka, która wróciła do domu po wyznaczonej godzinie.

- Tak jakby wpadliśmy w pułapkę - mówi. - Szperaliśmy tu i tam,

zbieraliśmy rzeczy, ale po południu, kiedy już mieliśmy wracać, pojawiło się stado tych olbrzymich świń... takich samych jak te, co próbowały się dostać do ogrodu, zanim kilka z nich zastrzeliliśmy.

- Początkowo tylko czaiły się z tyłu, ale kiedy już zabraliśmy, co było do zabrania, i wyszliśmy na zewnątrz, okazało się, że odcięły nam drogę. Wbiegliśmy więc z powrotem do apteki, ale tam nie mogliśmy się przed nimi schronić, bo witryny były powybijane. Udało nam się wydostać na dach przez małą klapę w suficie magazynu; one nie potrafią wchodzić po schodach.

- Wyglądały na głodne? - pyta Ren.

- A jak to poznać u świni? - rzuca Lis Płowy.

Są wszystkożerne, myśli Toby. Niczym nie wzgardzą. Ale głodne czy nie, i tak by nas zabiły. Z czystej złośliwości. Albo z zemsty. Jedliśmy je.

- I co potem? - pyta Ren.

- Przez jakiś czas siedzieliśmy na dachu - opowiada Lis Płowy - a potem świni wyszły z apteki i nas zobaczyły. Znalazły karton czipsów, wywlokły go na zewnątrz i urządziły sobie imprezę, nie spuszczając z nas oka. Obnosiły się z tymi czipsami: musiały wiedzieć, że byliśmy głodni. Zeb kazał je policzyć, na wypadek gdyby się rozdzieliły; część mogłaby skupić na sobie naszą uwagę, a reszta zastawić na nas zasadzkę. W końcu ruszyły na zachód, truchtem, jakby obrały jakiś cel. Spojrzeliśmy tam i zobaczyliśmy coś w oddali. Dym.

Co jakiś czas coś w mieście staje w ogniu. Przewód elektryczny wciąż podłączony do baterii słonecznej; samorzutnie zapalający się stos wilgotnych odpadów organicznych; rezerwa ropy śmieciowej ogrzana słońcem. Dlatego widok dymu to nic nadzwyczajnego, zauważa Toby.

- To było co innego - mówi Lis Płowy. - Cienka smuga dymu, jakby z ogniska.

- Dlaczego nie zastrzeliliście tych świń? - pyta Modraszek.
- Zeb stwierdził, że szkoda czasu, bo było ich za dużo. Poza tym musieliśmy oszczędzać amunicję do miotaczy. Zeb zdecydował, że pójdziemy poszukać źródła tego dymu, ale już robiło się ciemno. Zostaliśmy więc na noc w aptece.
- Na dachu? - pyta Toby.
- W magazynie - mówi Lis Płowy. - Zastawiliśmy drzwi pudłami. Ale nic się nie działo, nie licząc szcurów; dużo ich było. Rano poszliśmy w miejsce, gdzie widzieliśmy ogień. Zeb i Czarny Nosorożec stwierdzili, że byli tam ci paintbólowcy.
- Zobaczyliście ich? - pyta Amanda.
- Tylko resztki ich ogniska - mówi Lis Płowy. - Wypaliło się. W popiele było dużo śladów świń. I szczątki naszego megarunosa. Tego z rudymi warkoczykami. Zjedli go.
- O nie - mówi Modraszek.
- Paintbólowcy czy świny? - pyta Amanda.
- Jedni i drudzy - mówi Lis Płowy. - Tych dwóch typów jednak nigdzie nie było. Zeb stwierdził, że świny musiały ich przepłoszyć. Kawalek dalej znaleźliśmy za to martwego prosiaka: zabity miotaczem, powiedział Zeb. Odcięli mu tylną nogę. Zeb chce, żebyśmy potem po niego wrócili, bo świny już raczej nie wejdą nam w drogę po tym, jak zginęło jedno z ich młodych, a szkoda, żeby wieprzowina się marnowała. Ale słyszeliśmy te wściekłe transgeniczne psy, więc możliwe, że będziemy musieli z nimi o to mięso walczyć. Tam jest istne zoo.
- W zoo byłyby ogrodzenia - stwierdza Modraszek. - Ukradli tego megarunosa, prawda? Nie odłączył się ot tak od stada. Ci dwaj musieli być blisko nas i nikt nic nie zauważył.

- Ciarki przechodzą - mówi Ren.

Lis Płowy nie słucha.

- Zobaczcie, co jeszcze przyniosłam - mówi. - Testy ciążowe, te takie pałeczki, na które się sika. Myślę, że nam wszystkim się przydadzą. No, prawie wszystkim. - Uśmiecha się, ale nie patrzy na Toby.

- Ja odpadam - mówi Ren. - Jak tu mieć dziecko w tych warunkach? - Zatacza krąg ręką: ukazuje gliniany domek, drzewa, ogólny minimalizm. - Bez bieżącej wody? To znaczy...

- Nie jestem pewna, czy będziesz miała w tej sprawie coś do powiedzenia - zauważa Lis Płowy. - Na dłuższą metę. Poza tym jesteśmy to winne ludzkości. Nie sądzisz?

- Kim mieliby być tatusiowie? - pyta Modraszek z pewnym zainteresowaniem.

- Masz ich do wyboru, do koloru, jak sądzę - mówi Lis Płowy.

- Kolejka ustawia się po lewej. Po prostu wybierz tego z najdłuższym wywalonym językiem.

- Czyli ty jesteś skazana na Dziecioła Wielkodziobego - stwierdza Modraszek.

- Powiedziałam „z najdłuższym językiem”? - mówi Lis Płowy. Ona i Modraszek chichoczą, Ren i Amanda nie.

- Pokaż no te pałeczki do obsikiwania - mówi Ren.

Toby patrzy w ciemność. Czy powinna pójść za Zebem? Już na pewno wyszedł spod prysznic: w domku z gliny nikt nie spędza dużo czasu pod natryskiem, wyjąwszy Lisa Płowego, która zazwyczaj zużywa cały zapas ogrzanej słońcem wody. A mimo to Zeba nie widać.

Na wszelki wypadek czuwa w swoim boksie. Blask księżycy srebrzy jej

oczy. Pokrzykują sowy, zachwycają się nawzajem swoimi piórami. Nie tego Tobie chce.

Pielenie

Zeb nie pojawia się przez cały poranek. Nikt o nim nie wspomina. Toby nie pyta.

Na lunch jest zupa z jakimś mięsem - wędzony pies? - i kudzu z czosnkiem. Polirzeczki, które mogłyby być dojrzałe. Sałatka z zieleniny.

- Musimy pomyśleć, jak zdobyć ocet - mówi Rebecca. - Wtedy mogłabym przyrządzić prawdziwy dressing.
- Najpierw trzeba by zrobić wino - zauważa Koliberek Hawański.
- Jestem za - mówi Rebecca. Dodała do sałatki nasiona rukoli, żeby smakowała trochę pieprzniej. Chce warzyć sól w panwi na brzegu morza. Kiedy nie będzie przeszkód, mówi. Kiedy rozstrzygnie się sprawa z paintbólowcami.

Po lunchu jest czas na odpoczynek pod dachem, pod przybyciem. Słońce leje żar z nieba, chmury burzowe jeszcze się nie gromadzą. Powietrze jest parne, lepkie.

Toby zostaje w swoim boksie, próbuje się zdrzemnąć, ale zamiast tego się dąsa. Zakaz dąsów, mówi sobie. I lizania ran. Nie może nawet być pewna, czy ma jakąś ranę do lizania. Chociaż czuje się zraniona.

Późne popołudnie, po deszczu. Nie ma żywej duszy, nie licząc Croziera i Manata stojących na warcie. Toby klęczy w ogrodzie i zabija ślimaki. To akt, który niegdyś przyprawiłby ją o wyrzuty sumienia - bowiem czyż Ślimaki nie są stworzeniami Bożymi jak my, powiedziała by Adam Pierwszy, czyż nie mają takiego samego prawa oddychać powietrzem, pod warunkiem że robią to w miejscu bardziej im sprzyjającym niż nasz Ogród na Dachy Edencliff? Teraz jednak zabijając je, daje ujście... czemu? Nie chce się nad tym zastanawiać.

Co gorsza, łapie się na braku obiektywizmu. Giń, podły szkodniku!

Wrzuca każdego schwytanego ślimaka do blaszanej puszki z popiołem drzewnym i wodą na dnie. Wcześniej stosowali sól, ale za mało jej mają, żeby ją marnować. Może szybki cios płaskim kamieniem byłby bardziej humanitarny - popiół drzewny musi przysparzać ślimakom cierpień - ale nie jest w nastroju do rozważań o poziomie okrucieństwa poszczególnych metod egzekucji ślimaków.

Wyszarpuje chwast z ziemi. Jakże bezmyślnie wrzucamy wszystkie Święte Boże Chwasty do jednego worka, jakże bezmyślnie umniejszamy ich znaczenie! A przecież „Chwast” to jedynie nazwa, którą określamy roślinę drażniącą nas tym, że stoi na przeszkodzie naszym Ludzkim planom. Weźcie jednak pod rozwagę, jak wiele z nich jest nie tylko pożytecznych, ale i jadalnych, i smacznych!

Jasne. Ale nie ten. Ambrozja, sądząc z wyglądu. Rzuca go na stos wyrwanego zielska.

- Cześć, Szwadronie Śmierci - mówi głos. Zeb szeroko uśmiecha się do niej z góry.

Toby dźwiga się na nogi. Ma brudne ręce; nie wie, co z nimi począć. Co on, spał aż do tej pory? Nie może spytać, co zaszło między nim a Lisem Płowym i czy w ogóle cokolwiek zaszło: ani myśli wyjść na zołzę.

- Cieszę się, że wróciłeś cały - mówi. I rzeczywiście się cieszy, tak bardzo, że nie może tego wyrazić słowami, a mimo to sama słyszy, że jej głos brzmi sztucznie.

- Ja też - mówi on. - Ta wyprawa mocniej dała mi w kość, niż się spodziewałem. Byłem wykończony, spałem jak zabity, chyba się starzeję.

Czy próbuje zatuszować to, co się stało? Naprawdę jest aż tak podejrzliwa?

- Brakowało mi ciebie - mówi. Proszę bardzo. Czy to takie trudne?

Zeb uśmiecha się szerzej.

- Liczyłem na to - mówi. - Coś ci przyniosłem. - To puderniczka z małym okrągłym lusterkiem.

- Dziękuję - mówi ona. Zdobywa się na uśmiech. Czy to prezent dla uspokojenia sumienia, przeprosiny? Róże dla żony po tym, jak mąż pofiglował na boku z koleżanką z pracy? Tyle że przecież nie jest niczyją żoną.

- Mam też dla ciebie trochę papieru. Kilka zeszytów szkolnych, były w aptece, pewnie dla dzieciaków z plebsopolii, których nie było stać na tablety z Wi-Fi. Parę długopisów, ołówki. Flamastry.

- Skąd wiedziałeś, że tego chcę? - pyta Toby.

- Dawno, dawno temu pracowałem z jasnowidzem - mówi Zeb. - Kaligrafia to umiejętność, której uczą u Ogrodników, zgadza się? Pomyślałem, że pewnie chcesz rejestrować upływ dni. Hej, może tak byś mnie przytuliła?

- Całego cię ubłocę - mówi ona, ale ustępuje z uśmiechem.

- Bywałem brudniejszy.

Jak mogła nie wziąć go w ramiona, mimo że palce miała śliskie od ślimaków?

I świeci słońce, a wśród żółtych kwiatów kabaczka krążą pszczoły,

- Wiesz, co by mi się naprawdę przydało? - mówi z twarzą w pachnącej dymem brodzie Zeba. - Okulary do czytania. I ul.

- Załatwione. - Pauza. - Coś ci pokażę.

Z rękawa wyciąga but: sandał. Ręcznej roboty, z materiałów z odzysku: podeszwa z bieżnika opony, paski z dętki rowerowej, akcenty ze srebrnej taśmy klejącej. Choć uwalany ziemią, nie jest zbyt znoszony.

- Ogrodniczy - mówi Toby. Pamięta ten styl, czy raczej brak stylu. Po

czym zastrzega: - To znaczy chyba. Pewnie nie tylko oni takie robili.

W głowie już ma obraz: Adam Pierwszy i ocalali Ogrodnicy schowani w jednej z kryjówek, które nazywali Araratami - na przykład w starych piwnicach, w których hodowali grzyby - klecą sandały w świetle świec niby elfy w norze, podjadając miód i wiórki sojowe ze swoich zapasów, podczas gdy nad ich głowami miasta płoną i walą się w gruzy, a rodzaj ludzki rozplywa się w nicość. Tak mocno pragnie w to uwierzyć, że nie dopuszcza do siebie możliwości, by to nie było prawdą.

- Gdzie go znalazłeś? - pyta.
- Koło zabitego prosiaka - mówi Zeb. - Nie pokazałem pozostałym.
- Myślisz, że to Adam. Że żyje. Myślisz, że celowo zostawił to dla ciebie... albo dla kogoś innego. - To nie są pytania.
- Ty też - mówi Zeb. - Też tak myślisz.
- Nie rób sobie zbyt wielkiej nadziei - radzi ona. - Nadzieja może cię zniszczyć.
- Jasne. Masz rację. Ale mimo wszystko.
- Jeśli jest tak, jak sądzisz - mówi Toby - czy Adam nie próbowałby cię odszukać?

CZOŁÓWKA ŚWIECĄCA ŚWIATŁEM CZARNYM

Opowieść o Zebie i Ja-Pierdołę

Nie musisz dzień w dzień opowiadać im bajek. Lepiej chodź ze mną. Jeden wieczór możesz opuścić.

Już jeden opuściłam. Nie mogę im sprawić zbyt wielkiego zawodu. Mogliby odejść i wrócić na plażę, a tam byłiby łatwym celem. Ci paintbólowcy... nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby...

No dobra. Ale streszczaj się, co?

Nie wiem, czy się da. Zadają dużo pytań.

Każ im spadać na szczaw.

Nie zrozumieliby. Lubią szczaw. To tak jak z „ja pierdołę” - myślą, że istnieje niewidzialna istota imieniem Ja-Pierdołę. Ktoś, kto pomaga Derkaczowi w potrzebie. I Jimmy’emu, bo usłyszeli, jak powiedział: „O ja pierdołę”.

Zgadzam się z nimi. Ja pierdołę! Niewidzialna istota! Pomaga w potrzebie! Święta prawda!

Chcą usłyszeć opowieść o nim. Właściwie o nim i o tobie. O waszych chłopięcych przygodach. Obaj jesteście w tej chwili gwiazdami. Molestują mnie o to, o tę opowieść.

Mogę posłuchać?

Nie. Śmiałyś się.

Widzisz te usta? Wirtualna taśma klejąca! Gdybym miał trochę super glue, mógłbym... Hm, a gdybym tak przykleił swoje usta do twojej...

Nie bądź taki spaczony.

Życie jest spaczone. Ja się tylko dostosowuję.

Dziękuję wam za rybę.

Widzicie, mam na głowie czerwoną czapkę i posłuchałam okrągłej błyszczącej rzeczy, którą noszę na ręku.

Dzisiaj opowiem wam historię o Zebie i Ja-Pierdolę. Wedle waszego życzenia.

Kiedy Zeb opuścił dom, w którym ojciec i matka nie byli dla niego dobrzy, długo błądził w chaosie. Nie wiedział, dokąd iść, nie wiedział, gdzie jest jego brat Adam, jego jedyny przyjaciel i pomocnik.

Tak, Ja-Pierdolę też był jego przyjacielem i pomocnikiem, ale był niewidoczny.

Nie, tam w mroku za krzakiem to nie zwierzę. To Zeb. Nie śmieje się, kaszle.

A zatem brat Zeba, Adam, był jedynym przyjacielem i pomocnikiem, którego Zeb mógł widzieć i dotykać. Czy Adam zabłądził? Czy go uprowadzono? Zeb nie wiedział i było mu smutno z tego powodu.

Jednak Ja-Pierdolę dotrzymywał mu towarzystwa i udzielał rad. Ja-Pierdolę żył w powietrzu i fruwał jak ptak, dzięki czemu mógł w jednej chwili być z Zebem, w następnej z Derkaczem, a zaraz potem z Yeti-Jimmym. Mógł być w wielu miejscach naraz. Jeśli miałeś kłopoty i go wzywałeś - O Ja Pierdolę! - zawsze się zjawiał, kiedy był potrzebny. I kto wypowiadał jego imię, zaraz czuł się lepiej.

Tak, Zeb rzeczywiście ma ostry kaszel. Ale na razie nie musicie nad nim mruzczyć.

Tak, dobrze byłoby mieć takiego przyjaciela i pomocnika jak Ja-Pierdolę. Też chciałabym, żeby ktoś taki przy mnie był.

Nie, Ja-Pierdolę nie jest moim pomocnikiem. Moim pomocnikiem jest Pilar. Umarta, przybrała postać rośliny i teraz żyje wśród pszczoł.

Tak, rozmawiam z nią, nawet kiedy jej nie widzę. Ale ona nie jest aż tak... nie jest tak raptowna jak Ja-Pierdolę. Bardziej przypomina wietrzyk niż grom.

O Pilar opowiem wam kiedy indziej.

A zatem Zeb zapuścił się na niebezpieczne tereny, gdzie było mnóstwo złych ludzi, którzy robili okrutne i bolesne rzeczy. I pewnego dnia trafił w miejsce, gdzie gotowano i jedzono Dzieci Oryks, a wiedział, że tak czynić nie wolno. I kiedy poprosił Ja-Pierdolę o radę, Ja-Pierdolę kazał mu stamtąd odejść. Potem Zeb mieszkał w domach otoczonych wodą i poznał węża. Tam też jednak było niebezpiecznie; powiedział więc; O Ja Pierdolę!

I Ja-Pierdolę przyleciał, przemówił do Zeba i obiecał, że pomoże mu bezpiecznie się stamtąd wydostać.

Wystarczy opowiadania na dziś. Wiecie już, że Zeb bezpiecznie się stamtąd wydostał, bo przecież widzicie, że tu siedzi, prawda? I bardzo się cieszy, że mógł usłyszeć tę opowieść. Dlatego teraz się śmieje i już nie kaszle.

Dziękuję, że życzyście mi dobrej nocy. Cieszę się, że chcecie, abym spała spokojnie, bez złych snów.

Ja wam też życzę dobrej nocy.

Tak, dobranoc.

Dobranoc!

Wystarczy. Możecie już przestać mówić „dobranoc”.

Dziękuję.

Pływający Świat

Pewnego dnia Zeb obudził się u boku Wynette, ekspedientki z SekretBurgera, i uświadomił sobie, że dziewczyna pachnie pieczonymi hamburgerami i zjełczalym olejem. Nie żeby sam pachniał inaczej, bądźmy szczerzy, ale własny zapach to zawsze co innego, mówi Zeb. Nie chcesz jednak, żeby tak pachniał obiekt twojego pożądania. Naczelne tak mają, to podstawowa sprawa, robili nad tym badania. Zapytaj dowolnego z MaddAddamowców, którzy tu są.

Pachniała też cebulą, nie zapomnijmy o niej, a także tym ohydny czerwonym sosem w wyciskanych butelkach, który miał takie wzięcie u klientów, że ani chybi zawierał crack. Kiedy robiło się nerwowo i wybuchały rozróby, ktoś zawsze łapał jedną z tych butelek i zaczynał przyskać na wszystkie strony. Czerwona maź mieszała się z krwią z ran głowy i nie sposób było poznać, czy ludzie wykrwawiają się na śmierć, czy po prostu ich ochlapano.

To, jak ta mieszanka zapachów wsiąkała w ich ubrania, włosy, a nawet pory skóry, było nie do uniknięcia, zważywszy na to, gdzie oboje pracowali. Nie dało się zmyć z siebie tego smrodu, nawet kiedy w prysznicu była woda, i niezbyt dobrze komponował się on z tanim mazidłem, którym smarowała się Wynette, żeby go zneutralizować: Dalila, tak się nazywało, dostępne w postaci emulsji i wody kolońskiej, tak mocne, że w jego oparach czułeś się, jakbyś brnął w morzu usychających lilii albo przez gromadę staruszek w typie stałych bywalczyń Kościoła Petroewangelickiego. Te dwa zapachy - sekretburgery, Dalila - były w porządku, jeśli byłeś bardzo głodny, bardzo napalony, albo jedno i drugie. W innych okolicznościach niekoniecznie.

Ja pierdołę, pomyślał Zeb tego ranka po przebudzeniu, leżąc i wdychając ten koszmarny bukiet. To nie ma przyszłości.

A jeśli nawet jakąś przyszłość miało, to nie była ona różowa, bo Wynette oprócz tego, że dziwnie pachniała, to jeszcze robiła się coraz bardziej

wścibska. W imię miłości i pragnienia, by poznać i zrozumieć jego prawdziwe, pełne ja, chciała spenetrować jego najgłębszą głębię, mówiąc w przenośni. Wyciągnąć go ze skorupy. Gdyby zaczęła za bardzo wnikać, gdyby rozwikłała lichą sieć jego kłamstw, którą skonstruował nie dość starannie, uzmysłowił sobie i przysiągł w duchu, że następnym razem lepiej się postara, kiedy będzie chciał kogoś okantować - gdyby ją rozwikłała, nie znalazłaby nic szczególnie przekonującego. A jeśli by na tym nie poprzestała, mogłaby się domyślić, skąd Zeb pochodził i kim naprawdę był, a wtedy byłoby kwestią czasu, kiedy wsypałaby go, żeby zgarnąć nagrodę, którą na pewno wyznaczono za niego w rozplotkowanych szcurzych korytarzach plebsopolii.

Zeb nie miał wątpliwości, że taka nagroda istnieje. Być może w obiegu krążyły nawet jego dane biometryczne: zdjęcia uszu, Zimowane sylwetki pokazujące jego chód, odciski kciuków pobrane w latach szkolnych. O ile wiedział, Wynette nie miała powiązań z gangami i na szczęście nie stać jej było na peceta ani tablet. Zawsze jednak mogła tanio skorzystać z sieci w którejś z kawiarni i, gdyby ją dostatecznie wkurzył, przeprowadzić małe dochodzenie w sprawie jego tożsamości.

Już zaczynała się wybudzać z pierwszego wywołanego seksem uśpienia, w które wprowadził ją swoim zrodzonym w lędźwiach entuzjazmem naspidowanego szczeniaka czy człowieka po nawiązaniu pierwszego kontaktu z kosmitami. Młodzi faceci w sprawach seksu nie mają gustu jako takiego - nie są wybredni. Są jak te pingwiny, które szokowały ludzi w epoce wiktoriańskiej, przelecieliby wszystko, co ma szparę, i w wypadku Zeba korzyść z tego odniosła Wynette. Nie żeby się chwalił, ale w czasie ich nocnych igraszek oczy tak jej uciekały w głąb, że z reguły wyglądała jak zombi, a godne rockowego koncertu dźwięki, które wydawała, wywoływały odzew w postaci łomotania i walenia z dołu, gdzie był sklep z alkoholem, i z góry, gdzie mieszkała grupa posępnych roboli.

Teraz jednak brała zwierzęcą energię Zeba za coś głębszego. Chciała rozmawiać po każdym dymanku. Chciała, żeby połączyli swoje esencje na poziomie duchowym. Zaczynała pytać o sprawy typu: czy nie powinna

mieć większych piersi, czy w tym odcieniu żółtozielonego jest jej do twarzy i dlaczego nie robią tego dwa razy na noc, jak kiedyś, na początku? Pytania, które wciągają mężczyznę w pułapkę, bez względu na to, jak odpowie. Te nocne przesłuchania robiły się męczące. Może, stwierdził Zeb, to, co czuł do Wynette, to jednak nie była prawdziwa miłość.

- Nie patrz tak na mnie. Byłem jeszcze młody. I nie zapominaj, nie przysposobiono mnie należycie do życia w społeczeństwie - mówi Zeb.
- Niby jak na ciebie patrzę? - pyta Toby. - Ciemniej tu niż w kozim zadku. Nie możesz mnie widzieć.
- Czuję lodowaty chłód twojego kamiennego spojrzenia.
- Po prostu jej współczuję, to wszystko - mówi Toby.
- Nieprawda. Gdybym z nią został, nie byłoby mnie tu z tobą, zgadza się?
- W porządku. Niech ci będzie. Wycofuję współczucie. Ale mimo wszystko.

Nie zachował się jak zupełny gnojek. Zostawił Wynette trochę gotówki i list z wyrazami dozgonnego uwielbienia, w którego postscriptum napisał, że jego życie jest zagrożone, bo wszedł w brudne interesy - nie wyjaśnił jakie - i nie może znieść myśli o tym, że przez niego i ona miałyby się znaleźć w opresji.

- Takiego słowa użyłeś? - pyta Toby. - „Opresji”?
- Lubiła romantyczne fantazje - odpowiada Zeb. - O rycerzach i innych takich. Miała trochę starych książek, zostały po poprzednich lokatorach. Rozlatywały się.
- I nie chciałeś odegrać roli rycerza?
- Nie dla niej - mówi Zeb. - Dla ciebie... - całuje opuszki jej palców -

...miecze o świcie, w każdej chwili.

- Nie wierzę - stwierdza Toby. - Dopiero co mi powiedziałeś, jaki z ciebie kłamca!
- Przynajmniej dla ciebie zadaję sobie trud, żeby kłamać - zauważa Zeb.
- Kłamstwo wymaga więcej wysiłku niż naga prawda. Potraktuj to jako formę zalotów godowych. Brzydko się starzeję, jestem mocno przechodzony, nie mam wielkiego niebieskiego fleta jak nasi przyjaciele Derkaczanie, muszę się więc zdawać na swój pomysłułek. To, co z niego zostało.

Zeb pospiesznie ruszył TiroStradą na południe i wylądował w ruinach Santa Monica. Przybierające morze zmyło plaże, luksusowe niegdyś hotele i apartamentowce były częściowo zalane. Niektóre ulice zmieniły się w kanały, a pobliskie Venice upodobiło się do swojego włoskiego imiennika. Cała dzielnica zwana była Pływającym Światem i rzeczywiście przeważnie pływała, zwłaszcza kiedy księżyc w pełni wywoływał pływ syzygijny.

Pierwotni właściciele już tam nie mieszkali. Ponieważ nie dostali odszkodowań - bowiem czym jest zalanie przez morze, jeśli nie działaniem siły wyższej - uciekli, gdzie woda nie sięgała. Na ich miejsce sprowadzili się dzicy lokatorzy i wszelkiej maści włóczędzy, niezrażeni brakiem usług komunalnych - kanalizacja i wodociągi nie działały, prąd odcięto dawno temu.

Dzielnica zyskała sobie renomę siedliska rozpusty. Jelenie w średnim wieku ochoczo ściągali więc z bardziej eleganckich, wyżej położonych osiedli do Pływającego Świata, by wyrwać się z gorsetu konwenansów, i przemierzali zatopione ulice małymi taksówkami wodnymi wyposażonymi w perkoczące silniki solarne. Przyciągał ich hazard, handel nielegalnymi substancjami i dziewczyny, ale także występy kuglarzy, którzy urządzali pokazy w jednym walącym się budynku po drugim, przenosząc się, kiedy woda przybierała bądź sztorm zmywał kolejną część wybrzeża i zabudowy.

Pływający Świat miał wiele do zaoferowania i gwarantował okazałe zyski, bo nikt, kto prowadził tam interesy, nie płacił czynszu ani podatków. Gra w kości toczyła się od rana do nocy, zmieniali się tylko jej uczestnicy, ludzie z zapuchniętymi oczami, którym nie wystarczał hazard w sieci, bo pragnęli uzależniającego, szarpiącego nerwy kopa, jaki daje świadomość potencjalnego zagrożenia. Chcieli też wolności od inwigilacji: byli przekonani, że w Internecie jest tyle ukrytych wizjerów, co w motelu przy TiroStradzie, i woleli nie zostawiać w nim swojego wirtualnego DNA.

W Pływającym Świecie działał dom uciechy, w którym klienci mogli korzystać z usług prawdziwych dziewczyn i roboprostytutek, zależnie od tego, w jak ściśle zaprogramowane interakcje chcieli wchodzić, nie że zawsze można było poznać różnicę. Była trupa ulicznych akrobatów, którzy w świetle pochodni paradowali po linach rozpiętych nad zalanymi ulicami i czasem spadali, łamiąc sobie rozmaite części ciała, także karki, perspektywa, że dojdzie do urazu lub śmierci, była mocnym magnesem dla publiczności: podczas gdy świat wirtualny robił się coraz bardziej wyreżyserowany i wygładzony, gdy nawet strony rzekomo pokazujące prawdziwe życie budziły powątpiewania co do swojej autentyczności, szorstki, nieupiększony świat fizyczny nabierał zgoła mistycznego uroku.

Jednym z kuglarzy był magik, facet o smutnych oczach, około pięćdziesiątki, w garniturze ze spodniami wypychającymi się na kolanach, zapewne buchniętym ze sklepu charytatywnego: nie zbijał kokosów na tym, co robił. Stawiał prowizoryczną scenę na szybko zarastającej pleśnią antresoli niegdyś ekskluzywnego hotelu, po czym pokazywał sztuczki z kartami, monetami i chusteczkami, przecinał kobiety piłą na pół, sprawiał, że znikają z szaf, i czytał w myślach widzów. Tych uciech nie było już w telewizji i sieci, bo w świecie wirtualnym takie pokazy zręczności traciły swoją namacalność, a przez to budziły nieufność: po czym poznać, że to nie tylko efekty specjalne? Kiedy jednak magik z Pływającego Świata brał do ust garść igieł, widziałeś, że to są prawdziwe igły, a kiedy wyjmował je nawleczone, mogłeś dotknąć nici; gdy podrzucał w górę talię kart i w sufit wbijał się as pik, działało się to na

żywo, na twoich oczach.

Na antresoli zawsze było tłoczno w piątkowe i sobotnie wieczory, kiedy magik dawał pokazy. Przybrał pseudonim Maestro Slaight, na pamiątkę Allana Slaighta, dwudziestowiecznego historyka sztuk tajemnych. Choć niewielu widzów mogło to wiedzieć.

Zeb jednak się o tym dowiedział, bo to u Maestro Slaighta dostał pracę. Odgrywał rolę Lothara, muskularnego asystenta odzianego w prostacki kostium z imitacji lamparciej skóry. Taszczył szafę, obracał ją do góry nogami, żeby pokazać, że w środku jest pusta, wkładał piękną asystentkę magika do skrzyni, w której miała zostać przepiłowana na pół. Czasem udawał widza i zbierał informacje do numeru z czytaniem w myślach lub głośno wyrażał zadziwienie, by odwrócić uwagę publiczności. Dzienną porą wysyłano go na zakupy poza Pływający Świat, gdzie były minisupermarkety i ludzie, którzy nie spali w dzień.

- Dużo się nauczyłem od starego Slaighta - mówi Zeb.
- Jak przepiłować kobietę na pół?
- Też, choć to akurat każdy potrafi. Trudniej jest zrobić to tak, by w trakcie się uśmiechały.
- Pewnie potrzeba do tego luster - mówi Toby. -I dymu.
- Przysięgłem zachować to w tajemnicy. Najważniejszym, czego nauczyłem mnie stary Slaight, była sztuka odwracania uwagi. Zmusz publikę, żeby patrzyła gdzie indziej, nie na to, co naprawdę robisz, a wiele ci ujdzie na sucho. Slaight nazywał każdą ze swoich pięknych asystentek Panną Zmyłką. Taką im nadał nazwę rodzajową.
- Może ich nie rozróżniał?
- Może. Nie interesowały go pod tym względem. Liczyło się tylko to, żeby dobrze wyglądały w cekinach, choć tych cekinów nie było wiele. Panną Zmyłką w tamtym czasie była Katrina Wu, rysiooki Miks Azjatycki

z Palo Alto. Nazywałem ją w duchu Katriną WooWoo i próbowałem wejść z nią w bliższe stosunki... Wynette, ekspedientka z SekretBurgera, otworzyła przede mną wszechświat nowych możliwości i mocno się rozzuchwiałem... ale Panna Zmyłka WooWoo nawet nie chciała o tym słyszeć.

Co weekend trzymałem ją w ramionach, bo a to trzeba było ją wcisnąć do skrzyni, gdzie miała zostać przepiłowana, a to wsadzić do szafy, z której miała zniknąć, a to znowu położyć na stole nad którym miała lewitować, korzystałem więc z okazji, żeby to i owo pomacać i posłać jej, jak sądziłem, namiętne spojrzenie, od którego nogi miękną, ona jednak za każdym razem syczała na mnie przez uśmiechnięte usta: „Natychniast przestań”.

- Nieźle syczysz. Może od przepiłowywania traciła płyny ustrojowe.
- Nie. Za to odpowiedzialny był jeden z linoskoczków. W ciągu tygodnia, kiedy nie pracowała u Maestro Saighta, facet uczył ją tańca na trapezie; planowali wspólne występy, pokaz striptizu na linie. Z myślą o tym przygotowała parę kostiumów: ptaka, węża. Miała też węża prawdziwego, zlobotomizowanego pytona czy coś takiego. Na imię miał Marzec, bo według panny WooWoo marzec był miesiącem nadziei, a jej pyton zawsze był pełen nadziei.
- Zdaje się, że go lubiła; podczas niektórych występów oplatała sobie nim szyję, pozwalala, żeby po niej pełzał. Zaprzyjaźniłem się z Marcem, łapałem dla niego myszy. Myślałem, że te sterroryzowane gryzonie będą kluczem do serca WooWoo, ale nic z tego.
- Dlaczego kobieta i wąż to takie fascynujące połączenie? - pyta Toby. - Albo kobieta i ptak, skoro już o tym mowa.
- Lubimy sobie wyobrażać, że jesteście dzikimi zwierzętami - mówi Zeb. - Pod tymi wszystkimi ozdóbkami.
- To znaczy, że jesteśmy głupie? A może nie jesteśmy w pełni ludźmi?

- Wyluzuj. To znaczy, że jesteście drapieżne, nieposkromione, w dobrym tego słowa znaczeniu. Kobieta z łuskami, piórami jest bardzo pociągająca. Ma w sobie coś groźnego, jak bogini. Zwiastuje ryzyko. Skrajne emocje.

- No dobra, przyjmijmy, że racja leży pośrodku. I co potem?

- Potem było to, że Katrina WooWoo i linoskoczek pewnego dnia się ulotnili. Razem z pytonem Marcem. Było mi przykro, nie tyle z powodu węża, ile przez wzgląd na pannę WooWoo. Bo trafiła mnie zatruta strzała Amora. Przyznaję, użalałem się nad sobą.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić - mówi Toby.

- A jednak tak było. Nie dało się ze mną wytrzymać. Nie żeby ktokolwiek to zauważył, więc głównie to ja sam nie mogłem ze sobą wytrzymać. Krążyły plotki, że Katrina i akrobata wyruszyli na wschód szukać szczęścia. Parę lat później doszły mnie słuchy, że wrócili do motywu węża i ptaka i otworzyli ekskluzywny klub dla dżentelmenów o nazwie Łuski i Ogony. Zaczynali na małą skalę, z czasem wyrosła z tego cała sieć. To było, zanim Korporacje przejęły rynek usług seksualnych.

- Łuski? Jak ten lokal w Zapadlisku, blisko Ogrodu na Dachy Edencliff? Rozrywka dla dorosłych?

- Właśnie. Tam, gdzie dzieciaki od Ogrodników zbierały resztki wina na ocet. Ta sama firma. W każdym razie uratowali mi tyłek w kluczowym momencie, ale o tym opowiem ci później.

- Miało to jakiś związek z tobą i tą kobietą od węża? W końcu ją zaliczyłeś? Już nie mogę się doczekać, żeby o tym usłyszeć. Pyton też się przyłączył?

- Spokojnie. Staram się trzymać porządku chronologicznego. I wiesz, nie wszystko wiąże się z moim życiem erotycznym.

Dotychczas prawie wszystko, ma ochotę powiedzieć Toby, ale się

powstrzymuje: nie w porządku jest najpierw żądać całej historii, a potem wyrażać w związku z nią obiekcje, uświadamia sobie.

- No dobra, wal - mówi.

- Kiedy Katrina WooWoo zniknęła z Pływającego Świata, stary Maestro Slaight wyruszył na poszukiwania nowej Panny Zmyłki i może bardziej estetycznego miejsca na występy, czytaj: takiego, które nie zapadało się w wodę. Byłem w kropce, co chyba wyszło mi na dobre, bo zacząłem się rozglądać za nową fuchą, i ponieważ w związku z tym miałem szeroko otwarte oczy i uszy, zauważyłem paru kręcących się w pobliżu typów, którzy zbyt usilnie starali się dopasować do szemranego otoczenia. Łatwo poznać, kiedy delikwent jest nieprzyzwyczajony do swojego tłustego kucyka, strzępiastych wąsów i krzykliwej biżuterii w nosie: za często dłubie przy twarzy. No i mieli nie takie spodnie jak trzeba. Nie popełnili tego błędu, co Chuck, nie włożyli nowych, ale rozdarcia, dziury i plamy na nich były zbyt sztuczne. Przynajmniej na moje oko. Dlatego najszybciej, jak się dało, złapałem okazję na TiroStradzie.

- Tym razem dotarłem aż do Meksyku. Uznałem, że tak daleko macki Wielebnego raczej nie sięgną.

Hakernia

W Meksyku zastał nadmiar paranoicznych handlarzy narkotyków, którzy przyjęli, że Zeb też jest paranoicznym handlarzem narkotyków i że występuje między nimi konflikt interesów. Po napotkaniu nieco zbyt wielu marsowych spojrzeń mężczyzn z tajemniczymi tatuażami i tulipanami wyciętymi brzytwą na czołach, i paru cudem unikniętych ciosach nożami dla rozwiązania ewentualnych wątpliwości, ruszył dalej w dół mapy, po drodze wyzbywając się drobniaków. Wszelkie nieprzewidziane wydatki pokrywał gotówką: nie chciał zostawić tropu w sieci, nawet tropu kogoś imieniem John, potem Roberto, potem Diaz.

Najpierw był na Cozumel, następnie obskoczył Karaiby, wreszcie trafił do Kolumbii. Choć jednak przez ten czas mocno podszlifował umiejętność picia z nieznajomymi w barach i przetrwał te lekcje i kilka innych, w Bogocie raczej nie miał perspektyw; poza tym za bardzo rzucał się w oczy.

Co innego w Rio. Wtedy nazywano to miasto Hakernią; to było przed nalotami minidronów i serią ataków sabotażowych na sieć energetyczną, które skłoniły poważnych graczy - tych, co przeżyli - do przeniesienia się do kambodżańskiej dżungli, by tam rozkręcić biznes od nowa. W tamtym czasie jednak Rio było jeszcze w pełnym rozkwicie. Nazywane Dzikim Zachodem Internetu przyciągało młodych, nieogolonych cyberoszustów z całego świata. Czekwały tam rzesze potencjalnych klientów: firmy szpiegowały się nawzajem, politycy zarzucali sieci na innych polityków, a do tego dochodziły jeszcze kręgi wojskowe; ci płacili najlepiej, chociaż dość dokładnie prześwieltali potencjalnych pracowników, a tego Zeb wolał uniknąć. Ogólnie jednak rzecz biorąc, w Rio popyt na te usługi przewyższał podaż: szybkie dłonie do wynajęcia, żadnych pytań i bez względu na to, jak wyglądałeś, wtapiałeś się w otoczenie, jeśli tylko wyglądałeś wystarczająco dziwnie.

Wyszedł z wprawy we władaniu klawiaturą, nic dziwnego, zważywszy na to, ile czasu spędził, handlując mięsem, pomagając Maestro Slaightowi,

gapiąc się na Pannę Zmyłkę i uprawiając zapasy z pytonem, ale szybko odzyskał dawną zręczność. Potem zaczął szukać pracy. Nie minął tydzień, a znalazł fuchę odpowiadającą jego umiejętnościom.

Pierwszym pracodawcą Zeba został Adgarstek, ekipa specjalizująca się w hakowaniu elektronicznych urządzeń do głosowania. W pierwszym dziesięcioleciu wieku był to łatwy i opłacalny interes - kto kontrolował maszyny, mógł załatwić zwycięstwo wybranego kandydata, pod warunkiem że prawdziwe głosy rozkładały się mniej więcej po równo - ale wybuchło ogólne oburzenie, zrobiła się awantura i ponieważ w owym czasie pozory demokracji jeszcze uchodziły za wartość zachowania, zainstalowano zapory sieciowe, przez co włamanie do systemu stało się bardziej skomplikowane.

Było też nudne - trochę przypominało szydełkowanie, dłubanie we względnie prostej koronce, która może i dobrze wyglądała, ale niczego tak naprawdę nie chroniła. Oczywiście same się zamykały przy robocie. Kiedy więc Zeb dostał propozycję z Wytrycha SA, przyjął ją, nieco zbyt pochopnie, jak się okazało. Nie był wtedy pijany, ale wódka odegrała w tym rolę. W połączeniu z klepaniem po plecach, salwami głośnego braterskiego śmiechu i komplementami. Rozmowę kwalifikacyjną prowadzili trzech gładcy w obyciu faceci, jeden z dużymi dłońmi, drugi z dużymi pieniędzmi. Trzeci pewnie był od mokrej roboty: mało mówił.

Siedzibą Wytrycha był burdel na wodzie zacumowany niedaleko Rio, pozujący na targowisko rozpusty, na którym każdy znajdzie coś dla siebie. Zresztą nie była to tylko poza, bo faktycznie można tam było dostać wszystko, mydło i powidło, z kością i bez niej. wrzaski za dodatkową opłatą. Spędził cztery nerwowe tygodnie na tej gwiazdzie śmierci, pracując dla szemranej bandy rosyjskich przemytników panienek, którzy zaczęli mieć dosyć narzekań, krwotoków i żywieniowych potrzeb swojego żywego towaru, szukali więc dodatkowych źródeł dochodu, niewymagających stałego kontaktu z tkankami miękkimi. Zaprzęgli Zeba do pracy przy włamywaniu się do internetowego PachinkoPokera w celu podbierania pieniędzy, i było to cokolwiek stresujące, bo - jak mówili inni komputerowi galernicy -

Wytrychowcy znani byli z tego, że wrzucali cię w ławicę fosforyzującego kryła, jeśli w ich przekonaniu zbyt wolno rozwikływałeś elektroniczną dzierganinę.

Albo jeśli zaprzyjaźniałeś się z oprogramowaniem zakładu. Użytkowanie go niezgodnie z przeznaczeniem było w porządku, pod warunkiem że towar nie ulegał nadmiernym uszkodzeniom, zadawanie uszkodzeń było bowiem przywilejem zarezerwowanym dla płacących klientów. Hakerom co tydzień dorzucano do pensji kilka kuponów na darmowe usługi, wraz z żetonami do gry, posiłkami i napojami. Jednak więzi uczuciowe były surowo zabronione.

Targowisko rozpusty prowadzone przez Wytrych było, delikatnie mówiąc, podłe; przede wszystkim z uwagi na dzieciaki, które wykradali z faveli do krótkotrwałego użytku, błyskawicznie przerabiali i rzucali na pożarcie rybom. Zebowi trochę za bardzo przypominało to Wielebnego i jego wychowawcze praktyki, i chyba dawał to po sobie poznać, bo jego jowialni towarzysze odnosili się do niego coraz mniej serdecznie. Po przepracowaniu raptem miesiąca zdołał ukraść szybką motorówkę. W tym celu wychylił parę głębszych z rosyjskim strażnikiem, po czym przywalił mu, gwizdnął jego dokumenty i wyrzucił go za burtę, pierwszy raz w życiu zabił człowieka, cóż, przykra sprawa dla strażnika, niezbyt lotnego ciołka, no ale powinien wiedzieć, że nie należy ufać nieopierzonemu, choć wyrośniętemu i - co wynikało z definicji, skoro pracował dla Wytrycha - podstępnemu młodzieńcowi jak Zeb.

Zabrał ze sobą kilka linii kodu Wytrycha i kilka haseł. Mogły się przydać. Zabrał też jedną z dziewczyn. Nakłonił ją słodkimi słówkami, żeby została jego osobistą Panną Zmyłką: korzystając ze swoich kuponów, wynajął ją na godzinę, po czym poprosił, by przeszła obok podpitego strażnika w swojej tak zwanej koszuli nocnej - a właściwie strzępku prześwitującej tkaniny - i wyglądała przy tym na tyle uwodzicielsko i podejrzanie, żeby ten ptasi mózdzek - A ty dokąd? - się za nią obejrzał.

Zeb mógł zostawić dziewczynę na pokładzie, ale było mu jej żal. Towarzysze domyśliliby się, że posłużyła za przynętę, dobrowolnie czy

nie, nic by to ich nie obchodziło, i zrobiliby z niej puree. Była na tej łajbie tylko dlatego, że wyciągnęli ją z rodzinnego zadupia w Michigan fałszywymi obietnicami i kilkoma garściami trzeciorzędnych komplementów. Powiedziano jej, że ma talent; powiedziano, że będzie pracowała jako tancerka.

Nie był aż tak tępy, żeby popłynąć motorówką na tę samą przystań co zwykle. Towarzysze mogli już zauważyć brak dwóch osób - trzech, licząc strażnika - i wszcząć poszukiwania. Zacumował przy jednym z nadmorskich hoteli i schował dziewczynę za ozdobną fontanną, po czym zamówił pokój na nazwisko strażnika, żeby dostać się do środka. Następnie zdobył kod uniwersalny, zakradł się do dobrze zaopatrzonej sypialni i zwinął trochę ubrań dla dziewczyny i koszulę dla siebie: była za mała, ale podkasał rękawy. Dla zmyłki nabazgrał mydłem groźbę na lustrze w łazience: Jeszcze wrócę. Zemsta. Prawdopodobnie dziewięciu na dziesięciu facetów, którzy zatrzymywali się w takich hotelach, miało w przeszłości do czynienia z co najmniej jednym brutalnym i pamiętliwym oprychem, mógł więc liczyć na to, że lokator ewakuuje się w pośpiechu, nie tracąc czasu na składanie doniesienia o zaginięciu pewnych części garderoby.

I kluczyków. I samochodu.

Kiedy byli już dostatecznie daleko, znalazł kafejkę internetową, w której mógł żabić skokami, z liścia lilii na liść lilii, dostać się do jednej ze swoich kryjówek z 0,09-procentową daniną, przelać sporą część środków na inne konto i wypłacić samemu sobie. Starannie zatarł swoje ślady, po czym pożyczył kolejny samochód, który szczęśliwym trafem był pod ręką. Ludzie byli nieostrożni.

Na razie szło mu nieźle; ale była jeszcze dziewczyna. Na imię miała Minta, co kojarzyło mu się z ekologiczną gumą do żucia. Świeża, zielona. W czasie ucieczki twardo się trzymała, nie traciła zimnej krwi, milczała. Prawdopodobnie była też w szoku, bo nie wytrzymała długo. Coś ją zżerało od środka, czy w ciele, czy w duszy, nie mógł stwierdzić.

W miejscach publicznych, na ulicy, w sklepie, wszystko było niby w porządku - przez krótkie okresy potrafiła zachowywać się normalnie - ale kiedy byli na osobności, w takim lub innym pokoju, a nawet w samochodzie, zmierzając zygzakiem na północ i zachód, stale oddawała się dwu swoim specjalnościom: rozpaczliwemu płaczowi i patrzeniu pustym wzrokiem przed siebie. Telewizja nie pomagała, seks też nie. Co względnie zrozumiałe, nie chciała, żeby Zeb jej dotykał, choć w ramach wdzięczności i wynagrodzenia zaproponowała, że będzie go dotykała tak, jak tylko sobie zażyczy.

-I przyjąłeś ofertę? - pyta Toby, zachowując lekki ton. Jak może być zazdrosna o taki wrak ludzki, taki cień człowieka?

- Właśnie że nie - mówi Zeb. - To żadna satysfakcja. Równie dobrze można by wynająć roboprostytutkę w centrum handlowym. Fajniej było jej powiedzieć, że nie musi tego robić. Po tym dała mi się lekko przytulić. Myślałem, że to ją uspokoi, ale tylko drżała.

Minta zaczęła mieć omamy słuchowe - słyszała skradające się kroki, ciężkie oddechy, metaliczny brzęk - i była przerażona, ilekroć opuszczali kolejny nędzny pokój hotelowy. Zeb mógł sobie pozwolić na pobyt w bardziej luksusowych warunkach, ale wolał pozostawać w głębi plebsopolii, w mroku.

Niestety, Minta koniec końców rzuciła się z balkonu w San Diego. Nie było go wtedy w pokoju, poszedł po kawę dla niej, ale zobaczył zbierający się tłum i usłyszał wycie syreny. Co znaczyło, że musiał pośpiesznie opuścić miasto, żeby uniknąć ewentualnego śledztwa; co z kolei znaczyło, że jego rysopis mógł wylądować na pierwszym miejscu listy podejrzanych, gdyby władze postanowiły potraktować sprawę poważnie, do czego z reguły się nie paliły. Zresztą, od czego by zaczęły? Minta nie miała tożsamości. Sam nie zostawił w pokoju nic własnego - zawsze pamiętał, żeby wychodząc, zabierać wszystko - ale kto wie, czy gdzieś w poblizu nie było kamer monitoringu? Mało prawdopodobne w mrocznych zakamarkach plebsopolii, ale nigdy nic nie wiadomo.

Dotarł do Seattle, gdzie zajrzał do skrzynki kontaktowej w *Narodzinach Wenus*, którą wciąż dzielił z Adamem. Znalazł wiadomość: „Potwierdź, że nadal jesteś w ciele”. Adam czasem niepokojąco przypominał Wielebnego swoim doborem słów.

„W czym ciele?”, odpisał Zeb.

Jego stary żart: zawsze się nabijał z tych uduchowionych pogrzebowych gadek Wielebnego o tym, jak to nieboszczyk nie jest już w swoim ciele i tak dalej. Napisał tak, żeby dać Adamowi znać, że to naprawdę on, nie ktoś podstawiony dla zmyłki. Prawdę mówiąc, Adam najpewniej nieprzypadkowo wybrał ten tekst o byciu w ciele, bo wiedział, że Zeb mu się nie oprze; fałszywy Zeb po prostu udzieliłby poważnej odpowiedzi. Adam jak zwykle planował wszystko kilka ruchów naprzód.

Następnym posunięciem Zeba były przenosiny do Whitehorse. Jeszcze w Rio, w jakiejś knajpie, usłyszał o Misiolocie i teraz uznał, że to dobre miejsce na kryjówkę, bo nikt się po nim nie będzie spodziewał, że tam trafi. Na pewno nie Wytrych, który miał z nim rachunki do wyrównania: będą go szukali w jakimś innym rajach dla hakerów, na przykład w Goa. Wielebny też nie: Zeb nigdy nie wykazywał zainteresowania fauną.

- I tak doszło do tego - mówi Zeb - że okryty niedźwiedzią skórą znalazłem się na tundrze w górach Mackenzie, napadłem na rowerzystę i zostałem wzięty za Sasquatcha Wielką Stopę.

- Zrozumiałe - mówi Toby. - Mogliby cię z nim pomylić, nawet gdybyś nie był w niedźwiedziej skórce.

- Drwiesz ze mnie?

- To komplement.

- Przemyślę to. W każdym razie nie było mi przykro, że tak się to skończyło.

Znów więc jesteśmy w Whitehorse, jakiś czas później; tam właśnie był

Zeb, umyty, ubrany i zdrowy na umyśle, o ile taki stan w ogóle jest osiągalny. Omijał centralę Misiolotu i znajome knajpy szerokim łukiem, bo wszyscy ci ludzie sądzili, że nie żyje, a po co miałby rezygnować z korzyści płynących z nieistnienia? Głównie przesiadywał więc w pokoju hotelowym, chrupiąc podróbki orzeszków, zamawiając pizzę, oglądając płatne programy telewizyjne, nieważne jakie, i rozmyślał nad swoim następnym posunięciem. Dokąd się przenieść z Whitehorse? Jak się wy dostać? Jakie tym razem wybrać wcielenie?

Zastanawiał się też: Na czyje polecenie Chuck chciał mu zrobić zastrzyk? Która z kilku źle mu życzących stron wybrałaby nieudolnego, głupawego padalca pokroju Chucka na swój miotacz zatrutych strzał?

Na zimno

Egzystował w dwóch stanach: faktycznym, zamaskowany jako twarz w tłumie z fałszywym nazwiskiem; i w swojej dawnej postaci, usmażony w katastrofie toptera. Przykra sprawa, powiedzieliby może niektórzy, dla innych jednak było to bardzo korzystne. Dla niego też, swoją drogą.

Nie chciał jednak, żeby Adam sądził, że stracił brata - kiedy się zadekował w Misiolocie, mieli długą przerwę we wzajemnych kontaktach - musiał więc nawiązać z nim łączność, zanim tego rodzaju wiadomość wycieknie.

Włożył wszystkie swoje ubrania, włącznie z pilotką i puchową kurtką wypełnioną sztucznym gęsim pierzem, oczy schował za okularami przeciwsłonecznymi, po czym wybrał się do jednej z dwóch miejscowych kafejek internetowych, porządnego lokaliku o nazwie Kącik Juniora, w którym serwowano ohydne ekologiczne napoje z soi i wielkie niedopieczone muffinki. Zamówił jedno i drugie: miał zasadę, że wszędzie jadł lokalne specjalności. Potem zapłacił za pół godziny dostępu do sieci i zostawił Adamowi wiadomość w skrzynce kontaktowej. „Jeden skurwiel próbował mnie skasować. Wszyscy myślą, że nie żyję”.

Po dziesięciu minutach odebrał odpowiedź: „Wyrzeczenie się wulgaryzmów pomaga na trawienie. Pozostań martwy. Może będę miał ofertę pracy. Przyjedź jak najszybciej do Nowego Nowego Jorku i skontaktuj się ze mną”.

„OK. załatwisz papiery do pracy?”, odpisał.

„T. Będę czekał”, odparł Adam. Gdzie był? Żadnej wskazówki „a ten temat. Musiał jednak wylądować gdzieś, gdzie czuł się bezpiecznie, a przynajmniej względnie bezpiecznie. Zebowi ulżyło. Gdyby stracił Adama, to byłoby tak, jakby stracił rękę i nogę. I czubek głowy.

Wrócił do pokoju motelowego i przemyślał logistykę wyprawy do

Nowego Nowego Jorku. Jako człowiek martwy, a do tego zaopatrzonego w tymczasowy dowód tożsamości, który udało mu się sklecić, mógł zaryzykować podróż szybkobieżną koleją, kiedy już dotrze stopem do, powiedzmy, Calgary.

Nie dawała mu jednak spokoju najważniejsza zagadka. Kto chciał go uprowadzić rękami Chucka? Próbował zawęzić grono podejrzanych. Po pierwsze, kto mógł ustalić, gdzie jest? Namierzyć go w Misiolocie? Wtedy występował pod imieniem Devlon, wcześniej był Larrym, jeszcze wcześniej Kyle'em. Nie wyglądał wprawdzie na Kyle'a, ale czasem dobrze wyłamać się z konwencji. A przedtem zaliczył co najmniej sześć innych imion.

Najważniejsze elementy tożsamości kupił w najszarszej z szarych stref, a tam nikomu nie opłaciłoby się go sprzedać: ludzie prowadzili biznes, musieli budzić zaufanie klientów, zresztą nie mieli by jak ustalić, czy ktoś w ogóle chce za niego zapłacić. Dla nich był tylko jeszcze jednym wątkiem uciekającym od długów lub pazernych żon, ukrywającym się po zdefraudowaniu pieniędzy korporacji, kradzieży własności intelektualnej, obrabowaniu sklepu spożywczego albo serii psychopatycznych morderstw, w których kluczowymi rekwizytami były damskie fatałaszki i łomy; nic ich to nie obchodziło. Przeprowadzali wstępne rozeznanie, bo udawali, że mają standardy i zasady - gwałcicieli dzieci nie obsługujemy - on zaś zawsze wciskał im jakieś nie pierwszej świeżości bzdety, które łykali, choć doskonale wiedzieli, że to kit. Uprzejmość jednak nakazywała odfajkować ten rytuał na tej samej zasadzie, na jakiej „Chętnie pomogę” w ustach tych ludzi oznaczało tyle, co „Pokaż pieniądze”.

Dlatego skoro jakiś cyberdetektyw zdołał przebić się przez liczne warstwy skorupy, którą się otoczył, musiały na to pójść nieliczne nakłady. Zeb zatarł swoje ślady jak należy, chyba że wiedzieli, gdzie dokładnie szukać Ktokolwiek za tym stał, musiał być mocno zmotywowany.

Właściwie od razu wykluczył Adgarstek, bo czy miał na nich coś. co mogłoby im zaszkodzić, gdyby wyszło na jaw? Że maszyny do głosowania

są hakowane. to wiedzieli wszyscy, ale choć tak zwana prasa na to narzekała, nikt naprawdę nie chciał powrotu do dawnego papierowego systemu; tym bardziej że Korporacja, która była właścicielem maszyn, wybierała zwycięzców i brała za to łapówki, miała PR nie z tej ziemi, więc każdy, kto za głośno protestował, ogłaszany był zaplutym komuchem, chcącym koniecznie wszystkim zepsuć zabawę, nawet tym, co wcale się dobrze nie bawili. Im jednak psuł ewentualną przyszłą zabawę. Przy zbieraniu gruszek na wierzbie.

Dlatego dla Adgarstka Zeb nie był zagrożeniem, bo nawet gdyby spróbował podburzyć jakiś motłoch mieniący się społeczeństwem obywatelskim, każdego, kto by go posłuchał, okrzyknięto by nieuleczalnie chorym na trypra mózgu. Gdyby zwariował, mógłby poważić się na zhakowanie zhakowanych maszyn - wprogramować własnego wirtualnego senatora czy coś - po to tylko, żeby pokazać, jakie to łatwe.

- Ale nie zwariowałeś - mówi Toby.
- Może i tak zrobiłbym to dla jaj, gdybym miał czas. Byłby to jeden z tych ulotnych figli, którymi tacy marudni geniusze klawiatury jak ja niegdyś wyrażali swój bezowocny sprzeciw wobec systemu.
- Czyli nie Adgarstek - mówi Toby. - A zatem musiał to być Wytrych?
- Mieli powód, żeby szukać rewanżu - przyznaje Zeb. - Nakarmiłem ryby ich strażnikiem, dmuchnąłem im motorówkę, zarobinhoodowałem jedną z ich panien w opałach; co jednak najgorsze, obnażyłem ich nieudolność. Nie zdziwiłbym się, gdyby chcieli mnie przykładowo ukarać, powiesić w łańcuchach na moście czy gdzieś, z urżniętą nogą i bez kropli krwi w żyłach; zrobić ze mnie lekcję pogładową. Żeby jednak wykorzystać związany z tym rozgłos, musieliby ujawnić, co im zrobiłem, więc, tak czy owak, straciliby twarz.
- W każdym razie nie sądziłem, by mogli dotrzeć moim tropem aż do Misiolotu w Whitehorse. To było kawał drogi od Rio i pewnie sądzili, że nie ma tam nic oprócz śniegu i igloo, jeśli w ogóle o takich miejscach

myśleli. Przede wszystkim jednak nie mieściło mi się w głowie, żeby taki drętwiak jak Chuck mógł pracować dla tych gości. Nawet nie mogłem sobie wyobrazić ich siedzących razem w barze. Wytrychowcy musieli się z tobą napić w knajpie, zanim decydowali, czy cię zatrudnią, a Chuck do takich klimatów nie pasował. Nie ta garderoba. Nikt z Wytrycha nie zniżyłby się do wynajęcia faceta w tak lalusiowatych spodniach.

Im więcej myślał o Chucku - o ohydnie sterylnej chuckowatości Chucka - tym mocniejszego nabierał przekonania, że to właśnie był klucz. Ta przymilna serdeczność, białe zęby wyszczerzone w sztucznie kordialnym uśmiechu... Musiał być od petroewangelików. Nie było jednak szans, by Wielebny i jego koleżkowie, nawet koleżkowie wynajęci zawodowcy, mogli przez cały ten czas śledzić kręte ścieżki Zeba. Najmniejszych szans.

Wtedy dotarło do niego, że patrzy na to od niewłaściwej strony. Wielebny, cały jego Kościół, jego bracia syjamscy w wierze pokroju Poznanych Owoców, a także kumple ze świata polityki - wszyscy oni zaciekle zwalczali ekoświrów. Oto jak wyglądała jedna z reklam tej bandy: śliczna blondwłosa dziewczynka, obok niej jakiś wybitnie nietwarzowy gatunek zagrożony, na przykład grzbietoród amerykański czy żarłacz biały, a pod spodem hasło: „To? Czy to?”. Co sugerowało niebezpieczeństwo, że wszystkie śliczne małe blondynki skończą z poderżniętymi gardłami, żeby grzbietorodom amerykańskim dobrze się żyło.

Idąc dalej tym tokiem rozumowania, każdy, kto lubił wachać stokrotki i mieć stokrotki do wachania, kto preferował ryby niezawierające rtęci i wyrażał niechęć do rodzenia trzyokich noworodków za sprawą toksycznego mułu w wodzie bieżącej, był opętany przez demona szatańskim sługusem ciemności, pragnącym zniszczyć Amerykański Styl Życia i Święty Olej Boży, co było jednym i tym samym. A Misiolot, mimo swojej mętnej ideologii i prymitywnego systemu dostawczego, działał na terenach, na których można było znaleźć nowe złoża ropy lub poprowadzić nowy rurociąg, co pociągnęłoby za sobą zwykłe usterki, wycieki i konieczność ich tuszowania.

Naturalnie więc Wielebny i jego otoczenie na pewno dążyli do zinfiltrowania Misiolotu. Który nie był zbyt wybredny w doborze pracowników. Chuck musiał być głęboko wierzącym petroewangelikiem, wysłanym, by miał oko na futrzakojebów i donosił o wszelkich niegodziwościach, które szykowali. Zapewne nie szukał konkretnie Zeba, choć rozpoznał go, gdy tylko się na niego natknął. Stąd wniosek, że był blisko związany z Wielebnym: razem oglądali zdjęcia rodzinne. Niewdzięczny syn. Za to ty... Takiego syna chciałbym mieć. Westchnienie. Smutny uśmiech. Dłoń na ramieniu. Szorstkie męskie klepięcie. Coś w tym stylu.

A potem ciąg dalszy: meldunek Chucka, instrukcje od Wielebnego. załatwienie strzykawkki ze środkiem usypiającym, sfuszerowany zamach w topterze. Płonący wrak.

Na tę myśl Zeb znowu się wściekł.

Raz jeszcze włożył na siebie wszystkie ubrania i wyruszył, żeby wysłać kolejną serię wiadomości. Tym razem skorzystał z drugiej kafejki internetowej w mieście, PrestoKciuków, bardziej obskurnego lokalu w małym centrum handlowym. Znajdowała się zaraz obok klubu rozkoszy haptycznych o nazwie Prawdziwe Doznania: „Prawdziwe Doznania, Prawdziwa Ekstaza! Bezpieczeństwo Gwarantowane! Gorąco, Mokro, Żadnych Zarazków!”. Nie uległ jednak nostalgii, ominął Prawdziwe Doznania i zalogował się do sieci w Kciukach.

Najpierw wysłał wiadomość do wysokiego rangą starszego Kościoła Petroewangelickiego. Dołączył do niej dokumentację machlojek Wielebnego i informację, że pieniądze z nich pochodzące znajdzie nie na koncie w banku kajmańskim na Wyspach Kanaryjskich, gdzie tak naprawdę były, tylko, w postaci papierów wartościowych, w metalowej skrzynce zakopanej w ogrodzie skalnym Trudy. Poradził starszemu, aby zabrał tam ze sobą nie tylko sześciu ludzi z łopatami, ale i oddział ochrony z paralizatorami, bo Wielebny był uzbrojony i mógł być niebezpieczny. Podpisał się „Argus”. Stuoki olbrzym z mitologii greckiej, to cały on: obrazy przedstawiające tego jegomościa były na tej samej

stronie, na której zamieszczono Narodziny Wenus. Nie żeby posiadanie stu oczu czyniło cię atrakcyjnym z estetycznego punktu widzenia. Była tam też bogini z setką cycków, jeszcze jedna ilustracja faktu, że więcej nie zawsze znaczy lepiej.

Zrujnowawszy - miał nadzieję - najbliższy wieczór Wielebnego, opróżnił jego tajne kajmańskie konto. Zaglądał na nie od czasu do czasu w trakcie swoich wojaży, żeby się upewnić, że Wielebny, stosując się do instrukcji, nie ruszył z niego ani centa. Tak, wszystko było na miejscu. Przełał całą kwotę na konto, które założył dla Adama na nazwisko Rick Bartleby, uzupełnione stworzoną z tej okazji przekonującą tożsamością: Rick był przedsiębiorcą pogrzebowym z Christchurch w Nowej Zelandii. Zostawił Adamowi wiadomość, że w prawym sutku Wenus znajdzie numer konta, hasło i sporą niespodziankę. Przyjemnie mu się zrobiło, kiedy wyobraził sobie Adama klikającego - nareszcie - na sutek.

Uznał, że wypada też wysłać wiadomość do Misiolotu, dać im znać, że Chuck ich zinfiltrował, zasugerować, żeby nieco dokładniej prześwietlali wazeliniańskich dupowłazów, którzy pojawiają się nie wiadomo skąd, zwłaszcza gdy mają na sobie nowe ubrania ze zbyt wieloma kieszeniami, a przy okazji uświadomić swoim byłym pracodawcom, że nie wszyscy są tak zachwyceni nimi i ich futrzakojebstwem jak oni sami. Tym razem podpisał się „Wielka Stopa”, czego pożałował, ledwie kliknął na Wyślij: to była trochę zbyt czytelna aluzja.

Potem wrócił do swojego podłego motelu i w barze, w którym mieli telewizor płaskoekranowy, czekał na wyniki Wielebny Show. Rzeczywiście, odnalezienie kości i strzępków Fenelli trafiło na czołówki wieczornych wiadomości w całym kraju. Oto Wielebny, zasłaniający twarz, wyprowadzany z domu; oto Trudy, słodka jak shake mleczny, ocierająca oczy, tłumacząca, że o niczym nie wiedziała i jakie to przerażające, że przez tyle lat żyła pod jednym dachem z bezwzględnym mordercą.

Sprytnie rozegrane, punkty dla Trudy: nikt jej niczego nie udowodni. Musiała już wiedzieć o zaskórniakach Wielebnego - starsi Kościoła na

pewno wypytał ją o zdefraudowane fundusze - i domyślić się, że mężuło chciał ją zostawić. Zaszyć się w raju podatkowym, gdzie mógłby się pławić w słońcu i obmacywać małoletnie dzieci, a może garbować im skórę, w zależności od tego, na co akurat miałyby ochotę. Bo przecież wiedziała, od początku wiedziała, jakim był zwyrodnialcem. Ale świadomie postanowiła nie wiedzieć.

Znów ubrał się na cebulkę i powędrował do Kącika Juniora, skąd wysłał kolejną wiadomość do Adama - krótką, sam URL, pod którym znajdzie informację o aresztowaniu. Adam na pewno będzie zadowolony: teraz, kiedy Wielebny został wyłączony z obiegu, a przynajmniej miał związane ręce, obaj mogli odetchnąć.

Musiał jednak niezwłocznie opuścić Whitehorse. Organy ścigania lub ich odpowiednik mogły próbować namierzyć źródło wiadomości wysłanej starszemu Kościoła Petroewangelickiego i gdyby im się to udało, przetrząsnęłyby Whitehorse, które nie było wielkim miastem. Nie szukaliby konkretnie Zeba - przecież nie żył - ale każde poszukiwania to złe poszukiwania i prędko by go zlokalizowali. Może już to zrobili: zaczynał mieć niedobre przeczucia.

Nie wrócił więc do motelu. Zamiast tego pospieszył na najbliższy postój przy TiroStradzie i zabrał się z konwojem ciężarówek. W Calgary udało mu się wślizgnąć do zaplombowanego pociągu szybkobieżnego. Po kilku przesiadkach i zanim człowiek zdążyłby powiedzieć Może Właśnie Zrobiłem Coś Naprawdę Głupiego, był w Nowym Nowym Jorku.

- Coś naprawdę głupiego? - pyta Toby.
- Donos na Wielebnego i zagarnięcie całej jego kasy to niekoniecznie był mądry pomysł - mówi Zeb. - Wtedy musiał się domyślić, że jednak żyję. Wiesz, co mówią o zemście: najlepiej smakuje na zimno, co znaczy, że nie powinno się jej dokonywać w gniewie, bo tylko się wszystko spieprzy.
- Ale ty niczego nie spieprzyłeś - mówi Toby.

- Niewiele brakowało. Miałem więcej szczęścia niż rozumu - mówi Zeb.
- Zobacz, wschodzi księżyc. Niektórzy powiedzieliby, że to romantyczne.

Rzeczywiście, wspina się po niebie nad drzewami na wschodzie, prawie w pełni, prawie czerwony.

Dlaczego zawsze jest taką niespodzianką? - myśli Toby. Księżyc. Mimo że wiemy, że prędzej czy później się pojawi. Ilekroć go widzimy, przystajemy i milkniemy.

Czołówka świecąca światłem czarnym

Nowy Nowy Jork znajdował się na wybrzeżu Jersey, a właściwie tam, gdzie to wybrzeże wówczas było. W Starym Nowym Jorku zostało niewielu ludzi, ponieważ jednak oficjalnie stanowił on strefę zakazaną, a tym samym strefę wolną od czynszu, garstka mieszkańców wciąż skłonna była narażać życie w rozpadających się, podtopionych, zaniedbanych budynkach. Jednak nie Zeb: nie miał błon pławnych ani skłonności samobójczych, poza tym w Nowym Nowym Jorku - choć rajem nie był - żyło więcej ludzi, łatwiej więc było wtopić się w otoczenie. Im większy tłum, tym łatwiej zniknąć.

Po przyjeździe wpadł do obskurnej, pełnej precli kafejki internetowej i napisał do Adama, żeby dać znać, że dotarł - „Plan A super, jaki jest plan B?” - po czym czekał, aż Adam raczy odpowiedzieć, gdziekolwiek, kurwa, był, cokolwiek, kurwa, knuł. Ostatnia wiadomość, którą od niego dostał, była krótka i zwięzła: „Do zob. wkrótce”.

Zeb zadekował się w niegdyś luksusowym kompleksie apartamentowców z basenem i salami imprezowymi, noszącym nazwę Gwiazdna Eksplozja - być może pochodzącą od fajerwerku, ale w danej chwili kojarzącą się raczej ze zwęglonymi kosmicznymi szczątkami. Gwiazdna Eksplozja już dość dawno osiągnęła czas połowicznego rozpadu: wykuta sporym kosztem żelazna brama zdobiona wolutami służyła głównie za siusialnię dla psów, a zapleśniałe przeciekające budynki podzielono na mieszkania do wynajęcia. Zajmował je koralowy ekosystem, który tworzyli dilerzy, ćpuny, darmozjady, pijacy, prostytutki, kombinatorzy od piramid finansowych, szakale, spece od gry w trzy kubki, wyzyskiwacze dojący lokatorów, wszyscy pasożytnicy na sobie nawzajem.

Tymczasem właściciele Gwiazdnej Eksplozji migali się od niezbędnych napraw i czekali na następny cykl prania. Najpierw wprowadzą się ubodzy artyści, rozpierani energią, gniewni i łudzący się, że mogą zmienić świat. Potem projektanci nowo tworzonych serwisów

internetowych i studia graficzne, w nadziei, że przesiąkną tym klimatem stylowej brzydoty. Po nich przyjdą szemrani handlarze genami, alfonsi mody, pseudogalerie i okrzyczane restauracje serwujące dania kuchni molekularnej przyrządzane z wykorzystaniem suchego lodu, mięsa wyhodowanego w laboratorium i mykoproteiny, a do tego śmiałe przybrania z gatunków zagrożonych: ostatnio największe wzięcie w takich przybytkach miał pasztet ze szpaczych języków. Właściciele Gwiazdnej Eksplozji najprawdopodobniej byli grupą osobników, którzy zbili kasę w jakiejś superkorporacji i postanowili dla rozrywki wejść w nieruchomości. Kiedy przyjdzie etap pasztetu ze szpaczych języków, wyburzą rozwalające się mieszkania na wynajem, a na ich miejscu postawią nową partię ekskluzywnych apartamentowców o ograniczonym terminie użytkowania.

Gwiazdna Eksplozja jeszcze nawet się do tego optymalnego punktu nie zbliżyła, więc Zeb był tam bezpieczny, dopóki pilnował swojego nosa i powłóczył nogami na tyle, żeby inni brali go za jeszcze jednego odmóżdżonego ćpuna. Trzymał się z dala od wszystkich i wszystkiego, bo nie chciał ściągnąć na siebie kolejnych chuckopodobnych tajniaków.

Od czasu do czasu zerkał na wiadomości, wiedział więc, że choć Wielebny czekał na proces, to wyszedł za kaucją i wydawał oświadczenia o swojej niewinności: padł ofiarą antyreligijnej i antynaftowej lewackiej sitwy, która uprowadziła i zamordowała jego pierwszą żonę, Fenellę, a następnie rozpuściła nikczemną plotkę, jakoby ta porzuciła go, żeby oddawać się rozpuście - co, ponieważ Wielebny szczerze w to uwierzył, było dla niego źródłem nieustającej udręki. Owa podła klika potem zakopała Fenellę w ogrodzie Wielebnego po to tylko, żeby obrzucić błotem jego dobre imię i zszargać reputację samego Świętego Oleju Skalnego.

Wielebny zwolniony za kaucją na pewno przebywał więc w swoim domu, a co za tym idzie, mógł utrzymywać kontakty ze swoją siatką w Kościele Petroewangelickim - jeśli nie z najprawdziwszymi z prawdziwych wyznawców, którzy bez wątpienia odwrócili się od niego w następstwie oskarżeń o defraudację, to przynajmniej z bardziej cynicznym skrzydłem,

tymi, dla których liczyły się przede wszystkim pieniądze. I niechybnie przepełniała go zimna, gorzka żądza zemsty, bo bez większego trudu mógł się domyślić, skąd wyszła informacja, że nieszczęsne kości Fenelli zmieniają się w pokarm dla roślin w jego ogrodzie skalnym.

Tymczasem Trudy, wietrząc okazję dla siebie, opublikowała autobiograficzny lament i udzielała licznych wywiadów w sieci. Jak to dała się zwieść Wielebnemu, jak biorąc z nim ślub, miała go za pogrążonego w żałobie wdowca oddanego dobru ogółu, jak bardzo pragnęła współuczestniczyć w jego zbożnym dziele i być matką dla syna Fenelli, małego Adama. Nic dziwnego, że nikt nie mógł tego młodego człowieka znaleźć, był niezwykle wrażliwy, na pewno nie znosił blasku jupiterów równie mocno jak ona. Jakże była zdruzgotana, kiedy otwarto jej oczy na prawdę o zbrodniczych skłonnościach Wielebego! Od kiedy się o wszystkim dowiedziała, modli się za duszę Fenelli i błaga ją o przebaczenie, mimo że sama przecież nie miała najmniejszego pojęcia o tym, co się z nią stało. Bowiem jak wszyscy, ona, Trudy, była przekonana, że Fenella uciekła z jakimś obleśnym Teks-Meksem czy kimś takim. Wstyd jej, że tak pochopnie ją osądziła.

A teraz niektórzy z członków jej własnego kościoła - ludzie, których uważała za braci i siostry - nie chcieli z nią rozmawiać i nawet zarzucali jej, że od samego początku znała całą prawdę o krwawych i złodziejskich praktykach Wielebego. Tylko dzięki swojej wierze przetrwała tę trudną próbę: i pragnęła choć przez chwilę zobaczyć ukochanego zaginionego syna Zebulona, który zszedł z drogi cnoty, i nic dziwnego, skoro miał takiego ojca. Mimo wszystko modliła się za niego, gdziekolwiek był.

Ukochany zaginiony syn szczerze zamierzał pozostać zaginiony; choć pokusa, by włamać się do jednego z łzawych wyznań Trudy, podać się za głos zza grobu i ją oskarżyć, była niezwykle silna. Niezłe DNA odziedziczył, nie ma co: tatuś psychopata i oszust, mamusia kłamliwa egoistka obsesyjnie zakochana w mamonie. Mógł tylko mieć nadzieję, że Trudy była nie tylko chciwa i zapatrzona w siebie, ale i puszczalska; że zdradziła Wielebego z obcym brunetem w szopie z narzędziami. Jeśli tak, może to po jego prawdziwym, bezimiennym ojcu - wędrownym

mistrzu łopaty, który miał skłonność do dymania obładowanych pierścionkami i bransoletkami żon klientów z wyższych sfer - Zeb odziedziczył swoje co bardziej podejrzane umiejętności: czarowanie lasek, wkradanie się i wykradanie przez okna tak prawdziwe, jak i wirtualne, rozważę jako lepszą część męstwa i nie zawsze skuteczną czapkę niewidkę.

Może to dlatego Wielebny tak serdecznie go nienawidził: wiedział, że Trudy podrzuciła mu kukułkę do gniazda, ale nie mógł się na niej bezpośrednio odegrać z uwagi na ich wspólne prace ogródkowe. Musiał albo ją zabić, albo jakoś z nią wytrzymać, tolerować jej rozpustny sposób bycia. Gdyby tylko Zeb wpadł na to, żeby zabrać ze sobą trochę DNA Wielebnego -kilka włosów albo ścinków paznokci - mógłby zrobić badania i miałby święty spokój. Albo i nie. Ale przynajmniej byłby pewien swojego pochodzenia, w jedną lub drugą stronę.

Z Adamem jednak sprawa była jasna: podobieństwo do Wielebnego było w oczy. Choć, oczywiście, było uszlachetnione elementami odziedziczonymi po Fenelli. Biedaczka musiała być typem pobożnej kobieciny - wyszorowane dłonie, nie-umalowane paznokcie, włosy ściągnięte do tyłu, białe majtki bez lamówki - która pragnie czynić dobro i pomagać bliźnim. Łatwy cel. Jego Zwyródniałość bez wątpienia wcisnęła jej, że byłaby mu cenną towarzyszką i że życie z nim to wyższe powołanie, zapewne przezornie dodając, że w służbie jemu i jego misji trzeba się wyrzec radości i przyjemności. Zeb domyślał się, że Wielebny nie miał cierpliwości do kobiecego orgazmu. Marny musiał być seks tej pary, przynajmniej z punktu widzenia normalnego człowieka.

O takich rzeczach rozmyślał Zeb w swojej zawilgłej norze w Gwiezdnej Eksplozji, za dnia oglądając telewizję, a w nocy przewracając się z boku na bok na nierównym poplamionym materacu przy wtórze krzyków i wrzasków dobiegających zza zamkniętych na słowo honoru drzwi mieszkania. Animusz, wspomagana narkotykami wesołość, nienawiść, strach, szaleństwo. Krzyki miały różny stopień nateżenia. Martwić należało się tymi, które nagle się urywały.

Wreszcie Adam się odezwał. Adres miejsca spotkania, godzina, instrukcje, jak się ubrać. Nic czerwonego, nic pomarańczowego, najlepiej w prostą brązową koszulkę, jeśli się da. Żadnej zieleni: to kolor politycznie kontrowersyjny, zważywszy na trwającą nagonkę na ekoświrów.

Pod wskazanym adresem znajdowała się nijaka PychaKawa w Nowej Astorii, położona względnie daleko od podtopionych i niebezpiecznie niestabilnych budynków na nabrzeżu. Zeb siedział ściśnięty za jednym z małych pretensjonalnych stolików PychaKawy, na jednym z tych krzeseł, które przypominały mu przedszkole - na tamtych też się nie mieścił - sączył psychacappuccino, zajadał połówkę energatona na wzmocnienie i zastanawiał się, jaką niespodziankę szykuje mu Adam. Na pewno miał dla niego robotę - inaczej nie wezwałby go na spotkanie - ale jaką? Zbieracza dżdżownic? Nocnego stróża w fabryce szczeniąt? Jakiego rodzaju znajomości zawarł Adam przez ten czas, gdziekolwiek był?

Adam napomknął o tym, że na miejsce spotkania przyśle pośrednika, i Zeb się obawiał, czy to bezpieczne: zawsze oszczędnie darzyli zaufaniem innych. Owszem, Adam na pewno był ostrożny. Ale był też metodyczny, a metodyczność bywa zdradliwa. Jedyny pewny kamuflaż to nieprzewidywalność.

Ze swojego ciasnego krzesła Zeb obserwował wchodzących klientów w nadziei, że rozpozna kuriera. Czy to ten blondwłosy hermafrodyta w topie bez pleców i wysadzonym cekinami nakryciu głowy z trzema rogami? Oby nie. Ta pulchna, żująca gumę kobieta w spiętych staromodnym paskiem kremowych szortach, które wrzynały jej się w tyłek? Wyglądała na zbyt tępą, chociaż tępota to prawie idealna maska, przynajmniej dla dziewczyn. A może to ten łagodny, kujo-nowaty chłopak w typie kogoś, kto pewnego dnia ostrzela z karabinu maszynowego aulę pełną pryszczatych kolegów ze studiów? Nie, też nie on.

A tu nagle niespodzianka: Adam we własnej osobie. Ku zaskoczeniu Zeba zmaterializował się na krześle naprzeciwko, jeszcze chwilę przedtem pustym. Jak ekto plazma, można rzec.

Adam wyglądał jak na swoim zdjęciu paszportowym, takim, które już przyblakło, zmieniając się w kompozycję światła i cienia. Zupełnie jakby powrócił z zaświatów: miał świecące oczy i w ogóle. Jego T-shirt był beżowy, na baseballówce nie widniał żaden slogan. Kupił pychamokkę, żeby wyglądali jak dwaj niedobrani kumple, którzy zrobili sobie przerwę od ślęczenia przy komputerze albo odbywali spotkanie w sprawie start-upa, mającego lada moment pójść na dno jak tonący sterowiec. Pychamokka zupełnie do Adama nie pasowała: Zeb ciekaw był, czy upije choć łyk czegoś tak nieczystego.

- Nie podnoś głosu - tak brzmiały pierwsze słowa Adama. Nie minęły dwie sekundy, od kiedy znów pojawił się w życiu Zeba, i już mu rozkazywał.

- Bo zamierzałem, kurwa, wrzeszczeć - powiedział Zeb. Czekał na żądanie, by przestał przeklinać, Adam jednak nie połknął haczyka. Zeb przyjrzał się bratu: coś się w nim zmieniło. Oczy miał okrągłe i niebieskie jak zawsze, ale włosy mu się rozjaśniły. Czyżby siwiał? No i zapuścił brodę, nawiasem mówiąc, także jasną. - Też się cieszę, że cię widzę - dodał.

Adam uśmiechnął się; właściwie był to cień uśmiechu.

- Będiesz pracował w ZdrowoTechu Zachód pod San Francisco - powiedział. - Przy wprowadzaniu danych. Załatwiłem to. Zanim stąd wyjdiesz, weź torbę na zakupy stojącą przy twoim lewym kolanie. Tam masz wszystko, co ci będzie potrzebne. Będziesz musiał wprowadzić do dowodu tożsamości skany i odciski palców; dałem ci adres, gdzie się tym zajmą. I musisz się pozbyć starej tożsamości: wykasuj wszystko w sieci. Ale nie muszę ci tego mówić.

- Gdzieś ty właściwie był? - spytał Zeb.

Adam uśmiechnął się tym swoim irytującym, świętoszkowatym uśmiechem. Niewiniątko, jak zawsze.

- Tajne - powiedział. - W grę wchodzi życie innych. - Przez takie właśnie

zagrywki Zeb miał ochotę podrzucić mu ropuchę do łóżka.

- Jasne, daj mi po łapach. No dobra, co to jest ten Zdrowo-Tech Zachód i co mam tam robić?

- To Kompleks - powiedział Adam. - Badania i innowacje. Prochy, te legalne; suplementy witaminowe; materiały do kompozytów transgenicznych i ulepszania genów, zwłaszcza mieszanki i symulatory hormonów. To potężna Korporacja. Dużo tęgich głów.

- Jak mnie tam wkręciłeś? - spytał Zeb.

- Mam paru nowych znajomych - odparł Adam, wciąż z tym uśmiechem mówiącym „wiem więcej niż ty”. - Będą nad tobą czuwać. Będziesz bezpieczny. - Spojrzał za ramię Zeba, potem na zegarek. A przynajmniej udawał, że patrzy na zegarek. Zeb potrafił poznać dobrą zmyłkę: Adam rozglądał się po sali, wypatrywał podejrzanych cieni.

- Przestań pieprzyć - powiedział Zeb. - Chcesz, żebym coś dla ciebie zrobił.

Adam nadal się uśmiechał.

- Będziesz czołówką świecącą światłem czarnym - powiedział. - Kiedy już tam trafisz, zachowuj szczególną ostrożność przy nawiązywaniu łączności przez Internet. Aha, i jest nowa skrzynka kontaktowa, z nowym wejściem. Nie wracaj na stronę z zefirem, może być spalona.

- Co to jest czołówka świecąca światłem czarnym? - spytał Zeb. Ale Adam już wstał, wygładził beżową koszulkę i był w połowie drogi do drzwi. Nie wypił ani kropli pychamokki, więc Zeb uczynnie go w tym wyręczył. Nietknięta pychamokka mogłaby wzbudzić podejrzenia w takiej plebsopolii jak ta, gdzie tylko alfonsi mogli sobie pozwolić na wyrzucanie pieniędzy w błoto.

Zeb bez pośpiechu wrócił do Gwiazdnej Eksplozji. Przez całą drogę czuł mrowienie na karku, był święcie przekonany, że ktoś go obserwuje. Nikt

jednak nie próbował na niego napaść. Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, sprawdził „czołówkę świecącą światłem czarnym” na swojej najnowszej komórce, taniej, żeby w razie czego nie było żal jej wyrzucić. „Światło czarne” było przebojem rynkowym w pierwszych dziesięcioleciach wieku, przeczytał: pozwalało widzieć w ciemności, a przynajmniej widzieć pewne rzeczy. Białka oczu. Zęby. Białe prześcieradła. Fluorescencyjny żel do włosów. Mgłę. Co do „czołówki”, była to potoczna nazwa latarki czołowej. Kupowało się je w sklepach z rowerami i sprzętem turystycznym. Chociaż sprzęt tak zwany turystyczny ostatnimi czasy służył głównie do koczowania w opuszczonych budynkach.

Wielkie dzięki, Adam, pomyślał Zeb. Dużo się, kurwa, dowiedziałem.

Potem otworzył torbę na zakupy od Adama. Było w niej jego nowe wcielenie, wszystko od A do Z. Teraz musiał pojechać okazją do San Francisco i tam się w nie przyoblec.

Gra Pasożyty Jelitowe

Adam o niczym nie zapomniał. Była lista rzeczy do zrobienia („spal po przeczytaniu”) i duża koperta wypchana gotówką, żeby Zeb miał czym zapłacić fałszerzowi przepustek. Była też karta kredytowa, by mógł sobie sprawić garderobę, jakiej według Adama potrzebował. Brat dołączył opisy: styl swobodny, coś, co nosiłby komputerowiec, brązowe sztruksy, nijakie T-shirty, koszule w kratę - brązowe i szare - a do tego okulary z okrągłymi szklami, które niczego nie powiększają. Co do obuwia zalecał adidasy z tyłoma gumowymi paskami na krzyż, że Zeb wyglądałby w nich jak tancerz ludowy o skłonnościach homoseksualnych albo uciekinier ze zlotu fanów Robin Hooda. Kapelusz - steampunkowy melonik z mniej więcej dwa tysiące dziesiątego roku: takie wróciły do mody. Choć skąd Adam mógł to wiedzieć? Nigdy nie wykazywał szczególnego zainteresowania przyrodziewkiem, no ale brak zainteresowania oczywiście równoznaczny jest z zainteresowaniem. Musiał zwracać uwagę, co noszą inni, żeby samemu ubierać się inaczej.

Nadał Zebowi nowe imię: Set. Taki biblijny żarcik; Set oznaczało „wyznaczony”, co obaj dobrze wiedzieli, bo najważniejsze imiona i opowieści z Biblii wwiercono im do głowy metaforycznym śrubokrętem. Set był trzecim synem Adama i Ewy, mającym zająć miejsce zamordowanego Abła, choć ten tak naprawdę nie całkiem umarł, bo przecież miał gadającą krew, która wołała z ziemi. Innymi słowy, „Set” zastępował nieobecnego, najprawdopodobniej zmarłego Zeba. Taką rolę wyznaczył mu Adam. Bardzo śmieszne.

Adam zażyczył sobie, żeby przed przybyciem do ZdrowoTechu Zeb/Set przetestował nowy chatroom, a potem meldował się raz w tygodniu, by dać znać, że wciąż jest na tym padole. Dlatego nazajutrz, idąc okrężną drogą do fałszerza, który miał wprowadzić jego linie papilarne i skany tęczówek do lewych dokumentów, wybrał pierwszą lepszą kafejkę internetową i ruszył tropem, który zostawił mu Adam. („Zapamiętaj i zniszcz”, napisał w liściku, jakby miał Zeba za zasranego durnia).

Głównym wejściem była gra sieciowa dla zapaleńców o nazwie Wymaraton. Nadzorowana przez MaddAddama, przeczytał: „Adam nazwał wszystkie żywe zwierzęta, MaddAddam nazywa martwe. Chcesz zagrać?”. Zeb wprowadził nick nadany mu przez Adama - Niedźwiedź-Duch - i hasło „sznurowadła”, po czym dostał się do gry.

Na pierwszy rzut oka była to odmiana zgaduj-zgaduli. Przeciwnik podawał ci enigmatyczne wskazówki, a ty musiałeś odgadnąć, o jakiego wyplenionego chrząszcza, rybę, roślinę, scynkę chodzi. Lista wytrzebionych gatunków. Nuda gwarantowana: nawet korpusowców to by uśpiło, inna sprawa, że nie znalazłoby większości odpowiedzi. Podobnie jak, trzeba uczciwie przyznać, Zeb, pomimo czasu spędzonego w Misiolocie i dziwnych form okazywania wyższości, z jakimi tam się spotykał: Nie słyszałeś o syrenie morskiej? Poważnie? Lekki zadowolony uśmiezek.

Pięć minut w Wymaratonie i każdy szanujący się funkcjonariusz Korpusu pognałby z krzykiem na poszukiwania napojów wysokowych. Nieuleczalnie nudna gra była prawie równie skutecznym kamuflażem jak tępe spojrzenie; poza tym nie przyszłoby im do głowy, że coś może się skrywać na stronie tak łatwo dostępnej i tak jednoznacznie ekoporąbanej. Na pewno skupiali się raczej na przeczesywaniu reklam implantów piersi i witryn oferujących strzelanie przez Internet do egzotycznych zwierząt bez wstawania od biurka. Komplet Punktów dla Adama, pomyślał Zeb.

Czy to możliwe, by Adam sam zaprojektował tę grę? Grę, w której czołówce widniało jego imię? Nigdy jednak nie wykazywał wielkiego zainteresowania zwierzętami jako takimi. Chociaż, jak o tym pomyśleć, nieraz wyrażał się z lekką pogardą o Wielebnego interpretacji Księgi Rodzaju; a mianowicie, że Bóg stworzył zwierzęta dla wyłącznej przyjemności i pożytku człowieka, można je więc tępić do woli. Czy Wymaraton był elementem kontrrewolucji Adama przeciw Wielebnemu? Czy wszedł w konszachty z ekoświrami? Może doznał objawienia, kiedy upalił się jakimś uszkadzającym mózg halucynogenem i zawarł przyjaźń z duszkiem rośliny. Choć to mało prawdopodobne: z nich dwóch to Zeb

był tym skłonny do szarżowania z substancjami chemicznymi. Adam jednak na pewno się z kimś spiknął, sam nie byłby w stanie dokonać czegoś takiego.

Zeb dalej szedł pozostawionym mu tropem. Wybrał „Tak”, żeby okazać gotowość, i został przekierowany. „Witaj, Niedź-wiedziu-Duchu. Chcesz zagrać w grę ogólną czy z Wielkim Mistrzem?”. Według instrukcji Adama miał wybrać to drugie, więc tak zrobił.

„Dobrze. Znajdź swój pokój gry. Tam będzie MaddAddam”.

Droga do pokoju gry była skomplikowana, zygzakiem z jednej współrzędnej na drugą przez piksele umieszczone tu i ówdzie na niewinnie wyglądających stronach, głównie z reklamami, ale trafiło się też kilka list: TOP 10 STRASZNYCH KRÓLIKÓW WIELKANOCNYCH, DZIESIĘĆ NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCYCH FILMÓW WSZECH CZASÓW, DZIESIĘĆ NAJSTRASZLIWSZYCH POTWORÓW MORSKICH. Zeb znalazł portal w sterzających zębach obłąkanego fioletowego pluszowego królika trzymającego na kolanach struchlałe dziecko, przeskoczył nim na nagrobek fotosie z *Nocy żywych trupów*, oryginalnej wersji, a stamtąd na oko latimerii. I oto był w chatroomie.

„Witaj w pokoju gry MaddAddama, Niedźwiedziu-Duchu. Masz wiadomość”.

Zeb kliknął na Odbierz.

„Cześć”, przeczytał. „Widzisz, to działa. Tu masz namiary na przyszytygodniowy chatroom. A.”.

Minimalista cholerny, pomyślał Zeb. Nic mi nie powie.

Kupił polecony mu strój, czy raczej większą jego część: okrągłe okulary uznał za przesadę, buty też. Postarzył spodnie i koszule - uświł jedzeniem, trochę wystrzępił, kilka razy prze-prał. Potem powyrzucał stare ubrania do różnych kontenerów na śmieci i na tyle, na ile się dało, pościerał bioślady pozostawione w nędznym pokoju w Gwiezdnej

Eksplozji.

Po uiszczeniu rachunku za pobyt w Gwiezdney Eksplozji - nie ma co ściągać na siebie łowców dłużników, jeśli można tego uniknąć - pojechał na drugi koniec kontynentu, do San Francisco. Tam, wedle instrukcji, zgłosił się do ZdrowoTechu Zachód, przedstawił lewe dokumenty i cierpliwie zniósł rytualne Cześć, Kolego, Cieszymy Się, Że TU Jesteś, Dopilnujemy, Żebyś Czuł Się Jak W Domu z ust pucołowatego typu, który wyszedł mu na powitanie.

Nikt się do niego nie przyczepił. Oczekiwali go, zaakceptowali go. Jak z płatka.

W ZdrowoTechu Zachód przydzielono mu wygodną kawalerkę w wieżowcu mieszkalnym. Rudera to nie była: zadbana zieleń przy wejściu, basen na dachu, sprawna kanalizacja i instalacja elektryczna, choć, trzeba przyznać, nieco spartański wystrój. Za to łóżko było duże, optymistyczny sygnał. Wyglądało na to, że w świecie ZdrowoTechu Zachód stan kawalerski nie oznaczał celibatu.

W stołówce wieżowca, w którym pracował, wydano mu kartę rejestrującą jego spożycie: wszyscy mieli określony limit punktów, które mogli wydawać na dowolne dania z jadłospisu. Jedzenie było prawdziwe, w niczym nie przypominało podejrzaną papkę, którą żywił się w Misiolocie. Drinki zawierały alkohol, absolutne minimum, jakiego należy wymagać od drinków.

Kobiety ze ZdrowoTechu były energiczne, miały dużo pracy i mało czasu na towarzyskie rozmowy, a także - jak się domyślał - nie tolerowały prostackich prób podrywu, więc od razu uznał, że szkoda zachodu; choć jednak przysiągł sobie stronić od bliższych związków ze względu na pytania, jakie mogły za sobą pociągnąć, nie był z kamienia. Parę młodszych dziewczyn już dyskretnie zerknęło na jego plaketkę z imieniem Set - plaketki były w ZdrowoTechu odważnym dodatkiem do garderoby - a jedna nawet spytała, czy jest nowy, bo nie przypominała sobie, by go wcześniej widziała, no ale sama w zasadzie była tutaj nowa.

Czy dostrzegł lekki ruch ramion, wymowne trzepotanie powiek? Marjorie, przeczytał, nie przyglądając się za długo plakietce, która przycupnęła na nieszczególnie wydatnej piersi: ostentacyjne implanty nie były normą w murach ZdrowoTechu. Marjorie miała perkaty nos, brązowe oczy, potulną twarz spaniela i w normalnych okolicznościach skorzystałby z okazji, ale że sytuacja wyglądała, jak wyglądała, wyraził tylko nadzieję, że jeszcze się zobaczą. Nie była to może jego największa nadzieja - to miano zarezerwował dla nadziei, że go nie złapią - ale i nie najmniejsza.

Set został zatrudniony jako informatyk niskiego szczebla, jeden z wielu. Miał wprowadzać dane przy użyciu pakietu usypiająco nudnego, ale praktycznego oprogramowania, które rejestrowało i porównywało rozmaite faktoidy i zestawy danych generowane przez mózgowców ze ZdrowoTechu. Krótko mówiąc, robił za sekretarkę.

Jego obowiązki nie były wielkim wyzwaniem: mógł je odbębnić dwoma palcami, a i tak swobodnie mieścił się w wyznaczonym czasie. Kierownicy projektów nie zaprzęтали sobie głowy nadzorem nad pracą, wymagali tylko, żeby był ze wszystkim na bieżąco. Mógł więc bez przeszkód szperać w bazie danych ZdrowoTechu. Puścił kilka własnych testów bezpieczeństwa, żeby sprawdzić, czy jacyś piraci próbują się włamać z zewnątrz; jeśli tak, dobrze będzie o tym wiedzieć.

Początkowo nie znalazł żadnych wyraźnych śladów, kiedy jednak za którymś razem wniknął głębiej, wytropił coś, co wyglądało na ukryty tunel. Przecisnął się na drugą jego stronę, poza płonący krąg zapór sieciowych ZdrowoTechu, skąd żabimi skokami dostał się do chatroomu Wymaratonu. Czekala na niego wiadomość: „Korzystaj tylko w razie konieczności. Nie zostań długo. Nie zostawiaj odcisków palców. A.”. Pospiesznie się wylogował i zatarł swoje ślady. Będzie musiał zbudować inny portal, bo ten, kto korzystał z tego tunelu, mógł się połapać, że przeniknął nim ktoś inny.

Uznał, że Set musi zyskać famę miłośnika gier komputerowych, żeby jego logowania do Wymaratonu nie wzbudziły podejrzeń, gdyby ktoś zaczął

węszyc. Taki był powód strategiczny; chciał też jednak przy okazji przetestować te gry i zobaczyć, jak łatwo jest obijać się w godzinach pracy bez narażania się na naganę - pracownikom nie wolno było marnować czasu w ten sposób, przynajmniej nie do przesady - a przy okazji, jak łatwo jest oszukiwać. Żeby nie wyjść z wprawy, tak o tym myślał.

Niektóre z gier w ofercie rekreacyjnej były standardowe - broń, wybuchy i tak dalej - inne jednak wrzucali do sieci sami pracownicy ZdrowoTechu Zachód: maniacy biologii byli takimi samymi zapaleńcami jak komputerowcy, nic więc dziwnego, że projektowali własne gry. Jedną z lepszych był Spandrel: polegała na tym, że dodawałeś bioformom nowe, funkcjonalnie bezużyteczne cechy, wiązałeś je z dobozem seksualnym i przenosiłeś się w odległą przyszłość, żeby zobaczyć, co z tego materiału wytworzy machina ewolucji. Koty z kogucim grzebieniem na czole, jaszczurki o dużych czerwonych, jakby uszmińkowanych wargach, mężczyźni z olbrzymim lewym okiem - preferowane były cechy atrakcyjne dla samic, a ich złym gustem do samczych atrybutów, jak w życiu, mogłeś dowolnie manipulować. Potem następowała rozgrywka: drapieżnicy kontra zwierzyna. Czy superseksowne spandrele utrudnią łowy lub spowolnią ucieczkę? Jeśli twój twór nie był wystarczająco seksowny, nie mógł nikogo przelecieć, a wtedy gatunek wymierał: jeśli był zbyt seksowny, zostawał pożarty i gatunek też wymierał. Po jednej stronie seks, po drugiej kolacja: krucha równowaga. Za nieduże sumy można było dokupić pakiety mutacji losowych.

Potwory Pogodowe też były niezłe: postać, którą grałeś - małeńki awatar dowolnej płci - musiała stawić czoło przeróżnym klęskom żywiołowym i przetrwać jak najdłużej. Za zdobyte punkty mogłeś kupić swojemu awatarowi ekwipunek: buty, w których szybciej biegał i wyżej skakał, odzież piorunochronną, deskę, na której mógł się unosić na wodzie podczas powodzi czy tsunami, mokre chusteczki do zasłonięcia nosa w trakcie pożaru lasu, energatony, w razie gdyby złapała go lawina i utknął pod zwałami śniegu. Łopatę, zapalki, siekiere. Jeśli awatar wychodził cało z lawiny błotnej - katastrofy z minimalną szansą przeżycia - dostawałeś całą skrzynkę narzędzi i tysiąc dodatkowych punktów do

wykorzystania w następnej grze.

Zeb najczęściej grał w Pasożyty Jelitowe - ohydztwo, które maniaków biologii bawiło do rozpuku. Pasożyty były autentycznie paskudne, bezokie, z wyposażonymi w zadziory haczykami dookoła otworu gębowego; musiałeś je zbombardować trującymi tabletkami albo postać przeciwko nim cały arsenał nanorobotów lub białek motorycznych, zanim złożą w tobie tysiące jajek, wwiercą ci się w mózg i wyjdą kanalikami łzowymi bądź podzielą się na segmenty zdolne do samoregeneracji i zamienią twoje wnętrzności w gnijącą mięsną papkę. Czy były prawdziwe, czy biomaniacy je wymyślili? Co gorsza, czy w tej właśnie chwili składali je z genów w ramach prac nad bronią biologiczną? Nie sposób wiedzieć.

Jeśli za długo pograsz w Pasożyty Jelitowe, koszmary masz jak w banku, głosił slogan reklamujący grę. A że Zeb nie zwykł robić, co mu każą, grał w to za długo i rzeczywiście miał koszmary.

Co nie przeszkodziło mu stworzyć aliasu gry, a następnie przerobić jednego z ohydnych otworów gębowych tak, by służył za tajne przejście. Przerzucił napisany przez siebie program na potrójnie zabezpieczony pendrive, ten zaś schował w głębi szuflady biurka swojego przełożonego, w kłębie recepturek, zużytych chusteczek i osieroconych pastylek od kaszlu. Tam nikt nie zajrzy.

JAMA KOSTNA

Kaligrafia

Toby pracuje nad swoim dziennikiem. Tak naprawdę nie ma do tego siły, ale Zeb zadał sobie tyle fatygi, żeby przynieść jej niezbędne materiały; jeśli nie będzie z nich korzystała, na pewno to zauważy. Píše w jednym z tanich zeszytów szkolnych z apteki. Na okładce jest jasne, żółte słońce, kilka różowych stokrotek oraz chłopiec i dziewczynka, kreskowe ludziki, jakie niegdyś rysowały dzieci. W czasach, kiedy na świecie jeszcze były ludzkie dzieci - jak dawno temu? Wydaje się, że od przejścia zarazy minęły stulecia. Choć to przecież dopiero pół roku.

Chłopiec ma niebieskie szorty, niebieską czapkę i czerwoną koszulę; dziewczynka ma mysie ogonki, czerwoną trójkątną spódniczkę i niebieską bluzkę. Oboje mają czarne plamy zamiast oczu i grube czerwone usta, wygięte w kącikach ku górze; śmieją się do rozpuku.

To tylko papierowe dzieci, ale i tak wydają się martwe jak wszystkie prawdziwe dzieci. Nie może za długo patrzeć na okładkę zeszytu, bo to boli.

Lepiej skupić się na robocie do wykonania. Nie popadaj w zadumę, nie użalaj się nad sobą. Żyj z dnia na dzień.

„Dzień Świętego Boba Huntera i Tęczowych Wojowników”, pisze Toby. Możliwe, że to nie jest właściwa data - pewnie pomyliła się o dzień, dwa - ale będzie musiała ją zostawić, bo niby jak to sprawdzić? Nie ma już żadnej centralnej instytucji wyznaczającej dni miesiąca. Chociaż Rebecca może się lepiej orientować. Na wszystkie święta i uroczystości przewidziane były określone potrawy. Może nauczyła się ich na pamięć; może jest na bieżąco z kalendarzem.

„Księżyc: pierwsza kwadra. Pogoda: nic niezwykłego. Wydarzenia godne odnotowania: grupowa agresja wykazywana przez świnie. Ślady paintbólowców dostrzeżone przez ekspedycję Zeba: zastrzelony i częściowo rozebrany prosiak. Odnaleziony sandał z bieżnika opony, być może należący do Adama. Poza tym żadnego pewnego śladu Adama

Pierwszego i Ogrodników”.

Po minucie namysłu dodaje: „Jimmy jest przytomny, jego stan się poprawia. Derkaczanie pozostają przyjaźni”.

- Co robisz, o Toby? - To mały Czarnobrody: nie usłyszała, kiedy wszedł.
- Co to za kreski?

- Chodź tutaj - mówi ona. - Nie ugryzę cię. Zobacz. Ja piszę: te kreski to pismo. Pokażę ci.

Podaje podstawowe fakty. To jest papier, robi się go z drzew. Czy to boli drzewa? Nie, bo papier robi się z drzew, które są martwe - małe kłamstewko, ale niniejsza z tym. A to jest długopis. Jest w nim czarny płyn, który nazywa się atrament, ale pisać można i bez długopisu. I w sumie dobrze, myśli: długopisów wkrótce zabraknie.

Pisać można wieloma rzeczami. Można zrobić atrament z soku z jagód bzu, można zastąpić długopis ptasim piórem, można pisać patykiem na mokrym piasku. To wszystkie rzeczy nadają się do pisania.

- Jeśli już masz czym pisać - mówi - musisz narysować litery. Każda litera oznacza dźwięk. A kiedy łączysz litery ze sobą, powstają słowa. I słowa te zostają na papierze, dzięki czemu inni mogą je zobaczyć i usłyszeć.

Czarnobrody patrzy na nią, mrużąc oczy ze zdumieniem i niedowierzaniem.

- O Toby, przecież papier nie umie mówić - zauważa. - Widzę znaki, które na nim postawiłaś. Ale nic nie mów.

- To ty musisz być głosem pisma - mówi ona. - W chwili, kiedy je czytasz. Czytanie polega na tym, że zamieniasz znaki z powrotem na dźwięki. Zobacz, napiszę twoje imię.

Ostrożnie wyrywa kartkę z końca zeszytu, pisze drukowanymi literami: CZARNOBRODY. Potem odczytuje po kolei wszystkie litery.

- Widzisz? - mówi. - To oznacza ciebie. Twoje imię. - Wkłada mu długopis do ręki, otula go jego palcami, prowadzi jego dłoń z długopisem po papierze: litery C i Z.

- Tak zaczyna się twoje imię - mówi. - Od CZ. Jak w słowie „czapka”. To ten sam dźwięk. - Po co mu to tłumaczy? Jaki będzie miał z tego pożytek?

- To nie jestem ja. - Czarnobrody marszczy czoło. - Ani nie czapka. To tylko znaki.

- Idź z tą kartką do Ren - mówi Toby z uśmiechem. - Poproś ją, żeby przeczytała znaki, a potem wróć do mnie i powiedz, czy wypowiedziała twoje imię.

Czarnobrody patrzy na nią. Nie bardzo wierzy w to, co mu powiedziała, a jednak bierze kartkę, ostrożnie, jakby pokryta była niewidzialną trucizną.

- Będziesz tutaj? - pyta. - Kiedy wrócę?

- Tak - odpowiada ona. - Nigdzie się nie wybieram. - Czarnobrody wycofuje się rakiem, jak zwykle, i nie odrywa od niej oczu, dopóki nie skręca za róg.

Wraca do swojego dziennika. Co jeszcze pisać, oprócz suchej kroniki życia codziennego, którą zaczęła? Z jakiej opowieści - jakiego rodzaju historii mogliby mieć pożytek ludzie w przy. szłości, której nie jest w stanie przewidzieć? O ile wtedy jeszcze będą jacyś ludzie?

„Zeb i niedźwiedź”, pisze. „Zeb i MaddAddam”. „Zeb i Derkacz”. Wszystkie te opowieści można by przelać na papier. Ale po co i dla kogo? Dla niej samej, bo to daje jej pretekst, żeby rozmyślać o Zebie?

„Zeb i Toby”, pisze. To jednak na pewno będzie tylko przypis.

Nie wyciągaj pochopnych wniosków, mówi sobie. Przyszedł do ogrodu z prezentami. Może źle odczytałaś zachowanie Lisa Płowego. A nawet jeśli nie, co z tego? Bierz, co ci daje chwila. Nie zamykaj drzwi. Bądź

wdzięczna.

Czarnobrody znów wsuwa się do pokoju. Niesie kartkę, trzyma ją przed sobą jak gorącą tarczę. Jego twarz promienieje.

- Było, jak powiedziałaś, o Toby - mówi. - Papier wypowiedział moje imię! Podał Ren moje imię!

- A widzisz - odpowiada ona. - Na tym polega pismo.

Czarnobrody kiwa głową: teraz zrozumiał, jakie to daje możliwości.

- Mogę to zatrzymać? - pyta.

- Oczywiście - mówi Toby.

- Pokaż mi jeszcze raz. Tą czarną rzeczą.

Później - po deszczu, kiedy spadły ostatnie krople - znajduje go w piaskownicy. Ma kijek i kartkę. Na piasku widnieje jego imię. Reszta dzieci patrzy na niego. Wszystkie śpiewają.

Co ja właściwie zrobiłam? - myśli Toby. Jaką puszkę Pandory otworzyłam? Te dzieci są takie pojętne: opanują tę umiejętność i nauczą wszystkich pozostałych.

Co przyjdzie potem? Reguły, dogmaty, prawa? Testament Derkacza? Jak prędko pojawią się prastare teksty, a oni uznają, że muszą im być posłuszni, choć nie będą pamiętali, jak je interpretować? Czy sprowadziłam ich na złą drogę?

Rój

Na śniadanie jest kudzu i inna dzika zielenina, bekon, dziwny podpłomyk z niezidentyfikowanymi nasionami, łopian gotowany na parze. Kawa z mieszanki palonych korzeni: mniszka, cykorii, czegoś jeszcze. Ma posmak popiołu.

Kończy im się cukier, a nie ma miodu. Jest za to mleko megarunosa. Kolejna owca - błękitnowłosa - urodziła bliźniaki, blondynkę i brunetkę. Padło kilka żartów o potrawce z jagnięcia, ale nikt nie chce się do tego posunąć: jakoś trudno byłoby zarznąć i zjeść zwierzę z ludzkimi włosami, zwłaszcza gdy włosy te swoim połyskiem i łatwością układania tak bardzo przypominają reklamy szamponów sprzed lat. Ilekroć jeden z megarunosów się otrząsa, wrażenie jest takie, jakby oglądać od tyłu piękność z telewizji: lśniąca grzywa, kokieteryjnie falująca i wywijająca się. Spodziewasz się, myśli Toby, że lada chwila wyskoczą z gadką zachwalającą produkt. Co dzień walczysz z niesfornymi włosami? Moje włosy doprowadzały mnie do szału, aż wreszcie... umarłam.

Nie bądź taki ponurak, Toby, to tylko włosy. To nie koniec świata.

Przy kawie rozmawiają o wzbogaceniu diety. Potrzeba im bardziej różnorodnych źródeł białka, co do tego panuje zgoda.

Rebecca mówi, że dałaby się pokroić za parę żywych kur, bo można by je trzymać w kurniku i mieć jajka; ale gdzie takich kur szukać? Na szczycie opuszczonych wież, niedaleko plaży, są jaja ptaków morskich - na pewno, tam założyły gniazda - ale kto odważy się na niebezpieczną wyprawę nad morze przez coraz bardziej zarośnięty Park Dziedzictwa, w którym być może czyhają paintbólowcy, nie wspominając o jednym, dwóch szwadronach dużych agresywnych świń? I nawet nie ma co myśleć o wchodzeniu na wieże po schodach; na pewno są mocno niestabilne.

Wywiązuje się dyskusja. Jedna strona zwraca uwagę, że Derkaczanie swobodnie wędrują w tę i z powrotem, śpiewając swoją polifoniczną muzykę. Odwiedzają swoją bazę na brzegu, bezładne rumowisko

pustaków. Chronią ją przed zwierzętami, sikając w kręgu dookoła niej, kręgu, którego w ich przekonaniu świniony, wilksy i kotrysie nie ośmiela się przekroczyć. Przebijają dzidą rytualną rybę, którą potem dają Toby, żeby w zastępstwie za Yeti-Jimmy'ego opowiadała im historie. Żadne zwierzę nie zaczepia Derkaczan w czasie ich wędrówek przez las, przynajmniej dotychczas. Paintbólownicy muszą już być dość daleko, sądząc z ostatniego pozostawionego przez nich śladu, czyli tego świeżo zabitego prosiaka.

Druga strona twierdzi, że idąc przez las, Derkaczanie najwyraźniej stosują jeszcze inne techniki odstraszenia dzikiej zwierzyny oprócz sikania. Może taką funkcję spełnia ich śpiew? Jeśli tak, to, rzecz oczywista, normalni ludzie nie mogą ich w tym naśladować, bo nie mają strun głosowych z organicznego szkła, czy co właściwie wytwarza te dźwięki przypominające elektroniczną imitację thereminu. Co się tyczy paintbólowników, mieli dość czasu, żeby zawrócić i przyczaić się za najbliższym rogiem zarośniętym kudzu. Ostrożności nigdy za wiele, lepiej dmuchać na zimne, poza tym nie mogą sobie pozwolić na to, żeby poświęcić jednego, dwóch ludzi dla kilku mewich jajek, które, tak czy owak, pewnie są zielone i smakują jak rybne flaki.

Jajko to jajko, odpowiadają projajeczni. Dlaczego nie wysiać kilku ludzi razem z Derkaczanami? Wtedy ludzie będą chronieni przed dziką zwierzyną przez Derkaczan, a Derkaczanie będą chronieni przed paintbólownicami przez miotacze MaddAdda-mowców. Derkaczanom nie ma co dawać miotaczy, bo i tak nie sposób byłoby im wytłumaczyć, czemu czasem trzeba strzelać do innych. Sami nie są w pełni ludźmi, więc po prostu nie są do tego zdolni.

Nie tak szybko; to na razie nieudowodniona teza, zauważa Dzieciół Wielkodzioby.

- Jeśli mogą się z nami krzyżować, sprawa jest jasna. Ten sam gatunek. Jeśli nie, to nie. - Wychyla się do przodu, zagląda do swojej filiżanki kawy.
- Zostało jeszcze trochę? - pyta Rebeccę.

- Prawda, ale tylko częściowo - mówi Manat. - Koń plus osioł daje muła, ten jednak jest bezpłodny. Można by uzyskać pewność dopiero w następnym pokoleniu.

- Wystarczy tylko do jutra - odpowiada Rebecca. - Trzeba wykopać trochę mniszków. Okoliczne już zużyliśmy.

- To byłby interesujący eksperyment - stwierdza Dziecioł Wielkodzioby. - Ale oczywiście musielibyśmy liczyć na współpracę pań. - Kurtuazyjnie skłania głowę w stronę Lisa Płowego, która ma na sobie urocze prześcieradło w bukiety różowych i niebieskich kwiatów przewiązane różowymi i niebieskimi kokardami.

- Widziałeś te ich fiuty? - mówi Lis Płowy. - Za dużo dobrego. Jeśli czuję kutasa w ustach, chcę wiedzieć, że wszedł

- Dziecioł Wielkodzioby odwraca się, wyraźnie zszokowany, skrycie wściekły. Niektórzy się śmieją, inni marszczą brwi. Lis Płowy lubi świntuszyć, zwłaszcza przy mężczyznach; żeby pokazać, że jest więcej niż tylko zgrabnym ciałem, domyśla się Toby. Chce mieć ciastko i zjeść ciastko.

Zeb siedzi na drugim końcu stołu. Przyszedł późno; nie uczestniczy w dyskusji. Wydaje się zaprzątnięty podpłomykiem. Lis Płowy rzuca mu spojrzenie; czy to do niego kierowała swoje słowa? Nie zwraca na nią uwagi; ale jak inaczej miałyby się zachowywać? Jak kiedyś pisali doradcy w sprawach sercowych blogujący o romansach w miejscu pracy - winnych najłatwiej poznać po tym, że się ostentacyjnie unikają.

- Im nie potrzeba niczyjej współpracy - mówi Crozier. - Przelecieliby wszystko, co ma ci... Przepraszam, Toby. Wszystko, co ma spódniczkę.

- Spódniczkę! - Lis Płowy znów się śmieje, obnażając białe zęby. - Gdzieś ty był? Widziałeś, żeby któraś z nas nosiła spódniczki? Okrycia z prześcieradeł się nie liczą. - Porusza ramionami jak modelka na wybiegu.
- Podoba ci się moja spódniczka? Sięga mi po pachy!

- Daj mu spokój, jest nieletni - mówi Manat. Crozier robi dziwną minę: jest zły? Zawstydzony? Uśmiecha się z zakłopotaniem do siedzącej obok Ren, kładzie dłoń na jej ramieniu. Ona patrzy na niego zaszępiła jak małżonka.

- Nieletni są najfajniejsi - oświadcza Lis Płowy. - Pełni wigoru. Buzują endorfinami, a ich sekwencje nukleotydów są jak marzenie; zachowane całe kilometry telomerów.

Ren wbija w nią kamienny wzrok.

- On nie jest nieletni - mówi. Lis Płowy się uśmiecha.

Czy mężczyźni przy stole to widzą? - zastanawia się Toby.

Te milczące zapasy w błocie? Nie, chyba nie. Nie nadają na tej samej częstotliwości progesteronowej.

- Robią to tylko w określonych warunkach - mówi Manat

- Kopulację grupową. Kobieta musi być w rui.

- U ich kobiet to w porządku - stwierdza Bieługa. - Dają wyraźne sygnały hormonalne, wizualne i zapachowe. Ale nasze kobiety w ich odbiorze są w ciągłej rui.

- Bo może tak jest. - Manat szeroko się uśmiecha. - Tylko nie chcą się przyznać.

- Co było do udowodnienia: dwa różne gatunki - zauważa Bieługa.

- Kobiety to nie psy - mówi Biała Turzyca. - Ta rozmowa mnie obraża. Nie powinniście mówić o nas w taki sposób. - Jej głos jest spokojny, ale plecy ma wyprostowane, jakby połknęła kij.

- To tylko obiektywna dyskusja naukowa - konkluduje Koliberek Hawański.

- Hej - wtrąca Rebecca. - Ja tylko powiedziałam, że fajnie byłoby mieć kilka jajek.

W porannych godzinach pracy słońce jeszcze nie grzeje za mocno. W cieniu wiszą jaskraworóżowe ćmy kudzu, stada motyli, niebieskich i koloru fuksji, toczą pojedynki powietrzne, złociste pszczoły miodne obsiadły kwiaty polirzeczki.

Toby znów pracuje w ogrodzie, piele i tępi ślimaki. Jej karabin stoi oparty o ogrodzenie: gdziekolwiek przebywa, woli mieć go na wyciągnięcie ręki, bo nigdy nic nie wiadomo. Wokół niej rosną rośliny uprawne i chwasty. Wręcz słyszy, jak przebijają się przez glebę, jak ich korzonki węszą w poszukiwaniu składników odżywczych i odpychają korzonki sąsiadów, a liście wypuszczają chmury roznoszących się w powietrzu substancji chemicznych

„Świętej Vandany Shivy od Nasion”, napisała rano w zeszycie. „Świętego Nikołaja Wawilowa, Męczennika”. Dodała tradycyjną inwokację Bożych Ogrodników: „Wspominamy dziś świętą Vandaną i świętego Wawilowa, gorliwych strażników prastarych nasion. Świętego Wawilowa, który zgromadził nasiona i strzegł ich w czasie oblężenia Leningradu, by następnie paść ofiarą tyrana Stalina; i świętą Vandaną, niestrudzoną bojowniczkę przeciwko biopiractwu, która poświęciła się Żywemu Światu Roślin w całej jego różnorodności i krasie. Udzielcie nam czystości Waszego Ducha i siły Waszej determinacji”.

Nagle wspomnienie: Toby widzi siebie samą w czasach, kiedy była u Ogrodników i zmawiała tę modlitwę z ówczesną Ewą Szóstą, starą Pilar, zanim szły na grządki fasoli, żeby przeprowadzić konieczną translokację ślimaków. Czasem tęsknota za tamtymi dniami jest tak silna, tak nieoczekiwana, że powala ją jak zbłąkana fala. Gdyby wtedy miała aparat fotograficzny, gdyby miała album ze zdjęciami, teraz oglądałaby je w skupieniu. Ogrodnicy jednak byli przeciwnikami aparatów fotograficznych i dokumentacji papierowej; zostały jej więc tylko słowa.

Dziś nie byłoby sensu być Ogrodnikiem: wrogowie Naturalnego Bożego

Stworzenia już nie istnieją, zwierzęta i ptaki - te, które nie wyginęły za ludzkiego panowania na Ziemi - mnożą się bez żadnych ograniczeń. O florzę nie wspominając.

Choć może lepiej, by niektórych roślin było trochę mniej, myśli, ścinając agresywne pnącza kudzu, które już się pną po ogrodzeniu ogrodu. Cholerstwo wciska się wszędzie. Jest niezmordowane, w dwanaście godzin może urosnąć o kilkadziesiąt centymetrów, wypiętrza się i przewala po wszystkim, co napotka na swojej drodze, niby zielone tsunami. Megarunosy trochę je przetrzebują, Derkaczanie ochoczo skubią jego pędy, a Rebecca przyrządza je jak szpinak, ale ubytku praktycznie nie widać.

Słyszała rozmowę kilku mężczyzn o tym, żeby zrobić wino z kudzu, ale ma co do tego mieszane uczucia. Nie wyobraża sobie, jaki miałyby smak - pinot grigio skrzyżowane z zacierem ze ścinków trawy? Pinot vert z nutą kompostu? No a poza tym czy ich grupka na pewno może sobie pozwolić na picie alkoholu w jakiegokolwiek postaci? Są zbyt narażeni na atak, żeby przytępić sobie świadomość. Ich mała enklawa jest słabo broniona. Jeden pijany wartownik, potem infiltracja, potem rzeź.

- Znalazłem rój dla ciebie - mówi głos Zeba. Niepostrzeżenie zaszedł ją od tyłu: a miała być czujna.

Odwraca się z uśmiechem. Czy to szczery uśmiech? Nie całkiem, bo wciąż nie zna prawdy o Lisie Płowym. Lisie Płowym i Zebie. Zrobili to czy nie? A jeśli on po prostu, tak to nazwijmy, wszedł w otwarte drzwi - jeśli głębiej się nad tym nie zastanawiał - dlaczego sama miałaby sobie zaprzętać tym głowę?

- Rój? - Jest zaskoczona. - Serio? Gdzie?

- Chodź ze mną do lasu. - Zeb wyszczerza się jak wilk z bajki i wyciąga do niej potężną dłoń. Tobie oczywiście ją chwyta i wszystko mu wybacza. Na razie. Mimo że być może nie ma czego wybaczać.

Idą w stronę linii drzew, zostawiając z tyłu polanę z glinianym domkiem.

Rzeczywiście jest tu jak na polanie. Roślinność się wdziera, ale MaddAddamowcy starają się utrzymywać ją w ryzach. Zawsze to coś.

Pod drzewami jest chłodniej. I bardziej złowieszczo: zielona siatka liści i gałęzi przesłania widok. Przygięte gałązki wskazują drogę, którą wcześniej musiał przejść Zeb.

- Jesteś pewien, że nic nam nie grozi? - szepcze Toby. Odruchowo zniżyła głos. Na otwartym terenie patrzysz, bo tani zobaczysz drapieżnika, zanim go usłyszysz. Wśród drzew jednak musisz słuchać, bo najpierw go usłyszysz, potem zobaczysz.

- Dopiero co tutaj byłem, sprawdziłem okolice - mówi Zeb, zbyt pewny siebie jak na gust Toby.

Oto i rój, duży kłęb pszczół wielkości arbuza, wiszący wśród dolnych gałęzi młodego jaworu. Cicho brzęczy; wierzchnia warstwa faluje jak złociste futro na lekkim wietrze.

- Dziękuję - mówi Toby. Powinna wrócić do enklawy z glinianym domkiem, znaleźć jakiś pojemnik i zgarnąć do niego środek roju, żeby złapać królową. Wtedy reszta roju ruszy za nią. Nie będzie nawet musiała odymić pszczół: nie pożądlą jej, bo nie bronią gniazda. Najpierw zapewni je, że dobrze im życzy, i wyrazi nadzieję, że zostaną jej posłańcami do krainy umarłych. Pilar, jej nauczycielka pszczelarstwa u Ogrodników, powiedziała jej, że ta przemowa jest konieczna, jeśli chcesz przekonać rój dzikich pszczół, żeby podążył za tobą.

- Może powinnam skoczyć po worek albo coś - mówi. - Już szukają dobrego miejsca na gniazdo. Niedługo odlecą.

- Chcesz, żebym ich przypilnował? - pyta Zeb.

- Nie trzeba. - Woli, by z nią wrócił; nie chce sama iść przez las. - Ale mógłbyś przez chwilę mnie nie słuchać? I odwrócić się?

- Musisz się odlać? - pyta Zeb. - Nie przejmuj się mną.

- Wiesz, jak to jest. Sam byłeś Ogrodnikiem - wyjaśnia Toby. - Muszę porozmawiać z pszczołami. - To jedna z praktyk Ogrodniczych, które widziane z zewnątrz muszą wydawać się dziwne; zresztą jej też wydaje się dziwna, bo sama w pewnym sensie wciąż jest outsiderem.

- Jasne - mówi Zeb. - Śmiało. Rób swoje. - Odwraca się w bok, patrzy w głąb lasu.

Toby czuje, że się rumieni. Naciąga jednak koniec prześcieradła na głowę - to konieczne, tłumaczyła stara Pilar, inaczej Pszczoły pomyślałyby, że nie okazujesz im należnego szacunku - i szepcze do brzęczącego futrzanego kłębu.

- O Pszczoły - mówi. - Ślę pozdrowienia dla waszej Królowej. Pragnę zawrzeć z nią przyjaźń, przygotować bezpieczny dom dla niej i dla was, jej córek, co dzień przekazywać wam wieści. Obyście nosiły wiadomości ze świata żywych wszystkim duszom, które zamieszkują krainę cieni. Powiedzcie, proszę, czy przyjmujecie moją propozycję.

Czeka. Brzęczenie narasta. Wreszcie kilka pszczoł zwiadowczyń sfruwa na dół i ląduje na jej twarzy. Obmacują jej skórę, nozdrza, kąciki oczu; jakby głaskał ją tuzin małych palców. Jeśli użądła, odpowiedź brzmi „nie”. Jeśli nie, odpowiedź brzmi „tak”. Nabiera powietrza, zmusza się do zachowania spokoju. Pszczoły nie lubią strachu.

Zwiadowczynie wzbijają się z niej, wzlatają po spirali w stronę roju, wtapiają się w ruchome złote futro. Toby wypuszcza powietrze.

- Już możesz spojrzeć - mówi do Zeba.

Słysząc trzask, szamotanie: coś przedziera się ku nim przez zarośla. Toby czuje, że krew odpływa jej z dłoni. Cholera, myśli. Świnia, wilk? Nie mamy miotacza. A karabin zostawiłam w ogrodzie. Rozgląda się za kamieniem, którym można by rzucić. Zeb podniósł kij z ziemi.

Święta Dian, święty Franciszku, święty Fateh Singh Rathore: udzielcie mi waszej siły i mądrości. Przemówcie do zwierząt. Niech się od nas

odwrócić i domagają się zera od Boga.

Ale nie, to nie zwierzę. Słyszeć głos: to ludzie. Nie ma Ogrodniczej modlitwy przeciwko ludziom. Paintbólowcy - nie wiedzą, że tu jesteśmy. Co robić? Uciekać? Nie, już są za blisko. Zejść z linii strzału. Jeśli się da.

Zeb wszedł przed nią, odepchnął ją dłonią do tyłu. Teraz zastyga w bezruchu. I wybucha śmiechem.

Jama kostna

Z krzaków wychodzi Lis Płowy, przygląda swoje różowo-niebieskie prześcieradło w kwiaty. Tuż za nią jest Crozier, też doprowadza okrycie do porządku. Jego prześcieradło jest niewymyślne, w czarne i szare pasy.

- Cześć, Toby. Cześć, Zeb - mówi zbyt beztrosko.
- Co, wybraliście się na spacer? - pyta Lis Płowy.
- Polujemy na pszczoły - mówi Zeb. Nie wydaje się wzburzony. Może więc się myliłam, myśli Toby: nie jest zaborczy wobec Lisa, nie przejął się, że tarzała się w chwastach z Crozierem.

A skoro o Crozierze mowa, to chyba zalecał się do Ren? Czy może co do tego Toby też się myliła?

- Na pszczoły? Serio? Cóż, każdy musi mieć jakieś hobby.
- Lis Płowy się śmieje. - My byliśmy na grzybach. Szukaliśmy i szukaliśmy. Chodziliśmy na czworakach, zaglądaliśmy wszędzie. Ale nie znaleźliśmy ani jednego, co, Croze?

Crozier kręci głową, wpatrzony w ziemię. Zupełnie jakby przyłapali go ze spuszczonej gaciami, tyle że zamiast gaci ma prześcieradło w pasy.

- To na razie - rzuca Lis Płowy. - Szczęśliwych łowów na pszczoły. - Rusza z powrotem w stronę domku z gliny, Crozier Podąża za nią jak prowadzony na postronku.
- Chodź, Królowo Pszczół - mówi Zeb do Toby. - Trzeba wziąć twój sprzęt. Odprowadzę cię do domu.

W świecie idealnym Toby miałyby już ul Langstrotha z korpusami i ruchomymi ramkami. Powinna była go przygotować zawnazu, na wypadek gdyby mimo wszystko gdzieś znalazła rój; zabrakło jej jednak

dalekowzroczności. Czego może użyć zamiast prawdziwego ula? Co skusi pszczoły? Dowolny pusty pojemnik z wylotem, którym będą mogły wchodzić i wychodzić; wystarczająco suchy, wystarczająco chłodny, wystarczająco ciepły.

Rebecca daje jej zdobyczną przenośną lodówkę ze styropianu; Zeb robi wylot w bocznej ścianie, blisko wieka, i kilka innych otworów wentylacyjnych. Razem z Toby stawiają ją w kącie ogrodu, otaczają kamieniami, które mają ją stabilizować i dodatkowo osłaniać, po czym dodają parę pionowo ułożonych płyt sklejk i podkładają pod nie małe kamyczki, żeby wynieść je powyżej dna lodówki. Z prawdziwym ulem nie ma to wiele wspólnego, ale na razie będzie musiało wystarczyć, może nawet na długo. Zagrożenie jest takie, że kiedy pszczoły się tu zdomowią, potem się wściekną, jeśli będzie chciała je przenieść.

Toby robi z poszwy na poduszkę worek do łapania roju i ruszają z powrotem do lasu po pszczoły. Posługuje się długim kijem, szybko skrobie po gałęzi. Jądro roju delikatnie opada do worka. Najgęstsza część zawiera w sobie magnes, jakim jest królowa: niby serce w ciele, jest niewidoczna.

Niosą do ogrodu głośno brzęczącą poszwę; za nimi podąża luźny kłęb pszczoł. Toby ostrożnie opuszcza rój do lodówki, czeka, aż wszystkie zbłąkane pszczoły wydostaną się z poszwy, po czym czeka jeszcze trochę, podczas gdy pszczoły poznają swój nowy dom.

Kiedy Toby zajmuje się pszczołami, zawsze skacze jej adrenalina. Może się stać coś złego: pewnego dnia może nie pachnieć, jak powinna, i opadnie ją rozwścieczona, żądłująca horda. Czasem ma wrażenie, że mogłaby zanurzyć się w pszczołach, jakby brała kąpiel w pianie; ale to tylko euforia wywołana obcowaniem z nimi, coś jak halucynacje na dużych wysokościach lub narkoza azotowa. Głupotą byłoby zrobić to naprawdę.

Gdy rój się uspokaja, Toby zamyka wieko lodówki i kładzie na nim dwa kamienie. Wkrótce pszczoły już wylatują i wlatują przez otwór wylotowy,

szukają pyłku wśród kwiatów w ogrodzie.

- Dziękuję - mówi do Zeba; on odpowiada „Do usług”, jakby przeprowadził ją przez ulicę, a nie był jej kochankiem. Jest jednak dzień, przypomina sobie Toby: za dnia zawsze jest trochę obcesowy. Odchodzi wielkimi susami, znika za rogiem glinianego domku; zadanie wykonane.

Toby nakrywa głowę.

- Obyście były tu szczęśliwe, o Pszczoły - mówi do lodówki ze styropianu. - Jako wasza nowa Ewa Szósta obiecuję odwiedzać was codziennie, jeśli tylko będę mogła, i przekazywać wam wieści.

- O Toby, możemy znowu zrobić pismo? Znaki na papierze?

- To jej cień, mały Czarnobrody. Wdrapał się na ogrodzenie ogrodu od zewnętrznej strony i przewiesił się przez nie, z brodą na rękach. Jak długo ją obserwuje?

- Tak - mówi ona. - Może jutro, jeśli przyjdiesz wcześniej.

- Co to za skrzynka? Co to za kamienie? Co robisz, o Toby?

- Pomagam pszczołom znaleźć dom - odpowiada Toby.

- Będą mieszkały w skrzynce? Dlaczego chcesz, żeby tam mieszkały?

Bo chcę im kraść miód, myśli Toby.

- Bo tam będą bezpieczne - mówi.

- Rozmawiałaś z pszczołami, o Toby? Słyszałem, jak mówiłaś A może rozmawiałaś z Derkaczem jak Yeti-Jimmy? - docieka Czarnobrody.

- Rozmawiałam z pszczołami. - Twarz chłopca rozjaśnia uśmiech.

- Nie wiedziałem, że to umiesz - mówi. - Rozmawiasz z Dziećmi Oryks? Tak jak my? Przecież nie potrafisz śpiewać!

- Śpiewacie zwierzętom? - pyta Toby. - Lubią muzykę?

Wydaje się, że to pytanie tylko go zdziwiło.

- Muzykę? - powtarza. - Co to jest „muzyka”? -I już go nie ma: zeskokczył za ogrodzenie i pobiegł do pozostałych dzieci.

Kiedy pachniesz pszczołami, nie będąc z nimi, zdarza się, że przyciągasz niepożądane towarzystwo innych owadów: kilka zielonych much już próbuje na niej usiąść, wzbudziła też zainteresowanie paru os. Toby idzie umyć ręce pod pompą. Gdy je szoruje, przychodzą Ren i Modraszek. Szukały jej.

- Musimy z tobą porozmawiać - mówi Ren. - Chodzi o Amandę. Szczerze się niepokoimy.

- Spróbujcie ją czymś zająć - radzi Toby. - Z czasem się pozbiera, na pewno. Przeżyła szok, to musi potrwać. Pamiętasz, w jakim byłaś stanie, kiedy sama dochodziłaś do siebie po napaści paintbólowców? Dam jej trochę eliksiru z grzybów na wzmocnienie.

- Nie, nie rozumiesz - mówi Ren. - Jest w ciąży.

Toby wyciera ręce w ręcznik wiszący obok pompy. Pomału, żeby dać sobie czas do namysłu.

- Jesteś pewna? - pyta.

- Nasikała na pałeczkę - mówi Modraszek. - Wynik pozytywny. Kurestwo pokazało uśmiechniętą buzię.

- Różową uśmiechniętą buzię! Ten test jest taki okrutny! To straszne! - mówi Ren. Zaczyna płakać. - Nie może urodzić tego dziecka po tym, co jej zrobili! Dziecka paintbólowca!

- Snuje się jak zombi - dodaje Modraszek. - Jest w głębokiej depresji. Ma potężnego, naprawdę potężnego doła.

- Porozmawiam z nią - mówi Toby.

Biedna Amanda. Jak można od niej oczekiwać, żeby urodziła dziecko mordercy? Dziecko jej gwałcicieli, jej oprawców? Chociaż jest też inna możliwość w kwestii ojcostwa. Toby przypomina sobie kwiaty, śpiew, entuzjastyczną płataninę kończyn Derkaczan w blasku ogniska tamtego chaotycznego wieczoru świętej Juliany. A jeśli Amanda nosi w łonie małego Derka-czanina? Czy to w ogóle możliwe? Tak, chyba że są zupełnie odrębnym gatunkiem. Ale w takim razie czy to nie będzie dla niej niebezpieczne? Dzieci Derkaczan rozwijają się w innym tempie, dużo szybciej rosną. A jeśli dziecko za szybko osiągnie za duże rozmiary i nie zdoła wyjść?

Szpitali nie ma. Ani nawet lekarzy. Pod względem warunków to będzie tak, jakby rodziła w jaskini.

- Jest na huśtawce - mówi Modraszek.

Amanda siedzi na jednej z dziecięcych huśtawek, lekko się buja. Ledwo się na niej mieści; siedzisko wisi nisko nad ziemią, kolana jej sterczą pod niewygodnym kątem. Po policzkach wolno spływają łzy.

Wokół niej stoją trzy Derkaczanki, dotykają jej czoła, włosów, ramion. Wszystkie mruczą. Jedna jest koloru kości słoniowej, druga hebanu, trzecia złota.

- Amanda - mówi Toby. - Będzie dobrze. Wszyscy ci pomożemy.

- Chcę umrzeć - oznajmia Amanda.

Ren zalewa się łzami, klęka, obejmuje Amandę w pasie.

- Nie mów tak! - mówi. - Tak daleko zaszliśmy! Nie możesz się teraz poddać!

- Chcę to z siebie usunąć - stwierdza Amanda. - Nie ma jakiejś trucizny, którą mogłabym wypić? Czegoś z grzybów?

- Przynajmniej nabrała trochę wigoru, myśli Toby. I rzeczywiście, są rośliny, których dawniej używano w takich sytuacjach. Pamięta, że Pilar wspominała o różnych nasionach i korzeniach: dzikiej marchwi, wiesiołka. Nie jest jednak pewna, w jakich ilościach należy je podawać, ryzyko byłoby zbyt duże. A jeśli to dziecko Derkaczan, takie metody i tak mogą być nieskuteczne. Według MaddAddamowców ich biochemia jest inna.

Derkaczanka koloru kości słoniowej przestaje mruzczyć.

- Ta kobieta już nie jest niebieska - mówi. - Jej jama kostna nie jest pusta. To dobrze.

- Dlaczego jest smutna, o Toby? - pyta złocista kobieta. - My zawsze się cieszymy, kiedy nasza jama kostna jest pełna.

Jama kostna. Tak to nazywają; to na swój sposób piękne i celne, ale sama Toby w tej chwili może sobie wyobrazić tylko pieczarę pełną ogryzionych kości. Bo tak musi się czuć Amanda: jakby umarła za życia. Co Toby może zrobić, żeby poprawić ten stan rzeczy? Niewiele. Pochować noże i sznury, dopilnować, by zawsze miała towarzystwo.

- Toby - mówi Ren. - Mogłabyś...

- Spróbuj, proszę - wtrąca Amanda.

- Nie - mówi Toby. - Nie mam niezbędnej wiedzy. - To Akuszerka Maruszka zajmowała się u Ogrodników ginekologią i położnictwem. Toby skupiała się na chorobach i ranach, ale w tej sytuacji czerwie, gorące okłady ani pijawki nie pomogą. - Może nie jest tak źle, jak ci się wydaje - ciągnie. - Może ojcem nie jest paintbólowiec. Pamiętasz ten wieczór przy ognisku, w dniu świętej Juliany, kiedy rzucili się... kiedy doszło do kulturowego nieporozumienia? Może to derkaczańskie dziecko.

- Rewelacja - mówi Ren. - Co za wybór! Arcybandzior lub jakiś zmodyfikowany genetycznie dziwoląg. Zresztą nie ją jedną spotkało to,

jak to nazwałaś, kulturowe nieporozumienie. Kto wie, czy i we mnie nie rośnie jedno z tych frankendzieci. Na razie boję się nasikać na pałeczkę.

Toby zastanawia się, co na to powiedzieć - coś optymistycznego i uspokajającego. Geny nie określają przeznaczenia? Natura kontra wychowanie, ze zła może wynikać dobro? Trzeba wziąć pod uwagę czynniki epigenetyczne, a może paintbólowcy po prostu byli bardzo, ale to bardzo źle wychowywani? Albo może coś takiego: Derkaczanie mogą być bardziej ludzcy, niż się nam wydaje? Nic z tego jednak nie jest zbyt przekonujące, nawet dla niej.

- O Toby, nie bądź smutna - mówi dziecięcy głos: Czarnobrody wpycha się obok niej. Bierze ją za rękę, klepie jej dłoń.

- Oryks pomoże, dziecko wyjdzie z jamy kostnej i Amanda będzie szczęśliwa. Wszyscy są bardzo szczęśliwi, kiedy z jamy kostnej wychodzi dziecko.

Prosięta

- Podnieś się, leżysz, mi na rękę - mówi Zeb. - Co się stało?
- Martwię się o Amandę - odpowiada Toby. Prawda, ale nie cała prawda.
- Wygląda na to, że zaszła w ciążę. Niespecjalnie jest zachwycona.
- Hip, hip, hura - mówi Zeb. - Pierwszy mały pionier urodzony w naszym nowym wspaniałym świecie.
- Powiedział ci ktoś kiedyś, że czasem potrafisz być bezduszny?
- Nigdy - odpowiada Zeb - Przecież mam takie czułe serce. Tatusiem jednak najpewniej jest paintbólowiec, sądząc z przebiegu wydarzeń, a to byłoby po trzykroć do kitu. Musielibyśmy utopić małego jak kociaka.
- Odpada - mówi Toby. - Derkaczanki kochają dzieci. Wpadłyby w furję, gdybyś zrobił mu coś okrutnego i bolesnego.
- Kobiety są dziwne - stwierdza Zeb. - Nie żebym nie wolał mieć takiej mamy: opiekuńczej, ciepłej i tak dalej.
- Może to hybryda. Pół-Derkaczanin - mówi Toby. - Zważywszy na zbiorowy szturm na nią w czasie uroczystości świętej Juliany. Ale jeśli tak, to dziecko może ją zabić. Ich płody rozwijają się w innym tempie, w chwili narodzin mają większe głowy, sądząc po dzieciach, które część tych kobiet nosi na rękę. Mogłoby w niej utknąć. Nie mam bladego pojęcia, jak zrobić cesarkę. I co będzie, jeśli wcześniej wywiąże się konflikt serologiczny?
- Dzieńciół Wielkodzioby i reszta wiedzą coś o tym? O tych genetycznych sprawach związanych z krwią?
- Nie pytałam - mówi Toby.
- No dobra, dodajmy to do listy potencjalnych zagrożeń. Jedna ciąża.

Zwołam zebranie. Ale jeśli MaddAddamy nie będą wiedziały, co się najprawdopodobniej stanie, chyba pozostanie nam tylko czekać i uzbroić się w cierpliwość?

- Tak czy owak, nic nie wymyślimy - mówi Toby. - Aborcji nie da się przeprowadzić; nikt tutaj nie ma niezbędnych umiejętności, a zbyt ryzykownie byłoby robić to w ciemno. Są pewne zioła, ale jeśli nie wiesz, jak się z nimi obchodzić, mogą być trujące. Nic innego nie da się zrobić, chyba że na zebraniu ktoś wpadnie na genialny pomysł. Przedtem jednak muszę odbyć konsultację.

- Z kim? Żaden z naszych mózgowców nie jest lekarzem.

- Nie śmieję się z tego, co powiem.

- Język przygryziony, usta zaszyte. Wal.

- No dobra, to zabrzmiało niedorzecznie: z Pilar. Która, jak wiesz, nie żyje.

Pauza.

- Jak chcesz to zrobić?

- Pomyślałam, że mogłabym ją odwiedzić, no wiesz, tam, gdzie ją...

- Pomodlić się w jej sanktuarium? Jak do świętej?

- Coś w tym stylu. Odbyć Pogłębioną Medytację. Pamiętasz, gdzie ją pochowaliśmy, w parku? W dniu jej skompostowania? Przebraliśmy się za pracowników parku, wykopaliśmy dół w...

- Tak, znam to miejsce. Miałaś na sobie ten zielony kombinezon, który dla ciebie ukradłem. Posadziliśmy na niej bez.

- Tak. Chciałabym tam pójść. Wiem, że to lekki obłąd, jak określono by to w Świecie Złowszechnym.

- Najpierw rozmawiasz z pszczołami, teraz chcesz rozmawiać ze

zmarłymi? Nawet Ogrodnicy się do tego nie posunęli.

- Niektórzy owszem. Potraktuj to jako przenośnię. Nawiążę kontakt z moją wewnętrzną Pilar, jak ująłby to Adam Pierwszy. On byłby za.

Kolejna pauza.

- Cóż, sama nie dasz rady.
- Wiem. - Teraz jej kolej, żeby zrobić pauzę.

Westchnienie.

- No dobra, laleczko, niech będzie, jak chcesz. Zgłaszam się na ochotnika. Namówię Nosorożca i Shackiego, żeby poszli z nami. Będziemy cię osłaniali. Jeden miotacz plus twój karabin. Jak myślisz, ile to potrwa?
- Odbędę skróconą wersję Pogłębionej Medytacji. Nie chcę zająć za dużo czasu.
- Spodziewasz się usłyszeć głosy? Żebym wiedział.
- Nie mam pojęcia, co usłyszę - odpowiada Toby szczerze.
- Najprawdopodobniej nic. Ale tak czy owak, muszę to zrobić.
- To właśnie mi się w tobie podoba. Jesteś gotowa na wszystko. - Szelest, ruch. Kolejna pauza. - Coś jeszcze cię gryzie?
- Nie - kłamie Toby. - Wszystko gra.
- Lubisz mataczyć? - pyta Zeb. - Nie żebym miał coś przeciwko.
- Mataczyć. Mądre słowo - mówi Toby.
- Niech zgadnę. Uważasz, że muszę ci powiedzieć, co zaszło w dziczy pasażu handlowego między mną a tą, jak jej tam. Panną Lisiczką. Czy ja ją

obłapiałem, czy vice versa. Czy doszło do zbliżenia.

Toby myśli o tym. Czy chce złych wieści o tym, czego się lęka, czy dobrych, w które nie uwierzy? Czy zmienia się w bezkręgowca z mackami i przyssawkami, który rozpaczliwie pragnie do czegoś przyłgnąć?

- Powiedz mi coś ciekawszego - mówi.

Zeb się śmieje.

- Dobrze - mówi.

A zatem pat. On zachowa swoją wiedzę dla siebie, ona będzie musiała spróbować zdusić w sobie pragnienie poznania prawdy. Zeb jest miłośnikiem szyfrów. Chociaż Toby nie widzi go w ciemności, czuje, że on się uśmiecha.

Wyruszają nazajutrz o wschodzie słońca. Sępy, które obsiadły czubki wyższych, bardziej uschłych drzew, rozkładają czarne skrzydła, żeby wyparowała z nich rosa; czekają na prądy termiczne, które pomogą im wznieść się w niebo i na nim kołować. Wrony przekazują sobie najświeższe plotki, chrapliwa sylaba po chrapliwej sylabie. Mniejsze ptaki budzą się ze snu, zaczynają popiskiwać i sviergolić; nad wschodnim horyzontem unoszą się różowe nitki chmur, u dołu jaśniejące złotem. Są dni, kiedy niebo wygląda jak na starych malowidłach: brakuje tylko kilku aniołów z wdzięcznie obciążniętymi różowymi palcami u nóg i aerodynamicznie nierealistycznymi skrzydłami, szybujących po błękicie w białych szatach rozpostartych jak spódniczki de-biutantek na salonach. Zamiast nich są mewy.

Idą zachowanym szlakiem przez chaszczę, w których wciąż można rozpoznać Park Dziedzictwa. Po małych żwirowych ścieżkach odchodzących w boki rozpełzły się pnącza, ale stoły piknikowe i cementowe grille jeszcze nie zarosły. Jeśli żyją tu duchy, są to roześmiane duchy dzieci.

Wszystkie pojemniki na śmieci w kształcie baryłek leżą przewrócone,

pokrywy są z nich zerwane. Nie zrobili tego ludzie. Coś się nad tym mocno natrudziło. Jednak nie szopunksy: pojemniki na śmieci były z założenia szopunksoodporne. Ziemia dookoła stołów piknikowych jest zryta i błotnista: coś ją zdeptało i się w niej wytarzało.

Wylana asfaltem główna ścieżka jest dość szeroka dla furgonetki Parku Dziedzictwa, takiej, jaką Zeb i Toby zawieźli Pilar na miejsce skompostowania. Pędy chwastów już się jednak przebijają na powierzchnię. Potrafią wywrzeć niewiarygodny nacisk: w kilka lat mogą rozłupać budynek jak orzech, w dziesięć obrócić go w ruinę. Potem ziemia pochłania szczątki. Wszystko trawi i jest trawione. Ogrodnicy uważali to za powód do świętowania, Toby jednak ta myśl nigdy nie podnosiła na duchu.

Nosorożec idzie przodem z miotaczem. Shackleton jest na końcu. Zeb zajął pozycję w środku, obok Toby, ma ją na oku. Powierzyła mu swój karabin, bo wypija już miksturę wprowadzającą w stan skróconej Pogłębionej Medytacji. Na szczęście wśród zebranych przez lata suszonych grzybów, które przyniosła ze spa NowyTy, było kilka gatunków *Psilocybe* ze starej Ogrodniczej hodowli. Do namoczonych suszonych grzybów i utartych nasion dodała szczyptę *muscaria*. Tylko odrobinę: nie chce totalnej fraktalizacji mózgu, tylko lekkiego zaburzenia percepcji - zmarszczenia okiennej szyby, która oddziela świat widzialny od tego, co poza nim. Mikstura już zaczyna działać: kształty się rozmywają, przemieszczają się.

- A ty tu czego? - mówi głos. Głos Shackletona, dochodzący z głębi ciemnego tunelu. Toby odwraca się: to Czarnobrody.

- Chcę być z Toby - mówi.

- O ja pierdolę - rzuca Shackleton.

Czarnobrody uśmiecha się radośnie.

- I z Ja-Pierdolę też - mówi.

- W porządku - ucina Toby. - Niech idzie z nami.

-I tak byś go nie powstrzymał - mówi Zeb. - Chyba żebyś rozwalił mu łeb. Chociaż zawsze mogę mu powiedzieć, żeby spadał na drzewo.

- Proszę cię - mówi Toby. - Nie mieszaj mu w głowie.

- Dokąd idziesz, o Toby? - pyta Czarnobrody.

Toby chwyta go za podniesioną ku niej rękę.

- Odwiedzić przyjaciółkę - mówi. - Ale to taka przyjaciółka, której nie widać. - Czarnobrody o nic nie pyta, tylko kiwa głową.

Zeb spogląda w przód, w lewo, w prawo. Nuci pod nosem, nawyk, który ma, od kiedy Toby go zna. Zwykle oznacza to, że jest zestresowany.

Hej, w bagnie po uszy tkwimy

I nic na to nie poradzimy,

Musimy znosić tę naszą niedolę,

Bo nic nie wiemy, o ja pierdołę...

- Yeti-Jimmy wie o Ja-Pierdołę wszystko - mówi Czarnobrody. - Derkacz też. - Uśmiecha się promiennie i patrzy na Toby i Zeba w poszukiwaniu potwierdzenia, zadowolony z siebie.

- Masz świętą rację, kolego - stwierdza Zeb. - Kiedy mówią „Ja pierdołę”, to wiedzą, co mówią.

Toby czuje, że mikstura do Pogłębionej Medytacji zaczyna działać z pełną mocą. Głowa Zeba na tle słońca okolona jest aureolą, zdaje się, rozdwojonych końcówek - przydałoby się go przystrzyc, musi skądś zdobyć nożyczki - które jednak w jej oczach wyglądają jak promieniste iskry energii elektrycznej strzelające mu z włosów. Nad ścieżką frunie morfokompozytowy świetlisty motyl. Oczywiście, przypomina sobie,

światlisty jest tak czy inaczej, teraz jednak jest rozpalony do błękitu jak płomień gazowy. Czarny Nosorożec kroczy jak gliniany olbrzym. Pokrzywy gną się nad ścieżką, włoski parzące na liściach zwiewnie falują w świetle. Zewsząd otaczają ją dźwięki, hałasy, prawie głosy: szmery i trzaski, stukot, szeptane sylaby.

I oto krzak bzu, który tak dawno temu posadzili na grobie Pilar. Bardzo urósł. Białe kwiecie spływa kaskadami, słodycz przesyca powietrze. Wokół niego wibracje: pszczoły miodne, trzmiele, duże i małe motyle.

- Zostań tutaj, z Zebem - mówi Toby do Czarnobrodego. Puszcza jego rękę, robi krok do przodu, klęka przed bzem.

Patrzy na pęki kwiatów, myśli „Pilar”. Stara, pomarszczona twarz, brązowe dłonie, łagodny uśmiech. Wszystko to kiedyś było tak rzeczywiste. Zanim spoczęło w ziemi.

Wiem, że tu jesteś, w twoim nowym wcieleniu. Potrzebuję twojej pomocy.

Nie ma odpowiedzi, ale jest pauza. Oczekiwanie.

Amanda. Czy umrze, czy to dziecko ją zabije? Co mam zrobić?

Cisza. Toby czuje się porzucona. Czego jednak tak naprawdę oczekiwała? Magia nie istnieje, anioły też nie. To zawsze było tylko dziecinną zabawą.

Mimo to musi zapytać, nie może się powstrzymać. Prześlij mi wiadomość. Sygnał. Co zrobiłabyś na moim miejscu?

- Uważajcie - mówi głos Zeba. - Nie ruszajcie się. Spójrzcie w lewo. Powoli.

Toby odwraca głowę. O rzut kamieniem od nich jedna z olbrzymich świń przechodzi na drugą stronę ścieżki. Locha z młodymi: pięć małych prosiąt, drepczą w rzędzie jedno za drugim Matka cicho pochrząkuje, młode piszczą przenikliwie. Jakże różowe i mocno błyszczące są ich uszy,

jak krystalicznie czyste ich racice, jak...

- Oślaniam cię - mówi Zeb. Powoli podnosi karabin.
- Nie strzelaj - prosi Toby. Słyszy swój głos jakby z wielkiego oddalenia, własne usta wydają jej się wielkie i odrętwiałe. W sercu ma głęboki spokój.

Locha przystaje, odwraca się bokiem: idealny cel. Spogląda jednym okiem na Toby. Piątka młodych zbiera się w cieniu matki, pod wymionami, które też są w rzędzie, jak guziki kamizelki. Ryj lochy wykrzywia się w uśmiechu, ale tylko dlatego, że tak jest skonstruowany. Ząb błyszczący w świetle.

Mały Czarnobrody wysuwa się naprzód. W słońcu jest złocisty, jego zielone oczy jaśnieją, ręce wyciągnął przed siebie.

- Wracaj tu - mówi Zeb.
- Czekał - mówi Toby. Tak ogromna moc. Kula nie powstrzymałaby lochy, seria z miotacza ledwo by ją drasnęła. Przetoczyłaby się po nich jak czołg. Życie, życie, życie, życie, życie. Pełne do przesytu, w tej chwili. Sekundzie. Milisekundzie. Tysiącleciu. Eonie.

Locha nie rusza się z miejsca. Głowę wciąż ma podniesioną, uszy wysunęła do przodu. Wielkie uszy, dwie kalie etiopskie. Nic nie wskazuje na to, żeby miała zaatakować. Prosiaki zastygają w bezruchu, patrzą oczami jak czerwono-fioletowe jagody. Oczami koloru bzu.

Słysząc dźwięk. Skąd dochodzi? Przypomina szelest wiatru w gałęziach, dźwięk lecących jastrzębi, nie, pieśń lodowego ptaka, nie, raczej... Cholera, myśli Toby. Ale mam odlot.

To Czarnobrody. Śpiewa. Swoim cienkim chłopięcym głosem. Głosem derkaczańskim, nie ludzkim.

Po chwili locha i młode znikają. Czarnobrody z uśmiechem odwraca się

do Tuby.

- Ona tu była - mówi. Co ma na myśli?
- Kurde - klnie Shackleton. - Z żeberka nici.

A zatem, myśli Tuby. Wracaj do domu, weź prysznic, wytrzeźwiej.
Chciałaś wizji, miałaś wizję.

WEKTOR

Opowieść o tym, jak narodził się Derkacz

- Jeszcze jesteś na lekkim haju, co? - mówi Zeb, kiedy idą w stronę drzew, pod którymi niedawno wisiał hamak Jimmy'ego, a teraz czekają Derkaczanie. Zapada zmierzch, głębszy, gęstszy, bardziej wielowarstwowy niż zwykle, ćmy jaśniej świecą, wieczorne kwiaty pachną bardziej upajająco: tak działa mikstura do skróconej Pogłębionej Medytacji. Dłoń Zeba w jej dłoni jest jak szorstki aksamit, jak język kota, ciepła i miękka, delikatna i drapiąca. Czasem trzeba pół dnia, żeby ten magiczny eliksir wywietrzał z głowy.
- Nie jestem pewna, czy „haj” to właściwe określenie mistycznego, quasi-religijnego przeżycia - mówi Toby.
- A to było mistyczne przeżycie?
- Możliwe. Czarnobrody opowiada ludziom, że Pilar ukazała się w skórze świni.
- Co ty powiesz! A przecież jest wegetarianką. Jak się tam dostała?
- Według niego nałożyła skórę świni tak jak ty skórę niedźwiedzia. Tyle że ona tej świni nie zabiła ani nie zjadła.
- Marnotrawstwo.
- Poza tym, jak twierdzi, przemówiła do mnie. Mówi, że ją słyszała.
- Ty też tak sądzisz?
- Nie całkiem - mówi Toby. - Wiesz, jak to jest z Ogrodnikami. Nawiązałam kontakt z moją wewnętrzną Pilar uzewnętrznioną w widocznej postaci dzięki temu, że mikstura modyfikująca chemię mózgu dostroiła mnie do częstotliwości Wszechświata; wszechświata, w którym nic nie jest dziełem prawidłowo pojmowanego przypadku. A sam fakt, że wrażenie zmysłowe można uznać za „wywołane” spożyciem

mieszanki środków psychoaktywnych, nie czyni go złudzeniem. Drzwi otwiera się kluczami, ale czy to oznacza, że rzeczy, które widzimy po ich otwarciu, w rzeczywistości nie istnieją?

- Adam Pierwszy naprawdę namieszał ci w głowie, co? Potrafił godzinami pleść takie farmazony.
- Mogę prześledzić jego tok rozumowania, więc w tym sensie . rzeczywiście namieszał mi w głowie. W sprawach „wiary” jednak nie byłabym tego taka pewna. Choć jak sam powiedziałby, czym jest „wiara”, jeśli nie gotowością do tego, by powstrzymać się od szukania negatywów?
- Taa, jasne. Nigdy nie wiedziałem, jak bardzo w to tak naprawdę wierzył i czy wierzył na tyle, żeby włożyć za to rękę w ogień. Był z niego niezły cwaniak.
- Powiedział, że jeśli działasz w oparciu o wiarę, to jest to samo. Co posiadanie wiary.
- Chciałbym go znaleźć - mówi Zeb. - Nawet jeśli nie żyje. Mieć pewność, co się stało, w jedną czy drugą stronę.
- Kiedyś nazywało się to „zamknięciem rozdziału” - zauważa Toby. - W pewnych kulturach duch nie może zaznać wolności, dopóki zmarłemu nie wyprawi się porządnego pogrzebu.
- Dziwna rzecz rodzaj ludzki - mówi Zeb. - Prawda? No to jesteśmy. Rób swoje, Bajarko.
- Nie jestem pewna, czy dam radę. Nie dzisiaj. Jeszcze mi się trochę mąci w głowie.
- Spróbuj. Przynajmniej im się pokaż. Nie chcesz wywołać zamieszek.

Dziękuję wam za rybę.

Na razie jej nie zjem, bo najpierw mam wam coś ważnego do powiedzenia.

Wczoraj słuchałam Derkacza przez błyszczącą rzecz.

Nie śpiewajcie, proszę.

I Derkacz powiedział: Najlepiej jest gotować rybę trochę dłużej. Tak żeby była gorąca też w środku. Przed gotowaniem nie zostawiajcie jej na słońcu. Ani nie przechowujcie jej przez noc. Derkacz mówi, że wtedy ryba jest najlepsza, i Yeti-Jimmy zawsze chciał, żeby w ten właśnie sposób ją gotować. Oryks też mówi, że kiedy przychodzi czas, by jej Dzieci-Ryby zostały zjedzone, chce, żeby je jeść w najlepszej postaci. Co znaczy: równo ugotowane.

Tak, Yeti-Jimmy czuje się lepiej, choć w tej chwili śpi pod dachem, w swoim pokoju. Stopa już go bardzo nie boli. To świetnie, że tak dużo nad nią mruźliście. Na razie nie może szybko biegać, ale codziennie ćwiczy chodzenie. Ren i Modraszek mu pomagają.

Amanda nie może mu pomagać, bo jest zbyt smutna.

Na razie nie musimy mówić o tym, dlaczego jest smutna.

Dzisiaj nie opowiem wam historii, z powodu tej ryby. I tego, jak należy ją ugotować. Poza tym czuję się trochę... czuję się zmęczona. A przez to trudniej mi usłyszeć słowa opowieści, kiedy nakładam czerwoną czapkę Yeti-Jimmy'ego.

Wiem, że jesteście zawiedzeni. Ale opowiem wam historię jutro. Jaką historię chcielibyście usłyszeć?

O Zebie? I o Derkaczu?

Opowieść z nimi obydwoma. Tak, myślę, że taka historia istnieje. Chyba.

Czy Derkacz w ogóle się urodził? Tak, tak myślę. A wy co sądzą?

Cóż, nie jestem pewna. Ale urodzić się musiał, bo wyglądał jak... dawno, dawno temu wyglądał jak zwykły człowiek. Wtedy znał go Zeb. Dzięki temu obaj mogą występować w jednej opowieści. Pojawia się w niej także Pilar.

Czarnobrody? Masz coś do powiedzenia o Derkaczu?

Tak naprawdę nie wyszedł na świat z jamy kostnej, tylko przyoblekł się w skórę człowieka? Nałożył ją jak ubranie? Ale w środku był inny? Okrągły i twardy jak błyszcząca rzecz? Rozumiem.

Dziękuję ci, Czarnobrody. Mógłbyś nałożyć czerwoną czapkę Jimmy'ego-Yeti, to znaczy Yeti-Jimmy'ego, i opowiedzieć nam całą tę historię?

Nie, czapka nie robi ci nic złego. Nie zmieni cię w kogoś innego. Nie, nie wyrosnie ci dodatkowa skóra; nie obrośniesz ubraniami jak ja. Możesz zachować własną skórę.

Już dobrze. Nie musisz nakładać czerwonej czapki. Nie płacz, proszę.

- Cóż, to była porażka - mówi Toby. - Nie wiedziałam, że się jej boją... tej starej czerwonej baseballówki.

- Sam się bałem Red Soxów - mówi Zeb. - Kiedy byłem mały. Już wtedy miałem duszę hazardzisty.

- Wydaje się, że jest dla nich świętym przedmiotem. Ta czapka. Swoistym tabu. Mogą ją nosić ze sobą, ale nie na sobie.

- O rany, dziwisz im się? Przecież jest brudna! I na pewno zawszona.

- Ja tu próbuję prowadzić dyskusję antropologiczną.

- Mówiłem ci ostatnio, że masz ładny tyłek?

- Nie bądź skomplikowany - mówi Toby.

- „Skomplikowany” to inne określenie żalostnego palanta?

- Nie - mówi Toby. - Chodzi tylko o to, że... - Że co? Że nie może uwierzyć, że on mówi serio.
- No dobra, to był komplement. Pamiętasz, co to takiego? Faceci prawią je kobietom. To element rytuału zalotów, że ujmę to antropologicznie. Potraktuj to po prostu jak bukiet kwiatów. Zgoda?
- Niech ci będzie - mówi Toby.
- Zaczniemy od początku. Ten twój zgrabny tyłek wpadł mi w oko dawno temu, tego dnia, kiedy skompostowaliśmy Pilar. Po tym, jak zdjęłaś workowate łachy Ogrodniczki i przebrałaś się w kombinezon pracownika parku. Od razu poczułem ciągoty. Ale wtedy byłaś poza moim zasięgiem.
- Wcale nie. Byłam...
- Oj, tak, przynajmniej w pewnym sensie. Postrzegałem cię jako Bożą Ogrodniczkę pełną gębą, uosobienie czystości. Wierną ministrantkę Adama Pierwszego. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy z tobą sypia. Byłem zazdrosny.
- W żadnym razie - mówi Toby. - On nigdy, przenigdy...
- Wierzę ci. Tysiące nie uwierzyłyby. Zresztą wtedy i tak byłem z Lucerne.
- To cię powstrzymało? Taki magnes na laski?

Westchnienie.

- Naturalnie, ciągnęło mnie do lasek. Kiedy byłem młody. To robota hormonów, bezpośredni skutek posiadania owłosionych jaj. Cuda natury. Ale laski nie zawsze ciągnęło do mnie.
- Pauza. - Poza tym jestem wierny. Każdemu, z kim jestem, jeśli rzeczywiście z tą osobą jestem. Można mnie nazwać seryjnym

monogamistą.

Czy Toby w to wierzy? Sama nie wie.

- Ale potem Lucerne odeszła od Ogrodników - mówi.
- A ty byłaś Ewą Szóstą. Rozmawiałaś z pszczołami, rozdawałaś przydziały na mentalne eskapady. Byłaś jak matka przełożona. Uznałem, że mnie spławisz. Chruścielak Karłowaty - mówi, przywołując jej dawny nick z chatroomu MaddAddama.
- Rzadki okaz. To byłaś ty.
- A ty byłeś Niedźwiedziem-Duchem - mówi Toby. - Trudno go wytropić, ale powodzenia, jeśli się na niego natkniesz. Tak głośiły opowieści, zanim te niedźwiedzie wyginęły. - Zaczyna siąkać nosem. Kolejny skutek uboczny mikstury do Medytacji: rozpuszcza ściany fortecy.
- Hej. Co? Powiedziałem coś złego?
- Nie - mówi Toby. - Jestem sentymentalna, to wszystko. Przez te wszystkie lata byłeś mi kołem ratunkowym, chce powiedzieć. Ale tego nie robi.

Młody Derkacz

- Teraz muszę coś wymyślić - mówi Toby. - Opowieść, w której występujecie Derkacz i ty. Derkacz znał Pilar, kiedy był młodszy, tyle się domyśliłam. Ale co ja powiem o tobie?

- Tak się składa, że akurat w tej sprawie nie musisz kłaniać - odpowiada Zeb. - Znałem go, jeszcze zanim powstał Ogrodnicy. Tyle że nie był wtedy Derkaczem, w żadnym razie. Był tylko porąbanym dzieciakiem imieniem Glenn.

Kiedy Zeb dostał się do ZdrowoTechu Zachód, poznał tamtejsze memy i naśladował je najlepiej, jak potrafił. Okazywanie odpowiednich memów było brukowaną żółtą kostką drogą do wtopienia się w otoczenie, a tym samym przetrwania; wtedy mógł mieć bowiem nadzieję, że nie spocznie na nim wielkie potworne oko Wielebnego, które być może już szukało go za pośrednictwem rozległej siatki Korpusu. Ubarwienie ochronne, oto czego potrzebował.

ZdrowoTech Zachód oficjalnie prezentował się jako jedna wielka szczęśliwa rodzina, oddana poszukiwaniu prawdy i doskonaleniu ludzkości. Przesadne skupianie się na materialnych korzyściach dla udziałowców uchodziło za niesmaczne, jednak pracowników premiowano opcjami na akcje spółki. Od wszystkich oczekiwano, by stale tryskali optymizmem, sumiennie osiągalni wyznaczone cele i - jak w prawdziwych rodzinach - nie zadawali za dużo pytań o to, co się naprawdę dzieje.

Poza tym, także jak w prawdziwych rodzinach, istniały obszary zakazane. Niektóre konceptualne, inne jednak czysto fizyczne. Jednym z nich była plebsopolia poza obrębem murów Kompleksu ZdrowoTechu, chyba że miałeś przepustkę i ochronę. Zapory sieciowe strzegące własności intelektualnej stały się grube i niekiedy nie do pokonania przy braku bezpośredniego dojścia; dlatego kto nie mógł się włamać do systemu, sięgał po pierwotny materiał źródłowy. Mózgowcy z wszelkiego rodzaju

Korporacji byli uprowadzani i potajemnie wywożeni za granicę bądź - krążyły słuchy - do Kompleksów konkurencji, gdzie ryto im w głowach w poszukiwaniu złota i klejnotów, które spodziewano się tam znaleźć.

Budziło to poważne obawy w ZdrowoTechu Zachód - co oznaczało, że za zamkniętymi drzwiami działały się dość ważne sprawy - dlatego wprowadzono stosowne zabezpieczenia. Czołowi specje od biologii nosili pagery alarmowe, które na bieżąco rejestrowały ich miejsce pobytu, choć urządzenia te czasem były wprawnie hakowane, a następnie wykorzystywane do namierzenia właściciela. Tu i ówdzie, na ścianach korytarzy i sal zebrań, plakaty przypominały nieostrożnym o wszechobecnym zagrożeniach. **PRZESTRZEGAJ ZASAD BEZPIECZEŃSTWA, A NIE STRACISZ GŁOWY! ANI JEJ ZAWARTOŚCI!**

Albo: **TWOJA PAMIĘĆ TO NASZA WŁASNOŚĆ INTELEKTUALNA, WIĘC BĘDZIEMY JĄ CHRONIĆ ZA CIEBIE!**

Tudzież: **MÓZG JEST JAK POLE: IM LEPIEJ UŻYŹNIONY, TYM WIĘCEJ WART.** Na tym ostatnim plakacie ktoś napisał markerem: „Użyźnij swój mózg! Jedz więcej gówna!”. A zatem, pomyślał Zeb, wśród tych uśmiechniętych buź skrywają się ogniska sprzeciwu. Dobrze i to.

W ramach pozwania na szczęśliwą rodzinę ZdrowoTech Zachód co czwartek organizował grilla na centralnym skwerze Kompleksu. Adam powiedział Zebowi, żeby tych imprez nie opuszczał, bo były doskonałą okazją do tego, by to i owo podsłuchać i sprawdzić, gdzie zbiegają się niewidzialne nitki władzy. Uczestnicy najbardziej swobodnie ubrani najprawdopodobniej byli samcami alfa. Adam dodał, że niektóre z dostępnych tam rozrywek, zwłaszcza gry planszowe, powinny Zeba zainteresować, choć nie wyjaśnił dlaczego.

W pierwszy czwartek po przybyciu Zeb stawił się zatem na grillu ZdrowoTechu Zachód. Skosztował wyżerkę: lody MniamMniam dla dzieci, żeberka wieprzowe dla mięsożerców, produkty SojaMoja i hamburgery z mykoproteiny dla wegan. BezKrwawe Szisz-K-Babki dla tych, którzy chcieli jeść mięso i nie mieć na sumieniu zwierząt - z

mięsnymi kostkami hodowanymi w laboratorium z komórek („Żadne Stworzenie Nie Ucierpiało”); domyślał się, że podlane odpowiednio dużą ilością piwa mogły być zjadliwe. Zamierzał jednak ograniczyć picie, bo musiał zachować czujność, pozostał więc przy żeberkach. Były całkiem smaczne nawet na trzeźwo.

Na obrzeżach tłumu trwały różne zawody dla mózgowców. Krokiet i bocce w słońcu, ping-pong i piłkarzyki pod markizami. Zabawy w kółku dla dzieci do sześciu lat, różne formy berka dla starszych. A na poważnych, superinteligentnych i potencjalnie dotkniętych aspergerem młodych geniuszy czekał rząd ocienionych parasolami komputerów, na których mogli oddawać się obsesyjno-kompulsywnym praktykom w sieci - w obrębie zapór sieciowych ZdrowoTechu, oczywiście - i wyzywać się na pojedynki bez nawiązywania kontaktu wzrokowego.

Zeb obejrzał gry: Trójwymiarowe Waco, Pasożyty Jelitowe, Walka z Żywiołami, Krew i Róże. I Atak Barbarzyńców, coś nowego.

Nadciągnęła Marjorie o oczach spaniela i skierowała się prosto do niego, zbrojna w błagalny uśmiech podkreślony plamą keczupu na brodzie. Pora się kryć: wyglądała na kobietę, która już upatrzyła sobie ofiarę i nie zawahałaby się przed tym, by przetrząsnąć kieszenie spodni śpiącego kochanka w poszukiwaniu rywalek, a nawet zapewne przeczytać jego maile. Chociaż może popadał w paranoję. Ale lepiej nie ryzykować.

- Zagramy partyjkę? - powiedział do najbliższego młodego mózgowca, chudego chłopaka w ciemnej koszulce, obok którego na papierowym talerzu leżał stos ogryzionych żeberek wieprzowych. Czy to kubek kawy? Od kiedy dzieciakom w tym wieku wolno było pić kawę? Gdzie się podzieli jego rodzice?

Chłopak spojrzał na niego dużymi zielonymi, mętными, ale i chyba drwiącymi oczami. Wyglądało na to, że na tych grillach nawet dzieci nosiły plakietki z imieniem: Glenn, przeczytał Zeb.

- Jasne - powiedział młody Glenn. - W tradycyjne szachy?

- A są inne? - spytał Zeb.
- Trójwymiarowe - powiedział Glenn obojętnym tonem. Skoro Zeb tego nie wiedział, nie mógł być wybitnym szachistą. Jasne jak słońce.

I tak Zeb poznał Derkacza.

- Jak już jednak wspomniałem, wtedy jeszcze nie był Derkaczem - mówi Zeb. - Był tylko dzieckiem. Niewiele złego go jeszcze w życiu spotkało, choć „niewiele” to zawsze kwestia gustu.
- Naprawdę? - pyta Toby. - Aż tak dawno temu?
- Okłamałbym cię? - mówi Zeb.

Toby się zastanawia.

- Nie w tej sprawie - stwierdza.

Zeb wielkodusznie, a zarazem protekcyjnie pozwolił Glennowi grać białymi i dostał łupnia, chociaż dzielnie walczył, potem przerwali się na Trójwymiarowe Waco i tym razem Zeb pokonał Glenna, który od razu zażądał rewanżu. Ten zakończył się remisem. Glenn spojrzał na Zeba z odrobinę większym szacunkiem i zapytał, skąd jest.

Zeb powiedział wtedy parę kłamstw, ale były to kłamstwa zajmujące: wplótł do opowieści Pannę Zmyłkę i Pływający Świat, a także kilka niedźwiedzi z czasów Misiolotu, choć zmienił nazwę firmy, miejsce akcji i nie wspomniał o martwym Chucku. Glenn nigdy nie był poza Kompleksem, a jeśli nawet, to tego nie pamiętał, więc te historie musiały nabrać dla niego mitycznego wymiaru. Choć ostentacyjnie okazywał brak zainteresowania.

W każdym razie Glenn zaczął materializować się w pobliżu Zeba na czwartkowych grillach i kręcić się koło niego codziennie w porze lunchu. Nie był to kult bohatera, nie całkiem; nie chodziło też o to, by Zeb zastąpił mu ojca. Jeśli już, to starszego brata, uznał Zeb. W ZdrowoTechu

Zachód Glenn nie miał wielu rówieśników, z którymi mógł pograć. Przynajmniej nie tak bystrych jak on sam. Zeb zaś może nie spełniał wymogów Glenna odnośnie do poziomu intelektualnego, ale mieścił się w granicach przyzwoitości. Chociaż przebieg każdego ich spotkania miał w sobie coś z audencji: Glenn w roli następcy tronu, Zeb jako cokolwiek tępy dworzanin.

Ile właściwie Glenn miał lat? Osiem, dziewięć, dziesięć? Zebowi trudno to było poznać, bo nie chciał pamiętać, jak wyglądało jego własne życie, kiedy miał osiem, dziewięć, dziesięć lat. Za dużo czasu spędzał wtedy w mroku, dosłownie i w przenośni. Chciał, by to wszystko odeszło w zapomnienie, i usilnie się starał to zapomnieć. Pomimo tego, ile razy widział chłopca w tym wieku, w pierwszej chwili miał ochotę krzyknąć: „Uciekaj!

Uciekaj, ile sił w nogach!”. I: „Urośnij większy! Urośnij bardzo duży! Jeśli urośniesz bardzo duży, ten, kto ma nad tobą władzę, straci ją”. A przynajmniej jej sporą część. Choć wielorybów to nie uratowało, zreflektował się. Ani tygrysów. Ani słońi.

W życiu młodego Glenna musiał być ktoś taki, a może coś takiego: coś, co go dręczyło. Widać to było w jego oczach, tę samą nieufność, ostrożność, którą Zeb czasem zauważał u siebie, kiedy przypadkiem zerkał w lustro: jakby czekał, który krzak, parking czy mebel nagle się rozstąpi, ukazując czyhającego wroga lub bezdenną otchłań. Chociaż Glenn nie miał blizn, siniaków ani kłopotów z apetytem, przynajmniej Zeb niczego takiego nie dostrzegł; czym więc była ta dręcząca go obecność? Może niczym konkretnym. Raczej brakiem czegoś, próżnią.

Po kilku czwartkach i uważnej obserwacji Zeb doszedł do wniosku, że rodzice Glenna nie poświęcają synowi za dużo czasu. Sobie nawzajem też nie; sądząc z mowy ciała, wyszli już poza irytację czy nawet sporadyczną niechęć i osiągnęli stadium czynnej nienawiści. Spotykając się w miejscach publicznych, poprzestawali na wymianie lodowatych spojrzeń i monosylab, po czym pospiesznie się rozchodzili. Za ich zaciągniętymi zasłonami gotował się istny garniec wściekłości; ten kipiący kocioł

zaprzętała całą ich uwagę, Glenn był tylko przypisem, a w najlepszym razie kartą przetargową. Może chłopaka ciągnęło do Zeba z tego samego powodu, dla którego dzieci lubią dinozaury: kiedy czujesz się porzucony w świecie pełnym sił, nad którymi nie panujesz, krzepiąco jest mieć za przyjaciela wielką bestię pokrytą łuskami.

Matka Glenna pracowała w dziale zaopatrzenia, pilnowała zapasów i opracowywała jadłospisy. Tata Glenna był względnie wysokiej rangi badaczem - ekspertem od niezwykłych drobnoustrojów, zwichrowanych wirusów, dziwnych antygenów i nietypowych odmian biowektorów anafilaksji. Do jego specjalności należały Ebola i choroba marburska, w tamtym czasie jednak pracował nad rzadką reakcją alergiczną na czerwone mięso, związaną z ukąszeniami kleszczy. Wywoływał ją pewien czynnik zawarty w białkach śliny kleszcza, wyjaśnił Glenn.

- Czyli - powiedział Zeb - kleszcz wpuszcza w ciebie ślinę i potem, jedząc stek, dostajesz pokrzywki i dusisz się na śmierć?
- Plus jest taki... - zaczął Glenn. To był jego ówczesny nawyk: mówił „plus jest taki”, po czym snuł jakąś makabryczną dygresję. - Plus jest taki, że gdyby roznieść je po całej populacji... te białka ze śliny kleszczy, wprowadzone do, powiedzmy, zwykłej aspiryny... wszyscy staliby się uczuleni na czerwone mięso, które pozostawia ogromny ślad węglowy i powoduje niszczenie lasów przez to, że karczuje się je pod pastwiska dla bydła; a wtedy...
- To ma być plus? - wtrącił Zeb. - Kontrargument: jesteśmy myśliwymi i zbieraczami, w toku ewolucji przestawiliśmy się na mięsną dietę.
- I wykształciliśmy śmiertelną alergię na ślinę kleszcza - odparował Glenn.
- Tylko ci z nas, którym przeznaczona jest eliminacja z puli genowej - powiedział Zeb. - Dlatego to tak rzadkie uczulenie.

Glenn uśmiechnął się szeroko, co nie zdarzało mu się często.

- Też prawda - powiedział.

W czasie tych czwartkowych imprez, kiedy Zeb i Glenn grali na komputerze, matka Glenna, Rhoda, czasem przychodziła popatrzeć i pochylała się trochę za nisko nad ramieniem Zeba, bywało nawet, że dotykała go... czym? Czubkiem cycka? Takie miał wrażenie: wyczuwał guziczekowaty kształt. Na pewno nie palec. Jej oddech, pachnący piwem, owiewał włoski koło jego ucha. Glenna jednak nigdy nie dotykała. Prawdę mówiąc, nie dotykał go nikt. W jakiś sposób tak to urządził: ustanowił dookoła siebie niewidzialną strefę zakazu lotów.

- Ależ, chłopcy - mawiała Rhoda. - Powinniście się trochę poruszać. Zagrać w krokieta. - Glenn nie reagował na te matczyne interwencje, Zeb też nie: matka Glenna, choć bynajmniej nie stara i zgrzybiała, jak dla niego była już przeterminowana, chociaż gdyby dryfowali we dwoje na tratwie ratunkowej... Ale tak nie było, więc ignorował trącanie sutkiem, sugestywne dmuchanie w ucho i skupiał się na stronie Krwi w Krwi i Różach: wyrzynał w pień starożytnych Kartagińczyków, posypywał ziemię solą, zniewalał Kongo Belgijskie, mordował pierworodne dzieci egipskie.

Chociaż dlaczego poprzestać na pierworodnych? Niektóre okropności występujące w wirtualnej Krwi i Różach nakazywały rzucać małe dzieci w powietrze i nabijać je na miecze; inne - palić je w piecach; jeszcze inne - rozwalać im głowy o kamienne mury.

- Oddam ci tysiąc dzieci za pałac w Wersalu i pomnik Lincolna - powiedział do Glenna.

- Odpada - powiedział Glenn. - Chyba że dorzucisz Hiroszimę.

- Oburzające! Chcesz, żeby te dzieci umarły w mękach?

- To nie są prawdziwe dzieci. To jest gra. One umrą, a imperium Inków ocaleje. Razem ze wszystkimi tymi fajowymi wyrobami ze złota.

- No, to możesz się z dziećmi pożegnać - powiedział Zeb.

- Bezduszny z ciebie gnojek, co? Piaf. Proszę. I po nich. À propos, wykorzystuję moje Punkty Jokera, żeby wysadzić pomnik Lincolna w powietrze.

- I co z tego? - powiedział Glenn. - Mam jeszcze pałac w Wersalu, no i Inków. Poza tym dzieci i tak jest za dużo. Zostawiają ogromny ślad węglowy.

- Okropni jesteście - skwitowała Rhoda, drapiąc się. Zeb słyszał, jak jej paznokcie pracują za jego plecami, dźwięk jakby kocich pazurów na filcu. Zastanowił się, po czym się drapie, i natychmiast podjął starania, żeby przestać o tym myśleć. Glenn i bez tego miał dość kłopotów, jeszcze tego mu brakowało, żeby jego jedyny solidny przyjaciel kleił z jego niesolidną matką zwierza o dwu grzbietach.

Ani się Zeb spostrzegł, a już udzielał młodemu Glennowi korepetycji z programowania, co oznaczało - praktycznie rzecz biorąc - że uczył go hackerskiego rzemiosła. Młody był do tego stworzony, w lot wszystko chwycił, no i Zeb wreszcie zdołał mu zaimponować tym, że umiał coś, co jemu dotąd było obce. Jak silna była pokusa, żeby oszlifować i wygładzić ten diament, powierzyć mu klucze do królestwa - wszystkie Sezamie, Otwórz Się, tylne wejścia, skróty? Bardzo silna. Zeb więc to zrobił. Miał dużą frajdę, kiedy patrzył, jak chłopak chłonie wiedzę, a kto mógł przewidzieć tego konsekwencje? Tak to zwykle bywa, gdy człowiek ma z czegoś frajdę.

W zamian za powierzone mu tajemnice programowania i ha-kowania Glenn zdradził kilka swoich sekretów. Na przykład, że zamontował w lampce nocnej matki minisłuchawkę douszną; stąd Zeb dowiedział się, że Rhoda sypia na boku z menedżerem wyższego szczebla imieniem Pete, zwykle tuż przed lunchem.

- Tata nie wie - powiedział Glenn. Chwilę pomyślał, wpatrując się w Zeba swoimi niezwykłymi zielonymi oczami. - Myślisz, że powinienem mu powiedzieć?

- Może lepiej tego nie podsłuchuj - stwierdził Zeb.

Glenn posłał mu chłodne spojrzenie.

- Dlaczego?

- Bo to tylko dla dorosłych - powiedział Zeb tonem, który jemu samemu wydał się świętoszkowaty.

- Postąpiłbyś tak samo, kiedy byłeś w moim wieku - stwierdził Glenn i Zeb nie mógł zaprzeczyć, że zrobiłby tak bez najmniejszego wahania, gdyby miał okazję i odpowiedni sprzęt. Z zapalem, triumfalnie, bez namysłu.

Może tylko nie w sytuacji, gdyby w grę wchodził jego własni rodzice. Nawet teraz nie jest w stanie myśleć o zasapanym Wielebnym podrygującym na Trudy - zapewne śliskiej od perfumowanej emulsji i żelu nawilżającego, przypominającej wypchaną różową atlasową poduszkę - nie czując przy tym mdłości.

Atak Groba

- Teraz przechodzimy do tego, jak poznałem Pilar - mówi Zeb.
- Co, u licha, robiła Pilar w ZdrowoTechu Zachód? - pyta Toby. - Pracowała dla Korporacji, w Kompleksie?

Znała jednak odpowiedź. Wielu Ogrodników zaczynało w Kompleksach Korporacji, wielu MaddAddamowców też. Gdzie indziej miał pracować specjalista od nauk biologicznych? Jeśli chciałeś prowadzić badania, musiałeś zatrudnić się w Korporacji, bo tylko tam były niezbędne pieniądze. Tyle że wtedy skupiałeś się, rzecz jasna, na przedsięwzięciach, które interesowały twoich szefów, nie ciebie. A interesujące ich przedsięwzięcia musiały mieć potencjał komercyjny.

Zeb poznał Pilar na jednym z czwartkowych grillów. Przedtem jej tam nie widział. Część starszych pracowników nie przychodziła na cotygodniowe uczyty żeberkowe: te były dla młodszych ludzi, którzy szukali - albo i nie - przygód miłosnych, chcieli poplotkować lub zdobyć jakieś informacje, a Pilar ten etap miała dawno za sobą. Jak Zeb dowiedział się później, stała bardzo wysoko w hierarchii.

W ten czwartek jednak przyszła. Zrazu Zeb zobaczył tylko drobną siwiejącą starszą brunetkę grającą na uboczu z Glennem w szachy. Dziwną tworzyli parę - podstarzała dama, zarozumiały dzieciak - a dziwne pary go intrygowały.

Podszedł niedbałym krokiem i zajrzał Glennowi przez ramię. Przez pewien czas przyglądał się partii, powstrzymując się od komentarzy. Żadna ze stron nie uzyskała wyraźnej przewagi. Starsza pani grała względnie szybko, choć bez śladu nerwowości, Glenn zaś starannie rozważał każde posunięcie. Zmuszała go do wysiłku.

- Hetman na h5 - odpowiedział wreszcie Zeb. Glenn tym razem grał czarnymi. Zeb był ciekaw, czy wybrał je przez nadmierną pewność siebie, czy przegrał losowanie.

- Nie sędzę - powiedział Glenn, nie podnosząc głowy, i wykonał ruch skoczkiem, żeby zapobiec, co Zeb dopiero teraz zauważył, potencjalnemu szachowi. Starsza kobieta spojrzała na Zeba, marszcząc oczy i śniadą twarz w uśmiechu leśnego gнома, który mógł oznaczać wszystko od „Lubię cię” po „Strzeż się”.

- Przedstawisz mnie twojemu koledze? - powiedziała do Glenna.

Glenn spojrzał na Zeba ze zmarszczonym czołem, co znaczyło, że nie był pewien wyniku partii.

- To Set - powiedział. - To Pilar. Twój ruch.

- Cześć. - Zeb kiwnął głową.

- Miło mi - powiedziała Pilar. - Dobra obrona - pochwaliła Glenna.

- Do zobaczenia później - powiedział Zeb do Glenna. Poszedł zjeść kilka BezKrwawych Szysz-K-Babek, które polubił mimo ich sztucznej konsystencji, a na deser wziął rożek lodów MniamMniam o niby-malinowym smaku.

Ssąc lody, rozejrzał się po skwerze i ocenił wszystkie kobiety w zasięgu wzroku. Taka nieszkodliwa rozrywka. Przyjął skalę od jednego do dziesięciu. Nie było ani jednej dziesiątki (Tu i Teraz!), ale wypatrzył parę ósemek (Z Drobnymi Zastrzeżeniami), stadko piątek (Z Braku Laku), kilka mocnych trójek (Jakbyście Mi Zapłacili) i jedną nieszczęsną dwójkę (Jakbyście Zapłacili Dużo!) - gdy nagle poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia.

- Nie okazuj zaskoczenia, Set - powiedział cichy głos. Spojrzał w dół: to była drobna Pilar o twarzy jak orzech włoski. Czyżby go podrywała? Nie, niemożliwe, ale gdyby jednak, byłaby to dość delikatna sytuacja: jak tu uprzejmie odmówić?

- Masz rozwiązane sznurowadła - powiedziała.

Zrobił wielkie oczy. Miał buty bez sznurowadeł. Wsuwane.

- Witaj w MaddAddamie, Zeb - dodała z uśmiechem.

Zeb wykrztusił kawałek różka MniamMniam.

- Kurwa! - powiedział, ale zachował dość przytomności umysłu, żeby zniżyć głos. Adam i jego idiotyczne hasło „sznurowadła”. Kto by to pamiętał?

- Wszystko w porządku - powiedziała Pilar. - Znam twojego brata. Pomogłam cię tu sprowadzić. Zrób znudzoną minę, jakbyśmy toczyli towarzyską pogawędkę. - Znów się do niego uśmiechnęła. - Do zobaczenia na grillu w przyszły czwartek. Powinniśmy się umówić na partyjkę szachów. - Po czym oddaliła się lekkim krokiem w stronę grających w krokieta. Miała doskonałą posturę: Zeb domyślił się, że uprawiała jogę. Widząc kogoś, kto się tak świetnie trzymał, czuł się jak ostatnia łajza.

Pragnął wejść do sieci, skoczyć zygzakami do chatroomu MaddAddamowego Wymaratonu i spytać Adama o tę kobietę, wiedział jednak, że to nie byłoby rozsądne. Im mniej powiedziane w Internecie, tym lepiej, nawet jeśli korzystasz z miejsc, które uważasz za bezpieczne. Sieć zawsze była, jak sama nazwa wskazuje, tylko siecią - pełną dziur, w sam raz, żeby złapać cię w pułapkę; i ten stan rzeczy się nie zmienił, mimo rzekomo stale dodawanych poprawek, nieprzeniknionych algorytmów, haseł i czytników kciuka.

Czego innego jednak się spodziewać? Dopóki kluczami bezpieczeństwa zajmowali się tacy prości wyrobnicy jak on, oczywiście, że musiało dochodzić do przecieków. Za mało zarabiali, więc pokusa, by podkraść, węszyć, kapować i sprzedawać z dużym zyskiem, była wielka. Kary za to jednak były coraz ostrzejsze, jakby dla przeciwwagi. Złodzieje internetowi, jak ci, z którymi współpracował w Rio, działali bardziej profesjonalnie niż kiedyś. Już tylko nieliczni oddawali się hakerstwu dla zabawy albo po to, żeby wyrazić protest, jak to było w legendarnych

złotych czasach, które podstarzali faceci w staromodnych maskach Anonimowych rzewnie wspominali w mrocznych, obrośniętych pajęczynami, nieistotnych zakątkach sieci.

Bo i co dałoby protestowanie? Korporacje dążyły do ustanowienia własnych prywatnych służb bezpieczeństwa i przejęcia kontroli nad artylerią; nie było miesiąca, żeby nie przeforsowały nowych przepisów dotyczących broni, rzekomo w trosce o bezpieczeństwo obywateli. Dawne formy wyrażania sprzeciwu, manifestacje i tym podobne odeszły w niepamięć. Można było podstępnie dobrać się do skóry jednostkom pokroju Wielebnego, ale wszelkie akcje publiczne z udziałem tłumów wymachujących transparentami, a potem rozbijających witryny, zostałyby stłumione w zarodku. Wszyscy byli tego coraz bardziej świadomi.

Dokończył rożek MniamMniam, spławił perkatonosą Marjorie, która chciała, żeby przyłączył się do partii krokiet, i zrobiła urażoną minę, kiedy powiedział, że na drewnianych kulach to on się może podeprzeć, nie nimi grać, po czym powędrował do Glenna, który wciąż siedział wpatrzony w szachownicę. Ustawił bierki na nowo i grał sam ze sobą.

- Kto wygrał? - spytał Zeb.

- Prawie ja - powiedział Glenn. - Zastosowała atak Groba. Zaskoczyła mnie.

- Czym ona właściwie się zajmuje? - spytał Zeb. - Kieruje badaniami nad czymś?

Glenn się uśmiechnął. Lubił wiedzieć więcej od Zeba.

- Grzybami. Pleśnią. Chcesz ze mną zagrać?

- Jutro - powiedział Zeb. - Przejadłem się, ciężko mi się myśli.

Glenn posłał mu szeroki uśmiech.

- Tchórz - powiedział.
- Może po prostu leń. Skąd ją znasz? - spytał Zeb.

Glenn patrzył na niego nieco za długo, nieco zbyt uważnie: zielone kocie oczy.

- Już mówiłem. Pracuje z moim tatą. Są w jednym zespole. W każdym razie ona należy do klubu szachowego. Grywam z nią od czasu, kiedy miałem pięć lat. Nie jest szczególnie głupia.

Co było bodaj najwyższą pochwałą, jaka mogła mu przejść przez usta.

Wektor

Na następnym czwartkowym grillu Glenna nie było. Nie pokazywał się od paru dni. Nie wałęsał się po stołówce, nie prosił Zeba, żeby nauczył go jeszcze kilku hakerskich sztuczek. Stał się niewidzialny.

Zachorował? Uciekł? Tylko te dwie możliwości przychodziły Zebowi do głowy, ucieczkę jednak wykluczył: chłopak z pewnością był na to za mały, poza tym za trudno było wydostać się ze ZdrowoTechu Zachód bez przepustki. Chociaż dzięki swoim nowo zdobytym umiejętnościom robinhoodowym Glenn pewnie mógłby ją podrobić.

Była jeszcze jedna możliwość: małego mądralę poniosła fantazja. Włamał się do jakiejś świętej nietykalnej bazy danych Korporacji, coś buchnął, dla zgrywy, bo przecież na pewno nie prowadził brudnych interesów z chińską szarą strefą czy kimś gorszym - choćby z Albańczykami, którzy w owym czasie brylowali w branży - no i wpadł. A w takim razie siedział teraz w jakimś pokoju przesłuchań, gdzie robili mu drenaż mózgu. Bywało, że po takich sesjach człowiek miał na północ od oczu tylko starą wyżętą ścierkę. Czy zrobiliby coś takiego dziecku? Tak. Pewnie, że tak.

Miał szczerą nadzieję, że jednak nie; wtedy sumienie nie dałoby mu spokoju, bo to oznaczałoby, że był złym nauczycielem.

„Zasada numer jeden”, mówił z naciskiem. „Nie dać się złapać”. Czasem jednak łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Czy zbyt niedbale potraktował subtelności programowania? Czy pokazał chłopakowi nieaktualną drogę na skrót? Czy przeoczył kilka nakazów objazdu, jakieś ślady wskazujące, że nie tylko on i Glenn szli przez tę dżunglę kłusowniczym szlakiem, który, jak sądził, sam wytyczył?

Choć mocno zaniepokojony, Zeb nie chciał pytać o Glenna jego nauczycieli ani nawet zaniedbujących go, nazbyt pobłażliwych rodziców. Musiał trzymać się w cieniu, nie mógł ścierać na siebie uwagi.

Jeszcze raz rozejrzał się po tłumie uczestników grillu. Wciąż ani śladu

Glenna. Była za to Pilar, na uboczu, pod drzewem. Siedziała przy szachownicy i zdawała się ją studiować. Zeb ruszył do niej właściwym sobie niedbałym, niespiesznym krokiem. Miał nadzieję, że nie wyróżnia się z otoczenia.

- Zagramy? - zagał.

Pilar poderwała wzrok.

- Chętnie - powiedziała z uśmiechem. Zeb usiadł.

- Wylosujmy, kto gra białymi - powiedziała Pilar.

- Wolę czarne - stwierdził Zeb.

- Słyszałam - powiedziała Pilar. - Niech będzie.

Rozpoczęła standardowo, pionkiem królowej, a Zeb w odpowiedzi wybrał obronę hetmańsko-indyjską.

- Gdzie Glenn? - spytał.

- Nie jest dobrze - odpowiedziała. - Skup się na grze. Ojciec Glenna nie żyje. Glenn, co zrozumiałe, jest wstrząśnięty. Korpusowcy powiedzieli mu, że to było samobójstwo.

- Nie mów - powiedział Zeb. - Kiedy to się stało?

- Przedwczoraj - odparła Pilar, przesuając skoczka z b1. Zeb wykonał ruch gońcem, wiążąc jej skoczka. To utrudni jej opanowanie środka pola.

- Ważne jednak jest nie kiedy, tylko jak. Został zrzucony z estakady.

- Przez żonę? - spytał Zeb, wspominając cycek Rhody przyciśnięty do jego pleców i minisłuchawkę douszną w jej lampce. Powiedział to półżartem; powinien się za siebie wstydzić. Takie teksty czasem wyskakiwały mu z ust jak popcorn. Tylko że pytanie było najzupełniej poważne: tata Glenna mógł się dowiedzieć o przedlunchowych

igraszkach Rhody, może poszli na spacer, żeby o tym porozmawiać, poza obręb murów ZdrowoTechu, gdzie nikt im nie będzie przeszkadzał, i postanowili przejść się estakadą, by mieć widok na nadjeżdżające pojazdy, po czym może się pokłócili i matka Glenna przerzuciła męża przez barierkę, ruch, przeciwko któremu nie był się w stanie obronić...

Pilar patrzyła na niego. Ani chybi czekała, aż Zeb puknie się w łeb.

- No dobra, wycofuję pytanie - powiedział. - Nie ona go zabiła.
- Dowiedział się o czymś, co robią w ZdrowoTechu - wyjaśniła Pilar. - Uznał, że to praktyka nie tylko nieetyczna, ale i niebezpieczna dla zdrowia publicznego, a tym samym niemoralna. Zagroził, że upubliczni swoją wiedzę; to znaczy może „upubliczni” to złe słowo, bo prasa raczej by tego nie tknęła. Gdyby jednak poszedł z tym do konkurencyjnej Korporacji, zwłaszcza zagranicznej, ci mogliby wykorzystać te informacje ze szkodą dla ZdrowoTechu.
- Był w twoim zespole badawczym, prawda? - powiedział Zeb. Usiłował uważnie jej słuchać, przez co partia wymykała mu się spod kontroli.
- Współpracował z nami. - Pilar zbita jego pionka. - Byłam jego powiernikiem. Teraz ty jesteś moim.
- Dlaczego?
- Przenoszą mnie - powiedziała. - Do centrali ZdrowoTechu, na wschód. Przynajmniej mam nadzieję, że tam trafię, choć kto wie, czy nie będzie gorzej. Może sądzą, że brak mi entuzjazmu albo że jestem niepewnym elementem. Będziesz musiał stąd odejść. Po przeniesieniu nie będę mogła cię chronić. Zbij skoczkiem mojego gońca.
- To zły ruch - zauważył Zeb. - Otwiera drogę twojemu...
- Zbij go i już - powiedziała spokojnie. - Potem go zatrzymaj. Mam drugiego, podłożę go do pudełka. Nikt nie pozna, że jeden ubył.

Zeb ukrył gońca w dłoni. Nauczył się tego w Pływającym Świecie od Maestro Slaighta. Wprawnie wsunął go do rękawa.

- Co mam z nim zrobić? - powiedział. Bez Pilar będzie sam jak palec.
- Dostarczysz go komuś - odparła. - Podrobię ci przepustkę i przygotuję przykrywkę: będą chcieli wiedzieć, czego szukasz w plebsopolii. Na zewnątrz Kompleksu ZdrowoTech Zachód czekać będzie na ciebie nowa tożsamość. Weź gońca ze sobą. Jest taka sieć seksklubów o nazwie Łuski i Ogony, możesz to sprawdzić na necie. Idź do najbliższego z nich. Hasło brzmi „oleisty”. Wpuszczą cię. Tam zostawisz gońca. To pojemnik, będą wiedzieli, jak go otworzyć.
- Komu mam go dostarczyć? - powiedział Zeb. - Co w nim właściwie jest? Kim są „oni”?
- Wektory - odparła Pilar.
- W jakim sensie? - spytał Zeb. - To znaczy wektory matematyczne?
- Powiedzmy, biologiczne. Wektory bioform. A wektory te umieszczone są wewnątrz innych wektorów, które wyglądają jak tabletki witaminowe: białe, czerwone i czarne. Tabletki z kolei są w jeszcze innym wektorze, gońcu szachowym. Którego przeniesie kolejny wektor, czyli ty.
- Co takiego jest w tych tabletkach? - spytał Zeb. - Kolorowy zawrót głowy? Czipy z kodami?
- Nic z tych rzeczy. Lepiej nie pytaj - powiedziała Pilar. - I pod żadnym pozorem ich nie połknij. Gdybyś miał wrażenie, że jesteś śledzony, wyrzuć gońca do kanału.
- Co z Glennem? - spytał Zeb.
- Szach i mat - powiedziała Pilar i przewróciła jego króla. Wstała z uśmiechem. - Glenn sobie poradzi - powiedziała. - Nie wie, że zabili mu ojca. Jeszcze nie. Przynajmniej nie bezpośrednio. Ale jest bardzo bystry.

- Czyli sądzisz, że do tego dojdzie - stwierdził Zeb.
- Oby nie za szybko - powiedziała Pilar. - Za młody jest na tego rodzaju złe wieści. Nie wiadomo, czy potrafiłby udawać niewiedzę jak ty.
- Moja jest w pewnym stopniu autentyczna - zauważył Zeb.
- Na przykład gdzie mam zmienić tożsamość? I skąd wezmę przepustkę?
- Wejdź do chatroomu MaddAddama, tam czeka na ciebie pełny pakiet. Potem zamknij przejście, z którego teraz korzystasz. Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby zostawić swoje ślady na tych komputerach.
- Czy będę musiał zmienić zarost? - spytał Zeb, żeby rozładować atmosferę. - No wiesz, w związku z nową tożsamością? I sprawić sobie niemodne spodnie?

Pilar uśmiechnęła się.

- Do tej chwili miałam wyłączony pager - powiedziała.
- W dniu grilla wolno nam tak robić, pod warunkiem że jesteśmy na widoku. Teraz go wyłączam. Będą nas słyszeli, więc nie mów nic, co ma pozostać przed nimi ukryte. Szerokiej drogi.

Łuski i Ogony

Zeb wyjął swój pendrive z szuflady biurka, w której go schował, odkleił pastylki na kaszel, które przyłgnęły do niego jak pąkle, odpalił Pasożyty Jelitowe na swoim komputerze, po czym wślizgnął się w żarłoczną paszczę koszarnej ślepej glisty, a stamtąd po liściach lilii dostał się do chatroomu MaddAddama. Rzeczywiście, czekał na niego pakiet z instrukcjami, chociaż bez słowa o tym, kto go tam zostawił. Otworzył go, przyswoił zawartość i wrócił do punktu wyjścia, błyskawicznie zacierając po sobie ślady. Potem rozdeptał pendrive - czy, bardziej ściśle, podłożył pod nogę łóżka, na którym następnie kilka razy podskoczył - a szczątki spuścił z wodą w kilku sedesach. Same nie spłynęłyby tak łatwo, w końcu to metal i plastik, ale kiedy je osadzić w...

- W porządku - mówi Toby. - Mogę sobie wyobrazić.

Nowe imię Zeba brzmiało Hector. Hector Wektor, domyślił się. Ktoś miał względnie wredne poczucie humoru, nie sądził jednak, by była to Pilar: ona raczej nie była typem dowcipnisia.

Oczywiście jednak miał uaktywnić swoją nową tożsamość dopiero poza murami Kompleksu, z dala od kamer monitoringowych ZdrowoTechu Zachód. Do tego czasu pozostawał Setem, karnym cyberwytrobnikiem przykutym do wiosła na galerze wprowadzania danych, wystrojonym w łąchy komputerowca z brązowymi sztruksami włącznie. Liczył, że nowa tożsamość oznaczać będzie lepsze spodnie. Podobno ubrania czekały już na niego w plebsopolii, schowane w kontenerze na śmieci. Oby tylko znalazł go, zanim jego zawartość przebiorą lumpy, szaleńcy lub zwolnieni kierownicy średniego szczebla.

Oficjalna wersja była taka, że Set miał umówioną wizytę serwisową w miejscowej filii NowyTy, Korporacji specjalizującej się w poprawie urody i nastroju, w podejrzany sposób powiązanej ze ZdrowoTechem. Zdrowie i Piękno, para uwodzicielskich bliźniąt zrosniętych pępkami, śpiewających swoje odwieczne syrenie pieśni. Wielu ludzi bez drgnienia

botoksu gotowych było zapłacić kupę pieniędzy za jedno i drugie.

Produkty ZdrowoTechu - suplementy witaminowe, dostępne bez recepty środki przeciwbólowe, droższe leki na konkretne choroby, specyfiki na zaburzenia erekcji i tak dalej - opatrzone były naukowymi opisami i łacińskimi nazwami na etykietach. NowyTy tymczasem sięgało po sekrety wiccańskich czcicieli księżycy i szamanów z serca obfitych w śmiercionośne robaki lasów deszczowych Omijajdała. Zeb jednak mógł zrozumieć, że interesy obu korporacji w pewnym stopniu były zbieżne. Jeśli coś cię boli, źle się czujesz i przez to zbrzydłeś, weź to, ze ZdrowoTechu; jeśli jesteś brzydki, to cię boli i jest ci z tym źle, weź to, z NowyTy.

W przygotowaniu do swojej misji Zeb włożył świeżo wyprane brązowe sztruksy. Przybrał na twarz odrobinę niewydarzoną maskę Seta i puścił do niej oko w lustrze łazienkowym. „Jesteś zgubiony”, powiedział do swojego odbicia. Bez większego żalu rozstanie się z Setem, którego narzucił mu Adam, przekonany o swojej słuszności, jak każdy starszy brat. Pragnął zobaczyć się z nim osobiście, choćby po to, żeby mu wygarnąć, co o tym sądzi. „Masz w ogóle pojęcie, co ja przeżywałem przez te spodnie?”, mógłby powiedzieć.

Pora na pożegnanie z Setem. Niespiesznie ruszył w stronę bramy głównej z przepustką w dłoni, nucąc pod nosem:

Hej-ho, hej-ho,

Do kieratu by się szło,

Łup-cup raz, łup-cup dwa,

Hej-ho, hej-ho, hej-ho!

Tu wypada przypomnieć o przykrywce Seta, powiązanej z jego funkcją podrzędnego hydraulika oprogramowania. Dostał polecenie służbowe, żeby obejrzał stronę internetową NowyTy i ustalił, w jaki sposób przy niej majstrowano. Ktoś - może zarozumiały nastoletni haker, jakim sam

był za młodu - zmienił zamieszczone w sieci obrazy tak, że kiedy klikałeś na dowolny produkt poprawiający nastrój czy cerę, błyskawicznie pożerało go stado animowanych purpurowo-pomarańczowych owadów, które następnie eksplodowały, podrygując nogami i wypuszczając żółte opary. Głupie, ale obrazowe.

Naturalnie, ZdrowoTech Zachód nie chciał zaprzęgnąć własnych systemów do rozwiązania tego problemu: ten z pozoru prosty figiel mógł być pułapką i jego pomysłodawcy mogli liczyć na tego rodzaju interwencję, by korzystając z niej, przebić się przez zapory sieciowe ZdrowoTechu i wykraść jego cenną własność intelektualną. Dlatego ktoś musiał się udać do NowyTy osobiście: ktoś niski rangą i - ponieważ pełne gangów plebsopolie były niebezpieczne - łatwy do zastąpienia. Innymi słowy, Set. Dobrze choć, że udostępnił mu samochód służbowy z kierowcą. Raczej nikt nie zadałby sobie fatygi, żeby uprowadzić Seta dla zawartości jego mózgu: nie należał do ścisłego kręgu wtajemniczonych. Ale mimo wszystko.

NowyTy nie chciało wiedzieć, kto ich zhakował i dlaczego: to by za dużo kosztowało. Chcieli tylko, żeby naprawić im zaporę sieciową. Ich własni spece rzekomo nie dali sobie z tym rady, historyjka, która, przynajmniej dla Zeba, nie brzmiała superwiarygodnie. A ponieważ NowyTy nie siedziało na pieniądzach - to było, jeszcze zanim nastały dla nich lepsze czasy, kiedy otworzyli spa w parku - więc ich ekipa informatyczna to nie była pierwsza ani nawet druga czy trzecia liga: wybitnych bystrzaków zgarniały bogatsze Korporacje. Bardziej klasa C. Amatorzy i partacze.

Długo sobie jednak poczekają, myślał Zeb, bo przed upływem godziny Set zmieni się w Hectora i zniknie. Gońca szachowego miał w kieszeni swoich obszernych sztruksów, w której na wszelki wypadek trzymał też lewą dłoń, by każdy, kto go zobaczy, uznał, że dopuszcza się samogwałtu. Co zresztą z umiarkowanym entuzjazmem symulował, w razie gdyby samochód, co prawdopodobne, wyposażony był w sprzęt szpiegowski. Lepiej być onanistą niż zbiegiem, a do tego przemytnikiem.

NowyTy mieściło się na obskurnej działce na skraju zdominowanej przez

szarą strefę plebsopolii. Widok blokującej przejazd przewróconej budki SekretBurgera nie był więc niczym nadzwyczajnym, podobnie jak trwająca przy niej ostra awantura z towarzyszeniem bryzgów czerwonego sosu, otaczająca ją aureola wrzasków i trąbienia oraz fruujące w górze eskadry latających hamburgerów. Kierowca Zeba też wcisnął klakson, choć za dobrze znał realia, by opuścić szybę i wrzeszczeć.

Zanim jednak człowiek zdążyłby powiedzieć „prestidigitatorstwo”, samochód okrążył tuzin Miksów Azjatyckich. Jeden z nich musiał mieć elektroniczny wytrych z wprowadzonym kodem wozu ZdrowoTechu, bo wszystkie zamki wyskoczyły do góry. Nie minęła sekunda, a Miksy wywlokły szamoczącego się, skomlącego kierowcę, rzuciły się na jego buty i obrały go z ubrania jak kolbę kukurydzy. Gangi z plebsopolii działały szybko i profesjonalnie, trzeba im przyznać. Napastnicy chwyтали kluczyki, cofali wóz, po czym wyrwali naprzód jak strzała, by sprzedać zdobycz w całości albo na części, cokolwiek się bardziej opłacało.

To była szansa dla Zeba. Napad został opłacony z góry: Miksy Azjatyckie były bandą wrednych, ale przede wszystkim tanich oprychów, które ochoczo przyjmowały tego rodzaju małe robótki. Upewniwszy się, że kierowca ma zasłonięte pole widzenia - tak było, całą głowę miał zalaną czerwonym sosem - Zeb wyskoczył tylnymi drzwiami i zmusił się, żeby pójść w głąb pobliskiego zaułka, a potem za jeden, drugi, trzeci róg, w wyznaczone miejsce spotkania z kontenerem na śmieci.

Wylądowały w nim brązowe sztruksy, krzyżyk im na drogę, a wyłoniły się estetycznie postarzone dzinsy ze stosownymi akcesoriami do kompletu. Czarna kurtka ze skaju, czarny T-shirt z napisem DAWCA NARZĄDÓW, WYPRÓBUJ MÓJ GRATIS, ciemne okulary lustrzanki, baseballówka z niedużą czerwoną czaszką z przodu. Złota koronka na ząb, sztuczne wąsy, twarz ułożona w nowy złośliwy uśmiezek i Hector Wektor gotów był do przechadzki. Przez cały czas pamiętał, żeby gońca mieć bezpiecznie pod ręką, i w tej chwili schował go do zamykanej na suwak wewnętrznej kieszeni kurtki ze skaju.

Wyruszył. Spieszyło mu się, ale niczym tego nie okazywał; najlepiej było wyglądać na bezrobotnego. I kogoś, kto żywi bliżej nieokreślone złe zamiary.

Łuski i Ogony, klub, do którego zmierzał, znajdował się w głębi plebsopolii. Gdyby poszedł tam w stroju komputerowca, pewnie musiałby bronić swojej prywatnej przestrzeni, od skalpu, nosa i jaj poczynając, a tak przyciągnął tylko kilka badawczych par zmrużonych oczu. Warto go zaczepić? Nie, zapadał werdykt. Dlatego jego przechadzka trwała bez przeszkód.

* * *

I oto z przodu to, czego szukał: neon ROZRYWKA DLA DOROSŁYCH i niżej, mniejszymi literami: „Zapraszamy obytych dżentelmenów”. Zdjęcia jaszczurczych ślicznotek w obcisłych zielonych łuskach, większość z imponującymi implantami piersi, niektóre powyginane, jakby nie miały kręgosłupa. Kobieta, która potrafi zapleść sobie nogi na szyi, niewątpliwie ma do zaoferowania coś nowego, ale co, tego nie sprecyzowali. Był też pyton Marzec, owinięty wokół ramion diabelnie seksownej kobiety-kobry, która zwisała z trapezu i do złudzenia przypominała Katrinę WooWoo, uroczą treserkę węży z Pływającego Świata, którą tak często pomagał przerznąć na pół.

Nawet się bardzo nie postarzała. A zatem dalej robiła w branży. W pewnym sensie.

Był środek dnia: przy wejściu ani jednego klienta. Przypomniał sobie idiotyczne hasło, którym go obarczono. Oleisty. Jak użyć tego słowa w normalnie brzmiącym zdaniu? „Wyglądasz dziś bardzo oleście”? Za to mógłby zarobić policzek albo cios pięścią, zależnie od tego, do kogo by się zwrócił. „Oleista dzisiaj pogoda”. „Wyłącz tę oleistą muzykę”. „Nie bądź taki oleisty!” - Nic z tego się nie nadawało.

Wcisnął dzwonek. Drzwi wyglądały na grube jak w skarbcu bankowym, obite dużą ilością metalu. Oko wyjrzało przez judasza. Szczęknęły zamki,

portal się otworzył i ukazał się bramkarz dorównujący Zebowi posturą, tyle że czarny. Ogolona głowa, ciemny garnitur, ciemne okulary.

- Czego? - powiedział.

- Słyszałem, że macie oleiste dziewczyny - powiedział Zeb. - Takie, z którymi idzie jak po maśle.

Facet patrzył na niego przez ciemne okulary.

- Powtórz? - poprosił, więc Zeb to zrobił. - Oleiste dziewczyny - powiedział bramkarz, obracając słowa w ustach jak kęs pączka. - Jak po maśle. - Jego usta uniosły się w kącikach.

- Dobrze. Jasne, włącz. - Rozejrzał się po ulicy, zanim zamknął drzwi. Znów szcęknięły zamki. - Ty do niej, rozumiem - powiedział.

W głąb wyłożonego fioletowym dywanem korytarza. Schodami na górę: zapach przybytku rozkoszy po godzinach, jakże smutny. Owa burdelowa woń oznaczająca sztuczną frywolność, oznaczająca samotność, oznaczająca, że miłość możesz dostać tylko za pieniądze.

Facet powiedział coś do słuchawki, która musiała być bardzo mała, bo Zeb jej nie widział. Może miał ją w zębie: ostatnio niektórzy takich używali, choć wtedy istniało ryzyko, że jeśli wybija ci ten ząb i go połkniesz, będziesz miał gadający tyłek. Stanęli przed drzwiami z tabliczką ZARZĄD, A CZASEM NIERZĄD, błyszczącym zielonym logo przedstawiającym puszczającego oko węża i hasłem: „Jesteśmy elastyczni”.

- Włącz - powiedział potężny facet znowu; wielkiego zasobu słownictwa to on nie miał. Zeb wszedł.

Pokój był swoistym biurem, wyposażonym w liczne ekrany wideo, drogie wyściełane meble, które miały dyskretnie dawać coś do zrozumienia, i minibar. Zeb tęsknie spojrział na ten ostatni element wystroju - może mieli piwo, po całym tym bieganiu i udawaniu strasznie go suszyło - ale

nie pora była na to.

W pomieszczeniu przebywały dwie osoby, każda zapadnięta głęboko w fotel. Jedną z nich była Katrina WooWoo. Nie miała na sobie kostiumu węża, tylko za dużą bluzę z napisem SUKA #3, obcisłe czarne dżinsy i srebrne szpilki, na których szczud-larz połamałby sobie nogi.

Uśmiechnęła się do Zeba jednym z tych swoich scenicznych uśmiechów, które potrafiła utrzymać na twarzy, nawet kiedy syczała.

- Kopę lat - powiedziała.

- Bez przesady z tą kopą - odparł Zeb. - Nadal wyglądasz na taką, z którą łatwo zacząć, a trudno skończyć.

Uśmiechnęła się. Zeb musiał przyznać, że pragnął zawrzeć bliższą znajomość z tym, co miała pod swoją łuskowatą bielizną - chłopięca fascynacja nie osłabła - nie mógł jednak w tej chwili skupiać się na takich celach, bo drugą osobą w pomieszczeniu był Adam. Miał na sobie kaftanopodobny łach, który wyglądał jak kostium do przedstawienia o trędowatych, zszyty przez łamagowatych szmaciarzy.

- Kurwa - powiedział Zeb. - Co to, koszula nocna dla chochlika? Gdzieś ty to wystraszał? - Najlepiej było nie okazywać zaskoczenia: to dałoby Adamowi przewagę, na którą w tej chwili nie zasługiwał.

- Nie mogłem nie zauważyć twojego gustownego T-shirta - powiedział Adam. - Do twarzy ci w nim. Fajne motto, braciszku.

- Lokal jest na podsłuchu? - spytał Zeb. Jeszcze jeden tekst o braciszku i przyłoży Adamowi. Nie, nieprawda. Nigdy nie miał serca chłopaka uderzyć, przynajmniej nie z całej siły: Adam był zbyt eteryczny.

- Oczywiście - powiedziała Katrina WooWoo. - Ale wszystko wyłączyliśmy. Gratis.

- Mam w to wierzyć?

- Naprawdę wyłączyła - powiedział Adam. - Zastanów się. Nie chce, żeby nasze ślady zostały w jej lokalu. Wyświadcza nam wielką przysługę. Dzięki - powiedział do Katriny. - To nie potrwa długo. - Wyszła jak na szczydłach, chwiejąc się lekko, i posłała im uśmiech przez ramię: tym razem nie był to uśmiech zwiastujący syczenie. Wyraźnie miała słabość do Adama, mimo tego niefortunnego kaftana.

- Potem możecie coś przekąsić, gdybyście chcieli - powiedziała. - W stołówce dziewczyn. Muszę się przebrać, niedługo zaczynamy show.

Adam zaczekał, aż Katrina zamknie drzwi.

- Udało ci się - powiedział. - To dobrze.

- Nie twoja to zasługa - stwierdził Zeb. - Mogli mnie zlinczować przez te lalusiowate brązowe gacie. - Tak naprawdę bardzo był zadowolony, że Adam jeszcze żyje, ale ani myślał to otwarcie przyznać. - Wyglądałem w tych kurestwach jak jakiś jebany pojeb - dodał, z premedytacją bombardując brata wulgaryzmami.

Adam zignorował to.

- Masz to? - powiedział.

- Zgaduję, że chodzi o tę zasraną figurę szachową - odparł Zeb. Oddał mu ją. Adam przekreślił główkę, zeszła. Odwrócił gońca do góry nogami: wysunęło się sześć tabletek, czerwone, białe, czarne, po dwie każdego koloru. Adam spojrzał na nie, po czym schował je do gońca i skreślił go z powrotem.

- Dziękuję - powiedział. - Trzeba to schować w jakimś bardzo bezpiecznym miejscu.

- Co to w ogóle jest? - spytał Zeb.

- Czyste zło - powiedział Adam. - Jeśli Pilar ma rację. Ale cenne czyste zło. I ściśle tajne. Dlatego właśnie zginął ojciec Glenna.

- Jak one działają? - dociekał Zeb. - To pigułki na superseks czy co?
- Coś sprytniejszego - powiedział Adam. - Korporacje wykorzystują swoje suplementy witaminowe i sprzedawane bez recepty środki przeciwbólowe do przenoszenia chorób leczonych lekami, na których produkcję mają wyłączność. To, co zawierają białe tabletki, jest aktualnie w obiegu. Rozprowadzają to losowo, żeby nikt nie mógł namierzyć jednego punktu zero. Zarabiają na wszystkim: na witaminach, potem na lekach i wreszcie na hospitalizacji, kiedy choroba się rozwinie. Co jest nieuniknione, bo do lekarstw stosowanych w kuracji też to dodają. Doskonały sposób transferowania pieniędzy od ofiar do kieszeni Korporacji.
- To białe. A czerwone i czarne?
- Nie wiemy - powiedział Adam. - Są eksperymentalne. Pewnie przenoszą inne choroby, może działają szybciej. Nie jesteśmy nawet pewni, jak to bezpiecznie sprawdzić.

Zeb musiał to przetrwać.

- Duża sprawa - powiedział. - Ciekawe, ilu mózgowców było trzeba, żeby to wymyślić.
- Zajmuje się tym mała, starannie dobrana grupa w ZdrowoTechu - powiedział Adam. - Wykonują polecenia z samej góry. Wykorzystywali ojca Glenna. Myślał, że pracuje nad precyzyjnym wektorem zwalczającym raka. Kiedy poznał naturę tego przedsięwzięcia, jego pełny zakres, nie mógł dalej w tym uczestniczyć. Przekazał te tabletki Pilar, zanim...
- Cholera - powiedział Zeb. - Ją też zabili?
- Nie - odparł Adam. - Nawet nie wiedzą, że ona wie, taką przynajmniej mamy nadzieję. Przenieśli ją tylko do ZdrowoTechu Centrum, na wschodnie wybrzeże.
- Mogę wziąć sobie piwo? - spytał Zeb. Nie czekał na odpowiedź. - Czyli

teraz, kiedy już to masz - powiedział po pierwszym ożywczym łyku - co dalej? Opchniesz te prochy w szarej strefie? Zagraniczne Korporacje dużo by za to dały.

- Nie - odparł Adam. - Nie moglibyśmy tego zrobić. To byłoby głęboko sprzeczne z naszymi zasadami. Tu, na tym świecie, na razie możemy tylko ustalić, czego należy unikać. W miarę możliwości przestrzeżemy innych przed suplementami witaminowymi, ale gdybyśmy chcieli publicznie ujawnić wszystko, co wiemy, nikt by nam nie uwierzył. Wyszlibyśmy na paranoików, a potem spotkałyby nas nieszczęśliwe wypadki. Jak wiesz, prasa jest pod kontrolą Korporacji, a wszelkie niezależne uregulowania są niezależne tylko z nazwy. Dlatego będziemy trzymali te tabletki w ukryciu, dopóki nie będzie ich można bezpiecznie poddać analizie.

- My, to znaczy kto? - spytał Zeb.

- Czego nie wiesz, nie możesz nikomu powiedzieć - odparł Adam. - Tak jest bezpieczniej dla wszystkich, z tobą włącznie.

Opowieść o Zebie i Kobietach-Wężach

- Jak ja im to wszystko wytłumaczę? - mówi Toby. - Dziewczyny z Łusek i Ogonów przebrane za węże?
- Pomiń to i już.
- One muszą być w tej historii. Kobieta, która jednocześnie jest wężem... to w jakiś sposób stosowne. To pasuje do Medytacji i tego, co się stało z tym zwierzęciem. Tą lochą. Ona... Naprawdę miałam wrażenie, że się ze mną porozumiewa. I z Czarnobrodym.
- Myślisz, że jest w części człowiekiem? Kobieta-Świnią? Chyba naprawdę się szaleju opiął. - Chichot.
- Nie, nie całkiem, ale...
- Za dużo pejotłu było w tej twojej miksturze. Czy czego tam do niej dodałaś.
- Może. Na pewno masz rację.

Opowieść snuje się w głowie Toby. Właściwie nawet o niej nie myśli, nie kieruje jej biegiem. Nie ma nad nią panowania; tylko słucha. Niesamowite, co kilka cząsteczek roślin może zrobić z mózgiem człowieka i jak długo to trwa.

To opowieść o Zebie i Kobietach-Wężach. Na początku Kobiet-Węży w niej nie ma, pojawią się później. Często tak bywa, że to, co ważne, pojawia się w opowieściach późno, chociaż na początku czasem też. I w środku.

Ale początek już opowiedziałam, więc doszliśmy do środka. A Zeb jest w środku opowieści o Zebie. W centrum swojej jasnej historii.

Mnie w tej części opowieści nie ma; do części, w której się pojawia, jeszcze nie dotarliśmy. Ale czekam gdzieś w odległej przyszłości. Czekam,

żeby historia Zeba połączyła się z moją własną. Historią Toby. Historią, w której jestem teraz z wami.

Pilar, która żyje w krzaku bzu i rozmawia z nami za pośrednictwem pszczoł, kiedyś miała postać starej kobiety. Podarowała Zebowi szczególną, ważną rzecz i kazała mu jej strzec - to była mała rzecz, jak ziarnko. Ziarnko, od którego rozchorowalibyście się, gdybyście je zjedli. Jednak niektórzy źli ludzie z chaosu wmawiali wszystkim dookoła, że to ziarnko ich uszczęśliwi. Tylko Pilar, Zeb i mała grupa innych osób znali prawdę.

Dlaczego źli ludzie to robili? Z powodu Pieniądzy. Pieniądze były niewidzialne, jak Ja-Pierdołę. Ci ludzie myśleli, że Pieniądze były ich pomocnikami; myśleli, że były lepszymi pomocnikami niż Ja-Pierdołę. Mylili się jednak. Pieniądze im nie pomagały. Pieniądze znikają, kiedy najbardziej ich potrzeba. Za to Ja-Pierdołę zawsze jest wierny.

Zeb wziął więc ziarnko i wyszedł, bo gdyby źli ludzie wiedzieli, że je miał, rzuciliby się za nim w pościg, odebraliby je, a potem zrobili mu coś bardzo bolesnego. Spieszył się, choć nie było tego po nim widać, i powiedział: O Ja Pierdołę, a Ja-Pierdołę przyleciał do niego, bardzo szybko, jak zawsze, kiedy się go wzywa; i wskazał Zebowi drogę do domu Kobiet-Węży. A Kobiety-Węże otworzyły mu drzwi i wpuściły go do siebie.

Kobiety-Węże to... Widzieliście węża, widzieliście też komety. Kobiety-Węże były jednym i drugim. Mieszkały też z kilkoma Kobietami-Ptakami i Kobietami-Kwiatami. Ukryły Zeba w olbrzymiej... W wielkiej... Muszli małża. Nie, kanapie. A może schowały go w wielkim, przeogromnym... Kwiecie. Bardzo jasnym kwiecie, na którym były światła.

Tak, świecącym kwiecie. Nikt nie wpadłby na to, żeby szukać Zeba wewnątrz kwiatu.

I brat Zeba, Adam, też w tym kwiecie był. To było miłe. Bardzo się cieszyli ze spotkania, bo Adam był pomocnikiem Zeba, a Zeb pomocnikiem

Adama.

* * *

Kobiety-Węże czasem gryzły ludzi, ale Zeba nie gryzły. Lubiły go. Przyrządziły mu specjalny napój o nazwie Koktajl z Szampana, a potem wykonały przed nim specjalny taniec. Wiły się w tańcu, bo przecież były węzami.

Były pełne dobroci. Bo takimi stworzyła je Oryks. I były jej Dziećmi, bo były w części węzami. Nie miały więc nic wspólnego z Derkaczem. Czy raczej niewiele.

I Kobiety-Węże pozwoliły Zebowi spać w wielkim łożu, łożu, które było błyszczące i zielone. Powiedziały, że Ja-Pierdolę też może tam spać, bo zostało dużo wolnego miejsca.

A Zeb powiedział „Dziękuję”, bo Kobiety-Węże były takie dobre dla niego i jego niewidzialnego pomocnika. I dzięki nim poczuł się dużo lepiej.

Nie, nie mruzczały nad nim. Węże nie umieją mruzczyć. Ale... oplatały go. Tak, to właśnie robiły: oplatały się wokół niego. I go ścisnęły, to też. Węże mają mięśnie w sam raz do ściskania.

A Zeb był bardzo, bardzo zmęczony, więc od razu zasnął. Kobiety-Węże, Kobiety-Ptaki i Kobiety-Kwiaty opiekowały się nim i pilnowały, żeby nic złego nie spotkało go w czasie snu.

Powiedziały, że będą go broniły i ukrywały, nawet jeśli przyjdą źli ludzie.

I źli ludzie przyszli. Ale o tym będzie w następnej części opowieści.

A teraz sama też już jestem bardzo, bardzo zmęczona. Idę spać.

Dobranoc.

To powie, kiedy przyjdzie pora na następną opowieść.

PROSIĘ

Guru

Następnego ranka po wyprawie do krzaka bzu Pilar Toby czuje, że mikstura do Pogłębionej Medytacji jeszcze działa. Świat jest nieco jaśniejszy, niż powinien być, tkanina jego barw i kształtów nieco bardziej przezroczysta. Nakłada na siebie prześcieradło w uspokajającym, neutralnym odcieniu - jasnoniebieskie, bez wzoru - szybko obmywa twarz przy pompie i idzie na śniadanie.

Wygląda na to, że wszyscy już zjedli i poszli. Biała Turzyca i Modraszek sprzątaję naczynia.

- Chyba jeszcze trochę zostało - mówi Modraszek.
- A co było? - pyta Toby.
- Szynka i kudzu w cieście - mówi Biała Turzyca.

Toby przez całą noc śniła: o prosiętach. Niewinnych prosiętach, słodkich prosiętach, pulchniejszych, czystszych i mniej zdziczałych od tych, które widziała na jawie. O latających prosiętach z białymi ażurowymi skrzydłami ważki; prosiętach mówiących obcymi językami; nawet śpiewających prosiętach, płasających w szeregach jak w jakimś starym filmie animowanym czy zwariowanym musicalu. Prosiętach na tapecie, w powtarzającym się raz po raz motywie, oplecionych pnączami. Wszystkie szczęśliwe, ani jednego martwego.

Kiedyś, w czasach unicestwionej cywilizacji, do której sama należała, uwielbiano przedstawiać zwierzęta obdarzone ludzkimi cechami. Rozkoszne, puszyste, pastelowe misie ściskające walen-tynkowe serca. Śliczne milusie lwy. Urocze tańczące pingwiny. I jeszcze dawniej: różowe, lśniące, komiczne świnki z otworem na grzbiecie, do którego wrzucało się pieniądze; widywało się je w sklepach ze starociami.

Nie przełknęłyby szynki, nie po nocy pełnej tańczących prosiaków. I nie po swoim wczorajszym przeżyciu: wciąż ma w pamięci to, co przekazała

jej locha, choć nie potrafiłaby tego ująć w słowa. To było bardziej jak prąd. Prąd wodny, prąd elektryczny. Poddźwiękowa fala o dużej długości. Chemiczne połączenie umysłów. Albo, jak kiedyś powiedział Philo od Ogrodników: „Po co komu telewizja”? Możliwe, że odbył za dużo Czuwań i Pogłębionych Medytacji.

- Raczej za to dziękuję - mówi Toby. - Odgrzewane nie jest za dobre. Wezmę sobie kawę.

- Wszystko w porządku? - pyta Biała Turzyca.

- Tak - mówi Toby. Ostrożnie idzie ścieżką do kuchni, omijając falujące rozmywające się kamyki, i zastaje Rebecę pijącą filiżankę substytutu kawy. Jest z nią mały Czarnobrody, rozwalony na podłodze kreśli drukowane litery. Ma jeden z ołówków Toby, zwędził też jej zeszyt. Chociaż określenie „zwędził” jest bez sensu; Derkaczanom, zdaje się, obce jest pojęcie własności prywatnej.

- Nie obudziłaś się - mówi bez wyrzutu. - W nocy bardzo daleko chodziłaś.

- Widziałaś to? - pyta Rebecca. - Chłopak jest niesamowity.

- Co piszesz? - mówi Toby.

- Piszę imiona, o Toby - odpowiada Czarnobrody. I rzeczywiście, to właśnie robi. TOBY. ZEB. DRKACZ. REBEKA. ORYKS. JETIDŻIMI.

- Zbiera je - tłumaczy Rebecca. - Imiona. Kto następny? - pyta Czarnobrodego.

- Teraz napiszę Amandę - odpowiada Czarnobrody z powagą. - I Ren. Żeby mogły do mnie mówić. - Gramoli się z podłogi i ucieka, ściskając w rękę zeszyt i ołówek Toby. I jak ja mu te rzeczy odbiorę? - zastanawia się Toby.

- Skarbie, wyglądasz na padniętą - mówi do niej Rebecca.

- Ciężka noc?
- Z czymś przesadziłam - wyjaśnia Toby. - W miksturze do Pogłębionej Medytacji. Kilka grzybów za dużo.
- Zawsze jest takie ryzyko - mówi Rebecca. - Pij dużo wody. Zaparzę ci herbatę z koniczyny i sosny.
- Widziałam wczoraj olbrzymią świnię - oświadcza Toby.
- Lochę z prosiakami.
- Im więcej, tym weselej - stwierdza Rebecca. - Dopóki mamy miotacze. Bekon się kończy.
- Nie, czekaj - protestuje Toby. - Ona... bardzo dziwnie na mnie spojrzała. Miałam wrażenie, że wiedziała, że zastrzeliłam jej męża. W spa NowyTy.
- O rany, naprawdę zaszalałaś z tymi grzybami - mówi Rebecca. - Ja kiedyś odbyłam rozmowę z własnym stanikiem. Czyli była zła z powodu jej... wybacz, słowo „mąż” nie przejdzie mi przez usta! To Świnia, na litość boską!
- Nie była zadowolona - stwierdza Toby. - Ale powiedziałabym, że była raczej smutna niż zła.
- Są mądrzejsze od zwykłych świń, to widać nawet bez wspomagania Medytacją - mówi Rebecca. - A propos, Jimmy rano przyszedł na śniadanie. Nie trzeba mu już nosić jedzenia. Czuje się dobrze, ale chce, żebyś rzuciła okiem na jego stopę.

Jimmy ma już własny boks, nowy, w dobudówce do glinianego domku, którą nareszcie ukończyli. Ściany z gliny wciąż lekko zalatują wilgocią i błotem; za to okno jest większe niż w starszej części budynku, z założoną siatką przeciw owadom i zasłoną w żwawe rysunkowe ryby o dużych kształtnych pyszczkach i - te płci żeńskiej - długich rzęsach. Samce grają na gitarach, ośmiornica na bongosach. Nie jest to coś, co Toby powinna

ogłądać w swoim obecnym stanie.

- A te skąd się wzięły? - pyta Jimmy'ego, który siedzi na krawędzi łóżka ze stopami opuszczonymi na podłogę. Nogi wciąż ma wątle, wychudzone; będzie musiał od nowa wyrobić sobie mięśnie. - Zasłony?
- Kto to wie? - zastanawia się Jimmy. - Ren i Wakulla... to znaczy Modraszek uznały, że radosny wystrój dobrze mi robi. Czuję się jak w przedszkolu. - Nadal ma kołdrę w wesołe obrazki.
- Chciałeś, żebym obejrzała twoją stopę? - mówi ona.
- Tak. Swędzi. Do szалу mnie doprowadza. Mam tylko nadzieję, że jeden z tych czerwi nie został w środku.
- Gdyby tak było, już by się wygrzył - zapewnia Toby.
- Wielkie dzięki - mówi Jimmy. Blizna na jego stopie jest czerwona, ale zrosnięta. Toby ogląda ją: nie jest gorąca ani zaogniona.
- To normalne - stwierdza. - Swędzenie. Dam ci coś na to.
- Kompres: niecierpek, skrzyp, koniczyna łąkowa, myśli. Najłatwiej chyba będzie o skrzyp.
- Słyszałem, że widziałaś świnię - mówi Jimmy. - I że do ciebie przemówił.
- Kto ci powiedział? - pyta Toby.
- Derkaczanie, któżby inny? - odpowiada Jimmy. - Są moim radiem. Zdaje się, że ten mały Czarnobrody wszystko im opowiedział. Uważają, że nie powinnaś była zabić tamtego knura, ale wybaczyli ci, bo może zrobiłaś to za zgodą Oryks. Wiesz, że te świny mają w mózgach tkankę ludzkiej kory przedczołowej? To fakt. Wiem o nich tyle, co mało kto, dorastałem z nimi.
- Jak Derkaczanie się o tym dowiedzieli? - pyta ostrożnie Toby. - Że

zastrzeliłam knura?

- Ta świniotka powiedziała Czarnobrodemu. Nie patrz tak na mnie, jestem tylko posłańcem. I według Ren długo majaczyłem, więc co tam. Może nie jestem najlepszym sędzią rzeczywistości. - Posyła jej krzywy uśmiech.

- Mogę usiąść? - pyta Toby.

- Proszę bardzo, inni się nie krępują - mówi Jimmy. - Cholerni Derkaczanie włożą tu, kiedy tylko mają taki kaprys. Chcą poznać więcej bzdur o Derkaczu. Myślą, że jestem jego zasranym guru. Że rozmawia ze mną przez mój zegarek. Oczywiście, sam, kurde, jestem sobie winien, bo to był mój pomysł.

- I co im mówisz? - pyta Toby. - O Derkaczu?

- Żeby pytali o niego ciebie - odpowiada Jimmy.

- Mnie? - dziwi się Toby.

- Teraz to ty jesteś ekspert. Muszę się zdrzemnąć.

- Ja pytam poważnie. W kółko powtarzają, że ty... że osobiście znałeś Derkacza. Kiedy jeszcze chodził po ziemi.

- To niby ma być główna nagroda? - Jimmy parska gorzkim śmiechem.

- Nadaje ci to pewien autorytet - mówi Toby. - W ich oczach.

- To tak, jakby mieć pewien autorytet u... Cholera, taki jestem wykończony, że nawet nie mogę wymyślić złośliwego porównania. Małży. Ostryg. Ptaków dodo. Co chcę powiedzieć. Widzisz, jestem zmęczony. Nie mam siły być guru. Zużyłem na nich całą energię już jakiś czas temu, prawdę mówiąc. Nie chcę więcej myśleć o Derkaczu ani słuchać tych zasranych bredni o tym, jaki to jest dobry, miłosierny i wszechmocny, czy jak to stworzył ich w Jaju, a potem ślicznie start ludzkość z

powierzchni ziemi, tylko dla nich. I jak to Oryks ma władzę nad zwierzętami i lata po świecie w postaci sowy, i że choć jej nie widzimy, istnieje i zawsze będzie ich słyszała.

- Z tego, co rozumiem - mówi Toby - to wszystko zgodne jest z tym, co im mówiłeś. To ich Ewangelia.

- Wiem, kurwa, że to im powiedziałem! - irytuje się Jimmy.

- Chcieli znać podstawowe fakty, typu skąd się wzięli i kim są te wszystkie gnijące trupy. Musiałem coś powiedzieć.

- Wymyśliłeś więc zgrabną historyjkę - stwierdza Toby.

- No przecież, kurde, nie mogłem im powiedzieć prawdy. Dlatego tak, wymyśliłem historyjkę. Wiem, mogłem to mądrzej rozegrać, wiem, nie jestem mózgowcem, i wiem, Derkacz musiał uważać, że mam inteligencję bakłażana, bo wodził mnie za nos, jak chciał. Dlatego rzygać mi się chce, kiedy słyszę, jak się korzą przed tym jebańcem i wysławiają go pod niebiosą, ilekroć wymieniam jego imię.

- Ale tylko taką historię mamy - zauważa Toby. - Musimy więc się jej trzymać. Nie że zrozumiałam wszystkie jej niuanse.

- Nieważne - mówi Jimmy. - Przekazuję ci pałeczkę. Po prostu rób dalej to, co do tej pory. Możesz dodawać, co chcesz, puść wodze fantazji, wszystko łykną. Słyszałem, że ostatnio są fanami Zeba. Pociągnij ten wątek, ma ręce i nogi. Uważaj tylko, żeby się nie dowiedzieli, że to wszystko jedna wielka lipa.

- Manipulator z ciebie - mówi Toby. - Wszystko zrzucasz na moje barki.

- Tak, nie przeczę - odpowiada Jimmy. - Przepraszam. Choć z tego, co mówią, dobrze sobie radzisz. Twój wybór; zawsze możesz ich posłać do wszystkich diabłów.

- Zdajesz sobie sprawę, że w pewnym sensie jesteśmy w stanie wojny -

mówi Toby.

- Z paintbólowcami. Tak. Ren mi powiedziała. - Jimmy poważnieje.
- Nie możemy więc pozwolić, żeby ci ludzie sami rozłazili się po okolicy. Tamci najpewniej by ich pozabijali.

Jimmy myśli o tym.

- Co zatem?
- Musisz mi pomóc - oznajmia Toby. - Powinniśmy uzgodnić jedną wersję wydarzeń. Do tej pory błędziłam po omacku.
- Inaczej się nie da, kiedy jest mowa o Derkaczu - mówi Jimmy ponuro. - Witaj w oku mojego cyklonu. Poderznął jej gardło, wiedziałaś o tym? Dobry, miłosierny Derkacz. Była taka ładna, była... Tak tylko chciałem się tym podzielić. Ale zastrzeliłem skurwysyna.
- Komu poderznął gardło? - pyta Toby. - Kogo zastrzeliłeś? -Ale Jimmy już ukrył twarz w dłoniach, jego ramiona się trzęsą.

Prosię

Toby nie wie, co robić. Czy wskazany byłby pocieszający macierzyński uścisk, o ile w ogóle do takiego jest zdolna, czy Jimmy uznałby, że to zbyt nachalne? Może lepsze byłoby „Głowa do góry” dziarskim głosem pielęgniarki lub żalosne wycofanie się na paluszkach?

Zanim może się zdecydować, do pokoju wpada Czarnobrody. Jest bardziej podekscytowany niż zwykle.

- Idą! Idą! - mówi. Prawie krzyczy, co Derkaczanom rzadko się zdarza: nawet ich dzieci nie są krzykliwe.

- Kto? - pyta Toby. - Żli ludzie? - Gdzie właściwie zostawiła swój karabin? To właśnie jest wadą Medytacji: zapominasz, jak masz być należycie agresywna.

- Oni! Chodź! Chodź - mówi on, ciągnąc ją najpierw za rękę, potem za prześcieradło. - Świniowi. Bardzo ich dużo!

Jimmy unosi głowę.

- Świniony. O ja pierdołę - mówi.

Czarnobrody jest wniebowzięty.

- Tak! Dziękuję, że go wezwałeś, Yeti-Jimmy! Będziemy potrzebowali jego pomocy - mówi. - Świniowi mają martwe.

- Martwe co? - pyta go Toby, on jednak jest już za drzwiami.

MaddAddamowcy przerwali swoje zajęcia i ustawiają się za ogrodzeniem domku z gliny. Część uzbroiła się w siekiery, grabie i łopaty.

Crozier pospiesznie wraca ścieżką ze stadem megarunosów, zapewne z pastwiska. Obok idzie Manat z miotaczem w rękę.

- Nadchodzą z zachodu - mówi Crozier. Megarunosi otaczają go.
- One... To dziwne. Maszerują. To jak defilada świń.

Derkaczanie zbierają się przy huśtawkach. Nie okazują najmniejszego przerażenia. Rozmawiają zniżonymi głosami, po czym mężczyźni ruszają na zachód, jakby wychodzili komuś na spotkanie. Idzie z nimi kilka kobiet: Maria Antonina, Sojourner Truth, dwie inne. Reszta zostaje z dziećmi, które same z siebie, bez niczyjego polecenia, zbijają się w ciasną grupę i stoją w milczeniu.

- Każcie im wrócić! - mówi Jimmy, który dołączył do grupy MaddAddamowców. - Te cholerstwa ich rozszarpia!
- Do niczego ich nie zmusisz - stwierdza Lis Płowy, trzymając, dość niezdarnie, widły z ogrodu.
- Nosorożec - woła Zeb i podaje mu drugi miotacz. - Tylko ostrożnie z bronią - ostrzega Manata. - Mógłbyś trafić Derkaczanina. Dopóki świnię nie zaatakują, nie strzelaj.
- Jest strasznie - mówi Ren z lękiem. Stoi obok Jimmy'ego, trzyma go za ramię. - Gdzie Amanda?
- Śpi - odpowiada Modraszek, która jest po drugiej stronie Jimmy'ego.
- Więcej niż strasznie - mówi Jimmy. - Świniony są podstępne. Znają się na taktyce. Raz mało mnie nie osaczyły.
- Toby. Będzie nam potrzebny twój karabin - mówi Zeb.
- Jeśli podzielą się na dwie grupy, idź na tyły domku. Może być tak, że te od frontu ściągną na siebie naszą uwagę, a reszta szybko przekopie się pod ogrodzeniem. I uderzą z dwóch stron.

Toby spieszy do swojego boksu. Kiedy wychodzi ze starym rugerem deerfieldem, stado olbrzymich świniaków już się wylewa na polanę

przed ogrodzeniem.

Jest ich około pięćdziesięciu. Jeśli liczyć same dorosłe osobniki: kilka loch prowadzi młode, które drepczą obok matek. W środku grupy kroczą dwa knury, jeden obok drugiego; coś leży w poprzek na ich plecach. Wygląda to jak stos kwiatów - kwiatów i liści.

Co? - myśli Toby. Czy to gest pojednania? Świński ślub? Nastawa ołtarza?

Największe świnie idą po bokach stada; wydają się nerwowe, kierują wilgotne tarcze ryjów to w jedną, to w drugą stronę, węsząc w powietrzu. Są lśniące i szaraworóżowe, krągłe, pulchne, o opływowych kształtach, jak olbrzymie koszarne ślimaki; ale te ślimaki, przynajmniej samce, mają kły. Nagły atak, szybkie cięcie tymi śmiercionośnymi bułatami i wypatroszyłyby cię jak rybę. A niedługo będą tak blisko Derkaczan, że nawet celny strzał z miotacza nie powstrzyma ich impetu.

Świnie cicho pochrzają między sobą. Gdyby były ludźmi, myśli Toby, powiedziałyby się, że to szemranie tłumu. Muszą wymieniać między sobą informacje; ale Bóg raczy wiedzieć jakie. Czy mówią: „Boimy się”? Czy „Nienawidzimy ich”? A może po prostu „Mniam, mniam”?

Nosorożec i Manat stoją przy samym ogrodzeniu. Opuścili miotacze. Toby uznała, że najlepiej będzie schować karabin; trzyma go u boku zawinięty w fałdę prześcieradła. Nie ma co im przypominać o jej dokonaniach na polu knurobójstwa, choć pewnie i bez tego pamiętają.

- Kurde - mówi Jimmy za plecami Toby. - Popatrz tylko.

Na pewno coś knują.

Czarnobrody odłączył się od dzieci derkaczańskich i przywarł do Toby.

- Nie bój się, o Toby - mówi. - Boisz się?

- Tak, boję się - odpowiada. Choć nie boję się tak bardzo jak jimmy, dodaje w duchu, bo ja mam karabin, a on nie. - Nieraz napadały na nasz

ogród - mówi. - I kilka z nich zabiliśmy, bo musieliśmy się bronić. - Myśli niespokojnie o pieczeniach wieprzowych, bekonie i kotletach, które z tego mieli. - A potem wrzuciliśmy je do zupy - dodaje. - Zmieniły się w śmierdzącą kość. Dużo śmierdzących kości.

- Tak, śmierdzącą kość - mówi Czarnobrody w zamyśleniu.

- Dużo śmierdzących kości. Widziałem je blisko kuchni.

- Dlatego nie są naszymi przyjaciółmi - tłumaczy Toby. - Nie przyjaźnisz się z tymi, którzy zmieniają cię w śmierdzącą kość.

Czarnobrody namyśla się. Wreszcie podnosi na nią oczy łagodnie uśmiechnięty.

- Nie bój się, o Toby - mówi. - Są i Dziećmi Oryks, i Dziećmi Derkacza. Powiedzieli, że dziś nie zrobią wam krzywdy. Zobaczysz. - Toby nie jest tego taka pewna, ale mimo wszystko uśmiecha się do niego.

Delegacja Derkaczan dołączyła do stada świniaków i wraca z nimi. Reszta Derkaczan czeka w milczeniu koło huštawek.

Napoleon Bonaparte i sześciu innych mężczyzn występują naprzód: zanoszą się na szczyt-paradę. Tak, sikają w szeregu. Starannie celują, sikają z szacunkiem, ale sikają. Skończywszy, robią krok w tył. Trzy ciekawskie prosiaki wybiegają naprzód, obwąchują ziemię i uciekają z piskiem do swoich matek.

- Widzisz? - mówi Czarnobrody. - Jest bezpiecznie. Derkaczanie ustawiają się w półkolu za wytyczoną moczem linią demarkacyjną. Zaczynają śpiewać. Stado świniaków rozsypuje się i para knurów powoli rusza naprzód. Przewracają się na boki, okryty kwiatami ciężar zsuwa się z ich grzbietów na ziemię. Dźwigają się z powrotem na nogi i odgarniają część kwiatów ryjami i racicami.

To martwe prosię. Małe, z podciętym gardłem. Jego przednie nogi są związane sznurem. Krew, wciąż czerwona, wycieka z głębokiej rany szyi.

Nie ma żadnych innych obrazów.

Teraz całe stado ustawia się w półkolu dookoła... czego? Mar? Katafalku? Kwiaty, liście - to jest pogrzeb. Tobi przypomina sobie knura, którego zastrzeliła w spa NowyTy - kiedy potem poszła zebrać czerwie z jego ścierywa, rozrzucone na nim były pierzaste liście paproci. Słonie, pomyślała wtedy. One tak robią. Kiedy umiera ktoś, kogo kochają.

- Cholera - mówi Jimmy. - Mam nadzieję, że to nie nasi załatwili tego małego świniaka.

- Raczej nie - odpowiada Tobi. Na pewno dowiedziałyby się o tym. Usłyszałyby jakieś rozmowy o kulinariach.

Dwójka nosicieli prosiaka podchodzi do wytyczonej szczytnami granicy. Abraham Lincoln i Sojourner Truth są po drugiej jej stronie. Klęczą i patrzą świniom prosto w oczy. Derkaczanie przestają śpiewać. Zapada cisza. Potem Derkaczanie wznawiają śpiew.

- Co się dzieje? - mówi Tobi.

- Rozmawiają, o Tobi - odpowiada Czarnobrody. - Proszą o pomoc. Chcą ich powstrzymać. Tych, co zabijają ich dzieci.

- Bierze głęboki oddech. - Dwoje dzieci, jedno zabite tym patykiem, którym się celuje w innych, drugie nożem. Świniowi chcą śmierci tych, którzy je zabili.

- Chcą pomocy... - Nie może powiedzieć „Derkaczan”, bo sami tak siebie nie nazywają. - Chcą pomocy waszego ludu?

Jeśli proszą o to, żeby kogoś zabić, jak Derkaczanie mogą im pomóc? - zastanawia się. Według MaddAddamowców

Derkaczanie są z natury niezdolni do przemocy. Nie walczą, nie potrafią walczyć. Nie są w stanie. Takimi ich stworzono.

- Nie, o Toby - mówi Czarnobrody. - Chcą waszej pomocy.

- Naszej? - dziwi się Toby.

- Tych, co stoją za ogrodzeniem, tych z dwiema skórami. Chcą, żebyście im pomogli przy użyciu waszych patyków. Wiedzą, jak zabijacie. Że robicie dziury, z których wypływa krew. Chcą, żebyście zrobili takie dziury w tych trzech złych ludziach. Dziury z krwią. - Wygląda, jakby go lekko zemdliło: nie jest mu łatwo o tym mówić. Toby ma chęć go przytulić, ale to byłby protekcyjny gest: sam wziął na siebie ten obowiązek.

- Powiedziałaś „trzech ludziach”? - pyta Toby. - Nie dwóch?

- Świniowi mówią, że jest ich trzech - odpowiada Czarnobrody. - Tylu wywęszyli.

- To niedobrze - mówi Zeb. - Znaleźli nowego rekruta. - Wymienia posępne spojrzenia z Czarnym Nosorożcem.

- To zmienia układ sił - stwierdza Nosorożec.

- Chcą, żebyście wypuścili z nich krew - mówi Czarnobrody. - Żeby wszyscy trzej mieli dziury z krwią.

- I chcą, żebyśmy my to zrobili - upewnia się Toby.

- Tak - odpowiada Czarnobrody. - Ci z dwiema skórami.

- To dlaczego nie zwrócą się do nas? - pyta Toby. - Dlaczego rozmawiają z wami?

Och, myśli. Przecież to oczywiste. Jesteśmy za głupi, nie rozumiemy ich mowy. Potrzebują tłumacza.

- Łatwiej im rozmawiać z nami - mówi Czarnobrody po prostu. - W zamian, jeśli pomożecie im zabić trzech złych ludzi, nigdy więcej nie spróbują zjeść waszego ogrodu. Ani was - dodaje z powagą. - Nie zjedzą

was, nawet kiedy będziecie martwi. I proszą, żebyście więcej nie robili w nich dziur z krwią, nie gotowali ich w zupie ze śmierdzącą kością, nie wieszali ich w dymie, nie smażyli ani nie zjadali. Już nie.

- Powiedz im, że umowa stoi - mówi Zeb.
- Dorzuć do tego pszczoły i miód - dodaje Toby. - Ich też nie wolno im ruszać.
- Proszę, o Toby, co to znaczy „umowa stoi”? - pyta Czarnobrody.
- To znaczy, że przyjmujemy ich propozycję i że im pomożemy - wyjaśnia Toby. - Ich życzenie jest naszym życzeniem.
- Ucieszą się - mówi Czarnobrody. - Chcą wyruszyć na łowy na złych ludzi jutro albo pojutrze. Musicie wziąć swoje patyki do robienia dziur.

Wydaje się, że zapadło postanowienie. Świniony dotąd stały z uszami wysuniętymi do przodu i ryjami zadartymi ku górze, jakby wachały nimi słowa; teraz odwracają się i ruszają na zachód, skąd przyszły. Martwe prosię przysypane kwiatami zostaje na ziemi.

- Czekaj - mówi Toby do Czarnobrodego. - Zapomnieli swojego... - Prawie powiedziała „dziecka”. - Zapomnieli prosiaka.
- Maty Świniowy jest dla was, o Toby - mówi Czarnobrody.
- To dar. On już nie żyje. Już okazali swój smutek.
- Przecież obiecaliśmy, że więcej nie będziemy ich jeść - zauważa Toby.
- Zabijać, a potem jeść. Mówią jednak, że jego nie zabiliście. W takiej sytuacji to jest dozwolone. Mówią, że możecie go zjeść albo nie, jak chcecie. Inaczej zjedliby go sami.

Dziwne obrzędy pogrzebowe, myśli Toby. Obsypujesz bliskiego kwiatami, oplakujesz go, a potem zjadasz jego trupa. Recykling

ekstremalny. Nawet Adam i Ogrodnicy się do tego nie posunęli.

Narada

Derkaczanie odłączyli się i przeszli w pobliże huštawek, gdzie ogryzają pnącza kudzu i rozmawiają zniżonymi głosami. Martwy prosiak leży na ziemi, obsiadły przez muchy i otoczony kręgiem MaddAddamowców, którzy dumają nad nim, jakby prowadzili dochodzenie w sprawie jego śmierci.

- Czyli co, myślicie, że te kutasy zaszlachtowały go na mięso? - mówi Shackleton.

- Może - odpowiada Manat. - Ale nie wisiał na drzewie. Normalnie tak się robi, żeby spuścić krew.

- Świnie powiedziały moim niebieskim kumplom, że leżał na środku ścieżki - mówi Crozier. - Na widoku.

- Myślisz, że to wiadomość dla nas? - pyta Koliberek Hawański.

- Rodzaj wyzwania - mówi Shackleton. - Jakby rzucali nam rękawicę.

- Może stąd ten sznur. Poprzednio to oni byli związani - zauważa Ren.

- E tam - mówi Crozier. - Po co mieliby w tym celu posłużyć się prosiakiem?

- Może to coś w stylu: „Następnym razem to będziecie wy”. Albo: „Zobaczcie, jak blisko możemy do was podejść”.

Pamiętajcie, trzy razy przetrwali Paintból. Tak właśnie paintbólownicy działają: najpierw nastraszyć wroga - mówi Shackleton.

- Właśnie - potwierdza Nosorożec. - Teraz to już naprawdę chcą się dobrać do naszych zapasów. Pewnie kończy im się amunicja i są zdesperowani.

- Spróbują zakraść się nocą - mówi Shackleton. - Będziemy musieli

podwoić warty.

- Lepiej sprawdzmy ogrodzenia - sugeruje Nosorożec. - Nadal są dość prowizoryczne.
- Mogą mieć jakieś narzędzia - dodaje Zeb. - Ze sklepu żelaznego czy skądś. Noże, nożyce do cięcia drutu i tak dalej. - Odchodzi i znika za rogiem domku z gliny. Nosorożec rusza za nim.
- Może nie paintbólowcy je zabili. Może to nieznani sprawcy - stwierdza Dziecioł Wielkodzioby.
- Może Derkaczanie - mówi Jimmy. - Hej, to żart, wiem, że nigdy by tego nie zrobili.
- Nigdy nie mów nigdy - mówi Dziecioł Wielkodzioby. - Mają bardziej plastyczne mózgi, niż Derkacz tego oczekiwał. Robią rzeczy, których nie przewidzieliśmy na etapie konstrukcji.
- Może zrobił to ktoś z naszych - sugeruje Lis Płowy. - Ktoś, komu zachciało się kiełbasek.

Po kręgu przebiega niepewny, wstydlivy śmiech. Potem zapada cisza.

- A zatem. Co teraz? - pyta Dziecioł Wielkodzioby.
- Teraz decydujemy, czy go ugotować czy nie - mówi Rebecca.
- Och, nie mogłabym - stwierdza Ren. - To byłoby tak, jakby jeść małe dziecko.

Amanda zaczyna płakać.

- Ależ, droga pani, co się stało? - pyta Dziecioł Wielkodzioby.
- Przepraszam - mówi Ren. - Nie powinnam była powiedzieć „dziecko”.
- No dobra, karty na stół - rzuca Rebecca. - Ręka w górę, kto nie wiedział,

że Amanda jest w ciąży.

- Wygląda na to, że tylko ja jeden trwam w ginekologicznej niewiedzy - mówi Dziecioł Wielkodzioby. - Może uznano, że tak delikatne kobiece sprawy są nie dla moich starczych uszu.

- A może nie słuchałeś - mówi Lis Płowy.

- No dobrze, czyli co do tego mamy jasność - ucina Rebecca.

- Teraz chciałabym otworzyć krąg, jak mawialiśmy u Ogrodników... Ren, chcesz zacząć?

Ren bierze oddech.

- Ja też jestem w ciąży - mówi. Siąka nosem. - Nasikałam na pałeczkę. Zabarwiła się na różowo, wyskoczyła uśmiechnięta buzia... O Boże.

Modraszek ją poklepuje. Crozier rusza w jej stronę, ale nagle staje w pół kroku.

- We trójkę raźniej - mówi Lis Płowy. - Też jestem przy nadziei, w stanie błogosławionym, jak to zwał. Z brzuchem.

Przynajmniej podchodzi do tego z humorem, myśli Toby. Ale kto jej ten brzuch zmajstrował?

Znów zapada cisza.

- Domyślam się, że nie ma sensu... - mówi Dziecioł Wielkodzioby z głęboką dezaprobatą - ...snuć przypuszczeń na temat ojcostwa tych... tego rychło spodziewanego potomstwa.

- Najmniejszego - stwierdza Lis Płowy. - Przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Przeprowadzam eksperyment w dziedzinie ewolucji genetycznej. Reprodukacja najlepiej przystosowanych. Robię za żywą płytkę Petriego.

- To nieodpowiedzialne - mówi Dziecioł Wielkodzioby.

- Nie bardzo wiem, co ci do tego - odcina się Lis Płowy.
- Hej! - mówi Rebecca. - Jest, jak jest!
- Ojcem dziecka Amandy może być Derkaczanin - stwierdza

Toby. - Tak sędzę na podstawie czegoś, co się wydarzyło tego wieczoru, kiedy... kiedy odbiliśmy ją z rąk... To wariant najbardziej optymistyczny. Z Ren może być tak samo.

- To na pewno nie paintbólowiec - mówi Ren. - Wiem to.
- Skąd. jeśli można wiedzieć? - pyta Crozier.
- Nie chcę wchodzić w drastyczne szczegóły - mówi Ren - bo uznałbyś, że przesadzam z otwartością. To sprawy dziewczęce. Liczymy dni. Stąd wiemy.
- Ja paintbólowców mogę zdecydowanie wykluczyć - stwierdza Lis Płowy. - I kilku innych facetów. - Mężczyźni nie patrzą na siebie. Crozier powstrzymuje się od uśmiechu.
- A Derkaczan? - mówi Toby, zachowując obojętny ton. Kto jest na liście podejrzanych Lisa Płowego? Crozier na pewno, ale kto jeszcze? Czy były ich całe rzesze? Może Zeb jednak należy do tego grona; jeśli tak, wkrótce na świat może przyjść mały Zeb. Co ona sama wtedy zrobi? Będzie udawała, że nic nie widzi? Robiła śpioszki na drutach? Dąsała się i smętnie dumiała? Wolałaby pierwsze dwie opcje, ale nie jest pewna, czy nie byłyby ponad jej siły.
- Przyznaję, zabawiłam się raz, dwa z niebieskimi - mówi Lis Płowy. - Kiedy nikt nie patrzył, co nie dało mi zbyt wielu okazji do działania, bo wszyscy tutaj są tacy wścibscy. Było to dosyć forsowne i nie jestem pewna, czy chciałabym tego na dłuższą metę. Praktycznie zero gry wstępnej. Ale różowa uśmiechnięta buzia nie kłamie i wkrótce wydam na świat młode. Pytanie, młode co?

- Cóż, przekonamy się - mówi Shackleton.

Zeb i Czarny Nosorożec wracają po inspekcji ogrodzeń.

- Twierdza to nie jest - stwierdza Zeb. - Sęk w tym, że jeśli zabierzemy broń na łowy, ci, którzy zostaną, nie będą mieli się czym bronić.

- I może o to im właśnie chodzi - mówi Nosorożec. - Wywabią nas od frontu, zakradną się od tyłu. Uciekną z naszymi kobietami.

- Nie jesteśmy tylko pakunkami - mówi Lis Płowy. - Możemy stawić opór! Wystarczy, że zostawicie nam parę miotaczy.

- Powodzenia - rzuca Nosorożec.

- Kiedy ruszymy w pościg za tymi typami, musimy wyprowadzić stąd całą naszą grupę - mówi Crozier. - Nie można nikogo zostawić. Megarunosi też zabierzemy. Jeśli będziemy razem, trudniej będzie zastawić na nas pułapkę.

- Ale łatwiej nas stratować - zauważa Zeb. - Jak szybko możemy biegać całą grupą?

- Ja biegać nie będę - mówi Rebecca. - I przypominam, że są wśród nas trzy ciężarne kobiety.

- Trzy? - pyta Zeb.

- Ren i Lis Płowy - mówi Rebecca.

- Kiedy to się stało?

- Powiedziały wszystkim, kiedy sprawdzaliście ogrodzenia - odpowiada Rebecca.

- Tak się kończą nocne figle z elfami - mówi Jimmy.

- Mało śmieszne, Jimmy - rzuca Modraszek.

- W każdym razie lepiej, żeby w tym stanie nie biegały - mówi Rebecca.
- Czyli co, nie dotrzemy umowy? Nie ruszymy w bój ze świńską milicją? - pyta Shackleton. - Będą musiały załatwić to same?
- Nie dadzą rady - mówi Jimmy. - Są urodzonymi mordercami - ale nie potrafią wchodzić po schodach. Jeśli zapędzą paintbólowców do miasta, wystarczy, że ci wejdą na piętro budynku i ostrzelają je z góry. To będzie rzeź.
- Crozier ma rację, wszyscy powinniśmy się przenieść - mówi Toby. - W bardziej bezpieczne miejsce, z drzwiami, które można zaryglować.
- To znaczy? - pyta Rebecca.
- Do spa NowyTy - mówi Toby. - Ukrywałam się w nim przez kilka miesięcy. Zostało tam trochę prowiantu. - I może nasiona, myśli: mogłabym je zebrać, przydadzą się do ogrodu. Zostawiła też w NowyTy zapas pocisków.
- Są tam prawdziwe łóżka - mówi Ren. - I ręczniki.
- I solidne drzwi - dodaje Toby.
- To już jakaś myśl - mówi Zeb. - Głosujemy?

Nie ma głosów przeciwnych.

- Teraz musimy się przygotować - mówi Katuru.
- Najpierw powinniśmy pochować tego prosiaka - stwierdza Toby. - Tak by wypadało. W tych okolicznościach.

Robią to więc.

Odwrót

Przygotowania zajmują cały dzień. Jest wiele rzeczy, które muszą ze sobą zabrać: podstawowy sprzęt do gotowania, czyste prześcieradła na zmianę, żeby ciągle nie chodzić w tych samych, taśma klejąca, sznur. Latarki ręczne i czołowe: większość baterii jeszcze działa. Miotacze, oczywiście. Karabin Toby. I wszystkie ostre narzędzia, bo źle by się stało, gdyby takie rzeczy jak noże czy kilofy wpadły w ręce wroga.

- Nie obładowujcie się za bardzo - mówi im Zeb. - Jak dobrze pójdzie, za kilka dni wrócimy.
- Albo zastaniemy zgliszcza - stwierdza Nosorożec.
- Weźcie więc to, bez czego nie możecie się obejść - mówi Katuru.

Toby martwi się o swoje pszczoły. Czy nic im się nie stanie?

Co mogłoby je zaatakować? Nigdzie nie widziała niedźwiedzi, a Świniony obiecały, że nie tkną ula, musi im wierzyć na słowo. Czy wilksy lubią miód? Nie, są mięsożerne. Może szopunksy, ale nie miałyby szans z rozwścieczonym rojem.

Nakrywa głowę i przemawia do ula, jak to sumiennie robi co rano.

- Witajcie, Pszczoły. Przynoszę wieści wam i waszej Królowej. Jutro muszę na krótko odejść, więc przez kilka dni nie będę z wami rozmawiać. Nasz własny ul jest zagrożony. Jesteśmy w niebezpieczeństwie i musimy zaatakować tych, którzy nam zagrażają, jak same postąpiłybyście na naszym miejscu. Bądźcie niezłomne, zbierajcie dużo pyłku, w razie konieczności brońcie ula. Zanieście tę wieść Pilar i wstawcie się za nami u jej silnego Ducha.

Pszczoły wchodzą i wychodzą przez otwór w lodówce ze styropianu. Wyraźnie polubiły ogród. Kilka przylatuje do Toby. Obmacują jej kwieciste prześcieradło, nie odpowiada im, przechodzą na jej twarz. Tak,

rozpoznały ją. Dotykają jej warg, zbierają z nich słowa, odlatują, żeby przekazać wieści od niej, znikają w ciemności. Przebijają się przez błonę, która oddziela ten świat od świata niewidzialnego, leżącego tuż pod nim. Oto i Pilar, z jej spokojnym uśmiechem, idąca naprzód korytarzem, który jaśnieje ukrytym światłem.

Weź się opanuj, Toby, mówi sobie. Gadające świny, rozmowni zmarli, Kraina Cieni w lodówce ze styropianu. Nie jesteś naćpana, nie jesteś nawet chora. Naprawdę nie masz żadnej wymówki.

Derkaczanie z zainteresowaniem obserwują przygotowania do wymarszu. Dzieci płaczą się koło kuchni, patrzą na Rebeccę swoimi wielkimi zielonymi oczami, trzymają się z dala od połci bekonu i suszonego mięsa wilksa.

Derkaczanie chyba nie do końca pojmują, dlaczego Madd-Addamowcy się przeprowadzają, mimo to dali jasno do zrozumienia, że pójdą z nimi.

„Pomożemy Yeti-Jimmy’emu”, mówią. „Pomożemy Zebowi”. „Pomożemy Crozierowi, jest naszym przyjacielem, musimy nauczyć go lepiej sikać”. „Pomożemy Toby, opowie nam historię”. „Derkacz chce, żebyśmy tam poszli” i tak dalej. Nie mają własnego dobytku, więc nie muszą niczego ze sobą zabrać; chcą jednak nieść inne rzeczy. „Wezmę to, to jest garnek”. „Wezmę to, to jest nakręcane radio, do czego służy?”. „Wezmę tę ostrą rzecz, to jest nóż”. „To jest papier toaletowy, będę go nieść”.

- Poniesiemy Yeti-Jimmy’ego - oznajmia tercet Derkaczan, ale Jimmy zapewnia, że może iść o własnych siłach.

Czarnobrody wmaszerowuje do boks Toby.

- Wezmę pismo - mówi uroczyście. - I długopis. Żebyśmy je tam mieli.

Uważa jej dziennik za ich wspólną własność, co Toby nie przeszkadza, bo dzięki temu może śledzić jego postępy w kaligrafii. Choć czasem trudno mu ten dziennik odebrać, żeby sama mogła coś napisać; ciągle musi też chłopakowi przypominać, żeby nie zostawiał go na deszczu.

Dotychczas skupia się głównie na imionach, choć lubi też pisać DZIENKUJE i DOBRANOC. DRKACZ DOBRANOC DOBRY ZŁY KFIAT ZEB TOBY ORYKS DZIENKUJE, tak wygląda typowy wpis. Może pewnego dnia Toby dowie się czegoś nowego o tym, jak działa jego umysł, na razie jednak żadnych przebłysków olśnienia nie doznała.

Nazajutrz o wschodzie słońca opuszczają enklawę z glinianym domkiem na zieleńcu Drzewo Życia. To exodus, odejście od cywilizacji, a przynajmniej jej namiastki.

Eskortują ich dwa Świniony; reszta ma czekać w spa NowyTy, mówi Czarnobrody. Niesie lornetkę Toby, nauczył się jej używać. Co pewien czas schodzi na bok, podnosi lornetkę, wyostrza obraz. „Wrony”, oznajmia. „Sępy”. Derkaczanki śmieją się łagodnie. „O Czarnobrody, przecież wiedziałeś to bez tych rurek na oczach”, mówią. A on śmieje się razem z nimi.

Nosorożec i Katuró idą przodem ze Świnionami, za nimi jest Crozier i stado megarunosów. Niektóre niosą przytroczone do grzbietów tobołki, co jest dla nich nowym doświadczeniem, choć nie widać, by to im przeszkadzało. Ze swoimi ludzkimi włosami, kręconymi i prostymi, i bezkształtnymi pakunkami na nich wyglądają jak awangardowe kapelusze na nogach.

Shackleton trzyma się w środku pochodu z Ren, Amandą i Lisem Płowym, które z kolei otoczone są przez większość Derkaczanek, zafascynowanych ich ciążą. Derkaczanki przemawiają do nich pieśczośliwie, śmieją się, uśmiechają, poklepują je i głaszczą. Lisa Płowego to wyraźnie irytuje, ale Amanda się uśmiecha.

Reszta MaddAddamowców jest za nimi, a dalej idą Derkaczanie. Zeb zamyka orszak.

Toby idzie z karabinem w pogotowiu blisko Derkaczanek. Wydaje się, że minęło dużo czasu, od kiedy szła tędy z Ren, szukając Amandy. Ren też chyba wspomina tamte dni: zostaje nieco w tyle, żeby dołączyć do Toby, i

wsuwa rękę pod jej wolne lewe ramię.

- Dziękuję, że mnie wpuściłaś - mówi. - Do spa NowyTy. I za czerwie. Umarłabym, gdybyś się mną nie zajęła. Uratowałaś mi życie.

A ty mnie, myśli Toby. Co zrobiłaby, gdyby nie zjawiała się Ren? Czekalaby i czekała zamknięta samotnie w NowyTy, aż zwariowałaby albo uschła ze starości.

* * *

Trzymają się drogi, która prowadzi przez Park Dziedzictwa w kierunku północno-zachodnim. Oto krzew bzu Pilar, jego kwiaty obsiadły motyle i pszczoły. Jeden z megarunosów, przechodząc, bierze kęs liści.

Docierają do wschodniej wartowni - różowa, teksańsko--meksykańskie retro - i wysokiego ogrodzenia okalającego teren NowyTy.

- Przyszliśmy tutaj - wspomina Ren. - W środku był ten człowiek. Paintbólowiec, ten najgorszy.

- Tak - odpowiada Toby. Blanco, jej stary wróg. Miał gangrenę, a mimo to dyszał żądzą mordy.

- Zabiłaś go, prawda? - mówi Ren. Musiała wiedzieć już wtedy.

- Powiedzmy, że pomogłam mu się przenieść w inny wymiar egzystencji - mówi Toby. Tak ujęliby to Ogrodnicy. - Umarłby i tak, tylko w większych mękach. W każdym razie to było ograniczanie rozlewu krwi.

- Pierwsza zasada: ograniczaj rozlew krwi, nie dopuszczając, by przelano twoją.

Podawała Blanco Muchomor i Mak: bezbolesne przejście do wieczności, lepsze, niż na to zasługiwał. Potem wywlokła go na ozdobny klomb otoczony pobielonymi kamieniami i tam zostawiła w prezencie dla fauny. Czy dawka Muchomora była dość silna, by otruć zwierzęta, które go zjadły? Ma nadzieję, że nie: dobrze życzy sępom.

Brama z kutego żelaza jest szeroko otwarta. Kiedy wychodziły, Toby zamknęła ją i zawiązała; teraz lina jest przegryziona. Dwa Świniony truchtają przodem, obwąchują ścieżkę do wartowni, wsuwają się do środka. Po chwili wyłaniają się i drepczą do Czarnobrodego. Ściszone chrząkanie, spojrzenia prosto w oczy.

- Mówią, że ci trzech ludzie tam byli. Ale już ich nie ma - mówi Czarnobrody.

- Na pewno? - pyta Toby. - Wcześniej był tam pewien człowiek. Zły człowiek. Nie o niego im chodzi?

- Och, nie - mówi Czarnobrody. - Wiedzą o tamtym. Był martwy, leżał na kwiatach. Z początku chcieli go zjeść, ale miał w sobie złe grzyby. Dlatego go zostawili.

Toby spogląda na ozdobny klomb. Kiedyś rosły tam petunie tworzące napis WITAMY W NOWYTY; teraz to bujny gąszcz chwastów łąkowych. Czy to, co wśród nich leży, to but? Nie ma ochoty tego sprawdzić.

Przy ciele Blanco zostawiła jego nóż. Był dobry, ostry. MaddAddamowcy mają jednak inne noże. Oby tylko nie zabrali go paintbólownicy, myśli; chociaż oni też na pewno mają inne noże.

Są już na terenie właściwego NowyTy. Idą główną drogą, choć jest też ścieżka przez las: Toby i Ren szły nią poprzednio, żeby być w cieniu. Wtedy to znalazły Oatesa, zarżniętego przez paint-bólowców, pozbawionego nerek i powieszzonego na drzewie.

Pewnie nadal tam jest, myśli Toby. Powinni go odszukać, odciąć z gałęzi, wyprawić mu należyty pochówek. Jego bracia, Shackleton i Crozier, na pewno przyklasnęliby temu pomysłowi. Prawdziwe skompostowanie, na grobie posadziliby drzewo. Żeby powrócił do chłodnego spokoju korzonków, kojącego prochu ziemi. Ale nie czas na to.

Szczekanie psów w głębi lasu. Wszyscy przystają i nasłuchują.

- Jeśli przyjdą, merdając ogonami, musicie je zastrzelić - mówi Jimmy. - To wilksy; są agresywne.

- Trzeba oszczędzać amunicję - stwierdza Nosorożec. - Dopóki nie znajdziemy jej więcej.

- Na razie nie zaatakują - mówi Katuru. - Za dużo ludzi. Plus dwa Świniony.

- Większość chyba i tak wybiliśmy - zauważa Shackleton.

Mijają spalonego dżipa, potem zwęglony samochód solarny. Następny w kolejności jest rozbity różowy minivan z logo NowyTy: nadstawione do pocałunku usta, przymrużone oko.

- Nie zagłądajcie do środka - mówi Zeb, który już zajrzał. - Nieładny widok.

I oto przed nimi budynek spa, mocno różowy, wciąż twardo stoi: nikt go nie spalił.

Główny oddział Świnionów kłębi się na zewnątrz, pewnie wykańczają ekologiczny ogród kuchenny, dawne źródło przy-brań dietetycznych sałatek dla klientów. Tobi przypomina sobie godziny, które po Potopie spędzała samotnie w tym ogrodzie w nadziei, że wyhoduje wystarczająco dużo jadalnej flory, by przetrwać. Teraz jest tam tylko zryta ziemia.

Dobrze chociaż, że zostawiła niezamknięte drzwi.

Cień, pleśń. Jej dawne ja, bezcielesne, wędrujące korytarzami bez luster. A właściwie lustra były, tylko narzuciła na nie ręczniki, żeby nie widzieć swojego odbicia.

- Wejdźcie - mówi do wszystkich. - Rozgośćcie się.

Twierdza NowyTy

Derkacze są zauroczeni spa NowyTy. Chodzą ostrożnie po korytarzach, schylają się, żeby dotknąć gładkiej, wypolerowanej podłogi. Unoszą różowe ręczniki, które Toby zawiesiła na lustrach, widzą ludzi w szkle, zagląдают za lustra; potem, kiedy uświadamiają sobie, że ci ludzie to oni sami, dotykają swoich włosów i uśmiechają się, żeby odbicia też się uśmiechnęły. Siadają na łóżkach w sypialniach, bojaźliwie, po czym wstają. W sali gimnastycznej dzieci skaczą na trampolinach, chichocząc. Obwąchują różowe mydło w łazienkach. Dużo tego różowego mydła zostało.

„Czy to jest Jajo?”, pytają. Przynajmniej ci młodszy. Mglisto pamiętają podobne miejsce, z wysokimi ścianami i gładkimi podłogami. „Czy to jest Jajo, w którym nas stworzono?”. „Nie, Jajo tak nie wygląda”. „Jajo jest daleko. Dużo dalej niż to miejsce”. „W Jaju jest Derkacz, w Jaju jest Oryks. Tutaj ich nie ma”. „Czy możemy pójść do Jaja?”. „Nie chcemy teraz iść do Jaja, tam jest ciemno”. „Czy w Jaju są takie różowe rzeczy jak tutaj? Pachnące kwiatami rzeczy, które możemy jeść?”. „To nie jest roślina, to jest mydło. Mydło nie jest do jedzenia” i tak dalej.

Przynajmniej nie śpiewają, myśli Toby. W drodze też prawie nie śpiewali. Patrzą i słuchają. Wydają się świadomi niebezpieczeństwa.

Na szczęście dach nie przecieka. Toby jest z tego zadowolona: to znaczy, że łóżka, choć nieco zatęchłe, nadają się do spania. Jako de facto gospodyni, przydziela pokoje. Sobie wybiera pokój dla pary. W spa były takie trzy, zajmowane przy rzadkich okazjach, kiedy mąż i żona bądź jej odpowiednik przyjeżdżali razem na wspólne zabiegi kosmetyczne i oczyszczające, poprawianie i szlifowanie urody. Usługa ta jednak nie cieszyła się popularnością, przynajmniej wśród par heteroseksualnych - kobiety zwykle wolały robić sobie tego rodzaju retusze na osobności, by potem wyłonić się jak motyle z wonnego kokonu i olśnić masą swoją zachwycającą urodą. Toby kiedyś była tu szefem, więc wie. Wie też, jak wielki zawód przeżywały rzeczne kobiety, gdy, mimo wydania

ogromnych pieniędzy, wyglądały niewiele lepiej niż przedtem.

Swój skromny dobytek chowa do szafy. Sfatygowaną lornetkę -w domku z gliny niewiele miała z niej pożytku, bo nie było tam żadnych widoków do oglądania, teraz jednak będzie niezbędna. Swój karabin i amunicję. Zostawiła w spa zapas pocisków, teraz może nimi uzupełnić swój arsenał. Kiedy naboje się skończą, karabin stanie się bezużyteczny, chyba że Toby nauczy się robić proch.

Kładzie swoją szczoteczkę do zębów w łazience przyległej do pokoju. Niepotrzebnie zabierała ją ze sobą: w spa jest mnóstwo szczoteczek, wszystkie różowe, jedną półkę w magazynie zajmują miniaturowe pasty do zębów dla gości NowyTy. Do wyboru są dwa rodzaje, Kwiecie Wiśni, ekologiczna, ulegająca biodegradacji, z mikroorganizmami zwalczającymi kamień nazębny; i Pocałunek w Mroku, Intensyfikador Chromatycznego Połysku.

Po tej drugiej podobno usta świecą w ciemności. Toby nigdy tej pasty nie wypróbowała, ale niektóre kobiety nie mogły się jej nachwalić. Ciekawa jest, jak zareagowałyby Zeb, gdyby zobaczył przed sobą bezcielesne świecące usta. Tej nocy nie będzie okazji się o tym przekonać: Toby ma pełnić wartę na dachu, a usta jaśniejące pośród mroku byłyby idealnym celem dla snajpera.

Jej stare dzienniki; zabrała je ze stołu do masażu, na którym kiedyś spała niby pokutująca zakonnica. Prowadzone w terminarzach NowyTy, z logo przedstawiającym usta złożone do pocałunku i zmrużone oko. Zapisywała Ogrodnicze święta i uroczystości, a także fazy księżyca; no i wydarzenia z danego dnia, jeśli coś się działo. Pisanie pomogło jej zachować zdrowe zmysły. Potem, kiedy czas znów ruszył z miejsca i pojawili się w nim ludzie, zostawiła dzienniki tutaj. Teraz są szeptem z przeszłości.

Czy do tego sprowadza się pismo? Jest głosem, który miałby twój duch, gdyby duchy miały głos? Jeśli tak, dlaczego uczy tej umiejętności małego Czarnobrodego? Bez niej Derkaczanie byłiby szczęśliwsi.

Wsuwa dzienniki do szuflady komody. Chętnie by je przejrzała, ale teraz nie ma na to czasu.

W sedesach wciąż jest woda, w której pływa dużo martwych much. Spłukuje je: zbiorniki na dachu najwyraźniej są sprawne, chwala opatrności. Znajduje też spore zapasy różowego papieru toaletowego z wprasowanymi płatkami kwiatów. Nie wszystkie eksperymenty NowyTy z botanicznymi dodatkami do papieru toaletowego przebiegły pomyślnie, wystąpiły bowiem pewne nieoczekiwane alergie.

Musi jednak wywiesić ostrzeżenie, że trzeba przegotować wodę przed spożyciem. Na widok wody płynącej z kranu niektórzy mogliby potracić głowy.

Myje twarz, ubiera się w czysty różowy kombinezon ze schowka na przybory do sprzątania i dołącza do pozostałych.

W głównym holu rozgorzała zażarta dyskusja: gdzie w nocy trzymać megarunosy? Rozległy trawnik NowyTy urósł po uda, więc za dnia nie będzie kłopotów z wypasem, ale po zmierzchu trzeba je wziąć pod dach albo nad nimi czuwać: mogą tu być lwiagniory. Crozier przekonuje, żeby zagonić megarunosy do sali gimnastycznej: mocno się do nich przywiązał i jest zaniepokojony. Manat zwraca uwagę, że posadzka jest śliska, mogłyby więc się ślizgać i połamać sobie nogi, poza tym nikt chyba nie chce dodatkowych atrakcji w postaci owczych gówien. Toby sugeruje ogród kuchenny: jest otoczony prawie nienaruszonym płotem - Świniony dostawały się do niego podkopami, te jednak można szybko zasypać. Wtedy wartownik na dachu będzie mógł mieć stado na oku i meldować o wszelkich przypadkach podejrzanego meczenia.

Tylko gdzie będą spali Derkaczanie? Nie lubią nocować wewnątrz budynków. Chcą spać na łące, gdzie mają dużo liści do jedzenia. To jednak nie wchodzi w grę, dopóki paintbólowcy grasują i być może są w nastroju do łowów.

- Na dachu - mówi Toby. - Jest tam kilka kwietników, w razie gdyby chcieli coś przekąsić. - A zatem postanowione.

* * *

Popołudniowa burza przychodzi i przemija. Kiedy niebo się przejaśnia, Świniony idą się wykąpać w basenie, niezrażone tym, że zarósł glonami i roślinnością wodną, a do tego rozgościła się w nim żwawa żabia populacja. Znalazły rozwiązanie problemu, jak wchodzić i wychodzić z wody: zepchnęły do płytkiego końca meble stojące na brzegu, tak że leżaki tworzą swoistą pochylnię, która daje oparcie dla nóg. Młodsze osobniki radośnie pluskają się i pokwikują; starsze lochy i knury poprzestają na krótkiej kąpieli, po czym wygrzewają się na brzegu i pobłażliwie obserwują swoje prosięta i warchlaki. Toby jest ciekawa, czy świnie mogą się spalić na słońcu.

Kolacja jest w dużej mierze improwizowana, choć wytwornie podana na okrągłych stołach i różowych obrusach w głównej jadalni. Grupa wysłana po żywność dokładnie przeczesła łąkę, więc jest pod dostatkiem sałatki z zieleniny. Rebecca znalazła małą nieotwartą butelkę oliwy i zrobiła klasyczny sos winegret. Portulaka gotowana na parze, podgotowany korzeń łopianu, suszone mięso wilksa, mleko megarunosa. W kuchni zachował się słoik cukru, więc na deser każdy dostaje po łyżeczkę. Toby odwykła od cukru: mocna słodycz przeszywa jej głowę jak ostrze.

- Mam dla ciebie nowinę - mówi Rebecca, kiedy sprzątają ze stołu. - Twoi kumple złapali dla ciebie żabę. Poprosili, żebym ją ugotowała.
- Żabę? - dziwi się Toby.
- Tak. Ryby nie znaleźli.
- O cholera - mówi Toby. Derkaczanie będą chcieli, żeby opowiedziała im historię na dobranoc. Może chociaż zapomnieli wziąć czerwoną czapkę Yeti. Oby.

Jest łagodny wieczór, słońce opada za horyzont. Świerszcze ćwierkają, stada ptaków obsiadają gałęzie drzew, jedne płazy kumkają w basenie, inne wydają dźwięki, jakby brząkały na gumkach recepturkach. Toby

szuka czegoś, czym mogłaby się okryć, stojąc na warcie: na dachu może być chłodno.

Kiedy opatula się różowym prześcieradłem, do jej pokoju wsuwa się mały Czarnobrody. Zauważa siebie w lustrze, uśmiecha się, macha do swojego odbicia, wykonuje krótki taniec. Potem przekazuje wiadomość:

- Świniowi mówią, że tam są trzej źli ludzie.
- Tam, to znaczy gdzie? - pyta Toby z szybciej bijącym sercem.
- Po drugiej stronie kwiatów. Za drzewami. Czują ich zapach.
- Niech nie podchodzą za blisko - mówi Toby. - Źli ludzie mogą mieć miotacze. Patyki, które robią dziury. Dziury, z których wypływa krew.
- Świniowi to wiedzą - mówi Czarnobrody.

Toby wdrapuje się po schodach na dach. Na szyi ma lornetkę, przez ramię przewiesiła karabin gotowy do strzału. Na górze jest już grupa Derkaczan. Czekają niecierpliwie. Jest też Zeb oparty o balustradę.

- Jakaś ty różowa - mówi. - Do twarzy ci w tym kolorze. I sylwetce. Ludzik Michelina?
- Próbujesz być wredny?
- Niechący - odpowiada. - Wrony wrzeszczą. - Rzeczywiście. Kra kra kra, na skraju lasu. Toby podnosi lornetkę do oczu: nic nie widać.
- Może to sowa - mówi ona.
- Może - przytakuje Zeb.
- Świniony ciągle mówią, że tamtych jest trzech. Nie dwóch.
- Zdziwiłbym się, gdyby się myliły - stwierdza Zeb.

- Myślisz, że to Adam? - pyta Toby.

- Pamiętasz, co mówiłaś o nadziei? - mówi Zeb. - Że może szkodzić.
Dlatego staram się tak nie myśleć.

Coś jasnego miga wśród gałęzi. Twarz? Już zniknęło.

- Najgorsze - mówi Toby - jest oczekiwanie.

Czarnobrody ciągnie ją za prześcieradło.

- O Toby - prosi. - Chodź! Pora, żebyśmy wysłuchali twojej opowieści.
Przynieśliśmy czerwoną czapkę.

POCIĄG DO KRIOGENIUSZA

Opowieść o Dwóch Jajach i Myśleniu

Dziękuję. Cieszę się, że pamiętaliście, żeby przynieść czerwoną czapkę.

I rybę. Właściwie to nie jest ryba, raczej żaba. Ale złapaliście ją w wodzie, a jesteśmy daleko od oceanu, więc nie wątpię, że Derkacz zrozumie i będzie wiedział, że nie mogliście iść po rybę aż nad ocean.

Dziękuję, że ją ugotowaliście. Że poprosiliście Rebeccę, żeby ją ugotowała. Derkacz powiedział mi, że nie muszę zjeść całej. Wystarczy jeden mały kęs.

O taki.

Tak, w żabie... w rybie jest kość. Śmierząca kość. Dlatego ją wyplułam. Ale na razie nie musimy mówić o śmierzącej kości.

Jutro jest bardzo ważny dzień. Jutro ci z nas, którzy mają dwie skóry, będą musieli dokończyć dzieło Derkacza - dzieło uprzątnięcia chaosu. Wielkie Przetasowanie, z którego powstała Wielka Pustka.

To jednak była tylko część dzieła Derkacza. Drugą było stworzenie was. Wasze kości zrobił z koralu zebranego na plaży, który jest biały jak kości, ale nie śmierdzi. A wasze ciała ulepił ze słodkiego i miękkiego mango. Dokonał tego w wielkim Jaju i miał tam pomocników. A Yeti-Jimmy był jego przyjacielem - i też był w Jaju.

Była tam także Oryks. Czasem ukazywała się w postaci kobiety o zielonych oczach jak wasze, a czasem w postaci sowy. I w wielkim Jaju złożyła dwa mniejsze sowie jaja. Jedno mniejsze sowie jajo było pełne zwierząt, ptaków i ryb - wszystkich jej Dzieci. Tak, pszczoły też w nim były. I motyle. I mrówki, owszem. I chrząszcze - bardzo dużo chrząszczy. I węże. I żaby. I czerwie. I szopunksy, i kotrysie, i megarunosy, i Świniony.

Dziękuję wam, ale chyba nie musimy wszystkich wymieniać.

Bo nie skończylibyśmy do rana.

Poprzestańmy na tym, że Oryks stworzyła bardzo wiele Dzieci. A każde z nich było piękne na swój szczególny sposób.

Tak, to było mile z jej strony, że stworzyła je wszystkie i każde z osobna w mniejszym swoim jajku, które złożyła. Chociaż komary mogła sobie darować.

Drugie jajko, które złożyła, było pełne słów. Ono jednak pękło pierwsze, przed jajem ze zwierzętami, i wiele słów, które się z niego wylęgło, zjedliście wy, bo byliście głodni; dlatego macie w sobie słowa. A Derkacz pomyślał, że zjedliście wszystkie słowa, nie zostawiając zwierzętom ani jednego, i że przez to zwierzęta nie umiały mówić. Mylił się jednak co do tego. Derkacz nie we wszystkim miał rację.

Dlatego że kiedy nie patrzył, część słów wypadła na ziemię, część do wody, a część porwał wiatr. Żaden z ludzi tego nie zauważył. Za to zwierzęta, ptaki i ryby zobaczyły te słowa i je połknęły. To były słowa innego rodzaju, przez co ludziom czasem trudno było zwierzęta zrozumieć. Pogryzły te słowa na zbyt małe kawałki.

A Świniony - Świniowi - zjedli więcej słów niż inne zwierzęta. Wiecie, jak bardzo lubią jeść. Dlatego Świniowi świetnie potrafią myśleć.

Wtedy Oryks stworzyła nową umiejętność, zwaną śpiewaniem. I was nią obdarzyła, bo kochała ptaki i chciała, żebyście śpiewali tak samo jak one. Derkacz jednak nie chciał, żebyście tę umiejętność posiadli. Niepokoila go. Myślał, że jeśli będziecie śpiewali jak ptaki, oduczycie się mówić jak ludzie, a wtedy zapomnicie go i nie będziecie rozumieli jego dzieła - wszystkiego, co zrobił, żeby was stworzyć.

A Oryks powiedziała: Będziesz to musiał przeboleć i tyle. Bo jeśli ci ludzie nie będą śpiewali, staną się... staną się niczym. Będą jak kamienie.

„Przeboleć” znaczy... porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Teraz opowiem inną część tej historii. Będzie o tym, dlaczego Derkacz postanowił stworzyć Wielką Pustkę.

* * *

Derkacz długo rozmyślał. Myślał i myślał. Nikomu nie powiedział o swoich przemyśleniach, chociaż część z nich ujawnił Yeti-Jimmy'emu, a także Zebowi, Pilar i Oryks.

Oto co myślał:

Ludzie w chaosie niczego się nie uczą. Nie potrafią zrozumieć, co czynią morzu, niebu, roślinom i zwierzętom. Nie dociera do nich, że zabijają wszystko dookoła i że koniec końców zabijają samych siebie. A jest ich tak wielu i wszyscy bez wyjątku w tym zabijaniu uczestniczą, świadomie lub nie. Gdy im się mówi, żeby przestali, nie słyszą.

Pozostaje więc tylko jedno wyjście. Albo trzeba większość z nich usunąć, dopóki jeszcze jest Ziemia, z drzewami, kwiatami, ptakami, rybami i tak dalej, albo umrą wszyscy, kiedy te rzeczy znikną. Bo gdy te rzeczy znikną, nie będzie zupełnie nic. Nawet ludzi.

Czy jednak nie powinno im się dać drugiej szansy? - zadał sobie pytanie. Nie, odpowiedział, bo już tę drugą szansę dostali. Dostali wiele drugich szans. Pora działać.

Derkacz stworzył więc małe ziarenka, które były bardzo smaczne i początkowo dawały dużą przyjemność ludziom, którzy je jedli. Potem jednak ci, co te ziarenka zjedli, ciężko chorowali, rozpadali się na kawałki i umierali. A Derkacz rozsiał te ziarenka po całej Ziemi.

Oryks pomogła mu w tym, bo potrafiła latać jak sowa. Pomogły też Kobiety-Ptaki, Kobiety-Węże i Kobiety-Kwiaty. Sądziły jednak, że te ziarenka tylko dają przyjemność, nie zabijają, bo Derkacz nie wyjawiał im wszystkich swoich myśli.

Wtedy zaczęło się Wielkie Przetasowanie. A Oryks i Derkacz opuścili Jajo

i wlecieli w niebo. Został jednak Yeti-Jimmy, żeby czuwać nad wami, nie dopuszczać do was złych rzeczy, pomagać wam i opowiadać o Derkaczu. I o Oryks.

Zaśpiewacie później.

I to właśnie jest opowieść o dwóch jajach.

Teraz wszyscy musimy położyć się spać, bo jutro trzeba bardzo wczesnie wstać. Niektórzy z nas wyruszą na poszukiwania trzech złych ludzi. Pójdzie Zeb, Nosorożec, Manat, Crozier i Shackleton. I Yeti-Jimmy. Tak, Świniowi też pójdą, przynajmniej wielu z nich. Wszyscy oprócz małych i ich matek.

Wy jednak zostaniecie tutaj, z Rebeccą, Amandą i Ren. I Lisem Płowym. I Modraszkiem. Macie trzymać drzwi zamknięte, nikogo nie wpuszczać, cokolwiek powie. Chyba że będzie to ktoś, kogo już znacie.

Nie bójcie się.

Tak, ja też pójdę szukać złych ludzi. Weźmiemy ze sobą Czarnobrodego, żeby pomagał nam rozmawiać ze Świniowymi.

Tak, wrócimy. Mam nadzieję, że wrócimy.

„Nadzieja” znaczy, że czegoś bardzo chcesz, ale nie wiesz, czy to, czego chcesz, rzeczywiście się wydarzy.

Teraz powiem dobranoc.

Dobranoc.

Ciemne okulary

- Tutaj na ciebie czekałam - mówi Toby. - W czasie Bezwodnego Potopu. Na tym dachu. Dzień w dzień spodziewałam się, że lada chwila wyjdiesz z tego lasu.

Derkaczanie otaczają ich ze wszystkich stron. Śpią spokojnie. Jacy oni ufni, myśli Toby. Nie poznali prawdziwego strachu. Może nie są w stanie.

- Czyli wierzyłaś, że żyję? - mówi Zeb.

- Liczyłam na ciebie - odpowiada Toby. - Myślałam, że kto jak kto, ale ty wiesz, jak to wszystko przetrwać. Chociaż bywały dni, kiedy mówiłam sobie, że umarłeś. Nazywałam to „realizmem”. Poza tym jednak cały czas czekałam.

- Warto było? - pyta Zeb. Niewidoczny szeroki uśmiech w ciemności.

- Co, opuściła cię pewność siebie? Musisz o to pytać?

- Poniekąd tak - mówi Zeb. - Kiedyś miałem siebie za Bóg wie co, ale życie wybija ci to z głowy. Odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem, u Ogrodników, wiedziałem, że jesteś ode mnie mądrzejsza, bo znałaś się na grzybach, miksturach i w ogóle.

- Za to ty byłeś chytrzejszy - mówi Toby.

- To prawda. Chociaż czasem przechytrzałem samego siebie. Na czym to ja stanąłem?

- Na tym, jak zamieszkałeś u Kobiet-Węży - mówi Toby. - W Łuskach i Ogonach. Trzymałeś się na uboczu, miałeś oczy otwarte, ręce w kieszeniach, zasznurowane usta.

- Zgadza się.

Zrobili Zeba wykidajłą. To był dobry kamuflaż. Miał ogoloną głowę,

czarny garnitur, ciemne okulary i złoty ząb, który nadawał prosto do jego ust. A do tego wpiętą w klapę marynarki gustowną emaliowaną odznakę w kształcie węża zjadającego własny ogon: starożytny symbol odrodzenia, powiedział Adam, choć może tylko nabierał Zeba.

Wymodelował swoją nagebną nać w stylu modnym wśród bramkarzy z głębi plebsopolii: wymagało to użycia bardzo wąskiej golarki, którą wygolił w rzadkim zaroście kratkowany wzór, przywodzący na myśl włochatego gofra. Także w tym czasie za radą Adama zmienił sobie kształt uszu. Uszy coraz częściej wykorzystywano w celach identyfikacji, powiedział Adam, wskazane więc było, aby Zeb przerobił swoje tak, by w razie gdyby go szukano, nikt nie dostrzegł ich podobieństwa z uszami na jego starych zdjęciach. Plastyczno-kosmetyczny zabieg załatwiła Katrina WooWoo, która miała dojścia do pierwszorzędnym rzeźbiarzy ciała i tłuszczu. Zeb zdecydował się na spiczaste czubki uszu i obwisłe płatki.

- Nie masz się co przyglądać - mówi. - Przerabiałem je jeszcze parę razy. Ale wtedy przez pewien czas wyglądałem jak skrzyżowanie Buddy z chochlikiem.

- Tak właśnie o tobie myślę - mówi Toby.

Robota Zeba polegała na tym, że miał stać przy barze i może nie uśmiechać się szeroko, ale i nie stanowić bezpośredniego zagrożenia: po prostu górować nad towarzystwem. Jego partnerem był potężny czarny facet imieniem - wtedy - Jebediah, chociaż po przystąpieniu do MaddAddama został Czarnym Nosorożcem. Zeb i Jeb, tak wtedy Zeb nazywał ich dwójkę w myślach.

Dla personelu Łusek nie był jednak ani Zebem, ani Hectorem Wektorem. Miał inne imię: Smokey. Miś Smokey, jak ta stara maskotka tak zwanej Służby Leśnej. Trafny przydomek, nie ma co. „Tylko TY możesz zapobiegać pożarom lasu”, głosił slogan na plakatach z Misiem Smokey, i to właśnie Zeb miał robić: zapobiegać pożarom.

Kiedy wśród klienteli pojawiały się oznaki rozdrażnienia - marsowe

spojrzenia, zachmurzone czoła, utarczki słowne, niestosowne chwytanie i rozrywanie pierzastych, łuskowa-tych lub wykrojonych w kształt płatków dekoracji programu rozrywkowego, czy wreszcie szympanсие rytuały godowe, polegające na potrząsaniu puszkami piwa, wzajemnym pryskaniu się strumieniami piany, a potem ciskaniu puszek, tłuczeniu butelek i waleniu pięściami - Zeb i Jeb wkraczali do akcji. Przechodzili z trybu biernego czuwania do czynnej, precyzyjnej interwencji, której celem było szybkie i sprawne wyprowadzenie agresora bez wywołania ogólnej bijatyki. Wymagało to błyskawicznego działania, choć oczywiście nie chciałeś niepotrzebnie wkurzyć klientów: klient pobity rzadko zostaje klientem stałym.

Poza tym do lokalu przychodziło coraz więcej ludzi z najwyższych pięter tortu Korporacji, gości, którzy lubili się upadłać w plebsopolii, choć niekoniecznie z narażeniem życia. Ot, na tyle, żeby przez jeden wieczór poczuć się buntownikiem, swoim chłopem, względnie sprawnym seksualnie facetem. Łuski i Ogony zyskały sobie opinię miejsca, gdzie w higienicznych, dyskretnych warunkach można się uwalić jak Świnia i być niedyskretnym, lokalu, do którego możesz zabrać potencjalnego współnika w interesach - co było zawoalowaną formą łapówki, bez obaw, że cię na tym przyłapią.

Dlatego wszelkie konflikty należało rozwiązywać delikatnie, w białych rękawiczkach. Najlepiej było przyjaźnie objąć ramieniem awanturującego się delikwenta i ciepło warknąć mu na ucho: „Zapraszamy na Specjalność Lokalu, tylko dla pana. Na koszt firmy”. Uradowany, że dostanie coś za darmo, i niewątpliwie pozostający w stanie nanośmierci mózgowej wywołanym tym, co wyłopał, facet wówczas potulnie dawał się prowadzić z wywalonym do kolan jęzorem w głąb jednego, drugiego, trzeciego korytarza, za jeden, drugi, trzeci róg. Ostatecznie lądował w dużym pomieszczeniu ozdobionym piórami, gdzie czekała na niego zielona atlasowa kapa i niewidoczny system monitoringu. Tam czule rozbierały go dwie Kobiety-Węże, te, w których ustach raport aktuarialny brzmiałby jak ostre porno, Zeb zaś lub Jeb stał nieopodal, poza zasięgiem wzroku, i pilnował, żeby klient był grzeczny.

Następnie do pokoju wjeżdżała jaskrawego koloru mikstura w szklance koktajlowej, pomarańczowa, fioletowa lub niebieska, w zależności od tego, co zamówiono, z zieloną wisienką na wierzchu, w którą wbity był zielony plastikowy wąż. Przynosiła ją cycata, oblizująca uśmiechnięte usta orchidea, gardenia, flaming lub fluorescencyjna niebieska scynka na szczudłach, skrząca się cekinami, małymi diodami elektroluminescencyjnymi, łuskami, płatkami albo piórami. Owa halucynacja mówiła „Kiziu-miziu” czy coś w tym stylu. „A teraz picciu-piciu, do dna!”, jaki pełnokrwisty hominid mógłby odmówić? Tajemniczy płyn lał się w gardło, po czym pan Samozwańczy Samiec Alfa zapadał w błogi sen, bez większych uszkodzeń personelu.

Wybraniec budził się dziesięć godzin później, przekonany, że wybawił się za wszystkie czasy. I w sumie tak było, stwierdził Zeb, bo wszystkie doświadczenia rejestrowane przez mózg są prawdziwe, nieprawdaż? Nawet jeśli nie spotkały cię w trójwymiarowym, nazwijmy to, czasie rzeczywistym.

Ten numer zwykle sprawdzał się wobec szych z Korporacji, naiwnie i ufnie podchodzących do cynicznych obyczajów plebsopolii. Zeb znał ten typ z Pływającego Świata: ruszali w miasto się rozerwać, spragnieni czegoś, co mylnie uważali za przygodę. Żyli pod kłozami swoich Kompleksów i innych strzeżonych miejsc, jak gmachy sądu, ratusze i instytucje religijne; nie wiedzieli, co naprawdę dzieje się poza ich murami, i dlatego byli tacy łatwowierni. Rozczulające, jak ochoczo pili podawaną im miksturę, jak szybko padali na pysk, czy raczej na zieloną atlasową kapę, jak smacznie spali i w jak doskonałym nastroju się budzili.

W Łuskach zaczął się jednak pojawiać inny typ klienta: mniej potulny, bardziej odporny na próby załagodzenia złości. Napędzany nienawiścią, zahartowany w ogniu, żądny jatki i potłuczonego szkła. To były trudniejsze przypadki, na które reagowano wprowadzeniem stanu podwyższonej gotowości bojowej.

- Mówię o paintbólowcach, jak się zapewne domyśliłaś - precyzuje Zeb. -

Paintból to wtedy jeszcze była nowość.

Areny paintbólowe były w owym czasie bezwzględnie zakazane, jak walki kogutów i wyrznanie i zjadanie gatunków zagrożonych. Podobnie jednak jak inne rodzaje nielegalnej działalności, Paintból istniał i rozwijał się w podziemiu. Miejsca na widowni zarezerwowane były dla wyższych sfer, które lubiły oglądać walki na śmierć i życie, wymagające wprawy, przebiegłości i bezwzględności, kończące się aktami kanibalizmu: to była ekstremalna wersja życia w Korporacji. Już wtedy w aintbólu dużo pieniędzy przechodziło z ręki do ręki w formie wysokich zakładów. Korporacje płaciły więc pośrednio za infrastrukturę i utrzymanie paintbólowców, a ci, którzy zapewniali niezbędne lokalizacje i usługi, płacili bezpośrednio w razie wpadki, czasem nawet własnym życiem, kiedy wybuchały wojny o wpływy.

Ten układ odpowiadał KorpuSOKorpowi - wtedy jeszcze w powijkach - bo umożliwiał zbieranie haków, dzięki którym korpusowcy mogli mocniej trzymać w garści ludzi uważanych za filary tego, co wówczas uchodziło za społeczeństwo.

Jeśli siedziałeś w zwyczajnym więzieniu, mogłeś zgłosić się do udziału w Paintbólu, walczyć ze współwięźniami, eliminować ich i zdobywać za to cenne nagrody, takie jak wyjście na wolność i praca w charakterze żołnierza jednego z gangów działających w plebsopoliach. Same korzyści. Oczywiście, kiedy już wybrałeś Paintból, jedyną alternatywą zwycięstwa była śmierć. Dlatego tak fajnie się to oglądało. Ci, którym udawało się przeżyć, dokonywali tego dzięki swojej przebiegłości, umiejętności zmylenia przeciwników i silniejszej żądzy mordy: zjadanie wydłubanych oczu było szczególnie popularnym numerem. Innymi słowy, musiałeś być gotowy zadźgać i wypatroszyć najlepszego przyjaciela.

Weterani Paintbólu cieszyli się dużym prestiżem i w plebsopoliach, i w wyższych sferach, pewnie tak jak niegdyś rzymscy gladiatorzy. Żony pracowników Korporacji płaciły im za seks, małżonkowie zapraszali ich na kolację, żeby popisać się przed znajomymi i patrzeć z dreszczem emocji, jak nieokrzesani goście tłuką kieliszki do szampana, chociaż

ochrona zawsze była Pod ręką, na wypadek gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Mała demolka była dopuszczalna przy takich okazjach, rozróżba na całego nie.

Rozochoceni sławą otaczającą ich w szarej strefie, paintbólownicy buzowali hormonami zwycięzców i uważali, że nikt im nie podskoczy, nic więc dziwnego, że skwapliwie korzystali z okazji, żeby podrażnić takiego rosnącego, zwalistego bramkarza jak Zeb Miś Smokey. Jeb przestrzegł go, by nigdy nie odwracał się plecami do paintbólowca; zaraz przywali ci w nerki, rąbnie w czaszkę pierwszą lepszą rzeczą, która wpadnie mu w rękę, ściśnie szyję, aż oczy wyskoczą ci uszami.

Jak ich rozpoznać? Po bliznach na twarzy. I obojętnych minach: stracili część ludzkich neuronów lustrzanych, wraz z większością modułu empatii. Normalny człowiek skrzywiłby się, widząc cierpiące dziecko, oni by się złośliwie uśmiechnęli. Według Jeba musiałeś szybko nauczyć się rozpoznawać ich cechy charakterystyczne, żeby z góry wiedzieć, czy masz do czynienia z psycholem. W przeciwnym razie mogliby pogruchotać kości artystkom, zanim zdążyłbyś powiedzieć „skręcony kark”, a to mogłoby być kosztowne: tancerki trapezowe, które potrafiły robić artystyczny striptiz, wisząc na jednej nodze wysoko nad widownią, nie były tanie. Podobnie jak wzmacniające orgazm podduszanie pytonem. Weteran Paintbólu mógłby uznać odgryzienie głowy pytonowi za pokaz szympansej alfa-samczości, jakiego nikt nie przebije, i nawet gdyby ktoś mu przerwał w pół kęsa, niełatwo byłoby zastąpić okaleczonego pytona.

W Łuskach prowadzono uaktualniany na bieżąco rejestr paintbólowników ze zdjęciami ich twarzy i uszu, które Katrina WooWoo zdobywała jakimiś tylnymi drzwiami w zamian za Bóg wie co. Musiała znać któregoś z organizatorów Paintbólu - kogoś, kto chciał czegoś, co mogła mu załatwić albo czego go mogła pozbawić. Przysługi, dobre i złe, były najbardziej szanowaną walutą w głębi plebsopolii.

- Wal pierwszy i wal poniżej pasa, taką zasadą kierowaliśmy się w stosunku do palantów z Paintbólu - mówi Zeb. - Wystarczyło, że

zaczynali się trochę wiercić. Czasem dodawaliśmy im czegoś do drinków, ale bywało też, że eliminowaliśmy ich definitywnie, bo inaczej szukaliby zemsty. Tyle że musieliśmy być bardzo ostrożni przy pozbywaniu się ciał. Mogli mieć współników.

- Co właściwie robiliście z tymi ciałami? - pyta Toby.

- Powiem tyle: w plebsopoliach zawsze był popyt na skondensowane białko. Czy to do zabawy, czy na handel, czy na pokarm dla zwierząt. Wtedy jednak, zanim KorpuSOKorp postanowił zalegalizować Paintból i pokazywać walki w telewizji, nie było jeszcze wielu zdziczałych paintbólowców, więc usuwanie ciał nie było naszym regularnym zajęciem. Raczej improwizacją.

- Mówisz o tym jak o rozrywce w wolnych chwilach - mówi Toby. - To byli ludzie, cokolwiek zrobili.

- Tak, tak, wiem, powinienem dostać po łapach, byliśmy okropni. Chociaż nie brali cię do Paintbólu, jeśli nie byłeś wielokrotnym mordercą.

- Do czego zmierza cały ten wstęp - otóż zdarzało się, że my, bramkarze barowi, ja i Jeb, wykazywaliśmy osobiste zainteresowanie tym, co trafiało do drinków. Czasem nawet sami je przyrządzaliśmy.

Koptajl

Przez cały ten czas biały goniec szachowy z sześcioma tajemniczymi tabletkami w środku pozostawał bezpiecznie schowany w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. Jedynymi osobami, które wiedziały, gdzie jest, byli sam Zeb, Katrina WooWoo i Adam.

Kryjówka była sprytna i znajdowała się na widoku, fortel, którego Zeb nauczył się od starego Maestro Slaughter: to, co oczywiste, jest niewidzialne. Szklaną półkę za barem zajmowała kolekcja fikuśnych korkociągów, dziadków do orzechów, solniczek i pieprzniczek w kształcie nagich kobiet. Były pomysłowo skonstruowane: nogi się rozkładały i wychodził korkociąg; nogi się rozkładały, między uda wsuwałeś orzech, nogi się zwierzały, łupina pękała; nogi się rozkładały, przekręcałeś głowę, sypała się sól lub pieprz. Boki zrywać.

Białego gońca wsadzili do wypełnionego solą wnętrza jednej z tych żelaznych dziewic, zielonej damy z emaliowanymi łuskami. Jej głowa wciąż się kręciła, sól nadal sypała się spomiędzy ud, ale barmanom powiedziano, że ta solniczka jest krucha - żaden facet obracający słoń zabawkę erotyczną raczej nie chciałby urwać jej głowy - więc niech korzystają z innych, gdyby trzeba było coś posolić. Co nie zdarzało się często, choć niektórzy lubili sypnąć szczyptę soli do piwa albo na przekąski.

Zeb miał oko na łuskowatą zieloną dziewczynę z gońcem w środku. Czuł, że był to winien Pilar. Mimo wszystko nie podobała mu się ta kryjówka. A jeśli ktoś pod jego nieobecność weźmie tę solniczkę, zacznie się nią bawić i znajdzie tabletki? A jeśli pomyśli, że te małe owale to kolorowy zawrót głowy i połknie jeden, dwa na próbę? Ponieważ Zeb nie miał pojęcia, co te tabletki mogą zrobić z człowiekiem, ta ewentualność budziła jego zrozumiałe niepokój.

Adam tymczasem podchodził do tego na nadzwyczajnym luzie; był zdania, że nikt nie wpadnie na to, żeby zajrzeć do solniczki, dopóki sól się

w niej nie skończy.

- Chociaż nie wiem, czemu mówię „nadzwyczajnym” - mówi Zeb. - Skubańca nic nie ruszało.

- On też tam mieszkał? - pyta Toby. - W Łuskach i Ogonach?

- Nie może sobie tego wyobrazić. Co Adam Pierwszy robiłby przez cały dzień wśród tancerek egzotycznych i ich niezwykłych kreacji? Kiedy go znała, już jako Adama Pierwszego, odnosił się z dyskretną dezaprobatą do kobiecej próżności, barw, ostentacji, strojów odsłaniających biust i nogi. Za nic w świecie nie zdołałby jednak wprowadzić Ogrodniczej religii w Łuskach ani przekonać personelu, by wiódł prosty żywot. Zatrudnione tam kobiety na pewno miały zrobiony kosztowny manicure. Nie zgodziłyby się bez szemrania kopać i grzebać w ziemi ani translokować ślimaków, nawet gdyby w Łuskach było miejsce na grządkę warzywną: królowe nocy nie pielą za dnia.

- Nie, nie mieszkał w Łuskach - mówi Zeb. - To znaczy nie na stałe. Przychodził i wychodził. To była tak jakby jego kryjówka.

- Domyślasz się, co robił, kiedy go tam nie było? - pyta Toby.

- Zbierał informacje - mówi Zeb. - Śledził bieżące wydalenia. Wypatrywał chmur burzowych. Brał rozczarowanych pod swoje skrzydła. Nawracał. To było już po tym, kiedy doznał swojego wielkiego objawienia czy jak to nazwać... no wiesz Bóg wypalił błyskawicą przesłanie na jego czaszce. Ocal moje ukochane Gatunki, w których mam upodobanie i tak dalej: znasz te gadki. Ja osobiście żadnej takiej wiadomości nie dostałem, ale Adam, zdaje się, owszem.

- Wtedy już zbierał wokół siebie Bożych Ogrodników. Z myślą o założeniu Ogrodu Edencliff kupił nawet budynek o płaskim dachu w slumsach plebsopolii; poszła na to część brudnych pieniędzy, które wykradliśmy z konta Wielebneho. Pilar potajemnie podsylała mu rekrutów ze ZdrowoTechu i zamierzała lada dzień dołączyć do niego w Edencliff. Ja jednak wtedy jeszcze tego wszystkiego nie wiedziałem.

- Pilar? - pyta Toby. - Przecież nie mogła być Ewą Pierwszą! Była o wiele za stara! - Toby zawsze się zastanawiała, kim była Ewa Pierwsza: Adam był Adamem Pierwszym, ale o Ewie nikt nigdy nie wspominał.

- Nie, to nie była ona - mówi Zeb.

Wśród bieżących wydarzeń, które Adam śledził, była między innymi sprawa ich wspólnego ojca, Wielebnego. Po przyjemnym ogólnym poruszeniu towarzyszącym wieściom o jego defraudacjach na szkodę Kościoła Petroewangelickiego, tragicznemu odkryciu, że pierwsza żona Wielebnego, Fenella, została pochowana w ogrodzie skalnym, a następnie publikacji skandali-zujących wspomnień drugiej żony, Trudy, cała afery przycichła.

Proces się odbył, owszem, ale dowody były niejednoznaczne, tak przynajmniej uznała ława przysięgłych. Trudy za wpływy ze swoich wspomnień wyjechała na wakacje na wyspę karaibską z - powiadali niektórzy - teksańsko-meksykańskim specjalistą od pielęgnacji trawników. Pewnej nocy wybrała się na spontaniczną nagą kąpiel w świetle księżycy i znaleziono ją bezwładnie kołyszącą się na falach. Prąd powrotny przyboju zdradliwa rzecz, stwierdziła lokalna policja. Musiał ją wciągnąć na dno, gdzie uderzyła głową w skałę. Jej towarzysz, kimkolwiek był, przepadł bez wieści. Zrozumiało, bo cała wina mogła spaść na niego; chociaż szeptało się, że działał na zlecenie.

Trudy nie mogła zatem złożyć zeznań na procesie, a bez tego cóż można było Wielebnemu udowodnić? Szkielet Fenelli tak długo leżał w ziemi: każdy mógł go tam zakopać. Nieznani osobnicy, z reguły imigranci, stale krążyli z łopatami po bardziej zamożnych dzielnicach miast, gotowi bić ufne, niewinne miłośniczki ogrodnictwa po głowie, kneblować je rękawicami ogrodniczymi, krzywdzić cieleśnie w szopie, nie bacząc na ich stłumione krzyki, a potem sadzić na nich rojniki, nie wspominając o czyścicach wełnistych, rogownicach i innych sukulentach odpornych na suszę. Było to znanym zagrożeniem dla gospodyń domowych zainteresowanych architekturą zieleni.

Co się tyczy okazałych sum, które ponad wszelką wątpliwość doprowadził, Wielebny uciekł się do starej wypróbowanej metody: publicznej spowiedzi, opowieści o tym, jak nie zdołał oprzeć się pokusie i jak z czasem uświadomił sobie swój grzech, co było gorzkim zieleń, ale poprzez doznane upokorzenie ocaliło go przed samym sobą. Zwieńczyła to pokorna, łzawa prośba o przebaczenie skierowana do Boga i ludzi, ze szczególnym uwzględnieniem członków Kościoła Petroewangelickiego-go. I ciach, grzechy odpuszczone, plamy zmyte, mógł zacząć od nowa. Bowiem któż miałby sumienie odmówić przebaczenia bliźniemu okazującemu tak szczerą skruchę?

- Jest na wolności - powiedział Adam. - Oczyszczony z zarzutów, przywrócony na stanowisko. Załatwili mu to wspólnicy z Korporacji Naftowych.

- Skurwysyn - wycedził Zeb. - A właściwie skurwysyny.

- Na pewno będzie chciał nas dorwać, a teraz dostanie niezbędne do tego pieniądze - stwierdził Adam. - Od przyjaciół z Korporacji Naftowych. Dlatego uważaj na siebie.

- Jasne - powiedział Zeb. - Z siebiami trzeba ostrożnie. - To był jego stary żart. Kiedyś rozśmieszał Adama, czy raczej przyprawiał go o uśmiech, tym razem jednak brat się nie uśmiechnął.

Pewnego wieczoru Zeb kręcił się po barze Łusek w swoich ciemnych okularach Misia Smokey i czarnym garniturze z odznaką w kształcie węża, jak zwykle ani nie uśmiechnięty, ani nie nasrożony, i słuchał meldunków płynących z zęba ze sztucznego złota w jego ustach, gdy nagle usłyszał od jednego z chłopaków dyżurujących przy wejściu coś, co sprawiło, że stanął nieco prościej.

Tym razem nie było to ostrzeżenie przed paintbólowcami. Wprost przeciwnie.

- Czubek piramidy, czterech, wchodzi - powiedział głos.

- Trzej z Korporacji Naftowych, jeden z Kościoła Petroewangelickiego. Ten kaznodzieja, o którym mówili w wiadomościach.

Zebowi od razu skoczyła adrenalina. To musiał być Wielebny. Czy ten zwyrodniały, bijący dzieci sadystyczny żonobójca go rozpozna, czy nie? Rozejrzał się, czym w zasięgu ręki mógłby rzucić, gdyby zaszła taka potrzeba. Jeśli padnie okrzyk „Łapać go” lub odstawią podobną szopkę, ciśnie kilka karafek z rżniętego szkła i ucieknie w cholerę ile sił w nogach. Mięśnie miał tak napięte, że drgały.

Oto i oni, w nastroju do zabawy, sądząc z żarcików, śmiechu i stonowanych klepień w plecy - bardziej przypominających niepewne obmacywanie - które były głównymi wyrażeniami w pseudobraterskiej mowie ciała dopuszczalnej na najwyższych szczeblach Korporacji. Przyszli na szampana, zakąskę i wszelkie towarzyszące atrakcje. Napiwki mogły być sowite, o ile wszystkim stanie. Po co być bogatym, jeśli nie można się z tym obnosić, rzucając ochłapy z pańskiego stołu tym, którzy pomagają ci w twoim dążeniu do dodania sobie splendoru?

Towarzystwo ze szczytów Korporacji lubiło dla szpanu przechodzić obok opłaconych wołów roboczych z ochrony Łusek, jakby ci nie istnieli - po co nawiązywać kontakt wzrokowy z żywoplotem? - obyczaj, mówi Zeb, który pewnie nie zmienił się od czasów, kiedy zaczęto używać określenia „cesarz rzymski”. A to się dla Zeba szczęśliwie składało, bo Wielebny nawet na niego nie zerknął. Zresztą, gdyby zadał sobie trud, żeby spojrzeć, i tak raczej nie miałby szans syna rozpoznać: włochaty gofr na twarzy, ciemne okulary, ogolona głowa, spiczaste uszy i cała reszta robiły swoje. Ale takiego trudu sobie nie zadał. Zeb jednak spojrział na niego i im dłużej patrzył, tym mniej podobało mu się to, co widział.

Lustrzane kule kręciły się wkoło, obsypując klientelę i artystki łupieżem światła. Grała muzyka, stare tango z puszek. Pięć Łuseczek w cekinach wykonywało akrobacje na trapezach, z cyckami skierowanymi w dół, ciałami wygiętymi w C, głowami między nogami. Ich uśmiechy jaśniały w czarnym świetle. Zeb cofnął się pod szklane półki za barem, schował w dłoni zieloną damę z gońcem w cipie i wsunął ją do rękawa.

- Idę się odlać - powiedział do swojego partnera Jeba. - Kryj mnie.

W kiblu rozkręcił gońca i wyciągnął trzy magiczne fasolki: białą, czerwoną i czarną. Zlizał sól z palców i schował tabletki do przedniej kieszeni marynarki, po czym wrócił na swoje stanowisko i dyskretnie wstawił łuskowatą damę z powrotem na półkę. Nawet nie brzęknęła. Nikt nie zauważył, że przez chwilę jej nie było.

Kwartet Wielebnego doskonale się bawił. Coś świętowali stwierdził Zeb; najprawdopodobniej powrót Wielebnego do w ich przekonaniu, jego normalnego życia. Wijące się ślicznotki poły całą czwórkę drinkami, podczas gdy w górze tancerki trapezowe gięły się i wykręcały, jakby nie miały kości ani kręgosłupów. Pokazywały trochę tego, trochę tamtego, ale nigdy nie wszystkie swoje atuty: Łuski były lokalem z klasą, pełny peep-show mogłeś mieć tylko za dodatkową opłatą. Dobre maniery nakazywały, by w uznaniu sztuki artystek objawiać stosowne podniecenie; Wielebnego nieszczęśliwie kręcił ten akrobatyczny teatr grzechu, bo nikt nie cierpiał, ale stary grzyb całkiem przekonująco udawał. Jego uśmiech wyglądał jak utrwalony botoksem; jak objaw porażenia nerwowego.

Katrina WooWoo podeszła do kontuaru. Tego wieczoru przebrana była za orchideę soczystego brzoskwiniowego koloru z lawendowymi akcentami. Pyton Marzec oplatał jej szyję i nagie ramię.

- Zamówili Specjalność Lokalu dla ich kumpla - powiedziała do barmana. - Ze Smakiem Edenu.

- Dodać dużo tequili? - spytał barman.

- Dodaj wszystko - powiedziała Katrina. - Uprzedzę dziewczyny.

Specjalność Lokalu oznaczała prywatny ozdobiony piórami pokój z zieloną atłasową kapą i trzema jaszczurczymi Łuseczkami, które miały spełnić każdą twoją zachciankę, Smak Edenu zaś był trzepiącym mózgiem koptajlem, który gwarantował najwyższą rozkosz. Klient pił do dna i wyruszał do krainy czarów. Zeb próbował niektórych wynalazków

oferowanych w Łuskach, Smaku Edenu jednak nie tknął. Bał się, jakie miałyby wizje.

Drink czekał na kontuarze. Ciemnopomarańczowy i lekko musujący, z oplecioną plastikowym węzem pałeczką do mieszania, na którą nabita była wisienka. Wąż był zielony, skrzący się, z dużymi oczami i uśmiechniętymi uszmińkowanymi ustami.

Zeb powinien był się oprzeć swoim złym impulsom. Postąpił lekkomyślnie, przyznaje to otwarcie. Jednak raz się żyje, powiedział sobie, a może Wielebny już swoje jedno życie wykorzystał. Zastanowił się, którą z trzech tabletek wrzucić do drinka - białą, czerwoną czy czarną. Ale co mu będę żałował? - stwierdził w duchu. Dlaczego nie wszystkie naraz?

„Do dna, kolego”. „Zaszalej, nie szcędź sobie!”. „Do dzieła!”. „Pokaż dziewczynom, co potrafisz!”. Czy takie archaiczne żarciki wciąż były w użyciu przy tego typu okazjach? Na to wyglądało. Wielebny został poklepany i uraczony wiązańką znaczących „he-he”, a następnie trzy gibkie wężyki zaprowadziły go tam, gdzie czekała główna atrakcja. Cała czwórka chichotała: z perspektywy czasu dziwne, że akurat to zapamiętał.

Zeb pragnął urwać się z dyżuru przy barze i wślizgnąć do kabiny, w której dwaj ochroniarze obserwowali na monitorach, czy w prywatnych pokojach z piórami nie dzieje się nic niedobrego. Nie wiedział, jak te tabletki zadziałają. Czy wywoływały ciężką chorobę, a jeśli tak, jaką? Może efekt był rozłożony w czasie: może skubaństwa zaczynały robić swoje dopiero po upływie doby, tygodnia, miesiąca. Gdyby to jednak nastąpiło szybciej, chciał to zobaczyć na własne oczy, jasna sprawa.

Tyle że wtedy wyszłoby na jaw, że to jego robota. Dlatego, choć spięty, czekał ze stoickim spokojem, strzygąc uszami, i nucił pod nosem na melodię Yankee Doodle:

Mój tatko lubił dzieci tłuc,

Wolał to, niż bzykać,

Oby zrzygał się jak kot

I krwią z porów sikał.

Powtórzył to kilka razy za dużo i wreszcie zatrzeszczało mu w zębie: ktoś rozmawiał z ochroniarzami pilnującymi wejścia. Po, jak się zdawało, długim czasie - a tak naprawdę zaraz potem - Katrina WooWoo wyłoniła się z drzwi prowadzących do prywatnych pokojów. Starła się zachowywać jakby nigdy nic, ale stukot jej wysokich obcasów zdradzał nerwowość.

- Jesteś potrzebny na zapleczu - szepnęła do niego.
- Mam pilnować baru - powiedział, udając niechęć.
- Ściągnę Mordisa spod wejścia. Zastąpi cię. Chodź. Natychmiast!
- Z dziewczynami wszystko w porządku? - Grał na zwłokę: jeśli coś złego działo się z Wielebnym, nie chciał w tym przeszkadzać.
- Tak. Ale są przerażone. To sytuacja kryzysowa!
- Facet dostał białej gorączki? - spytał. Tak czasem bywało: różni ludzie różnie reagowali na Smak Edenu.
- Gorzej - odparła. - Weź ze sobą Jeba.

Mus malinowy

Prywatny pokój wyglądał jak po przejściu cyklonu: tu skarpeta, tam but, wszędzie plamy niezidentyfikowanych substancji i utyłane pióra. Ten kształt w kącie to musiał być Wielebny przykryty zieloną atłasową kapą. Spod niej wylewał się strumień czerwonej piany szerokości dłoni, który wyglądał jak zniszczony chorobą język.

- Co się stało? - spytał niewinnie Zeb. Trudno było wyglądać naprawdę niewinnie w ciemnych okularach, sprawdził to w lustrze, więc je zdjął.
- Wysłałam dziewczyny pod prysznic - powiedziała Katrina WooWoo. - Ależ to był dla nich szok! W jednej chwili...
- Obierały krewetkę - dokończył za nią Zeb. Tak personel nazywał rozbieranie jelenia, zwłaszcza z majtek. To, jak wszystko inne, było swoistą sztuką, mawiały Łuseczki. Czy rzemiosłem. Niespieszne rozpinanie guzików, wolne, zmysłowe rozsuwanie rozporoka. Pauza. Udawaj, że klient jest bombonierką, słodkim lizaczkiem. - Słodki lizaczek - powiedział Zeb na głos. Był wstrząśnięty: tabletki podziałały dużo ostrzej, niż przypuszczał. W sumie nie zamierzał Wielebnego od razu zabić.
- Cóż, dobrze, że sprawy nie zaszły tak daleko, bo on, cóż, według dyżurnych w kabinie monitoringu po prostu się rozpuścił. Czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Mus malinowy, tak to opisali.
- Cholera - powiedział Jeb, który uniósł róg kapy. - Potrzebny będzie odkurzacz wodny, wygląda to jak mocno skażony basen. Co go dopadło?
- Dziewczyny mówią, że nagle zaczął się pieniść - odpowiedziała Katrina. - I krzyczeć, oczywiście. Początkowo. Wyrzywał też pióra, są nie do uratowania, trzeba je będzie zniszczyć, co za marnotrawstwo. A potem krzyk przeszedł w bulgot. Ależ mam zmartwienie! - Mało powiedziane: wyglądała na przerażoną.

- Rozkleił się. Widać zjadł coś, co mu zaszkodziło - skomentował Zeb. To miał być żart; a przynajmniej mieli to mylnie uznać za żart.

Katrina się nie zaśmiała.

- Och, nie sądzę - powiedziała. - Chociaż rzeczywiście, coś mogło być w jedzeniu. Ale nie w tym, co dostał u nas, wykluczone! To musi być jakiś nowy zarazek. Jak te bakterie, które pożerają ciało, tylko działający znacznie szybciej! A jeśli to zaraźliwe?

- Gdzie mógł to złapać? - zastanawiał się Jeb. - Nasze dziewczyny są czyste.

- Od gałki w drzwiach? - powiedział Zeb. Kolejny kiepski żart. Zamknij się, bałwanie, powiedział sobie.

- Na szczęście dziewczyny były w ciałochronach z biofilmu - stwierdziła Katrina. - Trzeba będzie te ciałochrony spalić. Ale najważniejsze, że nic z tego... nic z tego, co wypłynęło z... że cokolwiek to jest, nie miały z tym bezpośredniego kontaktu.

Ząb Zeba odebrał połączenie przychodzące: Adam. Od kiedy to ma prawo nadawać do cudzych zębów? - pomyślał Zeb.

- Słyszałem, że zdarzył się incydent. - Głos Adama był brzęczący, odległy.

- Koszmarnie, kurwa, słyszeć cię w mojej głowie - stwierdził Zeb. - Brzmisz jak Marsjanin.

- Nie wątpię - powiedział Adam. - Ale w tej chwili nie jest to twój problem numer jeden. Powiedziano mi, że zmarły to nasz wspólny rodzic.

- Dobrze ci powiedziano - odparł Zeb - tylko kto ci o tym powiedział?

Przeszedł w kąt pokoju, by mieć odrobinę prywatności, przez wzgląd na

innych: ludzi drażniło, kiedy musieli słuchać, jak ktoś rozmawia przez ząb. Katrina była w drugim kącie i przez swoją wewnętrzną komórkę wzywała ekipę sprzątającą Łusek, która po wejściu niechybnie przeżyje szok. Owszem, dla niektórych starszych panów Specjalność Lokalu kończyła się podobnie - koptajle mogły być za mocne dla osób o osłabionej kondycji i sprawności fizycznej - ale nie nazbyt podobnie. Zwykle dostawali wylewu albo zawału. Nikt się jeszcze nie obrócił w pianę.

- Zadzwoiła Katrina. Naturalnie - powiedział Adam. - Informuje mnie o wszystkim.

- Wie, że to nasz...?

- Nie całkiem. Wie, że jestem zainteresowany odwiedzającymi klub pracownikami Korporacji, zwłaszcza Korporacji Naftowych, więc uprzedziła mnie o przyjętej rezerwacji dla czterech osób i specjalnej niespodziance, którą trzej ze wspomnianych klientów szykowali dla czwartego. Potem przysłała mi zdjęcia automatycznie robione w wejściu i oczywiście rozpoznałem go od razu. Wtedy byłem już w lokalu, więc poszedłem do części frontowej, na wypadek gdybym był potrzebny. Teraz jestem w barze; stoję obok kolekcji korkociągów i solniczek na szklanych półkach.

- Aha - powiedział Zeb. - To dobrze - dodał nieprzekonująco.

- Której użyłeś?

- Której czego? - spytał Zeb.

- Nie zgrywaj niewiniątka - odpowiedział Adam. - Umiem liczyć. Sześć minus trzy równa się trzy. Białej, czerwonej czy czarnej?

- Wszystkich naraz - odparł Zeb.

Nastąpiła pauza.

- Szkoda - skwitował Adam. - Trudniej nam będzie ustalić, co dokładnie zawierała każda z nich. Lepiej byłoby to zrobić w sposób bardziej kontrolowany.
- Nie powiesz mi, że tylko durny pojeb zrobiłby coś tak durnego i pojebanego? - spytał Zeb. - Choć pewnie użyłbyś nieco innych słów.
- Owszem, postąpiłeś może trochę zbyt spontanicznie - powiedział Adam - ale mogło być gorzej. A tak dobrze się stało, że cię nie rozpoznał.
- Czekaj no - powiedział Zeb. - Wiedziałeś, że wchodzi do lokalu? I mnie nie uprzedziłeś?
- Liczyłem, że zrobisz to, czego wymagała sytuacja - odparł Adam. - I nie zawiodłeś mojego zaufania.

Zeb był oburzony: ten przebiegły drań, jego starszy brat, z rozmysłem go w to wplątał, gnój jeden! Chociaż jednak wierzył w niego, Zeba, na tyle, by uznać, że poradzi sobie z wynikłym burdelem, więc do oburzenia doszło przyjemne ciepło w sercu i poczucie satysfakcji. „Dziękuję” jakoś nie pasowało do okoliczności, dlatego powiedział tylko:

- Ty mądrało pierdolony!
- Ubolewania godne - oświadczył Adam. - I szczerze nad tym ubolewam. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że dzięki temu na dobre mamy tego człowieka z głowy. A teraz, i to jest ważne: każ im zebrać jego szczątki, na tyle, na ile się da. Potem włożysz je do kriotrummy, Katrina zawsze przechowuje kilka w zapasie dla klientów, którzy zawarli umowy z KrioGeniuszem. Weź taką na całe ciało, nie na samą głowę. Wielu bywalców Łusek, którzy nie są już pierwszej młodości, poczyniło stosowne przygotowania na tego rodzaju ewentualność. Procedura jest taka, że w razie gdyby spotkało ich, jak nazywają to w KrioGeniuszu, „wstrzymanie aktywności życiowej” ... i jeśli będziesz mówił o kimś, u kogo do tego doszło, unikaj, proszę, słowa „śmierć”, jak to robią pracownicy KrioGeniusza, bo wkrótce wcielisz się w jednego z nich. Gdyby ktoś doświadczył wstrzymania aktywności życiowej, niezwłocznie

zamraża się go w kriotrummy i przewozi do KrioGeniusza, gdzie po opracowaniu stosownej biotechnologii ma zostać reanimowany.

- Czyli na święty nigdy - podsumował Zeb. - Mam nadzieję, że Katrina ma ogromną tackę na kostki lodu.

- W razie potrzeby użyj wiader - poradził Adam. - Musimy zawieźć go... zawieźć szczątki zespołowi mimetycznemu Pilar, na wschodnie wybrzeże.

- Jakemu zespołowi Pilar?

- Mimetycznemu. To nasi przyjaciele - wyjaśnił Adam.

- Za dnia pracują w Korporacjach biotechnologicznych: OrganSA, ZdrowoTechu Centrum, OdmłodNowie, nawet KrioGeniuszu. Nocą jednak pomagają nam, jak sama nazwa wskazuje: bo „mimetyczny” to biotermin określający ubarwienie ochronne u, powiedzmy, gąsienic.

- Od kiedy to tak się zakumplowałeś z gąsienicami? - powiedział Zeb. - Mózg ci się zlasował od tej MaddAddamowej gry w nazywanie wymarłych chrząszczy, jak ją zwał, Wymaratonu?

Adam puścił jego słowa mimo uszu.

- Zespół mimetyczny ustali, co było w tabletkach. Albo jest. Miejmy nadzieję, że to nie przenosi się drogą kropelkową; sądzymy, że tak nie jest, przynajmniej na razie, inaczej wszyscy, którzy byli w tym pokoju, byliby zarażeni. Choroba zdaje się atakować błyskawicznie, więc na pewno wystąpiłyby już pierwsze objawy. Z naszego obecnego stanu wiedzy wynika, że zarazić się można tylko przez kontakt bezpośredni. Uważaj, żeby nie dotykać tego... tych szczątków.

I żeby nie wsadził palca w tę breję, a potem w tyłek, pomyślał Zeb.

- Nie jestem skończonym kretynem - zachnął się.

- I tak trzymaj. Wiem, że dasz radę - powiedział Adam. - Zobaczymy się w pociągu szybkobieżnym, już z kriotrumną.

- Dokąd jedziemy? - spytał Zeb. - Czyli co, zabierasz się ze mną? - Ale Adam już się rozłączył, odłożył słuchawkę czy się wylogował; cokolwiek się robi na drugim końcu zęba.

Podczas gdy okryta plastikiem i maskami na twarz ekipa sprzątająca zbierała wodnym odkurzaczem szczątki Wielebnego i przelewała je do emaliowanych wiader, a z nich do hermetycznie zamykanych, odpornych na niskie temperatury metalowych butli, Zeb poszedł przeistoczyć się w schludniejszą, miłszą wersję Misia Smokey'ego. Pozbył się czarnego garnituru skazanego na spalenie, wziął szybki prysznic odkażający - taki sam, z jakiego korzystały Łuseczki - namydlił twarz, skropił się pod pachami jak święconą wodą, wyczyścił wacikami spiczaste uszy.

Hej, splotcę Wielebnego sobie z głowy,

Bo zdechł i rozpuścił się w mus malinowy,

W czerwonej zmienił się maź i dobrze się stało,

Że, tatusiu, to koniec, nic z ciebie nie zostało,

Sia-ba-da-ba-da, sia-ba-da-ba-da!

Zatańczył krótkiego two-stepa, zakręcił biodrami. Lubił śpiewać pod prysznicem, zwłaszcza kiedy groziło niebezpieczeństwo.

Jeszcze jedna rzeka, zaśpiewał, wkładając czysty czarny garnitur. A jest to rzeka nudy! Jeszcze jeden ząb, Jeszcze jeden ząb do wyczyszczenia.

Następnie wrócił do obowiązków i stał na posterunku za Katriną WooWoo - teraz przebraną za kiść owoców z uroczymi śladami zębów wyhaftowanymi na cycku w kształcie jabłka - kiedy ta w towarzystwie pytona Marca przekazywała tragiczną nowinę trzem członkom kierownictwa Korporacji Naftowych, uprzednio zamówiwszy dla

wszystkich mrożone daiquiri na koszt firmy, a do tego półmisek minipaluszków rybnych, Przegrzebki KropleDwie - Jak Prawdziwe, Choć Nie Denne, głosiła etykieta, co Zeb wiedział stąd, że podjadał je w kuchni - Wakacyjne Poutine Smakosza i talerz usmażonych w głębokim tłuszczu NieŁowionych Krewetek, nowego kompozytu wyhodowanego w laboratorium.

- Przyjaciół panów niestety doznał wstrzymania aktywności życiowej - powiedziała członkom zarządu Korporacji. - Głęboka rozkosz bywa zbyt dużym obciążeniem dla organizmu. Jak jednak panowie wiecie, miał... proszę wybaczyć, ma podpisaną umowę z KrioGeniuszem na zamrożenie całego ciała, nie tylko głowy... więc wszystko jest w porządku. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu waszej tymczasowej straty.

- Nie wiedziałem - powiedział jeden z ważniaków. - O tej umowie. Myślałem, że nosi się bransoletkę KrioGeniusza czy coś takiego; u niego takiej nie widziałem.

- Niektórzy dżentelmeni wolą się nie afiszować z możliwością wstrzymania aktywności życiowej - powiedziała Katrina bez najmniejszego zawahania. - Wybierają tatuaż, który zostaje wykonany w ukrytym, bardzo intymnym miejscu. Oczywiście, w naszej branży nieuchronnie widzimy wszelkie tego rodzaju tatuaże, niekoniecznie ujawniane przygodnym znajomym biznesowym. - Jeszcze jeden powód, by ją podziwiać, pomyślał Zeb, starając się nie zaglądać jej w jabłka: była pierwszorzędnym kłamcą. Sam nie spisałby się lepiej.

- Ma to sens - przyznał najważniejszy ważniak.

- W każdym razie w porę odkryliśmy ten fakt - ciągnęła Katrina - i, jak panowie wiedzą, aby zabieg się powiódł, trzeba go przeprowadzić od razu. Na szczęście zawarliśmy z KrioGeniuszem umowę na Przyspieszoną Usługę Platynową i ich specjaliści są do naszej dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wasz przyjaciel jest już w kriotrummy i lada chwila wyślemy go do centrali KrioGeniusza na wschodnim wybrzeżu.

- Nie możemy go zobaczyć? - spytał drugi ważniak.
- Kiedy kriotrumba jest zamknięta próżniowo, jak w tej chwili, otwarcie jej miałyby się z celem - odparła Katrina z uśmiechem. - Mogę przynieść certyfikat autentyczności od KrioGeniusza. Podać panom jeszcze po mrożonym daiquiri?
- Cholera. - Trzeci ważniak się zdenerwował. - Co powiemy temu jego porąbanemu kościołowi? Że wyciągnął kopyta w burdelu? Nie będą zadowoleni.
- Zgadza się - powiedziała Katrina nieco chłodniejszym tonem. Uważała Łuski za dużo więcej niż burdel: „pełne estetyczne przeżycie”, jak głosiła notka reklamowa na stronie internetowej.
- Jednak Łuski i Ogony znane są z dyskrecji w takich sprawach. Dlatego właśnie nasza sieć cieszy się największą popularnością wśród obytych dżentelmenów jak szanowni panowie. U nas każdy dostaje to, za co płaci, a nawet więcej: z dobrym alibi włącznie.
- Jakieś genialne pomysły? - rzucił drugi ważniak. Zjadł wszystkie Niełowione Krewetki i zabrał się do przegrzebków. Śmierć dodawała niektórym apetytu.
- Zachorował na wirusowe zapalenie płuc, pracując z pokrzywdzonymi przez los dziećmi w głębokiej plebsopolii, taka byłaby moja pierwsza propozycja - odparła Katrina. - To zawsze cieszy się popularnością. W razie potrzeby mamy jednak własną ekipę PR, chętnie panom pomoże.
- Dziękuję pani - powiedział trzeci ważniak, patrząc na nią zmrużonymi i lekko zaczerwienionymi oczami. - Bardzo pani pomocna.
- Cała przyjemność po mojej stronie. - Katrina uśmiechnęła się uprzejmie i wychyliła do przodu, pozwalając ucisnąć sobie dłoń i pocałować czubki palców, a jednocześnie prezentując dużą, ale nie za dużą, część swoich walorów. - Polecam się na przyszłość. Klient nasz pan.

* * *

- Złoto dziewczyna - mówi Zeb. - Mogłaby jednym kciukiem kierować dowolną z dużych Korporacji. Bez trudu.

Toby czuje, że znajome splątane macki zazdrości oplatają jej serce.

- To co, czy kiedykolwiek...?

- Czy kiedykolwiek co, laleczko?

- Zdjąłeś z niej łuskowatą bieliznę.

- Żałuję tego jak chyba niczego innego w życiu - stwierdza Zeb - ale nie. Nawet nie spróbowałem. Ręce pozostały w kieszeniach, mocno zaciśnięte. Szczęka też zaciśnięta. Ciężko się było powstrzymać, ale taka jest naga prawda: nawet jej nie pomacałem. Oka do niej nie puściłem.

-Bo?

- Po pierwsze, w Łuskach była moim szefem. Nierozsądnie jest tarzać się po podłodze z przełożonymi. Tylko im to miesza w głowach.

- Proszę cię - mówi Toby. - Nie żyjemy w dwudziestym wieku!

- Taa, taa, jestem seksistą, szowinistą, świnią i tak dalej, ale tak się składa, że to akurat jest prawdą. Nadmiar hormonów szkodzi wydajności. Widziałem to na własne oczy: szefowe nagle krępują się wydawać polecenia przystojnemu ciołkowi, który chwilę wcześniej zamącił im umysł, zawrócił w głowie, sprawił, że ryczały jak szopunks w rui i piszczwały jak zdychający królik. To zaburza hierarchię służbową. „Weź mnie, weź mnie, napisz mi przemówienie, przynieś kawę, jesteś zwolniony”. I tyle. - Robi pauzę. - Plus.

- Plus co? - Ma nadzieję poznać jakąś odrażającą cechę Katriny WooWoo, której, co prawda, to prawda, nigdy na oczy nie widziała i która na 99,999 procent nie żyje; ale zazdrość nie zna granic. Może miała

krzywe nogi, śmierdziało jej z ust albo słuchała beznadziejnej muzyki. Nawet pryszcz byłby jakimś pocieszeniem.

- Plus - kontynuuje Zeb - Adam ją kochał. Bez wątpienia. Nigdy nie kłusowałbym w jego stawie ze złotymi rybkami. Był...jest moim bratem. Całą moją rodziną. Są pewne granice.

- Żartujesz! - mówi Toby. - Adam Pierwszy? Zakochany? W Katrinie WooWoo?

- To ona była Ewą Pierwszą - oświadcza Zeb.

Pociąg do KrioGeniusza

- Trudno w to uwierzyć - mówi Toby. - Skąd wiesz?

Zeb milczy. Czy to będzie bolesna historia? Możliwe: po tym, jak przeszłość została tak brutalnie, tak nieodwracalnie rozbita, większość opowieści o niej ma w sobie pierwiastek bólu.

Na pewno jednak nie pierwszy to taki przypadek w dziejach ludzkości. Jak wielu innych było w tej samej sytuacji? Pozostawionych samym sobie, opuszczonych przez wszystkich, pozbawionych wszystkiego. Otoczonych przez martwych, którzy wyparowują powoli jak dym, podczas gdy ich ukochane, zadbane domy rozsypują się jak porzucone mrowiska, kości obracają się z powrotem w wapń, a nocne drapieżniki polują na ich rozwłóczoną powłokę cielesną, przeobrażoną w koniki polne i myszy.

Na niebie jest księżyc, prawie w pełni. Dobrze dla sów; źle dla królików, które pod wpływem szalejących hormonów często decydują się na ryzykowne, ale seksowne figle w jego blasku. Dwa kicają w tej chwili po łące, pełgając słabym zielonkawym światłem. Niektórzy kiedyś myśleli, że na księżycu żyje ogromny królik; wyraźnie widzieli jego uszy. Inni utrzymywali, że jest tam uśmiechnięta twarz; jeszcze inni, że stara kobieta z koszykiem. Do jakich wniosków na ten temat dojdą Derkaczanie, kiedy za sto, może dziesięć lat, może za rok zaczną się parać astrologią? Co chyba jest nieuniknione, chociaż kto wie.

Ale czy księżyc przybywa, czy ubywa? Toby nie ma takiej orientacji w jego fazach jak w czasie pobytu u Ogrodników. Ile razy sprawowała dozór nad Czuwaniami w trakcie pełni? Zastanawiając się od czasu do czasu, dlaczego jest Adam Pierwszy, a nie ma Ewy Pierwszej ani nawet się o niej nie wspomina. Teraz się tego dowie.

- Wyobraź to sobie - mówi Zeb. - Przez trzy dni jechaliśmy z Adamem zaplombowanym pociągiem szybkobieźnym. Wcześniej widzieliśmy się tylko dwa razy od czasu, kiedy opróżniliśmy konto Wielebego i

poszliśmy każdy w swoją stronę: w Pycha-Kawie i na zapleczu Łusek. A wtedy nie było czasu na głębsze rozmowy. Dlatego naturalnie pytałem go o różne sprawy.

Zeb musiał poświęcić zdobiącego twarz gofra, którego względnie polubił mimo pracochłonnej pielęgnacji, wymagającej starannego wymodelowania każdego szczeniastego kwadracika. Wyciął go z korzeniami golarką: zostawił na pamiątkę tylko kozią bródkę. Miał też nową czuprynę - nieprzekonującą naklejaną perukę z megarunosa, powstałą w pierwszych latach wytwarzającej je Korporacji - w obleśnie błyszczącym odcieniu brązu.

Na szczęście miejsca, gdzie nowe włosy nie wyglądały naturalnie, mógł zasłonić idiotyczną czapką, która była elementem stroju pracownika KrioGeniusza pełniącego funkcję, jak nazwano by to dawniej, „asystenta przedsiębiorcy pogrzebowego”, choć w KrioGeniuszu używano określenia Stróż Stanu Tymczasowego Wstrzymania Aktywności Życiowej. Czapka wyglądała jak zmodyfikowany turban, przez co nasuwała skojarzenie z magikami i dżinami. Była czerwonego koloru, z emblematem płomienia od frontu.

- Wiecznie płonący płomień życia, rozumiesz? - mówi Zeb. - Kiedy pokazali mi tę myckę trzeciorzędnego magika, powiedziałem: „Żarty sobie, kurwa, robicie? Nie będę nosił gotowanego pomidora na głowie!”. Potem jednak zrozumiałem, na czym polegało całe jej piękno. Każdy, kto zobaczyłby ją i resztę mojego stroju... fioletowy komplet przypominający piżamę, a może coś, co nosiłby karateka... z miejsca wzięłoby mnie za przerośniętego półgłówka, który nie miał szans na żadną inną pracę. Pilnowanie kriotrumny w pociągu... może być coś bardziej żalosego? „Będąc gdzieś, gdzie nikt się ciebie nie spodziewa”, mawiał stary Maestro Slaughter, „jesteś niewidzialny”.

Adam miał taki sam strój i wyglądał w nim jeszcze bardziej idiotycznie niż Zeb. To było jakieś pocieszenie. Poza tym kto miałby ich zobaczyć? Byli zamknięci w specjalnym wagonie KrioGeniusza z kriotrumną podłączoną do własnego odrębnego generatora, utrzymującego w jej

wnętrzu temperaturę poniżej zera stopni. KrioGeniusz szczylił się swoimi nadzwyczajnymi środkami bezpieczeństwa; zagrożenie kradzieżą DNA lub innych, większych części ciała spędzało sen z powiek wszystkim zakochanym we własnych strukturach węglowych - nie zapomniano w tych kręgach o kradzieży mózgu Einsteina.

Dlatego z opiekunami kriotrumien zawsze podróżował uzbrojony strażnik, siedzący przy drzwiach przedziału. W czasie prawdziwych misji KrioGeniusza funkcję tę pełnił członek skonsolidowanego i stale się rozrastającego KorpuSOKorpu uzbrojony w miotacz. Ponieważ jednak ta akcja była od początku do końca mistyfikacją, rolę tę objął kierownik Łusek imieniem Mordis. Wyglądał, jak należy: twardziel, błyszczące oczy karalucha, uśmiech bezstronny jak spadający gład.

Nie miał jednak prawdziwej broni: zespół mimetyczny mógł podrobić stroje, ale nie potrafił odtworzyć tego rodzaju potrójnie zabezpieczonej technologii wykorzystującej części ruchome. Jego miotacz był więc sprytną imitacją z plastiku i pomalowanej pianki, co nie miało żadnego znaczenia, bo każdy, kto podszedłby na tyle blisko, żeby się w tym połapać, znalazłby się w zasięgu pięści Mordisa.

Po co jednak ktokolwiek miałyby to robić? Patrząc z zewnątrz, był to rutynowy transport zwłok. Czy raczej „przewiezienie dotkniętego wstrzymaniem aktywności życiowej z brzegu życia z powrotem na brzeg życia”. Długie strasznie, ale w KrioGeniuszu przepadali za tego rodzaju eufemistycznym wodolejstwem. Nie mieli innego wyjścia, zważywszy na to, w jakiej branży działali: ich najmocniejszymi atutami rynkowymi były naiwność i bezpodstawna nadzieja klientów.

- To była najbardziej dziwaczna podróż w moim życiu - mówi Zeb. - Przebrany za Aladyna, zamknięty w przedziale z bratem, który na głowie miał połówkę zgniecionej dyni, między nami kriotrumna z naszym tatą w postaci bulionu. Chociaż włożyliśmy do niej też kości i zęby. Nie rozpuściły się. W Łuskach wywiązała się nawet krótka dyskusja o tym, co zrobić z materiałem kostnym; w głębi plebsopolii dawali niezłe pieniądze za ludzkie kości, bo modna tam była rękodzielnicza biżuteria z

ludzi. Kościdełka, tak ją nazywano. Adam, Katrina i, muszę przyznać, moja skromna osoba przemówiliśmy jednak entuzjastom tego rozwiązania do rozsądku, bo nawet gdyby te szczątki wygotować, nie mielibyśmy pewności, czy wszystkie zarazki wyginęły. Wtedy jeszcze nic o nich nie wiedzieliśmy.

Mam kriotrumnę haftowaną, wszystkie cztery rogi, zanucił Zeb.

Adam wyjął mały notes i ołówek. Napisał: „Uważaj na to, co mówisz. Najprawdopodobniej jesteśmy na podsłuchu”.

Pokazał Zebowi wiadomość, osłaniając ją dłonią, po czym wytarł kartkę gumką i napisał: „I proszę cię, nie śpiewaj. To strasznie irytujące”.

Zeb poprosił gestem o mały notes. Adam oddał go po krótkim wahaniu. Zeb napisał: „PS+SW”. I pod spodem: „Pierdol Się i Się Wal”. A dalej: „I jak, zaruchałeś już?”.

Brat przeczytał i poczerwieniał. Rumieńce na jego policzkach to było nowe zjawisko: przynajmniej dla Zeba. Adam był taki blady, że naczynia włoskowate prawie prześwitywały mu przez skórę. Odpisał: „Nie twój interes”.

Zeb napisał: „Haha, czy to była K i czy za to zapłaciłeś?”. Bowiem od dawna podejrzewał, kędy wieje Adamowy wiatr.

Adam napisał: „Nie pozwolę, żebyś tak obrażał tę damę. Z poświęceniem wspiera nasze wysiłki”.

Zeb powinien był napisać: „Jakie wysiłki?”. Wtedy dowiedziałby się więcej. Zamiast tego napisał: „Haha, trafiony, zatopiony, to ci numer, że tak powiem :D!! Przynajmniej nie jesteś gejem! :D :D”.

Adam napisał: „Jesteś obrzydliwie wulgarny”.

Zeb napisał: „To cały ja! Mniejsza z tym, szanuję prawdziwą miłość”. Narysował serce, potem kwiatek. Prawie dodał: „Nawet jeśli jej obiekt

proceedzi luksusową obciążalnię”, ale rozmyślił się: Adam już się bardzo nabzdyczył, jeszcze trochę, a zapomniaby się i chyba pierwszy raz w życiu rzucił z pięściami na Zeba. Wtedy zaś doszłoby do niestosownej szarpaniny nad szczątkami ich rozpuszczonego rodzica, która nie skończyłaby się dobrze dla Zeba, bo nigdy nie mógł się zdobyć na to, żeby na poważnie przywalić bratu; musiałby więc dać się pobić temu blademu cherlakowi.

Adam jakby się udobruchał - może to dzięki temu sercu i kwiatkowi - ale wciąż był rozdrażniony. Zmiał kartki, na których pisali, podał je i poszedł do kibla, gdzie - jak Zeb się domyślał - spuścił te strzępki papieru na tory. Nawet gdyby jakiś wścibski szpicel zdołał je zebrać i posklejać, nie dowiedziałyby się niczego ciekawego. Ot, niskokaloryczne świntuszenie, jakiego można się spodziewać po opiece kriotrumny zabijającym czas poza zasięgiem słuchu klienteli.

Reszta podróży upłynęła w ciszy. Adam siedział ze skrzyżowanymi ramionami i zasępionym, acz świętoszkowatym wyrazem twarzy, a Zeb nucił pod nosem, podczas gdy kontynent przemykał za oknem.

Na stacji końcowej na wschodnim wybrzeżu wagon KrioGeniusza powitała Pilar, udająca przejętą krewną zmarłego - czy raczej klienta w stanie tymczasowego wstrzymania aktywności życiowej - i trzech nieznanymi, których Zeb uznał za członków zespołu mimetycznego.

- Dwóch znasz - mówi Zeb. - To Katuru i Manat. Trzecia była dziewczyna, którą straciliśmy podczas łapanki Derkacza na MaddAddamowców, wiesz, wtedy, kiedy projektował Der-kaczan i zbierał mózgowców do pracy przy Projekcie WyRaj. Próbowwała uciec i mogę się tylko domyślać, że spadła z estakady i skończyła rozjechana na miazgę. To jednak stało się później.

Pilar uroniła kilka krokodylich łez do chusteczki, na wypadek gdyby w pobliżu były minidrony czy urządzenia szpiegowskie. Potem pod jej dyskretnym nadzorem załadowano kriotrumnę do długiego pojazdu. W KrioGeniuszu pojazdy te nazywano nie „karawanami”, tylko „autobusami

do nowego życia”. Były w kolorze gotowanego pomidora, na drzwiach miały radosny wieczny płomień życia: nic ponurego, co mogłoby zepsuć uroczysty nastrój.

Kriotrumna z Wielebnym znalazła się więc w autobusie do nowego życia, który miał ją zabrać do ściśle strzeżonej komórki badania próbek biologicznych - nie w KrioGeniuszu, nie dysponowali odpowiednim sprzętem, lecz w ZdrowoTechu

Centrum. Pilar i Zeb wsiedli razem z nią. Mordis miał się przebrać i pójść do miejscowych Łusek i Ogonów, gdzie potrzeba było kierownika rządzącego twardszą ręką.

Adam zaś zamierzał włożyć na siebie swój coraz dziwniejszy strój codzienny i poleźć robić to, co zwykle robił w głębi plebsopolii. Zanim się rozstali, oddał białego gońca Pilar, wydobywszy go ze słonego wnętrza dziewczyny-solniczki: zespół mimetyczny chciał dokładnie zbadać zawartość tabletek, a sądzili, że mają już sprzęt, który pozwoli im to zrobić bez zagrożenia infekcją.

Na Zeba czekała kolejna nowa tożsamość, przygotowana przez Pilar: od tej pory miał być wtyczką w ZdrowoTechu Centrum.

- Zrób coś dla mnie - poprosił Pilar, kiedy zapewniła, że w autobusach do nowego życia nie ma sprzętu szpiegowskiego, dokładnie je sprawdzili. - Porównaj moje DNA z DNA Wielebnego. Tego gościa w kriotrumnie. - Nigdy nie wyzbył się przekonania z lat dziecięcych, że Wielebny nie był jego prawdziwym ojcem, i teraz miał niechybnie ostatnią okazję, by poznać prawdę.

Pilar zapewniła, że to żaden kłopot. Dał jej wymaz z policzka, z braku fachowych narzędzi pobrany chusteczką, a ona schowała ją starannie do małej plastikowej koperty, która zawierała już coś, co wyglądało jak zasuszone ucho elfa, pomarszczone i żółte.

- Co to? - zapytał. Chciał okrasić to „kurwą”, ale bliskość Pilar jakoś nie sprzyjała przeklinaniu. - Gremlin z kosmosu?

- Kurka - powiedziała. - Grzyb. Jadalny, nie mylić z fałszywą kurką.
- Nie wyjdzie potem, że mam DNA grzyba?

Pilar się zaśmiała.

- Małe zagrożenie - powiedziała.
- To dobrze - odparł Zeb. - Powiedz o tym Adamowi.

Jedyny kłopot polegał na tym, pomyślał później tej nocy, zasypiając w swojej spartańskiej, ale zadowolającej kwaterze w ZdrowoTechu - jedyny kłopot polegał na tym, że jeśli Pilar przeprowadzi porównanie DNA i wyjdzie, że Wielebny nie jest jego ojcem, będzie to znaczyło, że nie są z Adamem braćmi. Że w ogóle nie są ze sobą spokrewnieni. Nie łączą ich więzy krwi.

A zatem:

Fenella + Wielebny = Adam.

Trudy + Nieznany Dawca Spermy = Zeb.

= Brak wspólnego DNA.

Jeśli taka była prawda, czy na pewno chciał ją poznać?

Różoświatliki

W ZdrowoTechu Centrum Zeb otrzymał funkcję Dezynfektora Pierwszej Kategorii. Dostał jaskrawozielony kombinezon z logo ZdrowoTechu i dużym świecącym pomarańczowym D na przedzie; dostał siatkę na włosy, żeby nie zaśmiecał produktami swoich mieszków włosowych stanowisk pracy ludzi ważniejszych od siebie; dostał filtr na nos, w którym wyglądał jak Świnia z filmu rysunkowego; dostał niewyczerpane zapasy ochronnych, hydrofobowych, nieprzepuszczających nanobioform rękawic i butów; oraz, co najważniejsze, dostał klucz uniwersalny.

Tyle że tylko do biur, nie do laboratoriów. Te mieściły się w innym budynku. Nigdy jednak nie było wiadomo, jakie informacje zręczny robinhoodowiec - zwłaszcza wyposażony w krótki program-wytrych dostarczony przez współkonspiratorów - mógł wyciągnąć z niepilnowanego komputera późną nocą, kiedy wszyscy porządni obywatele smacznie spali w cudzych łóżkach. W ZdrowoTechu więzy małżeńskie były dość luźne.

Dawno, dawno temu takiego Dezynfektora jak Zeb nazywano by „sprzątaczem”, a wcześniej „woźnym”, a jeszcze wcześniej „posługaczką”; był jednak dwudziesty pierwszy wiek, więc nazwę jego stanowiska uzupełniono o nawiązanie do nanobioform. Normalnie, aby zasłużyć na to miano, Zeb musiałby zostać dokładnie prześwietlony, bowiem która wroga Korporacja - może z obcego kraju - nie wpadłaby na pomysł, żeby przebrać jednego ze swoich piratów klawiatury za członka niższego personelu biurowego i kazać mu wykraść wszystko, co się da?

Mało tego: żeby zostać Dezynfektorem, Zeb powinien był też odbyć szkolenie obfitujące w aktualizowany na bieżąco nowoczesny bełkot, opowiadający o tym, gdzie mogą czyhać zarazki i jak je pozbawić przytomności. Nie trzeba chyba dodawać, że darował to sobie; ale Pilar przedstawiła mu skróconą wersję, zanim zaczął pracę.

Zarazki podobno chętnie przesiadywały, co doskonale wiedział, na

deskach klozetowych, podłogach, zlewach i gałkach drzwi. Czatowały też jednak na guzikach wind, słuchawkach telefonów i klawiaturach komputerów. Musiał więc wycierać to wszystko ściereczkami antybakteryjnymi i traktować promieniami śmierci, a także myć podłogi w korytarzach i tym podobnych i odkurzać dywany w bardziej luksusowych gabinetach, żeby usunąć wszystko, co przeoczyły pracujące za dnia roboty. Skubańce bez przerwy toczyły się w tę i w tę, podjeżdżały tyłem do gniazdek w ścianach, żeby się podłączyć i podładować sobie akumulatory, po czym zmykały, pikając ostrzegawczo, byś się o któregoś nie potknął. Zeb czuł się wśród nich jak na plaży pełnej wielkich krabów. Kiedy był sam na piętrze, zapędzał je kopniakami w kąt albo przewracał na grzbiet, żeby zobaczyć, jak szybko się pozbierają.

Oprócz stroju dostał nowe imię: Horatio.

- Horatio? - mówi Toby.

- Śmiech jest nie na miejscu - odpowiada Zeb. - Ktoś uznał, że tak rodzina niekoniecznie legalnych Teks-Meksów, takich co przekradli się pod Murem, mogłaby nazwać syna, z którym wiązała nadzieje. Sądziли nawet, że wyglądam trochę jak Teks-Meks, albo może mieszaniec w części złożony z teksańsko-meksykańskiego DNA. Bo i taki jest stan faktyczny, jak się wkrótce dowiedziałem.

- Och - mówi Toby. - Pilar zrobiła porównanie DNA.

- Otóż to - potwierdza Zeb. - Choć minęło trochę czasu, zanim dostałem od niej wiadomość. Nie mogła się ze mną pokazywać, bo skąd niby miała mnie znać? Zresztą, tak czy owak, musieliśmy mocno kombinować, żeby się spotkać, bo pracowaliśmy na różnych zmianach. Dlatego kiedy dałem jej moją próbkę, ustaliliśmy, jak w razie czego nawiążemy kontakt.

- Wcześniej, kiedy jeszcze byłem w wagonie KrioGeniusza, a ona przygotowywała moją tożsamość Dezynfektora i wprowadzała ją do systemu, Pilar zorientowała się, że będę sprzątał damską ubikację na tym samym korytarzu, na którym było jej laboratorium. Dali mi nocną zmianę; o tej porze pracowali tylko Dezynfektorzy płci męskiej, żeby nie

było obłapienia ani krzyków, jak to się czasem zdarza, kiedy załoga jest mieszana. Dlatego po zmroku miałem całe piętro dla siebie. Druga kabina od lewej: to ją musiałem obserwować.

- Zostawiła liścik w zbiorniku spłuczki?
- Nic tak oczywistego. Zbiorniki regularnie sprawdzano; tylko amator schowałby w nich coś ważnego. Skrzynką kontaktową był ten kwadratowy pojemnik, który mają w takich ubikacjach, na te, no, jak to zwał. Rzeczy, których nie należy spuszczać w sedesie. Ale nie zostawiłaby w nim liścika, za bardzo rzucałby się w oczy.
- Czyli co, sygnał? - Toby zastanawia się jaki. Jedno oznacza radość, dwa smutek? Tylko jedno i dwa co?
- Uhm. Coś niezwracającego uwagi, a zarazem rzadko w tym miejscu widzianego. Wybrała pestki.
- Pestki? - dziwi się Toby.
- Zgadza się. Niby że wyrzucił je ktoś, kto jadł lunch w ubikacji. Robiły tak niektóre kobiety w typie sekretarek; zamykały się w kiblu, żeby mieć ciszę i spokój. Zdarzało się, że znajdowałem w tych pojemnikach resztki kanapek: skórkę od bekonu, kawałek sera. W ZdrowoTechu pracowało się pod presją czasu, tym silniejszą, im niższe stanowisko, więc ludzie korzystali z każdej okazji, żeby się wymknąć i trochę odsapnąć.
- Na jakie pestki się zdecydowaliście? - pyta Toby. - Jaka oznaczała „tak”, a jaka „nie”? - Sposób myślenia Pilar zawsze ją intrygował: na pewno nie wybrała przypadkowych owoców.
- Pestka brzoskwini to „nie” - brak pokrewieństwa z Wielebnym. Pestka daktyla „tak” - masz pecha, Wielebny to twój tatuś, siedź i płacz, bo jesteś przynajmniej w połowie psychopatą.

Toby uznaje, że brzoskwinia to logiczny wybór: Ogrodnicy cenili brzoskwinie, uważali bowiem, że to one mogły rosnąć na rajskim

drzewie życia. Nie żeby pogardzali daktylami i wszelkimi innymi niepryskanymi owocami.

- ZdrowoTech musiał mieć dostęp do całkiem drogich owoców. O ile pamiętam, w tamtym okresie masowo wymierały pszczoły, więc zbiory brzoskwiń i jabłek gwałtownie spadły. Śliwek też - dodaje. -I cytrusów.
- ZdrowoTech zarabiał duże pieniądze - mówi Zeb. - Zbijał majątek na witaminach i lekarstwach. Mogli sobie więc pozwolić na import owoców z roślin zapylanych cybernetycznie. Świeże owoce były jednym z dobrodziejstw pracy w ZdrowoTechu. Oczywiście tylko dla wyższego personelu.
- I co znalazłeś? - pyta Toby. - To znaczy jaką pestkę?
- Brzoskwini. I nie jedną, a dwie. Jakby na podkreślenie.
- Co w związku z tym czułeś? - pyta Toby.
- W związku z rozrzutnym wykorzystaniem drogich owoców? - Zeb unika emocji.
- W związku z informacją, że twój ojciec nie był twoim ojcem - cierpliwie uściśla Toby. - Musiałeś coś poczuć.
- No dobra. Pomyślałem „Wiedziałem” - mówi Zeb. - Lubię mieć rację, bo i kto nie lubi? Poza tym zrobiło mi się lżej na sumieniu w związku z, no wiesz. Obróceniem go w pianę.
- Miałeś wyrzuty sumienia z tego powodu? - mówi Toby.
- Nawet gdyby był twoim ojcem, był takim...
- Tak, wiem. Ale mimo wszystko. Więzy krwi są silniejsze od żądzы krwi. Trochę by mi to ciążyło. Minusem było to, co z tego wynikało odnośnie do Adama. To mnie nieszczególnie ucieszyło: nagle przestał być moim krewnym. Przynajmniej z punktu widzenia genetyki.

- Powiedziałeś mu? - pyta Toby.
- Nie. Uznałem, że jednak nadal jesteśmy braćmi. Zrośniętymi ze sobą głowami. Dużo nas łączyło.
- Teraz dochodzę do czegoś, co raczej ci się nie spodoba, laleczko - mówi Zeb.
- Bo będzie o Lucerne? - pyta Toby. Zeb nie jest głupi. Musiał od dawna podejrzewać, co sądziła o Lucerne, jego konkubinie u Ogrodników. Lucerne Irytującej, dekonwiczce, która wymawiała się od wspólnego pielenia chwastów i szycia wiecznym bólem głowy, marudnej posiadaczce Zeba, matce zaniedbującej Ren. Lucerne Ponętnej, byłej mieszkance Korporacji ZdrowoTech poślubionej wysokiej rangi specjalistce. Lucerne niepoprawnej romantyczce, która uciekła z obszarpanym Zebem, bo naoglądała się za dużo filmów, w których piękne kobiety tak robiły.

Zeb, w wersji Lucerne, postradał zmysły z niepoohamowanej żądzy do niej. Zatrudniony wówczas jako ogrodnik, sadił różoświatliki w spa NowyTty, kiedy zobaczył ją w różowym kimono; wtedy dostał zęza z pożądania i natychmiast zaczęli się gwałtownie, namiętnie kochać na trawie wilgotnej od rosy. Toby wiele razy słyszała tę historię od samej Lucerne, jeszcze w czasach Ogrodników, i przy każdym kolejnym opowiedzeniu coraz mniej jej się ona podobała. Gdyby teraz wychyliła się za balustradę i splunęła, mogłaby trafić śliną dokładnie w miejsce, gdzie Zeb i Lucerne pierwszy raz tarzali się w trawie. No, prawie dokładnie.

- Otóż to - mówi Zeb. - Lucerne. Wtedy pojawiła się w moim życiu. Mogę to pominąć, jeśli chcesz.
- Nie - odpowiada Toby. - Nigdy nie słyszałam twojej wersji tej historii. Ale Lucerne powiedziała mi o płatkach różoświatlików. Jak to obsypałeś nimi jej drżące ciało i tak dalej. - Próbuje nie okazywać zazdrości, ale to trudne. Czy ktoś kiedyś obsypał jej drżące ciało płatkami różoświatlików lub chociaż o tym pomyślał? Nie. Ma do tego nieodpowiedni

temperament. Zepsułaby nastrój - „Co się wygłupiasz z tymi płatkami?”. Albo zaśmiałyby się, co byłoby zgubne. Na razie musi się zamknąć i powstrzymać od komentarzy, inaczej nie pozna tej historii.

- Taa, cóż, obsypywanie płatkami to dla mnie rzecz naturalna, pracowałem w branży magicznej - mówi Zeb. - To służy odwróceniu uwagi. Ale w tym, co ci powiedziała, zapewne było trochę prawdy.

Jednak Zeb i Lucerne po raz pierwszy zobaczyli się nie w spa NowyTy. Stało się to w damskiej ubikacji, którą Zeb miał sprzątać i faktycznie sprzątał, jednocześnie szukając w metalowym pojemniku pestki brzoskwini lub daktyla. Do tego czasu nie znalazł ani jednej, ani drugiej - to było, zanim Pilar uzyskała wyniki porównania jego DNA z DNA Wielebnego, a może zanim zdołała zebrać nieodzowne pestki - więc właśnie wychodził z drugiej kabiny po lewej z pustymi rękami, a przynajmniej bez pestek, gdy nagle drzwi wejściowe się otwierają i kogóż widzi? Lucerne we własnej osobie.

- To było w środku nocy? - pyta Toby.

- Zgadza się. Co ona tu robi? - zadałem sobie pytanie. Albo była robinhoodowcem jak ja, a więc musiała być wybitnie nieudolna, skoro dała się nakryć tam, gdzie teoretycznie nie miała czego szukać. Albo sypiała z ważniakiem ze ZdrowoTechu, który dał jej klucz do budynku, żeby mogli się tarosić na jego eleganckim dywanie, w czasie kiedy on rzekomo pracował do późnej nocy, a ona ćwiczyła na siłowni. Chociaż nawet jak na to pora była późna.

- Albo jedno i drugie - mówi Toby. - I z kimś sypiała, i była robinhoodowcem.

- Uhm. To dobra kombinacja: jedno może posłużyć za wymówkę drugiego. „Och, nie, niczego nie kradłam, zdradzałam tylko męża. Och, nie, nie zdradzałam męża, tylko coś kradłam”. Jestem jednak pewien, że chodziło o to pierwsze. Nie sposób nie poznać tego objawów.

Lucerne krzyknęła cicho na widok Zeba wyłaniającego się z kabiny w

nieprzepuszczalnych rękawicach i filtrze na nos, który upodabniał go do kosmity. Nie był to jej pierwszy cichy okrzyk tej nocy, domyślił się: była zarumieniona i zdyszana, a do tego, można rzec, rozchełstana. Czy raczej porozpinana. Albo, mówiąc elegancko, w nieładzie. Nie trzeba dodawać, że w tej konkretnej chwili wyglądała bardzo atrakcyjnie.

No tak. Nie trzeba dodawać, myśli Toby.

- Co robisz w damskiej ubikacji? - powiedziała Lucerne oskarżycielskim tonem. Pierwsza zasada: kiedy cię przyłapią na gorącym uczynku, oskarżaj pierwszy. I użyła sformułowana „damska ubikacja”, nie „ubikacja dla pań”. Samo to wiele mówiło.

- O czym? - pyta Toby.

- O jej charakterze. Miała kompleks piedestału. Chciała być na nim stawiana. Dama stoi szczebel wyżej niż pani.

Zeb nasunął filtr ochronny na czoło; teraz wyglądał jak nosorożec ze stępionym rogiem.

- Jestem Dezynfektorem Pierwszej Kategorii - oznajmił pewnie, acz pompatycznie. Piękna kobieta, po której znać, że przed chwilą dała dupy innemu, ma w sobie coś, co skłania mężczyznę do pompatycznego zachowania: rani jego poczucie miłości własnej. - A co pani robi w tym budynku? - rzucił równie oskarżycielskim tonem. Zauważył obrączkę ślubną. Aha, pomyślał. Lwica w klatce. Poczwała potrzebę, żeby się oderwać od codziennej nudy.

- Musiałam dokończyć pracę - skłamała Lucerne, na tyle przekonująco, na ile potrafiła. - Moja obecność tutaj jest całkowicie uprawniona. Mam przepustkę. - Zeb mógł jej powiedzieć, że bujać to my, a nie nas, ale zaimponowała mu tym, że użyła słowa „uprawniona” w tak obłudnym kontekście. Nie zaprowadził więc Lucerne na stanowisko ochrony, co poskutkowałoby potwierdzeniem jej tożsamości u męża, nieprzyjemnymi konsekwencjami dla kochanka i prawie na pewno zwolnieniem samego Zeba. Puścił jej to płazem.

- Jasne, w porządku, przepraszam - powiedział stosownie służalczym i pokornym tonem.

- A teraz, jeśli nie masz obiekcji, jesteśmy w damskiej ubikacji i chciałabym mieć trochę prywatności, Horatio - powiedziała, wodząc palcem po imieniu na jego plakietce. Zajrzała mu głęboko w oczy. To było błaganie - Nie wsyp mnie - a zarazem obietnica: Pewnego dnia będę twoja. Nie żeby zamierzała tej obietnicy dotrzymać.

Sprytnie rozegrane, pomyślał Zeb, wychodząc.

Dlatego kiedy spotkali się po raz drugi, bladym świtem, na świeżo zadarnionym trawniku niedawno ukończonego spa NowyTy w sercu Parku Dziedzictwa, ona bosa i niedostatecznie okryta prześwitującym różowym kimono, on z falliczną łopatą i płomienistym krzewem różoświatlikowym w dłoni, Lucerne rozpoznała go. I pamiętała, że kiedyś miał na imię Horatio, a teraz z tajemniczych powodów był - jak wyczytała na jego plakietce ogrodnika - Atashem.

- Pracował pan w ZdrowoTechu - powiedziała. - Ale wtedy nie był pan...
- Naturalnie więc ją pocałował, gorąco, z niepohamowaną namiętnością. Bo nie mogła jednocześnie mówić i całować.

- Naturalnie - mówi Toby. - To kim niby byłeś? Co to jest „Atash”?

- Irańczykiem - odpowiada Zeb. - Wnukiem imigrantów. Bo i czemu nie? Dużo ich tu ściągnęło pod koniec dwudziestego wieku. To był względnie bezpieczny alias, pod warunkiem że nie natknąłbym się na innych Irańczyków i nie zaczęliby wypytywać o sprawy genealogiczne, skąd pochodzi rodzina i tak dalej. Chociaż na wszelki wypadek wykułem na pamięć cały mój lewy życiorys. Dobry był; wystarczająco dużo zniknięć i zbrodni, żeby wyjaśnić wszelkie nieścisłości dotyczące dat i miejsc.

- A zatem Lucerne spotyka Atasha i podejrzewa, że tak naprawdę ma na imię Horatio - mówi Toby. - Albo na odwrót.

- Chce jak najszybciej przebrnąć przez te bolesne elementy jego historii;

jeśli szczęście dopisze, będzie to ostatnia wzmianka o ich gorącym, nieokiełznanym seksie i obsypywaniu płatkami. Dość się o tym nasłuchiwała od Lucerne.

- Właśnie. A to nie było mi na rękę, bo niedługo wcześniej musiałem się błyskawicznie ewakuować ze ZdrowoTechu. Jeden z komputerów miał zainstalowany alarm, którego nie zauważyłem, i poszedł sygnał, że ktoś przy nim majstrował. Zorientowałem się w tym tuż po fakcie; wiedziałem, że lada chwila sprawdzą, kto w tym czasie przebywał w budynku, i mnie namierzą. Wszedłem do chatroomu MaddAddama, poprosiłem o pilną pomoc i zespół mimetyczny skontaktował się z Adamem. On znał kogoś, kto mógł mnie wkłócić na posadę ogrodnika w spa NowyTy, choć obaj byliśmy świadomi, że to tymczasowe rozwiązanie i że wkrótce będę musiał się rozejrzeć za czymś innym.

- Czyli ona wie, ty wiesz, że ona wie, a ona wie, że ty wiesz, że ona wie - podsumowuje Toby. - W chwili spotkania na trawie.

- Otóż to. Miałem dwa wyjścia: morderstwo albo uwiedzenie. Wybrałem to bardziej atrakcyjne.

- Rozumiem - mówi Toby. - Postąpiłabym tak samo. - Słuchając go, można by pomyśleć, że uwiódł ją z rozsądku, oboje jednak wiedzą, że prawda jest bardziej złożona. Prześwitujące różowe kimono są po to, żeby być.

Lucerne pod pewnymi względami przynosiła mu pecha, powiedział Zeb. Chociaż pod innymi przynosiła szczęście, bo nie sposób zaprzeczyć, że...

- Możesz to pominąć - mówi Toby.

- No dobra, wersja skrócona: trzymała mnie za jaja, dosłownie i w przenośni. Jednak nie sypnąłem jej wtedy w ubikacji, a ona skłonna była mi się za to odwdziaczyć, pod warunkiem że będę jej poświęcał wystarczająco dużo uwagi. W końcu zbziko-wała na moim punkcie, a dalszy ciąg znasz: zadowolić ją mogła tylko ucieczka z tajemniczym mężczyzną, którego poznała, kiedy miał na nosie świński ryj.

- Pomieszkiwaliśmy w głębi plebsopolii, co początkowo wydawało jej się romantyczne. Na szczęście nikt... nikt z KorpuSOKorpu... nie wykazywał szczególnego zainteresowania zniknięciem Lucerne, bo nie ukradła własności intelektualnej ani niczego takiego. Zdarzało się, że znudzone żony uciekały z Kompleksów, nie było w tym nic nadzwyczajnego. KorpuSOKorp uznawał, że to prywatne sprawy, o tyle, o ile w ich mniemaniu cokolwiek w ogóle było prywatne. Niespecjalnie się tym interesowali, zwłaszcza jeśli mąż nie zawracał im głowy. A mąż Lucerne, zdaje się, tego nie robił.

- Kłopot w tym, że Lucerne wzięła ze sobą Ren. Słodką dziewczynka, lubiłem ją. W głębi plebsopolii było jednak dla niej zbyt niebezpiecznie. Handlarze żywym towarem porywali z ulic dzieci w jej wieku nawet w obecności rodziców. Plebsomasy wszczynały awanturę, czerwony sos do SekretBurgerów latał w powietrzu, wywracano budkę albo samochód solarny... innymi słowy, jedna wielka hałaśliwa zmyłka... i zanim człowiek się spostrzegł, dziecka już nie było. Nie mogłem jej na to narażać.

* * *

Zeb załatwił sobie jeszcze kilka przeróbek uszu, linii papilarnych i tęczówek - na pewno wiedzieli już, że grzebał w komputerach ZdrowoTechu, i go poszukiwali - po czym...

- Po czym zjawiliście się we trójkę u Bożych Ogrodników

- mówi Toby. - Pamiętam to; od początku zastanawiałam się, co tam robicie. Nie pasowaliście do reszty.

- Bo nie złożyłem jakichś tam ślubów i nie napiłem się Elixiru Życia? Bóg cię kocha i kocha też mszyce?

- Mniej więcej.

- Rzeczywiście. Nie zrobiłem tego. Ale Adam i tak musiał tolerować moją obecność, nie? Byłem jego bratem.

Edencliff

- Adam wtedy już na dobre rozkręcił ten swój ekocyrk - mówi Zeb. - W Ogrodzie na Dachy Edencliff. Byłaś tam. Katuru i Rebecca też. Nuala... ciekawe, co się z nią stało? Akuszerka Maruszka i inni. I Philo. Szkoda go.
- Cyrk? - mówi Toby. - Niezbyt miłe określenie. Chyba Boży Ogrodnicy byli czymś więcej.
- Fakt - odpowiada Zeb. - Zgoda. Ale plebsopolici uznawali to za cyrk. I w sumie dobrze: w tej okolicy najlepiej było mieć opinię nieszkodliwego ubożego przygłupa. Adam nic nie robił, żeby zmienić ten wizerunek; przeciwnie, umacniał go. Chodził w prostych, ale rzucających się w oczy łałach szurniętego nurka śmietnikowego, ciągnął za sobą chór śpiewający pomyłone hymny, prawił kazania o miłości do zwierząt kopytnych przed budkami SekretBurgera... trzeba być zlobotomizowanym, żeby tak postępować, oceniała ulica.
- Gdyby tego nie robił, nie byłoby mnie tutaj - mówi Toby.
- On i dzieciaki od Ogrodników zgarnęli mnie w czasie bójki ulicznej. Pracowałam... utknęłam w SekretBurgerze i wpadłam szefowi w oko.
- Twojemu kumplowi Blanco - mówi Zeb. - Trzykrotny paintbólowiec, z tego, co pamiętam.
- Tak. Dziewczyny, które wpadały mu w oko, nie uchodziły z tego z życiem, a ja byłam następna na liście. Wtedy już zrobił się agresywny, chciał mnie zabić; to było czuć. Dlatego dużo zawdzięczam Adamowi... Adamowi Pierwszemu, bo pod tym imieniem go znałam. Czy to był cyrk, czy nie - dodaje, jakby próbowała się bronić.
- Nie zrozum tego źle - mówi Zeb. - Jest moim bratem. Różniliśmy się w pewnych sprawach, on miał swoje metody, ja swoje, ale to co innego.
- Nie wspomniałeś o Pilar - mówi Toby, żeby odejść od tematu Adama

Pierwszego. Niezręcznie się czuje, słuchając wymierzonej w niego krytyki. - Ona też tam była. W Edencliff.

- Uhm, nie mogła już wytrzymać w ZdrowoTechu. Dostarczała Adamowi informacji, co było dla niego korzystne; lubił wiedzieć, kto mógłby zdezerterować z Korporacji, przejść na stronę cnoty, czyli, ma się rozumieć, jego własną. W końcu jednak zdecydowała, że nie zostanie tam ani chwili dłużej. Odkąd KorpuSOKorp przejął pilnowanie tak zwanego prawa i porządku, Korporacje mogły niszczyć, deptać i usuwać wszystko, co chciały. Ich nałogowa pazerność na forszę była dla niej zbyt toksyczna; zatruchiwała, cytuję, jej duszę.

- Zespół mimetyczny pomógł jej przygotować mistyfikację, dzięki której zniknęła, nie budząc podejrzeń: niefortunny wylew, niezwłoczne przewiezienie w kriotrummy do KrioGeniusza, hokus-pokus i już była na dachu kamienicy czynszowej w plebsopolii, ubrana w płócienny wór, i mieszała mikstury.

- I hodowała grzyby, i uczyła mnie o czerwiach, i doglądała pszczół. Była w tym bardzo dobra - mówi Toby z pewnym smutkiem. - Przekonująca. Kazała mi rozmawiać z pszczołami. To ja im powiedziałam o jej śmierci.

- Tak. Pamiętam to wszystko. Ale nie wciskała kitu - mówi Zeb. - Na swój sposób wierzyła w cały ten kram. Dlatego gotowa była tak się narażać w ZdrowoTechu. Pamiętasz, co spotkało tatę Glenna? Mogła spaść z estakady jak on. Gdyby ją złapali; zwłaszcza gdyby ją złapali z tym białym gońcem i trzema tabletkami.

- Zatrzymała je? - mówi Toby. - Wydawało mi się, że miała je oddać do analizy. Po tym, jak dostała je od Adama.

- Uznała, że to byłoby zbyt niebezpieczne - odpowiada Zeb.

- Kto wie, co by z nich wypuścili, gdyby je otworzyli. Nie mieli pomysłu, jak się ich pozbyć. Dlatego goniec został w ZdrowoTechu Centrum do końca jej pobytu. Odchodząc, zabrała go ze sobą, po czym przełożyła tabletki do innego białego gońca, z zestawu figur szachowych, które

sama wyrzeźbiła. Graliśmy tymi figurami, ty i ja, wtedy kiedy lizałem się z ran. Po tym, jak pocięli mnie w plebsopolii na jednej z misji, które wykonywałem na zlecenie Adama.

Toby ma ten obraz w pamięci: Zeb w cieniu, mgliste popołudnie. Jego ręka. Jej dłoń przesuwająca białego gońca, nosiciela śmierci. Nie wiedziała o tym wtedy, jak o tak wielu innych sprawach.

- Zawsze grałeś czarnymi - wspomina. - Co się stało z tym gońcem po śmierci Pilar?

- Zostawiła zestaw figur Glennowi, razem z zapieczętowanym listem. Nauczyła go grać w szachy w ZdrowoTechu Zachód, kiedy był mały. Jednak w chwili jej śmierci matka Glenna była już żoną mężczyzny, z którym wcześniej się zabawiała, tak zwanego wuja Pete'a, a całą rodzinę przenieśli do ZdrowoTechu Centrum. Pilar dalej utrzymywała kontakt z Glennem za pośrednictwem zespołu mimetycznego i to Glenn załatwił jej badania onkologiczne, dowiedział się, że była w ostatnim stadium.

- Co było w liście?

- Był zapieczętowany. Pewnie instrukcje, jak otworzyć gońca. Ukradłbym go, ale Adam się z nim nie rozstawał.

- Czyli Adam ot tak oddał to wszystko, szachy z tabletkami w środku? Glennowi... Derkaczowi? Przecież on był dopiero nastolatkiem.

- Pilar mówiła, że był dojrzały jak na swój wiek, a Adam uznał, że trzeba uszanować jej ostatnie życzenie.

- A ty? To było, zanim zostałam Ewą, ale ty należałeś do rady. Tam omawiało się ważne decyzje tego rodzaju. Musiałeś mieć swoje zdanie na ten temat. Byłeś Adamem... Adamem Siódmym.

- Pozostali zgodzili się z Adamem Pierwszym. Ja uważałem, że to zły pomysł. Co by było, gdyby chłopak jak ja wypróbował te tabletki na kimś, nie wiedząc, jak dokładnie działają?

- Musiał to zrobić jakiś czas później - mówi Toby. - Po wprowadzeniu do nich kilku dodatków. Na pewno to właśnie zawierały pigułki BłogoPlus; to był ten plus, który następował po doznaniu błogości.

- Uhm - mówi Zeb. - Pewnie masz rację.

- Myślisz, że Pilar domyśliła się, jak on wykorzysta te zarazki, wirusy czy co to było? - pyta. - W końcu? - Przypomina sobie zmarszczoną drobną twarz Pilar, jej dobroć, spokój, siłę. Pod tym wszystkim jednak zawsze skrywała się żelazna determinacja. Nie sposób tego nazwać okrucieństwem ani złem. Może to był fatalizm.

- Ujmijmy to tak - mówi Zeb. - Wszyscy prawdziwi Ogrodnicy uważali, że był już najwyższy czas, by ludzkość mocno się przerzedziła. To miało, tak czy owak, nastąpić i może im wcześniej, tym lepiej.

- Ale ty nie byłeś prawdziwym Ogrodnikiem.

- Pilar za takiego mnie miała, bo odprawiłem Czuwanie. Umowa z Adamem Pierwszym była taka, że muszę przyjąć tytuł, zostać Adamem Siódmym: powiedział, że to nada mi, cytuję, niezbędny autorytet. Wzmocni moją pozycję. A żeby kimś takim zostać, trzeba było najpierw odbyć Czuwanie. Zobaczyc, co slychać u twojego zwierzęcego przewodnika duchowego.

- Przeżyłam to - mówi Toby. - Gadające krzaki pomidora, otchłanie gwiazd.

- Otóż to. Nie wiem, czego stara Pilar dodawała do tej swojej mikstury, ale była mocna.

- Co zobaczyłeś?

Pauza.

- Niedźwiedzia. Tego, którego zabiłem i zjadłem, wychodząc z tundry.

- Przekazał ci jakąś wiadomość? - pyta Toby. Jej własny zwierzęcy przewodnik duchowy wyrażał się enigmatycznie.
- Właściwie nie. Dał jednak do zrozumienia, że we mnie żyje. Nawet nie był na mnie wkurzony. Wydawał się całkiem przyjazny. Niesamowite, co się dzieje z człowiekiem, kiedy neurony mu wariują.

Kiedy już został Adamem Siódmym, Zeb mógł oficjalnie włączyć siebie, Lucerne i małą Ren w poczet pełnoprawnych członków Bożych Ogrodników. Trudno im się było przystosować. Ren tęskniła za Kompleksem i ojcem, a Lucerne za bardzo interesowała się lakierem do paznokci, żeby być Ogrodniczką. Jej udział w przygotowywaniu warzyw był zerowy, nie znosiła też obowiązkowych strojów - ciemnych workowatych sukni i fartuszków. Zeb powinien przewidzieć, że ten układ na dłuższą metę nie będzie jej odpowiadał.

Sam nieszczęśliwie przepadał za translokacją ślimaków, wytwarzaniem mydła i sprzątaniem kuchni, więc uzgodnił z Adamem zakres swoich obowiązków. Uczył dzieci umiejętności niezbędnych do przetrwania i sztuki ograniczania rozlewu krwi, co było uwzniośloną wersją tradycyjnych technik walki ulicznej.

W czasie kiedy Ogrodnicy przyciągali kolejnych członków, rośli w siłę i zakładali nowe oddziały w innych miastach, pełnił funkcję kuriera między różnymi grupami. Ogrodnicy z zasady nie używali telefonów komórkowych ani żadnej technologii, pomijając jeden ukryty podrasowany komputer pozostający do wyłącznej dyspozycji Zeba, wyposażony w oprogramowanie szpiegowskie umożliwiające podglądanie KorpuSOKorpu i zabezpieczony mocnymi jak skurczybyk zaporami sieciowymi.

* * *

Funkcja kuriera Adama miała swoje zalety - był poza domem, więc nie musiał słuchać narzekań Lucerne. Miała też jednak wady - był poza domem, co dawało Lucerne kolejne powody do narzekania. Lubiła głądzić o jego niezdolności do zaangażowania się w ich związek:

dłaczego na przykład nigdy jej nie zaproponował zawarcia Małżeństwa Ogrodniczego?

- Wiesz, o co chodzi. Przeskakujecie we dwoje nad ogniskiem, potem wymieniacie się zielonymi gałązkami, podczas gdy wszyscy stoją w kole wokół was, i na koniec jest jakaś nabożna uczta - mówi Zeb. - Naprawdę jej na tym zależało. Tłumaczyłem, że jak dla mnie to pusty symbol bez znaczenia. Wtedy zarzucała mi, że ją upokarzam.

- Jeśli to i tak bez znaczenia, dlaczego tego nie zrobiłeś? - pyta Toby. - To mogłoby ją zadowolić. Dać jej trochę radości.

- Jeszcze czego - mówi Zeb. - Nie chciałem i już. Nie znośłem być do czegoś zmuszany.

- Miała rację, nie umiałeś się zaangażować - stwierdza Toby.

- Może i tak. W każdym razie rzuciła mnie. Wróciła do Kompleksów, zabrała Ren. A potem chciałem, żeby Ogrodnicy działali bardziej aktywnie, i wszystko się posypało.

- Wtedy mnie już nie było - mówi Toby. - Blanco wyszedł z Paintbólu i na mnie polował. Byłam kulą u nogi dla Ogrodników. Pomogłeś mi zmienić tożsamość.

- Lata treningu. - Wzdycha. - Kiedy odeszłaś, zrobiło się nieprzyjemnie. Boży Ogrodnicy stali się zbyt liczni, zbyt dobrze im się powodziło jak dla KorpuSOKorpu. Uznano nas za kiełkujący ruch oporu.

- Adam wykorzystywał Ogród jako kryjówkę dla zbiegów z BioKorporacji i korpusowcy zaczęli się w tym orientować; płacili więc plebsomasom, żeby na nas napadały. Jako pacyfista Adam Pierwszy nie mógł się zdobyć na to, by zmilitaryzować Ogród. Mogłem pomóc mu przerobić zabawkowy pistolet na skuteczny miotacz szrapneli krótkiego zasięgu, ale nie chciał o tym słyszeć. Za święty był.

- Żartujesz sobie - mówi Toby.

- Mówię, jak było. Bez względu na to, o co szła gra, nie mógł przejść do ofensywy, przynajmniej nie bezpośrednio. Przypominam, że był pierworodny; Wielebny dorwał go w swoje szpony wcześniej niż mnie, długo zanim odkryliśmy, że stary pierdziel był oszustem i mordercą. Adamowi zostało w głowie z tamtych czasów, że musi być dobrym człowiekiem. Co tam dobrym; musiał być przedobry, bo tylko wtedy Bóg go umiłuje. Chyba chciał działać jak Wielebny, tyle że uczciwie; być człowiekiem, którego Wielebny tylko udawał. A to ciężka sprawa.

- Tobie jednak nic takiego w głowie nie zostało.

- Przynajmniej nie zauważyłem. Byłem małym diablikiem, pamiętasz? Nikt nie wymagał ode mnie dobroci. I dlatego byłem Adamowi nieodzowny: nigdy nie obróciłby Wielebnego w mus malinowy własnymi rękami. A tak po prostu wyręczył się mną. Mimo to miał pewne wyrzuty sumienia: czy to mu się podobało, czy nie, Wielebny był jego ojcem, a ojca swego i matkę swoją trzeba czcić i tak dalej, nawet jeśli jedno zakopało drugie w ogrodzie skalnym. Uważał, że powinien być okazać miłosierdzie. Często tak się dręczył. Zwłaszcza po tym, jak stracił Katrinę WooWoo.

- Odeszła z innym?

- Nic tak przyjemnego. Korporacje postanowiły przejąć kontrolę nad rynkiem usług erotycznych, bo to przecież był lukratywny interes. Kupiły kilku polityków, zalegalizowały prostytucję, ustanowiły EroTarg, zmusiły wszystkich w branży, żeby do niego przystąpili. Katrina początkowo na to poszła, potem jednak zażądali od niej wdrożenia zasad, które uznała za nie do przyjęcia. „Wdrożenie zasad”, tak to nazywali. Miała skrupuły, więc stała się niewygodna. Pytona też się pozbyli.

- Och - mówi Toby. - Przykro mi.

- Mnie też było - odpowiada Zeb. - A Adamowi było więcej niż przykro. Gnębił się, marniał w oczach. Coś w nim zgasło. Chyba marzył o tym, żeby ściągnąć Katrinę do Ogrodu. Nie żeby to się mogło udać. Garderoba by jej nie odpowiadała.

- To bardzo smutne - mówi Toby.
- Tak. To prawda. Powinienem wtedy okazać więcej wyrozumiałości. A zamiast tego szukałem zwady.
- Och - mówi Toby. - Tylko ty?
- Może my obaj. Było ostro, wszystkie chwytaki dozwolone. Powiedziałem mu, że tak naprawdę jest drugim Wielebnym, tylko wyróconym na lewą stronę jak skarpeta: obaj mieli wszystkich w dupie. Albo będzie, jak chcą, albo wcale. On odciął się, że zawsze miałem skłonności przestępcze i dlatego nie potrafię zrozumieć pacyfizmu i wewnętrznego spokoju. Zarzuciłem mu więc, że swoją becznością wspiera siły, które gwałcą planetę, zwłaszcza Korporacje Naftowe i Kościół Petroewangelicki. On odpowiedział, że brak mi wiary i że Stwórca zaprowadzi porządek na Ziemi we właściwym czasie, prawdopodobnie już wkrótce, a ci, którzy żyją w stanie harmonii i szczerze miłują Dzieło Stworzenia, ocaleją. Stwierdziłem, że to egoistyczny punkt widzenia. Odparował, że ulegam szeptom władzy doczesnej i chcę tylko być w centrum uwagi, jak zawsze w dzieciństwie, kiedy przeciągałem strunę. - Znów wzdycha.
- I co potem? - mówi Toby.
- Potem się wściekłem. Powiedziałem więc coś, czego do dziś żałuję. - Pauza. Toby czeka. - Powiedziałem, że tak naprawdę nie jest moim bratem, nie w sensie genetycznym. Że nie jesteśmy spokrewnieni. - Kolejna pauza. - Początkowo nie wierzył. Na dowód powiedziałem mu o badaniu, które zrobiła Pilar. Po prostu się załamał.
- Och - mówi Toby. - Przykro mi.
- Od razu poczułem się podle, ale nie mogłem tego cofnąć. Potem próbowaliśmy to załagodzić, puścić w niepamięć. Zzerało nas to jednak od środka. Musieliśmy się rozstać.

- Z tobą odszedł Katuru - mówi Toby. Wie to na pewno.
- Rebecca. Czarny Nosorożec. Shackleton, Crozier i Oates.
- Amanda też - mówi Zeb. - Ale szybko nas zostawiła. Potem doszli nowi. Dziękuję Wielkodzioby, Modraszek, Biała Turzyca. Cała ta grupa.
- I Lis Płowy - dodaje Toby.
- Tak. I ona. Myśleliśmy, że Glenn... Derkacz jest naszą wtyczką, przekazuje nam sekrety Korporacji przez chatroom MaddAddama. Tak naprawdę od samego początku nami manipulował, zamierzał zaciągnąć nas do kopuły WyRaju i zmusić, żebyśmy odwalili za niego całą robotę przy tych jego ludzkich kompozycjach.
- I śmiercionośnym wirusie? - mówi Toby.
- Z tego, co słyszałem, nie - odpowiada Zeb. - To zrobił sam.
- Żeby stworzyć swój doskonały świat - mówi Toby.
- Nie doskonały - uściśla Zeb. - Nie nazwałby go tak. Raczej zresetowany. I na swój sposób ten cel osiągnął. Aż do tej pory.
- Nie przewidział paintbólowców - mówi Toby.
- A powinien był. Przynajmniej kogoś w ich rodzaju - stwierdza Zeb.

W lesie jest bardzo cicho. Mały Derkaczanin podśpiewuje przez sen. Wokół basenu Świniony śnią, wydając chrząknięcia lekkie jak obłoczki dymu. Coś krzyczy w oddali. Młody kotryś?

Wieje słaby chłodny wietrzyk; liście po swojemu szeleszczą; księżyc wędruje po niebie, zmierza ku następnej fazie, wyznacza upływ czasu.

- Powinnaś się przespać - mówi Zeb.
- Oboje powinniśmy - odpowiada Toby. - Będzie nam potrzeba dużo

energii.

- Możemy się zmieniać, ty dwie godziny, ja dwie. Szkoda, że nie jestem dwadzieścia lat młodszy - mówi Zeb. - Chociaż nie sądzę, żeby ci paintbólowcy byli w doskonałej formie. Bóg raczy wiedzieć, czym się żywią.
- Świniony mają dość dobrą kondycję - mówi Toby.
- Ale spustu nie nacisną - stwierdza Zeb. Zawiesza głos.
- Jeśli jutro oboje wyjdziemy z tego cało, może powinniśmy odstawić ten numer z ogniskiem. I zielonymi gałązkami.

Toby się śmieje.

- O ile pamiętam, mówiłeś, że to pusty symbol bez znaczenia.
- Nawet pusty i bez znaczenia symbol może czasem coś znaczyć - mówi Zeb. - Odtrącasz mnie?
- Nie - odpowiada Toby. - Jak w ogóle możesz tak myśleć?
- Boję się najgorszego - mówi Zeb.
- To byłoby najgorsze? Odtrącenie przeze mnie?
- Nie ciśnij faceta, kiedy czuje się odarty ze skóry.
- Po prostu trudno mi uwierzyć, że mówisz poważnie stwierdza Toby.

Zeb wzdycha.

- Prześpij się, laleczko. Później to obgadamy. Zbliża się jutro.

SKORUPA JAJA

Przeгляд wojska

Brzoskwiniowa mgiełka na wschodzie. Wstaje dzień, z początku tak chłodny i delikatny, słońce jeszcze nie zmieniło się w prażący reflektor. Wrony krążą na niebie, dając sobie sygnały. Kra! Kra-kra! Kra! Co mówią? „Uwaga! Uwaga!”. A może: „Niedługo impreza!”. Tam, gdzie są wojny, są też wrony, miłośniczki padliny. I kruki, ptaki wojny, smakosze gałek ocznych. I sępy, niegdyś święte ptaki, starzy koneserzy zgnilizny.

Skończ te ponure monologi, mówi sobie Toby. Teraz potrzebne jest pozytywne nastawienie. Temu służyły fanfary trąbek, bębny i muzyka marszowa. Jesteśmy niezwycięzeni, mówiła żołnierzom ta muzyka. Musieli w nie wierzyć, te kłamliwe melodie, bo kto bez tego mógłby mężnie kroczyć ku śmierci? Berserkowie okryci niedźwiedzimi skórami podobno faszzerowali się przed walką północnym grzybem halucynogennym: mogła to być Amanita muscaria, tak przynajmniej mówiła Pilar u Ogrodników. Historyczne Zastosowania Grzybów, tylko dla starszych uczniów.

Może powinnam dosypać czegoś do butelek z wodą, myśli. Zatruj sobie mózg i idź zabijać. Albo zginąć.

Wstaje, wypłutuje się z różowego prześcieradła, drży. Opadła rosa: krople wilgoci perlą się na włosach i brwiach Toby. Zdrętwiała jej stopa. Karabin jest tam, gdzie go zostawiła, w zasięgu ręki; lornetka też.

Zeb już wstał, opiera się o balustradę.

- Zasnęłam w nocy - tłumaczy się Toby przed nim. - Marna ze mnie wartowniczką. Przepraszam.
- Ja też - mówi on. - Wszystko gra, inaczej Świniony ogłosiłyby alarm.
- Ogłosiłyby? - pyta ona z lekkim śmiechem.
- Ależ się czepiasz. No dobra, wychrząkałyby alarm. Nasi wieprzowaci

przyjaciele nie próżnowali.

Toby podąża za jego spojrzeniem za balustradę, w dół. Świniony wyrównały łąkę dookoła budynku spa, wszędzie tam, gdzie rosły wysokie chwasty albo krzewy. Pięć większych nadal pracowicie traktuje i turla się po wszystkim, co sięga powyżej kostki.

- Nikt ich nie podejdzie, to na pewno - stwierdza Zeb. - Cwane bestie, wiedzą, gdzie wróg może się ukryć. - Zostawiły jedną kępę zarośli w oddali, zauważa Toby. Ogląda ją przez lornetkę. Pewnie wyznacza miejsce spoczynku knura, którego zabiła, tocząc ze Swinionami wojnę terytorialną o ogród NowyTy. O dziwo, nie zjadły ścierywa, mimo że wydawały się skłonne pożreć martwe prosię. Czy w takich sprawach obowiązywała wśród nich hierarchia? Lochy zjadają swoje młode, ale knurów nikt nie rusza? Co potem, będą stawiać pamiątkowe posągi?

- Szkoda różoświatlików - mówi.

- Tak, sam je posadziłem. Odrosną. Jak już się skubane przyjmą, wytępić je równie trudno jak kudzu.

- Tylko co Derkaczanie zjedzą na śniadanie? - martwi się Toby. - Cała zieleń zniknęła. Nie możemy pozwolić, żeby się pętali pod lasem.

- O tym Świniony też pomyślały - odpowiada Zeb. - Spójrz tam, obok basenu.

Rzeczywiście, jest stos świeżej paszy. Musiały ją zebrać Świniony, nikogo innego nie ma w pobliżu.

- Ładnie z ich strony - mówi Toby.

- Kurde, mądre są - stwierdza Zeb. - A skoro o tym mowa. - Wskazuje palcem.

Toby podnosi lornetkę. Trzy średniej wielkości Świniony, dwa cętkowane, jeden prawie cały czarny, zbliżają się szybkim truchtem od

północy. Oddział potężnych Świnionów wytrwale wyrównujących łąkę podnosi się i niezgrabnym galopem rusza im na spotkanie. Chrząkają na siebie, trącają się ryjami. Uszy mają wysunięte do przodu, machają zakręconymi ogonami; przynajmniej wiadomo, że nie są przerażone ani rozgniewane.

- Ciekawe, co mówią? - pyta Toby.

- Dowiemy się - mówi Zeb - kiedy łaskawie zechcą nam o tym powiedzieć. Jak dla nich jesteśmy szeregową piechotą. Tępi jak pień, tak muszą o nas myśleć, chociaż potrafimy posługiwać się miotaczami. Ale to świnie są generałami. Idę o zakład, że mają już gotową strategię.

Rebecca musiała myszkować po budynku, bo naznosiła różnych drobiazgów. Na śniadanie są wiórki sojowe w mleku megarunosa posłodzonym cukrem. Do tego specjalna gratka: łyżeczka masła do ciała z awokado. Spa NowyTy lubowało się w kosmetykach o nazwach kojarzących się z wiktuałami: krem do twarzy Mus Czekoladowy, maseczka złuszczająca Beza Cytrynowa. I rozmaite rodzaje masła do ciała, obfite w niezbędne lipidy.

- Jeszcze się uchowało? - dziwi się Toby. - Byłam pewna, że wszystko zjadłam.

- Było w kuchni, w jednej z dużych waz na zupe - mówi Rebecca. - Może sama je tam schowałaś i zapomniałaś. Pracując tutaj, musiałaś założyć gdzieś w budynku Ararat z prowiantem na czarną godzinę.

- Owszem, tyle że był w magazynie - mówi Toby. - Trochę rzeczy tu, trochę tam. W pustych opakowaniach po zestawach do lewatywy. Nie zostawiłabym zapasów w kuchni; ktoś mógłby je znaleźć. Prawdopodobnie schował to jeden z pracowników. Tak robili; próbowali wynosić ekskluzywne produkty NowyTy, żeby je sprzedać w szarej strefie. Ale co dwa tygodnie robiłam inwentaryzację, więc zwykle ich łapałam.

Nie że zawsze na nich donosiła: personel nie zarabiał kokosów. Po co

niszczyć komuś życie?

Po śniadaniu zbierają się w holu głównym, gdzie kiedyś witano przybywających klientów różowym napojem na bazie owoców, z alkoholem lub bez niego. MaddAddamowcy są w komplecie, podobnie jak byli Boży Ogrodnicy. Jest też jeden knur i trzymający się blisko niego mały Czarnobrody. Reszta Derkaczan została nad basenem, gdzie wcinają stos paszy śniadaniowej. Pozostałe Świniony są z nimi, też zajadają.

- A zatem - zaczyna Zeb. - Oto jak wygląda sytuacja. Wiemy, w którą stronę kieruje się wróg. Jest ich trzech, nie dwóch. Świnie... Świniony są tego pewne. Nie widziały tych ludzi wyraźnie, trzymały się poza zasięgiem wzroku, żeby nie dostać z miotacza, ale ich wytropiły.
- Jak daleko stąd? - pyta Nosorożec.
- Wystarczająco. Mają przewagę na starcie. Ale, co dla nas korzystne, według Świnionów nie mogą iść szybko, bo jeden z nich kuleje. Powłóczy nogą. Dobrze mówię? - pyta Czarnobrodego, który kiwa głową.
- Śmierdzącą nogą - dodaje.
- To dobra wiadomość. Zła jest taka, że kierują się do Kompleksu OdmłodNowa. A tym samym prawdopodobnie do kopuły WyRaju.
- O ja pierdołę - mówi Jimmy. - Magazyńki do miotaczy! Znajdą je!
- Myślisz, że o nie im chodzi? - pyta Zeb. - Przepraszam. Głupie pytanie. Nie mamy jak stwierdzić, co naprawdę zamierzają.
- Jeśli tak po prostu nie błędzą, możemy założyć, że mają konkretny cel - stwierdza Katuru. - Ten trzeci... może jest ich przewodnikiem.
- Musimy odciąć im drogę - mówi Nosorożec. - Nie możemy dopuścić, żeby się tam dostali. Inaczej będą dobrze uzbrojeni, i to na długo.

- W przeciwieństwie do nas - zauważa Shackleton. - Magazynki się nam kończą.

- A zatem jest tylko jedno pytanie - mówi Zeb. - Kto idzie, kto zostaje. Sprawa jest dość oczywista. Nosorożec, Katuru, Shackleton, Crozier, Manat, Koliberek Hawański idą. I Toby, ma się rozumieć. Wszystkie ciężarne zostają. Ren, Amanda, Lis Płowy. Czy któraś jeszcze zaliczyła wpa... czy ktoś jeszcze się zgłasza?

- Role płciowe są do dupy - oświadcza Lis Płowy.

To powinnaś przestać je grać, myśli Toby.

- Fakt - odpowiada Zeb - ale takie są realia. Nie możemy sobie pozwolić na nieplanowane krwawienie w trakcie... W trakcie. Przynajmniej nie większe, niż to konieczne. Biała Turzyca?

- Jest pacyfistką - mówi Amanda nieoczekiwanie. - A Modraszek ma, no wiesz. Skurcze.

- Czyli obie zostają. Ktoś jeszcze ma jakieś ułomności albo skrupuły?

- Chcę pójść z wami - mówi Rebecca. - A na pewno nie jestem w ciąży.

- Wytrzymasz tempo? - pyta Zeb. - To następne pytanie. Bądź szczerą. Inaczej mogłabyś narazić na niebezpieczeństwo siebie i innych. Z doświadczonymi paintbólowcami nie ma żartów. Jest ich tylko trzech, ale są śmiertelnie groźni. Ten piknik nie jest dla ludzi o słabych nerwach.

- No dobra, wycofuję zgłoszenie - mówi Rebecca. - Znam siebie, wiem, że mam kiepską kondycję. O słabych nerwach nie wspomnę. Ręka w górę, zostaję.

- Ja też - dorzuca Bieługa.

- I ja - mówi Bawół Mindorski.

- I ja - zgłasza się Dziecioł Wielkodzioby. - W życiu mężczyzny

przychodzi czas, kiedy duch rwie się do lotu, ale ziemską powłokę słabnie. Nie mówiąc o kolanach. A skoro już mowa o...

- Jasne. Czarnobrody pójdzie z nami. Będzie nam potrzebny; zdaje się rozumieć wszystko, co Świniony mają do przekazania.
- Nie. - Tobie się sprzeciwia. - Niech lepiej zostanie. Jest tylko dzieckiem.
- Myśli, że nie mogłaby ze sobą żyć, gdyby mały Czarnobrody zginął, zwłaszcza w sposób, w jaki zabiliby go paintbólowcy, gdyby wpadł w ich ręce. - Poza tym nie zna strachu, realistycznego strachu przed ludźmi. Jeszcze wybiegłby na otwarty teren, prosto pod ich lufy. Albo wzięliby go na zakładnika. I co wtedy?
- Fakt, ale nie bardzo widzę, jak mielibyśmy sobie bez niego poradzić - mówi Zeb. - Jest naszym jedynym łącznikiem ze świniami, a one są niezbędne. Będziemy musieli zaryzykować.

Czarnobrody przysłuchuje się rozmowie.

- Nie martw się, o Tobie - mówi. - Muszę z wami pójść, tak powiedzieli Świniowi. Pomoże mi Oryks i Ja-Pierdołę. Wezwałem Ja-Pierdołę, już do nas leci. Zobaczysz. - Tobie nijak nie jest w stanie temu zaprzeczyć: sama przecież nie może widzieć Oryks ani pomocnego Ja-Pierdołę, nie rozumie mowy Świnionów. W świecie Czarnobrodego jest głucha i ślepa.
- Gdyby wycelowali w ciebie patyk - mówi do niego - to znaczy ci źli ludzie, musisz paść na ziemię. Albo schować się za drzewem. Jeśli jakieś będzie w pobliżu. Lub za ścianą.
- Tak, dziękuję ci, o Tobie - grzecznie on odpowiada. Widać, że to dla niego żadna nowina.
- No dobrze - mówi Zeb. - Wszystko jasne?
- Ja też pójdę - wtrąca Jimmy. Wszyscy spoglądają na niego: zakładali, że zostanie. Wciąż jest chudy jak witka i blady jak purchawka.

- Jesteś pewien? - pyta Toby. - A twoja stopa?
- W porządku. Jakoś chodzę. Muszę z wami pójść.
- Nie jestem pewien, czy to mądre - mówi Zeb.
- Akurat o mądrość nigdy mnie nie podejrzewano. - Jimmy uśmiecha się z lekka. - Jeśli jednak idziemy do kopuły WyRaju, naprawdę muszę się z wami zabrać.
- Bo? - pyta Zeb.
- Bo tam jest Oryks. - Kłopotliwe milczenie: facetowi odbiło. Jimmy rozgląda się po kręgu, nerwowo uśmiechnięty. - No dobra, nie zwariowałem, wiem, że ona nie żyje. Ale jestem wam potrzebny - mówi.
- Dlaczego? - docieka Katuru. - Nie chcę być nieuprzejmy, ale...
- Bo już tam byłem. Po Potopie - mówi Jimmy.
- No i? - pyta Zeb spokojnym głosem. - Bierze cię nostalgia?
- Toby wyczuwa, co skrywa się za jego spokojem: zabierzcie stąd tego pomyłonego tumana.

Jimmy nie ustępuje.

- No i to, że wiem, gdzie wszystko jest. Na przykład magazynki. I miotacze; został cały ukryty arsenał.

Zeb wzdycha.

- Zgoda. - Ustępuje. - Ale jeśli nie będziesz nadażał, to cię odeślemy z powrotem. Pod eskortą niehominidów.
- Masz na myśli te świnię-wilkołaki - mówi Jimmy. - Znam je jak zły szeląg. Gardzą mną. Zapomnij o eskorcie. Nadażę.

Wypad

Toby przebiera się w dres NowyTy, głowę osłoniła od słońca rozerwaną poszwą poduszki. Szkoda, że bluzę zdobią usta złożone do pocałunku i zmrużone oko - mało to żołnierskie - szkoda też, że jest różowa, bo to może uczynić ją samą łatwym celem. Cóż, kiedy w NowyTy nie ma strojów w kolorze khaki.

Sprawdza karabin, chowa zapas kul do różowej torby NowyTy. Znalazła bawełniane półskarpety z puszystymi pomponami z tyłu: wkłada jedną parę, drugą bierze na zmianę. Jeśli Zeb choć słowem skomentuje jej strój, nie wie, czy oprze się pokusie, żeby mu przyłożyć.

W głównym holu rozdaje butelki z wodą, przegotowaną jak należy przez Rebecę z pomocą Ren i Amandy. Spa NowyTy kładło nacisk na konieczność prawidłowego nawodnienia organizmu podczas ćwiczeń na siłowni, więc plastikowych butelek nie brakuje. MaddAddamowcy przynieśli z glinianego domku trochę energatonów i zimne kudzu w cieście.

- Tyle prowiantu, żeby mieć czym uzupełniać siły, nie za dużo, żebyście nie byli za bardzo obciążeni - mówi Zeb. - Część zachowajcie na później. - Spogląda na Toby, jej różowy strój z rysunkiem ust ułożonych do pocałunku.
- Przyszłaś na casting? - pyta.
- Aż razi w oczy - mówi Jimmy.
- Jak gwiazda rocka - stwierdza Nosorożec. - W pewnym sensie.
- Dobry kamuflaż - ocenia Shackleton.
- Pomyślą, że jesteś hibiskusem - dodaje Crozier.
- To jest karabin - mówi Toby. - Z nas wszystkich tylko ja umiem się nim

posługiwać. Więc gęby na kłódkę.

Wszyscy uśmiechają się szeroko.

* * *

Potem wyruszają.

Trzej świnińscy zwiadowcy idą przodem, wężą przy ziemi. Dwaj inni eskortują grupę z boków, badają powietrze mokrymi tarczami ryjów. Radar zapachowy, myśli Toby. Jakie wibracje niedostępne dla naszych przytępionych zmysłów wyczuwają? Tym, czym dla sokołów jest wzrok, tym dla nich jest węch.

Sześć młodszych Świnionów - nieledwie warchlaki - przekazuje wiadomości od zwiadowców i eskorty idącym w awangardzie starszym, cięższym osobnikom: batalionowi czołgów, gdyby byli pojazdami opancerzonymi. Pomimo swojej masy poruszają się zaskakująco szybko. W tej chwili utrzymują spokojne, równe tempo, żeby nie tracić energii: to maraton, nie sprint. Praktycznie nie słychać chrząknięć ani pisków, oszczędzają oddech jak żołnierze w długim marszu. Ogony mają zakręcone, ale nieruchome, ich różowe uszy wymierzone są naprzód. W porannym słońcu wyglądają prawie jak śliczne, milutkie, uśmiechnięte świnki z filmu rysunkowego czy walentynkowe prosiaczki, takie ze skrzydłami Amora, ściskające czerwone bombonierki w kształcie serca: Gdyby Ta Świnka Latać Umiała, Przyniosłaby Ci Moją Miłość!

Ale tylko prawie. Te świnię się nie uśmiechają.

Gdybyśmy nieśli chorągiew, myśli Toby, co byłoby na niej?

Początkowo idzie się łatwo. Przecinają wyrównaną część łąki, na której z ziemi wciąż sterczy kilka torebek, butów i kości ofiar zarazy. Gdyby te przedmioty były skryte w chwastach, maszerujący mogliby się o nie potykać, ale ponieważ są widoczne, omijają je bez trudu.

Puszczone wolno megarunosy pasą się na drugim, nietkniętym końcu

łąki, oszczędzonym na pastwisko. W zastępstwie pilnuje je pięć młodych Świnionów. Z tego, co widać, nie podchodzą do swoich obowiązków zbyt poważnie, co znaczy, że nie wietrzą żadnego zagrożenia. Trzy ryją w roślinności, jeden tarza się w wilgotnym błocie, piąty drzemie. Czy w piątkę dałyby radę lwiagniorowi, gdyby zaatakował? Bez wątpienia. Parze lwiagniorów? Pewnie też. Zanim jednak drapieźniki zdążyłyby się do nich zbliżyć, młode Świniony zagnałyby stado megarunosów z powrotem do spa.

Po zejściu z łąki pochód kieruje się drogą na północ przez las, który graniczy z terenem NowyTy i skrywa jego ogrodzenie. Północna wartownia jest opuszczona: ani śladu życia w środku i dookoła, nie licząc szopunksa grzejącego się w słońcu na ścieżce. Wstaje, kiedy podchodzą, ale nie zadaje sobie fatygi, żeby uciec. Te zwierzaki są zbyt przyjazne: w bardziej bezwzględnym świecie wszystkie już byłyby czapkami.

Zaczynają się ulice miasta, po których idzie się trudniej. Rozbite i porzucone samochody blokują jezdnię zawaloną potłuczonym szkłem i poskręcanyimi kawałkami metalu. Wdarty się tu już pnącza kudzu, obrastają poszarpane kształty miękkim zielonym upierzeniem. Świniony stąpają delikatnie, żeby nie poranić sobie racic; ludzie mają grube obuwie. Mimo to muszą iść ostrożnie i często zerkają pod nogi.

Toby przewidziała, że Czarnobrodemu może nie być łatwo na tych ulicach, pełnych odłamków szkła i ostrych krawędzi. Owszem, na stopach ma pogrubioną warstwę skóry, która przydaje się na ziemi, piasku czy nawet kamykach; na wszelki wypadek jednak przed wymarszem przegrzebała zapas zdobycznego obuwia MaddAddamowców i dała chłopakowi adidas Hermes Trismegistos. Początkowo bał się nałożyć je na nogi - czy to nie będzie bolało, czy się nie przykleją, czy będzie mógł je potem zdjąć? Toby jednak pokazała mu, jak te buty wkładać i zdejmować, powiedziała też, że gdyby pokaleczył sobie nogi na ostrych krawędziach, nie mógłby iść dalej i kto wtedy mówiłby im, co myślą Świniony? Dlatego po kilku próbach zgodził się je nosić. Adidasy ozdobione są naszywkami w kształcie zielonych skrzydeł i światełek, które mrugają przy każdym kroku - baterie jeszcze się nie wyczerpały - i teraz Czarnobrody jest z

nich chyba trochę zbyt zadowolony.

Idzie na czele głównego oddziału i słucha meldunków świniońskich zwiadowców, jeśli można to nazwać słuchaniem: w każdym razie je odbiera, jakkolwiek to robi. Najwyraźniej dotychczas nie dowiedział się nic godnego przekazania. Od czasu do czasu zerka do tyłu i odnajduje wzrokiem Zeba, a potem Toby. W tej chwili znów lekko do niej macha, co musi znaczyć „Wszystko dobrze”. A może po prostu „Widzę cię” lub „Tutaj jestem”, czy może nawet „Zobacz, jakie fajowe mam buty!”. Jego wysoki czysty śpiew dolatuje do niej krótkimi urywkami: derkaczański alfabet Morse’a.

Świniony po bokach co pewien czas przekrzywiają głowy i spoglądają na swoich ludzkich sojuszników, ale co myślą, można tylko zgadywać. W porównaniu z nimi idący ludzie muszą się wydawać ślamazarami. Czy są poirytowane? Zatraskane? Zniecierpliwione? Zadowolone ze wsparcia artyleryjskiego?

Niewątpliwie wszystko to po trochu, jako że mają ludzką tkankę mózgową, a tym samym potrafią pomieścić w głowie kilka sprzecznych myśli.

Wygląda na to, że każdemu uzbrojonemu człowiekowi dały obstawę złożoną z trzech strażników. Strażnicy nie narzucają się, nie poganiają ani nie wydają poleceń, ale trzymają się w promieniu dwóch metrów od podopiecznych, czujnie strzygąc uszami. Przy MaddAddamowcach bez miotaczy jest tylko po jednym Świnionie. Przy Jimmym aż pięć. Czy są świadome, że jest osłabiony? Na razie wytrzymuje tempo, ale zaczyna się pocić.

Toby zostaje z tyłu, żeby sprawdzić, co z nim. Podaje mu swoją butelkę z wodą: własną już, zdaje się, opróżnił. Ósemka Świnio-nów - jej trzy, jego pięć - zmienia szyk, żeby otoczyć ich dwoje.

- Wielki Mur Wieprzowy - mówi Jimmy. - Brygada Bekonowa. Hoplici spod znaku Szynki.

- Hoplici? - pyta Toby.
- Taki grecki wymysł - mówi Jimmy. - Coś w rodzaju armii obywatelskiej. Mur tarcz zachodzących na siebie. Czytałem o tym w jednej książce. - Jest lekko zdyszany.
- Może to gwardia honorowa - stwierdza Toby. - Wszystko w porządku?
- Nieswojo się przy nich czuję - mówi Jimmy. - Skąd wiemy, że nie prowadzą nas w pułapkę? Że nie rzucą się na nas z zaskoczenia, żeby flaki nam wyżreć?
- Pewności nie mamy - odpowiada Toby. - Ale to mało prawdopodobne. Miały już po temu okazję.
- Brzytwa Ockhama - mówi Jimmy. Kaszle.
- Słucham? - pyta Toby.
- Stały tekst Derkacza - mówi Jimmy ze smutkiem. - Mając dwie możliwości, wybierasz tę najprostszą. Czy „najzgrabniejszą”, jak ująłby to Derkacz. Kutas jeden.
- Kto to był Ockham? - pyta Toby. Czyżby lekko utykał?
- Mnich czy ktoś taki - mówi Jimmy. - Albo biskup. A może mądra Świnia. Chrzak-ham. - Śmieje się. - Przepraszam. Kiepski żart.

Pokonują następną przecznicę, dwie w milczeniu. Wreszcie Jimmy mówi:

- Zjeżdżamy po brzytwie życia.
- Słucham? - mówi Toby. Chciałaby dotknąć jego czoła. Czy ma temperaturę?
- Takie stare powiedzenie - wyjaśnia Jimmy. - To znaczy, że jesteś na krawędzi. I musisz uważać, żeby ci jaj nie ucięło. - Utyka coraz wyraźniej.

- Z twoją stopą wszystko w porządku? - pyta Toby. Nie ma odpowiedzi: Jimmy wytrwale kuśtyka naprzód. - Może powinieneś zawrócić.

- Za cholere - mówi Jimmy.

Ulicę z przodu zasypały gruzy częściowo zwalonego apartamentowca. Wybuchł w nim pożar - najprawdopodobniej spowodowany zwarcieniem instalacji elektrycznej, stwierdza Zeb, który zatrzymał marsz do czasu, aż zwiadowcy sprawdzą drogę okrężną. W powietrzu wciąż wisi swąd spalenizny. Nie podoba się Świnionom: kilka z nich prychnęło.

Jimmy siada na ziemi.

- Co? - mówi Zeb do Toby.

- Znowu ma kłopoty ze stopą - odpowiada Toby. - Czy coś.

- To musimy go odesłać do spa.

- Nie zgodzi się - mówi Toby.

Obstawa obwąchuje Jimmy'ego z podyktowanej szacunkiem odległości. Jeden Świnion wysuwa się naprzód, żeby powąchać jego stopę. Dwa następne trącają go pod pachami.

- Zostawcie mnie! - mówi Jimmy. - Czego one chcą?

- Czarnobrody, pozwól. - Toby przywołuje go gestem. Chłopak przykuca obok Świnionów. Następuje bezgłośna wymiana zdań, a potem kilka nut muzyki.

- Yeti-Jimmy musi na nich jechać - mówi Czarnobrody.

- Mówią, że jego... - Dalej jest słowo, którego Toby nie może odcyfrować, ni to stęknienie, ni to pomruk. - Że ta jego część jest silna. Ze w środku jest silny, ale stopy ma słabe. Swiniowi będą go nieśli.

Jeden ze Świnionów, nie ten najgrubszy, występuje naprzód. To locha.

Kuca obok Jimmy'ego.

- Chcą, żebym co zrobił? - Jimmy nie dowierza.
- Proszę, o Yeti-Jimmy - mówi Czarnobrody. - Mówią, żebyś położył się na jej grzbiecie i trzymał się jej uszu. Dwaj inni będą szli po bokach i pilnowali, żebyś nie spadł.
- To głupie - mówi Jimmy. - Przecież się zsunę!
- Nie masz innego wyjścia - stwierdza Zeb. - Albo skorzystasz z podwózki, albo tu zostaniesz.

Kiedy Jimmy wsiada na lochę, Zeb pyta:

- Macie może linę? To mogłoby pomóc.

Jimmy zostaje przytroczony do lochy jak pakunek i cała grupa wyrusza w dalszą drogę.

- To co, mam ją nazywać Rudolfem Czerwononosym? - mówi Jimmy. - Myślicie, że powinienem ją poklepać?
- Tak, o Yeti-Jimmy, dziękuję - odpowiada Czarnobrody.
- Świniowi mówią mi, że drapanie za uszami to dobra rzecz.

Opowiadając tę historię w późniejszych latach, Toby lubiła mówić, że Świnionka niosąca Yeti-Jimmy'ego gnała jak wichur. Tak właśnie powinno się wspominać poległego towarzysza broni, zwłaszcza gdy ten tak dobrze się zasłużył - a przy okazji ocalił jej życie. Bowiem gdyby Świnionka nie wzięta Yeti-Jimmy'ego na swój grzbiet, czy Toby siedziałaby tego wieczoru tutaj wśród nich w czerwonej czapce na głowie i opowiadała im tę historię? Nie. Kompostowałaby się pod krzakiem bzu i przybierała inną postać. I to jak inną, pomyśli w głębi ducha.

Dlatego w jej opowieści Świnionka gnała jak wicher.

Tym, co utrudniało opowiadanie tej historii, był fakt, że Toby nie umiała wymówić imienia galopującej Świnionki w sposób choćby zbliżony do pełnej pochrząkiwań wersji oryginalnej. Słuchającym jej Derkaczanom to jednak raczej nie przeszkadzało, chociaż trochę się z niej podśmiewali. Dzieci wymyśliły zabawę polegającą na tym, że jedno wcielało się w heroiczną Świnionkę gnającą jak wicher z zaciętą miną na ryju, a drugie, mniejsze, było Yeti-Jimmym, który z równie zaciętą miną trzymał się grzbietu zwierzęcia.

Chociaż Świniony były więcej niż zwierzętami. Musiała o tym pamiętać. Zasługiwały na szacunek.

W rzeczywistości wygląda to nieco inaczej. Niosąca Jimmy'ego Świnionka porusza się niezgrabnie, jej grzbiet jest krągły i śliski. Jimmy podskakuje na niej, omal się nie zsuwa to z jednej, to z drugiej strony. Za każdym razem, kiedy tak się dzieje, Świniony z eskorty wsuwają mu ryje pod pachy i mocno podrzucają go do góry, na co on wrzeszczy jak opętany, bo ma łaskotki.

- Do kurwy nędzy, możesz coś zrobić, żeby się zamknął? - mówi Zeb. - Równie dobrze moglibyśmy grać na kobzie.
- Nie może się powstrzymać - odpowiada Toby. - To odruch.
- Jeśli walnę go w łeb, to też będzie odruch - mówi Zeb.
- Pewnie i tak wiedzą, że nadchodzimy - zauważa Toby.
- Możliwe, że widzieli zwiadowców.

Orszak prowadzi Świniony, ale Jimmy pełni funkcję przewodnika turystycznego.

- Jeszcze jesteśmy w plebsopolii - mówi. - Pamiętam tę okolicę. - Potem:
- Zbliżamy się do ziemi niczyjej, niezabudowanej strefy buforowej przed

Kompleksami.

Potem: „Zaraz będzie główne ogrodzenie”. Po chwili: „Tam jest KrioGeniusz. Za nim Gnomdżiny. Spójrzcie na ten pieprzony neon z dżinem! Baterie słoneczne pewnie jeszcze działają”.

Potem: „A teraz główna atrakcja. Kompleks OdmłodNowa”. Wrony na murze: cztery, nie, pięć. Jedna wrona wieści smutek, mawiała Pilar; jeśli wron jest więcej, mogą być obrońcami lub psotnikami, to już zależy tylko od ciebie. Dwie wzbijają się w powietrze, krążą w górze, przyglądają się idącym.

Brama OdmłodNowy stoi otworem. Za nią martwe domy, martwe centra handlowe, martwe laboratoria, martwe wszystko. Strzępy ubrań, wraki samochodów solarnych.

- Dzięki Bogu za świnię - mówi Jimmy. - Bez nich to byłoby szukanie igły w stogu siana. To istny labirynt.

Świniony pewnie odnajdują właściwą drogę. Bez wahania, w równym tempie truchtają naprzód. Za jeden róg, potem następny.

- Oto i one - mówi Jimmy. - Tam, z przodu. Wrota WyRaju.

Skorupa Jaja

Derkacz osobiście zaprojektował Wy Raj. Teren otaczał nie tylko mur OdmłodNowy, ale i szczelny kordon bezpieczeństwa. W jego obrębie znajdował się park, wytwarzająca własny mikroklimat plantacja kompozytów tropikalnych, odpornych zarówno na suszę, jak i na ulewne deszcze. W centrum tego wszystkiego wznosiła się kopia WyRaju, klimatyzowana, wyposażona w śluzy powietrzne, niedostępna skorupa skrywająca skarb Derkacza, jego nowych wspaniałych ludzi. A w samym środku kopuły Derkacz umieścił sztuczny ekosystem, w którym powstał Derkaczanie w całej ich dziwacznej doskonałości. Tam mieli żyć, tamtym powietrzem oddychać.

Grupa dociera do bramy, przystaje, żeby zrobić rozpoznanie. Według Świnionów w wartowniach po bokach nie ma nikogo - tak sygnalizują ich nieruchome ogony i uszy.

Zeb daje znak, że tutaj odpoczną: muszą zebrać siły. Ludzie przypinają się do butelek wody i jedzą po połówce energatona.

Świniony znalazły drzewo awomango i pożerają opadłe owoce, ich szczęki rozgniatają pomarańczowe owale, miażdżą tłuste nasiona. Sfermentowana słodycz wypełnia powietrze.

Oby się nie upiły, myśli Toby. Pijane Świniony to raczej nic dobrego.

- Jak się czujesz? - pyta Jimmy'ego.

- Pamiętam to miejsce - mówi on. - W szczegółach. Cholera. Wolałbym nie pamiętać.

Przed nimi jest droga przez las. Nieprzycięte gałęzie wyciągają się ku korytarzowi światła nad nią, z boków wpychają się oportunistyczne chwasty, u góry zwieszają się niesforne pnącza. Ze wzburzonego morza roślin wyrasta zaokrąglona kopia, niby przymknięte białe oko uspionego pacjenta. Kiedyś musiała wydawać się tak jasna, tak lśniąca;

niczym księżyc zniwiarzy, a może niosący nadzieję wschód słońca, tylko bez palących promieni. Teraz jest jakby jałowa. Mało tego, wygląda na pułapkę: bo któż może wiedzieć, co i kto się w niej skrywa?

Ale to tylko wrażenie wywołane tym, co wiemy, myśli Toby. Sam widok jako taki nie ma w sobie nic, co wieściłoby zgubę przygodnemu obserwatorowi.

- O Toby! - mówi Czarnobrody. - Zobacz! To jest Jajo! Jajo, w którym Derkacz nas stworzył!

- Pamiętasz je? - pyta Toby.

- Nie wiem - odpowiada Czarnobrody. - Nie bardzo. W środku rosły drzewa. Padał deszcz, ale nie grzmiało. Codziennie odwiedzała nas Oryks. Dużo się od niej nauczyliśmy. Byliśmy szczęśliwi.

- Teraz może tam być inaczej - zauważa Toby.

- Nie ma Oryks - mówi Czarnobrody. - Wyfrunęła, bo chciała pomóc Yeti-Jimmy'emu, kiedy był chory, prawda?

- Tak, na pewno - mówi Toby.

Młode Świniony zostały wysłane na zwiad, żeby wywęszyć ewentualne zasadzki. Teraz pędzą z powrotem po przysypanym liśćmi asfalcie. Uszy położyły po sobie, wyprostowane ogony ciągną się za nimi: powód do niepokoju.

Starsze Świniony przestają ryc w opadłych awomango, Czarnobrody biegnie do nich, następuje szybka narada. MaddAddamowcy otaczają ich kręgiem.

- Co się dzieje? - pyta Zeb.

- Mówią, że źli ludzie są blisko Jaja - mówi Czarnobrody.

- Trzech. Jeden związany linami. Ten ma białe pióra na twarzy.

- W co jest ubrany? - pyta Toby. Czy na przykład w kaftan, jaki zawsze nosił Adam Pierwszy? Ale jak o to zapytać? Uściśla:
- Czy ma drugą skórę?
- Cholera - mówi Jimmy. - Nie dajcie im się dostać do magazynu! Zabiorą wszystkie miotacze i będzie po nas!
- Tak, ma drugą skórę jak ty - odpowiada Czarnobrody. - Tylko nie różową. W różnych kolorach. Jest brudna. I ma tylko jedno takie na nodze. But.
- Niby jak mielibyśmy temu zapobiec? - mówi Nosorożec.
- Nie zdążymy tam dotrzeć przed nimi.
- Wyślemy kilka świń - odpowiada Zeb. - Tych szybszych. Mogą przejść na skrót przez las.
- I co potem? - mówi Nosorożec. - Nie obronią głównego wejścia. Tamci mają miotacze. Nie wiemy, ile amunicji im zostało.
- Nie możemy pozwolić, żeby wystrzelali Świniony jak szczury w beczce - mówi Toby. - Jimmy. Jak już wejdziemy do WyRaju, gdzie szukać magazynu?
- Jest dwoje drzwi, te od śluzy powietrznej i wewnętrzne. Jedne i drugie są otwarte, przynajmniej zostawiłem je otwarte. Dalej trzeba iść korytarzem w lewo, skręcić w prawo, potem znowu w lewo. Wieprzki muszą się tam dostać i zablokować drzwi magazynu od wewnątrz.
- No dobra, jak im to powiemy? - mówi Zeb. - Toby?
- Mogą być kłopoty z „prawo” i „lewo” - stwierdza Toby.
- Derkaczanie chyba nie znają takich pojęć.

- Zastanów się - mówi Zeb. - Zegar tyka.
- Czarnobrody? - mówi Toby. - Tak wygląda Jajo, gdybyś patrzył na nie z góry. - Rysuje patykiem kółko na ziemi. - Widzisz?

Czarnobrody patrzy i kiwa głową, choć bez większego przekonania. Wszystko zawisło na włosku, myśli Toby.

- Dobrze - mówi ze sztuczną serdecznością. - Możesz coś przekazać Świniowym? Powiedz im, że muszą bardzo szybko pobiec. W pięciu, przez drzewa. Muszą ominąć złych ludzi i dostać się do Jaja. A potem mają pójść tutaj... - rysuje patykiem

- ...i tutaj. Zgadza się? - pyta Jimmy'ego.

- Mniej więcej - mówi on.

- Tam będą musiały zamknąć drzwi. Oprzeć się o nie całym ciężarem, żeby źli ludzie nie mogli wejść do środka - mówi Toby.

- Dasz radę im to wszystko wytłumaczyć?

Czarnobrody robi zdziwioną minę.

- Dlaczego tamci ludzie chcą wejść do Jaja? - pyta. - Jajo służy do stwarzania. Oni już są stworzeni.

- Szukają rzeczy, które zabijają - mówi Toby. - Patyków, które robią dziury.

- Przecież Jajo jest dobre. Nie ma w nim rzeczy, które zabijają.

- Teraz już są - mówi Toby. - Musimy się pospieszyć. Powiesz im to wszystko?

- Spróbuję - odpowiada Czarnobrody. Klęka na ziemi. Dwa największe Świniomy opuszczają wielkie łby do jego twarzy. Jeden biały kiel zatrzymuje się tuż obok szyi chłopca. Dreszcz przeszywa Toby.

Czarnobrody zaczyna śpiewać, wodząc patykiem Toby po jej rysunku. Świniony obwąchują uproszczony plan. O nie, myśli Toby. To się nie uda. Myślą, że to coś do jedzenia.

Nagle jednak Świniony podnoszą ryje i dołączają do swoich. Ciche pochrząkiwanie, niespokojne ruchy ogonów. Niezdecydowanie?

Pięć średniej wielkości Świnionów oddziela się od stada. Puszczają się cwałem, dwa w lewo od drogi, trzy w prawo. Wchłaniają ich zarośla.

- Chyba zrozumiały - mówi Nosorożec.

Zeb uśmiecha się szeroko.

- Dobrze - mówi do Toby. - Zawsze wiedziałem, że masz potencjał.

- Idą do Jaja - wyjaśnia Czarnobrody. - Mówią, że nie podejść za blisko do tych ludzi. Będą uważali na patyki, które wypuszczają krew.

- Oby im się udało - mówi Zeb. - Ruszajmy.

- To już niedaleko - oznajmia Jimmy. - Tak czy owak, z okien nas nie ostrzelają, bo nie ma okien. - Śmieje się słabo.

- Zeb? - mówi Toby, kiedy ruszają drogą przed siebie. - Ten trzeci? Nie jestem pewna. Ale sądzę, że to Adam Pierwszy.

- Tak, wiem - odpowiada Zeb. - Domyślałem się tego od pewnego czasu.

- Jak możemy go uwolnić?

- Będą go chcieli wymienić - mówi Zeb.

- Na co?

- Miotacze, zakładając, że świnie odetną im dostęp do nich. Inne rzeczy.

- Na przykład co?

- Na przykład ciebie - mówi Zeb. - Tak zrobiłbym na ich miejscu.

Jasne, myśli Toby. Będą chcieli zemsty.

Kopuła WyRaju stoi przed nimi. Panuje cisza. Drzwi śluzy powietrznej są otwarte. Trzy warchlaki wchodzą do środka i zaraz wychodzą.

- Tamci są wewnątrz - mówi Czarnobrody. - Ale w głębi. Nie blisko drzwi.

- Muszę wejść pierwszy - mówi Jimmy. - Tylko na minutę.

- Toby trzyma się tuż za nim.

Na podłodze śluzy powietrznej leżą dwa zniszczone szkielety. Kości są ogryzione i przemieszane, niewątpliwie dobrały się do nich zwierzęta. Gnijące łachmany, mały różowo-czerwony sandał.

Jimmy pada na kolana, chowa twarz w dłoniach. Toby dotyka jego ramienia.

- Musimy iść - mówi, ale w odpowiedzi słyszy: „Zostaw mnie!”.

Długie czarne włosy na jednej z czaszek przewiązane są brudną różową wstążką; włosy rozkładają się bardzo powoli, zawsze mawiali Ogrodnicy. Jimmy rozplątuje kokardę, skręca wstążkę w palcach.

- Oryks. O Boże - mówi. - Derkacz, ty skurwysynu! Nie musiałeś jej zabić!

Zeb staje obok Toby.

- Może już była chora - mówi do Jimmy'ego. - Może nie mógł bez niej żyć. Rusz się, musimy wejść do środka.

- O ja pierdołę, nie pleć mi tu banałów! - wybucha Jimmy.

- Możemy go na razie zostawić, tutaj będzie bezpieczny. Chodźmy -

mówi Toby. - Musimy sprawdzić, czy nie dostali się do magazynu.

Pozostali stoją pod drzwiami - MaddAddamowcy, główny oddział Świnionów.

- Co się dzieje? - pyta Nosorożec.

Mały Czarnobrody ciągnie ją za rękę.

- Proszę, o Toby, co to znaczy „banały”? - mówi.

Toby nie bardzo wie, co mu odpowiada, bo w tej chwili dociera do niego prawda: te szkielety to Oryks i Derkacz. Usłyszał, że Jimmy tak powiedział; zrozumiał, co z tego wynika. Podnosi na nią przerażone oczy: Toby widzi w nich nagły upadek, katastrofę, nieodwracalne szkody.

- O Toby, czy to jest Oryks, a to Derkacz? - mówi Czarnobrody. - Tak powiedział Yeti-Jimmy! Ale przecież są śmierdzącą kością, są wieloma śmierdzącymi kośćmi! Oryks i Derkacz muszą być piękni! Jak w opowieściach! Nie mogą być śmierdzącą kością! - Płacze, jakby pękało mu serce.

Toby klęka, obejmuje go, mocno tuli. Co powiedzieć? Jak go pocieszyć? W obliczu tego nieuleczalnego smutku.

Opowieść o Bitwie

Toby nie może dziś opowiedzieć historii. Jest jej zbyt smutno z powodu wszystkich, którzy umarli. Tych, co stali się martwi w czasie bitwy. Dlatego sam spróbuję opowiedzieć wam tę historię. Opowiem ją tak, jak trzeba, jeśli dam radę.

Najpierw nakładam na głowę czerwoną czapkę, czapkę Yeti-Jimmy'ego. Te znaki na niej... zobaczcie, to jest głos, głos, który mówi: RED. I dalej mówi: SOX.

SOX to specjalne słowo Derkacza. Nie wiemy, co znaczy. Toby też nie wie. Może dowiemy się później.

Ale spójrzcie - czerwona czapka jest na mojej głowie i nie robi mi nic złego. Nie wyrasta mi dodatkowa skóra, mam skórę własną, taką samą jak zawsze. Mogę zdjąć czapkę, mogę nałożyć ją z powrotem. Nie przykleja mi się do głowy.

Teraz zjem rybę. My nie jemy ryby ani śmierdzącej kości; nie tak się pożywiamy. Trudno jeść rybę. Muszę to jednak zrobić. Derkacz zrobił dla nas wiele trudnych rzeczy, kiedy był na ziemi w postaci człowieka. Uprzątnął dla nas chaos i...

Nie musicie śpiewać.

...i zrobił wiele innych trudnych rzeczy, więc i ja postaram się zrobić tę trudną rzecz, jaką jest jedzenie ryby ze śmierdzącą kością. Jest ugotowana. Jest bardzo mała. Może Derkaczowi wystarczy, że włożę ją do ust i wyjmę.

O tak.

Przepraszam, że wydaję dźwięki, jakbym był chory.

Proszę, weźcie tę rybę i wyrzucicie do lasu. Mrówki się ucieszą. Czerwie

się ucieszą. Sępy się ucieszą.

Tak, ma bardzo zły smak. Smakuje tak, jak pachnie śmierdząca kość albo martwe stworzenie. Przeżuję wiele liści, żeby usunąć ten smak z ust. Ale gdybym nie zrobił tej trudnej rzeczy, nie poczuł złego smaku, nie usłyszałbym historii, którą opowiada mi Derkacz, i nie mógłbym wam jej przekazać. Tak samo było z Yeti-Jimmym i tak samo jest z Toby. Trudna rzecz, jaką jest jedzenie ryby, smak śmierdzącej kości - jedno i drugie jest konieczne. Najpierw to, co złe, potem opowieść.

Dziękuję, że mruczycie. Już nie czuję się tak źle.

A teraz Opowieść o Bitwie. Opowieść o tym, jak Zeb, Toby, Yeti-Jimmy, inni dwuskórowi i Świniowi uprzątnęli złych ludzi, tak jak Derkacz uprzątnął ludzi w czasie chaosu, żeby stworzyć nam dobre, bezpieczne miejsce do życia.

Toby, Zeb, Yeti-Jimmy, dwuskórowi i Świniowi musieli uprzątnąć złych ludzi, bo inaczej nigdy nie bylibyśmy tutaj bezpieczni. Źli ludzie zabiliby nas tak, jak zabili dziecko Świniowych, nożem. Albo patykiem robiącym dziury, z których wycieka krew. Dlatego.

Toby powiedziała mi, że taki był powód. To dobry powód.

A Świniowi im pomogli, bo nie chcieli, żeby kolejne ich dzieci były zabijane nożem. Albo patykiem. Albo na inne sposoby, na przykład liną.

Nikt nie ma lepszego węchu od Świniowych. My mamy lepszy węch od dwuskórowych, ale Świniowi mają lepszy węch od nas. Dlatego żeby pomóc, wywąchiwali ślady złych ludzi i pokazywali, dokąd poszli. I ścigali ich razem ze wszystkimi.

Ja też tam byłem, żeby przekazywać innym, co mówili Świniowi. Miałem buty na nogach. O, te buty, są tutaj, widzicie je? Mają światełka i skrzydła. Są szczególnym darem od Derkacza i jestem za nie wdzięczny, mówię więc „Dziękuję”. Muszę je jednak nakładać, tylko w razie gdyby pojawiło się niebezpieczeństwo i inni źli ludzie, których trzeba uprzątnąć. Dlatego

teraz nie mam ich na nogach. Ale trzymam je tu, obok siebie, bo są częścią tej historii.

Wtedy jednak nałożyłem te buty na nogi i długo szliśmy w miejsce, gdzie są budynki, a gdzie my nie chodzimy, bo mogłyby się na nas zawalić. Ale ja tam poszedłem i dużo widziałem. Widziałem rzeczy ocalałe z chaosu, dużo rzeczy. Widziałem puste budynki, dużo budynków. Widziałem rzeczy z metalu i szkła, dużo rzeczy. A Świniowi nieśli Yeti-Jimmy'ego.

Potem Świniowi tropili złych ludzi swoimi nosami i wreszcie ich znaleźli. Żli ludzie byli w Jaju, chociaż w Jaju powinno się tylko stwarzać, nie zabijać. I niektórzy Świniowi też weszli do Jaja, do pokoju z rzeczami, które zabijają, żeby nie pozwolić złym ludziom tych rzeczy wziąć. Żli ludzie uciekali więc i ukrywali się w Jaju, na korytarzach Jaja. A my na początku ich nie widzieliśmy.

W Jaju było ciemno, nie jasno jak kiedyś. To znaczy kiedy mówię „ciemno”, nie mam na myśli, że będąc w środku, nic nie widzieliśmy. To był taki mrok, który się czuje. Mrok, który pachnie.

I Yeti-Jimmy wszedł w pierwsze drzwi Jaja, a tam znalazł jeden, potem drugi stos śmierdzących pomieszanych kości i bardzo posmutniał, padł na kolana i zapłakał. Toby chciała nad nim pomruczeć, ale on powiedział: „Zostaw mnie!”.

A potem wyjął z włosów jednej z kupek śmierdzących kości różową poskręcaną rzecz i trzymając ją w dłoniach, powiedział:

„Oryks. O Boże”. I zaraz dodał: „Derkacz, ty skurwysynu! Nie musiałeś jej zabić!”.

Byli tam też Toby i Zeb. I Zeb powiedział: „Może już była chora. Może nie mógł bez niej żyć”. A Yeti-Jimmy odrzekł: „O Ja-Pierdołę, nie pleć mi tu banałów!”.

Wtedy zapytałem Toby: „Co to znaczy »banały«?”. A Toby powiedziała, że to jest coś, co pomaga ludziom przetrwać trudną sytuację, kiedy nie

mogą wymyślić nic innego. I miałem nadzieję, że Ja-Pierdołę leci bardzo szybko, żeby pomóc Yeti-Jimmy'emu, bo był w bardzo trudnej sytuacji.

Ja też byłem w bardzo trudnej sytuacji, bo Yeti-Jimmy powiedział, że te stosy kości to Oryks i Derkacz. I zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie, byłem przerażony. Powiedziałem: „O Toby, czy to jest Oryks, a to Derkacz? Ale przecież są śmierdzącą kością, są wieloma śmierdzącymi kośćmi! Oryks i Derkacz muszą być piękni! Jak w opowieściach! Nie mogą być śmierdzącą kością!”. I zapłakałem, bo oboje byli martwi, bardzo martwi, i rozpadli się na kawałki.

Ale Toby powiedziała, że te stosy kości to nie prawdziwi Oryks i Derkacz, że to tylko ich powłoki, jak skorupa jaja.

A Jajo to nie prawdziwe Jajo, nie takie jak w opowieściach. To tylko skorupa, jak rozbite skorupy, które zostają, kiedy ptaki wyklują się z jaj. A my sami jesteśmy jak ptaki, więc ta rozbita skorupa nie jest już nam do niczego potrzebna, prawda?

A Oryks i Derkacz nie umarli, tylko przybrali inne postacie i są dobrzy i miłośni. I piękni. O czym wiemy z opowieści.

Dlatego wtedy poczułem się lepiej.

Proszę, jeszcze nie śpiewajcie.

A potem weszliśmy do Jaja. Nie było ani jasno, ani ciemno, bo słońce przeświecało przez jego skorupę. Ale w powietrzu czuło się mrok. Potem zaczęła się bitwa. „Bitwa” jest wtedy, kiedy jedni chcą uprzątnąć drugich, a drudzy chcą uprzątnąć pierwszych.

My nie odbywamy bitew. Nie jemy ryby. Nie jemy śmierdzącej kości. Tak stworzył nas Derkacz. Tak, dobry, miłośni Derkacz.

Ale dwuskórowych Derkacz stworzył tak, żeby mogli odbywać bitwy. Tę samą umiejętność dał Świniowym. Jedni używają w bitwie swoich kłów, a drudzy patyków robiących dziury, z których wypływa krew. Tak są

stworzeni.

Nie wiem, dlaczego Derkacz tak ich stworzył.

Świniowi ścigali złych ludzi. Gonili ich po korytarzach i zagnali do środka Jaja, gdzie było dużo martwych drzew. Nie było tam tak jak wtedy, kiedy nas stworzono: wówczas były drzewa z obfitością liści i piękna woda, padał deszcz, a na niebie świeciły gwiazdy. Teraz jednak nie było gwiazd, tylko sufit.

Świniowi później opowiedzieli mi o wszystkich miejscach, w których ścigali złych ludzi. Toby nie puściła mnie z nimi, bo powiedziała, że źli ludzie mogliby mi zrobić dziury z krwią albo mnie złapać, co byłoby jeszcze gorsze. Nie widziałem więc wszystkiego, co się wydarzyło, ale było dużo krzyku, a Świniowi wrzeszczeli tak, że mnie uszy bolały. Wrzask Świniowych jest bardzo, ale to bardzo głośny.

A potem był odgłos galopu i kroki nóg w butach. Następnie zrobiło się cicho i wtedy przyszedł czas na myślenie: myślenie złych ludzi, myślenie Świniowych, myślenie Zeba, Toby i Nosorożca. Zeb, Toby i Nosorożec myśleli tak: niech Świniowi nagonią złych ludzi na nas, to my zrobimy w nich dziury patykami. Tak się jednak nie stało. W Jaju było bardzo, bardzo dużo korytarzy.

I przyszedł jeden ze Świniowych i powiedział mi, że korytarzami ucieka tylko dwóch złych ludzi. Do Jaja jednak weszło trzech. Trzeci był nad nami: czuli jego zapach. Był nad nami, ale nie wiedzieli gdzie.

Powiedziałem to więc Zebowi i Toby, i Zeb powiedział: „Schowali Adama na piętrze. Gdzie tu są schody?”. A Yeti--Jimmy powiedział, że w czterech miejscach są schody pożarowe. Toby zapytała: „Możesz nas tam zaprowadzić?”. Yeti-Jimmy odpowiedział na to: „Czyli wy wejdziecie jednym schodem, oni zejdą innymi i uciekną, i co wtedy?”. I Zeb powiedział: „Cholera”.

Trzej Świniowi zostali ranni, kiedy gonili złych ludzi po korytarzach, a jeden upadł i już nie wstał. To była Świniowa, która niosła Yeti-

Jimmy'ego. A ja widziałem tę część bitwy i wydawałem dźwięki, jakbym był chory. I płakałem.

Potem dwaj źli ludzie wbiegli po schodach na górę. „Schody” to... później wam powiem, co to są schody. W każdym razie Świniowi nie potrafią wchodzić po schodach. I kiedy źli ludzie byli na górze, nie mogliśmy ich widzieć.

Wtedy Zeb, Toby i inni ludzie z dwiema skórami kazali mi powiedzieć Świniowym, żeby odszukali wszystkie pozostałe miejsca ze schodami i krzyczeli, gdyby źli ludzie próbowali tamtędy zejść na dół. Sami przynieśli z zewnątrz drewno i rozpalili ogień, a dym z tego ognia poszedł schodami w górę. Potem zasłonili twarze szmatami i czekali u dołu schodów, którymi uciekli źli ludzie, a kiedy dymu zrobiło się dużo - bardzo dużo, sam widziałem i kasłałem! - dwaj źli ludzie wyszli na szczyt schodów. Przed sobą pchali trzeciego człowieka, którego trzymali za ramiona, jeden z jednej, drugi z drugiej strony. Człowiek ten miał liny na rękach. I tylko jeden but. Na stopie. Ale ten but nie miał skrzydeł ani światełek. Nie był taki jak buty, które tutaj widzicie, te, które ja nosiłem na nogach.

I Toby powiedziała: „Adam!”.

A tamten na to zaczął coś mówić, ale wtedy uderzył go jeden ze złych, ten z krótkimi piórami na twarzy. Potem zły z długimi piórami powiedział: „Przepuście nas albo on pójdzie do piachu”. Chociaż nigdzie nie było piachu.

Zeb wtedy powiedział: „No dobra, droga wolna, oddajcie go”. Drugi zły człowiek krzyknął: „Dorzuć jeszcze tę sukę, weźmiemy też miotacze. I odwołaj te jebane świnię!”.

Jednak człowiek imieniem Adam, ten z linami na rękach, pokręcił głową, co znaczyło „nie”. I wyrwał się złym ludziom, którzy trzymali go za ramiona, skoczył do przodu, upadł i sturlał się po schodach. A jeden ze złych ludzi zrobił w nim dziurę patykiem.

I Zeb pobiegł do Adama, a Toby podniosła swój karabin i wycelowała, po czym karabin wydał dźwięk i zły człowiek, który zrobił dziurę w Adamie, upuścił patyk; a potem upadł, trzymając się za nogę i krzycząc.

I Toby chciała pobiec do Zeba, żeby pomóc mu przy człowieku imieniem Adam u dołu schodów, ale Yeti-Jimmy przytrzymał ją ręką za jej różową drugą skórę. Mnie wepchnął za swoje plecy, nadal jednak wszystko widziałem.

Drugi zły człowiek był częściowo schowany za ścianą, ale w tej chwili wysunął głowę i rękę z patykiem wycelowanym w Toby. Yeti-Jimmy zauważył to i bardzo szybko przed nią wskoczył, przez co dziury zrobiły się w nim, nie w niej. I on też upadł, zalał się krwią i już nie wstał.

A wtedy Zeb użył swojego patyka i drugi zły człowiek upuścił swój patyk i złapał się za ramię. I też zaczął krzyczeć. A ja zakryłem uszy rękami, bo było tak dużo bólu. Za dużo bólu.

Potem Nosorożec, Shackleton i reszta dwuskórowych weszli schodami na górę, złapali dwóch złych ludzi, zwiążali ich linami i ściągnęli na dół. Zeb i Toby jednak zostali z Adamem i Yeti- Jimmym. Byli smutni.

I wszyscy wyszliśmy z Jaja, z którego buchał najpierw dym, potem płomień. I bardzo szybko się stamtąd oddaliliśmy. A w środku rozlegały się głośnie hałasy.

I Zeb niósł Adama, który był bardzo chudy i biały; a Adam wciąż oddychał. Zeb powiedział: „Mam cię, najlepszy kumplu. Nic ci nie będzie”. Ale jego twarz była cała mokra.

A Adam powiedział: „Wszystko będzie dobrze. Módl się za mnie”. I uśmiechnął się do Zeba, i powiedział: „Nie martw się. I tak nie pociągnąłbym długo. Posadź dobre drzewo”.

A ja powiedziałem do Toby: „O Toby, kto to jest »najlepszy kumpel«? On jest Adam, tak ma na imię, tak powiedziałaś”.

A Toby powiedziała, że „najlepszy kumpel” to inne określenie brata, bo Adam był bratem Zeba.

Potem jednak człowiek imieniem Adam przestał oddychać.

I nastał wieczór. Powoli szliśmy z powrotem, a Świniowi nieśli złych ludzi, bo ci byli podziurawieni i związani. Świniowi byli źli z powodu zabitych i chcieli wbić kły w tych ludzi, przeturlać się po nich i ich zadeptać, ale Zeb powiedział, że nie czas na to.

Nieśli też Yeti-Jimmy’ego, Adama i martwą Świniową. I nocą doszliśmy do budynku, w którym zostały dzieci, matki i megarunosy, a także matki i dzieci Świniowe i pozostali dwuskórowi

- Ren, Amanda, Lis Płowy, Dzieciół Wielkodzioby, Rebecca i cała reszta. I wszyscy wyszli nam na spotkanie, a potem mówili bardzo dużo rzeczy, takich jak: „Tak bardzo się martwiłam”, „Co się stało?” i „O Boże!”.

A my, Dzieci Derkacza, śpiewaliśmy wspólnie.

Spaliśmy tam tamtej nocy i jedliśmy. Wszyscy, którzy byli na bitwie, byli bardzo zmęczeni. Rozmawiali cichymi głosami, uważnie się przyglądali martwemu Adamowi i mówili, że jest martwy nie od uprzążającego chaos ziarnka, które stworzył Derkacz, tylko z powodu dziur, z których wyciekała krew. I powiedzieli, że to w sumie szczęście w nieszczęściu, że nie zabiło go ziarnko Derkacza.

Potem zapytam Toby, co to jest „szczęście w nieszczęściu”. Teraz jest zmęczona, śpi.

* * *

I zawinęli człowieka imieniem Adam w różowe prześcieradło, podłożyli mu różową poduszkę pod głowę i byli milczący i smutni. Niektórzy Świniowi poszli popływać w basenie, co dało im dużo przyjemności.

A następnego dnia przyszedliśmy tutaj, do domku z gliny. Świniowi nieśli

Adama na gałęziach, z kwiatami, i martwą Świniową też, chociaż z nią było im trudniej, bo była duża i ciężka.

Tak samo nieśli Yeti-Jimmy'ego, chociaż nie był martwy, przynajmniej wtedy, kiedy wyruszyliśmy. A Ren szła obok niego, trzymała go za rękę i płakała, bo była jego przyjacielem; Crozier szedł po jej drugiej stronie i jej pomagał.

Jednak Yeti-Jimmy wędrował w swojej głowie, bardzo, bardzo daleko, tak samo jak wtedy, kiedy leżał w hamaku, a my nad nim mruzciliśmy. Tylko że tym razem zawędrował tak daleko, że nie mógł wrócić.

I była tam z nim Oryks, i mu pomagała. Słyszałem, jak z nią rozmawiał, tuż zanim zawędrował za daleko, tam, gdzie wzrok nie sięga, i przestał oddychać. Teraz jest z Oryks. I z Derkaczem.

To była Opowieść o Bitwie.

Teraz możemy śpiewać.

PORA KSIEŻYCOWA

Proces

Następnego ranka urządzają proces.

Siedzą wokół stołu jadalnego - to znaczy siedzą MaddAddamowcy i Boży Ogrodnicy. Świniony wylegają się na trawie i kamykach; Derkaczanie pasą się nieopodal, jak zawsze przeżuwają kęsy liści, chłoną wszystko, co się dzieje.

Samych więźniów nie ma. Nie muszą być obecni; to, co zrobili, nie podlega dyskusji. Proces jest tylko po to, aby wydać wyrok.

- A zatem jesteśmy tutaj, żeby zdecydować o ich losie - mówi Zeb. - Pech, że nie rozwaliliśmy ich w ogniu wydarzeń, ale skoro tak się nie stało, musimy podjąć pewne decyzje z zimną krwią. Głosujemy od razu czy potrzebna będzie dyskusja?
- Czy są zwykłymi więźniami? Czy jeńcami wojennymi? Bo jest różnica, nie? - mówi Toby. Coś każe jej się za nimi w jakiś sposób wstawić, ale dlaczego? Ilyko dlatego, że nie mają adwokata?
- Może bezdusznymi neurośmieciami? - sugeruje Rebecca.
- Są naszymi bliźniami - mówi Biała Turzyca. - Chociaż zdaję sobie sprawę, że to samo w sobie nie świadczy na ich korzyść.
- Zabili naszego brata - stwierdza Shackleton.
- Sparszywiały kurwie syny - mówi Crozier.
- Gwałciciele i mordercy - dorzuca Amanda.
- Zastrzelili Jimmy'ego - mówi Ren i zaczyna płakać. Amanda obejmuje ją ramieniem, mocno przytula. Sama nie płacze; ma twarde oczy drewnianej rzeźby. Byłaby dobrym katem, myśli Toby.
- Co za różnica, jak ich nazwiemy - mówi Nosorożec. - Byle nie „ludźmi”.

Trudno wybrać etykietkę, myśli Toby: trzy walki na niegdyś niesławnej Arenie Paintbólu ogołociły ich z wyróżniających cech. Tych cech, które można opisać słowami. Weterani Paintbólu od dawna znani byli z tego, że nie są do końca ludźmi.

- Popieram wszystkie powyższe określenia - mówi Zeb.
- A teraz przejdźmy do rzeczy.

Biała Turzyca bez przekonania wnosi o łaskę.

- Nie powinniśmy wydawać wyroków - mówi. - Brutalność tych ludzi niewątpliwie jest skutkiem krzywd, jakie w przeszłości wyrządzili im inni. A zważywszy na plastyczność mózgu i wpływ ciężkich doświadczeń na ich postępowanie, skąd możemy wiedzieć, że w ogóle zdawali sobie sprawę, co robią?
- Jaja sobie robisz? - pyta Shackleton. - Zeżarli nerki mojego młodszego brata! Zaszlachtowali go jak megarunosa! Zęby im powyrywam! Przez dupę - dodaje, być może niepotrzebnie.
- Nie unośmy się zbyt - mówi Zeb. - Opanujmy wzburzenie. Wszyscy mamy do niego powody. Chociaż niektórzy bardziej niż inni. - Wydaje się starszy, myśli Toby. Starszy i bardziej ponury. Przygnębiony tym, że odnalazł Adama po to tylko, żeby zaraz potem go ponownie utracić. Wszyscy jesteśmy w żałobie: nawet Świniony. Mają oklapłe ogony i obwisłe uszy; trącają się nawzajem ryjami, jakby na pocieszenie.
- Nie ma co toczyć sporów w związku z decyzją, która powinna mieć czysto filozoficzny i praktyczny charakter - mówi Dziecioł Wielkodzioby.
- Pytanie jest takie: czy mamy pomieszczenia niezbędne do zorganizowania dozoru więziennego i czy istnieje teoretyczne uzasadnienie...
- Nie pora dzielić włos na czworo - mówi Zeb.
- Odbieranie życia jest naganne w każdych okolicznościach - stwierdza

Biała Turzyca. - Nie powinniśmy odkładać na bok zasad moralnych tylko dlatego, że...

- Tylko dlatego, że większość rodzaju ludzkiego wyginęła, a ocalała garstka ledwo może nałapać dość energii słonecznej, żeby zapalić żarówkę? - mówi Shackleton. - Czyli co, chcesz, żeby te dwa chodzące szamba rozwalily ci łeb?

- Nie wiem, czemu reagujesz tak agresywnie - odpowiada Biała Turzyca. - Adam Pierwszy byłby za tym, żeby okazać im łaskę.

- Co nie znaczy, że miałby rację - mówi Amanda. - Nie było cię przy tym, nie wiesz, co nam zrobili. Mnie i Ren. Nie wiesz, jacy są.

- Chociaż skoro zostało tak mało prawdziwych ludzi - stwierdza Dzieciół Wielkodzioby - może nie powinniśmy lekką ręką pozbywać się coraz rzadszego ludzkiego DNA. Nawet jeśli osobnicy, o których mowa, muszą zostać wyeliminowani, być może w trosce o genetyczną różnorodność należałoby, że tak powiem, wyciągnąć z nich płyny rozrodcze. Trzeba zapobiegać ubożeniu puli genowej.

- Sam temu zapobiegaj - mówi Lis Płowy. - Niedobrze mi się robi na samą myśl, że miałabym uprawiać seks z tymi dwoma zaropiałymi czyrakami po to tylko, żeby pozyskać ich parszywe DNA.

- Nie musiałybyś tak naprawdę uprawiać z nimi seksu - mówi Dzieciół Wielkodzioby. - Moglibyśmy posłużyć się pipetą do mięsa.

- A sam ją sobie wsadź - odburkuje Lis Płowy. - Faceci zawsze mówią kobietom, co mają robić ze swoimi macicami.

- Wolałabym sobie żyły podciąć, niż znów dopuścić do siebie ich płyny rozrodcze - mówi Amanda. - I bez tego jest mi wystarczająco źle. Skąd mogę wiedzieć, że nie noszę w sobie dziecka któregoś z nich?

- Tak czy owak, dziecko z ich spaczonymi genami byłoby potworem - zauważa Ren. - Rodzona matka by go nie pokochała. Och, przepraszam -

mówi do Amandy.

- Nic się nie stało - zapewnia Amanda. - Jeśli to ich dziecko, oddam je Białej Turzycy, niech je kocha. Albo nakarmię nim Świniony; doceniłyby taki gest.
- Może dałoby się ich zresocjalizować - mówi Biała Turzyca ze spokojem. - Włączyć do społeczności, nocą trzymać w bezpiecznym miejscu, pozwolić, żeby nam pomagali. Czasem, kiedy ludzie czują się potrzebni, to autentycznie zmienia ich...
- Rozejrzyj się - mówi Zeb. - Widzisz gdzieś pracowników socjalnych? Albo więzienia?
- Potrzebni do czego? - pyta Amanda. - Mieliby prowadzić żłobek?
- Byliby zagrożeniem dla wszystkich - mówi Katuru.
- Jedynym bezpiecznym miejscem dla nich jest dół w ziemi - dodaje Shackleton.
- Głosujemy - zarządza Zeb.

Głosują kamykami: czarny oznacza śmierć, biały łaskę. Żywa archeologia. Dawne systemy symboliczne pozostają z nami na zawsze, myśli Toby, wyjmując kamyki z czerwonej czapki Jimmy'ego. Jest tylko jeden biały.

Świniony głosują zbiorowo, za pośrednictwem ich przywódcy. Czarnobrody pełni funkcję tłumacza.

- Wszyscy mówią „śmierć” - przekazuje Toby. - Ale nie zjedzą tych ludzi. Nie chcą połączyć się z nimi w jedno.

Pozostali Derkaczanie są zdumieni. Wyraźnie nie rozumieją, co znaczy „głosowanie” i „proces” ani czemu służy wkładanie kamyków do czapki Yeti-Jimmy'ego. Toby mówi im, że tak chciał Derkacz.

OPOWIEŚĆ O PROCESIE

Dwóch złych ludzi, związanych linami, wsadzono na noc do pokoju. Czuliśmy, że lina zadaje im ból, przez co byli smutni i gniewni. Ale nie rozwiązałyśmy liny tak jak poprzednim razem. Toby powiedziała, żebyśmy tego nie robili, bo wtedy znowu zaczęłyby się zabijanie. A my przestrzegliśmy dzieci, żeby nie podchodziły za blisko, bo źli ludzie mogliby je ugryźć.

A potem podano im supę ze śmierdzącą kością.

Rano odbył się Proces. Wszyscy go widzieliście. Odbył się przy stole. Padło wiele słów. Świniowi też byli na Procesie.

Może zrozumiemy to później, ten Proces.

Po Procesie wszyscy Świniowi poszli nad morze. Toby poszła z nimi i wzięła ze sobą ten swój karabin, którego nie wolno nam dotykać. Poszedł też Zeb. I Amanda, i Ren. Crozier i Shackleton. Ale my, Dzieci Derkacza, nie poszliśmy, bo Toby powiedziała, że to byłoby dla nas bolesne.

I po pewnym czasie wszyscy wrócili bez dwóch złych ludzi. Wyglądali na zmęczonych. Ale byli spokojniejsi.

Toby powiedziała, że teraz już źli ludzie nic nam nie zrobią. A Świniowi powiedzieli, że ich dzieci też są od tej pory bezpieczne. Obiecali także, że choć Bitwa się skończyła, dochowają umowy, którą zawarli z Toby i Zebem, i więcej nie będą polować na dwuskórowych i ich zjadać, nie będą też ryć w ich ogrodzie. Ani jeść miodu pszczoł.

A Toby kazała mi przekazać im, co następuje: Zgadzą się przestrzegać umowy. Żadne z was, waszych dzieci i dzieci waszych dzieci nigdy nie będzie śmierdzącą kością w supie. Ani szynką, dodała. Ani bekonem.

A Rebecca powiedziała: Co za pech.

A Crozier powiedział: Ja pierdolę, o czym oni mówią, co się w ogóle dzieje? Na co Toby odrzekła: Uważaj, co mówisz, mieszasz mu w głowie.

A ja powiedziałem, że Crozier na razie nie musi wzywać Ja-Pierdołę, bo nie jesteśmy w trudnej sytuacji i nie potrzebujemy jego pomocy. Toby potwierdziła, że to prawda, Ja-Pierdołę nie lubi, kiedy się go wzywa w błahych sprawach. A Zeb zakasłał.

Kiedy Świniowi poszli, Toby powiedziała nam, że dwóch złych ludzi porwało morze. Zostali wylani, tak jak Derkacz wylał chaos. Dzięki temu na świecie zrobiło się dużo czystiej.

Tak, dobry, miłosierny Derkacz.

Nie śpiewajcie, proszę.

Dlatego że kiedy śpiewacie, nie słyszę słów, które Derkacz każe mi mówić, a zresztą gdy o nim śpiewamy, w ogóle nie może przekazywać mi słów opowieści, bo musi słuchać śpiewu.

To więc jest Opowieść o Procesie. Stworzył go Derkacz. Nam Proces jest niepotrzebny. Tylko dwuskórowi i Świniowi muszą mieć Proces.

A to dobrze, bo Proces mi się nie podobał.

Dziękuję. Dobranoc.

Obrzędy

„Święto Parzydełkowców”, pisze Toby. „Pierwsza kwadra księżycy”.

Typ Parzydełkowce obejmuje meduzy, korale, ukwiały i stułbie. Ogrodnicy byli skrupulatni - na swojej liście świąt nie pominęli żadnego typu ani rodzaju biologicznego, przynajmniej nie świadomie - choć niektóre uroczystości były dziwniejsze od innych. Szczególnie pamiętne było na przykład Święto Pasożytów Jelitowych, chociaż niekoniecznie w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Święto Parzydełkowców było jednak wyjątkowo piękne. Były papierowe lampiony w kształcie meduz i liczne dekoracje wykonane z przedmiotów zebranych w śmietnikach. Były twórczo przerobione pęknięte balony, nadmuchane gumowe rękawice z doczepionymi nitkami, ukwiały z okrągłych szczotek do naczyń i stułbie z przezroczystych plastikowych torebek na kanapki.

Obwieszane wstęgami dzieci wykonywały krótki taniec meduzy, powoli machając rękami, a jednego roku Ogrodnicy napisali i wystawili niekończącą się sztukę o cyklu życiowym meduzy. Niewiele się w niej działo. „Najpierw byłam jajkiem, Potem rosłam zdrowo, Dziś jestem meduzą, Zieloną, niebieską, różową”. Tylko kiedy na scenę wchodziła bąbelnica, pojawiała się odrobina dramatyzmu. „Dryfuję tu, dryfuję tam, Moje macki to cud prawdziwy, Ale nie wpadnij w me objęcia, Bo nie wyjdiesz z nich żywy”.

Czy Ren pomagała przy tym przedstawieniu? - zastanawia się Toby. A Amanda? Ta piosenka, scena pochwylenia małego dziecka grającego rybę, następujące potem śmiertelne użądlenie - to wszystko było w stylu Amandy; czy raczej cwaniakowatego plebszczura, jakim była w tamtych czasach. Dziś, po usunięciu dwóch nikczemnych paintbólowców, jest jak nowo narodzona.

„Po usunięciu dwóch nikczemnych paintbólowców”, pisze. „Usunięciu”. Jakby byli odpadami. Zastanawia się, czy używanie takich inwektyw

przystoi komuś, kto niegdyś pełnił funkcję Ewy Szóstej, uznaje, że nie, mimo to nie zmienia ani słowa.

„Po usunięciu dwóch nikczemnych paintbólowców Ren, Shackleton, Amanda, Crozier i ja wróciliśmy ścieżką przez las NowyTy. Doszliśmy do drzewa, na którym paintbólowcy powiesili biednego Oatesa z podciętym gardłem. Niewiele z niego zostało - zasymilowały go wrony i Bóg wie co jeszcze - ale Shackleton wdrapał się na drzewo i przeciął sznur, po czym razem z Crozierem pozbiali kości młodszego brata i zawinęli w prześcieradło”.

„Potem przyszedł czas kompostowania. W geście przyjaźni i współpracy międzygatunkowej Świniony zaofiarowały się, że zainoszą Adama i Jimmy’ego w wybrane przez nas miejsce. Zebrały więcej kwiatów i paproci, którymi obsypały ciała. Następnie wyruszyliśmy w pochodzie na miejsce pochówku. Derkaczanie śpiewali przez całą drogę”.

Dodaje: „...co było trochę męczące”. Potem jednak uznaje, że biorąc pod uwagę jego błyskawiczne postępy w pisaniu,

Czarnobrody może pewnego dnia przeczytać jej wpisy, i zamazuje te słowa.

„Po krótkiej rozmowie Świniony zrozumiały, że nie chcemy zjeść Adama i Jimmy’ego, nie życzymy też sobie, żeby one to zrobiły. Uszanowały to. W takich sprawach zdają się przestrzegać złożonych reguł: martwe młode są zjadane przez ciężarne matki, żeby dostarczyć więcej białka rosnącym w nich płodom, ale dorosłe osobniki, zwłaszcza te zajmujące wysoką pozycję w stadzie, pozostawia się nietknięte, by zasiliły ekosystem. Wobec innych gatunków nie mają jednak takich skrupułów”.

Amanda dodała, że nie uważa, by przerobienie na świńskie gówno było dopuszczalnym etapem cyklu życiowego Jimmy’ego, ale Czarnobrody tego komentarza nie przetłumaczył. Oatesowi ten los nie groził; za mało z niego zostało.

„Pochowaliśmy ich trzech blisko Pilar i na każdym posadziliśmy drzewo.

Dla Jimmy'ego Ren, Amanda i Modraszek wyprawiły się do Ogrodu Botanicznego, do działu Owoce Świata - pod przewodnictwem Świnionów, które, jako miłośnicy owoców, doskonale wiedziały, jak tam trafić - i wybrały kłęk amerykański, który ma liście w kształcie serca i wydaje jagody nadające się na substytut kawy. Wielu członków naszej grupy będzie z tego zadowolonych, bo sprzykrzyła im się kawa z palonych korzeni”.

„Dla Oatesa Crozier i Shackleton wybrali dąb. Świniony były zachwycone, bo to znaczy, że w przyszłości będą miały żołądźcie”.

„Drzewo dla Adama Pierwszego wybrał Zeb jako jego najbliższy krewny. Zdecydował się na rodzimą dziką jabłoń, bo, jak stwierdził, to w pewien sposób nawiązuje do Biblii i jest jakoś stosowne. Dodatkowy plus jest taki, że z jabłek można będzie zrobić dobry dżem, co zadowoliliby Adama: Ogrodnicy, choć baczni na symbolikę, w takich sprawach byli praktyczni”.

„Świniony mają własne obrzędy pogrzebowe. Nie pogrzebały martwej lochy, tylko położyły jej ciało na parkowej polanie w pobliżu jednego ze stołów piknikowych. Przykryły je kwiatami i gałęziami i stały w milczeniu ze zwieszonymi ogonami. A potem Derkaczanie zaczęły śpiewać”.

- Co piszesz, o Toby? - pyta Czarnobrody, który wszedł do jej boks w glinianym domku bez uprzedzenia, jak zwykle, i teraz stoi przy jej łokciu. Patrzy jej w twarz swoimi dużymi, zielonymi, świetlistymi, niezwykłymi oczami.

Jak Derkacz zaprojektował te oczy? Co sprawia, że jaśniej tym wewnętrznym blaskiem? A przynajmniej sprawiają takie wrażenie. Musi to być rodzaj biofluorescencji, może pochodzący od jakiejś bioformy żyjącej w głębi oceanu. Często się nad tym zastanawiała.

- Piszę opowieść - mówi. - Opowieść o tobie i mnie, o Świnionach i w ogóle o wszystkich. Piszę o tym, jak pogrzebaliśmy Yeti-Jimmy'ego i Adama Pierwszego w ziemi, i Oatesa też, żeby Oryks mogła przeobrazić

ich w drzewa. A to rzecz radosna, nie sądzisz?

- Tak. To rzecz radosna. Co ci się stało w oczy, o Toby? Ty płaczesz? - mówi Czarnobrody. Dotyka jej brwi.

- Jestem trochę zmęczona, to wszystko - mówi Toby. - Moje oczy też są zmęczone. Pisanie je męczy.

- Pomruczę nad tobą - mówi Czarnobrody.

Małe dzieci derkaczańskie nie mruczą. Czarnobrody szybko rośnie - te dzieciaki rzeczywiście rosną szybciej - ale czy dojrzał na tyle, żeby mruścić? Najwyraźniej tak: jego dłonie już spoczywają na jej czole, a powietrze wypełnia dźwięk derkaczańskiego mruczenia, przypominający warkot małego silniczka. Nigdy jeszcze nad nią nie mruczano: to bardzo kojące, musi przyznać.

- Proszę - mówi Czarnobrody. - Opowiadanie historii jest trudne, a jej pisanie musi być jeszcze trudniejsze. O Toby, następnym razem, kiedy będziesz zbyt zmęczona, żeby pisać, ja zrobię to za ciebie. Będę twoim pomocnikiem.

- Dziękuję - mówi Toby. - To miło z twojej strony.

Uśmiech Czarnobrodego jest jak jutrzienka.

Pora księżycowa

ŚWIĘTO BRYOPHYTA-MCHU. KSIĘŻYC W OSTATNIEJ KWADRZE

Jestem Czarnobrody i oto zapisuję mój głos, żeby pomóc Tobie. Jeśli patrzycie na to, co napisałem, słyszycie w swoich głowach, jak do was mówię (ja, Czarnobrody). Na tym właśnie polega pismo. Ale Świniowi potrafią to samo robić bez pisania. My, Dzieci Derkacza, czasem też to potrafimy. Dwuskórowi tego nie umieją.

Dzisiaj Tobie powiedziała, że Bryophyta to mech. Ja powiedziałem, że jeśli to jest mech, to muszę pisać „mech”. Tobie mówi, że to są dwie nazwy, które znaczą to samo, jak Yeti-Jimmy. Dlatego piszę Bryophyta-Mech. O tak.

Dzisiaj zrobiliśmy obrazy Yeti-Jimmy’ego i Adama też. Nie znaleźliśmy Adama, ale zrobiliśmy jego obraz dla Zeba i Tobie, i innych, którzy go znali. Na Yeti-Jimmy’ego wykorzystaliśmy mopa przyniesionego z plaży, pokrywkę słoika i inne rzeczy. Ale nie czerwoną czapkę, bo jest potrzebna do opowiadania historii.

Ciało Adama zrobiliśmy z dodatkowej skóry, którą znaleźliśmy, z dwiema rękami, a głowę z białej torby z plastiku, piór zabranych mewie, która już ich nie potrzebowała, i niebieskiego szkła z plaży, bo miał niebieskie oczy.

Już raz kiedyś zrobiliśmy obraz Yeti-Jimmy’ego, żeby do nas wrócił, i wrócił. Tym razem te obrazy nie sprawią, że Yeti-Jimmy i Adam wrócą, ale dzięki nim Zeb, Tobie, Ren i Amanda czują się lepiej. To dlatego zrobiliśmy te obrazy. Oni lubią obrazy.

Dziękuję. Dobranoc.

DZIEŃ ŚWIĘTEJ MAUDE BARLOW OD ŚWIEŻEJ WODY. NÓW

Zeb dochodzi do siebie po śmierci Adama. Pracuje z pozostałymi nad

dobudówką do glinianego domku, bo niebawem potrzebny będzie pokój dziecienny. Ciężce postępują o wiele szybciej niż zwykle i większość kobiet uważa, że cała trójka dzieci będzie krzyżówkami z Derkaczanami.

Ogród jest coraz bujniejszy. Stado megarunosów się powiększa - przyszły na świat trzy nowe osobniki, jeden błękitnowłosa, jeden rudy i jeden blondyn - chociaż jedno jagnię porwał lwiagnior. Lwiagniorów też przybywa.

„Jeden z Derkaczan zgłosił, że widział zwierzę, które z opisu przypomina niedźwiedzia”, pisze Toby. „Nie byłoby to zaskakujące. Może trzeba wystawić straż przy ulach? Są już dwa, bo złapaliśmy kolejny rój”.

„Jelenie szybko się mnożą: zawsze to źródło białka zwierzęcego. Ich mięso jest znacznie chudsze od wieprzowiny, choć nie tak smaczne. Z jeleniny nie będzie dobrej klasy bekonu. Ale według Rebekki jest zdrowsza”.

ŚWIĘTO NAGONASIENNYCH. PEŁNIA

Toby nieopatrznie oznajmiła pozostałym, że tego dnia wypada Ogrodnicze Święto Nagonasiennych. W odpowiedzi padło kilka niewybrednych żartów o nagości, nasieniu, a nawet o Derkaczanach, jeden z ust Zeba, co jest dobrym znakiem. Może jego czas żałoby się kończy.

Zamontowano trzy kolejne sprawne baterie słoneczne. Ta, której używali dotychczas, przestała działać. Nawala jedna bioaleta kompostowa. Shackleton i Crozier podejmują próby wytwarzania węgla drzewnego, z różnym skutkiem. Nosorożec, Katuru i Manat poszli na ryby nad morze. Dzieciół Wielkodzioby projektuje prostą łódkę, korakł, tak ją nazywa.

Dwa młode Świniony - nieledwie prosiaki - przekopały się pod ogrodzeniem do ogrodu i przyłapano je na jedzeniu warzyw korzeniowych, zwłaszcza marchewek i buraków. Czujność MaddAddamowców wobec Świnionów osłabła, byli bowiem przekonani, że umowa, którą z nimi zawarli, będzie przestrzegana. I jest

przestrzegana, przynajmniej przez osobniki dorosłe; ale młodzież, jak to młodzież, lubi naginać reguły.

Zwołano naradę. Świniony przysłały delegację złożoną z trzech dorosłych osobników, które wydawały się zakłopotane i rozgniewane, jak to zwykle dorośli, kiedy dzieci narobią im wstydu. Czarnobrody był tłumaczem.

To się nie powtórzy, obiecały Świniony. Młodym rabusiom zagrożono niezwłocznym przerobieniem na bekon i kości do zupy, co chyba wywarło pożądane wrażenie.

DZIEŃ ŚWIĘTEGO GEYIKLI BABY OD JELENI. NÓW

Pszczoły wydajnie pracują: odbył się pierwszy zbiór miodu. Biała Turzyca założyła grupę Medytacja przy Muzyce, która przyciągnęła wielu Derkaczan. Pomaga jej Bieługa. Bawół Mindorski próbuje wytwarzać ser owczy, twardy i miękki, a także jogurt. Ukończono pokój dziecięcy, w samą porę. Trójka dzieci niebawem przyjdzie na świat, choć Lis Płowy twierdzi, że będzie miała bliźnięta. Mówi się, żeby zrobić kolebki.

„Czarnobrody prowadzi własny dziennik”, pisze Toby. „Dałam mu na własność długopis i ołówkę. Ciekawa jestem, o czym pisze, ale nie chcę być wścibska. Dorównuje już wzrostem Crozierowi. Zaczyna wykazywać oznaki niebieskości; wkrótce będzie dorosły. Dlaczego mnie to smuci?”.

DZIEŃ ŚWIĘTEGO FIAKIERA OD OGRODÓW

To jest mój głos, głos Czarnobrodego, który słyszycie w swoich głowach. Nazywa się to „czytanie”. A to jest moja własna książka, książka nowa, na moje pismo, nie pismo Toby.

Dzisiaj Toby i Zeb zrobili dziwną rzecz. Przeskoczyli nad małym ogniskiem, po czym Toby dała Zebowi zieloną gałązkę, a Zeb dał zieloną gałązkę Toby. Potem się pocałowali. Wszyscy dwuskórowi patrzyli i wiwatowali.

I ja (Czarnobrody) powiedziałem: „O Toby, dlaczego to robicie?”.

A Toby powiedziała: „To taki nasz obyczaj. W ten sposób pokazujemy, że się kochamy”.

A ja (Czarnobrody) powiedziałem: „Ale przecież kochacie się i tak”.

A Toby powiedziała: „Trudno to wytłumaczyć”. Po czym Amanda dodała: „Bo to daje im szczęście”. Czarnobrody (to ja jestem Czarnbrody Czarnobrody) nie rozumie dlaczego. Dziwne, jakie rzeczy dają im szczęście, a jakie nie.

Wkrótce Czarnobrody będzie gotowy na swoje pierwsze spółkowanie. Kiedy kolejna kobieta zrobi się niebieska, on też zrobi się bardzo niebieski i zbierze kwiaty; i może zostanie wybrany. Czarnobrody (czyli ja) zapytał Toby, czy te zielone gałązki to coś takiego jak kwiaty, które my dajemy ze śpiewem, kiedy chcemy zostać wybrani; a ona odpowiedziała, że tak, to coś takiego. Już więc to lepiej rozumiem.

Dziękuję. Dobranoc.

ŚWIĘTO QUERCUS. ŚWIĘTO ŚWINIONÓW. PEŁNIA

„Pozwoliłam sobie dodać Świniony do kalendarza stałych świąt Ogrodniczych”, pisze Toby. „Zasługują na to, żeby mieć dzień na swoją cześć. Dołączyłam je do święta Quercus, dnia dębu. Uznałam, że tak będzie stosownie z uwagi na żołądź”.

ŚWIĘTO ARTEMIDY, PANI ZWIERZĄT. PEŁNIA

W ciągu ostatnich dwóch tygodni odbyły się wszystkie trzy porody. A właściwie cztery, bo Lis Płowy powiła bliźnięta, chłopca i dziewczynkę. Oboje mają zielone oczy Derkaczan, ku wielkiej uldze Toby; nie będzie musiała mieć do czynienia z małymi Zebami. Uszyła dzieciom cztery kapelusiki od słońca z prześcieradła w kwiaty. Derkaczanki mają z nich ubaw: na co komu takie kapelusze? Ich dzieci nie doznają oparzeń słonecznych.

Dziecko Amandy na szczęście jest z pochodzenia Derkaczaninem, nie paintbólówcem: dobitnie świadczą o tym jego wielkie zielone oczy. Poród był trudny, Toby i Rebecca musiały dokonać nacięcia krocza. Toby wolała nie podawać Amandzie za dużo Maku, bo to mogłoby zaszkodzić noworodkowi, więc bólu nie dało się uniknąć. Obawiała się, że Amanda odtrąci dziecko, niepotrzebnie, jak się okazało. Sprawia wrażenie, jakby się do niego przywiązała.

Dziecko Ren też jest zielonooką krzyżówką z Derkaczaninem. Jakie jeszcze cechy odziedziczyły te dzieci? Czy mają wbudowany odstraszacz owadów i specyficzne narządy mowy, które umożliwiają mruczenie i derkaczański śpiew? Czy przejmą obyczaje godowe Derkaczan? Takie kwestie są przedmiotem długich dyskusji przy stole jadalnym MaddAddamowców.

Trzy matki i czwórka dzieci mają się dobrze, Derkaczanki stale są przy nich, mruczą, opiekują się i przynoszą dary. Te dary to co prawda liście kudzu i błyszczące szkiełka z plaży, ale liczą się dobre intencje.

Modraszek też zaszła w ciążę, twierdzi jednak, że nie z Derkaczaninem; jej wybór padł na Manata. Przyszły ojciec troskliwie się nią opiekuje, kiedy nie łowi ryb z plaży i nie poluje na jelenie.

Crozier i Ren, jak się zdaje, chcą wspólnie wychowywać dziecko Ren. Shackleton służy wsparciem Amandzie, a Dzieciół Wielkodzioby zaofiarował się, że zostanie zastępczym ojcem bliźniąt Lisa Płowego.

- Wszyscy musimy zakasać rękawy - powiedział - bo to przyszłość rodzaju ludzkiego.
- Powodzenia mu życzę - stwierdziła Lis Płowy, ale toleruje pomoc Dzieciół.

„Zeb, Nosorożec i ja zaryzykowaliśmy i poszliśmy do apteki”, pisze Toby, „gdzie wyszperaliśmy kilka worków pieluch jednorazowych. Czy jednak w ogóle są potrzebne? Derkaczańskie dzieci obywają się bez tego obciążenia”.

ŚWIĘTO KANNON-ORYKS I RHIZOMA-KORZENI. PEŁNIA

Toby mówi, że Kannon jest jak Oryks. Mówi, że Rhizoma to coś jak korzenie. Dlatego ja (Czarnobrody) to wszystko zapisałem.

Oto imiona dzieci, które się narodziły:

Dziecko Ren ma na imię Jimadam. Jak Yeti-Jimmy i jak Adam. Ren mówi, że chciała, aby imię Jimmy'ego nadal było wypowiedane na tym świecie i pozostało żywe; i imię Adama też.

Dziecko Amandy ma na imię Pilaren. Jak Pilar, która żyje w krzaku bzu z pszczołami; i jak Ren, która jest serdeczną przyjaciółką i pomocnicą Amandy, na dobre i na złe, powiedziała. Ja (Czarnobrody) zapytam Toby, co to znaczy „na dobre i na złe”.

Dzieci Lisa Płowego noszą imiona Medulla i Oblongata. Medulla to dziewczynka, Oblongata to chłopiec. Lis Płowy mówi, że wybrała te imiona z powodu, który trudno zrozumieć. Chodzi o coś, co się ma w głowie.

Wszystkie dzieci dają nam dużo radości.

Czarnobrody (czyli ja) odbył swoje pierwsze spółkowanie, z SarahLacy, która wybrała jego kwiat, więc jest najszcześliwszy ze wszystkich. Wkrótce przybędzie kolejne dziecko, powiedziała nam SarahLacy, bo on (Czarnobrody) i pozostali trzej współ-ojcowie bardzo dobrze wykonali taniec godowy.

I dobrze śpiewali.

Dziękuję. Dobranoc.

KSIĘGA

Księga

Oto Księga, którą zrobiła Toby, kiedy żyła wśród nas. Zobaczcie pokazuję ją wam. Robiła słowa na „kartce”, a kartka jest wykonana z „papieru”. Słowa stwarzała za pomocą „pisma”, które kreśliła pa tykiem zwanym „długopisem” i czarnym płynem zwanym „atramentem”, a na koniec połączyła wszystkie kartki z boku i tak powstałe to, co nazywa się „księgą”. To jest Księga, to są Kartki, to jest Pismo.

I pokazała mi, Czarnobrodemu, jak robić długopisem takie słowa na kartce, kiedy byłem mały. Pokazała też, jak zamieniać te znaki z powrotem w głos, tak że kiedy teraz patrzę na kartkę i czytam słowa, słyszę głos Toby. A kiedy wypowiadam te słowa, wy też słyszycie głos Toby.

Nie śpiewajcie, proszę.

I w księdze zamieściła Słowa Derkacza, a także Słowa Oryks i opowieść o tym, jak oboje nas stworzyli i stworzyli dla nas ten bezpieczny i piękny Świat.

W Księdze są też Słowa Zeba i jego brata, Adama; i Słowa, Jak Zeb Zjadł Niedźwiedzia; i opowieść o tym, jak został naszym Obrońcą przed złymi ludźmi, którzy robili okrutne i bolesne rzeczy; i Słowa Pomocników Zeba, Pilar, Nosorożca, Katriny WooWoo i Węża Marca, a także wszystkich MaddAddamowców; i Słowa Yeti-Jimmy’ego, który był na początku, kiedy Derkacz nas stworzył, i wyprowadził nasz lud z Jaja w to lepsze miejsce.

I Słowa Ja-Pierdołę, chociaż te Słowa nie są bardzo długie. Widzicie, jest tylko jedna kartka o Ja-Pierdołę.

Tak, wiem, że pomaga nam w potrzebie i do nas przylatuje. Przysłał go Derkacz i wypowiadamy jego imię ku czci Derkacza. Ale tu nie napisano o nim wiele.

Proszę, nie śpiewajcie jeszcze.

I Toby spisała też Słowa o Amandzie, Ren i Lisie Płowym, naszych Umiłowanych Trzech Matkach zesłanych przez Oryks, które pokazały nam, że my i dwuskórowi wszyscy jesteśmy ludźmi i pomocnikami, chociaż mamy różne dary i niektórzy z nas robią się niebiescy, a inni nie.

Dlatego Toby powiedziała, że musimy okazywać szacunek i zawsze najpierw pytać, czy kobieta naprawdę jest niebieska, czy tylko pachnie na niebiesko, kiedy mowa jest o niebieskich sprawach.

I Toby pokazała mi, co robić, gdyby nie było już długopisów z plastiku ani ołówków; bowiem potrafiła patrzeć w przyszłość i przepowiedziała, że przyjdzie czas, kiedy długopisy, ołówki i papier znikną z budynków miasta chaosu, gdzie niegdyś rosły.

Pokazała mi, jak przerobić pióra ptaków na długopisy, chociaż kilka zrobiliśmy też z prętów zepsutego parasola.

„Parasol” to rzecz z chaosu. Służył do tego, żeby deszcz nie padał na ciało.

Nie wiem, po co im to było.

I Toby pokazała mi, jak robić czarne znaki atramentem z łupin orzechów zmieszanych z octem i solą; taki atrament jest brązowy. Atramenty w innych kolorach można wytwarzać z jagód, zrobiliśmy więc trochę atramentu fioletowego z owoców bzu, w którym żyje Duch Pilar, i spisaliśmy nim Słowa Pilar. A potem Toby pokazała mi, jak robić papier z roślin.

I Toby wydała przestrogi związane z Księgą, którą napisaliśmy. Powiedziała, że nie można jej zamoczyć, bo Słowa ściekną z kartek i więcej ich nie usłyszymy, a papier obrośnie pleśnią, szernieje i rozpadnie się w proch. Powiedziała też, że trzeba zrobić drugą Księgę z tym samym pismem, jakie jest w pierwszej. I że każdy, kto posiada wiedzę o pisaniu, papierze, długopisie, atramencie i czytaniu, musi zrobić następną taką samą Księgę, z tym samym pismem. Żebyśmy zawsze mogli ją czytać.

I że na końcu Księgi powinniśmy umieścić kilka innych kartek, dołączyć je do Księgi i zapisywać na nich wszystko, co się wydarzy, kiedy Toby już nie będzie, tak żebyśmy znali wszystkie Słowa o Derkaczu, Oryks, naszym Obrońcy Zebie i jego bracie Adamie, o Toby, Pilar i trzech Umiłowanych Matkach zesłanych przez Oryks. A także o nas samych, o Jaju i o tym, skąd się wzięliśmy.

I nauczyłem wszystkiego o Księdze, papierze i pisaniu Jimadama, Pilaren, Medullę i Oblongatę, którzy urodzili się Ren, Amandzie i Lisowi Płowemu, naszym Trzem Umiłowanym Matkom zesłanym przez Oryks.

Uczyli się pilnie, chociaż jest to trudne. I ostatecznie całą tę wiedzę posiadli, żeby wszystkim nam pomóc. A kiedy już mnie wśród was nie będzie, bo odejdę tam, dokąd podążyli Toby i Zeb, jak mi to przepowiedziała Toby, Jimadam, Pilaren, Medulla i Oblongata nauczać będą młodszych.

Teraz dodałem do Słów wszystko, co się wydarzyło po tym, kiedy Toby przestała robić Pismo i umieszczać je w Księdze. Zrobiłem to, abyśmy wszyscy wiedzieli, kim była i jak powstaliśmy.

Te nowe Słowa, które zrobiłem, noszą tytuł Opowieść o Toby.

Opowieść o Toby

Nakładam czerwoną czapkę Yeti-Jimmy'ego. Widzicie? Mam ją na głowie. I włożyłem rybę do ust i wyjąłem. Teraz czas, abyście słuchali, a ja będę czytał z Opowieści o Toby, którą zapisałem na końcu Księgi.

Pewnego dnia Zeb wyruszył na południe. Poszedł tam, bo kiedy polował na jelenie, zobaczył wysoki dym. I nie był to dym z płonącego lasu, lecz wąski dym. Obserwował go przez kilka dni i w tym czasie dym ani się nie zwiększył, ani nie zmniejszył, tylko został taki sam. Pewnego dnia jednak się przybliżył. A dzień później przybliżył się jeszcze bardziej.

Zeb powiedział nam więc, że mogą tam być inni - ludzie sprzed chaosu, z czasów, zanim Derkacz uprzątnął chaos. Czy jednak byli to dobrzy ludzie, czy ludzie źli i okrutni, którzy mogli chcieć nas skrzywdzić? Nie było jak tego poznać. Zeb nie chciał jednak, żeby ci ludzie podeszli do nas za blisko, zanim uzyska odpowiedź na to pytanie. Jeśli odpowiedź będzie taka, że to dobrzy ludzie, zostaniemy ich pomocnikami, a oni naszymi. Jeśli jednak nie będą to dobrzy ludzie, nie pozwoli im się do nas zbliżyć i zrobić nam krzywdy, tylko ich uprzątnie.

Abraham Lincoln, Albert Einstein, Sojourner Truth i Napoleon chcieli z nim pójść, żeby mu pomóc; ja, Czarnobrody, też chciałem iść, bowiem nie byłem już dzieckiem, tylko mężczyzną, niebieskim i silnym. Zeb jednak powiedział, że to, co się stanie, może być zbyt drastyczne. A my nie byliśmy pewni, co to znaczy „drastyczne”. I Zeb wyraził nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli się tego dowiedzieć. A Toby dodała, że musimy zostać, bo może dojść do Bitwy; gdybyśmy poszli i nie wrócili, pozostali byliby bardzo smutni. Powiedziała też, że zasięgnęła rady Oryks i Ducha Pilar i że według nich powinniśmy zostać, nie iść z Zebem. Dlatego nie poszliśmy.

I Zeb wziął ze sobą Czarnego Nosorożca i Katuru. Manat, Koliberek Hawański, Shackleton i Crozier też chcieli pójść, ale Zeb powiedział, że muszą zostać, bo trzeba, żeby ktoś chronił małe dzieci. Toby też kazał

zostać, razem z tym jej karabinem, którego nie wolno nam dotykać. Nie poszli więc. A Zeb powiedział, że to tylko zwiad, żeby zobaczyć, co się dzieje, i że jeśli będzie miał złe wieści, to rozpali ogień, drugi ogień, kiedy więc zobaczymy dym, będziemy mogli wysłać kogoś na pomoc i powiedzieć o tym Świniowym, chociaż najpierw musielibyśmy ich znaleźć, bo przenoszą się z miejsca na miejsce.

I długo czekaliśmy, ale Zeb nie wracał. Shackleton wziął więc ze sobą trzech naszych niebieskich i poszli zobaczyć, czy wciąż widać wysoki i wąski dym. Kiedy wrócili, powiedzieli, że dymu już nie ma. Co znaczyło, że ci, którzy go zrobili, nie byli dobrzy, i Zeb, nasz Obrońca, musiał odbyć z nimi niespodziewaną Bitwę, żeby nie mogli się do nas zbliżyć. Ponieważ jednak nie wrócił, on też musiał umrzeć w Bitwie, razem z Nosorożcem i Katuru.

Na wieść o tym Toby się rozpłakała.

Wtedy wszyscy posmutnieliśmy. Toby była najsmutniejsza ze wszystkich, bo Zeb odszedł. I chociaż nad nią mruzciliśmy, już nigdy nie była szczęśliwa.

Potem robiła się coraz chudsza, coraz bardziej przykurczona; i po kilku miesiącach powiedziała nam, że wyniszczająca choroba kawałek po kawałku zżera ją od środka. I że nie da się jej uleczyć mruzeniem, czerwiami ani w ogóle w żaden znany jej sposób; że wyniszczająca choroba rozwija się i wkrótce z tego powodu ona, Toby, nie będzie mogła chodzić. Powiedzieliśmy jej więc, że zaniemiemy ją wszędzie, gdzie będzie chciała pójść. Uśmiechnęła się wtedy i powiedziała „Dziękuję”.

Potem wezwała nas wszystkich po kolei do siebie i powiedziała dobranoc, tak jak sama nas nauczyła dawno temu. Jest to sposób wyrażenia nadziei, że druga osoba będzie dobrze spała i nie będą jej dręczyć złe sny. My też powiedzieliśmy jej dobranoc. I śpiewaliśmy dla niej.

Potem Toby wzięła swój bardzo stary plecak, który był różowy; do niego zaś włożyła słoik Maku, a także słoik z grzybami, których zabroniła nam

dotykać. I powoli wyruszyła do lasu, podpierając się na kiju, i poprosiła, żebyśmy nie szli za nią.

Dokąd poszła, tego nie mogę w tej Księdze napisać, bo nie wiem. Niektórzy mówią, że umarła samotnie i zjadły ją sępy. Tak twierdzą Świniowi. Inni przekonują, że Oryks wzięła ją do siebie i teraz Toby nocą lata po lesie w postaci Sowy. Są też tacy, którzy uważają, że dołączyła do Pilar i jej Duch jest w krzaku bzu.

Jeszcze inni mówią, że poszła odnaleźć Zeba, który jest w postaci Niedźwiedzia, i że sama też przybrała postać Niedźwiedzia i dzisiaj są razem. Ta odpowiedź jest najlepsza, bo daje najwięcej radości; i ja ją zapisałem. Pozostałe odpowiedzi też zapisałem. Ale mniejszym pismem.

Trzy Umiłowane Matki zesłane przez Oryks głośno płakały, kiedy Toby odeszła. My także płakaliśmy i mruzciliśmy nad nimi, aż poczuły się lepiej. I Ren powiedziała: „Jutro też jest dzień”, a kiedy stwierdziliśmy, że nie rozumiemy, co to znaczy, Amanda powiedziała: „Mniejsza z tym” i że to nic ważnego. A Modraszek wytłumaczyła, że to jest coś, co daje nadzieję.

Potem Lis Płowy powiedziała nam, że znowu jest w ciąży i że wkrótce przybędzie kolejne dziecko. A współojcami byli Abraham Lincoln, Napoleon, Picasso i ja, Czarnobrody; i bardzo jestem szczęśliwy, że wybrała mnie do tego spółkowania. I Lis Płowy powiedziała, że jeśli to będzie dziewczynka, nazwie ją Toby. A to jest coś, co daje nadzieję.

Tak kończy się Opowieść o Toby. Spisałem ją w tej Księdze.

I umieściłem tu moje imię - Czarnobrody - tak jak Toby mi pokazała, kiedy byłem dzieckiem. To znaczy, że to ja spisałem te słowa.

Dziękuję.

Teraz będziemy śpiewać.

Podziękowania

Choć MaddAddam to fikcja literacka, wszystkie przedstawione w powieści technologie i bioistoty albo już istnieją, albo są w trakcie opracowywania, albo w teorii mogą powstać.

Większość głównych bohaterów MaddAddama występuje w pierwszych dwóch częściach trylogii, Oryks i Derkacz i Rok Potopu. Nazwiska kilku z nich są owocem datków na szlachetne cele, w tym na rzecz Fundacji Medycznej Na Rzecz Opieki Nad Ofiarami Tortur („Amanda Payne”) i magazynu „The Walrus” („Rebecca Eckler”). W MaddAddamie dołączają do nich „Allan Slaight”, dzięki jego córce, Marii (jego biografia nosi tytuł Sleight of Hand); „Katrina Wu”, dzięki Yung Wu; i „Marzec”, dzięki ślepemu losowaniu na Wattpad.com, które wygrał Lucas Fernandes. Święty Nikołaj Wawilow pojawia się za sprawą Sony Grovenstein, a źródłem porad pszczelarskich była Carmen Brown z Honey Delight w australijskiej Canberze.

Wdzięczna jestem, jak zawsze, moim redaktorkom, Ellen Seligman z McClelland & Stewart (Kanada), Nan Talese z Doubleday (Stany Zjednoczone) i Alexandrze Pringle z Bloomsbury (Wielka Brytania).

Dziękuję również moim pierwszym czytelnikom: Jess Atwood Gibson; moim brytyjskim agentkom, Vivienne Schuster,

Karolinie Sutton i Betsy Robbins z Curtis Brown; Phoebe Larmore, mojej agentce na Amerykę Północną; oraz Timothy’emu O’Connellowi. Dziękuję też Ronowi Bernsteinowi. I szczególne podziękowania dla Heather Sangster ze Strongfinish.ca za iście maratońską sesję adiustacyjną, po której musiałam zмагаć się ze śnieżycą i samochodem, który nie chciał zapalić.

Dziękuję także pracownikom mojego biura, Sarah Webster i Laurze Stenberg; Penny Kavanaugh; VJ Bauerowi, vjbauer.com, specjaliście od efektów specjalnych; oraz Joelowi Rubi-novichowi i Sheldonowi Shoibowi. Podziękowania należą się też Michaelowi Bradleyowi i Sarah

Cooper, jak również Coleen Quinn i Xiaolan Zhao. A także Louise Dennys, LuAnn Walther i Lennie Goodings, oraz moim licznym agentom i wydawcom z całego świata. Chciałabym też podziękować dr. Dave'owi Mossopowi i Grace Mossop oraz Barbarze i Normanowi Barricello z Whitehorse w Yukonie; a także licznym czytelnikom, którzy dopingowali mnie do pisania tej książki, z tymi na Twitterze i Facebooku włącznie.

Na koniec szczególne podziękowania dla Graeme'a Gibsona, z którym spaceruję przez popołudniowy las życia, zbieram pożywne bioformy, walczę z nieprzyjawnymi, gdziekolwiek się pojawiają, i zjadam je, kiedy to możliwe.